



KAROL MARX.

PISMA POMNIEJSZE.

KAROL MARX.

Pisma pomniejsze

SERJA PIERWSZA:

O wolnym handlu. — Praca najemna i kapitał. — Proudhon. — Nędza filozofji. — Marx contra Michajłowski.

SERJA DRUGA:

Ośmnasty Brumaire'a Ludwika Bonaparte.

SERJA TRZECIA:

Przyczynek do krytyki ekōnomji politycznej.

PARYŻ.

LIBRAIRIE KEVA

7 Rue Bertholet 7.

1907.



SERJA PIERWSZA:

O WOLNYM HANDLU. — PRACA NAJEMNA I KAPITAŁ. — PROUDHON. — NĘDZA FILOZOFJI. — MARX
CONTRA MICHAJŁOWSKIJ.

O WOLNYM HANDLU

MOWA WYPOWIEDZIANA PRZEZ KAROLA MARXA W TOWARZYSTWIE
DEMOKRATYCZNEM W BRUKSELLI DNIA 9 STYCZNIA 1849 R.

Panowie, zniesienie praw zbożowych w Anglii jest największym tryumfem, osiągniętym przez wolny handel w XIX w. We wszystkich krajach, w których fabrykanci głoszą wolność handlu, mają oni przedewszystkiem na względzie handel zbożem, lub wogóle materjały surowe. „Obłożenie zagranicznego ziarna cłem protekcyjnym jest bezczelnością, jest to spekulowanie głodem narodu“.

Tani chleb, wysoka płaca, *cheap food, high wages*, oto jedyny cel, dla którego wolnohandlowcy Anglii wydali milijony, a zapal ten zarazil już współbraci ich ze stałego ładu.

Lecz dziwna rzecz! Lud, któremu za wszelką cenę chcą dostarczyć tani chleb, okazuje się bardzo niewdzięcznym. W Anglii tani chleb jest tak samo osławiony, jak we Francyi tani rząd. W ludziach, „pełnych poświęcenia“, takich, jak Browning, Brigh et consortes upatruje lud najzaciętszych swoich wrogów i najbezwstydniejszych obłudników.

Każdemu wiadomo, że w Anglii walka między liberałami i demokratami jest walką wolnohandlowców z Czartystami.

Przypatrzmy się tylko w jaki to sposób wolnohandlowcy angielscy wykazywali ludowi swe dobre chęci, jakimi byli przejęci.

Mówili oni do robotników:

„Cło zbożowe jest podatkiem obciążającym płacę robotniczą; ten podatek płacicie wy właścicielom gruntów, tej średniowiecznej arystokracji; wasz opłakany stan jest wynikiem drożyzny najniezbędniejszych artykułów spożywczych“.

Robotnicy ze swej strony pytali się fabrykantów: „Jak się to stało, że w przeciągu ostatnich 30-tu lat, kiedy nasz przemysł doszedł do największego rozwoju, płaca nasza spadła, i to w daleko większym stosunku, niż się podniosła cena na zboże?“

Podatek jaki my, podług waszego twierdzenia, płacimy właścicielom gruntów wynosi na robotnika około trzech pensów tygodniowo, przyczem płaca rocznego tkacza w okresie 1815—1843 r. z 28 szy-

lingów spadła na 5, a tkacza przy maszynie w ciągu okresu 1823 do 1843 r. z 20 szylingów na 8.

A przez ten cały czas podatek, jaki płaciliśmy właścicielom gruntów nigdy nie przewyższał trzech pensów. Kiedy zaś w 1834 r. chleb był nader tani, a interesa handlowe szły pomyślnie, coście nam powiedzieli? Jeżeli jesteście nieszczęśliwi, wynika toż tąd, że zawiele dzieci płodzicie, że wasze małżeństwo jest płodniejszym od waszego rzemiosła.

Są to wasze własne słowa, któremiście do nas wtedy przemawiali; poczęliście fabrykować nowe prawa dla biednych, urządzać nowe domy robotnicze, owe bastylie proletaryjatu“.

Na to odrzekli fabrykanci:

„Macie słuszność panowie robotnicy; odgrywa tu rolę nie tylko cena zboża, ale także i konkurencja ze strony rąk robotniczych, określająca poziom płacy.

Zważcie jednak na to, że ziemia nasza przedstawia tylko skały i piaski. Nie myślcie przecież, żeby zboże można było hodować w doniczkach! Gdybyśmy jednak zamiast marnotrawienia naszych kapitałów i naszej pracy na nieurodzajnej glebie zajęli się wyłącznie przemysłem, to cała Europa zwinęłaby wtedy swoje fabryki, i Anglija stałaby się jednym wielkiem fabrycznym miastem, a cała Europa jej prowincyją rolniczą“.

I kiedy fabrykant temi słowy przemawia do swych robotników, zostaje on zagadnięty przez kramarza, który ot co powiada:

„Jeżeli znieśmy prawa zbożowe, to zniszczymy wprawdzie rolnictwo, lecz przez to nie zmusimy jeszcze innych krajów do poprzestania na naszych fabrykach i dozwinięcia swych własnych.

Jakież tego będą następstwa? Ja stracę swoją większą klientelę a wewnętrzny handel straci swój rynek“.

Fabrykant tytem odwraca się do robotnika i odpowiada kramarzowi: „Pozostaw to nam; skoro cła zbożowego nie będzie, otrzymywać będziemy z zagranicy tańsze zboże. Później zniżymy płacę u siebie, a tymczasem podniesie się ona w innych krajach, z których sprowadzamy zboże.

W ten więc sposób, oprócz zysków, które obecnie już ciągniemy, będziemy mieli jeszcze tańszą płacę i przy takich wygodnych warunkach zmusimy i ład stały do kupowania u nas.

Lecz teraz większa się do dyskusji awantura i wiejski robotnik.

„A z nami co będzie, wołają oni? Czyż mamy wydać wyrok śmierci na rolnictwo, z którego żyjemy? Czyż mamy zezwolić, by nam grunt usunięto?“

Zamiast odpowiedzi, liga zawiązana przeciwko prawom zbożowym ogłasza konkurs na trzy najlepsze dzieła, które by traktowały o zbawiennym wpływie, jaki wyrwie na angielskie rolnictwo usunięcie praw zbożowych.

Nagrody dostały się pp. Hope, Morse i Greg, których rozprawy w tysiącach egzemplarzy zostały rozrzucone po wsiach.

Jeden z tych premiiowanych mężów silnie dowiedzieć, że ani dzierżawca ani rolnik nie będą stratni wskutek dowozu zagranicznego zboża; stratni będą jedynie właściciele ziemscy. Angielski dzierżawca nie ma potrzeby obawiać się zniesienia praw zbożowych, ponieważ żaden kraj nie może wytwarzać tak dobrego i tak taniego zboża,

jak Anglija. Jeżeli nawet cena na zboże spadnie, wam to nie nie zaszkodzi, bo zniżka ta dotknie jedynie rentę, która spadnie, w żadnym zaś razie nie dosięgnie ona zysku z kapitału oraz płacy, które też nie ulegną żadnej zmianie.

Drugi laureat, pan Morse, utrzymuje odwrotnie; powiada on, że cena zboża, po zniesieniu praw zbożowych, podniesie się. Poci się on nad dowiedzeniem, że cła protekcyjne zbożu nigdy nie mogą zapewnić korzystnej ceny. Dla poparcia swego twierdzenia przytacza on ten fakt, że jednocześnie z wzrostem dowozu z zagranicy i cena na takowe w Anglii znacznie się podnosi. Laureat zapomina, że nie dowóz wywołuje wysokie ceny, lecz że wysokie ceny wpływają na zwiększenie dowozu. Wbrew twierdzeniom swego współzawodnika i współtowarzysza utrzymuje on, że każda zwyżka ceny na zboże jest korzystną dla dzierżawcy i dla robotnika, ale nie dla właściciela ziemskiego.

Trzeci laureat, pan Greg, fabrykant na wielką skalę, zwracający się w swej broszurze li tylko do wielkich dzierżawców, takimi bzdurstwami kwestyi tej zbyć nie mógł. Jego też traktat jest więcej naukowym. Wyjaśnia on, że prawa zbożowe podnoszą rentę jedynie wskutek tego, że podwyższają cenę zboża, podwyższają zaś cenę zboża dlatego, że zniewalają kapitał brać się do uprawy gorszych gruntów, co się bardzo prosto objaśnia.

Mianowicie, w miarę wzrostu ludności i jeżeli przytem obce zboże nie może dostać się do kraju, okazuje się koniecznem przystąpić do uprawy mniej urodzajnych gruntów, co wymaga większych kosztów, w skutek czego plony z tych gruntów stają się droższymi. Ponieważ wszelkie, w taki sposób wytwarzane zboże znajduje popyt, może więc być sprzedane, ceny zatem z konieczności regulować się będą według kosztów produkcji na gorszych gruntach. Różnica między tą ceną i kosztami uprawy lepszych gruntów stanowi właśnie rentę. Gdy więc, wskutek zniesienia praw zbożowych, spada cena zboża a następnie renta, wypływa to stąd, że gorsze grunty przestają być uprawiane. W ten więc sposób zniżka renty pociąga za sobą nieuniknioną ruinę pewnej części dzierżawców.

Uwagi te były konieczne dla zrozumienia traktatu p. Grega.

Drobni dzierżawcy, mówi on, którzy nie będą w stanie utrzymać się przy rolnictwie, znajdą przytułek w przemyśle. Co się zaś tyczy wielkich dzierżawców, to muszą oni na czysto wygrać. Właściciele, albo będą zmuszeni bardzo tanio sprzedać im grunty, albo też zawarte z nimi kontrakty prolongować na długie terminy. To wszystko pozwoli wielkim dzierżawcom włożyć w uprawę roli większe kapitały, zastosować większą ilość maszyn i tem samem zaoszczędzić ludzką pracę, która i bez tego, dzięki powszechnemu niżeniu płacy (który to skutek będzie następstwem zniesienia praw zbożowych) stanie się tańszą.

Dr. Bowring nadał niejako tym wszystkim wywodom pewną religijną świętość, wygłosiwszy na jednym z publicznych meetingów, że „Bóg to wolny handel, a wolny handel to Pan Bóg“.

Oczywiście, wszystkie te paplaniny były li tylko najczystszej wody obłudą, bez najmniejszego zamiaru dostarczenia robotnikowi ka-

I czyż mogli robotnicy pojąć tę niespodzianą filantropiję fabrykantów, tych samych ludzi, którzy dotychczas jeszcze nie przestali zwalczać bil dziesięciogodzinowy, t. j. bil, który zniżał dzień roboczy fabrycznego robotnika z 12 do 10 godzin? W celu uprzytomnienia wam, moi panowie, filantropii fabrykantów, przypomnę wam rozporządzenia, zaprowadzone na wszystkich fabrykach: Każdy fabrykant faktycznie posiada, dla swego osobistego użytku, kodeks karny, według którego wyznacza kary za wszelkie rozmyślne i nierozmyślne przekroczenia; tyle a tyle płaci np. robotnik, jeżeli trafi mu się usnąć na stołku, jeżeli rozmawia on, śmieje się lub spóźni o parę minut, jeżeli następnie zepsuje jakąś część maszyny, jeżeli wytwór przezeń ukończony nie okazuje się w dobrym gatunku i t. p. i t. p. Kary zawsze bywają większe, niż wynosi szkoda, przez robotnika wyrządzona. Z zegarem urządzają fabrykanci takie np. sztuczki, że on się spóźnia; następnie dają oni zły materyjał, z którego jednak robotnik powinien dobre wytwory wyrabiać, wymawiają podnajstrzemu miejsce, jeżeli ten nie wykazuje dość zręczności i nie stara się o powiększenie liczby przekroczeń.

Widzicie więc, panowie, że prywatne to prawodawstwo jest stworzonym w celu przysparzania i wywoływania przekroczeń, wszystko to zaś czyni się w celu robienia pieniędzy. Fabrykant stara się wszelkimi sposobami o obniżenie nawet nominalnej płacy, wyzyskując nawet te wypadki, zapobiedz którym robotnik nie jest w stanie.

I ci oto fabrykanci są tymi samymi filantropami, którzy chcieliby wnieść w robotników, że są zdolni do wyrzucenia ogromnych sum i to jedynie w tym celu, aby polepszyć byt robotników. Z jednej strony, obciążają oni, za pomocą ustaw, robotnikowi płacę do minimum; z drugiej zaś ponoszą olbrzymie ofiary, by ją, przy pomocy przeciwzbożowej ligi, podwyższyć!

Wyrzucają oni spore sumy na wybudowanie pałaców, w których liga mieści swe biura, rozsyłają po wszystkich miejscowościach Anglii całą armię apostołów, głoszących religiję wolnego handlu; drukują tysiące broszur i rozdają je bezpłatnie, by tylko robotnika co do jego własnej sprawy oświecić; wydają ogromne sumy dla zjednoczenia sobie prasy; organizują kunsztowną maszynę organizacyjną, która kierować ma ruchem wolnohandlowym, i na publicznych meetingach rozwijają całą swą wymowę. Na jednym z takich meetingów pewien robotnik odezwał się w sposób następujący:

Gdyby właściciele gruntów sprzedawali nasze kości, to wy, fabrykanci, pierwsi byście przystąpili do kupna, by je następnie rzucić do wstępu parowego i w mękę zamienić.

Angielscy robotnicy rozumieli znaczenie walki, toczonej z właścicielami ziemskimi przez kapitalistów. Wiedza oni dobrze, że chciano by zmniejszyć cenę na chleb, w celu poniżenia płacy i że zysk kapitalisty powiększy się o tyle, o ile spadnie renta. Pod tym względem, Ricardo, apostoł angielskiego wolnego handlu, ten wybitny ekonomista naszego stulecia, zupełnie się zgadza z robotnikami. Powiada on w swem sławnym dziele, traktującym o politycznej ekonomii: „Gdybyśmy, zamiast uprawiania u nas zboża, wynaleźli nowy sposób, gdziebyśmy je mogli nabywać za tanie pieniądze, to płaca

za pracę nie tylko wiejskich robotników, lecz także pracę wszystkich tych robotników, którzy pracują w przemyśle i handlu“.

Nie przypuszczajcie moi panowie, iż dla robotnika postać rzeczy się nie zmieniała, jeżeli, w obec niższej ceny zboża pobiera on nie więcej nad 4 zamiast 5 franków, które pazedtem pobierał. Czyż płaca jego w stosunku do zysku kapitalisty nie spadła? I czyż nie jest to rzeczą oczywistą, że jego społeczne położenie w porównaniu z położeniem kapitalisty się pogorszyło? Oprócz tego traci on i bezpośrednio. Mianowicie, dopóki tak cena zboża, jak też i płaca były wyższe, mógł on sobie na chlebie cokolwiek zaoszczędzić, a przeto korzystać z innych przyjemności. Skoro jednak cena na chleb, a zatem i płaca obniżyły się, to wtedy na inne potrzeby nie ma on już z czego zaoszczędzać.

Angielscy robotnicy dali angielskim fabrykantom do zrozumienia, że kłamliwymi ich obietnicami nie dadzą się w pole wyprowadzić i; jeżeli mimo to połączyli się z nimi przeciwko właścicielom ziemskim, uczynili to tylko dlatego, by zburzyć ostatnie resztki feudalizmu i aby z jednym tylko przeciwnikiem mieć do czynienia. Robotnicy nie zawiedli się w swej rachubie, albowiem posiadacze ziemskie, chcąc zemścić się na fabrykantach, pomogli robotnikom do przeprowadzenia bilu dziesięciogodzinowego; bil ten po zniesieniu praw zbożowych niezwłocznie przeszedł.

Kiedy na kongresie ekonomistów Dr. Bowring wyciągnął ze swej kieszeni długą listę dla wykazania, wiele to sztuk bydła, szynek wędlin, kur i t. p. sprowadzono do Anglii, by tam one, jak się wyraził, zostały przez robotników spożyte, zapomniał on niestety nadmienić, że robotnicy z Manchesteru i innych miast fabrycznych, w skutek własnego kryzysu, na bruk wyrzuceni zostali.

W politycznej ekonomii, dla wyprowadzenia ogólnych wniosków, bezwarunkowo nie wolno zestawiać cyfr z jednego li tylko roku. Zawsze trzeba brać w przeciętnem 5—6 lat, czas, w przeciągu którego nowoczesny przemysł przechodzi przez różne fazy: przez fazę rozkwitu, stagnacji i kryzysów, i spełnia w ten sposób swój nieunikniony obieg.

Nie ulega wątpliwości, że ze zniżką cen na wszystkie towary (co jest niezbędnym wynikiem wolnego handlu), za jednego franka mogą więcej nabyć towarów, niż poprzednio. A wszak frank robotnika posiada tę samą wartość, co wszelki inny. W ten sposób, wolny handel, jak się zdaje, jest rzeczą dla robotnika bardzo korzystną. Wszakże, zachodzi tu tylko ta jedna smutna okoliczność, mianowicie, że robotnik, nim franka swego zamieni na towary, musi wprzód spieniężyć swą pracę. Gdyby robotnik przy tej zamianie zawsze otrzymywał za tę samą pracę stałą ilość franków i gdyby ceny wszystkich innych towarów wciąż spadały, wyszedłby on z tego handlu zawsze z zyskiem. Dowiedzenie tego, że ze zniżką cen na wszystkie towary, mogą otrzymać za te same pieniądze więcej towarów — nie przedstawia żadnej trudności. Ekonomisci, cenę pracy zawsze rozpatrują, kiedy zostaje ona zamieniana na inne towary, a zapominają o chwili, w której praca zostaje wymieniana na pieniądź kapitalisty. Z chwilą, kiedy się okaże, że wprawienie w ruch maszynę

szyny, która się zowie robotnikiem — będą się musiały zmniejszyć. Jeżeli wszystkie towary tanieją, to i praca która także jest towarem, spada w cenie i, jak zobaczymy później, obniża się stosunkowo więcej, niż wszystkie inne towary. Gdyby robotnik i nadal spuszczał się na argumenty ekonomistów, spostrzegłby on, że frank ulotnił się już z jego kieszeni i że pozostało mu wszystkiego tylko 5 sousów.

Na to odpowiedzą mi ekonomiści: „Tak, przyznajemy, że konkurencja między robotnikami, która za pewnością nie zmniejszy się po urzeczywistnieniu zadań wolnego handlu, szybko zniży zarobek do poziomu niskich cen innych towarów. Z drugiej atoli strony, tanieść towarów wpłynie na powiększenie spożycia, wzrost zaś spożycia spowoduje rozszerzenie się produkcji, co znowu wywoła zwiększenie popytu na pracę; a wzrost popytu na pracę znowu pociągnie za sobą podwyżkę płacy“.

Cała ta argumentacja ma na celu wykazanie, że wolny handel pomnaża siły wytwórcze. Kiedy przemysł wzrasta, kiedy bogactwo, siły wytwórcze, jednym słowem, kiedy kapitał zwiększa popyt na pracę — wtedy podnosi się jej cena, a zatem i jej płaca. Wzrost kapitału jest to najkorzystniejsza dla robotnika okoliczność, każdy to przyzna. Kiedy zaś kapitał znajduje się w zastoju, wtedy nie tylko że zastój w przemyśle następuje, lecz nadto sam przemysł cofa się wstecz, upada, a robotnik stanowi pierwszą ofiarę: zginie on prędzej niż kapitalista. Zobaczymy wszakże, jaki będzie los robotnika w tym wypadku, kiedy kapitał wzrasta, a więc w tym, jak powiedzieliśmy, *najkorzystniejszym* dla robotnika wypadku, i wtedy skazanym on jest na zagładę. Wzrost produkcji pociąga za sobą ześrodkowanie i nagromadzenie kapitałów. Następnym ześrodkowaniem jest większy podział pracy, nowe zastosowanie maszyn. Wskutek wzrostu podziału pracy, wyjątkowa zreżność robotnika staje się rzeczą zbytęzną; wprowadzając zaś robotę, dostępną dla każdego, podział pracy zwiększa konkurencję, istniejącą pomiędzy robotnikami.

Konkurencja ta wzrasta w miarę tego, jak podział pracy stawia robotnika w położenie wykonywania roboty za kilku. Maszyny spowodują tenże sam skutek jeszcze w wyższym stopniu. Rozwój produkcji zmusza kapitalistów-przemysłowców do wkładania w przedsiębiorstwo coraz większej ilości środków wytwórczych, a przez to rujnuje mniejszych przemysłowców i czyni z nich proletaryjuszów. Następnie, ponieważ stopa procentowa obniża się w miarę nagromadzenia kapitałów, przeto drobni rentierzy nie mogąc się ze swoich rent utrzymać, zmuszeni będą chwycić się przemysłu i powiększą przez to liczbę proletaryjuszów. Wreszcie, im bardziej kapitał włożony w produkcję wzrasta, tembardziej zmuszonym jest on do wytworzenia dla rynku, którego potrzeby nie są mu wiadome. Im bardziej produkcja wyprzedza popyt, tembardziej podaż stara się ten popyt wyzyskać — następstwem czego bywają dotkliwie i częste kryzysy. Lecz każdy znowu kryzys przyspiesza proces ześrodkowania kapitałów i powiększa proletaryjat. Im więcej więc wzrasta kapitał włożony w produkcję, tem silniejsza staje się konkurencja między robotnikami, i to wzrasta ona w daleko prędszym stosunku. Zarobek *każdego* uszczu-
dla się, brzemie zaś pracy powiększa się dla wielu. W 1829 roku

ich już tylko 448; obsługiwali oni o 53,353 wrzecion więcej, aniżeli 1,088 robotników z 1829 r. Gdyby ręczna praca wzrosła w tym samym stopniu co i wytwórczość pracy, wtedy liczba robotników wynosiłaby 1838; techniczne zatem ulepszenia pozbawiły pracy 1,400 robotników.

Zgóry już wiemy, co na to wszystko odpowiedzą ekonomiści.

Ludzie, pozbawieni w ten sposób pracy, powiadają oni, znajdują inne zajęcie. Pan dr. Bowring nie pominął tego argumentu i nie zapomniat go przytoczyć na ekonomicznym kongresie. Nie omieszczał on jednak dostarczyć argumentów przeciw sobie samemu. Mianowicie, w 1838 r. p. Bowring miał mowę w izbie gmin o potożeniu 50,000 londyńskich tkaczy, oddawna cierpiących wielką nędzę i nie mogących jakoś znaleźć zajęcia, o któremtyle gadają wolno handlowcy. Posłuchajmy wybitniejsze ustępy tej mowy: „Nędza ręcznych tkaczy, powiada on, oczekuje każda praca, której można się w prędkim czasie nauczyć i która w każdej chwili może być zastąpioną przez mniej kosztowne narzędzie. Ponieważ konkurencja między robotnikami w tych gałęziach pracy jest niezmiernie wielką, przeto najdrobniejsze zmniejszenie popytu spowoduje kryzys. Ręczni tkacze znajdują się pod pewnymi względami na ostatnim szczelblu, na jakim może znajdować się ludzka istota, jeszcze krok dalej a życie dlań staje się niemożliwem. Najmniejsze wstrząśnienie wystarcza, by ich zepchnąć w przepaść nędzy. Rozwój techniki, coraz więcej usuwający ręczną pracę, nieodwołnie pociąga za sobą, przez okres przejściowy, nieustanne cierpienia. Dobrobyt krajowy kupuje się li tylko za cenę nieszczęśliwych pojedynczych jednostek. W przemyśle postępuje się naprzód tylko po trupach maruderów, a ze wszystkich wynalazków tkacki warsztat parowy najwięcej unieszczęśliwił ręcznego tkacza. W wielu gałęziach pracy, które dotychczas ręcznie były wykonywane, tkacz został już pokonany przez maszynę i zostanie zwyciężony jeszcze w wielu gałęziach posługujących się dzisiaj ręczną pracą“. „Mam ja, powiada on w innym miejscu, w swem posiadaniu korespondencję prowadzoną przez generalnego gubernatora Indyj przedgangesowych z kompaniją wschodnio-indyjską. Korespondencja ta dotyczy tkaczy z okręgu Dakka. Gubernator pisze w swym liście: Przed kilkoma laty, kompanija otrzymała 6—8 milionów sztuk perkaliku, które wyrobione były na krajowych ręcznych warsztatach. Popyt jednakże nieustannie się zmniejszał i spadł do jednego miliona, poczem ustał prawie zupełnie. Nie dość na tem. W 1800 r. sprowadziła Ameryka Północna z Indyj blisko 800,000 sztuk perkalu, w 1830 r. zaś nie więcej nad 4,000; wysłano także morzem 1800 r. milion sztuk perkalu do Portugalii, w 1830 r. zaś zapotrzebowania Portugalija nie więcej nad 20,000 sztuk... Sprawozdania o nędzy indyjskich tkaczy są przerażające. A co spowodowało ową nędzę? Oto pojawienie się na rynku angielskich wytworów i zaprowadzenie parowego tkackiego warsztatu. Wielka liczba tkaczy zginęła z nędzy, reszta rzuciła się do innych gałęzi, mianowicie do roli. Nie być w stanie zmienić swego rzemiosła — jest to śmierć. I obecnie okręg Dakka jest zupełnie zalany przez angielskie tkaniny i przędze. Muslin z Dakki, słynny na cały świat ze swej piękności i trwałości, zanikł również w skutek kon-

na drugą tak wielką klęskę jak ta, która stała się udziałem całych klas ludności w Indiach Przedgangesowych". Mowa dra Bowringa tembardziej zasługuje na uwagę, że przytaczane w niej fakty są prawdziwe, jakkolwiek frazesa, w jakie chce on je przyoblec, noszą na sobie cechy obfudy, właściwą wszystkim mówom wolnohandlowców. Spogląda on na robotników tylko jako na narzędzia, które trzeba zastąpić przez inne tańsze narzędzia. Postępuje on w ten sposób, jak gdyby widział tak w pracy, o której mówi, jak również w maszynie tkackiej, co zdruzgotaną tkaczkę, jakąś wyjątkową pracę i maszynę. Zapomina on, że nie ma takiej ręcznej pracy, któraby pewnego pięknego dnia nie uległa takiemu samemu, jak tkactwo losowi.

„Zaiste, wszelkie udoskonalenia i ulepszenia techniczne zawsze dążą ku temu, ażeby pracę ludzką uczynić zupełnie zbyteczną, lub też zmniejszyć jej płacę: pracę dorosłego mężczyzny zastępuje pracą kobiet i dzieci, pracę zaś zręcznego robotnika pracą zwykłego wyrobnika. W większej części przedziałni Watertwistu doglądają wrzecion tylko 16-letnie i młodsze dziewczęta. Wprowadzenie Selfactor'a na miejsce ręcznej „mule“ pozbawia roboty wielu przedzarczylich zastępuje dziećmi i wyrostkami". Słowa te, wypowiedziane przez najzapalniejszego wolnohandlowca, D-ra Ure, winnyby uzupełnić wiadomości Dra Bowringa. Pan Bowring opowiada o cierpieniach jednostek i mówi jednocześnie, że te indywidualne cierpienia doprowadzają do zguby całej klasy; mówi o chwilowych cierpieniach w przejściowej epoce i jednocześnie nie ukrywa, że cierpienia tej przejściowej epoki były dla większości przejściem z tego „padółu płaczu" na „tamtan świat", dla reszty zaś z lepszego położenia do gorszego. Jeżeli on potem dodaje, że cierpienia tych robotników postępują równolegle z postępem przemysłu i stają się niezbędnymi dla dobrobytu narodu, to powiada on poprostu, że dobrobyt burżuazji, z konieczności, opiera się na cierpieniach klasy pracującej.

Cała pociecha, jakiej p. Bowring uczyca ginącym ztąd robotnikom i w ogóle całą doktryną wyrównywania, głoszona przez wolnohandlowców sprowadza się do następującego: „Wy, robotnicy, którzy tysiącami giniecie, nie traćcie nadziei. Możecie sobie spokojnie umierać. Klasa wasza nie wymrze, ona zawsze będzie dosyć liczna, by kapitał mógł ją zdziesiątkowywać, bez obawy o jej wyginiecie. Zresztą, w jakim sposób może kapitał znaleźć wygodną dla siebie lokację jeśli nie będzie się starał, aby swój materyjał do wyzyskiwania, robotników, utrzymać przy życiu, a to w celu, żeby ich wciąż mógł wyzyskiwać?"

Alę, dlaczego kwestyja: jaki wpływ wywrze zastosowanie wolnego handlu na położenie klas pracujących, stanowi po dziś dzień kwestyję, wciąż jeszcze potrzebującą wyjaśnienia? Wszelkie prawa, sformułowane przez ekonomistów od czasów Quesnay'a aż do Ricarda, opierają się na tem przypuszczeniu, że granice, jakie dotychczas kępowały wolny handel, przestały już istnieć. Prawa te stają się coraz bardziej zgodne z rzeczywistością, a więc tem większej nabierają pewności, im bardziej zostają urzeczywistnionemi żądania wolnego handlu. Pierwsze z tych praw głosi, że konkurencja sprowadza cenę każdego towaru do minimum kosztów produkcji. W ten więc

rzeczy nieodzownych dla podtrzymania egzystencji robotnika i ile potrzeba na to, aby robotnik wybił się i spłodził ilość dzieci nań przypadającą. Nie wierzymy atoli, aby robotnik otrzymywał nawet tę minimalną płacę, a mniej jeszcze wierzymy w to, żeby ową minimalną płacę pobierał on zawsze.

Nie, podług tego prawa kiedy niekiedy klasa robotnicza będzie szczęśliwszą. Kiedy niekiedy będzie ona otrzymywała więcej niż owe minimum, lecz to „więcej" będzie tylko wyrównaniem tego, na ile ona, w czasie zastoju w przemyśle, pobierała poniżej minimum, to jest, jeżeli weźmiemy jakiegokolwiek z tych okresów przemysłowych, które się powtarzają co lat kilka, jednym słowem, jeżeli weźmiemy ów obieg kołowy, zakreslany przez przemysł, na który składają się fazy pomyślności, nadprodukcji, zastoju i kryzysów, jeżeli następnie porachujemy wszystko to, co klasa robotnicza otrzymała powyżej i niżej niezbędnego minimum, wtedy przekonamy się, że wogóle, nie miała ona ani więcej, ani mniej jak owe minimum, t.j. po przebiegu takiej a takiej nędzy, tylu a tylu cierpień, poniosłszy tyle a tyle ofiar na pobojuwisku przemysłowym, klasa robotnicza pozostaje klasą robotniczą. I cóż z tego? Klasa trzyma się wciąż, a nawet się powiększa.

Jest to jednak jeszcze nie wszystko. Postęp w przemyśle dostarcza tańszych środków utrzymania. W ten sposób wódka zastąpiła piwo, bawełna — wełnę i płótno, kartofle — chleb. Zawsze znajdują się sposoby utrzymania robotnika przy pomocy coraz tańszych i lichszych wytworów, minimalna więc płaca spadać będzie ciągle. Jeżeli owa płaca pozwalała z początku człowiekowi pracować, aby żyć, pozwala mu też w końcu żyć, ale życiem maszyn. Jego byt nie ma żadnej innej wartości, nad wartość zwyczajnej siły wytwórczej i kapitalista z tego li tylko punktu nań patrzy. Prawo to o towarze zwanym pracą i o najmniejszym poziomie płacy tem bardziej zgadza się z rzeczywistością, im bardziej wciela się w życie przypuszczenie ekonomistów: wolny handel. Jedno więc z dwojga: albo trzeba odrzucić ekonomiję polityczną, opartą na zasadzie wolnego handlu, albo należy się zgodzić, że robotnik, przy istnieniu tego wolnego handlu, jest z całą siłą miążdżony ekonomicznemi prawami.

Ostatecznie, czemuż jest przy dzisiejszym ustroju społecznym wolny handel? Jest on wolnością kapitału. Jeżeli zburzycie międzynarodowe granice, dziś jeszcze kępujące swobodny rozwój kapitału, wtedy zdejmiecie z jego działalności wszelkie okowy. Póki nie naruszyście dzisiejszego stosunku płacy do kapitału chociażby wymiana towarów odbywała się w najpomyślniejszych warunkach, zawsze wszakże pozostawicie dwie klasy: jedną — wyzyskującą, drugą — wyzyskiwaną. Trudno doprawdy pojąć zarozumiałość wolnohandlowców, wyobrażających sobie, że zyskowne użycie kapitału zatrze kontrast, istniejący pomiędzy kapitalistami-przemysłowcami a najmitami-robotnikami. Wręcz przeciwnie. Jedynym rezultatem będzie to, że antagonizm tych dwóch klas z każdym dniem coraz jaśniej występować będzie. Przypuszcmy na chwilę, że nie ma ani praw zbożowych, ani żadnych gminnych i państwowych podatków, jednym słowem, że zupełnie znikły wszystkie okoliczności, które robotnik dzisiaj może jeszcze uważać za przyczynę swego niedźnego stanu; właśnie wtedy dopiero zostanie zerwana zasłona

on wtedy, że wyzwolony kapitał tak samo trzyma jego, t. j. robotnika, w niewoli, jak wtedy, gdy tenże kapitał był cłem skrupowania. Panowie! Niech wam nie imponuje abstrakcyjne słowo *wolność*. Wolność czego? Nie jest to bynajmniej swoboda jednego indywiduum w obec drugiego. Oznacza to tylko swobodę, z jakiej korzysta kapitał, by zdusić robotnika. Dlaczego chcecie wolną konkurencyję sankcjonować ideą swobody, kiedy sama idea jest tylko wytworem ustroju, opartego na wolnej konkurencyi.

Wykazaliśmy, jakiego jest to rodzaju owo braterstwo między różnymi klasami tego samego narodu, które głosi wolny handel. Braterstwo, jakie by chciał zaprowadzić wolny handel między różnymi narodami kuli ziemskiej, bynajmniej nie jest braterstwem. Ochrzcić wyzyskiwanie w jego kosmopolitycznych kształtach mianem powszechnego braterstwa, jest to idea, jaka mogła się zrodzić tylko w łonie burżuazji. Wszystkie destrukcyjne objawy, jakie wolna konkurencyja sprowadza wewnątrz kraju, występują w większych jeszcze rozmiarach na rynku powszechnym. Nie potrzebujemy się dłużej rozwódzić nad sofizmatami, przy tej sposobności wypowiedzianymi przez wolnohandlowców — zaprawdę tyleż są one warte, ile i argumenta naszych trzech laureatów, pp. Hope, Morse i Greg'a. Powiadają na przykład, że wolny handel powoła do życia międzynarodowy podział pracy i że w ten sposób każdemu krajowi przypadnie w udziale produkcja, odpowiednia jego przyrodzonym zasobom. A więc, zgodnie z tem powinniście mniemać, panowie, że produkcja kawy i cukru stanowi przeznaczenie Indyi Zachodnich. Cóż jednak? Oto przed dwoma wiekami, przyroda, która nie troszczy się o handel, nie rodziła tam ani krzewu kawowego, ani trzciny cukrowej. I nie minie, być może, pół wieku, a nie znajdziecie tam ani kawy, ani cukru, ponieważ Indyje Wschodnie rozpoczęły przy pomocy tańszej produkcji zwycięską walkę przeciw naturalnym jakoby właściwościom Indyi Zachodnich.

I właśnie owe Indyje Zachodnie ze swemi przyrodzonymi bogactwami stanowią dla Anglików taki sam ciężar, jak i tkacze z Dakki, którzy również od niepamiętnych czasów przeznaczeni byli do zajmowania się ręcznym tkactwem.

Jeszcze na jedną okoliczność powinniśmy zwracać zawsze uwagę, a mianowicie: że nakształt tego, jak wszystko stało się monopolem, tak też i niektóre gałęzie przemysłu zwalczają dzisiaj wszystkie inne na rynku powszechnym i zapewniają przewagę tym przedewszystkiem narodom, które w tych gałęziach przemysłu zajęły wybitne stanowisko. Tak na przykład bawełna w międzynarodowym handlu ma daleko większe handlowe znaczenie, niż wszystkie inne razem wzięte surowe towary, używane na odzież. Prawdziwie śmieszne się wydaje to, jak wolnohandlowcy wskazują na kilka specyjalności w każdej gałęzi przemysłu, by je rzucić na szalę przeciwko wytworom codziennego użytku, które najtaniej bywają wyrabiane w krajach, posiadających najbardziej rozwinięty przemysł.

Jezeli wolnohandlowcy nie mogą zrozumieć, w jaki sposób jeden kraj może się wzbogacić kosztem drugiego, to nie dziwnego, że ci sami panowie nie mogą pojąć, w jaki sposób wewnątrz kraju jedna

Nie przypuszczajcie jednak, panowie, że krytykując wolny handel, mamy zamiar stanąć w obronie systematu cel protekcyjnych.

Można zwalczać konstytucjonalizm nie będąc zwolennikiem absolutyzmu. Zresztą system cel protekcyjnych jest tylko środkiem dążącym do wytworzenia w kraju wielkiego przemysłu, t. j. do uczynienia go zależnym od rynku powszechnego, w chwili zaś, kiedy się on staje zależnym od tego rynku, staje się on jednocześnie mniej więcej zależnym od wolnego handlu. Prócz tego systemat celny rozwija wolną konkurencyję wewnątrz kraju. Widzimy przeto, że w krajach, w których burżuazja jako klasa, zaczyna zdobywać sobie znaczenie, jak np. w Niemczech robi ona wszelkie usiłowania, by tylko uzyskać cła protekcyjne. Są one w jej ręku orężem przeciw feudalizmowi i władzy absolutnej, służą one jako środek do ześrodkowania sił i zrealizowania wolnego handlu wewnątrz kraju. Wogóle jednak system cłowy jest dziś konserwatywnym, wówczas, kiedy system wolnohandlowy działa rozkładowo. Rozsadza on dawne narodowości i zaostża w najwyższym stopniu antagonizm między proletaryjatem a burżuazją. Słowem system wolnego handlu przyspiesza socyjalną rewolucyję. I tylko z tego rewolucyjnego stanowiska, głosując, panowie, za wolnym handlem.

PRACA NAJEMNA I KAPITAŁ.

Poniżej zamieszczona praca ukazała się, jako szereg wstępnych artykułów w „Neue Rheinische Zeitung”, poczynając od 4 Kwietnia 1849 roku. Za podstawę jej posłużyły odczyty, wygłoszone przez Marxa w stowarzyszeniu robotniczym w Brukselli. Wydrukowano tylko urywki tych odczytów; a zapowiedziany w 269 numerze: „dalszy ciąg nastąpi” nie doszedł do skutku z powodu niespodziewanych wypadków, jako to wkroczenia Moskali do Węgier, powstania w Dreźnie, Iserlohn, Elberfeldzie, Palatynacie i Badenie, wskutek których właśnie gazeta została zakazana (19 Maja 1849 roku.)

Z rozmaitych stron uczyniono nam zarzuty, żeśmy nie przyjęli pod uwagę ekonomicznych czynników, które są materjalnem podzielnikiem teraźniejszej walki klasi narodowości. Mysły tylko wtedy potracali o te czynniki, kiedy występowały one bezpośrednio w politycznych zawiąskaniach.

Przedewszystkiem szło nam o wyświetlenie walki klas w codziennych zapasach chwili obecnej i o wykazanie na podstawie nagromadzonego się z dniem każdym materjału historycznego tego, że wraz z ujarzmieniem klasy robotniczej, która dokonała rewolucyję Lutową i Marcową, będą zwyciężeni i jej przeciwnicy, mianowicie, mieszczańscy republikanie Francji, jak również mieszczaństwo i chłopcy całego ładu stałego Europy, walczący z absolutyzmem, — że zwycięstwo sławetnej Rzeczypospolitej francuskiej będzie stanowiło jednocześnie o upadku ludów, które na rewolucyję Lutową odpowiadały były bohaterskimi walkami o niepodległość, — że nakoniec Europa popadnie znowu w swoje dawne kajdany — kajdany angielsko-ruskie, kiedy rewolucyjni robotnicy zostaną zwyciężeni. Walka Czerwowa w Paryżu, upadek Wiednia, Listopadowa tragikomedia w Berlinie, rozpaczliwe wysiłki Polski, Włoch i Węgier, mór głodowy w Irlandyi — oto najwybitniejsze ustępy europejskiej walki klasowej burżuazji a warstwą robotniczą, na zasadzie ich wykazaliśmy, że każdy ruch rewolucyjny, chociażby jego dążenia wydawały się jaknajbardziej ściśle połączone z walką klas, spełznąć musi na niczem aż do chwili zwycięstwa rewolucyjnej klasy robotniczej, że każda reforma społeczna, utopija pozostaje dopóki rewolucyjny proletaryjat nie wstąpi na arenę powszechnej walki i nie zmierzy swych sił z kontrewolucyjnym feudalizmem. W naszym zestawieniu, rok samo jak w rzeczywistości Belgija i Szwajcaryja grają rolę tragicomicznych karyka-

tur rodzajowych w wielkim historycznym widowisku; pierwsza występuje jako wzór mieszczańskiej monarchii, druga zaś jako wzór mieszczańskiej Rzeczypospolitej i zarazem jedna i druga jako państwa, wprawiające w samych siebie, że są wolne od walki klasowej, jak również i od rewolucyi europejskiej.

Teraz, kiedy czytelnicy nasi mają dokładne pojęcie o walce klasowej w kolosalnych zapasach politycznych z roku 1848, możemy śmiało przystąpić do zaznaczenia ekonomicznych czynników, na których opiera się istnienie burżuazji i jej klasowe panowanie, jako też i ujarzmienie robotników.

Rozpatrzmy zatem w trzech obszernych rozdziałach: 1) stosunek pracy najemnej do kapitału, niewolę robotnika i władzę kapitalisty 2) nieunikniony zanik średniej klasy mieszczańskiej przy dzisiejszym systemacie 3) handlowe ujarzmienie i zrujnowanie klasy burżuazyjnej rozmaitych narodów Europy przez ową władczynią rynku powszechnego — przez Anglię.

Postaramy się o ile można najprościej i najpopularniej zestawiać najelementarniejsze pojęcia politycznej ekonomii, nie stawiając ich a priori. Chcemy być zrozumiałymi dla robotników. Tem bardziej, że w Niemczech panuje szczególniejsza nieświadomość i mieszanina pojęć względem najprostszych ekonomicznych stosunków; zamęt ten spotykamy począwszy od patentowanych obrońców istniejącego porządku aż do cudownych uzdrowicieli socyalistycznych i zapożyczonych politycznych geniuszów, w których rozdrobnione Niemcy więcej obfitują, niż w ojców narodu.

A więc pierwsze pytanie:

Co to jest płaca robocza i jak się ona określa?

Jeżeli ktokolwiek zapyta się robotników, jak wysoka jest ich płaca, otrzyma wtedy od jednego odpowiedź, że otrzymuje on dziennie markę od swego pracodawcy, drugi znowu odpowie, że otrzymuje on dwie marki i t. d.

Stosownie do tego, w jakiej gałęzi pracują, podawać oni będą rozmaite kwoty pieniężne, które otrzymują od swego pracodawcy za pewien określony przeciąg czasu, lub też za wykończenie pewnej określonej roboty, na przykład za utkanie łokcia płótna, lub za złożenie arkusza druku. Wszakże, jakkolwiek podawać będą sumy rozmaitej wysokości, wszyscy oni zgadzać się będą na jednym punkcie: że płaca robocza stanowią te pieniądze, które pracodawca daje robotnikowi za pewien określony czas roboczy lub za pewną określoną ilość roboty.

A zatem kapitalista kupuje ich pracę za pieniądze i za pieniądze sprzedają mu oni swą pracę. Kapitalista za te same pieniądze, za które kupił ich pracę, np. za dwie marki, mógłby kupić dwa funty cukru lub też jakiś inny towar. Zacy do pewnego określonego użytku Dwie marki, które on zapłacił za dwa funty cukru, stanowią

cenę dwóch funtów cukru. Dwie marki, które on płaci za 12 godzin pracy, stanowią cenę pracy dwunastogodzinnej. Praca więc jest towarem tak samo, jak jest nim np. cukier. Pierwszą mierzą na godziny, drugi — na wagę.

Towar swój — pracę — robotnicy wymieniają na towar kapitalisty — na pieniądze. Wymiana ta odbywa się w pewnym określonym stosunku: taka-to ilość pieniędzy — za taką-to ilość pracy. Za dwunastogodzinne tkanie — 2 marki. Czyż więc nie są te marki tem samem, co i każdy inny towar, który za nie nabyć można?

W ten sposób, robotnik w rzeczywistości wymienia swój towar, pracę, na najróżnorodniejsze towary, i wymieniał przytem w określonym stosunku. Kapitalista, wypłacając mu dwie marki, dał mu wzamian za jego dzień roboczy tyle a tyle mięsa, odzienia, drzewa, masła i t. d. Dwie marki przeto wyrażają stosunek, w jakim praca, wymienia się na inne towary, wyrażają one *wartość zmienną* pracy. Wartość zaś zmienna pewnego towaru, oszacowana w *złocie*, zowie się także jego *ceną*. *Płaca więc robocza* stanowi jedynie pewną szczególną nazwę dla *ceny pracy*, dla ceny tego specyficznego towaru, który wcielił się w ludzkie ciało i krew.

Wzamy jakiegokolwiekby robotnika np. tkacza. Pracodawca zapłacił go w warsztat i przedzie. Robotnik bierze się do roboty i przedzie zamienia w płótno. Pracodawca zabiera to płótno i sprzedaje je np. za 20 marek. Czy płaca tkacza jest *częścią tego płótna*, czy 20 marek, *częścią wytworu jego pracy*? Bynajmniej. Robotnik otrzymał już swą *płacę roboczą* o wiele wcześniej, aniżeli zostało sprzedane utkane przezeń płótno. Pracodawca wypłaca mu jego *płacę roboczą* nie z tych pieniędzy, które otrzyma dopiero po sprzedaniu płótna, ale z pieniędzy zapasowych. Jak warsztat i przedzie nie są wytworami tkacza, a są dostarczone przez pracodawcę, tak samo nie są jego wytworem te towary, które on otrzymuje w zamian za swój towar — za pracę. Może się zdarzyć, że pracodawca nie znajdzie wcale kupca na swoje płótno. Być może że mu się nawet nie zwróci ze sprzedaży płótna kosztu wyłożonego na *płacę roboczą*; albo też przeciwnie spienięży on je bardzo korzystnie w porównaniu z *płacą*, jaką wypłacił tkaczowi. Wszystko to nie a nie nie obchodzi tkacza. Za jedną część majątku swego, kapitału, kapitalista kupił surowy materiał — nici, i narzędzia pracy — warsztat tkacki, za drugą zaś część kupuje on pracę tkacza. Poczyniwszy te zakupy — a do nich należy też praca, konieczna dla wyrobienia płótna — przedsiębiorca przystępuje do fabrykacji z *należącymi* wyłącznie do niego *surowcami* i *narzędziami*. Samo się przez się rozumie, że do tych ostatnich zaliczyć trzeba i naszego tkacza, który też nie więcej posiada praw do pewnej części wytworu, lub jego ceny, niż tkacki warsztat.

A więc, *płaca robocza*, pobierana przez robotnika, bynajmniej nie stanowi jakiejś części wytworzonego przez niego towaru. *Płaca robocza* jest to pewna część już istniejącego towaru, za którą kapitalista nabywa określoną ilość wytworów.

A zatem, praca jest towarem. Kto jest jej właścicielem, najmita-robotnik, sprzedaje kapitalistowi. Dla czego go on sprzedaje? Ażeby — żyć.

Lecz praca jest pewnym przejawem działalności życiowej robotnika, jednym z przejawów jego życia. I tę to właśnie *działalność* sbrzedaje on kapitaliście, ażeby przez to zapewnić sobie *środki istnienia*. W ten więc sposób życiowa działalność jest dla robotnika tylko środkiem do życia. Pracuje, aby żyć. Praca nie stanowi dlań życia, a jest raczej przymusowem poświęceniem pewnej części życia. Jest to towar, który on ofiaruje komu innemu. Celem więc jego działalności bynajmniej nie jest wytwór jego pracy. Nie jedwab, który on tka, nie złoto, które on wydobył z kopalni i nie pałac, który on wznosił, ale coś innego wytwarza dla siebie robotnik. Dla siebie wytwarza on *płacę roboczą*, a jedwab, złoto, pałace są to dlań jedynie pewne ilości środków do życia: dlań zamieniają się one, być może, w bawełnianą kurtkę, miedzianą monetę, lub mieszkanie w suterynie. Robotnik tka, przedzie, świdruje, buduje, toczy, kopie, tłucze kamienie i t. d. dwanaście godzin dziennie; czyż jednak to dwunastogodzinne tkanie, przedzenie, świdrowanie, ciosanie, toczenie, kopanie, tłuczenie kamieni stanowi dlań przejaw jego życia, jako życia? Bynajmniej. Życie dla niego poczyna się wtedy, kiedy ta działalność ustaje, poczyna się przy stoliku, na ławie szynku, w łóżku. Dwunastogodzinna praca nie posiada w jego oczach żadnego sensu, jeżeli na nią spoglądamy, jako na tkanie, przedzenie, świdrowanie, i t. d., sensu ona nabiera, jeżeli będziemy ją rozpatrywać jako *zarobkowanie*, dające mu możność zasiąść za stołem, na ławie, rozciągnąć się w pościeli.



Gdyby jedwabnik tkał swą przędzę jedynie w celu zapracowania na swe utrzymanie jako gąsienica, wtedy byłby on prawdziwym najemnym robotnikiem.

Nie zawsze praca była towarem, nie była ona zawsze pracą najemną, t. j. niezawisłym towarem. Niewolnik nie sprzedaje swej pracy swemu panu, zarówno jak wół nie sprzedaje swej pracy właścicielowi. Niewolnik społem ze swą pracą raz na zawsze zostaje sprzedanym właścicielowi. Jest on towarem, który może z rąk jednego właściciela przechodzić w ręce drugiego. Sam on jest towarem, lecz jego praca nie jest jego własnym towarem. Poddany sprzedaje tylko część swej pracy, nie on to otrzymuje zapłatę od pana, a przeciwnie pan bardzo często pobiera odeń daninę. Poddany należy do ziemi i oddaje swemu panu plony swego pola. Przeciwnie wolny robotnik rozporządza sobą przy sprzedaży i przytem sprzedaje nie częściami. Z dnia na dzień sprzedaje on na licytacji

10, 12, 15 godzin swego życia najwięcej dającemu właścicielowi swych sił, narzędzi pracy i środków utrzymania t. j. kapitałowi. Robotnik nie należy do właściciela, nie jest on związany z gruntem, lecz codziennie 10, 12, 15 godzin należy do tego, kto je nabył. Robotnik dowolnie porzuca swemu sie był wynajął, a pracodawca odprawia go bez żadnej zażytki t. j. kiedy nie może już z niego zrobić użytku, lub też nie w takim stopniu, jakby sobie życzył. Robotnik, którego jedynym środkiem zarobkowania jest jego praca, nie może całej klasy nabywców t. j. kapitalistów porzucić bez narażenia się na śmierć głodową, on nie do tego lub owego kapitalisty, ale do całej klasy kapitalistów, a nadto na jego głowie leży wyszukanie kapitalistów kupca na siebie.

Wystąpimy do rozpatrzenia stosunku kapitału do pracy prześledzmy najogólniejsze stosunki, jakie napotykamy przy pracy robotniczej.

Pierwsza, jakiemuś to widzieli jest to cena pewnego szczebla — pracy. A zatem płaca robocza podlega tym samym prawom co i cena wszelkiego innego towaru. Pytanie zatem, czy wogóle cena towaru?



Od czego zależy cena towaru?

Zależy ona od konkurencyi pomiędzy nabywcami a sprzedawcami, od stosunku pokupu do podaży, zapotrzebowania do zaofiarowania. Konkurencyja, która stanowi o cenie towaru, jest trojaka.

Ten sam towar ofiarują rozmaici kupcy. Przy jednakowej dobroci towaru, kto go sprzedaje najtaniej, ten pokonywa pozostałych kupców i zapewnia sobie największy zbył. Sprzedawcy zatem współubiegają się pomiędzy sobą o zbyt, o rynek. Każdy z nich pragnie sprzedać, przytem sprzedać o ile można najwięcej i, ile tylko można, wyrugować z rynku pozostałych sprzedawców. Wskutek tego każdy stara się sprzedawać taniej od innych. Istnieje zatem pomiędzy sprzedawcami konkurencyja sprowadzająca obniżenie ceny ofiarowanych towarów.

Istnieje też konkurencyja i pomiędzy nabywcami, która ze swej strony wpływa na podniesienie ceny zaofiarowanych towarów.

Wreszcie istnieje konkurencyja między nabywcami i sprzedawcami; pierwsi pragną kupić jak najtaniej, drudzy — jak najdrożej sprzedać. Rezultat tej konkurencyi zależy będzie od stanowiska, jakie zajmą obie powyżej przytoczone współubiegające się strony, t. j. od tego, gdzie będzie większa konkurencyja: między sprzedawcami, czy między nabywcami. Przemysł wyprowadza do walki dwie wrogie sobie armie, w łonie których, wśród własnych ich szeregów wre bezustanna walka pomiędzy oddzielnymi grupami i jednostkami. Z dwóch wrogich obozów ta armia zwycięża, której wewnętrzna walka, w jej własnem łonie, jest mniej zacięta.

Przypuścmy, że na rynku wystawiono na sprzedaż 100 pak bawełny, wówczas, kiedy nabywcom potrzeba 1000 takich pak. W tym wypadku pokup będzie większy aniżeli podaż. Konkurencyja zatem pomiędzy nabywcami będzie nader silna, każdy z nich będzie się starał nabyć te całe 100 pak. Przykład ten nie jest bynajmniej dowolnem przypuszczeniem. Spotykamy w historii handlu okresy nieurodzajów bawełny, kiedy niektórzy kapitaliści zrywali się pomiędzy sobą i starali się zakupić nie 100 pak, a bawełnę z całej kuli ziemskiej. W przytoczonym powyżej przykładzie każdy z nabywców będzie się starał usunąć od kupna innych, wskutek czego ofiaruje on stosunkowo wysoką ceną za każdą pakę. Sprzedawcy baweł-

ny, widząc, że w łonie nieprzyjacielskiej armii wre zacięta walka, pewni, że rozprzedadzą całe 100 pak, będą ostrożnie postępować. aby się nie zawikłać w walkę wzajemną i nie obniżyć ceny bawełny wtedy, kiedy ich przeciwnicy współubiegają się pomiędzy sobą o jej podwyższenie. Odrazu więc w obozie sprzedawców zapanowała pokój. Jako *jeden* mąż trzymają się w obec nabywców, z filozoficznym spokojem założywszy ręce na krzyż, a ich żądania nie miały by granic, gdyby nie to, że same zaofiarowania najnatarczywszych nabywców mają swe nader określone granice.

A więc skoro podaż pewnego towaru jest mniejsza od pokupu, jaki nań istnieje, wtedy wśród sprzedawców nie ma walki konkurencyjnej, albo też jest ona nieznaczna. Jednocześnie ze zmniejszeniem się tej walki w łonie sprzedawców, wzrasta konkurencja w szeregach nabywców. Wynikiem tego jest mniej lub więcej znaczne podniesienie się ceny towarów.

Wiadomem jest, że częściej zdarza się naodwrot. Zazwyczaj dowóz znacznie przewyższa pokup; między sprzedawcami wre rozpaczliwa walka, nabywców jest niewiele, cena zaś towarów spada aż nie do uwierzenia.

Lecz cóż to oznacza zwyżka, zniżka cen? co to jest cena wysoka, cena niska? Ziarno piasku pod mikroskopem wyrasta na olbrzyma, wieża zaś jest niską w porównaniu z górą. A jeżeli cena określa się przez stosunek podaży do pokupu, to przez cóż właściwie się określa ten stosunek podaży do pokupu?

Zwróćmy się do pierwszego lepszego obywatela. Nie zawaha się on ani na chwilę i jakby drugi Aleksander Wielki odrazu rozetnie ten węzeł metafizyczny. Jeżeli produkujeja towaru, który sprzedaje, kosztuje mnie samego 100 marek, odpowie on nam, i jeżeli ze sprzedaży otrzymuję 110 marek, — oczywiście po upływie roku — wtedy mam uciechy, obywatelski, prawny procent. Jeżeli zaś ze sprzedaży otrzymam 120, 130 marek — będę miał nadzwyczajny, niezwyczajny zysk. A więc co naszemu obywatelowi służy za skalę do mierzenia zysków? Oto *koszta produkcji* jego towaru. Skoro przy wymianie tego towaru otrzymuje zań inne towary, których produkcja kosztowała mniej, wtedy traci. Przeciwnie zarabia on, jeżeli przy wymianie swego towaru, otrzymuje towary, których produkcja kosztowała więcej, niż produkcja jego towaru. Zniżkę zaś lub zwyżkę zysków glibicza on stosownie do ilości stopni, jakie wartość zamienna jego towaru zajmuje, powyżej lub poniżej zera skali, mianowicie: *kosztów produkcji*.

Widzieliśmy, że zmieniający się stosunek podaży do pokupu spowodowuje już to zwyżkę, już to zniżkę cen, zdradza to wysokie, to niskie ceny. Jeżeli z powodu niedostatecznej podaży lub nadmiernie wybujałego pokupu, cena pewnego towaru znacznie idzie do góry, wtedy z konieczności cena jakiegokolwiek bądź innego towaru (w porównaniu z naszym podnoszącym się w cenie towarem) musi spaść w odpowiednim stopniu; albowiem cena pewnego towaru wyraża w pieniądzu stosunek, w jakim się ten towar wymienia na trzeci. Jeżeli np. cena łócika tkaniny jedwabnej podnosi się z 5 na 6 marek, wtedy cena srebra spada względnie do ceny tkaniny jedwabnej, a zarazem cena wszystkich innych towarów, pozostałych przy dawniej cenie spada względnie do tkaniny jedwabnej. Przy

wymianie teraz trzeba dać większą ich ilość, aby otrzymać tę samą co i dawniej ilość towaru jedwabnianego. A jakim będzie wynik wzrostu ceny pewnego towaru? Otóż pewna suma kapitałów rzuci się do kwitnacej gałęzi przemysłu, i ta wędrownka kapitałów w dziedzinę uprzywilejowanej produkcji trwać będzie dopóty, dopóki będzie ona dawała zwykły procent, czyli raczej dopóki cena jej wytworów wskutek nadprodukcji nie spadnie.

Odwrotnie. Jeżeli cena pewnego towaru spada aż poniżej kosztów produkcji, wtedy kapitały wycofują się z gałęzi, wytwarzającej ten towar. Za wyjątkiem tego wypadku, kiedy pewna gałąź przemysłu przestała być na czasie, a więc musi zniknąć, za wyjątkiem więc tego wypadku, taka ucieczka kapitałów dopóty zmniejsza produkcję tego towaru t. j. jego podaż, dopóki ta podaż nie równa się z zakupem, a więc dopóki cena nie podniesie się znowu na wysokość kosztów produkcji czyli raczej dopóki pokup nie przewyższa podaży, t. j. dopóki jego cena znowu nie przeniesie kosztów produkcji, albowiem bieżąca cena towaru znajduje się *zawsze pod lub nad poziomem kosztów produkcji*.

Widzimy w jaki sposób kapitały wciąż wędrują z jednej dziedziny przemysłu do drugiej. Wysoka cena wywołuje zbyt silny przypływ, niska zaś zbyt silny odpływ.

Wychodząc z odmiennego punktu widzenia, moglibyśmy również wykazać, że nie tylko podaż, ale też i pokup określa się według kosztów produkcji. Ale to zbyt oddaliłoby nas od naszego przedmiotu.

Tylko co widzieliśmy, w jaki sposób wahania podaży i pokupu cenę towarów sprowadzają zawsze do kosztów produkcji. *Wprawdzie rzeczywista cena towaru zawsze znajduje się powyżej lub poniżej kosztów produkcji, ale zwyżka i zniżka nawzajem się znoszą*, tak że, obliczywszy w okresie pewnego przeciągu czasu przypływy i odpływy przemysłowe, zobaczymy, iż towary nawzajem się wymieniają odpowiednio do kosztów produkcji, a więc, iż cena ich określa się przez ich *koszta produkcji*.

To określanie ceny przez *koszta produkcji* nie trzeba brać w znaczeniu, używanem przez ekonomistów. Ekonomisci powiadają, że *przeciętna cena towarów* jest równą kosztom produkcji; to stanowi dla nich *prawo*. Anarchiczny ruch, w którym zniżka przez zwyżkę, a zwyżka przez zniżkę zostają zrównane, w ich oczach jest jedynie trafem. Z tą samą słusnością, jak to i czynią niektórzy ekonomisci, moglibyśmy na wahania spoglądać jako na prawo (ręcz podstawową), a określenie ceny przez *koszta produkcji* uważać za traf. Atoli, jedynie te wahania, które, jeżeli przypatrzymy się im zblizka, niosą za sobą najstraszniejsze spustoszenia i jak trzęsienia ziemi, wtrząsają mieszczańskim społeczeństwem w jego podstawach, tylko te wahania w swym przebiegu sprowadzają ceną na poziom kosztów produkcji. Ogólny bieg tego chaosu stanowi o swym własnym ładzie. Wśród biegu tej przemysłowej anarchii, w tym procesie kołowym, konkurencja, że tak powiemy, wygładza jedno odchylenie się przez drugie.

Widzimy więc: że cena pewnego towaru określa się przez *koszta jego produkcji* w ten sposób, że okresy, podczas których cena towaru wybiega po nad *koszta produkcji*, zostają wyrównanymi przez

okresy, kiedy spada ona poniżej kosztów produkcji i naodwrot. Oczywiście, tyczy się to nie oddzielnego jakiegoś wytworu przemysłowego, ale całej gałęzi przemysłu. Tyczy się więc to nie oddzielnych przemysłowców, ale całej klasy przemysłowców.

Określenie ceny przez kosztą produkcji jest to samo, co określenie płacy przez czas roboczy, niezbędny do wytworzenia pewnego towaru, albowiem kosztą produkcji składają się 1) z surowego materiału i narzędzi t. j. z wytworów, których wytworzenie kosztowało pewną sumę dni roboczych, a więc które sobą przedstawiają pewną określoną ilość dnia roboczego, i 2) z bezpośredniej pracy, której miernikiem jest czas.

Te same ogólne prawa, które rządzą wogóle ceną towarów, rządzą też, samo się przez się rozumie, *płacą roboczą, ceną pracy*.

Płaca robocza to się podnosi, to spada, stosownie do stosunku podaży do pokupu, stosownie do konkurencji pomiędzy nabywcami pracy — kapitalistami, a jej sprzedawcami — robotnikami. Wahańia się cen towarów w ogólnych zarysach odpowiadają wahanom płacy roboczej. *W obrębie jednak tych wahań, cena płacy określa się przez kosztą produkcji, przez czas roboczy, niezbędny dla wytworzenia tego towaru, pracy.*

Jakież więc są kosztą produkcji pracy samej?

Są to kosztą niezbędne do zachowania robotnika, jako robotnika i do ukształtowania żeń robotnika.

Im mniej czasu praca potrzebuje do swego wykształcenia, tem mniejszymi są kosztą pracy, tem niższą jest jej cena, jej wynagrodzenie. W tych gałęziach przemysłu, gdzie na naukę nie potrzeba prawie żadnego czasu i gdzie dość jest posiadać siłę do pracy, tam kosztą produkcji pracy ograniczają się prawie wyłącznie do tych towarów, które są niezbędne dla zachowania pracy przy życiu. *Cena więc pracy określa się przez cenę niezbędnych środków utrzymania.*

Do tego przyłącza się jeszcze druga okoliczność. Fabrykant, obliczając kosztą produkcji i normując odpowiednio do nich cenę wytworów, wlicza też zużycie się maszyn. Jeżeli np. pewna maszyna kosztuje go 1000 marek i zużywa się w przeciągu lat dziesięciu, wtedy wklucza on 100 marek rocznie do ceny towarów, aby w ten sposób po upływie lat dziesięciu zastąpić zużytą maszynę przez nową. W ten sam sposób do kosztów produkcji zwykłej pracy trzeba zaliczyć kosztą, idące na rozmnażanie, dzięki którym to kosztom rasa robotników może się rozplądzać i zużytych robotników zastępować przez nowe siły. A więc zużycie się robotnika obliczamy w ten sam sposób jak zużycie się maszyn.

Kosztą produkcji zużytej pracy zawierają w sobie *kosztą utrzymania i rozplądzenia się robotnika*. Cena tych kosztów utrzymania i rozplądzenia stanowi *płacę roboczą*. W ten sposób określona płaca robocza zowie się *minimalną płacą roboczą*. Ta minimalna płaca stosuje się, jak to też ma miejsce przy określaniu ceny towarów przez kosztą produkcji, nie do oddzielnych osobników, ale do całego gatunku. Oddzielny robotnik, całe miliony robotników, nie otrzymują nawet płacy, wystarczającej na utrzymanie i rozplądzenie; ale *płaca robocza całej klasy robotniczej, w granicach swych wahań, równa się temu minimum.*

Teraz kiedy uświadomiliśmy sobie najogólniejsze prawa, rządzące tak *płacą roboczą, jak też ceną wszelkiego innego towaru, możemy drobniawiej zbadać swój przedmiot.*

Kapitał składa się z *materjałów surowych, narzędzi pracy i środków spożywczych wszelkiego rodzaju, użytych do wytworzenia nowych materjałów surowych, nowych narzędzi pracy i nowych środków pożywienia*. Wszystkie te części składowe stanowią *twór pracy, jej wytwory, nagromadzoną pracę*. Nagromadzona praca, służąca jako środek do dalszej produkcji, stanowi *kapitał*.

Tak twierdzą ekonomisci.

Czem jest niewolnik-murzyn? Człowiekiem czarnej rasy. Jedno objaśnienie warte drugiego.

Murzyn jest murzynem. Dopiero przy pewnych warunkach staje się on niewolnikiem. Maszyna do przędzenia bawełny jest maszyną do przędzenia bawełny — nie nadto. Staje się ona kapitałem dopiero przy pewnych warunkach. W oderwaniu od tych warunków tyleż jest ona kapitałem, ile *złoto* samo w sobie pieniędzmi, a cukier — ceną kukru.

Wytwarzając, człowiek ma do czynienia nie tylko z przyrodą. Wytwarza on, działając w pewien określony sposób, i wymieniając nawzajem swą działalność. By wytwarzać, ludzie wchodzą w określone stosunki i związek pomiędzy sobą, i jedynie w granicach tych stosunków i tego związku przejawia się ich stosunek do przyrody, powstaje produkcja.

Oczywiście, odpowiednio do właściwości środków produkcji, różnią się też te społeczne stosunki, w jakie wchodzą pomiędzy sobą wytwórcy, te warunki, na jakich wymieniają oni swe wytwory i uczestniczą w ogólnym biegu produkcji. Wynalazek nowego narzędzia walki, palnej broni np., zmienia z konieczności całą organizację armii, przekształca też stosunki pomiędzy osobnikami, stanowiącymi armię i działającymi jako armija, nareszcie zmienia do siebie stosunek różnych armij.

Społeczne stosunki, wewnątrz których idzie produkcja, zmieniają się, przekształcają odpowiednio do zmian i rozwoju materjalnych środków produkcji, sił wytwórczych. Ogół stosunków produkcji stanowi to, co zwiemy stosunkami społecznymi, społeczeństwem, i do tego społeczeństwem określonej, historycznej formacji, społeczeństwem, posiadającym właściwe sobie charakterystyczne cechy. Społeczeństwo starożytne, feudalne, mieszczańskie — oto takie grupy stosunków produkcji; z nich każda stanowi szczególną fazę rozwojową w dziejach ludzkości.

Kapitał jest również społecznym stosunkiem produkcji. *Jest on stosunkiem społecznym mieszczańskiej produkcji, mieszczańskiego społeczeństwa. Środki utrzymania, narzędzia pracy, materjały surowe — czyli wszystko to, co składa kapitał, nie zostało wytworzonem i uciętą przy określonych społecznych warunkach, określonych społecznych stosunkach? Czyż nie zostaje to wszystko użytym do dalszej produkcji przy określonych społecznych stosunkach, na określonych społecznych warunkach? I czyż ten określony społeczny charakter nie czyni wytworów, służących do dalszej produkcji, kapitałem?*

Kapitał stanowią nie tylko środki spożywcze, narzędzia pracy i

materyjał surowy, nie tylko materyjalne wytwory lecz również stanowi go i *wartość zamienna*. Wszystkie wytwory, z których on się składa, są *towarami*. Kapitał zatem jest to nie tylko suma materyjalnych wytworów, jest nim również suma towarów wartości zamiennych, *wielkości społecznych*.

Kapitał pozostanie bez zmiany, jeżeli zamiast wełny weźmiemy bawełnę, zamiast zboża — ryż, zamiast kolei żelaznych — parostatki, atoli przy tem założeniu, że bawełna, ryż, parostatki — te wcielenia kapitału — posiadają tę samą wartość zamienną, tę samą cenę co i wełna, zboże, koleje żelazne pod postacią których poprzednio on bytował. Podścielisko kapitału może się bezustannie zmieniać, nie wywołując bynajmniej najmniejszej w nim samych zmiany.

Lecz jeżeli wszelki kapitał składa się z sumy towarów, t. j. wartości zamiennych, to jednak nie każda suma towarów wartości zamiennych stanowi kapitał.

Każda suma wartości zamiennych jest wartością zmienną. Każda pojedyncza wartość zamienna jest sumą wartości zamiennych. Np. dom wartujący 1000 marek stanowi zamienną wartość 1000 marek. Kawałek papieru, wartujący 1 grosz stanowi sumę 100 wartości zamiennych, równych każda setnej części grosza. Wytwory wymienialne na inne, są towarami. Ten stosunek, w jakim mogą być one pomiędzy sobą wymieniane, określa ich wartość zamienną, cenę zaś — jeżeli wyrazimy go w pieniądzech. Ilość tych wytworów nie zmienia ich przeznaczenia: być towarami lub stanowić wartości zamienne, lub też wreszcie mieć pewną określoną cenę. Drzewo, czy jest ono małym, czy dużym, jest zawsze bądź co bądź drzewem. Czyż żelazo dlatego, że się wymienia na inne towary nie łutami, a centnarami, traci wskutek tego swój charakter towaru, czyż przestaje być wartością zmienną? Od ilości zależy jedynie mniejsza lub większa wartość towaru, wyższa lub niższa jego cena.

Jakże więc suma towarów, wartości zamiennych, staje się kapitałem?

Staje się ona kapitałem przez to, że jako samodzielna siła społeczna t. j. jako siła, będąca w posiadaniu pewnej części społeczeństwa wzrasta i pomnaża się przez wymianę na bezpośrednią ludzką pracę. Istnienie klasy, nie nie posiadającej oprócz zdolności do pracy, jest koniecznym warunkiem istnienia kapitału.

Tylko panowanie nagromadzonej dawniej, skryształizowanej pracy nad bezpośrednią żywą pracą zamienia tę skryształizowaną pracę w kapitał.

Kapitał nie na tem polega, że nagromadzona dawniej praca może służyć żywej pracy jako środek do nowej produkcji. Nie. Zasadza się on na tem, że żywa ludzka praca służy pracy nagromadzonej, jako środek do zachowania i pomnażania wartości zamiennej tej ostatniej.

Co ma miejsce przy wymianie pomiędzy kapitałem a pracą najemną?

Robotnik w zamian za swą pracę otrzymuje środki do życia, kapitalista wzamian za swe środki do życia otrzymuje pracę, wytwórczą działalność, tworząc siłę, za pomocą której robotnik nie tylko zwraca to, co spożył, ale skryształizowanej pracy nadaje jeszcze większą wartość, niż ją posiadała ona przedtem. Robotnik otrzymu-

je część istniejących środków do życia od kapitalisty. Do czego mu służą te środki? Do bezpośredniego spożycia. Lecz skoro raz spożyje pewne środki do życia, wtedy są one dla niego niepowrotnie stracone, chyba że czas, w przeciągu którego mu te środki utrzymują przy życiu, użyje na wytworzenie nowych środków do życia, na zastąpienie spożytych wartości przez, nowe wytworzone mą pracą. Lecz tę to twórczą, szlachetną siłę odstepuje robotnik kapitałowi wzamian za otrzymane środki do życia. Jest ona więc dlań samego straconą raz na zawsze.

Weźmy przykład: dzierżawca płaci swemu najemnikowi jeden złoty dziennie. Za tę złotówkę najemnik pracuje na polu dzierżawcy przez dzień cały i zapewnia mu dochodu 2 złote. Dzierżawca otrzymuje nie tylko tę wartość, którą dał najemnikowi lecz podwójną. A zatem tę złotówkę, którą wypłacił najemnikowi spożył on w sposób produkcyjny, korzystny. Za złotówkę nabył on pracę i siłę najemnika, a one zrodziły wytwór wolny, posiadający dwa razy większą wartość t. j. z jednej złotówki zrobiły dwie. Najemnik zaś za wynajętą dzierżawę siłę wytwórczą otrzymuje złotówkę, którą po dłuższym lub krótszym przeciągu czasu spożywa. A zatem złotówka zostaje spożyta dwojakim sposobem: w sposób produkcyjny dla kapitału, ponieważ została wymieniona na siłę roboczą, wytwarzającą 2 złote; w sposób zaś nieprodukcyjny dla robotnika, ponieważ ten ją wymieniał na środki do życia, dlań raz na zawsze stracone i które on może znowu otrzymać jedynie przez zawarcie nowej wymiany z dzierżawcą. *Kapitał zatem przypuszcza istnienie pracy najemnej, praca najemna przypuszcza istnienie kapitału. Oba te pojęcia wzajemnie od siebie zależą, wzajemnie się uzupełniają.*

Czy robotnik na fabryce wyrobów bawełnianych wytwarza jedynie tylko tkaninę? Nie, wytwarza on jeszcze kapitał. Wytwarza on wartości, które znowu posłużą ku dalszemu ujarzmianiu jego pracy jak też wytwarzaniu nowych wartości.

Kapitał może wzrastać jedynie przez wymianę na pracę, przez powołanie do życia pracy najemnej. Praca najemna może być tylko na kapitał wymienioną, powiększając przytem i potęgując siłę kapitału, którego jest ona niewolnicą. *Wzrost kapitału jest zatem wzrostem proletaryjatu t. j. klasy robotniczej.*

Z tego względu interesy kapitalisty i robotnika są identycznymi — twierdzi burżuazja i jej uczeni ekonomiści. I zaprawdę! robotnik ginie, jeżeli go kapitał nie zatrudnia. Kapitał, nie wyzyskując pracy, znowu marnieje, a aby mózdz ją wyzyskiwać, musi ją kupować. Im bardziej zatem wzrasta przeznaczony na produkcję kapitał, kapitał wytwórczy, im bardziej rozwinęty jest przemysł, tem bardziej poszukiwanym jest przez kapitalistę robotnik, tem drożej sprzedaje on swą siłę roboczą.

Niezbędnym zatem warunkiem znośnego choćby położenia robotnika jest o ile można szybki wzrost wytwórczego kapitału.

Lecz na czem zasadza się wzrost wytwórczego kapitału? Wzmocnienie siły władzy wywieranej przez nagromadzoną pracę nad żywą pracą? Oto potęgowanie się panowania burżuazji nad klasą robotniczą. Najmota, wytwarzając panując nad niem cudze bogactwo, siłę sobie wroga, kapitał, otrzymuje od niego zajęcie t. j. środki do życia.

pod warunkiem, że będzie on też i nadal stanowił część kapitału, nową dźwignię, przyspieszającą wzrost kapitału.

Twierdzenie, że *interesy kapitału i interesy robotników są te same*, poprostu oznacza, że *kapitał i praca najemna są to dwiestronny tego samego stosunku*. Jedna jest nieodłączną od drugiej, tak samo jak *istnienie lichwiarza jest nieodłącznem od istnienia marnotrawcy*.

Dopóki praca najemna pozostaje najemną pracą, dopóty jej losy zależą od kapitału. To stanowi właśnie osławioną wspólność interesów robotnika i kapitalisty.

Równolegle do wzrostu kapitału wzrasta ilość pracy najemnej, większa się liczba najmitów, jednym słowem: panowanie kapitału rozszerza się na większą liczbę jednostek. Wyobraźmy sobie najpomyślniejszy wypadek, mianowicie kiedy równolegle do wzrostu wytwórczego kapitału, wzrasta pokup na pracę, wzrasta zatem cena pracy—płaca.

Dom może być wielkim lub małym; ale dopóki otaczające go domy będą również małymi, dopóty będzie odpowiadał wszystkim wymaganiom społecznym odnośnie do mieszkań. Lecz niech się wznieśnie obok niego pałac, a mały dom natychmiast zejdzie do poziomu lepianki. Mały dom będzie teraz dowodził, że jego właściciel nie ma, żadnych wymagań lub tylko nadzwyczaj nieznaczne, i przypuścimy nawet, że z postępem cywilizacji domek stał się dwa razy większym, atoli, jeżeli jednocześnie sąsiedni pałac powiększa się w tym samym lub jeszcze większym stopniu, wtedy mieszkaniowiec stosunkowo małego domu zawsze będzie się czuł nieszczęśliwym, niespokojnym i uciśniętym pomiędzy swemi czterema ścianami.

Cokolwiek znaczniejsze podnoszenie się płacy robotniczej każe przypuszczać szybkie wzrastanie wytwórczego kapitału, szybki zaś wzrost wytwórczego kapitału sprowadza znowu szybki wzrost bogactw, zbytków, potrzeb i uciech społecznych. A zatem jakkolwiek uciechy życia dla robotnika powiększyły się, wszakże dostarczane przez nie zaspakajanie potrzeb społecznych zmniejszyło się w stosunku tak do wzrostu uciech kapitalisty, niedostępnych dla robotnika, jak też wogóle do stopnia rozwoju społecznego. Nasze potrzeby i uciechy rodzi same społeczeństwo; mierzymy je przeto za pomocą skali zaczerpniętej w społeczeństwie, a nie za pomocą przedmiotów służących do ich zaspokojenia. Ponieważ są one pochodzenia społecznego, przeto pozostają zawsze względnymi.

Wogóle płaca robotcza określa się nie tylko ilością towarów, jakie za nią można otrzymać. Posiada ona i inne strony.

Przedewszystkiem za swoją pracę robotnik otrzymuje określoną sumę pieniędzy. Czy płaca robotcza określa się tylko przez tę wartość pieniężną?

Wskutek odkrycia Ameryki w XVI wieku powiększyła się ilość kursującego w Europie złota i srebra; przez co ich wartość spadła w porównaniu z innymi towarami, wówczas gdy robotnicy otrzymywali za swoją pracę bez żadnej różnicy tę samą ilość srebrnej monety. W pieniądzu cena pracy robotnika pozostała tą samą, mimo tego wszakże płaca robotcza spadła, ponieważ przy wymianie za tę samą ilość srebra zaczął on otrzymywać mniejszą ilość innych towarów. Było to właśnie jedną z okoliczności, które się przyczyniły do wzrostu kapitału i wzmocnienia się burżuazji XV. wieku.

Weźmy inny przykład. Podczas zimy 1847 r. wskutek nieurodzaju, znacznie podrożały najniezbędniejsze przedmioty do życia: zboże, mięso, masło, ser itd. Przypuścimy, że za swoją pracę robotnicy otrzymywali teraz taką samą ilość pieniędzy jak i przedtem. Czyż ich płaca robotcza nie spadła? Oczywiście, że spadła. Za te same pieniądze otrzymują oni przy wymianie mniej chleba, mięsa itd. Ich płaca robotcza spadła nie dla tego że się zmniejszyła wartość zamien-na srebra, lecz wskutek tego, że podniosła się cena środków niezbędnych do życia.

Przypuścimy nareszcie, że w pieniądzu cena pracy pozostaje tą samą, rolne zaś i fabryczne wytwory wskutek wynaleźcia nowej maszyny, dobrego urodzaju itd. spadły w cenie. Za tę samą kwotę pieniędzy mogą robotnicy obecnie nabyć więcej wszelkiego rodzaju towarów. W ten sposób ich płaca robotcza podniosła się właśnie dzięki temu, że jej cena w pieniądzu nie uległa zmianie.

A więc cena pracy w pieniądzu czyli nominalna płaca robotcza nie zmienia się równolegle z realną płacą robotczą t. j. z tą sumą towarów, którą w rzeczywistości otrzymujemy przy wymianie za płacę robotczą. Dla tego też, mówiąc o podwyższaniu się i spadaniu płacy robotniczej, powinniśmy zawsze mieć na względzie nie tylko cenę pracy w pieniądzu, ale też i nominalną płacę robotczą.

Lecz ani nominalna płaca robotcza t. j. ta kwota pieniędzy, za którą robotnik sprzedaje się kapitaliście, ani realna płaca robotcza t. j. ta suma towarów, które on może za te pieniądze nabyć, nie wyczerpują pojęcia płacy robotniczej.

Przedewszystkiem płaca robotcza określa się przez swój stosunek do dochodów, do zysku kapitalisty; mówimy więc o względnej odnośnej płacy robotniczej.

Realna płaca robotcza określa cenę pracy w stosunku do ceny pozostałych towarów, względna zaś płaca robotcza określa cenę bezpośredniej pracy w stosunku do ceny nagromadzonej pracy, — względną wartość pracy najemnej i kapitału, wzajemny zamienny stosunek kapitalisty do robotnika.

Realna płaca robotcza może pozostać bez zmiany, może się nawet podnieść, a wszakże względna płaca robotcza spaść może. Przypuścimy np., że wszystkie środki do życia spadły w cenie o $\frac{2}{3}$, podczas kiedy płaca dzienna tylko o $\frac{1}{3}$ się zmniejszyła np. z 3 na 2 marki. Chociaż robotnik może teraz za te dwie marki większą ilość towarów nabyć, aniżeli poprzednio za 3, jednakże jego płaca robotcza odnośnie do zysku kapitalisty spadła. Zysk kapitalisty (dajmy nato fabrykanta) powiększył się o jedną markę, t. j. za mniejszą ilość wartości zamiennych, jaką wypłaca on robotnikowi, ten ostatni musi wytworzyć większą niż poprzednio ilość wartości zamiennych. Wartość kapitału w porównaniu z wartością pracy podniosła się. Podział bogactwa społecznego pomiędzy kapitał a pracę stał się jeszcze nierówniejszym. Kapitalista z tym samym kapitałem opanował większą ilość pracy. Władza klasy kapitalistów nad klasą robotniczą wzmożła się, a społeczne położenie robotnika pogorszyło się, spadło ono o jeden stopień niżej w stosunku do położenia kapitalisty.

Jakiem więc jest prawo, określające podnoszenie się i spadanie płacy najemnej i zysku w ich wzajemnym stosunku?

Oto: Znajdują się one względem siebie w odwrotnym stosunku.

Zamienna wartość kapitału, zysk podnosi się w tym samym stosunku, w jakim spada zamienna wartość pracy, płaca dzienna i odwrotnie.

Zysk powiększa się w tym samym stopniu, w jakim płaca robocza spada i naodwrot.

Uczynia mi być może zarzut, że kapitalista może otrzymywać większe zyski wskutek korzystniejszej wymiany swego towaru na towary innych kapitalistów, wskutek zwiększenia się popytu na jego towar, czyto dla tego, że się nowy nań zjawił rynek, czy też, że na starych rynkach powiększył się obdyt itd., że zatem zyski kapitalisty mogą się powiększyć kosztem innych kapitalistów, niezależnie od podnoszenia się lub spadania płacy roboczej, zamiennnej wartości pracy; że nareszcie zysk kapitalisty może się powiększyć wskutek ulepszenia narzędzi pracy, wskutek nowego zastosowania sił natury i t. d.

Przedewszystkiem musimy zaznaczyć, że tu wszystkie drogi prowadzą do tego samego rezultatu. Wprawdzie zyski wzrosły nie wskutek obniżenia się płacy roboczej, ale za to ta ostatnia spadła wskutek wzrostu zysków. Za tę samą ilość pracy kapitalista nabywa większą ilość wartości zamiennych, nie płacąc przytem drożej za pracę, t. j. praca taniej obecnie jest opłacana w porównaniu do czystego zysku, jakie ona daje kapitaliście.

Nadto przypomnijmy sobie, że bez względu na ciągłe wahania się cen towarów przeciętna cena każdego towaru, stosunek, w jakim on się wymienia na inne, określa się *kosztami* jego produkcji. A więc wahania się cen nieodzownie wyrównują się nawzajem dla całej klasy kapitalistów. Ulepszenie maszyn, nowy sposób zastosowania sił przyrody do przemysłu, pozwalają w przeciagu tego samego czasu roboczego z taką samą ilością pracy i kapitału na otrzymanie większej ilości wytworów ale bynajmniej nie większej ilości wartości zamiennych. Jeżeli wskutek wynalezenia maszyny do przedzenia mogą otrzymać w godzinę dwa razy więcej przędzy, aniżeli przed jej wynalezieniem, np. 100 funtów zamiast 50, to przy wymianie za te 100 funtów otrzymam nie więcej towarów, aniżeli dawniej za 50, ponieważ kosztu produkcji spadły o połowę, czyli że przy tych samych kosztach mogą otrzymać dwa razy więcej wytworu.

Nareszcie bez względu na stosunek, w jakim klasa kapitalistów, burżuazyja, czy to jednego kraju, czy też świata całego, dzieli między sobą czysty zysk produkcji, zawsze jednak ogólna suma tego czystego zysku pozostaje ta sama, o jaką w ogóle powiększyła nagromadzoną pracę praca bezpośrednia. A zatem ta ogólna suma wzrasta w tym samym stosunku, w jakim praca powiększa kapitał, t. j. w stosunku, w jakim zysk przenosi płacę roboczą.

Nie wychodząc nawet po za granice stosunku kapitału i pracy najemnej, widzimy więc, że interesy kapitału i pracy najemnej są wprost sobie przeciwe.

Szybki wzrost kapitału znaczy to samo, co szybki wzrost zysku. Zysk zaś wtedy tylko może szybko wzrastać, jeżeli wartość zamienną pracy, jeżeli względną płacę roboczą odpowiednio szybko spada. Względna płaca robocza może spaść, jakkolwiek jednocześnie realna i nominalna płaca robocza, cena pieniężna pracy podnosić się będzie, ale nie w tym samym stosunku, co zysk. Jeżeli np. przy pomyślnym stanie interesów płaca robocza podniesie się o 5 %, a zysk o

30 %, to odnośna względna płaca robocza *nie podniosła się, a spadła*

Jeżeli więc dochody robotnika powiększają się przy szybkim wzroście kapitału, to jednocześnie powiększa się też przepaść społeczna, oddzielająca robotnika od kapitalisty, wzrasta również panowanie kapitału nad pracą, zależność pracy od kapitału.

W interesie robotnika leży szybki wzrost kapitału; innemi słowy to znaczy, że im szybciej pomnaża robotnik cudze bogactwo, tem tłuściejsze dostają mu się okrucy, tem większa ilość robotników może być powołana do życia i zatrudniona w przemyśle, tem szybciej może powiększać się ilość niewolników kapitału.

Widzieliśmy zatem: że *najpomysłniejsza* nawet dla klasy robotników sytuacja, mianowicie możliwie szybki wzrost kapitału, jakkolwiek polepsza materyjalny byt robotnika—jednakże nie usuwa sprzeczności pomiędzy jego interesami a interesami burżuazyi, kapitalistów. Po wszystkie czasy *zysk i praca robocza znajdują się do siebie w odwrotnym stosunku.*

Jeżeli kapitał szybko wzrasta to może też wzrastać i płaca robocza, lecz bez porównania szybciej wzrasta zysk kapitału. Materyjalny byt robotnika polepsza się, lecz polepsza się kosztem jego społecznego stanowiska. Społeczna przepaść, która go dzieli od kapitalisty jeszcze się bardziej rozszerza.

Nareszcie:

Możliwie szybki wzrost wytwórczego kapitału jest najbardziej sprzyjającą okolicznością dla pracy najemnej; innemi słowy: im szybciej klasa robocza pomnaża i powiększa wroga jej siłę, cudze panujące nad nią bogactwo, tem w lepszych warunkach bierze się ona do pracy nad nowem pomnażaniem mieszczańskiego bogactwa, nad powiększeniem władzy kapitału, a do pracy bierze się chętnie uszczęśliwiona, że choć może kuć na siebie samą złote kajdany w jakich ją wlecze za sobą burżuazyja.

Lecz czyż rzeczywiście wzrost wytwórczego kapitału i podniesienie się płacy roboczej są tak nierozdzielnie ze sobą związane, jak utrzymują ekonomiści burżuazyi? Nie możemy im uwierzyć na słowo, nie możemy im nawet w tem dowierzać, że im tłustszym jest kapitał, tem lepiej mają się jego niewolnicy. Burżuazyja zbyt jest wykształcona, zbyt dobrze rachuje, aby miała podzielać przesady pana feudalnego, który stara się błyszczyć okazałością swej służby. Same warunki jej istnienia każą się jej rachować.

A zatem musimy bliżej zbadać:

Jaki wpływ wywiera wzrost kapitału wytwórczego na płacę roboczą?

Jeżeli kapitał wytwórczy burżuazyjnego społeczeństwa w ogólnej całości wzrasta, wtedy następuje *wszechstronniejsze* nagromadzanie pracy. Liczba i bogactwo kapitalistów powiększa się. *Zwiększanie się liczby kapitalistów powiększa konkurencyją pomiędzy kapitalistami. Wzrost rozmiarów kapitału daje środki do wyprowadzenia na pole przemysłowej walki silniejszych i lepiej uzbrojonych zastępów roboczych.*

Jeden kapitalista może drugiego zwyciężyć i zawładnąć jego kapitałem, jedynie taniej sprzedając. Ażeby zaś móżd taniej sprzedawać, nie rujnując się, musi on taniej wytwarzać, t. j. o ile można podnieść wytwórczą siłę robotnika. Wytwórczość zaś pracy podnosi się prze-

dewszystkiem wskutek zaprowadzenia *większego podziału pracy*, wskutek wszechstronniejszego zastosowania i ciągłego ulepszenia *maszyn*. Im mniejjszemi są zastępy robotnicze, pomiędzy którymi rozdziela się praca, im rozleglejsza jest dziedzina, do której zastosowaniami są maszyny, tem bardziej zmniejszają się koszty produkcji, tem bardziej wytworczą staję się praca. Pod wpływem tych czynników kapitaliści jeden przez drugiego współubiegają się, by powiększyć podział pracy, ulepszenie maszyn i zastosować je w jak najszerszych rozmiarach.

Jeżeli wskutek większego podziału pracy, wskutek korzystniejszego i rozleglejszego zużytkowania sił przyrody, pewien kapitalista zyskuje możność wytwarzania przy pomocy tej samej ilości pracy, t. j. nagromadzonej pracy, większej ilości wytworów, aniżeli jego współzawodnicy; jeżeli może on np. utkać cały łokieć płótna w przeciągu tego samego czasu roboczego, jakiego jego współzawodnicy potrzebują dla utkania pół łokcia, co wtedy uczyni ten kapitalista?

Mógłby on i nadal sprzedawać pół łokcia płótna po dawnej cenie; lecz w takim razie nie miał by on środka do usunięcia z rynku swych współzawodników i do powiększenia zbytu swego towaru. Atoli w miarę wzrostu jego produkcji wzrasta i potrzeba rozleglejszego rynku. Potężniejsze i kosztowniejsze środki produkcji, jakie on zastosował, *pozwalają* mu wprowadzić taniej swoje towary sprzedawać, lecz zarazem zmuszają go do *sprzedawania większej ilości towarów* i wyszukania szerszego rynku dla swoich wytworów; wskutek czego nasz kapitalista sprzedawać będzie pół łokcia płótna taniej, aniżeli jego współzawodnicy.

Lecz kapitalista nie będzie sprzedawać całego łokcia płótna za tę samą cenę, za jaką jego współzawodnicy sprzedają pół łokcia, jakkolwiek wyprodukowanie całego łokcia płótna nie więcej go kosztuje, aniżeli innych—pół łokcia. W przeciwnym razie jedynie wróciłby mu się przy wymianie kosztu produkcji—nie nadto. Powiększenie się jego dochodu pochodziłoby z puszczenia w obieg większego kapitału, atoli bynajmniej nie ztąd, iż ten jego kapitał miałby większe zyski przynosić, aniżeli u innych. Zresztą dopnie on swego celu nakładając na swoje towary cenę o kilka procentów mniejszą—aniżeli jego współzawodnicy. Zwalcza on ich na rynku, lub przynajmniej odbiera im część kundmanów przez obniżenie ceny. Przypomnijmy sobie nareszcie, że bieżąca cena towaru stoi zawsze *powyżej lub poniżej kosztów produkcji*, stosownie do tego, czy jego sprzedaż przypada na pomyślne lub też niepomyślne dla produkcji czasy. Odpowiednio zatem do tego, czy na rynku cena łokcia płótna stoi wyżej lub poniżej zwykłych kosztów produkcji, będzie się zmieniać i procent, o jaki będzie brał więcej po nad rzeczywiste swe koszty produkcji kapitalista, zastosowujący nowe korzystne środki produkcji.

Jednakże przywilej naszego kapitalisty trwa nie długo, pozostali współzawodniczący kapitaliści wprowadzają te same maszyny, ten sam podział pracy, wprowadzają je w takich samych lub jeszcze większych rozmiarach, i te to ulepszenia stają się tak powszechnymi, że cena płótna spada nie tylko *poniżej dawnych*, lecz nawet *poniżej nowych kosztów produkcji*.

Kapitaliści znajdują się więc obecnie w takim samym położeniu, w jakim się znajdowali *przed* wprowadzeniem nowego środka pro-

dukcji, i jeżeli środek ten pozwala im za tę samą cenę dostarczać podwójną ilość wytworu, to zmuszeni są oni *teraz* dostarczać podwójną tę ilość wytworów za mniejszą niż dawniej cenę. Z tymi nowymi kosztami produkcji powtarza się stara historia. Zostaje zaprowadzony większy podział pracy, większa ilość maszyn, rozleglejsze zastosowanie, a wszystko to sprowadza większe wyzyskanie podziału pracy i narzędzi. I wskutek tych samych przyczyn konkurencja też ten sam wydaje rezultat.

Widzimy zatem, przez jakie zmiany i rewolucyje przechodzą środki i sposoby produkcji, *jak podział pracy nieodzwrotnie pociąga za sobą jeszcze większy podział pracy, zastosowanie maszyn—nowe, jeszcze większe ich zastosowanie, a produkcja na szerszą skalę—produkcję w jeszcze szerszych rozmiarach*.

Jest to prawo, spychające ciągle produkcję burżuazyjną ze starego toru i zmuszające kapitał do doprowadzenia wyzysku wytwórczości pracy aż do ostateczności, prawo, które nie daje ani chwili spokoju i bezustannie woła: *naprzód! naprzód!*...

Jest to samo prawo, które w granicach wahań, właściwych okresom handlowym, cenę towarów nieodzwrotnie *sprowadza do kosztów produkcji*.

Chociażby więc kapitalista wyprowadzał do walki jak najbardziej olbrzymie środki produkcji, wszakże konkurencja środki te upowszechnia, i z chwilą, kiedy się stają one powszechnymi, jedynym następstwem zwiększenia się wytwórczości kapitału będzie to, że kapitalista będzie obecnie *za tę samą cenę* dostarczać 10, 20, 100 razy więcej towarów, niż dawniej. Lecz on przytem być może 1000 razy więcej sprzedąć musi, by za pomocą zwiększenia ilości sprzedanego towaru wynagrodzić sobie niższą cenę; koniecznością jest dlań bowiem, większy zbyt, nie tylko dla osiągnięcia zysku, lecz także dla zwrotu kosztów produkcji — same bowiem narzędzia produkcji, jakieśmy widzieli, wciąż drożeją. Ponieważ zaś ten olbrzymi zbyt nie tylko dlań jednego stanowi kwestyją życia, ale też i dla jego współzawodników, wybucha więc stara walka i z *tem większą ciętością, im bardziej wytwórczemi są wynalezione już środki produkcji*. A zatem podział pracy i zastosowanie maszyn rozwijać się będzie *na nowo w bez porównania większych rozmiarach*.

Konkurencja więc zawsze, bez względu na ogrom zastosowanych środków wytwórczych, będzie dążyła do wydarcia kapitałowi złotych owoców, sprowadzając cenę towarów do kosztów produkcji, dążąc do wytwarzania tej samej ilości o ile można najtaniej t. j. do wytwarzania więcej wytworu za pomocą tej samej ilości pracy, i w ten sposób konkurencja czyni tańszą produkcję i zaoferowanie większej ilości towaru za dawną cenę obowiązującym prawem. Kapitalista więc, pomimo swych wysiłków, nie wygrał nie oprócz obowiązku dostarczania więcej wytworu w tym samym czasie roboczym, jednym słowem stworzył sobie *trudniejsze warunki do pomnażania swego kapitału*. Ponieważ konkurencja przesładuje go ciągle swem prawem kosztów produkcji i każda broń, którą on ukuje przeciw swym rywalom, obraca przeciwko niemu samemu przeto stara się on nieustannie uśpić jej czujność, wprowadzając w tym celu z konieczności na miejsce dawniejszych nowe, chociaż kosztowniejsze, ale za to taniej produkujące maszyny i nowy po-

dział pracy, nie czekając, aż konkurencja nowe sposoby uczyni przestarzałymi.

Wyobraźmy teraz sobie taki gorączkowy ruch na rynku całego świata, a pojmiemy wtedy, w jaki sposób wzrost, nagromadzenie się i skupianie kapitału pociągają za sobą nieustanny, sam przez się wciąż przyspieszający się i rozrastający do olbrzymich rozmiarów podział pracy, zaprowadzenie nowych a ulepszenie starych maszyn.

Jakiż wpływ wywierają te, ściśle związane z wzrostem wytwórczości kapitału okoliczności, na określenie płacy zoboczej?

Większy podział pracy daje możność jednemu robotnikowi wypełnić robotę za 5, 10, 20, a zatem powiększa on konkurencyję pomiędzy robotnikami 5, 10, 20, razy. Konkurencja pomiędzy robotnikami ma miejsce nie tylko wskutek tego, że jeden sprzedaje swą siłę roboczą taniej niż inni, lecz także wskutek tego, że jeden wypełnia robotę za 5, 10, 20; podział pracy wciąż wprowadzany i powiększany przez kapitał, zmusza robotnika do tego ostatniego rodzaju konkurencji.

Następnie w miarę wzrostu podziału pracy, upraszcza się praca. Szczególniejsza zręczność robotnika staje się zbędną, zamienia się on w zwykłą monotonną siłę wytwórczą, od której nie wymagają ani fizycznego, ani umysłowego nałożenia. Jego praca staje się dostępną dla wszystkich. Zewsząd ciśnie się konkurenci; nie zapominajmy, że im prostsza, im łatwiejsza do nauczenia jest praca, im mniej wydatków potrzeba, aby ją posiadać, tem niżej spada płaca robocza, ponieważ określa się ona, jak i cena każdego innego towaru, kosztami produkcji.

Równoległe do wzrostu nieprzyjemności i jednostajności pracy wzrasta konkurencja i spada płaca najemna. Robotnik stara się swą płacę utrzymać na tym samym poziomie czy to więcej godzin dziennie niż poprzednio pracując, czy też więcej wytwarzając w ciągu godziny. Pod naciskiem głodu i nędzy pomnaża on w ten sposób zgubne dlań skutki podziału pracy. Skutek tego jest następujący: im więcej pracuje, tem mniejszą płacę otrzymuje, a to dlatego, iż przez swą wytężoną robotę czyni konkurencyję swoim współtowarzyszom, ci zaś znowu wskutek tego samego zostają zaciężnymi jego współzawodnikami i muszą przyjąć takie same niekorzystne warunki; koniec końców więc *współzawodniczy on ze samym sobą, ze sobą, jako z członkiem klasy robotniczej.*

Maszyny wprowadzają te same skutki atoli w większym jeszcze stopniu; zastępują one wprawnego robotnika przez niewprawnego, mężczyznę przez kobietę, dorosłych przez dzieci; z chwilą pojawienia się przemysłu maszynowego, wskutek wytwórczości maszyn, całe masy rzemieślników zostają wyrzuconemi na bruk, a w miarę jego wzrostu i doskonalenia się, wyrzucanie odbywa się małemi grupami. Powyżej naszkicowaliśmy ogólne rysy przemysłowej walki kapitalistów pomiędzy sobą; walka ta odznacza się tem, że w niej zwycięstwo osiąga siebie przez powiększenie a przeciwnie przez zmniejszenie armii robotniczej. Wodzowie—kapitałiści starają się jeden drugiego prześcignąć w odprawieniu jaknajwiększej liczby żołnierzy przemysłowych.

Ekonomiści, ma się rozumieć, nas zapewniają, że robotnicy, któ-

rzy się stali wskutek maszyny niepotrzebnymi, znajdują nowe zajęcie.

Nie ośmielają się oni wprost otwarcie powiedzieć, że do nowych gałęzi pracy przechodzą ci sami robotnicy, których odprawiono. Rzeczywistość zbyt głośno przeczy temu kłamstwu; utrzymują więc jedynie to tylko, że nowe środki zajęcia otwierają się dla innej części klasy robotniczej, np. dla młodszego pokolenia robotniczego, będącego w trakcie zajęcia miejsca w zanikającej gałęzi przemysłu. Jest to naturalnie bardzo wielka pociecha dla ginących robotników. Nie zabraknie panom kapitalistom świeżego, nadającego się do wyzysku mięsa i krwi, a umarłych niechaj sobie grzebią umarli. W ten sposób burżua pociesza chyba samego siebie, lecz nie robotnika. Boć gdyby maszyny zniosły całą klasę najemnych robotników, było by to klęska dla kapitału, który wszak bez pracy najemnej przestał by być kapitałem!

Przypuśćmy jednakże, że tak wprost pozbawieni przez maszyny roboty, jako też i całe młode pokolenie, które czychało na pracę w owej gałęzi, *znajduje sobie nowe zajęcie.* Czy można być pewnym, że to nowe zatrudnienie będzie się im tak samo opłacało, jak dawniejsze utracone? *Przeczyliby to wszystkim prawom ekonomicznym.* Widzieliśmy, jak to współczesny przemysł dąży do zastąpienia wyższych, więcej skomplikowanych zajęć przez niższe i prostsze.

Jakież więc masa robotników, usunięta przez maszyny z pewnej gałęzi przemysłu, może znaleźć zajęcie w innej, choćby nawet *niżej i gorzej płatnej?*

Jako wyjątek przytaczają tych robotników, którzy zajęci są wyrobem samych maszyn. Jeżeli przemysł wymaga i zużywa coraz więcej maszyn, to z konieczności musi się powiększyć ich liczba, a zatem wzrasta ich fabrykacja i powiększa się liczba zajętych tutaj robotników, w dodatku zajęci w tej gałęzi przemysłu robotnicy są zręczniejsi, a nawet wykształceni od innych.

Od 1840 r. twierdzenie to, nawet przedtem po części tylko słuszne, straciło wszelki cień prawdy; od tego bowiem czasu do fabrykacji samych maszyn wciąż wprowadzają się najrozmaitsze maszyny w takim samym stopniu, jak i w przemyśle bawelnianym; robotnicy zaś tutaj zatrudnieni, wobec tych, w wysokim stopniu udoskonalonych, maszyn odgrywają rolę nader nieudolnych prostych narzędzi.

Zamiast jednego, usuniętego przez maszyny, mężczyzny, fabryka, być może, daje zajęcie trzem dzieciakom i jednej kobiecie! Lecz czyż nie musi wystarczyć tym trzem dzieciom i kobiecie zarobek, pobierany dawniej przez jednego mężczyznę? Czyż minimum płacy roboczej nie powinno wystarczać jedynie na podtrzymanie i rozmnożenie rasy? Cóż więc oznacza ten ulubiony przez burżuazję wykręt? Nie więcej jak tylko to, że dla zapewnienia bytu jednej rodzinie robotniczej cztery razy większą potrzeba obecnie ilość istot ludzkich poświęcić.

Streścimy powiedziane wyżej: *Im więcej wzrasta kapitał wytwórczy, tem więcej rozwija się podział pracy i zastosowanie maszyn. Im zaś bardziej rozwija się podział pracy i zastosowanie maszyn, tem silniej wzrasta się współzawodnicтво pomiędzy robotnikami, tem bardziej spada płaca za pracę.*

A w dodatku klasa robotnicza werbuje się jeszcze pośród wyż-

szych warstw społecznych; bankrutuje mianowicie masa drobnych przemysłowców i drobnych rentyjerów, którym nie pozostaje się też nic innego, jeno stanąć do pracy obok robotnika.

Las sterczących do góry i wyciągniętych po pracę rąk staje się wciąż gęstszym, a same ręce coraz chudsze.

Oczywiście, drobny przemysłowiec nie może dotrzymać placu w walce, w której jeden z pierwszych warunków stanowi produkcja na coraz większą skalę, t. j. gdzie trzeba być wielkim przemysłowcem, wówczas kiedy on jest drobnym.

Że procenty od kapitału spadają w takim samym stopniu, w jakim się powiększają rozmiary kapitału i w jakim kapitał wzrasta, że więc drobny rentyjer nie może się już ze swej renty utrzymać, że zatem musi się rzucić do przemysłu, powiększyć liczbę kandydatów do stanu proletaryjusza, wszystko to nie wymaga dowodzenia.

Nareszcie w tym samym stopniu, w jakim kapitaliści zmuszeni są przez naszkicowany powyżej rozwój przemysłu do eksploataowania w coraz większych rozmiarach, i tak już olbrzymich środków produkcji, i do poruszenia w tym celu wszystkich sprężyn kredytu, w tym samym stosunku potęgają się uragany handlowe, od których świat kupiecki ratuje się jedynie, przynosząc w ofierze podziemnym bóstwom część swego bogactwa, wytworów, a nawet samej siły wytwórczej — jednym słowem w tym samym stosunku potęgają się kryzysy. Stają się one częstszymi i dotkliwymi już wskutek tego że równolegle do wzrostu ilości wytworów, a zatem równolegle do wzrostu zażądania rozległych rynków, rynek światowy wciąż się zwęża; wciąż zmniejsza się ilość niezajętych jeszcze rynków; każdy bowiem kryzys wciąga w wir handlu powszechnego nawet zupełnie dotąd nieznane lub też mało opanowane rynki. Kapitał zatem nie tylko żyje kosztem pracy. On prócz tego, jak władcy barbarzyńscy, zabiera za sobą do mogiły trupy swych niewolników, całe hektomby robotnicze, ginące od kryzysów. Widzieliśmy więc, że jeżeli szybko wzrasta kapitał, to jeszcze szybciej wzrasta konkurencja pomiędzy robotnikami, czyli innymi słowy, tem bardziej dla klasy robotniczej zmniejszają się źródła zarobku, środki do życia, a i wszakże szybki wzrost kapitału stanowi dla pracy najmniej korzystną okoliczność.

PROUDHON.

(Z „Socjaldemokratu“ N-r. N-r. 16, 17, 18 z roku 1865.)

Londyn, 24 Stycznia 65 r.

Szanowny Panie!

Wezoraż otrzymałem od pana list, w którym mnie upraszasz o szczegółowe skrytykowanie Proudhona. Brak czasu nie pozwala mi na zaspokojenie pańskiego żądania. Nadto ani jednego z jego dzieł nie mam obecnie pod ręką. Chcąc jednak dowieść panu swej dobrej woli, nakreślę rzecz tę wkrótce. Możesz ją pan uzupełnić, rozszerzyć, skrócić — jednym słowem uczynić z nią, co zechcesz.*)

Nie pamiętam pierwszych występow Proudhona. Jego szkolna praca o „języku powszechnym“ (Langue universelle) pokazuje, jak bez ceremonii brał się do rzeczy, do których rozwiązania brakło mu najpierwszych wiadomości.

Jego pierwsze dzieło: „Co to jest własność“ (Qu'est-ce que la propriété) — jest zarazem bezwarunkowo najlepszym jego dziełem. Stanowi ono epokę jeżeli nie dla samodzielności swej treści, to w każdym razie dla pełnego śmiałości nowego sposobu wypowiedzania myśli. Naturalnie, że w dziełach znanych mu francuzkich socjalistów i komunistów „własność“ była na różne sposoby nie tylko krytykowana, ale w sposób utopijny „znoszona“. W dziele tem zachowanie się Proudhona względem St. Simona i Fouriera jest takim samym jak Feuerbacha względem Hegla. W porównaniu z Heglem Feuerbach jest karłem. A jednakże stanowi on epokę po Heglu, ponieważ położył nacisk na pewne nieprzyjemne dla chrystyanizmu i ważne dla dalszego postępu krytyki punkty, które Hegel pozostawił był w tajemniczym półświecie.

W tem dziele Proudhona jeszcze panuje, że się tak wyrażę, silny styl, i to uważam za główną jego dodatnią stronę. Widzimy, że

*) Uważaliśmy za najlepsze pozostawić wszystko bez najmniejszej zmiany, dodaje od siebie w uwadze redakcyja.

eszcze nawet wtedy, gdy wszystko jedynie zkadinał zapożycza, występuje Proudhon samodzielnie; że wszystko, co powiada, stanowi dlań i dla innych rzecz nową.

Wybujala zuchwałość, rzucająca się na największe ekonomiczne „świętości”, wspaniałe paradoksy, pod ciężarem których ugina się zdrowy rozum mieszczański, porywające sady, gorzka ironia, tu i owdzie przeglądające rzeczywiste i głębokie uczucie oburzenia na widok sromotnej teraźniejszości, rewolucyjna powaga — dzięki temu wszystkiemu dzieło „Co to jest własność” podziało elektryzując i wywarło znaczny wpływ w pierwszym swym wydaniu. W ścisłe naukowej historii ekonomii politycznej dzieło to zaledwie zasługuje wzmianki. Ale tego rodzaju sensoryjne dzieła taką samą odgrywają rolę w nauce jak i w literaturze beletrystycznej. Weźmy dla przykładu dzieło Malthusa o ludności. W pierwszym swym wydaniu jest jeno sensoryjnym pamphletem — „sensational pamphlet”, a nadto plagiatem do Joty. A jednak jaką podnieść dał ten paszkwil na rodzaj ludzki!

Gdybyśmy mieli dziełko Proudhona pod ręką, z łatwością wykazalbym na kilku przykładach jego najgłówniejsze cechy. W rozdziałach, które sam uważa za najważniejsze, trzyma się on antynomij kantowskich — Kant był to jedyny naówczas znany mu z tłumaczeń filozof niemiecki — i pozostawia wrażenie, jakoby narówni z Kantem uważał rozwiązanie antynomij za rzecz „niedostępną” rozumowi ludzkiemu, t. j. za coś, względem czego jego własny rozum pozostaje w niewiedomości.

A jednak, pomimo całego pozornego zniweczenia wszystkich powag, już w dziele „Co to jest własność” odnajdujemy sprzeczność; mianowicie: z jednej strony Proudhon krytykuje społeczeństwo ze stanowiska i oczyma drobnego chłopca francuzkiego (a później drobnego mieszczaństwa — petit bourgeois), z drugiej strony do tego społeczeństwa używa skali, którą pozostawili po sobie socjaliści.

Braki dzieła wykazuje już sam tytuł. Do takiego stopnia fałszywie zostało postawione pytanie, że nie sposób było na nie odpowiedzieć należyte. Starożytne „stosunki własnościowe” rozplynęły się w feudalnych, a te w „mieszczańskich”. Same dzieje krytykowały dawne powstanie własności. Proudhonowi chodziło o obecna, nowożytno-mieszczańską własność. Na pytanie, czym jest ona, można było udzielić odpowiedź jedynie przez krytyczny rozbiór „ekonomii politycznej”, która zawierała w sobie ogół tych stosunków własnościowych nie w ich prawnej postaci jako objawów woli, ale w ich realnym kształcie, t. j. jako stosunków produkcji. Kiedy Proudhon już raz cały ogół tych stosunków ekonomicznych uwikłał w ogólnym prawnym pojęciu „własności”, wtedy nie mógł wybiedz po za odpowiedź, udzieloną w tych samych słowach i w podobnej broszurze przez Brissota jeszcze przed rokiem 1789, mianowicie po za odpowiedź, że „własność jest kradzieżą”.

W najlepszym razie wynika ztąd jedynie, że mieszczańsko-prawne pojęcie o „kradzieży” rozciągają się też i na „uczciwy” zarobek mieszczaństwa. Z drugiej znowu strony, ponieważ „kradzież”, będąc gwałtem, popełnionym na własności, z góry już przypuszcza własność, uwikłał się przeto Proudhon w wszelkiego rodzaju dlań samego niejasne przywidzenia co do rzeczywistej własności mieszczańskiej.

Podczas pobytu w Paryżu 1844 wszedłem z Proudhonem w osobiste stosunki. Wspominam tę okoliczność, albowiem do pewnego stopnia na mnie ciąży odpowiedzialność za ową „sophistication”, że użyję terminu, jakim Anglicy nazywają fałszowanie artykułów handlowych. Podczas długich, trwających przez noc całą rozpraw, zaraziłem go na jego własne nieszczęście filozofią Hegla, której jednak z braku znajomości języka niemieckiego nie mógł należycie przestudować. Com począł, ciągnął po mem wydaleniu z Paryża Karol Grün. Ten ostatni, jako zwiaśtun filozofii niemieckiej, posiadał tę wyższość nademną, że sam jej ani zdźbła nierozumiał.

Na krótko przed wydaniem drugiego swego dzieła, mianowicie „Filozofii Ubóstwa i t. d.”, uwiadomił mnie o tem Proudhon w nadzwyczaj obszernym liście, mówiąc między innemi: „j'attends votre férule critique”. Krytyka ta wypadła dlań w sposób (patrz me dzieło „Misère de la philosophie”, Paryż 1847), który przerwał na zawsze naszą przyjaźń.

Jak czytelnik zobaczy, dopiero Proudhon „Filozofia ubóstwa” czyli systemat sprzeczności ekonomicznych“ zawiera właściwą odpowiedź na pytanie: „Co to jest własność?”. Istotnie, dopiero po wydaniu tego ostatniego dzieła zaczął on swe studia ekonomiczne; odkrył, że na postawione przezeń pytanie nie udzieli odpowiedzi wymyślanie i lajanie, ale jedynie rozbiór nowoczesnej „ekonomii politycznej”. Zarazem przedsięwziął przedstawić dyalektycznie systemat kategorii ekonomicznych. Na miejsce nierozwiązalnych antynomij kantowskich występuje jako środek rozwoju hegliańska „sprzeczność”.

Nie będę wydawał szczegółowego sądu nad tem grubym dwutomowym dziełem, odsyłam pana do swej broszury polemicznej. Między innemi wykazałem w niej, że bardzo mało zgłębił Proudhon tajemnice naukowej dyalektyki, że następnie podzielił on wszystkie iluzje spekulacyjnej filozofii, albowiem miasto spoglądania na ekonomiczne kategorie jako na teoretyczne wyrazy historycznych, odpowiadających pewnej fazie rozwoju produkcji materialnej, stosunków produkcji, uważa je za odwieczne stałe idee, i że dzięki temu wykrętowi znowu staje na stanowisku ekonomii mieszczańskiej.

W dalszym toku dowiodłem jeszcze, że jego znajomość „ekonomii politycznej”, krytykę której obrał sobie za zadanie, jest zaiste powierzchowna, a miejscami nawet wprost żakowska, że zamiast kształtowania wiedzy na podstawie krytycznego zbadania ruchu historycznego, ruchu, który sam z siebie wysnuwa materialne warunki wyzwolenia, ugania się on do spółki z utopistami za tak zwaną „nauką”, która ma a priori dostarczyć wzoru dla „rozwiązania kwestyi społecznej”. Szczególniej zaś wykazałem, że Proudhon co do wartości zamiennnej, tej podwaliny wszystkiego, pozostaje w zupełnej niewiedomości i błędzie, a nawet w utopiecznym wyłożeniu rikardowskiej teorii wartości upatruje podstawę dla nowej wiedzy. W ogóle co do jego ogólnego stanowiska wydaję w streszczeniu następujący sąd:

„Każde zjawisko ekonomiczne, posiada podwójną stronę, dodatnią i ujemną — oto jedyny punkt, odnośnie do którego Proudhon nigdy sam z sobą nie staje w sprzeczności. Podług niego, ekonomisci wydatnili dodatnią, a socjaliści wskazywali na ujemną stronę. Od ekonomistów zapożycza konieczność stosunków wiecznych, a od socjali

stów iluzją, że w nędzy należy dopatrywać się tylko nędzy (miasto spostrzegania tutaj rewolucyjnych, niszczących sił, które obalą stare społeczeństwo). O ile zaś stara się oprzeć na powadze nauki, o tyle znajduje się on w zgodzie z jednymi i drugimi. Dłań wiedza sprowadza się tylko na skarlłowacią dziedzinę naukowych formułek: ugania się po prostu za wzorami. Odpowiednio do tego pan Proudhon łudzi się, że dał zarazem krytykę ekonomii politycznej i komunizmu, — w rzeczywistości wszakże stoi niżej od obojga. Poniżej od ekonomistów, gdyż jako filozof, mający do swego rozporządzenia magiczną formułę, mniema się być zwolnionym od wdawania się w ściśle ekonomiczne szczegóły; poniżej socjalistów, ponieważ nie posiada ani należytej odwagi ani dosyć zdrowego zmysłu, aby wydstać się po za widnokrąg mieszczański... Jako człowiek nauki chce on stać po nad mieszczańskim i proletaryuszem, w rzeczywistości zaś jest tylko drobnym mieszczańskim, który waha się wciąż między kapitałem a pracą, ekonomią polityczną a komunizmem.

Bez względu na całą surowość tego sądu, muszę jeszcze dzisiaj podkreślić każde jego słowo. Proszę atoli nie zapominać o tem, że, kiedyś dzieło Proudhona ogłosił za ewangelią małomieszczańskiego socjalizmu i wykazał to teoretycznie, naówczas uchodził on jeszcze za krancowego rewolucjonistę zarówno w oczach socjalistów jak też prawowiernych ekonomistów. Z tego też powodu nigdy nie uczestniczył w krzykach, jakoby „zdradził” rewolucję. Nie jego to wina, że pierwotnie nie pojęli go inni ani też on sam, i że nie dotrzymał nieuzasadnionych nadziei.

W „Filozofii Ubóstwa”, w przeciwieństwie do „Co to jest własność”, wszystkie wady Proudhona występują w sposób bardzo dlań niekorzystny. Styl często odpowiada temu, co francuzi zowią „ampoulé”. Patetyczno spekulacyjne bzdurzenie, mające niby przedstawiać niemiecko-filozoficzny wykład, występuje, ilekroć Proudhonowi zabraknie na francuzkim dowcipie. Ton dzieła przypomina przekupkę i jej hymny na cześć jej towaru; szczególnie zaś dźwięczy w uchu bynajmniej nie orzeźwiający wielbienie i fałszywe kokietowanie z „nauką”. Miasto rzeczywistego ciepła, co na wskroś przenika pierwsze dzieło, przywdziewa on na się systematycznie w niektórych miejscach szatę maniackiego gorąca. Do tego dodajmy wstrętne popisywanie się z erudyty, właściwe tym samoukom, którzy postradali naturalne roszczenie do samodzielności ducha, atoli uroili sobie, że, jako dorobkiewiczze w dziedzinie wiedzy, powinni się chlubić z tego, czego nie posiadają i czem przestali być. Następnie małomieszczańskie pojmowanie rzeczy, w sposób brutalny napadające — napaść ani do wciwna ani głębokomyślna, a nadto nieuprawniona — na Gabeta, męża zastępującego na szacunek dla swej podstawy względem proletaryatu, a jednocześnie ugrzecznione dla takiego np. Dunoyera (zresztą „radcy stanu”), jakkolwiek całe znaczenie Dunoyera polega na komicznej powadze, z jaką w trzech grubych i nie do zniesienia nudnych tomach głosi rygoryzm, o którym Helwecyusz wyrzekł: „On veut que les malheureux soient parfaits”.

Rewolucyjna lutowa zastała Proudhona zaiste nieprzygotowanym; na kilka bowiem tygodni przed nią dowodził niezbicie, że „gorączka rewolucyjna” minęła na zawsze. Jego wystąpienie w zgromadzeniu narodowym, jakkolwiek wykazało całe jego niepojmowanie bieżącej

chwili, zasługuje wszakże na pochwałę. Po powstaniu czerwcowem był to czyn, dowodzący wielkiej odwagi. Miało ono ten dodatni skutek, że Thiers w swej mowie, skierowanej przeciw projektom Proudhona i następnie opublikowanej w oddzielnej broszurze, wykazał przed całą Europą całą nicość i dziecinność zasad, na jakich wspierał się ten duchowy piewca francuzkiej burżuazji. W obec pana Thiersa Proudhon zaiste wyrósł na przedpotopowego olbrzyma.

Odkrycie przez Proudhona „kredytu bezpłatnego” — *Credit gratuit* — i na nim opartego „banku ludowego” były ostatnimi jego „czynami” na polu ekonomicznym. W dziele „Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej” (str. 59—64), dowiodłem, że teoretyczna podstawa jego poglądów wynika z zapoznania najpierwszego czynnika mieszczańskiej „ekonomii politycznej”, mianowicie stosunku towaru do pieniędzy, wówczas gdy praktyczne plany są poprostu jedynie powtórzeniem o wiele starszych i lepiej rozrobionych projektów. Że instytucja kredytu, jak to widzieliśmy np. w początku XVIII, a później XIX stul. w Anglii, może przyczynić się do przeniesienia majątku z jednej klasy na drugą, że przy pewnych ekonomicznych i politycznych warunkach może przyspieszyć wyzwoleń się klasy robotniczej — wszak to nie ulega wątpliwości. Ale na procentujący kapitał spoglądać jako na główną postać kapitału, ale szczególnie zastosowania kredytu, mniemane zniesienie procentu chcieć uczynić punktem wyjścia dla przewrotu społecznego — wszystko to jest filisterską mrzonką. Mrzonki te też spotykamy w lepszym opracowaniu u ekonomicznych przewódców angielskiego małomieszczaństwa z wieku XVII. Proudhona polemika z Bastiatem (1850) co do procentującego kapitału stoi o wiele niżej od „Filozofii Ubóstwa”. Doszedł on do tego, że Bastiat go rabie; sam zacytował go jedynie krzykiem, gdy przeciwnik zbyt dotrzął go do żywego.

Przed kilkoma laty napisał Proudhon dzieło konkursowe — zdaje się, że konkurs naznaczył rząd kantonu Lausanny — o „podatkach”. Tu nie spotykamy nawet najmniejszego śladu geniuszu — pozostał się ino małomieszczanin najczystszej krwi, petit bourgeois tout pur.

Co się zaś tyczy politycznych i filozoficznych broszur Proudhona, we wszystkich panuje ten sam duch sprzeczości, dwoistości, co w dziełach ekonomicznych. Przytem posiadają one jedynie lokalno — francuzkie znaczenie. Wszakże jego walka z religią, kościołem i t. d. posiadała ogromną wartość na owe czasy, kiedy francuzcy socjaliści uważali za stosowne zwalczać mieszczański wolteryanizm XVIII i niemiecki ateizm XIX w religijności. Piotr wielki barbarzyństwem zgniótł ruskie barbarzyństwo, a Proudhon frazesem tępił francuzką frazeologię.

Nie tylko jako nieudatne, ale nadto jako nikczemne dzieła, jakkolwiek nikczemność ta jest właściwą małomieszczańskiemu punktowi widzenia, musiny napiętnować broszurę jego o zamachu stanu, w której kokietuje z L. Bonaparte i zaiste stara się dlań wyrobić wzięcie wśród robotników francuzkich, i jego ostatnią broszurę przeciwko Polsce, w której na cześć cara wygłasza cyniczne i kretyniczne poglądy.

Często porównywano Proudhona do Russa. Nie niema, bardziej niewłaściwego. Raczej przypomina on Lingueta, którego zresztą dzieło „*Theorie des Lois Civiles*” jest genialną książką.

Z natury Proudhon skłaniał się ku dyalektyce. Ale, ponieważ nigdy nie pojął rzeczywistej naukowej dyalektyki, przeto użył jej tylko na sofizmy. W samej rzeczy było to nieodłącznem od jego małomieszczańskiego stanowiska. Małomieszczanin, zupełnie tak samo jak historyk Raumer, składa się z „tego“ i „owego“. Spostrzegamy to w jego ekonomicznych interesach, a więc i w jego polityce, religijnych, naukowych i estetycznych poglądach; to samo w jego etyce i „każdej rzeczy, która jego jest“, in everything. Jest to uosobniona sprzeczność. Jeżeli będzie on, jak Proudhon, człowiekiem, bogato wyposażonym umysłowo, wtedy w krótkim czasie wywieczy się korzystać z własnych sprzeczności i wytwarzać z nich, wedle potrzeby, jaskrawe, odurzające, to skandaliczne, to olśniewające paradoksy. Szarlatanstwo w nauce a oportunizm w polityce są nieodłącznemi od takiego stanowiska. Działa tu tylko jeden jedyny bodziec, próżność osobista.—i, jak każda próżność, ugania się jedynie za powodzeniem w chwili obecnej, za oklaskiem na dzisiaj. Z konieczności więc zanika wszelki takt i moralność, które np. Russa powstrzymywały od wszelkiego nawet pozornego kompromisu z istniejącym porządkiem. Być może, czasy późniejsze będą w tem widziały charakterystykę ostatniego okresu Francji, że Ludwik Bonaparte był jej Napoleonem, a Proudhon zarazem Russem i Wolterem.

Musisz pan przyjąć na się odpowiedzialność, żeś w tak krótkim czasie od zgonu Proudhona wyznaczył mi funkcję sędziego.

KAROL MARX.

NĘDZA FILOZOFII

ODPOWIEDŹ

na dzieło Proudhona:

„Filozofia Nędzy“

PRZEDMOWA

Proudhon na tyle jest nieszczęśliwym, że nigdzie na nim poznać się nie mogą. We Francji ma on prawo uchodzić za nietęgiego ekonomistę, gdyż widzą w nim potężnego filozofa niemieckiego. W Niemczech znowu może być uważanym za kiepskiego filozofa, albowiem uchodzi za jednego z wybitniejszych ekonomistów francuzkich. Z naszego dwoistego stanowiska, jako Niemca i ekonomisty, czujemy się w obowiązku zaprotestowania przeciw temu podwójnemu błędowi.

Czytelnik pojmie, że w tej niewdzięcznej pracy wielokrotnie zmuszeni będziemy zaprzestać krytyki Proudhona, aby zająć się krytyką filozofii niemieckiej, a nadto od czasu do czasu powiedzieć kilka słów o ekonomii politycznej.

PIERWSZY ROZDZIAŁ

ODKRYCIE NAUKOWE

I. WARTOŚĆ ZAMIENNA A UŻYTKOWA

„Właściwość, wszystkim wspólna przedmiotom, czy to są wytwory przemysłu, czy też dary przyrody, a mianowicie, że wszystkie one jednako służą człowiekowi do utrzymania, zowie się *wartością użytkową*; własność znowu ta, że się nawzajem one wymieniają, — *wartością zamienną*. Jakim sposobem wartość użytkowa staje się zamienną? Powstania idei wartości [zamiennej] nie wyświetlili ekonomiści z należytą starannością, musimy się zatem nad tem pytaniem zatrzymać. Ponieważ z pośród rzeczy, których pożądam, wielka ilość istnieje na łonie przyrody jedynie w szczupłej liczbie, lub też zgoła tutaj się nie spotyka, muszę więc własnoręcznie wytwarzać to, czego mi braknie, a ponieważ nie mogę się wziaść do tylu rzeczy osobiście, zwracam się zatem ku innym ludziom, swym współpracownikom w innych gałęziach działalności, z propozycją, aby pewną część swego wytworu wymieniali na moje produkty.“ [Proudhon, tom I, roz. II]

P. Proudhon zakłada sobie przedewszystkiem wyjaśnienie podwójnej istoty wartości, rozdwojenia wartości, powstania wartości zamiennej z użytkowej. Wraz z p. Proudhonem musimy zatrzymać się na tym akcie przekształcania. Obaczymy, jak odbywa się ten akt zdaniem naszego autora.

Nader znacznej ilości produktów nie spotykamy w naturze, a musi je dopiero wytworzyć przemysł. Skoro potrzeby przewyższają dobrowolną produkcję ze strony przyrody, człowiek zmuszonym jest do zawezwania na pomoc produkcji przemysłowej. Czem jest ta ostatnia w pojęciu p. Proudhona? Jakim jej początek? Oddzielny osobnik, łaknący ogromnej masy rzeczy, „nie jest w stanie tak wielu rzeczom podobać.“ Ile mamy zaspokoić potrzeb, tyleż musimy

wytworzyć rzeczy. Nie masz bowiem wytworu bez produkcji. Takie zaś mnóstwo rzeczy, jakie wytworzyć mamy, każe już z góry przypuszczać więcej nad jednego wytwórcę. Odkąd zaś przypuszczamy w produkcji więcej niż jednego człowieka, od chwili tej założyliśmy już istnienie całej, opartej na podziale pracy produkcji. A zatem potrzeba, jak ją pojmuje p. Proudhon, każe przypuszczać doskonały podział pracy. Przypuściwszy zaś podział pracy, tem samem mamy już do czynienia z wymianą, a więc i z wartością zamienną. Moglibyśmy przeto z taką samą racją z góry już założyć istnienie wartości zamiennej.

Ale p. Proudhon woli obracać się w kółku; idźmy więc jego mianowcami, które wciąż nas będą wracały do punktów wyjścia.

Aby wydobyć się z takiego stanu rzeczy, gdzie każdy jako odludek na się pracuje, i dosięgnąć wymiany, „zwracam się,“ powiada p. Proudhon, „do swych współpracowników w różnorodnych gałęziach działalności.“ A więc posiadam już współpracowników, z których każdy odmienną spełnia czynność, jakkolwiek — zawsze na zasadzie założeń proudhonowskich — ani ja ani inni nie wyzwolił się jeszcze z samotniczej i niezbyt społecznej sytuacji Robinsona. Współpracownicy i różne gałęzie pracy, podział pracy i wymiana, wszystko to spadło z nieba.

Streszczam: posiadam potrzeby, oparte na podziale pracy i wymianie. P. Proudhon, przypuszczając te potrzeby, tem samem przypuścił już wymianę i wartość zamienną, „których atoli powstanie“ postanawia sobie „wysledzić z większą, niż inni ekonomiści starannością.“

P. Proudhon tak samo dobrze mógłby ten porządek rzeczy wywrócić zupełnie naopak i zgoła nie zaszkodziłby tem słuszności swych rozumowań. Dla wyjaśnienia wartości zamiennej trzeba mu wymiany. Dla wyjaśnienia wartości znowu wymiany, potrzeba podziału pracy. Aby zaś wyjaśnić ten podział pracy, potrzebuje on potrzeb, czyniących z podziału pracy konieczność. Wreszcie, by wyjaśnić te potrzeby, należy je jedynie „przypuścić,“ co wszakże zgoła jeszcze nie jest ich negacją, wbrew pierwszemu pewnikowi z proudhonowskiego prologu: „przypuścić Boga — jest to jego istnieniu zaprzeczyć“ (Prologue, str. 1).

Jak teraz postępuje p. Proudhon z podziałem pracy, który zakłada sobie wiadomym, by wyjaśnić zamienną wartość, te wciąż dlań niewiadomą rzecz? Oto, „pewien osobnik“ zwraca się ku innym ludziom, swym współpracownikom w różnych gałęziach działalności, z propozycją rozpoczęcia wymiany i odróżniania wartości zamiennej a użytkowej. Przystawszy na to projektowane odróżnianie, współpracownicy uwolnili p. Proudhona od wielkich krom jednego „kłopotów“: przy tych warunkach potrzebował on jedynie zauważyć ten fakt, „zanotować i zaznaczyć powstanie idei wartości“ w swym traktacie ekonomii politycznej. Atoli powinien by nam wyjaśnić „źródło“ tej propozycji, powiedzieć jakim sposobem ten samotnik, ten Robinson nagle doszedł do tego, aby uczynić swym współpracownikom pewnego rodzaju propozycją i czemuż ją ci współpracownicy bez wszelkiego wahania przyjęli.

Ale p. Proudhon nie wdaje się w te genealogiczne szczegóły. Czynowi wymiany nadaje on pewnego rodzaju historyczne piętno,

wystawiając go jako umowę, zaproponowaną przez trzecią osobę, która dążyła do stworzenia wymiany.

Oto próbka „historyczno-opisowej metody” p. Proudhona, który z dumą pogardą spogląda na „historyczno-opisową metodę” A. Smith’a i Ricarda.

Wymiana swą własną posiada historiją. Przebyła ona różnorakie fazy.

Były takie czasy (np. wieki średnie), kiedy wymieniano jedynie przewyżkę produkcji nad spożyciem.

Następnie były też takie czasy, kiedy nie tylko przewyżkę, lecz wszystkie produkty, całą istosć przemysłową pochłaniał handel, kiedy więc produkcja całkiem zależała od wymiany. Jak wyjaśnić tę wtórą fazę wymiany, tę wartość zmienną w swej drugiej potędze?

P. Proudhon ma odpowiedź na poczekaniu: dajmy na to, że pewien osobnik „innym ludziom, swym współpracownikom w innych gałęziach działalności zaproponował” podnieść wartość zmienną do drugiej potęgi.

Wreszcie nastały czasy, kiedy wszystko, co ludzie uważali dotychczas za święte, stało się przedmiotem wymiany, szacherki. Są to czasy, kiedy przedmioty, które dotychczas udzielano, lecz nie sprzedawano: cnota, miłość, przekonanie, wiedza, sumiennosc i in., kiedy jednym słowem wszystko stało się przedmiotem handlu. Są to czasy powszechnej przedajności, ogólnego frymarczenia, czyli — że użyjemy ekonomicznego sposobu mówienia — czasy, w których każdy przedmiot, fizycznej jak też moralnej natury, wędruje jako wartość zmienna na rynek, aby tu być oszacowanym stosownie do rzeczywistej swej wartości.

Jak teraz tę nową a zarazem ostatnią fazę wymiany wyjaśnić, tę wartość zmienną w trzeciej potędze?

P. Proudhon nie dałby czekać na odpowiedź: przypuśćmy, że pewna osoba „innym osobom, swym współpracownikom w innych gałęziach działalności zaproponowała” z cnoty, miłości i in. uczynić wartość handlową, wartość zmienną do trzeciej podnieść potęgę.

Jak widzimy, „historyczno-opisowa metoda” p. Proudhona godzi się do wszystkiego, na wszystko odpowiada i wszystko wyjaśnia. Trzeba np. historycznie wyjaśnić „powstanie pewnej ekonomicznej idei,” natychmiast wyprowadza on na scenę niejakiego człowieka, który innym ludziom, „swym współpracownikom w innych gałęziach działalności” proponuje skutecznie ten akt stworzenia — i już po wszystkim.

Odtąd też i my przyjmujemy „stworzenie” wartości zamiennej za czyn dokonany; idzie więc teraz jedynie o wyjaśnienie stosunku wartości zamiennej do użytkowej. Posłuchajmy p. Proudhona.

„Ekonomiści bardzo dobrze uwydatnili dwoisty zharakter wartości, lecz z takim samym stopniem ścisłości nie zanalizowali jego sprzecznej w samej sobie istoty — tu poczyna się nasza krytyka... Ale nie dość wskazać w wartości zamiennej a użytkowej na ten rażący kontrast, w którym wszelakoż ekonomiści przywykli widzieć rzecz nader prostą, lecz nadto należy dowieść, że ta pozorna prostota kryje głęboką tajemnicę, której przeniknięcie jest naszym

obowiązkiem... Że wyrazimy się technicznie, wartość użytkowa a zmienna w odwrotnym do siebie mają się stosunku.”

Jeżeli trafnie pojęliśmy p. Proudhona, chce on wywieść następujące cztery punkty:

1) Wartość zmienna a użytkowa stanowią rażący kontrast, przeciwstawiają się sobie wzajemnie.

2) Wartość zmienna a użytkowa w odwrotnym do siebie mają się stosunku, przeczą sobie.

3) Ekonomiści nie zoczyli, nie pojęli ani tej sprzeczności, ani przeciwstawności.

4) Krytyka p. Proudhona zaczyna od końca.

Zaczniemy i my też od końca i, aby uwolnić ekonomistów od zarzutów Proudhona, posłuchajmy dwóch dość wybitnych ekonomistów.

Simoni powiada: „Handel wszystko sprowadził do przeciwstawności między zmienną a użytkową wartością” [Etudes, 2 tom, str. 162, wyd. brukselskie].

Lauderdale: „W ogóle bogactwo narodowe (wartość użytkowa) zmniejsza się w miarę tego, jak prywatne majątki wzrastają wskutek podnoszenia się wartości zamiennej; z zmniejszaniem się tej ostatniej wzrasta się pierwsze.” (Recherche sur la nature et l'origine de la richesse publique, tłumaczenie Lazgentil-de-Laraise’a, Paryż 1808).

Na antagonizmie między zmienną a użytkową wartością oparł *Simoni* swą główną teorię, podług której dochód zmniejsza się w prostym do wzrostu produkcji stosunku.

Lauderdale znowu zbudował swój systemat na podstawie odwrotnego do siebie stosunku tych obu rodzajów wartości, a jego teoria za czasów *Rikarda* tak była popularną, że ten ostatni mógł o niej wyrażać się jako o powszechnie znanej rzeczy.

„Skutkiem pomniejszania wartości zamiennej a bogactwa (wartości użytkowej) zrodził się pogląd, jakoby można było powiększyć bogactwo zmniejszeniem ilości niezbędnych, pożytecznych lub przyjemnych w życiu rzeczy” (*Rikardo*: Principes d’économie politique, tłumaczenie franc. Constancio, z notami J. B. Say’a Paryż 1835, t. 2, rozdział o bogactwie a wartości).

Widzimy, że już przed p. Proudhonem ekonomiści „wskazali” na głęboką tajemnicę, zawartą w tej sprzeczności i przeciwstawności. Zobaczymy teraz jak po ekonomistach Proudhon ze swej strony tłumaczy ową tajemnicę.

Wartość zmienna pewnego produktu spadnie z wzrostem zaofiarowania, jeżeli zapotrzebowanie pozostaje bez zmiany; innemi słowy: im obfitszym jest wytwór w stosunku do zapotrzebowania, tem niższa jego wartość zmienna czyli cena. Na odwrot: im słabszem zaofiarowanie w porównaniu do zapotrzebowania, tem wyżej podnosi się wartość zmienna czyli cena produktu, innemi słowy: im bardziej rzadkimi w stosunku do zapotrzebowania są zaofiarowywane wytwory, tem większem ich podniesienie się w cenie. Wartość zmienna pewnego wytworu zależy od jego obfitości lub skąpości — lecz zawsze odnośnie do zapotrzebowania. Weźmy jakiś więcej niż rzadki przedmiot, a nawet jedyny w swym rodzaju produkt — będzie on znajdował się w zbyt wielkiej obfitości, będzie niepotrzebnym, jeśli nań nie masz zapotrzebowania. Odwrotnie znowu bywa, kiedy

weźmiemy w tysiącokrotnych okazach znajdujący się wytwór: będzie go mało, jeśli nie będzie zaspakajał zapotrzebowania, t. j. jeżeli zbyt znaczny będzie nań popyt.

Są to, możemy rzec, prawie powszechnie znane ogólniki, musimy je wszakże wypowiedzieć, aby uprzystępnic zrozumienie proudhonowskich tajemnic.

„Chcąc zbadać tę zasadę aż do ostatecznych jej wyników, z konieczności dojdziemy do tego najbardziej logicznego wniosku, że rzeczy, które są niezbędnością a mnóstwo których nie ma granic, nie posiadają żadnej wartości; że zaś, których użyteczność równa się zeru a rzadkość nader znaczna, muszą niekoniecznie wysoką posiadać cenę.“

„Zamęt ten aż do ostateczności doprowadza ta okoliczność, że w gruncie rzeczy nie spotykamy się z temi obiedwoma krańcowościami: z jednej strony żaden produkt ludzki nie zdola posiadać nieskończonych rozmiarów, z drugiej znowu najrzadsze nawet rzeczy muszą być choć w pewnym stopniu użytecznymi, gdyż inaczej żadnej nie miałyby wartości. Wartość użytkowa a zamienna są przeto z konieczności z sobą spojone, lubo co do swej istoty dążą one do wzajemnego się wykluczenia.“ (t. I, str. 39)

Czemuż zamęt Proudhona aż do ostateczności dochodzi? Oto, że przeoczył zapotrzebowanie; że pewna rzecz może znajdować się w ofitości lub też skąpo tylko w porównaniu do zapotrzebowania. Usunąwszy zapotrzebowanie, przypuszcza on tem samem, że wartość zamienna rzadkości, a użytkowa obfitości są równe. Zaiste, powiadając, że rzeczy, których użyteczność równa się zeru a rzadkość nader znaczna, nieskończenie wysoką posiadają cenę, mówi on poprostu, że wartość zamienną stanowi tylko rzadkość. „Nader znaczna rzadkość i równa zeru użyteczność“ — to tylko rzadkość. „Nieskończenie wysoka cena“ stanowi maximum wartości zamiennej, stanowi czystej wody taką wartość. Oba te wyrażenia przyrównują on pomiędzy sobą. Wartość zamienna a rzadkość są tedy równoznacznymi określeniami. Doszedłszy do tych pozornie „ostatecznych wyników“, Proudhon w samej rzeczy do ostateczności doprowadził słowa lecz nie treść, jaką one posiadają; bawi się raczej w retorykę niż w logikę. Kiedy spodziewa się on znaleźć nowe wnioski, tam znajduje w całej nagości jedynie swe pierwiastkowe założenia. Wskutek takiego samego postępowania utożsamia on też wartość użytkową a prostą obfitość.

Przyrównawszy wartość zamienną rzadkości z użytkową obfitości, p. Proudhon z podziwem spogląda, czemuż wartości użytkowej w rzadkości i wartości zamiennej, a zamiennej w obfitości i wartości użytkowej nie napotyka; a widząc, że w życiu potocznem nie ma tych krańcowości, musi uwierzyć w jakąś tajemnicę. Istnieje dlań jakaś nieskończenie wysoka cena, ponieważ nie ma na nią nabywców — a tych nigdy nie znajdzie on, póki nie weźmie pod rachubę zapotrzebowania.

Z jednej strony zdaje się, jakoby obfitość proudhonowska powstała z samej siebie. Zapomina on, że ją wytwarzają ludzie i że w ich leży interesie rachowanie się z zapotrzebowaniem. W innym bowiem razie zład doszedłby p. Proudhon do twierdzenia, że rzeczy, posiadające nader wielką użyteczność, muszą być nader tanie

lub nawet nie nie kosztować? Przeciwnie, powinien by zawnioskować, że, aby podnieść cenę bardzo użytecznych rzeczy, t. j. ich wartość zamienną, należy ograniczyć ich obfitość, ich produkcję.

Kiedy dawni właściciele winnic francuzkich żądali prawa, zabraniającego sadzenia nowych winnic, kiedy holendrzy palili korzenie azjatyckie, a tepili krzak gwoździkowy, dążyli swem postępowaniem poprostu do zmniejszenia obfitości, a podniesienia wartości zamiennej. Całe wieki średnie tej samej trzymały się metody, ograniczając prawodawstwem ilość czeladników w warsztacie oddzielnego majstra, jako też liczbę narzędzi, jakimi mógł on użytkować (przr. Andersona dzieje handlu).

Wystawiwszy obfitość jako użytkową, a rzadkość jako zamienną wartość — nie lżejszego nad dowiedzenie, że obfitość i rzadkość w odwrotnym mają się nawzajem stosunku — utożsamia Proudhon wartość użytkową z zaofiarowaniem, a zamienną z zapotrzebowaniem. Aby antytezę tę uczynić jeszcze jaskrawszą, wprowadza on nowe słowo, zastępując wartość zamienną przez „wartość z przeświadczenia.“ Arena walki uległa zmianie — na jednej stronie mamy użyteczność (wartość użytkową, zaofiarowanie), na drugiej przeświadczenie (wartość zamienną, zapotrzebowanie)

Jak pogodzić te sprzeczne wzajemnie czynniki? Jak je doprowadzić do porozumienia? Czyż da się wyszukać choćby jeden spólny im wszystkim punkt?

„Zaiste, powiada p. Proudhon, mamy taki punkt: cena, która powstaje na tle tej między zaofiarowaniem a zapotrzebowaniem, pożytkiem a przeświadczeniem walki, nie może być wiecznej sprawiedliwości wyrazem.“

Antytezę tę p. Proudhon snuje dalej:

„W swej postawie jako swobodnego nabywcy jestem swych potrzeb sędzią, sędzią celowości przedmiotu i ceny, jaką zań chcę dać. Z drugiej znów strony ty, jako swobodny wytwórca, jesteś środków produkcji panem i możesz zmniejszyć swe wydatki.“ (tom I, str. 42).

A ponieważ zapotrzebowanie czyli wartość zamienna tem samem jest co przeświadczenie, przeto p. Proudhon powiada:

„Dowiedzioną jest rzeczą, że wolna wola stwarza przeciwstawność między zamienną a użytkową wartością. Jak rozwiązać tę przeciwstawność, póki istnieje wolna wola? I jakżeż poświęcić wolną wolę, nie poświęcając zarazem człowieka? (t. I, str. 41)

Nie sposób zatem dojść do jakiegos rezultatu. Mamy walkę między dwiema, że się tak wyrażę, niespójnymi wielkościami, pożytkiem a przeświadczeniem, wolnym nabywcą a wolnym wytwórcą.

Przyjrzyjmy się rzeczy nieco zbliska. Zaofiarowanie nie stanowi wyłącznie pożytek, a przeświadczenie zapotrzebowania. Czyż ten, który nabywa, nie ofiaruje również pewnego wytwórn, czyli raczej przedstawiciela wszelkiego wytworu: pieniędzy, i czyż zdaniem p. Proudhona nie przedstawia on jako zaofiarodawca pożytku czyli wartości użytkowej?

Czyż z drugiej znowu strony, zaofiarodawca nie pożąda jednocześnie pewnego wytworu czyli raczej przedstawiciela wszelkiego

wytworu : pieniędzy? Czyż tem nie reprezentuje on przeświadczenia, wartości zamiennnej czyli wartości z przeświadczenia?

Zapotrzebowanie jest zarazem zaofiarowaniem i nadwrot. A zatem antyteza Proudhona, utożsamiająca zaofiarowanie i zapotrzebowania z pożytkiem i przeświadczeniem, spoczywa na czezej abstrakcji.

Co Proudhon wartością zamienną, to samo inni ekonomiści z taką samą racją zowią wartością z przeświadczenia. Niech wolno nam będzie cytować jedynie Storcha (Cours d'economie politique, Paryż 1823, str. 88 i 99).

Jego zdaniem rzeczy, których pożądamy, zowią się potrzebami; wartościami zaś te, którym wartość przypisujemy. Największa ilość rzeczy posiada jedynie wartość, albowiem zadawalniają one wytworzone drogą przeświadczenia potrzeby. Atoli przeświadczenie o naszych potrzebach może ulegać zmianom, a tem samem też użyteczność rzeczy, wyrażająca jedynie tych rzeczy stosunek do naszych potrzeb. Nawet przyrodzone potrzeby ciąglemu ulegają przeistaczaniu: W samej rzeczy, jaka to rozmaitość np. panuje w przedmiotach, stanowiących wśród różnych ludów główne ich pożywienie!

Nie między pożytkiem a przeświadczeniem toczy się walka — wrota między ceną targową, jaką zamawia zaofiarodawca, a taką samą ceną, ofiarowywaną przez potrzebującego. Wartość zamienna wytworu jest wciąż rezultatem tych przeciwnych sobie oszacowywań.

W ostatniej instancji zaofiarowanie i zapotrzebowanie przedstawiają produkcję i konsumpcję, lecz produkcję i konsumpcję, oparte na wymianie między oddzielnymi osobnikami.

Wytwór, który zaofiarowuje się, nie przedstawia sam w sobie nie użytecznego. Dopiero spożywcą przyznaje mu użyteczność. A nawet gdy mu już przyznano własności użyteczne, nawet wtedy nie stanowi on jedynie użyteczności. Podczas produkcji wymieniał się on na różne koszty produkcji, jako to materiały surowe, płacę roboczą i t. d. — a wszystko to są rzeczy, targową posiadające wartość. W ten sposób dla wytwórcy produkt przedstawia pewną wartośći targowych sumę. Ofiarowuje on nie tylko pewien użyteczny przedmiot, lecz nadto i to głównie wartość zamienną.

Co się tyczy zapotrzebowania, jest ono na tyle czynnem, o ile posiada do swego rozporządzenia środki wymiany. A środki te są znowu wytworami, wartościami zamiennymi.

W zaofiarowaniu i zapotrzebowaniu znajdujemy z jednej strony wytwór kosztujący wartości zamiennych i chęć do sprzedaży, z drugiej środki, które też kosztowały wartości zamiennych, i pragnienie kupna.

P. Proudhon wolnemu wytwórcy przeciwstawia takiegoż nabywcę. Obydwom przypisuje metafizyczne własności. Może on też z tego powodu powiedzieć: „dowodzoną jest rzeczą, że wolna to wola człowieka stwarza przeciwstawność między zamienną a użytkową wartością.“

Pokąd wytwórca wśród opartego na podziale pracy i jednostkowej wymianie społeczeństwa produkuje — a takiem jest założenie p. Proudhona — musi on zbywać. Proudhon wytwórcę czyni środków produkcji panem, ale zgodzi się on z nami, że posiadanie tych

środków nie od wolnej zależy woli. Co więcej, te środki produkcji po większej części są z zewnątrz nadchodzącymi wytworami, a nadto w obecnej produkcji nie posiada on tej wolności, aby wytwarzać tyle, ile mu się spodoba — obecny rozwój sił wytwórczych, zmusza go w takich lub owakich określonych wytwarzać rozmiarach.

Nie więcej od wytwórcy wolnym jest spożywcą. Jego przeświadczenie zależy od jego środków i potrzeb. A te i tamte są odbiciem jego społecznego stanowiska, zależącego znowu od całego społecznego ustroju. Robotnik, kupujący kartofle, i utrzymanka, kupująca koronki, jednakowo słuchają się tylko swego względnego przeświadczenia; ale niejednakowość ich przeświadczeń wynika z różnorodności stanowiska — a to ostatnie jest społecznego ustroju tworem.

Czyż systemat potrzeb w swym ogóle opiera się na przeświadczeniu, czy też na całości produkcji? W większości wypadków potrzeby zdradza produkcja czyli oparta na produkcji całość stosunków. Handel powszechny prawie wyłącznie obraca się około potrzeb — nie jednostkowej konsumpcji, lecz produkcji. Wybierzmy odmiennego rodzaju przykład: czyż zapotrzebowanie rejentów nie każe przypuszczać określonego prawa cywilnego, a to ostatnie znowu czyż nie jest wyrazem określonego stadjum własności t. j. produkcji?

Ze ze stosunku zaofiarowania do zapotrzebowania wykluczył on omawiane przez nas czynniki — tego jeszcze p. Proudhonowi nie dość. Doprowadza on abstrakcyję do ostateczności, zlewając ogół wytwórców w jedną osobę, w jednego wytwórcę, a ogół spożywców w jednego spożywcę i twierdząc, że walka się toczy między temi dwiema chimerycznymi postaciami. Ale w realnym świecie rzeczy innym podążają torem. Konkurencja wśród samych zaofiarodawców jakoteż wśród samych nabywców stanowi konieczny składnik walki między sprzedawcami a kupującymi, walki ustanawiającej wartość zamienną.

Wykluczwszy koszty produkcji i konkurencji, p. Proudhon mógł już dowolnie doprowadzić formułę zaofiarowania i zapotrzebowania do absurdu:

„Zaofiarowanie i zapotrzebowanie, powiada on, niczem innem nie są, jeno dwiema konwencyjonalnymi formami, służącemi do tego, aby przeciwstawić samym sobie wartość zamienną a użytkową i wywołać ich obieg. Są to dwa elektryczne bieguny, które, złaczone, muszą dać życie objawowi powinowactwa, zwanemu wymianą“ (t. I, str. 47 i 50).

Z taką samą racją można by powiedzieć, że wymiana jest jedynie „konwencyjonalną formą“, aby spożywcę sprowadzić do przedmiotu spożycia. Również można by powiedzieć, że wszystkie ekonomiczne stosunki są jedynie „konwencyjonalnymi formami“ w celu ułatwienia bezpośredniego spożycia. Zaofiarowanie i zapotrzebowanie są to stosunki właściwe pewnej określonej produkcji — nie mniej i nie więcej nad jednostkową wymianę.

W czem więc zawiera się cała dyalektyka p. Proudhona?

W podstawieniu wartości użytkowej i wartości zamiennnej, zaofiarowaniu i zapotrzebowaniu — pojęć abstrakcyjnych i sprzecznych, takich jak: rzadkość i obfitość, użytek i opinia, jeden wytwórca i jeden konsument, obaj kawalerowie wolnej woli..

I do czego chciał z tem dojść?

Do zachowania sobie możności wprowadzenia później jednego z elementów, dotąd pomijanego, kosztów produkcji, jako syntezy wartości użytkowej i wartości zamiennej. W taki sposób w jego oczach koszt produkcji tworzą wartość syntetyczną, czyli wartość ukonstytuowaną.

II. WARTOŚĆ UKONSTYTUOWANA CZYLI WARTOŚĆ SYNTETYCZNA

„Wartość jest kamieniem węgielnym ekonomii politycznej“. Wartość „ukonstytuowana“ jest kamieniem węgielnym systemu sprzeczności ekonomicznych.

Cóż więc jest ta „wartość ukonstytuowana“, która stanowi całe odkrycie p. Proudhona w ekonomii politycznej?

Raz uznano pożytek (jako element wartości), praca staje się źródłem wartości. Miara pracy jest czas. Wartość względna produktów określa się przez ilość czasu, potrzebowanego na wyprodukowanie ich. Cena jest wyrażeniem za pomocą pieniędzy wartości względnej produktu. Nakoniec wartość ukonstytuowana pewnego produktu jest wprost wartością, wytworzoną przez czas pracy, zawarty w danym produkcie.

Jak Adam Smith odkrył podział pracy, tak p. Proudhon utrzymuje, że odkrył wartość ukonstytuowaną. W rzeczywistości nie jest to „coś niesłychanego“, ale trzeba przyznać, że niema nic niesłychanego w jakimkolwiek odkryciu w ekonomii. P. Proudhon, który czuje całą ważność swego odkrycia, stara się jednak zmniejszyć swoją zasługę, „aby upewnić czytelnika co do swych pretensyj do oryginalności i pogodzić ze sobą umysły, które przez swoją trwóźliwość nie są skłonne do przyjęcia nowych idei“. Lecz w miarę jak rozpatruje, co każdy z jego poprzedników uczynił dla zrozumienia wartości, zmuszony jest przyznać głośno, że największą część, lwia część zasługi jemu się należy.

„Syntetyczna idea wartości była ogólnikowo pojmowana przez Adama Smitha... Lecz idea ta była całkiem intuicyjną u niego: otóż społeczeństwo nie zmienia swych przyzwyczajęń na wiarę intuicji: ono uznaje tylko autorytet faktów. Trzeba było, żeby sprzeczność wyraziła się w sposób bardziej wydajny, bardziej wybitny: J. B. Say był jej głównym wyraziścielem“.

Oto całkowita historia odkrycia wartości ukonstytuowanej: A. Smith miał ogólnikowe pojęcie; u J. B. Say'a sprzeczność, p. Proudhonowi przypada prawda konstytuująca i „ukonstytuowana“. I nie pozwólmy się zbłądzi z tropu: wszyscy inni ekonomiści od Say'a do Proudhona kręcili się tylko po ubitej ścieżce sprzeczności. „Jest to nie do uwierzenia, żeby tylu ludzi rozsądnych od lat czterdziestu rzucało się przeciw tak prostym idei. Ale nie, porównanie wartości wypełnia się bez tego, żeby te wartości miały jakiegokolwiek punkt wspólny do porównania się i jedność miary — oto co ekonomiści dziewiętnastego wieku zdecydowali się utrzymywać przeciw wszy-

stkim, zamiast przyjąć rewolucyjną teorią równości. Co powie o tem potomność?“ (T. I str. 68).

Potomność, tak gwałtownie wezwana, zacznie od powątpiewania co do chronologii. Ona musi zadać sobie pytanie: Czyż Ricardo i jego szkoła nie należą do ekonomistów XIX-go wieku? Systemat Ricardo, stawiający zasadę, że „odnośna wartość towarów wyłącznie spoczywa na niezbędnym dla ich wytworzenia czasie“, datuje od 1817. Ricardo stoi na czele całej szkoły, panującej w Anglii od czasów Restauracji. Doktryna Rikarda wyraźnie, nieubłaganie reprezentuje całą burżuazję angielską, będącą znowu typem nowoczesnej burżuazji w ogóle. „Co o tem powie potomność?“ Nie powie, aby Proudhon nie znał Rikarda, gdyż długo i szeroko o nim rozprawia, wciąż doń powraca i ostatecznie powiada, że cały jego systemat jest „śmieciem“. Jeżeli wda się w tę sprawę kiedykolwiek potomność, wtenczas, być może, powie ona, że Proudhon, obawiając się obruszyć anglofobiję swych czytelników, wołał wystąpić sam w roli odpowiedzialnego wydawcy idei Rikarda. Ale cokolwiek zdąży się, w każdym razie naiwna jej się wyda ta okoliczność, że Proudhon jako „rewolucyjną teorią przyszłości“ wykłada to, co, jak naukowo dowiódł Ricardo, stanowi teorię obecnego mieszczańskiego społeczeństwa, i że przyjmuje on jako rozwiązanie antynomii między zamienną a użytkową wartością to, co oddawna już Ricardo ze swą szkołą wystawili jako naukową formułę jednej strony antynomii, wartości zamiennej. Ale raz na zawsze dajmy spokój potomności, i urządzmy naoczną stawkę Proudhona z jego poprzednikiem, Rikardem. Następujące ustępy z tego pisarza streszczają jego teorią wartości:

„Użyteczność zgoda nie jest miarą wartości zamiennej, lubo stanowi jej konieczny czynnik“ (Principes de l'economie politique, t. I, str. 3).

„Gdy raz już rzeczom przyznano użyteczność, wtedy ich wartość zamienna z dwóch powstaje źródeł: z ich rzadkości i niezbędnej do ich zdobycia ilości pracy. Istnieją rzeczy, których wartość jedynie od ich rzadkości zależy. Ponieważ żadna praca nie jest w stanie przysporzyć ich ilości, przeto wartość ich może zmniejszyć się jedynie na mocy ich obfitości. Tutaj zaliczyć się godzi posagi, cenne obrazy i t. d. Wartość ta zależy jedynie od zamożności, smaku i kaprysu ludzi, żadnych ich nabyć“ (t. I, str. 4 i 5 passim). „Stanowią one atoli bardzo nieznaczna liczbę z pośród codziennie wymienianych towarów. Ponieważ największa ilość pożądanego przedmiotów jest tworem przemysłu, przeto, skoro tylko zgodzimy się na niezbędny tutaj wydatek pracy, możemy ją nietylko w jednym lecz w wielu krajach powiększyć prawie w nieograniczonym stopniu“ (t. I, str. 5). „Jeżeli przeto mówimy o towarach, ich wartości zamiennej i zasadach, regulujących ich cenę, mamy zawsze na uwadze tylko te towary, których ilość ludzką pracą dowolnie daje się pomnażać, których produkcja zachęcana jest przez konkurencję i nie napotyka żadnej zapory“ (t. I, str. 3).

Rikardo cytuje A. Smitha, który, jego zdaniem, „z wielką dokładnością rozebrał pierwotne źródło wartości zamiennej“ (Smith I, roz. V), i dodaje:

„Ze to (t. j. czas roboczy) istotną stanowi podwalinę wartości zamiennej wszystkich rzeczy, wyjąwszy tych, które ludzka praca nie mogą być dowolnie przysparzane — zdanie takie jest najważniejszym ekonomii politycznej twierdzeniem: znikąd bowiem nie wypłynęło tyle błędów, nie powstało tyle różnych sądów w tej nauce, jak z powierzchownego i niedokładnego wyłożenia słowa: wartość“ (t. I, str. 8). „Jeżeli zawarta w pewnym przedmiocie ilość pracy określa jego wartość zmienną, to ztąd wynika, że każdy wzrost wydatku pracy musi zwiększać wartość przedmiotu, na który poszedł ten wydatek, a każde zmniejszenie pracy obniża cenę“ (t. I str. 9).

Następnie Rikardo A. Smithowi czyni zarzuty.

1) że „dla wartości wystawiał odmienną od pracy skalę — to wartość zboża, to znowu ilość pracy, jaką w stanie jesteśmy nabyć za pewną rzecz“ (t. I str. 9 i 10).

2) że „zasadę przyjął bez zastrzeżenia, jakkolwiek ograniczył jej zastosowanie jedynie do pierwotnego i niewyrobionego ustroju społecznego, który poprzedził nagromadzenie kapitałów i prywatną własność gruntów“ (t. I str. 21).

Rikardo stara się dostarczyć dowodów, że własność ziemiska (gruntowa), t. j. renta, nie może na wartość środków spożywczych wywrzeć wpływu, i że gromadzenie kapitałów wpływa w sposób chwilowy i oscylacyjny na stosunki wartościowe, zależne od stosunku wydatkowanej na ich produkcję ilości pracy. Co aby dowieść, rozwija on swą teorię renty gruntowej, analizuje kapitał i w ostatniej instancji dochodzi do wniosku, że jest to jedynie nagromadzona praca. Następnie snuje on całą teorię co do stosunku procentu a płacy roboczej i dowodzi, że płaca i procent w odwrotnym do siebie podnoszą się lub spadają stosunku, nie wpływając zgola na wartość wytworu. Przyczem nie przecza on tego wpływu, jaki na odnośną wartość wytworu wywrzeć mogą nagromadzenie kapitałów i różna tych ostatnich natura (kapitał stały i zmienny), jako też wysokość płacy. Pytania te nawet najgłówniej zajmują Rikarda.

„Wszelkie zaoszczędzenie pracy, powiada on, natychmiast zmniejsza odnośną wartość*) towaru, czy to będzie zaoszczędzenie pracy, potrzebnej do wytworzenia przedmiotu, czy też pracy się ono utworzenia wydatkowego przy tej produkcji kapitału“ (t. I str. 48). „Dopóki dzień roboczy jednemu będzie dostarczał tę samą masę ryb, drugiemu zaś odpowiednią ilość zwierzyny, aż póty naturalna wysokość odnośnych cen zamiennych pozostanie tą samą, bez względu na zmiany, które mogą zajść w płacy roboczej i procentach, i na wszelkie kapitałów nagromadzenie“ (t. I str. 32). Rozpatrywaliśmy

*) Ricardo, jak wiadomo, wartość towaru określa „ilością pracy, potrzebnej do jego wytworzenia“. Forma wymiany, panująca przy wszelkiej towarowej, a zatem i przy kapitalistycznej produkcji, sprowadza to, że wartość wyraża się nie wprost ilością pracy, lecz ilością jakiegoś innego towaru. Wartość towaru, wyrażona pewną ilością innego towaru (pieniężmi — lub też nie), nazywa się u Rikardo wartością względną.

pracę jako podstawę wartości rzeczy, a potrzebną do ich wytworzenia ilość pracy jako skalę, określającą ilość towarów, które należy przy wymianie ofiarować za nie; nie chcemy wszakże zaprzeczać temu, aby w każdorazowej cenie towarów nie odbywały się chwilowe i przechodne od tej pierwotnej naturalnej ceny odchylenia“ (t. I str. 105). O cenie towarów w ostatniej instancji stanowią kosztą produkcji, a nie, jak zwykle powiadają, stosunek zaofiarowania do zapotrzebowania“ (t. II str. 253).

Lord Lauderdale rozbił zmiany w wartości zamiennej na zasadzie prawa zaofiarowania i zapotrzebowania czyli rzadkości i obfitości w stosunku do zapotrzebowania. Jego zdaniem wartość pewnej rzeczy podnosi się, skoro jej masa się zmniejsza lub zapotrzebowanie wzrasta; ponizają się zaś w miarę wzrostu jej ilości lub zmniejszenia się zapotrzebowania. Tak więc wartość pewnego przedmiotu może się zmieniać z powodu aż ośmiu odmiennych przyczyn, mianowicie dla czterech czynników, tkwiących w poprzednim, i czterech innych, wynikających z pieniędzy lub wszelkiego innego towaru, służącego za miernik wartości. Rikardo to obala jak następuje:

„Wytwory, stanowiące monopol jednostki lub społeczeństwa, zmieniają swą wartość podług wystawionego przez lorda Lauderdale prawa; ponizają się z wzrostem zaofiarowania i podnoszą się z popytem; cena ich w żadnym koniecznym do ich naturalnej wartości nie znajduje się związku. Co się zaś tyczy rzeczy, które podlegają konkurencyj ze strony sprzedawców i których ilość w pewnych granicach można pomnażać, cena ich ostatecznie zależy nie od zapotrzebowania i dowozu, lecz od zmniejszania się lub wzrastania kosztów produkcji“ (t. II str. 159).

Niechaj czytelnik tak jasną, ścisłą mowę Rikarda porówna z retorycznymi wysiłkami, jakie czyni p. Proudhon w celu dojścia do tego, że wartość zmienną określa czas pracy.

Rikardo ukazuje nam rzetelny ruch mieszczańskiej produkcji, ustanawiającej wartość. P. Proudhon abstrahuje od tego rzeczywistego ruchu i pociąga się nad wynalezieniem nowych procesów i nad umieszczeniem świata w pozornie nowej formułce, będącej atoli jedynie teoretycznym wyrazem tak jasno wyłożonego przez Rikarda rzeczywistego ruchu. Rikardo za punkt wyjścia bierze obecne społeczeństwo, aby nam wykazać, jak ono ustanawia wartość; p. Proudhon znowu za taki punkt bierze ukonstytuowaną wartość, aby przy pomocy tej wartości budować nowy świat społeczny. Według p. Proudhona, wartość ustanowiona (ukonstytuowana) powinna zrobić koło i zamienić się w ustanawiającą względem świata, całkowicie już ukonstytuowanego według powyższej modły. Określenie wartości czasem roboczym stanowi, zdaniem Rikarda, prawo wartości zamiennej, zdaniem zaś p. Proudhona jest to synteza, spójnią wartości zamiennej i użytkowej. Rikardowska teoria wartości jest naukowym wykładem obecnego pojęcia ekonomicznego, odnośna znowu teoria Proudhonowska — utopijnym wyłożeniem teorii Rikarda. Rikardo dowodzi prawdziwości swej formuły, wywnioskując ją na mocy ogółu zjawisk ekonomicznych i w ten sposób wyjaśniając wszelkie przejawy, nawet te, które na pierwszy rzut oka pozornie przeczą jego twierdzeniu, jako to rentę, nagromadzenie kapitałów i stosunek płacy do procentów. Właśnie to czyni jego do-

ktryne naukowym systematem; p. Proudhon, który tę Rikardowską formułę na nowo odszukał za pomocą czysto dowolnych hipotez, musi zgodnie ze swem postępowaniem poszukiwać osobnych zjawisk ekonomicznych, torturować je i fałszować, aby je wystawić jako przykłady, jako już istniejące zastosowania, jako zarodki urzeczywistnienia się jego nowotwórczej idei (patrz: § 3, zastosowanie ukonstytuowanej wartości).

Przejdźmy teraz do wniosków, jakie wyciąga p. Proudhon ze swej ukonstytuowanej (przez czas roboczy) wartości.

Pewna masa pracy jest równowartościową temu produktowi, który stwarzamy tą masą pracy.

Każdy dzień pracy tyleż wart, co każdy inny, t. j. przy tej samej masie praca jednego tyleż warta co każdego drugiego — nie masz żadnej jakościowej różnicy. Przy tej samej ilości pracy wytwór jednego wymienia się na wytwór wszystkich innych. Wszyscy ludzie są tu wolnymi najmitami, jednak płatnymi za ten sam czas roboczy. Zupełna równość przewodzi wymianie.

Czyż te wnioski są naturalnymi i koniecznymi wynikami „ukonstytuowanej“ t. j. określonej czasem roboczym wartości.

Jeżeli wartość pewnego towaru określa się przez niezbędną dla jego wytworzenia ilość pracy, to ztąd koniecznie wynika, że wartość pracy, t. j. płaca robocza, określa się również czasem roboczym, koniecznym do jej wytworzenia. Płaca, t. j. odnośna wartość czyli cena pracy określa się zatem czasem roboczym, koniecznym do wytworzenia wszystkiego tego, co robotnik potrzebuje, aby żyć. „Zmniejszenie kosztu produkcji kapeluszy, a ich cena ostatecznie spadnie do swej naturalnej ceny, bez względu na podwojenie, potrojenie i t. d. zapotrzebowania. Zmniejszenie kosztu utrzymania ludzi obniżeniem naturalnej ceny niezbędnych do życia pokarmów i odzieży, a ujrzenie, że płaca poniży się nawet wtedy, jeżeli zapotrzebowanie robotników znacznie wzrośnie“ (Rikardo, t. II str. 253).

Oczywista, że mowa Rikarda jest cyniczną w najwyższym stopniu. Przyrównać kosztu produkcji kapeluszy do kosztów utrzymania ludzi — jest to samo, co zamienić ludzi w kapelusze. Ale prosię się nie zżymać na ten cynizm. Leży on w rzeczach, lecz nie w słowach, wskazujących na te rzeczy. Francuzcy pisarze jak pp. Droz, Blanqui, Rossi i inni sprawiają sobie tę niewinną rozrywkę, że zaznaczają swą podniosłość w porównaniu z pisarzami angielskimi zachowywaniem „humanitarnej“ mowy; jeżeli zarzucają Rikardowi i jego szkole cyniczne wystowienie, to tylko dla tego, że ono ich razi, że odsłania w całej nagości ekonomiczne stosunki, zdradza tajemnice burżuazji.

Streśmy: praca, o ile jest towarem, mierzy się jako taki czasem roboczym, niezbędnym do wytworzenia towaru-pracy. Co zaś potrzeba ku temu? Akurat tej pracy, która potrzebną jest na wytworzenie przedmiotów, niezbędnych dla nieprzerwanego utrzymania pracy t. j. dla umożliwienia robotnikowi życia i rozplądania swej rasy.

Naturalną cenę pracy stanowi jedynie minimum płacy*). Jeżeli rynkowa cena płacy wybiega po za swą naturalną cenę, czyni to z powodu, że wystawione przez Proudhona prawo wartości znajduje sobie przeciwwagę w zmiennym stosunku zapotrzebowania a zaofiarowania. Wszelakoż minimalna płaca pozostaje punktem środkowym, ku któremu ciąży targowa cena płacy.

Tak więc mierzona czasem roboczym wartość z konieczności stanowi formułę dla obecnego niewolnictwa robotników, miasto tego, by, jak to twierdzi p. Proudhon, stanowić miała „rewolucyjną teorię“ wyzwolenia proletariatu.

Popatrzmy teraz, w ilu to razach praca robocza jako skala wartości nie zgadza się z obecnym antagonizmem klasowym i nierównolitym podziałem owocu pracy między bezpośrednich wytwórców (robotników) a posiadacza wytworu.

Weźmy jakiś wytwór np. płótno. Jako taki zawiera on w sobie pewną określoną ilość pracy, która to ilość będzie stałą bez względu na sytuację tych, którzy uczestniczyli w produkcji tego wytworu.

Weźmy inny wytwór np. sukno, któryby wymagał tej samej, co płótno ilości pracy.

Jeżeli te dwa wytwory nawzajem się wymieniają, wymiana tyczy się równych ilości pracy. Kiedy wymieniamy takie równe ilości czasu roboczego, zgoda jeszcze nie wymieniamy wzajemnego położenia wytwórców, ani też w niczem nie zmieniamy wzajemnego stosunku robotników do fabrykantów. Twierdzić, jakoby taka wymiana czasem roboczym mierzonych wytworów spowodowywała równą dla wszystkich wytwórców zapłatę, byłoby to przypuszczać, że wymianę poprzedził równolity podział wytworu. Raz wymieniono sukno na płótno — wtedy wytwórcy sukna otrzymają tę samą część z płótna, jaka na nich poprzednio przypadła z sukna.

Illuzję p. Proudhona aż tak daleko sięgają, że uważa za wynik to, co najwyżej godzi się uważać za nieuzasadnione założenie.

Idźmy dalej.

*) Prawo, według którego „naturalna“ t. j. normalna cena siły roboczej równa się minimum płacy zarobkowej t. j. ekwiwalentowi kosztów bezwzględnie niezbędnych do utrzymania i rozmnażania się robotnika — prawo to było po raz pierwszy wyprowadzone przeze mnie w „Umrisen zu einer Kritik der Nationalökonomie“ (Deutsch-französische Jahrbücher. Paris, 1844.) i w „Lage der arbeitenden Klasse in England“. Jak widać z powyższego, Marx wtedy uznawał to prawo. Od nas obu zapożyczył go Lassalle. Ale chociaż płaca zarobkowa w rzeczywistości bezustannie podaża w kierunku swego minimum, to jednak prawo to jest fałszywym. Ten fakt, że siła robocza zwykle bywa, przeciętnie biorąc, taniej płaconą, aniżeli jej wartość, nie zmienia jej wartości. Marx w „Kapitale“ należycie rozwinął to prawo (Rozdział: sprzedaż i kupno siły roboczej), jak również (Oddział XXIII: powszechne prawo kapitalistycznego nagromadzenia) wyjaśnił okoliczności, które przy kapitalistycznej produkcji, dają możliwość coraz bardziej opuszczać płacę roboczą poniżej jej wartości.

Czyż czas roboczy, jako skala wartości, każe przynajmniej przypuszczać, że dnie (robocze) równie są wartości, t. j. że dzień roboty jednego tyleż wart co każdego innego? Bynajmniej.

Dajmy na to, że dzień roboczy robotnika jubilerskiego równa się trzem dniom roboczym tkacza, wtedy każda zmiana w wartościowym stosunku ozdób do tkanin, o ile nie jest przez chwilowe wahania zaofiarowania i zapotrzebowania wywołana, wynikać będzie ze zmniejszenia lub powiększenia czasu roboczego, zużytkowanego na wytworzenie jednego lub drugiego gatunku wytworów. Przypuśćmy, że trzy dni robocze trzech różnych robotników mają się do siebie jak 1, 2 i 3; wtedy każda zmiana w odnośnej ich wytworów wartości będzie zmianą w tym samym stosunku 1, 2, 3. W ten sposób, mimo niejednakową różnych dni roboczych wartość, możemy wartość mierzyć czasem roboczym; atoli, by móc zastosować taką miarę, musimy posiadać porównawczą dla różnych dni roboczych skalę: tej skali dostarcza konkurencja.

Czy twój dzień roboczy wart tyleż co mój? O tem pytaniu rozstrzyga konkurencja.

Zdaniem pewnego ekonomisty amerykańskiego, konkurencja stanowi o tem, ile dni prostej pracy zawiera się w jednym dniu pracy złożonej. Czyż to sprowadzenie dni roboczych pracy złożonej na dnie prostej pracy nie przypuszczenia już z góry, że prostą pracę przyjmujemy za skalę? Jeżeli bierzemy ilość pracy samą w sobie, bez względu na jakość, za skalę wartości, to tem samem zakładamy, że prosta praca stała się węgielnym przemysłu kamieniem. Co każe przypuszczać, że, dzięki podporządkowaniu człowieka maszynie lub drobiazgowemu podziałowi pracy, prace różne stały się jednostajnymi, że człowiek niknie w obce pracy, że wahadło zegarowe stało się ścisłym miernikiem stosunku wykonanych przez dwóch robotników robót, jak nim jest dla prędkości dwóch lokomotyw. Nie możemy nadal mówić, że godzina (pracy) jednego człowieka równa jest godzinie każdego innego, lecz raczej że jeden człowiek przez godzinę tyleż wart, ile przez ten sam czas inny człowiek. Czas jest wszystkim, sam zaś człowiek niczem — co najwyżej pozostał jeszcze ucieleśnionym czasem. O jakości nie może być więcej mowy. Jedynie o wszystkim decyduje ilość: godzina za godzinę, dzień za dzień; alio to ujednostajnienie pracy zgoła nie jest dziełem wiecznej p. Proudhona sprawiedliwości. Jest ono poprostu nowożytnego przemysłu tworem.

W fabryce, pracującej za pomocą maszyn, praca jednego robotnika ani na jotę prawie nie różni się od pracy każdego innego: robotnicy mogą się tylko tym czasem odróżniać, jaki zużywają przy pracy. Wszelakoż ta ilościowa różnica wydaje się z pewnego stanowiska jakościową, mianowicie o ile zużyty na pracę czas z jednej strony zależy od czysto materyjalnych warunków, jak fizyczna budowa, wiek, płeć, z drugiej zaś strony od moralnych czysto ujemnych przymiotów, jako to cierpliwość, niewrażliwość, pilność. Wreszcie jeżeli wśród pracy robotników natrafiamy na jakościową różnicę, jest ona co najwyżej najgorszego jakościowego gatunku, zbyt daleka od tego, aby stać się szczególną specjalnością. Takim ostatecznie jest stan rzeczy wśród nowożytnego przemysłu. I do tej to równości, urzeczywistnionej wśród świata maszyn, zastosowuje p.

Proudhon swą dźwignię ujednostajnienia, które powszechnie ma się urzeczywistnić dopiero „w przyszłym czasie“.

Wszystkie „sprowadzające równość“ wnioski, które p. Proudhon wyprowadza z teorii Rikarda, spoczywają na zasadniczym błędzie. Mianowicie, płacę on określoną zużytkowanym czasem roboczym wartość wytworów z wartością takąż, określaną przez „wartość pracy“. Gdyby oba te sposoby mierzenia wartości towarów jedno i to samo wyrażały, wtedy bez różnicy można by powiedzieć: wartość pewnego towaru mierzy się przez wcieloną weni ilość pracy, lub też: przez ilość pracy, jaką zań zdołamy zakupić; lub nareszcie: przez ilość pracy, jaka nań zdoła zapracować. Ale rzecz się ma zupełnie inaczej. Wartość pracy nie więcej może służyć za skalę wartościom, jak wszelkiego innego towaru wartość. Kilka przykładów wystarczy dla uzmysłowienia powyższych słów.

Gdyby szefel zboża miasto jednego dnia roboczego kosztował, wartość jego była by podwojeniem jego wartości pierwiastkowej; atoli nie zdołałaby wprowadzić w ruch podwójną ilość robotników, gdyż nie więcej niż dawniej zawiera w sobie pożywnych substancji. Wartość zatem zboża, mierzoną zużytkowanym na produkcję wydatkiem pracy, podwoiła się; wszelakoż mierzona czy to w tej ilości pracy, jaką za nią możemy nabyć, czy to w tej, jaką ją może nabyć, zgoła się nie podwoiła. Z drugiej strony, jeżeli ta sama praca dwa razy tyle odzieży co poprzednio wytwarza, wtedy wartość przyodziewku spadnie o połowę; atoli ta podwójna masa odzieży nie spadła jeszcze na tyle w cenę, aby mogła rozporządzać jedynie połowiczną ilością pracy, ani też ta sama praca nie jest jeszcze na tyle w cenę, aby mogła rozporządzać jedynie połowiczną ilością pracy, ani też ta sama praca nie jest jeszcze w stanie rozkazywać zdwojonej ilości odzieży; albowiem połowiczna ilość ubrania te same co przedtem będzie świadczyła robotnikom usługi.

Mierzenie wartości środków spożywczych wartością pracy przeczy ekonomicznym faktom; jest to kreć się w błędnem kółku, odnośną wartość określać przez odnośną, która znowu z kolei powinna dopiero zostać określoną.

Najmniej jest nie ulega wątpliwości, że p. Proudhon obie te miary — niezbędny do wytworzenia pewnego towaru czas i wartość pracy — miesza nawzajem. „Praca każdego człowieka, powiada on, zdolna jest kupić tę wartość, którą w sobie zawiera“ (wyd. I str. 81). A więc jego zdaniem pewna zawarta w wiadomym wytworze ilość pracy tyleż jest warta, co zapłata robotnikowi t. j. wartość pracy. Ten sam wniosek dozwala mu utożsamiać kosztą produkcji a płacę.

„Co to jest płaca? Jest to cena produkcji zboża i t. d., jest to całkowita cena każdej rzeczy“. Idźmy dalej. „Płaca jest to proporcjonalność składników, stanowiących bogactwo“ (str. 110). Co to jest płaca? Wartość pracy.

A. Smith za miarę wartości bierze bądź potrzebny na wytworzenie pewnego towaru czas roboczy, bądź wartość pracy. Rikardo odkrył ten błąd, dokładnie zaznaczając różnorodność obu tych rodzajów miar. Proudhon przewyższa jeszcze A. Smitha w błędzie, gdyż utożsamia dwie rzeczy, które ten ostatni obok siebie stawiał. By rzeczywisty znaleźć stosunek, w jakim robotnicy uczestniczą w wytworze,

czyli innemi słowy, by określić odnośną wartość pracy, poszukuje p. Proudhon miary dla względnej wartości towarów. By tę ostatnią miarę odszukać, nie znajduje nic lepszego nad wystawienie sumy produktów, dostarczonych przez pewną ilość pracy, jako równoznacznika tej ilości pracy — co każe mniemać, że całe społeczeństwo składa się jedynie z robotników, otrzymujących w zarobku swój własny produkt. Powtóre, podaje on jako fakt niewątpliwy, że dnie robocze różnych robotników tą samą posiadają wartość, jednym słowem poszukuje on miary dla odnośnej wartości towarów w tym celu, aby w rezultacie otrzymać jednakowe wynagrodzenie robotników, a równość zarobków zakłada z góry jako już istniejący fakt, aby mógł poszukiwać odnośną wartość wytworów. Jaka niezwykła zaiste dyalektyka.

„Say i jego zwolennicy zauważyli, że, ponieważ praca sama podległa jest oszacowywaniu, jednym słowem jest takim samym, jak wszelki inny, towarem, przeto wytwarza się błędne kółko, skoro postawimy ją za zasadę i najważniejszy czynnik wartości. Ekonomisci ci, z przeproszeniem, dali tem dowód niesłychanego niedbalstwa. Powiadają o pracy, że posiada ona wartość nie jako właściwy towar, lecz odnośnie do wartości, które ich zdaniem praca w sobie potencyjalnie zawiera. Wartość pracy jest to figuralny sposób wyśłowienia; jest to tego samego kalibru fikcja, jak wytwórczość kapitału. Praca produkuje, kapitał posiada wartość. Za pośrednictwem pewnego rodzaju elipsy powiadamy: wartość pracy.... Praca zupełnie jak wolność.... ze swej istoty jest nieokreślona i niejasna, jest czemś, co atoli stosownie do przedmiotu przyjmuje pewną określoną formę t. j. co w wytworze staje się rzeczywistością“.

„Ale po co na tem się zatrzymywać? Skoro ekonomista (czytaj p. Proudhon) miesza nazwy rzeczy, vera rerum vocabula, tem samem przyznaje się, lubo nie powiada, do niemocy i składa broń“ (str. 188).

Widzieliśmy, w jaki sposób p. Proudhon z wartości pracy czyni „najważniejszy czynnik“ wartości wytworów, mianowicie, że dlań płaca, jak zazwyczaj zowią „wartość pracy“, stanowi „zupełną każdą rzeczy wartość“. Oto dlaczego sprawia mu kłopot zarzut Say'a. W towarze-pracy, będącej niezwykłą realnością widzi on jedynie gramatyczną elipsę. Odpowiednio do tego całe obecne, na towarowym charakterze pracy oparte, społeczeństwo zasadza się odąd na pewnego rodzaju swobodzie poetyckiej, na obrazowym wyśłowieniu. Jeżeli społeczeństwo chce „wyteplić wszystkie dolegliwości“, pod uciskiem których się ugina, niechaj wyteplić źle brzmiące wyrażenia, niech przekształci mowę; w tym celu potrzebuje się jedynie zwrócić o pomoc do Akademii i zażądać nowego wydania słownika. Po wszystkim, cośmy widzieli, z łatwością pojmieny, dlaczego p. Proudhon w swem dziele z dziedziny ekonomii politycznej musi tak długo prowadzić rozprawę nad etymologią i innemi częściami gramatyki. W taki sam sposób uczenie rozprawia on nad starodawnym wyprowadzaniem słowa servus od servare. Te filologiczne rozprawy głębokie posiadają znaczenie, stanowią istotną część proudonowskiego dowodzenia.

Praca, o ile się ona sprzedaje i kupuje, jest towarem, jak wszelki inny, i z tego powodu posiada wartość zamienną. Atoli jak war-

tość zboża, czyli zboże jako towar, nie służy zgoła na pokarm, tak samo wartość pracy, czyli praca jako towar, nie wytwarza.

Praca warta jest mniej lub więcej stosownie do tego, czy środki spożywcze stoją wyżej lub niżej, a zapotrzebowanie sił roboczych i ich zaopiarowanie w takich lub owakich istniejących rozmiarach, i t. d.

Praca nie jest czemś „nieokreślonym“, lecz zawsze pewną określoną pracą, a nigdy pracą w ogóle, którą się kupuje i sprzedaje. Jest to nie tylko praca, której właściwości określa przedmiot, lecz sam przedmiot określa się przez specyficzne własności pracy.

O ile praca kupuje się i sprzedaje, o tyle jest ona sama towarem. Czemuż ją kupują? „Ze względu na wartości, które zdaniem wszystkich w niej się zawierają“. Alie jeżeli powiemy, że pewna rzecz jest towarem, wtedy nie idzie już o cel, w jakim ją nabyto, t. j. o pożytek, który z niej otrzymujemy, o użytek, jaki z niej zrobimy. Jest ona towarem, gdyż jest przedmiotem handlu. Wszystkie wykręty p. Proudhona sprowadzają się do następującego: praca nabywa się, lecz nie jako przedmiot bezpośredniego spożycia. Nie; kupuje się ją jako środek produkcji, jak to się czyni z maszyną. Pokąd praca towarem, aż póty posiada wartość, lecz nie wytwarza.

P. Proudhon z taką samą racją mógłby powiedzieć, że nie masz zgoła żadnych towarów, ponieważ każdy towar zostaje kupionym jedynie w celach pewnego zeń użytku, nigdy zaś jako towar sam dla siebie.

Proudhon, wartość towarów mierząc pracą, w sposób nieokreślony przeżuwa, że niepodobna używać tej samej miary względem pracy, o ile posiada ona wartość, o ile jest towarem-pracą. Przewiduje on, że tem samem minimalną płacę wynosi do godności naturalnej i normalnej ceny dla bezpośredniej pracy, że zatem uświęca obecny ustrój społeczny. A więc aby uniknąć tej fatalnej konsekwencji, robi obrót i zapewnia, że praca nie jest towarem, że nie może posiadać wartości. Zapomina, że sam przyjął wartość pracy za skalę; przeocza, że cały jego systemat spoczywa na towarze-pracy, na pracy, którą się frymarczy, sprzedaje i kupuje, która się wymienia na wytwory i t. d., na pracy wreszcie, będącej bezpośredniem dla robotnika źródłem dochodu — o wszystkim zapomina.

By ratować swój systemat, decyduje się poświęcić jego podstawę.

„Et propter vitam vivendi perdere causas“.

Znajdujemy się teraz w obec nowego wyjaśnienia „ukonstituowanej wartości“.

„Wartość jest to stosunek proporcjonalności między wytworami, stanowiącymi bogactwo.“

Przedewszystkiem zauważymy, że proste słowo „względna“ lub „zamienna wartość“ zawiera w sobie pojęcie pewnego stosunku, w jakim wymieniają się nawzajem wytwory. Jeżeli stosunkowi temu nadamy nazwę stosunku proporcjonalności, nie krom nazwy nie zmieniliśmy we względnej wartości. Ani podniesienie, ani też poniżenie wartości pewnego wytworu nie pozbawia go jeszcze wia-

sności znajdować się w pewnym stosunku proporcjonalności do innych produktów, stanowiących bogactwo.

Po co więc to nowe określenie, nie przedstawiające zgoła żadnej nowej idei?

Oto „stosunek proporcjonalności“ naprowadza na myśl wiele innych stosunków ekonomicznych: proporcjonalność produkcji, istotną proporcję między zapotrzebowaniem a zaopiarowaniem i t. d. O tem wszystkim p. Proudhon myślał, formułując to nowe dydaktyczne powtórzenie wartości zamiennej.

Ponieważ względna (odnośna) wartość wytworów określa się ilością pracy, zużytą odpowiednio do wytworzenia każdego z nich, przeto stosunek proporcjonalności, w zastosowaniu do tego szczególnego przypadku, oznacza odpowiednią masę produktów, w określonym przeciągu czasu wyrobionych i wskutek tego wymienialnych wzajemnie.

Spojrzymy, jaki użytek z tego stosunku proporcjonalności robi p. Proudhon.

Cały świat wie, że w przypadku wyrównania się zapotrzebowania a zaopiarowania, względna wartość pewnego produktu akurat mierzy się zawartą w nim masą pracy, t. j. że ta względna wartość w takim samym znaczeniu wypowiada stosunek proporcjonalności, jakżeśmy to już nadmienili.

P. Proudhon przewraca wszystko do góry nogami. Raz zaczniemy, powiada on, mierzyć względną wartość wytworu tkwiącą w nim ilością pracy, wtedy zapotrzebowanie i zaopiarowanie będą się wyrównywać. Produkcja, będzie odpowiadała spożyciu, wytwór zawsze będzie wymienialny, a jego bieżąca cena targowa wyrażać będzie jego rzetelną wartość. Zamiast powiedzieć, jak każdy to czyni, że wielu ludzi spaceruje podczas pięknej pogody, p. Proudhon radzi swym ludziom iść na spacer, aby mieć możność upewnienia ich, że pogoda jest dobra.

Co p. Proudhon przedstawia jako wynik z wartości zamiennej, apriorycznie już czasem roboczym określanej, to mogłoby zostać urzeczywistnionem przy pomocy następującego prawa:

Wytwory na przyszłość będą wymieniane w istotnym stosunku do czasu roboczego, jakiego kosztowały. Bez względu na stosunek zaopiarowania do zapotrzebowania wymiana towarów ma tak się odbywać, jak gdyby wytwarzanymi one były w stosunku do zapotrzebowania. Niech Proudhon formułuje i przeprowadzi takie prawo — i my zgodzimy się. Ale jeżeli przeciwnie dowieść swej teorii chce on nie jako prawodawca lecz jako ekonomista, wtedy powinien by wykazać, że niezbędny do wytworzenia towaru czas akurat podaje stopień jego użyteczności, a nadto zaznacza jego stosunek proporcjonalności do zapotrzebowania, a tem samym do ogółu społecznego bogactwa. W tym razie, gdy wytwór sprzedaje się po równej kosztom produkcji cenie, zapotrzebowanie i zaopiarowanie wyrównają się; gdyż koszt produkcji waży jako wyraz normalnego stosunku między podażą a popytem.

Doprawdy, p. Proudhon poszukuje dowodu, że niezbędny do wytworzenia pewnego wytworu czas roboczy wyraża zarazem też jego rzetelny stosunek do potrzeb, tak że przedmioty, których produkcja najmniej pochłania czasu, są najużyteczniejszymi, i tak krok za

krokiem dalej. Już goły fakt produkcji przedmiotów zbytku dowodzi, zdaniem tej doktryny, że społeczeństwo zaudat posiada czasu, który obraca na zadowalanie swych potrzeb zbytkowych.

Dowodów na to twierdzenie wyszukuje p. Proudhon w tem spostrzeżeniu, że najużyteczniejsze przedmioty najmniej kosztują czasu, że społeczeństwo wciąż poczyną od najłatwiejszych gałęzi przemysłu i że „powoli zabiera się do produkcji przedmiotów, kosztujących więcej pracy i wyższym odpowiadających potrzebom.

Proudhon przykładów przemysłu dobywającego — zbieranie, pasterstwo, polowanie, rybołówstwo — zapożycza u p. Dunoyer, tego przemysłu, który najprostszą i najmniej kosztowną stanowi produkcję i od którego człowiek począł „pierwszy dzień swego wtórego stworzenia“ (wyd. I str. 78). Pierwszy zaś dzień jego pierwszego stworzenia opowiedzianym jest w Genzie, przedstawiającej boga jako najpierwszego przemysłowca na świecie.

Rzeczy jednak stoja zupełnie inaczej, niż sądzi p. Proudhon. Od brasków cywilizacji produkcja poczyną się opierać na antagonizmie powołań, stanów, klas, jednym słowem na antagonizmie między nagromadzoną a bezpośrednią pracą. Bez antagonizmu niemasz postępu — oto prawo, które po dziś dzień przyswiecało cywilizacji. Po dziś dzień wytwórcze siły rozwijały się na tle takiego panowania antagonizmów klasowych. Twierdzić obecnie, że ludzie dlatego mogli oddawać się wytwarzaniu wyższego rzędu produktów, bardziej skomplikowanym rzemiosłom, ponieważ wszystkie potrzeby wszystkich robotników są zaspokojone — jest to zupełnie zaprzeczanie klasowym antagonizmom i cały rozwój historyczny na opak pojmować. To tak samo jak gdybyśmy chcieli zapewniać, że za rzymskich cesarzy hodowano mureny w sztucznych stawach, przeto cała ludność rzymska mogła karmić się obficie; tymczasem lud rzymski najpotrzebniejszych rzeczy sobie odmawiał, byleby kupić chleba, rzymskiej zaś arystokracji do tego stopnia nie zbywało na niewolnikach, że nimi aż mureny karmiła.

Cena środków spożywczych prawie wciąż wzrastała, lubo cena przedmiotów zbytku i wyrobów rękodzielnictwa wciąż spadała. Weźmy np. tylko rolnictwo: najkonieczniejsze przedmioty, jak mięso, zboże i t. d. podnoszą się w cenie, tymczasem tkaniny bawełniane, cukier, kawa i in. w rażącym spadają stopniu. A nawet wśród właściwych substancji jadalnych przedmioty zbytku jak szparagi, kalfory i in. stosunkowo są tańszymi od najniezbędniejszych środków spożywczych. W naszej epoce lepiej wytwarzać niepotrzebne niż niezbędne. Wreszcie dla różnych epok historycznych wzajemne stosunki cen nie odmiennymi, lecz raczej były odwrótnymi. Przez całe wieki średnie wytwory rolne tańszymi były nad produkty rękodzielnictwa; w czasach nowożytnych odwrótny spostrzegamy stosunek. Czyż dla tego użyteczność wytworów rolnych zmniejszyła się od średnich wieków.

Użyte produktów zależy od stosunków społecznych, wśród których znajdują się spożywczy, te zaś opierają się na antagonizmach klasowych.

Tkaniny bawełniane, kartofle i wódka stanowią najogólniejsze potrzeby przedmioty. Kartofle zrodziły skrufały; tkaniny bawełniane po większej części wyrugowały sukno i płótno, lubo w wielu

razach choćby pod względem higienicznym o wiele większy przynosił one pożytek. Wreszcie wódka przemożła piwo i wino, jakkolwiek jako przedmiot zbytku powszechnie ją obwołano za jad. Przez całe stulecia napróżno rządy walczyły przeciw europejskiemu opium: ekonomija zwyciężyła i spożyciu podyktowała swe prawa.

Czemuż wszelakoż tkaniny bawełniane, kartofle i gorzałka stanowią oś, około której obraca się mieszczańskie społeczeństwo? Gdyż dla ich wytworzenia potrzeba najmniej pracy i wskutek tego najniższą posiadają cenę. Dlaczego minimum ceny rozstrzyga o maximum spożycia? Być może z powodu bezwzględnej użyteczności tych przedmiotów, z powodu właściwej im użyteczności, z powodu tego, że w najlepszym sposób zadawalniają potrzeby robotnika jako człowieka, a nie człowieka jako robotnika? Bynajmniej; lecz ponieważ w oparciu na nędzy społeczeństwie właśnie najniebezpieczniejsze wytwory posiadają ten konieczny przywilej, że służą tłumom zażytek.

Twierdzić, że ponieważ najtańsze przedmioty są najwięcej używanymi, przeto muszą być zarazem najużyteczniejszymi, jest to zapewnić, że tak rozpowszechnione z powodu nieznacznych kosztów produkcji użyte gorzałki jest najwymowniejszym jej użyteczności dowodem, jest to wmawiać w proletaryusza, że kartofel jest dlań zdrowszym niż mięso, jest to uświęcać obecny porządek rzeczy, jest to wreszcie, nie zrozumiawszy społeczeństwa, wychwalać go pod niebiosy.

W przyszłym społeczeństwie, gdzie zaniknie walka klasowa a tem samem nie będzie żadnych klas, użycie nie będzie zależało od minimalnego czasu produkcji, lecz od czasu produkcji, jaki poświęcimy różnym przedmiotom, określać się będzie ich społeczną użytecznością.

Wróćmy atoli do p. Proudhona; skoro niezbędny dla produkcji pewnego przedmiotu czas roboczy nie jest wyrazem stopnia jego użyteczności, przeto określana tym czasem zamienna wartość tego przedmiotu zgoła nie nie stanowi o rzeczywistym stosunku zapotrzebowania do zaofiarowania t. j. stosunku proporcjonalności w tym znaczeniu, jakie p. Proudhon chwilami łączy z tem słowem.

To nie sprzedając jakiegos towaru po cenie jego kosztów ustanawia „stosunek proporcjonalności“ między zaofiarowaniem a zapotrzebowaniem t. j. odnośną tego przedmiotu część w całym ogóle produkcji; to raczej czynią falowania podaży i popytu, pouczające wytwórców, jaką ilość towarów powinni wytwarzać, by w wyniańie otrzymać zwrot przynajmniej kosztów produkcji; ponieważ zaś te falowania ani na chwilę nie ustają, przeto spostrzegamy niestanny ruch w lokacji i wycofywaniu kapitałów wśród różnych gałęzi przemysłu.

„Tylko według takich falowań lokują się kapitały w niezbędnym lecz większym stosunku w produkcji różnych pożądaných towarów. Wskutek wzrostu lub spadania cen podnoszą się lub spadają zyski po nad powszechny swój poziom, a w ten sposób kapitały zostają pociągnięte lub zniechęcone ku pewnej szczególnej produkcji, która doświadczyła była takiego lub owakiego falowania.... Jeżeli swe oczy zwrócimy ku rynkom wielkich miast, zobaczymy z jaką pra-

widłością zaopatrywanymi one są w dostatecznej ilości wszelkimi rodzajami towarów krajowych jak też zagranicznych i jak rozmaicie urabia się zapotrzebowanie pod wpływem mody i smaku lub zmian ludności, — a mimo to nie często się zdarza stagnacja, z powodu nadmiernego dowozu lub podrożenia z powodu niedostatecznego dowozu; godzi się przyznać, że zasada, która akurat w odpowiednim stosunku użycza kapitału różnym gałęziom przemysłu, potężniej działa, niż zazwyczaj przypuszczają“ (Rikardo t. I str. 105—108).

Jeżeli p. Proudhon przyznaje, że wartość wytworów określa się czasem roboczym, jednocześnie też musi nie zapoznać tego oscylacyjnego ruchu, który jedynie z czasu roboczego robi miarę wartości. Żadnego nie masz normującego stosunku proporcjonalności, lecz za to jedynie istnieje ruch normujący.

Widzieliśmy, w jakim znaczeniu możemy mówić o „proporcjonalności“ jako wyniku określonej czasem roboczym wartości. Ujrzymy teraz, jak ta oparta na czasie skala, zwana przez p. Proudhona „prawem proporcjonalności“ zamienia się w prawo nieproporcjonalności.

Każdy wynalazek, umniejszający w godzinę wyrobienie tego, na co dawniej potrzeba było dwóch godzin, niszczy wartość wszystkich tego samego rodzaju wytworów, znajdujących się na rynku. Konkurencja zmusza wytwórcę produkt dwugodzinowy sprzedawać po tej samej co jednogodzinowy cenie. Konkurencja baczna za prawem, aby wartość wytworu określała się niezbędnym do jego wytworzenia czasem roboczym. Ten fakt, że czas roboczy służy za skalę wartości ziemnej, w ten sposób staje się prawem, wciąż wywołującym spadanie ceny pracy. Co więcej. To spadanie wartości rozszerza się nie tylko na dowiezione na rynek towary, lecz też na narzędzia produkcji i całe warsztaty. Ten fakt zaznacza już Rikardo: „Wskutek ciągłego wzrostu wytwórczości zmniejsza się wartość różnych już poprzednio wytworzonych rzeczy“ (t. I str. 58). Sismondi idzie jeszcze dalej. W tej czasomiarowej „konstytuowanej wartości“ widzi on źródło wszystkich dzisiejszych przeciwności między handlem a przemysłem. „Wartość ziemna, powiada on, ostatecznie określa się ilością pracy, niezbędną dla wytworzenia oszacowywanej rzeczy; lecz nie tą, jakiej kosztował, ale tą, jakiej będzie kosztował na przyszłość być może wskutek ulepszenia środków pomocniczych; lubo trudno wyrachować tę ilość, przecież ją wciąż określa konkurencja.... Na tej to podwalinie opiera się zapotrzebowanie ze strony nabywcy a zaofiarowanie sprzedawcy. Ten ostatni prawdopodobnie zapewnić będzie, że przedmiot kosztował go dziesięć dni roboczych; lecz jeżeli pierwszy się przekona, że go w przyszłości można będzie wytworzyć przez dni osm, a konkurencja dostarczy obu stronom na to dowodu, wtedy wartość spadnie na dni osm i handel tę cenę utrzyma. Obie strony nadto są przekonane, że przedmiot jest użyteczny, że jest pożądanym, że bez żądzy nie byłoby sprzedaży; lecz ustanowienie ceny zgoła nie zależy od użyteczności“ (Etudes etc. t. I str. 267, wyd. bruckelskie).

Ważną jest rzeczą nie zapominać, że wartość określa nie czas, przez jaki wytwarza się przedmiot, lecz minimum potrzebnego na

produkcją czasu, a to minimum bywa ustanawiane przez konkurencją. Przyjmijmy na chwilę, że konkurencja ustaje, a więc że nie mamy żadnego środka dla konstataowania niezbędnego dla produkcji pewnego towaru minimum pracy. Co ztąd wynikłoby? Moglibyśmy wtedy na produkcję pewnego przedmiotu użyć 6 godzin czasu, a tem już upoważnić p. Proudhona do żądania przy wymianie sześć razy tyle niż ten, który na produkcję tego samego przedmiotu użył tylko jedną godzinę.

Zamiast „stosunku proporcjonalności“ mamy teraz stosunek nieproporcjonalności, jeżeli w ogóle zechcemy wdawać się w stosunki, czy to złe, czy też dobre.

Ciągłe spadanie pracy stanowi jedyną tylko stronę, jedyny tylko wynik szacowania wartości w czasie roboczym, nadmierne podniesienie cen, nadmiar produkcji i inne zjawiska przemysłowej anarchii znajdują w tym sposobie szacowania swe objaśnienie.

Alcz czy czas roboczy, służący jako miernik wartości, zdradza choćby tę odnośną rozmaitość wśród wytworów, którą się tyle zachwyca p. Proudhon.

Przeciwnie; właśnie wskutek tego monopol w całej swej monotonności zagarnia pod swą władzę cały świat wytwórczy, zupełnie tak samo, jak — rzecz to namacalna i znana całemu światu — tenże monopol oswaja światem środków produkcji. Jedynie niektóre galezie produkcji, jak wyrobów bawełnianych, są zdolne do nader szybkiego postępu. Koniecznym wynikiem takiego postępu jest np. ciągłe spadanie cen wytworów bawełnianych; lecz w miarę spadania ceny bawełny musi podnosić się względna cena płótna. Jakież tego skutki? Bawełna wycieśnia płótno. W ten sposób płótno zostało wypięcone na całej prawie przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Zamiast odnośnej rozmaitości wytworów posiadamy państwo bawełniane.

Cóż więc pozostaje z owego „stosunku proporcjonalności“? Oto jedynie życzenie pocziwca, który by chciał, aby towary wytwarzaly się w takim stosunku, iżby można je było sprzedawać po uczciwej cenie. Po wszystkie czasy to niewinne życzenie wypowiadali dobrzy obywatele i filantropiczni ekonomiści.

Dajmy słowo choćby staremu Bois-Guillebert'owi:

„Cena towarów powinna być, powiada on, wciąż proporcjonalnie normowana, gdyż tylko takie wzajemne porozumienie się umożliwia ich bytowanie, w którym co chwila mogą się wzajemnie wytwarzać (mamy więc znów ciągłą wymienialność p. Proudhona).... Ponieważ bogactwo nie jest niczem innym nad tę ciągłą wymianę od człowieka do człowieka, z rzemiosła do rzemiosła, przeto byłoby to rażącym zaślepieniem, gdybyśmy gdzieindziej szukali źródła nędzy, a nie w zamęcie, sprawianym w handlu przez nadwężenie proporcji wśród cen“. (Dissertation sur la nature de la richesse, wydanie Daire).

Posłuchajmy nowoczesnego ekonomisty:

„Wielkim prawem, które musi być stosowane do produkcji, jest prawo proporcjonalności (the law of proportion), jedynie będące w stanie utrzymać ciągłość wartości.... Równoznacznik musi być zapewnionym.... Wszystkie ludy po wszelkie epoki, przy pomocy li-

eznych handlowych ustaw i ograniczeń, starały się to prawo proporcjonalności urzeczywistnić do pewnego stopnia; lecz właściwe naturze ludzkiej samolubstwo doprowadziło do zburzenia całego tego systemu regulacji. Odpowiednio normowana produkcja (proportionate production) jest to urzeczywistnienie rzetelnej wiedzy ekonomicznej“ (W. Atkinson, Principles of Political Economy, London, 1840, s. 170—195).

Fuit Troja! Ten rzeczywisty stosunek między zaofiarowaniem a zapotrzebowaniem, który poczyna stanowić znowu przedmiot tylolicznych westchnień, przestał od dawien dawna istnieć. Zestarzał się on, a nawet więcej; był on podówczas możebny, póki środki produkcji były ograniczone, a wymiana poruszała się w nader wązkich szrankach. Wraz z powstaniem wielkiego przemysłu musiał ten rzetelny stosunek runąć, a z koniecznością zjawiska naturalnego produkcja musi obracać się kolejno w kole rozkwitu i podupadania, kryzysu, stagnacji, i znowu nowego rozkwitu i t. d.

Ci, którzy, jak Sismondi, chcą powrócić do rzetelnej proporcjonalności produkcji, a przytem utrzymać obecne podstawy społeczeństwa, są wstecznikami, gdyż, by być konsekwentnymi, muszą dążyć do przywrócenia wszystkich innych warunków produkcji z czasów dawniejszych.

Co utrzymywało produkcję wśród odpowiednich lub prawie odpowiednich proporcji? Zapotrzebowanie, nadające wtedy ton zaofiarowaniu i je poprzedzające; produkcja krok w krok podążała za spożyciem. Lecz wielki przemysł, zmuszony przez same narzędzia, któremi rozporządza, do produkcji coraz na szerszą skalę, nie może czekać na zapotrzebowanie. Produkcja poprzedza konsumpcję, zaofiarowanie poszukuje zapotrzebowania.

Wśród obecnego społeczeństwa, wśród opartego na indywidualnej wymianie przemysłu, anarchia produkcji, ta rodzicielka tylu nie-szcześć, stanowi zarazem źródło wszelkiego postępu.

A zatem z dwóch rzeczy jedno: albo chcemy odpowiednich proporcji ubiegłych stuleci wraz ze środkami wytwórczymi naszych czasów, i wtedy jesteśmy wstecznikami i utopistami.

Albo też żądamy postępu bez anarchii; wtedy, by utrzymać obecną wytwórczość, trzeba się wyrzec indywidualnej wymiany.

Wymiana indywidualna godzi się jedynie z drobnym przemysłem przeszłych stuleci i z właściwą im „rzetelną proporcją“, albo też z wielkim przemysłem, lecz wtedy za nią postępuje cała przepaść między i anarchii.

A więc w ostatecznym rezultacie: określanie wartości przez czas roboczy t. j. formuła, którą nam wystawia p. Proudhon jako rzecz, co odrzucić powinna całą przyszłość, jest jedynie naukowem wyrażeniem ekonomicznych stosunków obecnego społeczeństwa, jak to już przed p. Proudhonem dobitnie i jasno dowiódł Rikardo.

Alę, być może, zastosowanie „egalitacyjnej“ tej formuły przynależałoby p. Proudhonowi? Być może, on pierwszy wpadł na myśl reformowania przez to społeczeństwa, że zamienić wszystkich ludzi w bezpośrednich i równe ilości pracy wymieniających robotników? Czyż ma on prawo komunistom — tym znajomości ekonomii poz-

bawionym ludziom, tym „ciężko głupim“ istotom, tym „niebiańskim“ marzycielom — czynić zarzut, że nie wpadli przed nim na to „rozwiązanie kwestyi proletaryjatu“?

Kto choć cokolwiek jest obeznanym z rozwojem ekonomii politycznej w Anglii, temu wiadomo jest, że wszyscy prawie socjaliści tamtejsi po wszystkie czasy proponowali egalitacyjne zastosowanie teorii Rikarda. Możemy przytoczyć p. Proudhona i polityczną ekonomiję Hopkinsa (1822); Wiliama Tomsona: *An inquiry into the Principles of the distribution of wealth, most conditions to human happiness* (1827); T. R. Edmondsa: *Practical, moral and political Economy* (1828) i t. d. i jeszcze t. d. i jeszcze cztery stronicę i t. d. Ograniczymy się jedynie na zacytowaniu jednego komunisty angielskiego, p. Bray'a. Przytoczmy najwybitniejsze ustępy jego zasługującego na uwagę dzieła (*Labour's wrongs and labour's remedy*, Leeds, 1839) i zatrzymamy się nad tem nieco dłużej, gdyż p. Bray mało jest znanym we Francyi, i ponieważ, jak sądzimy, w jego dziełach znaleźliśmy klucz do przeszłych, teraźniejszych i przyszłych prac p. Proudhona.

Jedynym środkiem dojścia do prawdy — jest wyjaśnić sobie zasadnicze pojęcia. Zajrzyjmy do źródeł, skąd wyłonili się rządy. Po gruntownem zbadaniu kwestyi znajdziemy, że każda forma rządu, każda społeczna i polityczna niesprawiedliwość, pochodzi z obecnego panującego społecznego systematu, z instytucji własności, jaka dzisiaj istnieje, i że, by zważyć raz na zawsze niesprawiedliwość i nędzę dzisiejszą, należy z gruntu zburzyć obecny ustrój społeczny. Napadając na ekonomistów na ich własnym terytorjum i ich własnym orężem, przekształcamy bezmyślną paplaninę dostrzynerów i zwolenników dzielenia, chętnych zawsze do popisywania się. Jeżeli ekonomiści nie zechcą odrzucić lub zanegować ogólnie uznanych pewników i zasad, na których oni opierają swoją własną argumentację, wtedy nie zdolają zaprzeczyć wnioskom, do których dojdziemy tą metodą“ (str. 17 i 41). „Jedynie praca stwarza wartość... każdy człowiek niezaprzeczenie ma prawo do tego wszystkiego, co zdoła stworzyć swą uciążliwą pracą. Przywłaszczając sobie w ten sposób owoce swej pracy, nie spełnia żadnej niesprawiedliwości względem innych, gdyż nikomu nieodbiera prawa tak samo postępować... Wszelkie pojęcia niższości i wyższości stanowiska, pana i lokaja, ztąd wynikają, że zaniedbano najelementarniejsze pewniki i że wskutek tego wzięła się nierówność posiadania. Dopóki będzie istniała taka nierówność, póty nie będzie można wykorzenie tych pojęć jak również znieść opierających się na nich instytucyj. Do dziś dnia ludzimy się zwodną nadzieją, że takimi nienaturalnemu stanowi rzeczy, jak obecny, pomożemy przez usunięcie istniejącej nierówności, lecz pozostawiając nietkniętą jej przyczynę; ale wkrótce wykazemy, że rząd to nie przyczyna, lecz skutek, że on nie stwarza lecz jest stworzonym — jednym słowem, że jest on wynikiem nierówności posiadania i że ta nierówność jest nierozdzielnie złączoną z obecnym systematem społecznym“ (stron 33, 36, 37).

„Systemat nierówności nie tylko pociąga za sobą jak największe korzyści, lecz nadto jest najsprawiedliwszym. Każdy człowiek jest ogniwem i to niezbędnym ogniwem w łańcuchu skutków, który po-

czątek swój bierze od idei, by zakończyć się, na przykład, na wyrobieniu sztuki sukna. Z faktu tego, że nasze upodobania ku różnym czynnościom nie są jednakowe, nie możemy jeszcze wnosić, że praca jednego powinna być lepiej opłacana, aniżeli drugiego. Wynalazca, krom sprawiedliwego wynagrodzenia w pieniądzu, pobierać jeszcze będzie hołd naszego uwielbienia, które jedynie geniusz może otrzymywać od nas“...

„Zgodnie z samą naturą pracy i wymiany sprawiedliwość wymaga, aby wszyscy wymieniający nie tylko wzajemne, lecz nadto równe ztąd otrzymywali korzyści. Tylko dwie rzeczy ludzie mogą nawzajem wymieniać: pracę i wytwór pracy. Gdyby wymiana odbywała się według sprawiedliwości, wtedy cena wszystkich przedmiotów określałaby się przez całkowite koszty jej produkcji i równe wartości zawsze wymieniałyby się na równe. Gdyby np. kapelusznik potrzebował jednego dnia dla wyrobienia kapelusza, a szewc tyleż czasu dla pary butów (przypuściwszy, że zużyty materiał surowy jednaką w obu razach posiada wartość), następnie zaś wymieniali by te przedmioty, wtedy korzyść, ztąd otrzymana, była by równą i wzajemną. Korzyści, ztąd wypływające dla jednej strony, nie byłyby stratą dla drugiej, albowiem dostarczona została ta sama ilość pracy i materiał zużyty również jednaką posiada wartość. Lecz jeżeliby kapelusznik otrzymał dwie pary butów za jeden kapus, — zawsze przy powyższem założeniu — to jasnem jest, że wymiana byłaby niesprawiedliwą. Kapelusznik poszkodował by szewca o jeden dzień roboczy; i gdyby tak postępował przy wszelkich swych wymianach, wtedy za wytwór półrocznej pracy otrzymałby całoroczny wytwór drugiej osoby.

Dotychczas trzymaliśmy się wciąż tego w najwyższym stopniu niesprawiedliwego systematu wymiany: robotnicy oddawali kapitalistom pracę całego roku w zamian za wartość półroczną — i ztąd, nie zaś z mniemanej nierówności fizycznych i umysłowych sił jednostek, powstała nierówność majątków i nierówność władzy. Nierówność w wymianie, rozmaiteści cen w kupnie i sprzedaży może istnieć tylko pod tym warunkiem, że kapitaliści pozostaną na zawsze kapitalistami, a robotnicy robotnikami, — jedni — to klasa tyranów, drudzy — klasa niewolników... Ten proceder zatem jasno wykazuje, że kapitaliści i właściciele dają robotnikowi za tygodniową pracę tylko część bogactwa, którą odeń otrzymali w przeciągu tygodnia, t. j. że za coś nie dają mu nic. Ugoda kapitalistów z robotnikami — to istna komedya: faktycznie w tysiącach wypadków jest ona jedynie niecna, jakkolwiek prawną kradzieżą (45, 48, 49, 50).

„Zysk przedsiębiorcy póty będzie stratą dla robotnika, pokąd nie będzie równej wymiany wśród obu części; a wymiana póty nie będzie równa, dokąd społeczeństwo dzielić się będzie na kapitalistów i wytwórców, przyczem ci ostatni żyją ze swej pracy, pierwsi zaś tużają się z zysków tej pracy“.

„Oczywista,“ powiada dalej p. Bray, „że możecie wprowadzić taką lub owaką formę rządu... deklamować na temat o moralności i bratniej miłości... Wzajemność nie da się pogodzić z nierównością wymiany. Nierówność wymiany, to źródło nierówności mają-

kowej, jest zamaskowanym, pozerającym nas wrogiem" (stron. 51 i 52).

"Rozmyślanie nad celem i zadaniem społeczeństwa upoważnia mnie do wniosku, że nie tylko wszyscy ludzie powinni pracować, by znaleźć się w możności wymieniania, lecz że równe wartości powinny się na równe wymieniać. Co więcej: ponieważ korzyści jednego nie powinny być stratą dla drugiego, wartość przeto powinna określać się kosztami produkcji. Atoli widzieliśmy, że przy obecnym ustroju społecznym zysk bogaczy i kapitalistów zawsze idzie w parze ze stratą dla robotnika, — że ten rezultat niechybnie musi następować i że biedak mimo wszelkiej formy rządu oddany jest na łaskę i niełaskę kapitalisty, dopóki istnieć będzie nierówność wymiany, — że równość wymiany jedynie w takim ustroju zapewnioną być może, który przyjmie powszechność pracy... Równość przy wymianie powoli przeleje całe bogactwo z rąk obecnych kapitalistów w ręce klas pracujących" (str. 54 i 55).

"Dopóki ten systemat nierówności wymiany istnieć będzie, wytwórcy będą wciąż w takiej nędzy, tak ciemni, tak przeciążeni pracą, jak obecnie, nawet gdyby zniesiono wszelkie podatki... Jedynie całkowite przestoczenie systematu, wprowadzenie równości pracy i wymiany może zaradzić takiemu porządkowi rzeczy i ludziom zapewnić istotną równość praw. Wytwórcom potrzeba uczynić jedynie tylko wysiłek — a wszelki wysiłek w celu swego dobrobytu jedynie od nich wyjść musi — i ich kajdany zostaną raz na zawsze skruszone... Równość polityczna jako cel — to błąd, jest ona błędem nawet jako środek".

"Przy równości wymiany korzyść jednego nie jest wynikiem straty drugiego; wszelka bowiem wymiana jest jedynie prostym przeniesieniem pracy i bogactwa, nie wymaga ona żadnej ofiary. W opartym na równości wymiany ustroju wytwórca może dojść jeszcze do bogactwa przez swą oszczędność, lecz jego bogactwo będzie tylko nagromadzoną wytworem jego własnej pracy. Będzie on mógł wymieniać swoje bogactwo, lub komukolwiek je podarować; lecz niemożliwą będzie rzeczą, by przez dłuższy okres pozostawał bogaczem, przestawszy pracować. W skutek równości wymiany bogactwo utraci dzisiejszą swą właściwość, że tak powiemy, odnawiać się i pomnażać samo przez się; powstały ze spożycia ubytek nie będzie ono w stanie wynagrodzić; gdyż skoro nie będzie stwarzaniem na nowo przez pracę, wtedy, raz spożyte, zostaje na zawsze straconem. Co zwiemy dziś zyskiem i procentami, tego nie spotkasz przy systemie równej wymiany. Wytwórcą i ten, kto baczny za podziałem, jednako będą wynagradzani i suma ich pracy ku temu posłuży, by określać wartość każdego wykonanego i do spożycia przystosowanego przedmiotu".

"Zasada równości wymiany musi więc z konieczności powołać do życia powszechność pracy" (str. 76, 88, 89, 92, 109).

Odparkszy zarzuty ekonomistów przeciw komunizmowi, p. Bray powiada dalej:

"Jeżeli potrzeba koniecznie zmiany charakterów, aby oparty na spółnictwie ustrój społeczny umożliwić w jego wykonanej postaci, jeżeli z drugiej strony obecny ustrój nie przedstawia ani możliwości, ani warunków zdolnych do przeprowadzenia tej zmiany chara-

ktarów i do przygotowania ludzi ku lepszemu i przez nas wszystkich pożądanemu porządkowi, przeto widocznem jest, że rzeczy musiałyby z konieczności takimi jak obecnie pozostać, gdyby nie znalazł się i nie zjawił pewien przygotowawczy proces rozwoju — proces, należący zarówno do dzisiejszego jak też do przyszłego ustroju (systematu spółnictwa) — pewien rodzaj stadjum przejściowego, na drogę którego społeczeństwo może wejść mimo swych wszystkich wykroczeń i głupoty, by go znowu opuścić, gdy bogactem się stanie w te własności i zdolności, które są warunkiem systematu spółnictwa" (str. 136).

"Cały ten proces wymaga jedynie kooperacyi w jej najprostszej postaci... Koszta produkcji wśród wszelkich okoliczności określać będą wartość wytworów, a równe wartości wciąż będą się wymieniały na równe. Jeżeli z dwóch osób jedna pół a druga cały pracowała tydzień, to jedna otrzyma wynagrodzenia dwa razy tyle, co druga; ale ta przewyżka płacy nie będzie ze szkodą dla drugiej: strata, którą jedna poniosła, zgoła nie staje się zyskiem drugiej. Każdy swą indywidualną pracę zamieniać będzie na rzeczy tej samej co jego praca wartości, a zysk, otrzymany przez jakąś osobę lub jakiś przemysł, bynajmniej nie będzie stanowił straty innej osoby lub jakiegóż innej gałęzi przemysłu. Praca każdej jednostki byłaby jedyną skalą jego strat lub zysków".

"... Za pomocą miejscowych i ogólnych biur (boards of trade) będzie się określać ilość różnych przedmiotów, żądanych przez konsumpcję, i odnośna wartość każdego w porównaniu z innymi (ilość robotników, niezbędnych w różnych gałęziach pracy), jednym słowem wszystko, co się tyczy społecznej produkcji i podziału. Operacje te dla pewnego narodu można będzie uskutecznić z tą samą łatwością i w tak samo krótkim czasie, jak obecnie dla prywatnego stowarzyszenia... Jednostki będą się łączyły w rodziny, rodziny w gminy, jak to ma miejsce obecnie. Podział ludności na miejską i wiejską nie będzie zniesionym odrazu, chociaż jest on bardzo szkodliwym. Wśród tej asocjacji każda jednostka, jak obecnie, będzie posiadała swobodę nagromadzania, ile jej się spodoba, oraz używania tego, co zbierze, podług swej chęci i upodobania... Nasze społeczeństwo, że tak powiemy, stanie się wielkiem stowarzyszeniem akcyjnem, złożonem z nader znacznej liczby małych stowarzyszeń akcyjnych, zgodnie pracujących i wytwarzających, jako też wymieniających swe wytwory na zasadzie zupełnej równości... Nasz nowy systemat stowarzyszeń akcyjnych stanowi jedynie ustępstwo w obec teraźniejszego społeczeństwa dla dojścia do komunizmu i jest w ten sposób urządzony, że indywidualna własność wytworów będzie istniała obok własności kolektywnej sił wytwórczych. System ten składa los każdej jednostki we własne jej ręce i zapewnia jej równy udział we wszystkich zrażanych przez przyrodę i postęp techniczny korzyściach. Wskutek tego może on być zastosowanym do obecnego społeczeństwa, by je do dalszych zmian przysposobić" (str. 158, 160, 162, 168, 194, 199).

Kilka zaledwie słów mamy do powiedzenia p. Bray'owi, który niezależnie od nas wyrugował p. Proudhona, z tą różnicą, że p. Bray zgoła nie ma zamiaru wypowiadać ostatnie słowo ludzkości, a pro-

ponuje jedynie wnioski, jakie uważa za odpowiednie dla epoki przejściowej od naszego teraźniejszego do przyszłego ustroju.

Godzina pracy Piotra wymienia się na godzinę pracy Pawła — oto zasadnicze twierdzenie p. Bray'a.

Dajmy na to, że Piotr posiada dwanaście, a Paweł jedynie sześć godzin pracy, wtedy skutecznie mogą wymianę jedynie sześciu godzin na drugie sześć godzin. Piotrowi pozostanie więc jeszcze sześć godzin; cóż on z nimi robi?

Albo nie t. j. będzie miał sześć godzin straconych, albo będzie przez sześć godzin próżnować, by przywrócić równowagę, lub też, i to będzie ostatnim środkiem ratunku, odda te sześć godzin, z któremi nie wie co począć, przy kupnie Pawłowi.

Cóż zyskał przy tem Piotr w porównaniu z Pawłem? Sześć godzin pracy? Nie. Zyskał tylko kilka godzin spoczynku; zmuszonym jest on sześć godzin siedzieć z założenymi rękami. I aby to nowe próżniactwo nie tylko tolerowanem, lecz nadto szacowanem było ze strony nowego ustroju, ten ostatni musi znajdować sześć godzin w próżniactwie i na pracę patrzeć jako na brzemię, od którego godzi się za wszelką cenę wyswobodzić. I gdyby przynajmniej — że znów powrócimy do naszego przykładu — te godziny spoczynku, które Piotr zarobił na Pawle, stanowiły istotną korzyść! Ależ gdzie tam; Paweł, który zaczął od tego, że pracował tylko sześć godzin, ostatecznie, pracując regularnie i prawidłowo, osiąga ten sam rezultat, co Piotr, który zaczął od nadmiernej pracy. Każdy będzie chciał być Pawłem i wszyscy będą się ubiegać o palmę próżniactwa.

Do czegoż więc doprowadziła wymiana równych ilości pracy? Do nadprodukcji, niżki cen, nadmiernej pracy, po której następuje stagnacja, wreszcie do stosunków ekonomicznych, właściwych obecnemu ustrojowi, tylko bez konkurencji ze strony pracy.

Lecz nie, my się mylimy; pozostaje jeszcze jeden środek ocalenia dla nowego społeczeństwa, dla społeczeństwa Piotra i Pawła. Piotr sam spożyje pozostającą mu wytwór sześciu godzin. Lecz od chwili, gdy nie będzie potrzebował wymieniać, ponieważ sam wytwarzał, nie będzie też potrzebował wytwarzać dla wymiany, a wówczas runie całe założenie opartego na wymianie i podziale pracy społeczeństwa. Równość wymiany zostanie ocaloną przez zaprzestanie wszelkiej wymiany; Paweł i Piotr znajdą się w położeniu Robinzona.

Jeżeli przeto przyjmiemy, że wszyscy członkowie społeczeństwa są samodzielnymi robotnikami, wtedy wymiana równych godzin pracy jedynie pod tym warunkiem będzie możliwą, że z góry będziemy się umawiać co do liczby godzin, niezbędnych dla materialnej produkcji. Atoli taka umowa wyklucza indywidualną wymianę.

Przechodzimy więc do tego samego wniosku, jeżeli bracie będziemy już nie podział wytworu, lecz sam akt produkcji. W wielkim przemyśle Piotr nie może oznaczać własnowolnie swego czasu roboczego, albowiem praca Piotra jest niczem bez współdziałania wszystkich Pawłów i Piotrów, w tym samym połączonych warsztacie. Tem się też objaśnia ten zawzięty opór, jaki stawiali angielscy fabrykanci dziesięciogodzinowemu bilowi; czuli oni zbyt dobrze, że

zmniejszenie pracy kobiet i dzieci o dwie godziny pociągnie koniecznie za sobą zmniejszenie czasu roboczego dorosłych. Spoczywa to w samej naturze wielkiego przemysłu, że czas roboczy musi być równym dla wszystkich. Co dzisiaj skutecznie się przez kapitał i konkurencję robotników pomiędzy sobą, jutro z zaniknięciem stosunku kapitału do pracy, stanie się dziełem umowy, opierającej się na stosunku między sumą sił wytwórczych a sumą istniejących potrzeb.

Lecz taka umowa jest to wydanie wyroku potępiającego na indywidualną wymianę — a tem samem znowu doszliśmy do powyższego rezultatu.

W zasadzie nie masz wymiany wytworów, lecz wymianę prac, współdziałających przy wyrobie produktu. Sposób wymiany sił wytwórczych określa wymianę wytworów. W ogóle sposób wymiany wytworów zależy od sposobu wytwarzania; skoro zmienimy tamte, zmienią się też ta ostatnia. Tak np. w dziejach społecznych widzimy, że wymiana wytworów jest odpowiednią sposobom ich produkcji. Tak np. indywidualna wymiana odpowiada określonej sposobowi produkcji, odpowiadającemu znowu określonej fazie antagonizmów klasowych; nie mamy przeto indywidualnej wymiany, jeżeli nie istnieją antagonizmy klasowe. Ale sumienia poczciwców nie chcą zauważyć tego widocznego faktu. Burżuazja nie może w tych antagonizmach widzieć nic innego nad harmonijny porządek i wieczną sprawiedliwość, nie zezwalając nikomu zwiększać swą wartość na rachunek innych. Dla burżuazji indywidualna zamiana może istnieć bez antagonizmu — dlań są to dwie zupełnie różne i niezależne od siebie rzeczy. Indywidualna wymiana, o jakiej marzy burżuazja, zgoła nie odpowiada rzeczywistej wymianie indywidualnej.

P. Bray z iluzji poczciwców czyni ideał, który chciałby urzeczywistnić; zdaje mu się, iż przez oczyszczenie indywidualnej wymiany, uwolnienie jej od sprzecznych pierwiastków, jakie się w niej znajdują, znajdzie pewien stosunek egalitacyjny, który godzi się przyszczepić społeczeństwu.

P. Bray nie domyśla się, że ten egalitacyjny stosunek, ten ideał poprawy, jaki chce on wcielić w życie, niczem innym nie jest, jak odbiciem obecnego świata, i że wskutek tego nie sposób reformować społeczeństwa na podstawach, będących jedynie ulepszeniem widmem tego samego społeczeństwa. W miarę, jak to widmo przyjmuje określone kształty, zauważymy, że ono bynajmniej nie jest wysnionem marzeniem, lecz dokładnym obrazem obecnych stosunków.*)

*) Jak każda inna teoria, tak i wyłuszczonej wyżej teorii Bray'a miała swych zwolenników, którzy dali się uwieść pozorom. W Londynie, w Sheffield, w Leeds i w wielu innych miastach Anglii wprowadzono equitable-labour-exchange bazy, które po zaabsorbowaniu zna-

III. ZASTOSOWANIE PRAWA PROPORCYJONALNOŚCI WARTOŚCI

a) Pieniądze

„Srebro i złoto — oto pierwsze towary, których wartość została ukonstytuowana.

A więc złoto i srebro stanowią pierwsze zastosowania ukonstytuowanej przez p. Proudhona wartości. I ponieważ p. Proudhon ustanawia wartość wytworów, określając ją wielonimem w nie wydatkiem pracy, przeto potrzebował jedynie dowieść, że zmiany w wartości złota i srebra zawsze znajdują swe wyjaśnienie w zmianie czasu roboczego, niezbędnego dla ich produkcji. P. Proudhonowi to jednak nie przeszło nawet przez myśl. O złocie i srebrze mówi nie jako o towarach, lecz jako o pieniądzu.

Cała jego logika — o ile o niej może być mowa u Proudhona — zasadza się na tem, że własność srebra i złota kursowania jako pieniądź, przypisuje wszystkim tym towarom, które mają tę własność, że swój miernik wartości znajdują w czasie roboczym. Bez wątplenia, takie postępowanie wykazuje więcej naiwności, niż złej woli.

Użyteczny wytwór, oszacowywany w niezbędnym do swej produkcji czasie roboczym, zawsze jest wymienny. Dowodem tego, powiada p. Proudhon, mogą służyć złoto i srebro, znajdujące się w pożądanem przez mnie położeniu „wymienialności“. A zatem srebro i złoto są to doszły do swego ukonstytuowania towary, stanowią one wcielenie idei p. Proudhona. Nie sposób być bardziej szczegółowym w wyborze swych przykładów. Srebro i złoto posiadają prócz własności tej, że są towarami, oszacowywanymi jak wszelki inny towar w czasie roboczym, jeszcze tę własność, że stanowią ogólny środek wymiany — pieniądź.

W skutek tego, że przedstawia on złoto i srebro jako zastosowanie „ukonstytuowanej przez czas roboczy wartości“, nie łatwiejszego nad dowiedzenie, że wszelki towar, którego wartość ukonstytuowana zostanie przez czas roboczy, zawsze będzie wymiennym t. j. pieniądzem.

cznych kapitałów doszły do skandalicznego bankructwa. Od tego czasu stracono gust do tego rodzaju przedsięwzięć! Dobre ostrzeżenie dla p. Proudhona!

K. M.

Jak wiadomo, p. Proudhon nie bardo wziął do serca to ostrzeżenie. W 1849 roku usiłował on założyć w Paryżu bank wymiany, który jednak rozbił się, zanim począł funkcjonować.

(Przyp. Fr. Engelsa do niem. przekł.)

Nader proste pytanie przemyka się przez głowę p. Proudhona: dlaczego złoto i srebro posiadają ten przywilej, by być typową „wartością ukonstytuowaną“.

„Szczególna funkcja, jaką zwyczaj nadał szlachetnym kruszcom mianowicie, by służyć jako pośrednik w wymianie, jest czysto konwencyjonalną; wszelki inny towar jest w stanie w mniej wygodny sposób, lecz z tą samą możliwością, wykonywać tę rolę; ekonomiści przyznają to, i można zacytować wieloliczne tego przykłady. Jakim jest źródło tego pierwszeństwa powszechnie przypisywanego metalom, mianowicie by służyć jako pieniądź, i jak objaśnić tę specjalną funkcję pieniędzy, nie posiadającą nic sobie podobnego w ekonomii politycznej?.... Być może, można jeszcze odbudować tę łączność, wyjątkiem z której zdają się być pieniądze, a tem samem sprowadzić je do właściwej im zasady?“

Już wykluczając pytanie temi słowy, p. Proudhon z góry przyjmuje pieniądze. Pytaniem pierwszym, jakie powinienby był on sobie zadać, powinno być, dlaczego w wymianie takiej, jak obecna, trzeba było indywidualizować, że się tak wyrażę, wartość zamienną przez stworzenie szczególnego środka wymiany. Złoto to nie żadna rzecz, lecz pewien społeczny stosunek. Czemuż stosunek pieniędzy jest stosunkiem produkcji, jak wszelki inny ekonomiczny stosunek, np. podział pracy i t. d. Gdyby p. Proudhon zdał sobie jasno sprawę z tego stosunku, wtedy nie spoglądałby na pieniądze, jako na wyjątek, jako na ogniwo wyrwane z nieznanego lub potrzebnego dopiero wynalezienia związku.

Znalazłby on przeciwnie, że ten stosunek — to jedno tylko oddzielne ogniwo w całym szeregu stosunków ekonomicznych, jako takie nader ściśle z nimi zespolone, i że ten stosunek zupełnie w takim samym stopniu odpowiada określonymu sposobowi produkcji, jak indywidualna wymiana. Lecz cóż on natomiast czyni? Oto poczyną on od wyłączenia pieniędzy ze związku obecnego systemu produkcji, by następnie uczynić je pierwszym ogniwem jakiegoś wymarzonego, jeszcze nie odnalezionego związku.

Skoro raz pojęliśmy konieczność szczególnego środka wymiany, t. j. konieczność pieniędzy, wtedy nie idzie już o wyjaśnienie, dlaczego ta szczególna funkcja przedewszystkiem wypadła na dół złota lub srebra. Jest to pytaniem drugorzędnej wagi, nieznajującym zgola swego wyjaśnienia w związku stosunków produkcji, lecz w specyficznych fizycznych własnościach złota i srebra. Jeżeli więc przy tej sposobności ekonomiści „wyszli ze szranków swej wiedzy, jeżeli uprawiali fizykę, mechanikę, historję i t. d.“ (str. 69), jak to im zarzuca p. Proudhon, uczynili jedynie to, co musieli. Kwestya ta zgola nie wchodzi w zakres ekonomii politycznej.

„Czego nie zauważył żaden ekonomista“ — powiada p. Proudhon — „to tych względów ekonomicznych, którym kruszce szlachetne zawdzięczać mają swe uprzywilejowane stanowisko“.

P. Proudhon spostrzegł, pojął i potemstwu przekazał te ekonomiczne względy, których nikt — i racjonalnie — nie zauważył ani pojął.

„Czego zwłaszcza nikt nie pojął, to faktu, że srebro i złoto pierwszymi są towarami, wartość których została ukonstytuowana. W okresie patryjarchalnym złoto i srebro wymieniano w sztabach, lecz

już z widoczną tendencją do panowania i z wybitnem pierwszeństwem. Powoli władcy zabierali je w swe ręce i wyciskali na niem swój znak, a z tego chrztu powstały pieniądze, t. j. towar par excellence, który mimo wszelkie wstrząśnienia rynku, posiada określoną wartość proporcjonalną i wszędzie przy wypłatach najwięcej bywa pożądanym... Szczególne stanowisko, jakie zajmują złoto i srebro jest, powtarzam to raz jeszcze, wynikiem tego faktu, że, w skutek swych metalicznych właściwości, trudności swego wytwarzania, a zwłaszcza dzięki interwencji powagi państwowej, od pierwszych chwil zyskały one, jako towary, ustalenie i autentyczność“.

Twierdzić, że ze wszystkich towarów złoto i srebro były najpierwszymi, których wartość została ukonstytuowana, jest to na zasadzie powyższego twierdzić, że srebro i złoto pierwsze stały się pieniędzmi. Oto wielkie objawienie p. Proudhona, oto prawda, której przed nim nikt jeszcze nie odkrył.

Jeżeli p. Proudhon przez to chce powiedzieć, że wcześniej, niż dla wszystkich innych towarów, zauważono, iż złoto i srebro są towarami, do wytworzenia których niezbędny jest czas roboczy, byłoby to wtedy tylko jedno z tych założeń, jakimi chętnie darzy on swych czytelników. Jeżeli kcielibyśmy się trzymać tej patryjarchalnej erudycji, wtedy powiedzielibyśmy p. Proudhonowi, że przedewszystkiem zaznajomiono się z tym czasem roboczym, który był konieczny do wytworzenia najniezbędniejszych przedmiotów jak np. żelazo i t. d. Obdarzmy go klasycznymi łukami Adama Smitha.

Atoli, jakim sposobem może p. Proudhon cokolwiek mówić o ustanowieniu wartości, jeżeli wartość nigdy nie ustanawia się sama przez się? Wartość wytworu ustanawia się nie przez czas roboczy niezbędny jedynie do jej wytworzenia, lecz w stosunku do mnóstwa wszystkich pozostałych produktów, które mogą być wytworzone w tym samym czasie. Ukonstytuowanie się przeto wartości złota i srebra każe już przypuszczać poprzednie ukonstytuowanie (wartości) mnóstwa innych wytworów.

A więc to nie towar stał się pod postacią złota i srebra „ukonstytuowaną wartością“, lecz przeciwnie, to „ukonstytuowana wartość“ p. Proudhona stała się towarem w postaci złota i srebra.

Poszukajmy teraz względów ekonomicznych, które zdaniem p. Proudhona nadały złotu i srebru to pierwszeństwo, że dzięki ukonstytuowaniu swej wartości zostały rychlej niż wszelkie inne wytwory podniesione do godności pieniędzy.

Oto te względy: „widoczna dążność do panowania“, już „w patryjarchalnym okresie“ „wybitne pierwszeństwo“, jak również wiele innych omówień tego prostego faktu, zwiększających jedynie gmatwaninę przez zaciemnienie faktu wskutek pomnożenia przypadków, przytaczanych przez p. Proudhona w celu wyjaśnienia tego faktu. Atoli p. Proudhon nie wszystkie jednak pozorne ekonomiczne względy wyczerpał. Oto jeszcze jeden potężnej, przemożnej wagi:

„Z tego dokonanego przez władców chrztu powstały pieniądze: władcy zabrali złoto i srebro w swe ręce i wycisnęli na nich swój znak“.

A zatem samowola władców stanowi dla p. Proudhona najwyższy wzgląd w ekonomii politycznej!

W samej rzeczy, trzeba być pozbawionym wszelkiej znajomości historii, aby nie wiedzieć, że po wszystkie czasy władcy musieli ugiąć się przed stosunkami ekonomicznymi, że nigdy nie dyktowali oni tym ostatnim praw. Zarówno polityczne, jak cywilne prawo-dawstwo stanowi jedynie wyraz, wypowiedzenie woli stosunków ekonomicznych.

Czyż władca opanował złoto i srebro, by przez wycisnięcie swego znaku uczynić je powszechnym środkiem wymiany, czy też na odwrót, te powszechne środki wymiany opanowały właśnie władców i zmusiły ich do wycisnięcia ich znaku i do udzielenia im chrztu politycznego?

Stępel, który kładziono i kładzie się na złocie, zgoła nie wyraża jego wartości, lecz jego wagę; autentyczność, o której powiada p. Proudhon, stosuje się jedynie do czystości próby; próba ta pokazuje ile szlachetnego metalu znajduje się w oddzielnej monecie. „Jedyna wartość właściwa marce srebra — mówi Voltaire z znanym swym zdrowym rozumem — to pół funta srebra, ważącego 8 uncji. Waga i próba stanowią całą tę wartość“. (Voltaire, System de Law). Atoli pytanie: ile warta jest uncja srebra lub złota, wskazuje jeszcze czeka na odpowiedź. Lubo kaszmir z magazynów „Wielkiego Colberta“ nosi jaryłk fabryczny: „prawdziwa wełna“, lecz jaryłk ten nie wskazuje jeszcze wartości kaszmiru. Wciąż jeszcze należy oznaczyć, ile ta wełna jest warta. Filip I francuzki, powiada p. Proudhon, do liwru tournaiskiego (waga z czasów Karola W.) złota domieszał jedną trzecią mieszaniny, gdyż wymarzył sobie, że ponieważ jedynie on posiada prawo bicia monety, przeto może tak postępować, jak każdy kupiec, posiadający monopol na swe wytwory. Czem było to fałszowanie monety, z powodu którego tak napadają na Filipa i jego następców? Z punktu widzenia praktyki handlowej jest to nader usprawiedliwione, lecz z punktu nauki ekonomicznej — nader fałszywe rozumowanie; mianowicie że, zaofiarowanie i zapotrzebowanie regulują wartość, przeto sztucznie stworzoną rzadkością jako też zmonopolizowaniem fabrykacji możemy podnieść ocenę a więc i wartość rzeczy, i że to tak samo odnosi się do złota, srebra, jak i do zboża, wina, oleju i tytoniu. W samej jednak rzeczy, skoro oszustwo Filipa stało się wiadomem, pieniądze jego upadły do właściwej wartości, i zarazem stracił on tyle, na ile chciał oszukać swych poddanych. Tego samego losu doznały wszystkie następne tego rodzaju próby.

Przedewszystkiem wielokrotnie się okazało, że księżę, fałszując monetę, sam jest na tem stratny. Ile zyskuje on przy pierwszej emisji, tyle też traci, kiedy fałszowana moneta znowu doń powraca pod postacią podatków i t. d.

Atoli Filip i jego następcy umieli się mniej lub więcej zabezpieczyć przeciw tej stracie; albowiem zaledwie puścili w obieg pofałszowaną monetę, natychmiast rozkazali przetopić wszelką kursującą monetę stosownie do dawnej skali.

Wreszcie, gdyby Filip I zaprawdę tak rozumował jak p. Proudhon, rozumowałby on źle nawet z „handlowego punktu widzenia“. Zarówno Filip I jak i p. Proudhon niewiele wykazują zmysłu ku-

pieckiego, mniemając, że wartość złota jako też wszelkiego innego towaru określa się przez ten jedynie czynnik, przez stosunek zaofiarowania do zapotrzebowania.

Gdyby król rozkazał, by jeden korzec pszenicy na przyszłość zwał się dwoma korcami, byłby wtedy oszustem; oszukałby wszystkich rentyjerów, wszystkich ludzi, którzy mieli otrzymać sto korey; sprawiłby, że wszyscy ci ludzie zamiast 100 korey otrzymaliby 50. Przypuśćmy, że król jest dłużny 100 korey; zapłaciłby teraz tylko 50. Atoli w handlu 100 korey nie większą posiadałyby wartość, niż dawniej 50. Przez zmianę imion nie zmieniamy jeszcze treści rzeczy. Zapotrzebowana i zaofiarowana ilość pszenicy nie zmniejszałaby się ani wzrosła w skutek tej prostej zmiany nazwy. Ponieważ, mimo tę zmianę nazwy stosunek zapotrzebowania i zaofiarowania pozostał ten sam, przeto cena zboża żadnej nie uległaby zmianie. Mówiąc o zapotrzebowaniu i zaofiarowaniu rzeczy, zgoła nie mówimy o zaofiarowaniu i zapotrzebowaniu nazw rzeczy. Filip I nie robił ani złota ani srebra, jak się wyraża p. Proudhon; on jedynie robił nazwy monet. Jeżeli ktoś sprzedaje zamiast hinduskiego francuzki kaszmir, oszuka być może jednego lub dwóch kupców, lecz skoro oszustwo zostanie wykrytem, natychmiast mniemane hinduskie kaszmiry spadną do poziomu francuzkich. Nadając złotu i srebru fałszywą etykietę, Filip I dopóty mógł innym mainić oczy, póki oszustwo nie zostało wykrytem. Podobnie jak i wszyscy inni kupcy oszukiwał on swych kundmanów przez fałszywe oznaczenie towarów, lecz to może tylko potrwać do pewnego czasu. Później lub prędzej musiał on doświadczyć nieubłagalności praw wymiany. Czy tego chciał dowieść p. Proudhon? Nie. Jego zdaniem, pieniądź otrzymuje swą wartość od władcy, a nie od wymiany. Czegóż on w samej rzeczy dowiódł? Że wymiana jest potężniejszą nad władcę. Władca rozkazał by marka stała się na przyszłość dwiema markami, tymczasem wymiana wciąż dowodzi, że te dwie marki tyleż są warte, co poprzednio jedna.

Wszelakoż przeto kwestya określenia wartości przez ilość pracy ani na krok nie postąpiła. Wciąż jeszcze trzeba rozstrzygnąć, czyż te dwie marki, które obecnie stanowią znowu jedną dawną markę, określają się przez kosztą produkcji, czy też przez prawo zaofiarowania i zapotrzebowania.

P. Proudhon powiada w dalszym toku: „Wypada jeszcze nadmienić, że gdyby we władzy królewskiej spoczywała możność, zamiast fałszowania pieniędzy, podwojenia ich ilości, wtedy wartość zamienia złota i srebra spadła by o połowę, zawsze na zasadzie proporcjonalności i równowagi“.

Gdyby ten wspólny p. Proudhonowi i innym ekonomistom pogląd był słusznym, wtedy mówiłby on na korzyść ich doktryny o zaofiarowaniu i zapotrzebowaniu, lecz bynajmniej nie na korzyść proporcjonalności p. Proudhona. Albowiem bez względu na czas roboczy, skrzystalizowany w podwójnej masie złota i srebra, zawsze by ich wartość spadła o połowę, skoro zapotrzebowanie pozostawałoby tem samem, a zaofiarowanie by się zdwajało. Albo też, być może, obecnie to „prawo proporcjonalności“ złałoby się przypadkowo z tak pogardzanem prawem zaofiarowania i zapotrzebowania? Rzeczywista proporcjonalność p. Proudhona tak jest zaiste ela-

styczną, zezwala na tyle modyfikacyj, kombinacyj i zmian, że raz jeden może się złąć w jedno z stosunkiem zapotrzebowania do zaofiarowania.

Twierdzić, że każdy towar jest wymiennalnym, jeśli nie faktycznie to przynajmniej z prawa, a w tem twierdzeniu opierać się na roli złota i srebra, jest to zupełnie zapoznawać tę rolę. Złoto i srebro tylko dlatego są z prawa (zawsze) wymiennalnymi, gdyż istotnie są takowemi; są zaś istotnie takowemi, gdyż obecna organizacyja produkcji wymaga pewnego powszechnego środka wymiany. Prawo jest tylko oficjalnem przyznaniem faktu.

Widzieliśmy, że przykład z pieniędzmi, jako wykazanie ukonstytuowanej już wartości został jedynie wybranym przez p. Proudhona. by mózdz przeprowadzić całą swą teorię wymiennalności, t. j. by dowieść, że każdy szacowany podług kosztów produkcji towar musi stać się pieniądźmi. Wszystko to byłoby bardzo pięknem i dobrem, gdyby nie jedna mała niedogodność, mianowicie że właśnie złoto i srebro w swym charakterze monety są jedynymi towarami, które się nie według kosztów produkcji regulują; i jest to tak bardzo prawdziwem, że mogą one być zastąpionemi w obiegu przez papier. Dopóki istnieje pewien stosunek między potrzebami obiegu a ilością pieniędzy, wypuszczonych w obieg, bez względu czy to będą papiery, czy też złote, miedziane lub platynowe monety, dopóty nie masz co troszczyć się o utrzymanie stosunku między wartością wewnętrzną (kosztami produkcji) a nominalną pieniędzy. Nie ulega wątpliwości, że w handlu międzynarodowym, pieniądź jak wszelki inny towar, określa się przez czas roboczy. Atoli złoto i srebro w międzynarodowym handlu stanowią środki wymiany jako wytwory a nie jako moneta, t. j. tracą one ten charakter „autentyczności i stałości“, ten „chrzest ze strony władzy“, co w oczach p. Proudhona stanowi ich specyficzny charakter. Rikardo tak dobrze zrozumiał tę prawdę, że lubo oparł cały swój systemat na określonej czasem roboczym wartości i orzekł, że „złoto i srebro jak wszelki inny towar posiadają wartość tylko w stosunku do ilości pracy, niezbędnej dla ich produkcji i dostarczenia na rynek“ — przecież dodaje, że wartość pieniędzy określa się nie przez zawarty w ich substancji czas roboczy, lecz przez prawo podaży i popytu. Jakkolwiek papier żadnej wewnętrznej nie posiada wartości, wszakoż gdy ilość jego jest ograniczoną, wartość jego zamienna może stać się równą wartości podobnej summy pieniędzy metalicznych lub też sztab oszacowanych w monecie. Zupełnie w ten sam sposób, wskutek tej samej zasady t. j. wskutek ograniczenia ilości pieniędzy, mogą monety stojące poniżej wartości kursować w takiej wartości, jaką by miały, gdyby posiadały przepisane prawem wagę i zawartość, a więc nie podług tej wewnętrznej wartości, jaką posiada zawarty w nich czysty kruszec. Dlatego też w dziejach angielskich pieniądze widzimy, że nasz pieniądź metaliczny nigdy nie tracił na swej wartości w stosunku prostym do do swego podfałszowania. Przyczyna tego tkwi w tem, że nigdy nie zwiększała się jego ilość w stosunku prostym do poniżenia się jego wartości“ (Rikardo l. c.).

J. B. Say do tego ustępu robi następującą uwagę: „O ile mi się zdaje, ten przykład powinien wystarczać do przekonania autora, że

podstawę wartości stanowi nie ilość pracy, niezbędna do wytworzenia pewnego towaru, lecz potrzeba, jaką odnośnie do niego odczuwamy, w połączeniu z jego rzadkością“.

Tak więc pieniądze, które dla Rikarda przestają być określoną czasem pracy wartością, które z tego powodu J. B. Say przytacza dla przekonania Rikarda, że również i inne wartości nie mogą być określane przez czas roboczy — tak więc pieniądze, będące dla J. B. Saya przykładem wartości wyłącznie przez zaoferowanie i zapotrzebowanie określanej, stanowią dla p. Proudhona najdoskonalszy przykład zastosowania... wartości, ukonstytuowanej przez pracę.

A zatem, by dojść do końca, jeżeli pieniądze nie są ukonstytuowaną przez pracę wartością, tedy tem mniej jeszcze mogą mieć cokolwiek wspólnego z właściwą „proporcjonalnością“ p. Proudhona. Złoto i srebro zawsze są wymienne, ponieważ mają za swe zadanie tę szczególną funkcję służyć jako powszechny środek wymienny, lecz bynajmniej nie dlatego, że istnieją w proporcjonalnym do ogółu dóbr stosunku, lub, by lepiej się wysłowić, są one wciąż proporcjonalne, albowiem z pośród wszystkich towarów tylko one służą jako pieniądz, jako uniwersalny środek wymienny, bez względu na stosunek, w jakim ich ilość ma się do ogółu dóbr. „Kursujących pieniędzy nigdy nie może być zanadto, by miały aż przelewać się; albowiem, jeżeli zmniejsze ich wartość, zwiększycie ich ilość w tym samym stosunku; zwiększając zaś ich ilość, zmniejszycie ich wartość“. (Rikardo).

„Cóż to za gmatwanina, ta ekonomija polityczna!“ wykrzykuje p. Proudhon.

„Przekłete te pieniądze!“, zabawnie woła komunista (przez usta Proudhonowskie). Z taką samą racją moglibyśmy wykrzyknąć: „Przekłeta pszenica! przekłete winnice! przekłete barany!“ albowiem „jak srebro i złoto, tak też i wszelka wartość targowa musi dojść do swego ściśle określonego ustalenia“.

Ideja obdarzania winnic i baranów własnościami pieniędzy zgola nie jest nowością. We Francyi datuje się ona od wieku Ludwika XIV. W tej epoce, w której pieniądze poczynaly wykazywać swą wszechpotęgę, skarżono się na spadanie cen wszystkich towarów i z upragnieniem wyczekiwano tej chwili, kiedy wszelka „wartość handlowa“, doszedszy do swego ściśle określonego ustalenia, będzie pieniędzmi. Już u Boisguilleberta, jednego z najdawniejszych ekonomistów francuskich znajdujemy następujące zdanie: „Wtedy, wskutek niezmiernego dopływu współzawodników, a więc dzięki sprowadzaniu towarów do ich właściwej wartości, pieniądze znowu zostaną zawarte w swych naturalnych granicach“. (Economistes financiers du dix-huitième siècle, str. 442, wydanie Daire'a). Jak widzimy, jednakie są ostatnie i pierwsze illuzyje burżuazji.

b) Przewyżka pracy

„W rozprawach z dziedziny ekonomii politycznej znajdujemy następujące bezmyślne twierdzenie: gdyby cena wszystkich przedmio-

tów podwoiła się... Jak gdyby cena wszystkich rzeczy nie była stosunkiem rzeczy i jak gdyby można było podwoić pewien stosunek, pewne prawo“ (Proudhon, t. I, str. 81).

Ekonomiści popadli w ten błąd, gdyż nie pojęli rzeczywistego zastosowania „prawa proporcjonalności“ i „ukonstytuowanej wartości“.

Niestety jednak! w samym nawet dziele p. Proudhona (t. I, str. 110) znajdujemy tę niesmaczną hipotezę, że, jeśliby się płaca powszechnie podniosła, podniosłaby się również cena wszystkich przedmiotów. Nadto, znalazłszy omawiany frazes w traktatach o ekonomii politycznej, znajdujemy zarazem tam jego wyjaśnienie: Jeżeli się mówi, że cena wszystkich towarów podnosi się lub spada, wtedy zawsze wyklucza się ztąd jeden lub drugi towar: wykluczonym towarem bywa w ogóle praca lub pieniądze (Encyklopaedia Metropolitana or Universal Dictionary of Knowledge, t. IV, artykuł: „Political Economy“ Seniors, Londyn, 1836. Patrz też co do tego J. St. Milla: Essays on some unsettled questions of political economy, London, 1844, i Tooke'a: An history of prices etc., London, 1838).

Przejdźmy obecnie do drugiego zastosowania „ukonstytuowanej wartości“ i innych proporcjonalności, których jedyną wadę stanowi to, że mało są one proporcjonalne; i zabaczmy, czy p. Proudhon nie jest czasami tu szczęśliwszym niż przy zamianie baranów na pieniądze.

„Jeden ogólnie przez ekonomistów przyjęty pewnik powiada, że każda praca musi dawać pewien zbytek. To twierdzenie uważam za bezwzględnie i ogólnie prawdziwe; stanowi ono uzupełnienie prawa proporcjonalności, które możemy rozpatrywać jako kwintesencję całej wiedzy ekonomicznej. Atoli proszę ekonomistów o przebaczenie. Zasada, że każda praca powinna oddawać pewien nadmiar, jest nie na miejscu w ich teorii i nie może być dowiezioną“ (Proudhon).

By dowieść, że wszelka praca musi dawać pewną przewyżkę p. Proudhon stara się uosobić społeczeństwo, czyni z niego jedną osobę — społeczeństwo; społeczeństwo, zgola nie będące społeczeństwem oddzielnych jednostek, gdyż posiada ono swe szczególne prawo, nie mające nic wspólnego z osobami, z których się składa; społeczeństwo, które posiada swój „własny rozum“, nie będący rozumem zwykłego śmiertelnika, lecz rozumem, odmiennym od zwykłego rozumu. P. Proudhon czyni ekonomistom zarzut, że nie pojęli osobistości tej, stanowiącej istotę całego społeczeństwa. Z niezmierną przyjemnością przytoczymy jemu następujące zdanie pewnego amerykańskiego ekonomisty, zarzucającego innym ekonomistom wprost przeciwną wadę: „Moralnej istocie (the moral entity), gramatycznemu pojęciu (the grammatical being), zwanemu społeczeństwem, przypisaliśmy własności, istniejące jedynie w wyobraźni tych ludzi, którzy ze słowa uczynili rzecz... To wywołało wiele trudności i oplakanych błędów w dziedzinie ekonomii politycznej“ (Th. Cooper, Lectures on the Elements of Political Economy, Columbia, 1826).

„Zasada ta przewyżki pracy tylko dlatego przejawia się wśród

jednostek, gdyż pochodzi od społeczeństwa, w ten sposób zezwalającego im użytkować z swych własnych praw“.

Czyż p. Proudhon chce przez to tylko tyle powiedzieć, że wytwórczość jednostki wśród społeczeństwa przewyższa wytwórczość jednostki izolowanej? Czyż ma on na myśli ten nadmiar produkcji ze strony jednostki uspołecznionej nad produkcją jednostki nieuspołecznionej? Jeżeli tak, wtedy możemy mu zacytować setkę ekonomistów, którzy wypowiedzieli tę prostą prawdę, nie uciekając się do tej tajemniczości, jaką się osłania p. Proudhon. Tak np. Sadler powiada:

„Zrzeszona praca daje rezultaty, jakich nigdy nie może wydać praca indywidualna. W miarę więc, jak społeczeństwo w swej liczbie się zwiększa, wytwory zjednoczonej pracy o wiele przewyższają tę sumę, która powstałaby z prostego dodawania ilości pracy wykonanej przez pojedyncze osobniki... Zarówno w przemyśle jako też na polu naukowym oddzielny osobnik może obecnie więcej zrobić w dzień jeden, niż izolowana jednostka przez całe swe życie. Twierdzenie matematyczne, że całość równa się sumie swych części, jest fałszywem w zastosowaniu do naszego przedmiotu. Odnosnie do pracy, tej podwaliny ludzkiego bytu, możemy powiedzieć, iż wytwór zrzeszonych wysiłków o wiele wszystko to przewyższa, co mogłyby zdziałać odosobnione wysiłki oddzielnych jednostek“ (Th. Sadler, *The law of population*, London, 1830).

Powróćmy do p. Proudhona. Nadmiar pracy znajduje swe wyjaśnienie w osobie: społeczeństwo. Działalnością życiową tej osoby kierują prawa, przeczące tym prawom, które rządzą działalnością człowieka jako jednostki; chce on to wykazać za pomocą „faktów“:

„Odkrycie nowego ekonomicznego proceduru nigdy nie może wynalazcy przynieść korzyści, równych tym, jakie dostarcza ono społeczeństwu... Zauważono, że przedsiębiorstwa dróg żelaznych stanowią dla przedsiębiorców mniejsze źródło dochodu niż dla państwa... Przeciętna cena transportu towarów na kołach wynosi 18 centimów z tonny na kilometr, włącznie z ceną upakowania. Wyliczono, że w obec takiej ceny zwykłe przedsiębiorstwo kolejowe nie może przynieść 10 % czystego zysku, — rezultat ten sam, co w zwykłym przedsiębiorstwie przewozu wozami. Alić przypuścimy, że prędkość transportu koleją ma się do prędkości przewozu wozami jak 4 : 1, wtedy, ponieważ w społeczeństwie czas również jest wartością, w obec jednakowych cen przewozowych kolej będzie przedstawiała w porównaniu do transportu wozowego zysk 400 %. Tymczasem ten olbrzymi, nader realny dla społeczeństwa zysk zgola nie realizuje się w tak znacznym stopniu dla przedsiębiorców kolejowych, nie otrzymujących nawet 10 %, lubo przynoszą oni społeczeństwu korzyść 400 %. Przypuścimy, by jeszcze lepiej uprzyścić rzecz samą, że droga żel. ustanawia swą taryfę na 25 cent., wówczas gdy przewóz wozami pozostaje na 18; wtedy straci ona wszystkie zamówienia. Wysyłający i odbierający, jednym słowem wszyscy powrócą do dawnych sposobów przewozu; lokomotywa będzie spoczywała w bezczynności: publiczna 400-procentowa korzyść zostanie poświęconą na ołtarzu 35-procentowej straty prywatnej. Przyczynę tego łatwo można pojąć: korzyści sprowadzane przez prędkość prze-

wozu koleją, są czysto społeczne, i każda jednostka korzysta ztąd w minimalnym stopniu (nie zapominajmy, że obecnie chodzi nam jedynie o przewóz przedmiotów), wówczas gdy strata dotyka spóżywcę bezpośrednio i osobiście. Jeżeli społeczeństwo składa się z milijona osób, wtedy społeczna korzyść, równa 400, dla jednostki przedstawia jedynie korzyść, równą $\frac{4}{10,000}$, wówczas gdy 33-procentowa strata dla spóżywców każe przypuszczać społeczny deficyt 33 mil.“ Proudhon, ed. I str. 100, 101).

Ze p. Proudhon zwiększoną prędkość wyraża 400 procentami pierwotnej prędkości, to jeszcze ująć mogłoby; lecz jeżeli ustanawia on stosunek między procentami prędkości a zysków, a więc między dwiema rzeczami, które, lubo każda oddzielnie może być wyrachowywana w procentach, lecz między sobą są niewymierne, wtedy to poprostu oznacza, że ustanawiamy stosunek między samymi procentami, zupełnie nie tykając się samych rzeczy.

Procenty są zawsze tylko procentami. 10 pre. i 400 pre. są spólmierne, mają się do siebie jak 10 do 400; ztąd wnioskuje p. Proudhon, że zysk 10-procentowy posiada wartość 40 razy mniejszą, niż w czwornasób powiększona prędkość. By zachować pozory, powiada, że dla społeczeństwa czas jest wartością. Błąd ten ztąd wynika, że on niejasno sobie przypomina, jakoby istniał jakiś stosunek między wartością a czasem roboczym; nie też niema on śpieszniejszego nad przyrównanie czasu roboczego do czasu przewozu, t. j. utożsamia palaczy, konduktorów i in., których czas roboczy stanowi właśnie czas transportu, z całym społeczeństwem. Za jednym więc razem prędkość staje się kapitałem, i w ten sposób słusznie może powiedzieć: 400-procentowa korzyść poświęconą zostaje na ołtarzu 33-procentowej straty“ Wystawiwszy to zadziwiające twierdzenie jako matematyk, wyjaśnia je następnie jako ekonomista.

„Jeżeli społeczeństwo składa się z milijona osób, wtedy społeczna korzyść, równa 400, dla jednostki przedstawia jedynie korzyść, równą $\frac{4}{10,000}$ “. Zgoda; lecz tu chodzi nie o 400, lecz o 400 pre., i 400-procentowa korzyść stanowi dla jednostki 400 pre. — ni mniej ni więcej. Bez względu na wielkość kapitału, dywidendy rachują się w stosunku 400-procentowym. Lecz cóż czyni p. Proudhon? Przyjmuje procenty za kapitał i, obawiając się chyba, że jego pogmatwanie rzeczy nie jest jeszcze dość „zrozumiałem“, jasnem, powiada dalej:

„33-procentowa strata dla spóżywców każe przypuszczać społeczny deficyt 33 mil.“ 33-procentowa strata dla spóżywców pozostaje takąż samą stratą też i dla milijona spóżywców. Czyż więc p. Proudhon może powiedzieć, iż przy 33-procentowej stracie społeczny deficyt wyniosłby będzie 33 mil., wówczas gdy zgola nie nas nie powiadania ani o kapitale społecznym, ani też o kapitale oddzielnej zainteresowanej jednostki? P. Proudhonowi atoli tego jeszcze nie dość, że pogmatwał kapitał z procentami; idzie on jeszcze dalej i utożsamia włożony w przedsiębiorstwo kapitał z liczbą zainteresowanych.

By jeszcze bardziej uzmysłowić kwestyję, przypuścimy wiadomy kapitał; 400-procentowy zysk społeczny, rozdzielony na milion u-

czestników, z których każdy posiada franka, daje na głowę 4 franki, a nie $\frac{4}{10,000}$ jak podaje p. Proudhon. Również 33-procentowa strata reprezentuje dla ogółu uczestników 330,000 franków, a nie 33,000,000 [$100 : 33 = 1,000,000 : 330,000$].

Zapatrzyony w swą teorię społeczeństwa-osobnika, zapomina p. Proudhon podzielić wszystko na 100. Otrzymujemy więc 330,000 fr. straty, lecz 4 fr. zysku na głowę przynoszą 4,000,000 dochodu. A zatem na czysto społeczeństwo otrzymuje 3,670,000 fr. Ten ścisły rachunek wykazuje wprost coś odwrotnego, niż to, co chciał dowieść p. Proudhon. Mianowicie zysk i strata społeczeństwa zgola nie stoją w odwrotnym stosunku do korzyści i strat jednostki.

Poprawiwszy ten niewielki błąd w rachunku, jeszcze raz rozpatrzmy wyniki, do których dojść powinniśmy, skoro mamy zastosować do dróg żelaznych Proudhonowski stosunek prędkości do kapitału. Przypuśćmy, że cztery razy przędź przewoź cztery razy więcej kosztuje; wtedy tani przewóz nie więcej przyniesie zysku niż przewóz wozami, idący cztery razy wolniej i pochłaniający cztery razy mniejszą ilość pieniędzy. A więc, skoro przewoź wozem pobiera 18 centimów, wtedy kolej żelazna brałaby 72 cent. Oto „matematycznie ścisły” wynik założenia p. Proudhona — nawet w takim razie, jeżeli nie zwrócimy uwagi na błędy w rachunku. Lecz nie spodzianie oświeca on nas, że skoroby droga żelazna zamiast 72 brała tylko 25 cent., wtedy straciłaby wszelkie obstalunki. Stanowczo, chyba trzeba się wrócić do dawnych porządków. Gdybyśmy mogli dać p. Proudhonowi pewną radę, zaleciłibyśmy mu, by w swym „programme de l'association progressive” nie zapomniał o podzieleniu na sto. Niestety jednak! nie możemy mieć tej błogiej nadziei, gdyż p. Proudhon tak jest zachwycony swym „postępowym rachunkiem”, odpowiadającym jego „postępowej asocjacji”, że wykrzykuje z uniesieniem: „Już w drugim rozdziale, przy rozwiązywaniu antynomij wartości, wykazałem, że korzyść każdego użytecznego odkrycia bezporównania jest mniejszą dla wynalazcy niż dla społeczeństwa; dowiodłem tego z matematyczną ścisłością”!

Powróćmy do fikcyj społeczeństwa-osobnika, mającej na celu dowieść, że nowe odkrycia, dające możność wyrabiania przy pomocy tego samego wydatku pracy większą ilość towarów, obniżają rynkową cenę wytworu. Na tem korzysta społeczeństwo; lecz nie dlatego, że otrzymuje ono więcej wartości zamiennych, ale ponieważ za tę samą wartość dostaje więcej towarów. Co się zaś tyczy wynalazcy, to pod wpływem konkurencyj zyski jego powoli spadają do ogólnego poziomu zysków. Czy dowiół tego p. Proudhon, jak był sobie założył? Zgola nie; nie przeszkadza mu to jednak, zarzucać ekonomistom, że tego nie dowiedli. By wykazać mu że się myli, zacytujemy tylko Rikardo'a i Lauderdale'a; Rikardo'a — głównego przeciwnika szkoły, określającej wartość czasem roboczym; Lauderdale'a — jednego z głównych obrońców twierdzenia, jakoby wartość określała się przez zaofiarowanie i zapotrzebowanie. Obaj to samo twierdzenie wystawili.

„Zwiększając wciąż łatwość produkcji, bezustannie obniżamy wartość niektórych z dawniej wytwarzanych rzeczy, lubo w ten sposób powiększamy nie tylko bogactwo narodowe, lecz tudzież możność wytwarzania na przyszłość... Skoro maszynami lub dzięki naszym

wiadomościom przyrodniczym zmuszamy siły natury do wypełniania roboty, dotychczas spełnianej przez człowieka, wskutek tego obniża się wartość zamienna wytworu. Jeżeli potrzeba było 10 ludzi, by obracać żarna i skoro odkryto, że wiatr lub woda może zastąpić tę pracę dziesięciu ludzi, wtedy mąka — rezultat pracy przy młynie — od tej chwili poczyną spadać odpowiednio do oszczędności, poczynionych w pracy, a społeczeństwo zbogaci się na całą wartość rzeczy, które zdoła wytworzyć praca tych 10 ludzi, gdyż zasób przeznaczony na utrzymanie robotników, wskutek tego najmniejszemu nie ulegnie zmniejszeniu”. (Rikardo).

Lauderdale ze swej strony powiada:

„Zysk od kapitałów ztąd pochodzi, że biorą one na się pewną część pracy, którą człowiek musiał wypełniać przy pomocy swych rąk. Nieznaczny zysk, jaki w ogóle otrzymują właściciele maszyn, w porównaniu do ceny zastąpionej przez nie pracy wywoła być może powątpiewanie w tej mierze. Naprz. pompa parowa przez jeden dzień więcej wylewa wody z kopalni węgla niż mogłoby na swych barkach wynieść 300 ludzi nawet tworząc łańcuch; najmniejszej też nie ulega wątpliwości, że zastępuje ona pracę przez daleko mniejszy koszt. To samo stosuje się do wszelkich maszyn. Dotychczasową pracę ludzką, którą one zastępują, muszą one wypełniać za tańszą cenę... Przyjmijmy, że wynalazca pewnej maszyny, wykonującej pracę za czterech ludzi, otrzymał na nią patent; oczywiście jest, że — albowiem wyłączny przywilej uniemożliwia konkurencyję za wyjątkiem jedynie tej, która odbywa się wśród robotników — podczas całego trwania przywileju płaca tych robotników stanowić będzie skalę ceny, jaką żąda wynalazca za swe wytwory; t. j. by zapewnić sobie korzyści, będzie on żądał nieco mniej, niż wynosi płaca za tę pracę, którą zastąpiła maszyna. Atoli skoro przywilej ustanie, zostaną zbudowanemi inne maszyny tego samego rodzaju i poczną rywalizować z jego maszynami. Wtedy swa cenę będzie on ustanawiał według ogólnych zasad, w zależności od obfitości maszyn. Zysk z wyłożonego funduszu... lubo jest wynikiem zastąpionej pracy, ostatecznie normować się będzie nie według wartości tej pracy, lecz jak i w innych przypadkach według konkurencyj wśród kapitalistów, a jego poziom będzie się określał wciąż przez stosunek obfitości zaofiarowanych na ten cel kapitałów do ich zapotrzebowania.”

Ostatecznie, póki zyski będą większymi, niż wśród innych gałęzi przemysłu, dopóty znajdziemy kapitały, rzucające się do nowej industry, aż wreszcie stopa zysków nie opadnie na ogólny poziom.

Widzieliśmy, że przykład z drogami żelaznymi zupełnie się n'e nadaje, by rzucić właściwe światło na fikcję społeczeństwa — osobnika. Wszelakoż p. Proudhon odważnie mówi dalej: „Raz wyjaśniliśmy ten punkt, nie łatwiejszego nad wyjaśnienie. Dlatego każdemu wytwórcy praca powinna dawać pewien nadmiar”.

Następujący zatem ustęp należy do klasycznej starożytności. Jest to poetycka opowieść, mająca na celu wypoczynek czytelnika po wysiłkach, które wywołać mogła uprzednia ścisłość dowodów matematycznych. P. Proudhon swemu społeczeństwu — osobnikowi na-

daje miano Prometeusza, a jego czyny wysławia nas tępijącem słowy:

„Prometeusz, dziecie przyrody, w pewnych chwilach budzi się do życia wśród beczynności, pełnej ponęty. Bierze się do pracy i pierwszego dnia zaraz — pierwszego dnia swego powtórnego stworzenia — wytwór Prometeusza t. j. jego bogactwo, dobrobyt równa się 10. Na drugi dzień Prometeusz dzieli swą pracę, i wytwór jego staje się równym 100. Na czwarty i następne dni Prometeusz wynajduje maszyny, odkrywa nowe własności ciał, nowe siły natury i t. d. Na każdym kroku jego przemysłowej działalności zwiększa się cyfra jego produkcji i zwiastuje mu nowy przyrost szczęścia. A ponieważ spożycie dłań jest to wytwarzanie, przeto oczywiście, że każdy dzień spożycia, zużywając jedynie wytwór dnia wczorajszego, pozostawia na dzień następny pewien nadmiar produkcji“.

Ten Prometeusz Proudhonowski jest szczególną istotą, zarówno słabą w logice, jak też w ekonomii politycznej. O ile nas on o tem naucza, że podział pracy, zastosowanie maszyn, eksploatacja sił przyrody i nauk technicznych zwiększają wytwórczość ludzką i dostarczają pewnego nadmiaru odnośnie do odosobnionej pracy, o tyle ten nowy Prometeusz w jednej jedynej rzeczy tylko pobił — mianowicie że zapóźno przyszedł. Lecz kiedy zaczyna rozumować on o produkcji i konsumpcji, wtedy zaiste staje się śmiesznym. Spożycie dłań jest to samo, co wytwarzanie; spożywa on dzisiaj to, co wczoraj wytworzył — w ten sposób wciąż pozostawia za sobą dzień jeden. Ten dzień stanowi jego „nadmiar pracy“. Ale by spożywać dopiero następnego dnia wytwory poprzedniego, musiał on podczas swego pierwszego dnia, który jest bez poprzedników, pracować za dwa dni, by zyskać na jednym dniu czasu. W jakież więc sposób tego pierwszego dnia, kiedy nie istniał jeszcze ani podział pracy, ani maszyny, ani znajomość innych krom ognia sił przyrody, Prometeusz osiągnął ten nadmiar? Jak widzimy, sprawa ani na krok nie postąpiła naprzód przez to, żeśmy ją sprowadzili aż „do dnia pierwszego wtórego stworzenia.“ Taki sposób wyjaśniania rzeczy przypomina zarazem judaizm i klasyczną Heladę, jest jednocześnie pełen mistycyzmu i alegorii, oraz zezwala p. Proudhonowi na bezwzględne obwieszczenie: „teoretycznie i faktycznie dowiodłem zasady, że wszelka praca powinna dawać pewien nadmiar“.

Tymi faktami są sławne postępowe obliczenia, a teorią — mętłowy Prometeusz.

Atoli, powiada p. Proudhon w dalszym ciągu, zasada ta, tak niewątpliwa jak twierdzenia arytmetyki, daleką jest od tego, by urzeczywistnić się dla wszystkich. Podczas gdy w skutek postępu pracy społecznej dzień roboczy każdego oddzielnego robotnika staje się coraz produktywniejszym i lubo, w obec tej samej pracy, robotnik powinien by z dniem każdym stawać się bogatszym, wśród społeczeństwa znajdują się warstwy, z których jedne się zubożają, drugie ubożeją“ (Proudhon, wyd. I, str. 80).

W 1770 r. ludność zjednoczonego królestwa wielkiej Brytanii wynosiła 15 mil., z kąd na wytwórczą ludność przypadało 3 mil. Wydajność technicznych sił wytwórczych odpowiadała prawie ludności 12 mil., tak że suma wynosiła 15 mil. sił wytwórczych. W ten

sposób wytwórcza wydajność miała się do ludności jak 1 : 1, a wydajność techniczna do wydajności pracy ludzkiej jak 4 : 1.

W 1840 r. wynosiła ludność nie więcej nad 30 mil. ludność wytwórcza równała się 6 mil., a tymczasem techniczna podniosła się do 650 mil., t. j. miała się do całej ludności jak 21 : 1, a do wydajności pracy ludzkiej jak 108 : 1.

A zatem wśród angielskiego społeczeństwa dzień roboczy przez 70 lat zyskał przyrost 2700 proc. wytwórczości, t. j. w 1840 r. wytwarzano w tym samym przeciągu czasu 27 razy więcej, niż w 1770 r. Zdaniem p. Proudhona pytanie należałoby postawić w sposób następujący: dlaczego robotnik angielski w 1840 r. nie był 27 razy bogatszy, niż w 1770 r.? By takiego rodzaju pytanie postawić, trzeba przedewszystkiem już z góry przyjąć, że Anglicy mogliby wytworzyć te bogactwa bez historycznych warunków, wśród których one zostały wytworzone, jako to: nagromadzenia prywatnych kapitałów, nowożytnego podziału pracy, zastosowania maszyn, anarchicznej konkurencji, systemu najmu — jednym słowem rzeczy, opierających się na antagonizmie klasowym. To właśnie były warunki, na tle których rozwijały się siły wytwórcze i nadmiar pracy. By osiągnąć tego rozwoju wytwórczości i tego nadmiaru pracy, koniecznem było istnienie różnych klas — jednych, które na tem korzystały, i innych, które na tem traciły.

Czem że więc jest ten wskrzeszony przez p. Proudhona Prometeusz? Jest to społeczeństwo, są to stosunki społeczne, oparte na antagonizmie klasowym. Stosunki te nie są to stosunki jednostki do jednostki, lecz robotnika do kapitalisty, dzierżawcy do właściciela ziemskiego i t. d. Wykreślmy te stosunki — a zniweczymy całe społeczeństwo. Prometeusz okaże się jedynie widmem bez rąk i nóg, t. j. bez zastosowania maszyn i podziału pracy; jednym słowem, nie będzie on nic z tego posiadał, co pierwotnie przypisał mu p. Proudhon, by odeń wyciągnąć ten nadmiar pracy.

Gdyby więc w teorii, jak to czyni p. Proudhon, można było wyjaśnić formułę nadmiaru pracy z punktu widzenia równości, bez uwzględniania obecnych warunków produkcji, wtedy na praktyce byłoby wystarczającym skutecznie poprostu równy podział wszystkich obecnie uzyskanych bogactw pomiędzy robotników, nie zgoda nie zmieniając w dzisiejszych warunkach produkcji. Podział taki bezwarunkowo nie zapewniłby oddzielnym uczestnikom zbyt wielkiego dobrobytu.

Ale p. Proudhon nie jest tak pesymistycznym, jak możnaby mniemać. Ponieważ proporcjonalność dłań stanowi alfę i omegę, musi przeto w owym Prometeuszu, t. j. w obecnym społeczeństwie, dopatrywać się początku urzeczywistniania się swej ulubionej teorii:

„Alie wszędzie postęp bogactwa, t. j. *proporcjonalność wartości*, stanowi panujące prawo; a jeżeli ekonomiści w obec zarzutów partii socjalistycznej wskazują na bezustanny wzrost bogactwa narodowego i podnoszenie się dobrobytu nawet klas najnieświeższych, to w ten sposób nieświadomie przyznają wielką prawdę, będącą na nich samym wyrokiem“ (Pr. I wyd. str. 80).

Czem że jest w istocie rzeczy społeczne mienie, bogactwo narodowe? Bogactwem burżuazji, lecz nie oddzielnego burżua. Zgoda;

lecz ekonomiści jedynie wykazali, jak przy obecnych stosunkach produkcyjnych bogactwo burżuazji rozwijało się i jak musi się jeszcze zwiększać. Co się zaś tyczy klasy robotniczej, jest to jeszcze wielka kwestya, czy jej położenie polepszyło się w skutek zwiększenia się rzekomego bogactwa publicznego. Jeżeli ekonomiści jako dowód dla swego optymizmu cytują przykład robotników angielskiego bawelnianego przemysłu, uwzględniają oni ich położenie tylko w rzadkich okresach przemysłowego rozkwitu. Okresy te rozkwitu mają się do epok kryzysów i stagnacji „akurat“ jak 3 : 10. Albo też, mówiąc o polepszeniu losu, ekonomiści może mieli na myśli te miliony robotników, którzy musieli zginąć w Indjach przedgangesowych, by półtora milionom robotników, zajętych w odpowiedniej gałęzi przemysłu angielskiego, zapewnić trzy lata dobrobytu z każdego 10 lat.

Co się zaś tyczy chwilowego współudziału w przyroście bogactwa narodowego, jest to inna kwestya. Fakt ten chwilowego współudziału znajduje swe wyjaśnienie w teorii ekonomistów. Lecz nie jest to „wyrok“, jak chce p. Proudhon, a poparcie. Jeżeli na co trzeba wydać wyrok, to przedewszystkiem na systemat p. Proudhona, który, jakieśmy to wykazali, sprowadziłby płacę robotników do minimum i to mimo zwiększenia się bogactwa. Tylko dzięki temu, że sprowadził on ją do minimum, mógł on wprowadzić rzeczywistą proporcjonalność wartości, przez czas roboczy „konstytuowaną“ wartość. Właśnie dla tego, że wskutek konkurencji płaca waha się powyżej lub poniżej ceny środków spożywczych, niezbędnych do utrzymania robotnika, ten ostatni może uczestniczyć w rozwoju bogactwa społecznego, lub też z tem samem prawdopodobieństwem umrzeć z nędzy. Oto cała teoria ekonomistów, względem której nie robią oni sobie żadnych illuzji.

Po kilkakrotnem oddalaniu się od przedmiotu z powodu kolei żelaznych, Prometeusza, wreszcie nowego społeczeństwa, mającego się oprzeć na „ukonstytuowanej wartości“, p. Proudhon zbiera swe siły i pod wpływem wzruszenia wykrzykuje ojcowskim tonem:

„Zaklinam ekonomistów, by w głębi swego serca, zdala od mających wszystko uprzedzeń i bez względu na urzędy, które zajmują lub do których dążą, na interesy, którym służą, na głosy, które chcą pozyskać, na odznaczenia, zadawalniające ich próżność, zapytali się samych siebie i na to sobie odpowiedzieli, czy do dziś dnia tę zasadę, że każda praca musi dawać pewien nadmiar, pojmowali w ten sposób, z tym szeregiem założeń i wyników, jakieśmy tu wykazali“.

ROZDZIAŁ DRUGI

METAFIZYKA EKONOMII POLITYCZNEJ

I. METODA

Oto jesteśmy w Niemczech. Nie przestając mówić o ekonomii politycznej, zajmiemy się teraz metafizyka. I w tem tylko będziemy iść w ślad za „sprzecznościami“ p. Proudhona. Tylko co nas zmuszał do mówienia po angielsku, zmusił nas stać się anglikami. Teraz scena się zmienia. P. Proudhon przenosi nas do naszej drogiej ojczyzny i zmusza nas stać się Niemcami, mimo naszej woli.

Jeśli Anglik przemienia ludzi w kapelusze, to Niemiec przerabia kapelusze w idee. Anglik — to Rikardo, bogaty bankier i znany ekonomista; Niemiec — to Hegel, zwykły profesor filozofii przy uniwersytecie berlińskim.

Ludwik XV, ostatni król z władzą nieograniczoną i przedstawiciel upadku francuskiej monarchii, miał przybocznego doktora, który był pierwszym ekonomistą Francji.

Ten doktor-ekonomista przedstawiał blizki i pewny tryumf burżuazji francuskiej. Doktor Quesnay zrobił z ekonomii politycznej naukę i streścił ją w swym sławnym „Tableau economique“. Oprócz tysiąca komentarzy do tej pracy, które następnie się ukazały, mamy jeden napisany przez samego doktora. Jest to „L'analyse du Tableau economique“, opatrzony siedmiu ważnymi uwagami.

P. Proudhon jest drugim doktorem Quesnay. Jest Quesnay'em metafizyki ekonomii politycznej.

Otóż metafizyka, jak i cała filozofia, streszcza się, według Hegla, w metodzie. Trzeba nam zatem postarać się o wyjaśnienie metody p. Proudhona, która co najmniej jest równie ciemną, co i „Tableau economique“. Z tego więc powodu damy siedem mniej lub więcej ważnych uwag. Jeżeli doktor Proudhon nie jest zadowolonym z naszych uwag, to w takim razie może przyjąć na siebie rolę opata Baudeau i sam nam dać „wyjaśnienie“ metody ekonomiczno-metafizycznej.

Pierwsza uwaga.

„Nie mamy zamiaru kreślić historii według porządku czasu, ale według następstwa myśli. Ekonomiczne fazy czyli kategorie przejawiają się już to współcześnie, już to w odwrotnym porządku. Teoryje ekonomiczne nie mniej jednak mają swoje następstwo logiczne i swój związek w umyśle: i ten to właśnie porządek, pochwlebiamy sobie, żeśmy odkryli.“ (Pr. t. I, str. 146)

Widocznie p. Proudhon chciał nastraszyć Francuzów, rzucając im w oczy niby heglowskie frazesy. Mamy zatem do czynienia z dwoma ludźmi, najpierw z p. Proudhonem, potem z Heglem. Czem odróżnia się p. Proudhon od innych ekonomistów? Jaką rolę gra Hegel w ekonomii politycznej p. Proudhona?

Ekonomiści przedstawiają stosunki burżuazyjnej produkcji, podział pracy, kredyt, pieniądze i t. d. jako kategorie niezienne, niewzruszone, wieczne. P. Proudhon, mając już dane te kategorie całkiem wykończone, chce nam wyjaśnić proces powstawania i formowania się tych kategorii, zasad, praw, idei, myśli.

Ekonomiści tłumaczą nam, jak się odbywa wytwarzanie przy danych stosunkach, ale nie tłumaczą nam, jak same te stosunki powstają, to jest nie tłumaczą ruchu historycznego, który je zrodził. P. Proudhon, przyjawszy te stosunki jako zasady, kategorie, myśli abstrakcyjne, ma tylko wprowadzić porządek do tych myśli, które znajdują się alfabetycznie ułożone przy końcu każdego traktatu ekonomii politycznej. Przedmiotem badań ekonomistów jest czynne i twórcze życie człowieka, przedmiotem badań p. Proudhona są dogmaty ekonomistów. Od chwili, kiedy się nie śledzi za ruchem historycznym stosunków produkcji, których tylko wyrażeniem teoretycznym są kategorie, od chwili kiedy się widzi w tych kategoriach tylko idee, myśli, niezależne od rzeczywistych stosunków, jest się zmuszonym przyznać, iż pochodzeniem tych myśli jest ruch czystego rozumu. Jakim sposobem rozum czysty, wieczny, nieuosobiony mógł zrodzić te myśli? Jak on je wytwarza?

Gdybyśmy posiadali nieustraszoną p. Proudhona względem hegelianizmu, powiedzielibyśmy: on się różni w samym sobie i od siebie samego. Co to ma znaczyć? Rozum nieuosobiony, nie mając zewnątrz siebie ani gruntu, na którym mógł by się postawić, ani przedmiotu, któremu mógł by się przeciwstawić, ani też przedmiotu, z którym mógł by się zestawić, widzi się zmuszonym do zrobienia skoku, stawiając się, przeciwstawiając się samemu sobie i zestawiając się ze sobą, — co, używając terminów greckich, wyrazi się przez tezę, antytezę i syntezę. Dla tych, którzy nie znają języka heglowskiego, przytoczymy sakramentalną formułę: twierdzenie, przeczenie, przeczenie przeczenia. Oto co znaczy umieć mówić. To nie po hebrajsku, za pozwoleniem p. Proudhona, lecz jest to język tego czystego rozumu, oddzielnego od jednostki. Zamiast zwykłej jednostki ze zwykłym sposobem mówienia i myślenia, mamy tenże zwykły najczystszy sposób, ale bez osobowości.

Czyż trzeba się dziwić, że wszystko, co jest w ostatnim stopniu abstrakcyi, bo tu mamy do czynienia z abstrakcją, a nie analizą, przedstawia się pod postacią logicznej kategorii.

Czy trzeba się dziwić, że, usuwając pomalutku wszystko, co tworzy indywidualność domu, abstrahując go od materjałów, z których się składa, od formy, która go odróżnia, otrzymany ciału w ogóle, że, abstrahując ciału od granic, otrzymamy tylko przestrzeń, że, abstrahując na koniec przestrzeń od jej wymiarów, otrzymamy ilość samą w sobie, logiczną kategorię. Abstrahując tak każdy przedmiot, od wszystkich przypadkowych własności, żywionych lub nie, ludzi lub rzeczy, możemy powiedzieć, że w najwyższej abstrakcyi otrzymuje się kategorie logiczne jako substancje. Tak też metafizyce, wywodząc abstrakcyjne pojęcia, wyobrażają sobie, że analizują, a w miarę oddalania się od przedmiotów, wyobrażają sobie, że się zbliżają do ich zrozumienia; metafizyce mają w takim razie rację, utrzymując, że rzeczy tu na ziemi są haftem, kanwą którego tworzą kategorie logiczne. Oto tem odróżnia się filozof od chrześcijanina. Wbrew logice chrześcijanin ma jedno wcielenie Logos'u; filozof ma ich bez końca. Czyż zadziwi zatem kogo, że wszystko, co istnieje, co żyje na ziemi, w wodzie, może mocą abstrakcyi być sprowadzone do logicznej kategorii, że w ten sposób cały świat rzeczywisty może zatonać w świecie abstrakcyj, w świecie kategorii logicznych?

Wszystko, co istnieje, co żyje na ziemi i w wodzie, istnieje tylko za pomocą pewnego ruchu. I tak ruch historii wytwarza stosunki społeczne, ruch przemysłu daje nam wytwory przemysłowe i t. d.

Jak za pomocą abstrakcyi przemieniliśmy wszystko w kategorię logiczną, tak samo możemy abstrahować od wszelkiej wyróżniającej własności różne ruchy, aby otrzymać ruch abstrakcyjny, ruch czysto formalny, czysto logiczną formułę ruchu. Jeśli substancję każdej rzeczy widzimy w kategorii logicznej, to można wyobrazić sobie, że w formie logicznej ruchu mamy metodę bezwzględną, która nie tylko wyjaśnia każdą rzecz, ale zawiera w sobie ruch każdej rzeczy.

Jest to bezwzględna metoda, o której Hegel wyraża się temi słowami: „Metoda jest siłą bezwzględną, jedyną, najwyższą, nieskończoną, której nie nie jest w stanie się oprzeć, jest to dążenie rozumu do odnalezienia i poznania siebie w każdej rzeczy“ (Logika t. III.). Jeśli sprowadzi się każdą rzecz do logicznej kategorii, każdy ruch, każdy akt produkcji sprowadzi się do metody, z tego wynika naturalnie, że całość produktów i produkcji, przedmiotów i ruchu sprowadzi się do metafizyki stosowanej. To, co Hegel zrobił dla religii, prawa i t. d., p. Proudhon stara się uczynić dla ekonomii politycznej.

Czem jest zatem metoda bezwzględna? Abstrakcją ruchu. Czem jest abstrakcja ruchu? Ruchem w stanie abstrakcyjnym. Czem jest ruch w stanie abstrakcyjnym? Czystą logiczną formułą ruchu, czyli ruchem czystego rozumu. Na czem się zasadza ruch czystego rozumu? Na stawianiu się, przeciwstawianiu się i zestawianiu się, na sformułowaniu jako teza, antyteza i synteza, albo na koniec na twierdzeniu się, przeczeniu siebie, przeczeniu swego przeczenia.

Co czyni rozum, aby się stwierdzić, aby się wyrazić jako kategoria oznaczona? To jest sprawa rozumu samego i jego apologetów.

Skoro raz rozum postawi się jako teza, ta teza, ta myśl przeciwstawia się sobie samej, zdwaja się w dwie myśli sprzeczne, w twierdzenie i przeczenie, w *tak* i *nie*. Walka tych dwóch przeciwnych żywiołów, zawartych w antytezie, tworzy ruch dialektyczny. *Tak* staje się *nie*, *nie* staje się *tak*, *tak* staje się jednocześnie *tak* i *nie*, *nie* staje się jednocześnie *nie* i *tak*, przeciwieństwa się równoważą, neutralizują, znoszą się. Złanie tych dwóch sprzecznych myśli tworzy myśl nową — syntezę. Ta nowa myśl zdwaja się jeszcze w dwie myśli sprzeczne, które zlewają się znów w nową syntezę. Rezultatem tej pracy jest grupa myśli. Ta grupa myśli przechodzi taki sam ruch dialektyczny, jak prosta kategoria i ma jako antytezę grupę sprzeczną sobie. Z tych dwóch grup myśli rodzi się nowa grupa myśli, która jest ich syntezą.

Jak z ruchu dialektycznego prostych kategorii powstaje grupa, tak z ruchu dialektycznego grup powstaje seryja, a z ruchu dialektycznego seryj powstaje całkowity system.

Zastosujemy tę metodę do kategorii ekonomii politycznej, a będziemy mieli logikę i metafizykę ekonomii politycznej, albo innymi słowy będziemy mieli znane wszystkim kategorie ekonomiczne, wyrażone językiem mało znanym, który im nadaje pozór jakoby świeżo wyległych w głowie pełnej czystego rozumu, tak te kategorie zdają się wyrażać jedno z drugich, łączyć się i przenikać się wzajemnie przez samą pracę ruchu dialektycznego. Niech się czytelnik nie przestrasza tej metafizyki z całym jej rusztowaniem kategorii, grup, seryj i systemów. P. Proudhon mimo wielkiego trudu, podjętego dla wzniesienia się na wysokość systemu sprzeczności, ani razu nie może się wnieść ponad dwa pierwsze stopnie prostej tezy i antytezy, a i tu doszedł zaledwie dwa razy i to raz spadł na wznak.

Dotąd wyłożyliśmy tylko dialektykę Hegla. Zobaczymy później, jak się udało p. Proudhonowi sprowadzić ją do możliwie małych rozmiarów. Zatem dla Hegla wszystko, co się działo i co się dzieje, jest właśnie tem, co się dzieje w jego własnym umyśle. Zatem filozofia historii nie jest niczem innym jak tylko historią filozofii, jego własnej filozofii. Nie ma już „historii według porządku czasu“, jest tylko następstwo myśli w rozumie. Zdaje mu się, że buduje świat ruchem myśli, gdy tymczasem tylko systematycznie odbudowywa i podprowadza pod bezwzględna metodę myśli, które się znajdują w głowie każdego człowieka.

Druza uwaga

Kategorie ekonomiczne są tylko wyrażeniami teoretycznymi, abstrakcjami społecznych stosunków produkcji. P. Proudhon jako prawdziwy filozof, biorąc rzeczy naodwrot, widzi w realnych stosunkach tylko wcielenia tych zasad, tych kategorii, które drzemały jeszcze według p. Proudhona filozofa, w łonie „nieosobowego rozumu ludzkości“.

P. Proudhon-ekonomista zrozumiał bardzo dobrze, że ludzie wyrabiają sukno, płótno, materje jedwabne przy pewnych stosunkach produkcji. Ale nie zrozumiał, że pewne stosunki społeczne są tak dobrze wytworem ludzkim, jak płótno, len i t. d. Stosunki społeczne są ściśle związane z siłami wytwórczymi. Zdobywając nowe siły wytwórcze, ludzie zmieniają sposób produkcji, a zmieniając sposób produkcji, sposób zarabiania na życie, zmieniają swoje stosunki społeczne. Żarna dadzą nam społeczeństwo z panem feudalnym na czele, młyn parowy — społeczeństwo z kapitalistą przemysłowcem.

Ci sami ludzie, którzy ustanawiają stosunki społeczne odpowiednio do materialnego sposobu produkcji, tworzą także zasady, idee, kategorie odpowiednio do ich stosunków społecznych.

Zatem te idee, te kategorie są tak mało wieczne, jak stosunki, które te idee wyrażają, są przechodnymi, historycznymi produktami.

Istnieje ciągły ruch wzrostu w siłach wytwórczych, burzenia w stosunkach społecznych, tworzenia w idei; niezmienną jest tylko abstrakcja ruchu — mors immortalis.

Trzecia uwaga

Stosunki produkcji całego społeczeństwa stanowią jedną całość. P. Proudhon rozpatruje stosunki ekonomiczne jako tyleż faz społecznych, rodzących jedną drugą, wynikających jedna z drugiej jak antyteza z tezy, i realizujących w swoim logicznym następstwie nieosobowy rozum ludzkości.

Jedyna niedogodność, jaką przedstawia ta metoda jest to, że p. Proudhon, przystępując do badania jednej z tych faz, nie może wyjaśnić jej bez pomocy wszystkich innych stosunków społeczeństwa, stosunków, których jednakże jeszcze nie zdażył wytworzyć przez swój dialektyczny ruch. Kiedy następnie p. Proudhon za pośrednictwem czystego rozumu przechodzi do tworzenia innych faz, poczyną sobie z niemi jak z nowonarodzonymi dziećmi, zapomina, że one są w takim wieku jak i piewsze.

Tak więc, aby przyjąć do oznaczenia wartości, która jest dla niego podstawą wszelkiego ekonomicznego rozwoju, nie mógł się obejść bez podziału pracy, konkurencji i t. d. Jednakże w seryi, w rozumie p. Proudhona, w logicznym następstwie te stosunki nie istniały jeszcze wcale.

Budując wraz z kategorjami ekonomii politycznej gmach ideologicznego systemu, rozrywamy członki systemu społecznego. Zmieniały różnorodne członki społeczeństwa w tyleż oddzielnych społeczeństwach, następujących po sobie. Bo w samej rzeczy, jak sama tylko formuła logiczna ruchu, następstwa, czasu może wytłumaczyć ustrój społeczny, w którym wszystkie stosunki współistnieją i wzajemnie się wspierają?

Czwarta uwaga

Zobaczmy teraz, jakie zmiany w dialektyce Hegla porobił p. Proudhon, zastosowując ją do ekonomii politycznej.

Dla p. Proudhona wszelka kategoryja ekonomiczna ma dwie strony: dobrą i złą. Zapatruje się on na kategoryje jak małymieszczańin zapatruje się na wielkich ludzi w historii. Napoleon jest wielkim człowiekiem, zrobił wiele dobrego, ale także i wiele złego. Dobra i zła strona, korzyści i niedogodności, wzięte razem tworzą dla p. Proudhona sprzeczność w każdej kategoryi ekonomicznej.

Zadanie do rozwiązania: zachować dobrą stronę, a usunąć złą.

Niewolnictwo jest kategoryją ekonomiczną jak każda inna. Zatem i ono ma swoje dwie strony. Pozostawmy na boku złą jego stronę a mówmy tylko o dobrej — rozumie się, że mowa tu tylko o prawdziwym niewolnictwie, o niewolnictwie czarnych w Surinam, w Brazylii, w południowych okolicach Północnej Ameryki.

Niewolnictwo jest osią burżuazyjnego przemysłu tak samo jak maszyny, kredyt i t. d. Bez niewolnictwa nie było by bawełny, bez bawełny nie byłoby nowoczesnego przemysłu. Niewolnictwo nadało wartość kolonijom, kolonije stworzyły handel wszechświata, handel wszechświata wydał wielki przemysł. Niewolnictwo zatem jest kategoryją ekonomiczną najwyższej wagi.

Bez niewolnictwa Ameryka północna, kraj najpostępowszy zamieniłby się w kraj patryjarchalny*). Wykreślmy Amerykę północną z mapy świata, a będziemy mieli anarchiję, upadek zupełny handlu i cywilizacji nowoczesnej. Znieście niewolnictwo a wymażecie Amerykę z karty ludów.

Ponieważ niewolnictwo jest kategoryją ekonomiczną, istniało zatem ono zawsze w instytucjach ludów. Ludy nowożytne w swoim własnym kraju umiały maskować niewolnictwo, ale Ameryce narzuciły je otwarcie.

Co pocnie sobie p. Proudhon, aby ocalić niewolnictwo? Postawił zadanie: zachować dobrą stronę tej ekonomicznej kategoryi a usunąć złą.

Hegel nie stawia zadań. Posiada on tylko dialektykę. P. Proudhon z dialektyki Hegla przyswoił sobie tylko język. Jego ruch dialektyczny to dogmatyczna różnica dobrego i złego.

Weźmy na chwilę p. Proudhona samego jako kategoryję. Zbadajmy jego złą i dobrą stronę, jego zalety i usterki.

*) Twierdzenie to w roku 1847 r. było zupełnie słusznem. W owym czasie handel Stanów Zjednoczonych sprowadzał się głównie do wwozu emigrantów i produktów przemysłu i do wywozu bawełny i tytoniu t. j. produktów pracy niewolników w południowych Stanach. Północne Stany produkowały głównie zboże i mięso dla Stanów niewolniczych. Dopiero od chwili, kiedy Północ zaczęła produkować zboże i mięso na wywóz i przeto stała się krajem przemysłowym, z chwilą kiedy powstała silna konkurencja ze strony Indyi, Egiptu, Brazylii przeciwko monopolowi bawełnianemu Ameryki, zniesienie niewolnictwa stało się możliwem. I wtedy nawet pociągnięto to za sobą ruinę południowych Stanów, którym nie udało się zastąpić jawnego niewolnictwa murzynów przez ukryte niewolnictwo indyjskich i chińskich kulisów.

Jesli on ma przewagę nad Heglem w stawianiu zadań, które stara się rozwiązać dla największego dobra ludzkości, to niedostatek jego stanowi zupełna nieudolność dialektycznego tworzenia nowej kategoryi. To, co stanowi ruch dialektyczny, jest to współistnienie dwóch stron sprzecznych, ich walka i zlanie ich w nową kategoryję. Jeżeli sobie postawimy za zadanie tylko wyłączać złe strony, to przez to samo wykluczamy możliwość ruchu dialektycznego. To nie kategoryja, która się stawia i przeciwstawia sobie samej przez swą sprzeczną naturę, to p. Proudhon, który się męczy i traci siły pośród dwóch stron kategoryi.

Dostawszy się w ten sposób w wąwozy, z których trudno się wydostać legalnymi środkami, p. Proudhon robi nadzwyczajny wysilek i zdobywa się na skok, który go od razu przenosi do nowej kategoryi. Wtedy przed jego zdziwionemi oczyma odkrywa się seryja w rozumie.

Bierze on pierwszą lepszą kategoryję i samowolnie przypisuje jej zdolność usuwania niedogodności z tej kategoryi, złe strony której chce usunąć. I tak podatki, jesli wierzyć mamy p. Proudhonowi, usuwają niedogodności monopolu, wahania handlu znoszą złe strony podatków, a własność gruntowa — złe strony kredytu.

Biorąc z kolei jedną po drugiej kategoryje ekonomiczne i wystawiając jedną jako antydot drugiej, p. Proudhon dochodzi do tego, że z tej mieszaniny sprzeczności i antydotów tych sprzeczności układają dwa tomy sprzeczności, które pod właściwym podaje tytułem: „System sprzeczności ekonomicznych“.

Piąta uwaga

„W rozumie bezwzględny wszystkie te idee... są zarówno proste i ogólne. W rzeczywistości dochodzimy do nauki przez rodzaj rusztowania, wzniesionego z naszych myśli. Lecz prawda sama w sobie jest niezależną od tych figur dialektycznych i wolną od kombinacji naszego umysłu“. (Proudhon t. II, str. 97).

Oto nagle przy pomocy pewnego rodzaju kołowego ruchu, którego sekret obecnie znamy, metafizyka ekonomii politycznej stała się iluzją. Nigdy p. Proudhon nie wypowiedział większej prawdy. To rzecz pewna, że z chwilą kiedy proces dialektycznego ruchu sprowadza się do prostego procesu przeciwstawiania złego dobremu, do stawiania zadań dla usunięcia złego, i do wystawiania jednej kategoryi jako antydot drugiej, kategoryje tracą swą samodzielność, idea już nie funkcjonuje, nie ma życia w sobie, ani się stawia ani się też rozkłada w nowe kategoryje. Następstwo kategoryj stało się pewnego rodzaju rusztowaniem. Dialektyka już nie jest ruchem bezwzględnego rozumu. Nie ma już dialektyki; jest co najwyżej czysta moralność.

Kiedy p. Proudhon mówił o seryi w rozumie, o logicznem następstwie kategoryj, zaznaczał, że nie chce nam dać historii według porządku czasu, to jest zdaniem p. Proudhona, według następstwa historycznego, w którym przejawiały się kategoryje. Wszystko to dla niego działa się w czystym eterze rozumu. Z tego ete-

ru powinno było wszystko wypływać za pomocą dialektyki. Teraz, kiedy w praktyce trzeba użyć tej dialektyki, rozum odmawia mu posłuszeństwa. Dialektyka p. Proudhona robi fałszywy skok ku dialektyce Hegla i oto p. Proudhon jest zmuszony przyznać się, że porządek, w jakim on nam daje kategorie ekonomiczne nie jest porządkiem, w jakim one powstają jedna z drugiej. Rozwój ekonomiczny nie jest rozwojem samego rozumu.

Cóż więc p. Proudhon nam daje? Czyż historię rzeczywistą, t. j., w jego mniemaniu, następstwo, według którego kategorie przejawiały się w porządku czasu? Nie. Czyż historię, jak się ona spełnia w idei samej? Bynajmniej. Nie daje on więc ani ich zwykłej ani ich świętej historii.

Jakaż na koniec historię nam daje? Historię swych własnych sprzeczności. Zobaczmy jak idą te sprzeczności i jak ciągną za sobą p. Proudhona.

Przed rozpoczęciem tego badania, które ma być przedmiotem szostej, ważnej uwagi, zrobimy jeszcze jedną mniej ważną.

Przypuśćmy wraz z p. Proudhonem, że rzeczywista historia, historia według porządku czasu jest następstwem historycznym, w którym przejawiały się idee, kategorie, zasady.

Każda zasada miała osobny wiek dla swego przejawu; zasada władzy np. miała jedenasty, a zasada indywidualizmu osiemnasty wiek. Z tego wypada, że wiek należał do zasady, a nie zasada do wieku. Innymi słowy, zasada stwarza historię, a nie historia zasadę. Jeżeli dla ocalenia jak zasady tak i historii, zapytamy, czemu taka to zasada przejawiała się w XI lub XVIII, a nie innym wieku, to będziemy zmuszeni zbadać dobrze jacy byli ludzie XI a jacy XVIII wieku, jakie były ich potrzeby, jakie siły produkcyjne, sposób produkcji, pierwsze materiały produkcji, na koniec jakie były stosunki ludzi, z których wynikały wszystkie te warunki istnienia. Zgłębić wszystkie te kwestyje, czyż nie jest to napisać rzeczywistą, zwykłą historię ludzi każdego wieku, przedstawiając ich zarazem jako aktorów i autorów swego własnego dramatu? Ale od chwili przedstawienia ludzi jako aktorów i aktorów ich własnej historii, jednym zwrotem przybyliśmy do prawdziwego punktu wyjścia, ponieważ porzuciliśmy wieczne zasady, z których wyszliśmy z początku.

P. Proudhon nie posunął się nawet na tyle tą boczną ścieżką, jaką postępuje ideolog, aby się dostać na wielką drogę historii.

Szоста uwaga

Pójdźmy za p. Proudhonem tą boczną ścieżką.

Przypuśćmy, że stosunki ekonomiczne, rozpatrywane jako niezmiennie prawa, wieczne zasady, idealne kategorie istniały przed czynnymi, działającymi ludźmi, przypuśćmy, że te prawa, te zasady, te kategorie drzemały od początku czasu „w nieosobowym rozumie ludzkości”. Widzieliśmy, że ze wszystkimi temi niezmiennymi, niezruchomionymi wiecznościami nie ma historii, co najwyżej mamy historię w idei, t. j. historię, która się odbija w dialektycznym

ruchu czystego rozumu. P. Proudhon, mówiąc, że w ruchu dialektycznym idee się nie „różniczkują”, wymazał cięń ruchu i ruch cieniów, za pomocą których można było by jeszcze stworzyć chociaż jakieś podobieństwo historii. Zamiast tego przypisuje on historii swoją własną bezsilność, o którą wszystko obwinia, wszystko nawet francuski język. „Wyrażenie, że jakaś rzecz powstaje, tworzy się, nie jest dokładnem — mówi p. Proudhon filozof, — w cywilizacji jak we wszechświecie, wszystko istnieje, wszystko działa od wieków. To samo dzieje się i w ekonomii społecznej.” (Pr. t. II, str. 102.).

Tak wielką jest siła produkcyjna sprzeczności, które funkcjonują same i każą p. Proudhonowi funkcjonować, iż, chcąc wytłomaczyć historię, jest on zmuszonym zaprzeczyć ją, iż chcąc wytłomaczyć następstwo społecznych stosunków, zaprzecza, aby mogło coś się stać, iż, chcąc wytłomaczyć produkcję, zaprzecza, aby się coś mogło wytwarzać.

I tak dla p. Proudhona nie istnieje ani historia, ani następstwo myśli, a jednak książka jego istnieje, i właśnie jest według jego wyrażenia „historią według następstwa idei.” Jak odnaleźć formułkę — bo p. Proudhon jest człowiekiem formulek, — która pomogła mu do przeskoczenia jednym skokiem przez wszystkie te sprzeczności?

W tym celu wynalazł on nowy rozum, który nie jest ani bezwzględny, czystym i dziewiczym, ani też zwykłym rozumem ludzi czynnych i działających w różnych wiekach, ale jest rozumem szczególnym, rozumem społeczeństwa-osobnika, subjektu-ludzkości, który pod piórem p. Proudhona występuje także czasami jako „geniusz społeczny”, „rozum ogólny” i w końcu jako „rozum rodzaju ludzkiego”. Ten rozum, obciążony tylu nazwami, zdradza się jednak co chwila jako indywidualny rozum p. Proudhona, ze swojemi dobrami i złymi stronami, ze swymi antidotami i zadaniami.

„Rozum ludzki nie stwarza prawdy”, ukrytej w głębokościach bezwzględnego, wiecznego rozumu. Może ją tylko odkryć. Ale prawdy, dotąd odkryte, są niezupełne, niewystarczające a zatem i sprzeczne. Kategorie ekonomiczne, będąc prawdami odkrytymi, wyjaśnionemi przez rozum ludzki, przez geniusz socjalny, są również niezupełne i noszą w sobie zarodek sprzeczności. Przed p. Proudhonem geniusz społeczny widział tylko przeciwne żywioły, a nie syntetyczną formułkę, ukryte jak żywioły tak i formułka jednocześnie w bezwzględnym rozumie, ponieważ stosunki ekonomiczne u-rzeczywistniają na ziemi te prawdy niewystarczające, te kategorie, te sprzeczne pojęcia, zatem są sprzeczne same w sobie, przedstawiają dwie strony złą i dobrą.

Wykryć zupełną prawdę, pojęcie w całej pełni, formułę syntetyczną, któraby zniósła antynomiję, oto zadanie geniusza społecznego. To nam także tłumaczy dla czego w iluzji p. Proudhona, tenże geniusz społeczny był popychany od jednej kategorii do drugiej i nie mógł, mimo całej baterji kategorii, wyrwać od boga, od bezwzględnego rozumu formułę syntetycznej.

„Najpierw społeczeństwo (geniusz społeczny) stawia pierwszą fakt, pierwszą hipotezę... prawdziwą antynomiję, której przeciwne sobie rezultaty rozwijają się w ekonomii politycznej w taki

sam sposób, w jaki jej (antynomii) konsekwencje mogły być wprowadzone w rozumie; tak, że ruch przemysłowy, postępując we wszystkim za dedukcją idei, dzieli się na dwa kierunki, jeden pożytecznej, drugi szkodliwej działalności... Aby harmonijnie ukonstytuować tę dwustronną zasadę i aby rozwiązać tę antynomię, społeczeństwo tworzy drugą, za nią trzecią, i taką będzie droga geniuszu społecznego, dopóki nie wyczerpią się wszystkie jego sprzeczności, — przypuszczam, ale to nie jest dowiedzionem, że sprzeczność w ludzkości będzie miała swój koniec, — i geniusz powróci jednym skokiem do swoich dawnych założeń i rozwiąże w jednej formule wszystkie swoje zadania (Tom I, str. 135).

Jak przedtem antyteza przemieniła się w antydot, tak teraz teza staje się hipoteza. Ta zmiana wyrażen u p. Proudhona już nas nie zadziwia. Rozum ludzki, bynajmniej nie czysty, lecz ograniczony bardzo ciasnym widnokregiem, spotyka na każdym kroku nowe zadanie do rozwiązania. Każda nowa teza, którą odkrywa w bezwzględny rozumie i która jest przeczeniem pierwszej tezy, staje się dla niego syntezą, którą przyjmuje naiwnie jako rozwiązanie danego zadania. Tak to męczy się ten rozum wśród ciągle nowych sprzeczności, dopóki nie znajdzie się u ich końca i nie spostrzeże, że wszystkie jego tezy i syntezy są tylko sprzecznymi hipotezami. W swoim trudnym położeniu, „rozum ludzki, geniusz społeczny powraca jednym skokiem do swoich dawnych założeń i jedną formułą rozwiązuje wszystkie swe zadania“. Ta jedyna formułka, powiedzmy mimochodem, stanowi prawdziwe odkrycie p. Proudhona. Jest nią wartość ukonstytuowana.

Hipotezy stawia się w pewnym celu. Cel, jaki sobie postawił na pierwszym miejscu geniusz społeczny, przemawiający przez usta p. Proudhona, jest usunięcie złego z każdej ekonomicznej kategorii, a zachowanie jej z sron dodatnich. Dla niego dobrem, najwyższym dobrem, prawdziwie praktycznym celem jest równość. A dlaczego geniusz społeczny przekłada równość nad nierówność, braterstwo, katolicyzm albo inną jaką zasadę? Ponieważ „ludzkość uczuciowista jedną po drugiej tyle oddzielnych hipotez, mając na widoku jedną, najwyższą hipotezę“, a tą jest właśnie równość. Innymi słowy: dlatego że równość jest ideałem p. Proudhona. Wyobraża on sobie, że podział pracy, kredyt, warsztat, że wszystkie ekonomiczne stosunki były wynalezione tylko w tym celu, aby przynieść korzyść równości, a jednak ostatecznie przynosiły jej zawsze szkodę. Ponieważ historia i fikcja p. Proudhona są z sobą w sprzeczności, z tego on wyprowadza, że istnieją sprzeczności. Jeżeli jest sprzeczność to tylko między jego idée fixe a rzeczywistym historycznym ruchem.

Odtąd dobrą stroną ekonomicznego stosunku jest ta, która podtrzymuje równość, złą zaś ta, która jej przeczy, a podtrzymuje nierówność. Każda nowa kategoria jest hipotezą geniuszu społecznego, wytworzoną w celu usunięcia nierówności, zrodzonej przez poprzednią hipotezę. Jednym słowem, równość jest pierwotną intencją, mistycznym dążeniem, opatrnościowym celem, który geniusz społeczny ma ciągle przed oczami, obracając się w kółku ekonomicznych sprzeczności. Tak więc opatrność jest lokomotywą, która porusza szybkiej bagaż ekonomiczny p. Proudhona, niż jego czysty

i lotny rozum. P. Proudhon poświęcił opatrności cały rozdział, następujący po podatkach.

Opatrność, cel opatrnościowy — oto wielkie słowo, którem się posługują dzisiaj dla wytłumaczenia biegu historii. W rzeczywistości nie ono nie tłumaczy. Jest to co najwyżej forma deklamatorska, sposób, jak wiele innych, omawiania faktów.

Wiadomem jest, że w Szkocyi własność ziemiska otrzymała nową wartość przez rozwój angielskiego przemysłu. Ten przemysł otworzył nowe rynki dla wełny. Ażeby produkować wełnę na wielką skalę, trzeba było przemienić pola orne w pastwiska. Aby uskutecznić tę przemianę, trzeba było skoncentrować własność. Aby skoncentrować własność, trzeba było znieść drobne fermy, wypędzić tysiące dzierżawców z ich rodzinnego zakątka, a na ich miejsce postawić kilku pasterzy, czuwających nad milionami owiec. Zatem wskutek tych kolejnych zmian własność ziemiska miała w Szkocyi za rezultat wypędzenie ludzi przez owce. Powiedźcie teraz, że celem opatrnościowym instytucji własności ziemskiej w Szkocyi było wypędzenie ludzi przez owce, a będziecie mieli fakt historii opatrnościowej.

To pewna, że dążenie do równości jest właściwe naszemu wiekowi. Powiedzieć teraz, że wszystkie poprzednie wieki ze swymi potrzebami, środkami produkcji i t. d. zupełnie różnymi, pracowały opatrnościowo nad urzeczywistnieniem równości, jest to najpierw zastąpić środki i ludzi naszego wieku, środkami i ludźmi wieków przeszłych i zapoznawać historyczny ruch, przez który następne pokolenia przetwarzały rezultaty, osiągnięte przez poprzednie pokolenia. Ekonomiści wiedzą bardzo dobrze, że ta sama rzecz, która była dla jednego materiałem obrobionym, dla drugiego jest tylko surowym materiałem do nowej produkcji.

Przypuśćmy, jak to czyni p. Proudhon, że geniusz społeczny wytworzył, a raczej zaimprovizował feudalnych panów w celu opatrnościowym przemiany chłopów poddanych w odpowiedzialnych i równych między sobą robotników, a będziemy mieli zamianę celów i osób godną tej opatrności, która w Szkocyi ukształtowała własność ziemską, aby sobie zrobić złośliwą przyjemność wypędzenia ludzi przez baranów.

Ale ponieważ p. Proudhon obchodzi się tak czule z opatrnością, odsłamy go więc do Historii Ekonomii Politycznej p. Villeneuve-Bargemont, który także dąży do opatrnościowego celu. Tylko ten cel to nie równość, to katolicyzm.

Siódma i ostatnia uwaga

Ekonomiści mają szczególny sposób postępowania. Dla nich istnieje tylko dwa rodzaje instytucji: jedne sztuczne, drugie naturalne. Instytucje feudalizmu są instytucjami sztucznymi, burżuazyjne — naturalnymi. W tem podobni są oni do teologów, którzy także ustanawiają dwa rodzaje religii. Każda religija, która nie jest ich religiją jest dziełem ludzkim, tymczasem ich własna religija jest boskim objawieniem. Twierdząc, że obecne stosunki, stosunki pro-

dukcji burżuazyjnej są naturalne, ekonomiści chcą powiedzieć przez to, że są to stosunki, w których stwarza się bogactwo i rozwijają się siły produkcyjne według praw natury. A więc te stosunki są prawami naturalnymi, niezależnymi od wpływu czasu. Są to prawa wieczne, które muszą zawsze rządzić społeczeństwem. A więc historia istniała, ale obecnie już jej nie ma. Historia istniała, ponieważ istniały instytucje feudalne, a w tych spotykamy stosunki produkcji zupełnie różne od tych, które widzimy w społeczeństwie burżuazyjnym, a które ekonomiści chcą uważać jako naturalne, a zatem wieczne.

Feudalizm miał również swój proletaryjat — poddaństwo, w którym się zawierały zarodki burżuazji. Produkcja feudalna miała również dwa sprzeczne pierwiastki, które mianują także złą i dobrą stroną feudalizmu, nie biorąc pod uwagę, że zawsze zła strona brała górę nad dobrą. Zła strona wywołuje ruch, wytwarza historię, pociągając za sobą walkę. Jeżeli w epoce panowania feudalizmu ekonomiści, zachwyceni cnotami rycerskimi, harmoniją między prawami i obowiązkami, patryjarchalnym życiem miast, pomyslnym stanem przemysłu domowego po wsiach, rozwojem przemysłu uorganizowanego w korporacje, związki i cechy, jednym słowem, zachwyceni wszystkim, co tworzy piękną stronę feudalizmu, jeśliby postawili sobie za zadanie usuwać wszystko, co zaciemnia ten obraz: poddaństwo, przywileje, anarchię, co by się wtedy stało? Zniweczono by wszystkie czynniki walki i przytłumiono by w zarodku rozwój burżuazji. Postawiono by sobie niedorzeczne zadanie usunięcia historii.

Kiedy burżuazja zwyciężyła, nie było mowy ani o złej, ani o dobrej stronie feudalizmu. Siły produkcyjne, które się rozwinęły pod wpływem burżuazji za czasów feudalizmu, przeszły w jej posiadanie. Wszystkie dawne ekonomiczne i odpowiednie im społeczne stosunki, forma polityczna, która była oficjalnym wyrażeniem dawnego społeczeństwa, wszystko to zostało złamanem.

A więc, ażeby dobrze ocenić produkcję feudalną, trzeba ją uważać jako sposób produkcji, opartej na antagonizmie. Trzeba wykazać, jak tworzyło się bogactwo wśród tego antagonizmu, jak siły produkcyjne rozwijały się jednocześnie z antagonizmem klasowym, jedna z tych klas, przedstawiająca sobą złą stronę, wadę społeczeństwa, wzrastała ciągle, aż dopóki materalne warunki jej usamowolnienia nie dorosły do emancypacji. Czyż nie jest to dosyć powiedzieć, że sposób produkcji, stosunki, w jakich siły produkcyjne się rozwijają, nie stanowią wcale praw wiecznych, ale odpowiadają określonej historii rozwoju ludzi i ich sił produkcyjnych, i że zmiana, powstała w siłach produkcyjnych ludzi, spowodowała konieczność zmiany w stosunkach produkcji. Ponieważ najważniejszym jest nie dać się pozabawić owoców cywilizacji, zdobytych sił produkcyjnych, trzeba zatem znieść tradycyjne formy, w których one były wytworzone. Od tej chwili klasa rewolucyjna staje się zachowawczą.

Burżuazja rozpoczyna swoje istnienie wraz z proletaryjatem, który ze swej strony jest resztką proletaryjatu z feudalnych czasów. W ciągu swego rozwoju historycznego burżuazja rozwija w sobie charakter antagonistyczny, który z początku jest mniej lub więcej zamaskowanym i utajonym. W miarę jak burżuazja się rozwija,

rozwija się w jej łonie nowy proletaryjat, proletaryjat współczesny, rozwija się walka między klasą proletaryjatu i klasą burżuazyjną, walka, która zanim zostanie odczuta przez obie strony, spostrzeżoną, ocenioną, zrozumianą, przyznana i głośno reklamowana, początkowo przejawia się tylko w częściowych i chwilowych zatargach, w burzących starciach. Z drugiej strony, jeżeli wszyscy członkowie burżuazji mają wspólne interesy o tyle, o ile tworzą oddzielną klasę w stosunku do innej klasy, to interesy ich są sprzeczne i wrogie w ich wzajemnych stosunkach. Ta sprzeczność interesów wpływa z warunków ekonomicznych ich życia burżuazyjnego. Z każdym dniem widoczniejszym się staje, że stosunki produkcji, w których się znajduje burżuazja, nie mają charakteru jednolitego, pojedynczego, ale posiadają charakter dwoisty; że przy tych samych stosunkach, przy których, wytwarza się bogactwo wytwarza się także i nędza; że przy tych samych stosunkach, przy których rozwijają się siły produkcyjne, rozwija się i potęgująca siła ucisku; że te stosunki wytwarzają bogactwo burżuazyjne, t. j. bogactwo burżuazyjnej klasy, jedynie niszcząc bezustannie bogactwo oddzielnych członków tej klasy i tworząc wciąż rosnący proletaryjat.

Im więcej wyjaśnia się charakter antagonizmu, tem więcej ekonomiści — naukowci przedstawiciele burżuazyjnej produkcji są w niezgodzie z swoją własną teorią; tworzą się rozmaite szkoły.

Mamy ekonomistów-fatalistów, którzy w swoich teoriach są o tyle inderentni względem tego, co nazywają wadami burżuazyjnej produkcji, o ile sama burżuazja jest także w praktyce względem proletaryjusów, pomagających jej zdobywać bogactwo.

W tej szkole fatalistycznej rozróżniamy klasyków i romantyków. Klasyki — jak Adam Smith i Rikardo — przedstawiają burżuazję, która, walcząc jeszcze z resztkami feudalnego społeczeństwa, pracuje nad oczyszczeniem ekonomicznych stosunków od śladów feudalizmu, nad powiększeniem sił produkcyjnych i nad nadaniem nowej żywotności handlowi i przemysłowi. Proletaryjat, przyjmujący udział w tej walce, pogrążony w gorączkowej pracy, odczuwa tylko cierpienia chwilowe, przelotne i sam je uważa za takowe. Ekonomiści, jak Adam Smith i Rikardo, którzy są historykami tej epoki, stawiają sobie za zadanie wykazać jak się nabywa bogactwo przy stosunkach produkcji burżuazyjnej, sformułować te stosunki w kategorię, w prawa i wykazać o ile te kategorię, te prawa są wyższymi odnośnie do produkcji bogactw od kategorii i praw społeczeństwa feudalnego. Nędza jest w ich oczach tylko owymi bólami, jakie towarzyszą każdemu rodzeniu tak w naturze jak i w przemysle.

Romantycy należą do naszej epoki, kiedy burżuazja znajduje się w zupełnej sprzeczności z proletaryjatem, kiedy nędza rozwija się z taką potęgą jak i bogactwo. Ekonomiści przybierają wtedy minę rozczarowanych fatalistów, którzy z wysokości swego stanowiska rzucają wyniosłe, pełne pogardy spojrzenia na ludzi-maszyny, wytwarzających bogactwa. Powtarzają oni wszystkie wywody swoich poprzedników, ale inderentnym, będący u tamtych naiwnością, u nich staje się kokieteria.

Następnie idzie humanitarna szkoła, która bierze do serca złe strony dzisiejszych stosunków produkcji. Stara się ona dla uspokojenia własnego sumienia pokryć, o ile się da, rzeczywiste kontrasty, opłakuje szczerze nędzę proletariatu, szaloną konkurencję burżuazji pomiędzy sobą, doradza robotnikom być wstrzemięźliwymi, pilnie pracować i mieć mniej dzieci; zaleca burżuazji więcej umiarkowania w zapale produkowania. Cała teoria tej szkoły polega na nieokreślonych różnicach między teorią a praktyką, zasadami a rezultatami, ideą a zastosowaniem, zawartością a formą, istotą a rzeczywistością, prawem a faktem, dobrą a złą stroną.

Szkoła filantropijna jest ulepszoną szkołą humanitarną. Zaprzecza ona konieczności antagonizmu, że wszystkich ludzi chce zrobić kapitalistów, chce urzeczywistnić teorię o tyle, o ile się ona odróżnia od praktyki i o ile nie zawiera w sobie antagonizmu. Rozumie się samo przez się, że w teorii łatwo jest abstrahować od sprzeczności, jakie się spotyka w rzeczywistości na każdym kroku. Taka teoria przedstawiałaby wyidealizowaną rzeczywistość. Filantropi chcą zatem zachować kategorie wyrażające stosunki burżuazyjne, ale bez antagonizmu, który stanowi ich istotę i jest od nich nieodłącznym. Zdaje się im, że waleczą na seryjo z praktyką burżuazyjną, tymczasem są więcej burżuazyjni, niż inni.

Podobnie jak ekonomiści są naukowymi przedstawicielami burżuazyjnej klasy, tak socjaliści i komuniści są teoretykami proletariatu. Dopóki proletariatus nie rozwinął się jeszcze na tyle, aby utworzyć klasę, a zatem i walka sama proletariatu z burżuazją nie ma charakteru politycznego, dopóki siły produkcyjne nie są jeszcze dość rozwinięte w łonie samej burżuazji, ażeby można było dostrzedz warunków materialnych, potrzebnych do wyzwolenia proletariatu i utworzenia nowego społeczeństwa, — dopóty ci teoretycy są tylko utopistami, którzy, aby pomóc uciśnionym klasom, wymyślają systematy i dążą do nauki odradzającej. Ale w miarę jak historia postępuje i zarysowuje się wyraźniej walka proletariatu, nie potrzebują oni wyszukiwać teorii w swoim umyśle, powinni tylko zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje przed ich oczyma i stać się wyrazicielami rzeczywistości. Dopóki szukają nauki i tworzą tylko systematy, dopóki są w zaczątku walki, dopóty widzą w nędzy tylko nędzę, przecozając jej stronę rewolucyjną, burzącą, która wywróci porządek starego społeczeństwa. Od tej chwili nauka wytworzona przez ruch historyczny i jednocząca się z nim z całą świadomością tego ruchu, przestaje być doktrynerską, a staje się rewolucyjną.

Powróćmy do p. Proudhona.

Każdy stosunek ekonomiczny ma dodatnią i ujemną stronę; jest to jedyny punkt, w którym p. Proudhon nie przeczy samemu sobie. Dodatnią stronę widzi wystawioną przez ekonomistów, ujemną zaś — przez socjalistów. Od ekonomistów zapożycza on potrzebę stosunków wiecznych; od socjalistów — iluzję widzenia w nędzy tylko nędzy. Jest on w zgodzie z jednymi i drugimi, przy czem chce się oprzeć na autorytecie nauki. Nauka według niego sprowadza się do mierzalnych rozmiarów formuły naukowej. Jest on człowiekiem poszukującym formuł. W ten sposób pochlebia sobie

p. Proudhon, że dał krytykę i ekonomii politycznej i komunizmu, tymczasem stoi niżej od nich obydwóch.

Niżej od ekonomistów, ponieważ jako filozof mający pod ręką magiczną formułkę, czuł się uwolnionym od wchodzenia w szczególności czysto ekonomiczne; niżej od socjalistów, ponieważ nie ma ani dosyć odwagi, ani dosyć przenikliwości, aby się wznieść — choćby tylko spekulacyjnie — ponad widnokrąg burżuazyjny.

On chce być syntezą, a jest złożonym błędem.

Chce jak człowiek nauki wznieść się ponad burżuazję i proletariatus; a jest tylko drobnym mieszczańskim, przerzucanym bezustannie między ekonomią polityczną a komunizmem.

II. PODZIAŁ PRACY I MASZYN.

Podział pracy rozpoczyna, według p. Proudhona, seryję ewolucyj ekonomicznych.

Dodatnia strona podziału pracy	{	Podział pracy rozpatrywany w swojej istocie jest sposobem, przy którym się urzeczywistnia równość warunków i inteligencji. (T. I. str. 93.)
--------------------------------	---	---

Ujemna strona podziału pracy.	{	Podział pracy stał się dla nas źródłem nędzy. (T. I. str. 99.)
-------------------------------	---	--

Waryjant:

Zadanie do rozwiązania:	{	Praca, dzieląc się według prawa, które jest jej właściwe i które jest pierwszym warunkiem jej produktywności, dochodzi do tego, że przeczy swemu celowi i niszczy samą siebie. (T. I. str. 94.)
-------------------------	---	---

Zadanie do rozwiązania:	{	Znaleźć nowy układ, który usuwa usterki podziału, zachowując jego dodatnie strony. (T. I. str. 97.)
-------------------------	---	---

Podział pracy według p. Proudhona jest wiecznym prawem, prostą i oderwaną kategorią. Powinna więc abstrakcja, idea, słowo wystarczyć, aby wytłumaczyć podział pracy w rozmaitych epokach historii. Kasty, korporacje, system rekodzielniczy, wielki przemysł powinny się objaśnić jednym słowem: dzielić. Pojmijcie najpierw dobrze znaczenie dzielenia, a nie będziecie mieli potrzeby badania licznych wpływów, jakie w każdej epoce nadawały podziałowi pracy pewien oznaczony charakter.

Nie ulega wątpliwości, że za nadto upraszczałoby się rzeczy, gdyby je sprowadzano do kategorii p. Proudhona. Historia nie postępuje tak kategorycznie. Potrzeba było całych trzech wieków w Niemczech, aby ustanowić pierwszy wielki podział pracy, miano-

wicie oddzielić miasta od wsi. Wraz ze zmianą tego tylko stosunku, miasta do wsi, zmieniano się całe społeczeństwo. Rozpatrując tylko tę jedną stronę podziału pracy, mamy starożytne rzeczypospolite albo feudalizm chrześcijański; starożytną Angliję z jej baronami albo nowoczesną Angliję z bawelnianymi władzami (cotton-lords). W czternastym i piętnastym wieku, kiedy nie było jeszcze kolonij, kiedy Ameryka nie istniała jeszcze dla Europy, a Azycja jedynie za pośrednictwem Konstantynopola, kiedy Morze Śródziemne było centrum ruchu handlowego, wtedy podział pracy miał zupełnie inny charakter, zupełnie się inaczej przedstawiał, niż w wieku siedemnastym, kiedy to Hiszpania, Portugalia, Holandia, Anglija, Francja pozakładały kolonie we wszystkich częściach świata. Rozległość rynku, jego fizjonomija nadają podziałowi pracy w różnych epokach taki pozór, taki charakter, jakieby trudno było wyprowadzić z jednego słowa „dzielić,” z idei, z kategorii.

„Wszyscy ekonomiści, powiada p. Proudhon, od czasu A. Smitha zwracali uwagę na korzyści i niedogodności prawa podziału, ale kładli daleko większy nacisk na pierwsze, jak na drugie, ponieważ to lepiej odpowiadało ich optymizmowi, a prztem żaden z nich nie zadał sobie pytania, jakie mogą być usterki prawa?.. Jakim sposobem jedna i ta sama zasada, przeprowadzana ściśle we wszystkich swoich konsekwencyjach, prowadzi do wprost przeciwnych rezultatów? Ani jeden ekonomista, ani przed, ani po A. Smith, nie dostrzegł tego, że jest tu zadanie do rozwiązania. Say dochodzi do tego, że uznaje, iż w podziale pracy ta sama przyczyna, która wytwarza dobro, wyraża jednocześnie i zło.”

A. Smith widział bystrzej, niż to myśli p. Proudhon. Widział on bardzo dobrze, że „w rzeczywistości różnica zdolności naturalnych między indywiduami jest mniejsza, niż to się nam wydaje. Te, tak różne zdolności, które odróżniają ludzi w dojrzalszym wieku, rozmaitych profesyj, są nityle przyczyną, ile skutkiem podziału pracy.” W zasadzie, tragarz różni się mniej od filozofa, niż brytan od charta. Podział pracy właśnie wytworzył tę przepaść między jednym a drugim.

Wszystko to nie przeszkadza p. Proudhonowi powiedzieć w innym miejscu, że Adam Smith nawet nie podejrzawał, żeby podział pracy pociągał za sobą jakie niedogodności. Nie przeszkadza mu to wcale utrzymywać, że J. B. Say pierwszy poznał, że w podziale pracy ta sama przyczyna, która wytwarza dobro, wyraża i zło.”

Posłuchajmy teraz Lemontey'a. *Sum cuique.*

„P. J. B. Say uczynił mi ten zaszczyt, iż w swojej wybornej „ekonomii politycznej” przyjął zasadę, którą ja wykazałem w moim szkicu o „wpływie moralnym podziału pracy.” Zbyt lekkim tytułem mego szkicu nie pozwolił mi zapewne powołać się na mnie. Tylko temu mogę przypisać milczenie pisarza zbyt bogatego w swe własne zasoby, aby się nie miał przynależnie do tak drobnej pożyczki.” (Lemontey. *Oeuvres complètes*, tom I, str. 245. Paris, 1840.)

Oddajmy mu sprawiedliwość. Lemontey przedstawił dosadnie szkodliwe skutki podziału pracy, tak jak się one obecnie ukształtowały, a p. Proudhon nie znalazł nic do dodania. Ale ponieważ z winy p. Proudhona zajęliśmy się tą kwestyją pierwszeństwa, powiedzmy mimochodem, że na długo przed p. Lemontey'em, a na 17 lat przed Ada-

mem Smith, uczniem A. Ferguson'a, ten ostatni przedstawił jasno kwestyję w rozdziale, który poświęca specjalnie podziałowi pracy.

„Można byłoby nawet wątpić czy uzdolnienie ogólne narodu wzrasta proporcjonalnie do postępu techniki. W wielu gałęziach techniki osiąga się cel nawet wtedy, kiedy są pozbawione pomocy rozumu i uczucia, a nieświadomość jest matką przemysłu tak dobrze, jak i przesąd. Myśl i wyobraźnia łatwo wpadają w błąd, ale przyzwyczajenie poruszania nogą lub ręką nie zależy ani od jednej, ani od drugiej. Można by zatem powiedzieć, że udoskonalenie się rzemiosł polega na możności obejścia się bez rozumu, tak by bez udziału myśli warsztat można było uważać jako maszynę, której składowymi częściami są ludzie. Generał może być bardzo biegłym w sztuce wojkowej, podczas kiedy cała załoga żołnierza ogranicza się na wykonaniu kilku ruchów nogą lub ręką. Jeden może uzyskać to, co drugi utracił... W okresie, w którym wszystko jest rozdzielone, sztuka myślenia może sama przez się stanowić oddzielne rzemiosło.” (A. Ferguson, *Essai sur l'histoire de la société civile*. Paris, 1783.)

Kończąc więc tę dysputę literacką, zaprzeczamy stanowczo, aby „wszyscy ekonomiści mieli kłaść większy nacisk na zalety, niż na usterki podziału pracy.” Dosyć będzie przytoczyć tu Sismondi'ego.

Tak więc, co się tyczy korzyści podziału pracy, p. Proudhon'owi nie pozostało nic innego, jak sparafrazować, mniej lub więcej pompatycznie, wszystkim znane ogólniki.

Zobaczmy teraz, jak wyprowadza on z podziału pracy — wziętego jako ogólne prawo, jako kategoria, jako myśl — usterki, jakie są z nim związane. Czemu się to dzieje, że ta kategoria, to prawo pociąga za sobą nierówny rozkład pracy, ze szkodą równości p. Proudhona?..

„W tę uroczystą chwilę podziału pracy burzliwy wiatr zrywa się ponad ludzkością. Postęp nie spełnia się dla wszystkich w jednaki sposób; zaczyna od tego, że opanowuje małą liczbę uprzywilejowanych. Ta to właśnie stronność postępu względem pewnej liczby jednostek, która kazała tak długo wierzyć w naturalną i opatrnościową nierówność warunków, zrodziła kasty i ukształtowała hierarchicznie wszystkie społeczeństwa.” (Proudhon. T. I, str. 97.)

Podział pracy wytworzył kasty. Ponieważ kasty są wadami podziału pracy, zatem podział pracy zrodził te wady. Quod erat demonstrandum. Pójdźmy dalej i spytajmy się, co doprowadziło podział pracy do utworzenia kast, hierarchii i uprzywilejowanych? P. Proudhon nam powie: postęp. A co stworzył postęp? Ograniczenie. Ograniczenie dla p. Proudhona jest to stronność postępu względem pewnej ilości osób.

Po filozofii idzie historia. Nie jest to już historia opisowa, ani też historia dialektyczna, jest to historia porównawcza. P. Proudhon przeprowadza porównanie między dzisiejszym drukarskim robotnikiem a takimże robotnikiem średnich wieków; między robotnikiem z olbrzymich lejarni w Creuzot a wiejskim kowalem, między nowoczesnym a średniowiecznym pisarzem, i przechyla się na stronę tych, którzy mniej lub więcej należą do podziału pracy, jakim go stworzyli lub przekazały wieki średnie. Przecistawia on podział pracy z jednej epoki historycznej podziałowi pracy z drugiej epoki historycznej. Czy to miał wykazać p. Proudhon?

Nie. Miał on nam pokazać usterki podziału pracy w ogóle, podziału pracy jako kategorii. Po co zresztą nastawać na tę część pracy p. Proudhona, kiedy zobaczymy później, iż on sam odwołuje formalnie te mniemane dowodzenia?

„Pierwszym następstwem zróżniczkowanej pracy — ciągnie dalej p. Proudhon — zaraz po „spaczeniu“ duszy, jest przedłużenie dnia roboczego, który rośnie w stosunku odwrotnym do sumy spotrzebowanej inteligencji... Ale ponieważ dzień roboczy może trwać najwyższej szesnaście do osiemnastu godzin, z chwilą więc kiedy nie będzie można zyskiwać na czasie będzie się zyskiwać na cenie i płaca robocza spadnie... Jedno jest tylko pewnem i jedynie nas obchodzi, że sumienie ogólne nie stawia na jednym poziomie pracy majstra i wyrobnika. Zjawia się więc konieczność obniżenia płacy dnia roboczego, tak że robotnik, będąc dotknięty w swej godności przez naznaczenie go do czynności podrzędnej, wślada za tem odczuwa na swych fizycznych potrzebach niedostateczność płacy.“ (T. I, str. 97 — 98)

Nie będziemy się zatrzymywać nad logiczną wartością tych sylogizmów, które Kant nazwałby zbaczającymi paralogizmami.

Oto ich istota:

Podział pracy doprowadza robotnika do wykonywania tylko podrzędnej czynności; tej podrzędnej czynności odpowiada spaczenie duszy; spaczeniu duszy odpowiada ciągłe zmniejszanie się płacy roboczej. Aby dowieść, że zmniejszenie płacy roboczej jest odpowiedniem dla duszy spaconej, p. Proudhon utrzymuje, dla uspokojenia sumienia, że tego żąda i ogólne sumienie. Czy też i dusza p. Proudhona zalicza się do ogólnego sumienia?

Maszyny są dla p. Proudhona „antytezą logiczną podziału pracy“, a za pomocą swej dialektyki zaczyna on przekształcać maszyny w warsztaty.

Wystawiwszy nowoczesny warsztat, aby z podziału pracy wprowadzić nędzę, p. Proudhon wystawia nędzę, zrodzoną przez podział pracy, aby dojść do warsztatu i by mógł go przedstawić jako dialektyczne przeczenie tej nędzy. Po zadaniu dotkliwego ciosu stronie moralnej robotnika przez poniżającą działalność, a fizycznej — przez niedostateczną płacę; postawiwszy robotnika w zależności od majstra i poniżywszy jego pracę do pracy wyrobnika, wraca znów do warsztatu i do maszyn, aby zdegradować robotnika. „dając mu pana,“ i dopełnia miarę jego poniżenia, każe mu „z rzemieślnika stać się wyrobnikiem.“ Piękna dialektyka! I gdyby przynajmniej na niej się zatrzymał; ale nie, trzeba mu nowej historii podziału pracy, już nie dla wyprowadzenia syzyfzności, ale dla przerobienia warsztatu na swój sposób. Aby dopiąć swego celu zapomina on o wszystkim, co mówił dotąd o podziale pracy.

Praca cię organizuje, dzieli stosownie do narzędzi, jakimi rozporządza. Młynek ręczny wymaga innego podziału pracy jak młyn parowy. Zaczynać więc od podziału pracy w ogólności, aby następnie dojść do specjalnego narzędzia produkcji, do maszyn, jest to drwić sobie z historii.

Maszyny nie są kategorią ekonomiczną, tak jak nią nie jest wół. który ciągnie wóz. Maszyny są tylko siłą wyrwoczą. War-

sztat nowoczesny, który opiera się na zastosowaniu maszyn, jest stosunkiem społecznym produkcji, kategorią ekonomiczną.

Zobaczymy teraz jak się rzeczy układają w świetnej wyobraźni p. Proudhona.

„W społeczeństwie bezustanne pojawianie się maszyn jest antytezą, odwrotną formułą pracy: jest to protest przemysłowego geniusza przeciw zróżniczkowanej i zabójczej dla robotnika pracy. Czem jest rzeczywiście maszyna? Sposobem połączenia rozmaitych części pracy, które podział pracy rozłączył. Każda maszyna może być określona jako zjednoczenie rozmaitych czynności... Zatem przez maszyny będzie spełnione przywrócenie robotnika do godności... Maszyny, występując w ekonomii politycznej jako sprzeczne podziałowi pracy, odpowiadają syntezie, przeciwstawiającej się analizie w ludzkim rozumie... Podział pracy rozłączył rozmaite jej części, pozwalając każdemu oddawać się specjalności, najbardziej mu odpowiedniej: warsztat skupia robotników, odpowiednio do stosunku każdej części do całości... wprowadza zasadę władzy do pracy... Ale na tem nie koniec jeszcze: maszyna albo warsztat po zdegradowaniu robotnika przez nadanie mu pana, zakończy jego upadek, sprowadzając go ze stopnia rzemieślnika na stopień prostego wyrobnika. Okres, o którym mówimy w danej chwili, okres maszyn odróżnia się przez jedną osobliwą cechę, t. j. najemną pracę... Najemna praca jest późniejszą od podziału pracy i wymiany.“

Zrobimy jedną małą uwagę p. Proudhonowi. Rozłączenie rozmaitych części pracy, pozwalające każdemu oddawać się najbardziej odpowiadającej mu pracy, rozłączenie, które p. Proudhon datuje od początku świata, istnieje dopiero w nowoczesnym przemyśle, przy panowaniu konkurencji.

P. Proudhon daje nam następnie zbyt „interesującą genealogiją“, aby wykazać jak warsztat zrodził się z podziału pracy, a najemnicza praca z warsztatu.

1). Przypuszcza on człowieka, który „zauważył, że dzieląc produkcję i jej różne części i dając je do wykonania każdemu robotnikowi osobno,“ pomnażałoby się siły produkcyjne.

2). Ten człowiek, rozwijając dalej swą ideję, powiada sobie, że tworząc stałą grupę robotników, wybranych do specjalnego przedmiotu, który on sobie założył, otrzyma lepsze wykończenie produktu, i t. d., i t. d.

3). Ten człowiek robi propozycję drugim ludziom, aby dać im pojąć jego ideję i jej dalsze rozwinięcie.

4). Ten człowiek na początku przemysłu umawia się jak równy z równym ze swymi towarzyszami, którzy stają się następnie jego robotnikami.

5). Widocznem jest oczywiście, że ta równość pierwotna musiała prędko zniknąć w obec dodatniego położenia majstra i zależności najmity.

Oto jest próba metody historycznej i opisowej p. Proudhona.

Zbadajmy teraz z historycznego i ekonomicznego punktu widzenia, czy rzeczywiście warsztat lub maszyna wprowadziła zasadę władzy do społeczeństwie po pojawieniu się podziału pracy; czy zre-

habilitowała ona robotnika, poddając go jednocześnie władzy; czy maszyna jest połączeniem podzielonej pracy, syntezą pracy, przeciwstawionej do jej analizy.

Spółceństwo, jako całość, ma tę wspólną cechę z wnętrzem fabryki, że ma także swój podział pracy. Jeżeli weźmiemy — jako przykład — podział pracy w nowoczesnej fabryce, aby zastosować go do całego społeczeństwa, to społeczeństwo najlepiej uorganizowane do wytwarzania bogactw byłoby niezaprzeczenie takie, na którego czele stałby tylko jeden przedsiębiorca, rozdający pracę różnym członkom według z góry ustanowionych przepisów. Ale tak się nie dzieje. Podczas kiedy wewnątrz nowoczesnej fabryki podział pracy ustanawia się szczegółowo przez władzę przedsiębiorcy, społeczeństwo nowożytne nie ma innej władzy, innego prawa do podziału pracy, jak tylko wolną konkurencję.

Przy ustroju patryjarchalnym, przy ustroju kastowym, przy ustroju feudalnym i korporacyjnym miał miejsce podział pracy w całym społeczeństwie według stałych prawideł. Czy prawidła te były ustanowione przez prawodawcę? Nie. Zrodzone pierwotnie przez materialne warunki produkcji, nabrały znaczenia praw o wiele później. W ten sposób te rozmaite formy podziału pracy stały się podstawami społecznego ustroju. Co się tyczy podziału pracy w fabryce, jest on bardzo mało rozwinięty we wszystkich wyżej wspomnianych formach społeczeństwa.

Można nawet przyjąć jako ogólne prawidło, że im mniej udziału bierze władza w podziale pracy wewnątrz społeczeństwa, tem więcej rozwija się podział pracy wewnątrz fabryki, i tem więcej jest on poddany władzy jednego. Tak więc, władza w fabryce — władza w społeczeństwie, odnośnie do podziału pracy, są względem siebie w stosunku odwrotnym.

Zobaczmy teraz, czem jest warsztat, w którym zajęcia są bardzo rozdzielone, gdzie zadanie każdego robotnika jest sprowadzone do bardzo prostej czynności i gdzie władza, kapitał kieruje i zarządza robotami. Jak powstał ten warsztat? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musielibyśmy zbadać, jak rozwijał się właściwie przemysł rękodzielniczy. Mam na myśli ten przemysł, który nie jest jeszcze nowoczesnym przemysłem ze swymi maszynami, ale który już nie jest ani przemysłem rzemieślników średnich wieków, ani domowym przemysłem. Pominiemy drobne szczegóły, zaznaczymy tylko kilka głównych punktów, aby pokazać, że za pomocą formuł historyi stwarzać nie można.

Jednym z najniezbędniejszych warunków powstania przemysłu rękodzielniczego było nagromadzenie kapitałów, ułatwione odkryciem Ameryki i wprowadzeniem drogich metali.

Dostatecznie jest dowiedzionem, że zwiększenie środków wymiany pociągnęło z jednej strony spadnięcie płacy i rent gruntowych, a z drugiej wzrost zysków w przemyśle. Innemi słowy: o ile upadła klasa właścicieli ziemskich i klasa robotników, panów feudalnych i ludu, o tyle podniosła się klasa kapitalistów — burżuazja.

Były jeszcze inne okoliczności, które dopomagały jednocześnie rozwojowi przemysłu rękodzielniczego: powiększenie ilości towarów, będących w obiegu, od czasu, kiedy handel przeniknął do Indyj

Wschodnich przez przyładek Dobrej Nadziei, następnie system kolonijalny, oraz rozwój handlu morskiego.

Inny punkt, niedostatecznie jeszcze oceniony w historii przemysłu rękodzielniczego, jest to rozpuszczenie licznych świt feudalnych panów, których niższa służba zamieniła się w włóczęgów, zanim wstąpiła do warsztatów. Utworzenie warsztatu jest poprzedzone prawie ogólnem włóczęgostwem w piętnastym i szesnastym wieku. Warsztat znalazł jeszcze potężną podporę w licznych zastępach wieśniaków, którzy — wypędzani wciąż z wiosek przez zamianę pól w łąki i przez postęp rolnictwa, potrzebującego coraz mniej rąk do uprawy ziemi — zapełniali miasta w ciągu całych wieków.

Wzrost rynku, nagromadzenie kapitałów, zmiany zaszły w położeniu społecznem klas, masa ludzi pozbawiona źródeł swego dochodu, oto historyczne warunki powstania rękodzielnictwa. A więc nie „przyjacielskie stosunki“ między równymi — jak utrzymuje p. Proudhon — zebrały ludzi w warsztacie. A nawet i nie z łona dawnych korporacji rękodzielnictwo wzięło swój początek. Kupiec stanął na czele nowoczesnego warsztatu, a nie dawny majster z korporacji. Prawie wszędzie odbywała się zacięta walka między rękodzielnictwem a rzemiosłem.

Nagromadzenie i koncentracja narzędzi i robotników poprzedziły rozwój podziału pracy wewnątrz warsztatu. Rękodzielnictwo polegało daleko więcej na skupieniu wielu robotników i rozmaitych rzemioł w jednym miejscu, w jednej sali, pod przewodnictwem jednego kapitału, aniżeli na rozdzieleniu zajęć i zastosowaniu oddzielnego, specjalnego robotnika do każdej bardzo prostej czynności.

Pożytek warsztatu polegał o wiele mniej na podziale pracy, we właściwym znaczeniu tego słowa, jak na tej okoliczności, że pracowano na większą skalę, że zaoszczędzano wiele niepotrzebnych wydatków i t. d. Przy końcu szesnastego i na początku siedemnastego wieku rękodzielnictwo holenderskie znało zaledwie podział pracy.

Rozwój podziału pracy przypuszcza skupienie robotników w jednym warsztacie. Nie ma ani jednego przykładu, ani w szesnastym, ani w siedemnastym wieku, żeby różne gałęzie jednego rzemiosła były wykonywane na tyle oddzielnie, żeby połączone w jednym miejscu mogły dać obecny warsztat. Ale skoro raz nastąpiło połączenie ludzi i narzędzi, podział pracy taki, jaki istniał przy cechach, odzwierciadlił się z konieczności w wewnętrznym ustroju warsztatu.

Dla p. Proudhona, który widzi rzeczy na odwrot, jeśli je tylko widzi, podział pracy — jak go pojmuje Adam Smith — poprzedza warsztat, który jest warunkiem istnienia tego podziału.

Maszyny, we właściwym tego słowa znaczeniu, datują się od końca XVIII wieku. Niedorzecznem jest widzieć w maszynach antytezę podziału pracy, syntezę, ustanawiającą jedność w rozkawałkowanej pracy.

Maszyna jest połączeniem narzędzi pracy, a wcale nie kombinacją prac dla samego robotnika. „Kiedy każda oddzielna czynność, wskutek podziału pracy, została sprowadzona do posługiwania się jednym prostym narzędziem, połączenie wszystkich tych narzędzi,

wprowadzonych w ruch za pomocą jednego motora, stanowi — maszynę.“ (Babbage, *Traité sur l'Economie des machines etc.* Paris, 1833.) Proste narzędzia, nagromadzenie narzędzi, narzędzia złożone, wprowadzenie w ruch złożonego narzędzia za pomocą jednego ręcznego motoru — człowieka, wprowadzenie w ruch tych narzędzi za pomocą sił naturalnych, maszyna, system maszyn, mających jeden tylko motor, system maszyn, mający automatyczny motor — o to rozwój maszyn.

Koncentracja narzędzi produkeyi i podział pracy są tak nierozłączne jedna od drugiej, jak w rządzie politycznym koncentracja władz publicznych i podział interesów prywatnych. Anglija z koncentracją ziemi, tego narzędzia rolniczej pracy, ma również podział pracy rolniczej i zastosowuje maszyny do uprawy ziemi. Francja, która ma podział narzędzi i gruntu, nie ma wogóle podziału pracy rolniczej, ani zastosowania maszyn do ziemi.

Dla p. Proudhona, koncentracja narzędzi pracy jest przeczeniem podziału pracy. W rzeczywistości znajdujemy znowu na odwrót: W miarę, jak koncentracja narzędzi się rozwija, podział rozwija się także i „vice versa.“ Oto dlaczego, po każdym wielkim wynalazku w mechanice, następuje większy podział pracy, a każdy wzrost podziału pracy sprowadza ze swej strony nowe wynalazki w mechanice.

Nie potrzebujemy przypominać, że wielki postęp podziału pracy rozpoczął się w Anglii po wynalezieniu maszyn. Tkacze i przedzarrze byli po większej części takimi samymi wieśniakami, jakich spotyka się jeszcze i obecnie w zacofanych krajach. Wynalazek maszyn dokonał oddzielenia przemysłu rękodzielniczego od przemysłu rolnego. Tkacz i przedzarrz złączeni przedtem w jednej rodzinie zostali rozłączeni przez maszynę.

Dzięki maszynie, przedzarrz może mieszkać w Anglii w tym samym czasie, kiedy tkacz przebywa w Indiach Wschodnich.

Przed wynalezieniem maszyn, przemysł każdego kraju rozciągał się głównie do materjałów surowych, dostarczanych przez jego własny grunt i tak: w Anglii wełna, w Niemczech len, we Francji jedwab i len, w Indiach wschodnich i Lewancie bawełna itd. Dzięki zastosowaniu maszyn i pary, podział pracy mógł dojść do takich rozmiarów, że wielki przemysł, oderwany od gruntu narodowego, zależy jedynie od targu wszechświata, wymiany międzynarodowej, międzynarodowego podziału pracy. Wreszcie maszyna wywiera taki wpływ na podział pracy, że kiedy w wyrabianiu jakiegoś przedmiotu mechanika może być w części zastosowana, to fabrykacja dzieli się na dwa niezależne od siebie działy.

Czyż trzeba mówić o celu opatrnościowym i filantropijnym, jaki odkrywa p. Proudhon w wynalezieniu i zastosowaniu pierwotnem maszyn?..

Kiedy w Anglii rynek się tak rozwinął, że ręczna praca nie mogła wystarczyć, zjawiała się potrzeba maszyn. Pomysłano wtedy o zastosowaniu mechaniki teoretycznej, rozwiniętej już w XVIII wieku.

Warsztat automatyczny zaznaczył swój występ szeregiem czynów, niemających nic wspólnego z filantropiją. Dzieci napędzano do pracy bitem; zrobiono z nich przedmiot targu, zawierano umowy

z przytułkami dla sierot. Zniesiono wszystkie prawa, dotyczące terminowania, ponieważ — posługując się frazesem p. Proudhona — nie miano potrzeby „syntetycznych“ robotników. Nakoniec od 1825 roku prawie wszystkie nowe wynalazki były rezultatem zająć między robotnikiem a przedsiębiorcą, który wszelkimi sposobami starał się poniżyć wartość fachowego wykształcenia robotnika. Po każdym nowem bezrobociu, choćby najmniejszym, pojawiała się nowa maszyna.

Robotnik w zastosowaniu maszyn widział tak mało rehabilitacyi, odrodzenia się — jak mówi Proudhon — że w XVIII-tym wieku opierał się długo rodzącemu się panowaniu siły automatycznej.

„Wyalt — mówi doktor Ure — odkrył przedzarrne palce na długi czas przed Arkwright'em. Główna trudność nie polegała na wynalezieniu automatycznego mechanizmu... Trudność polegała szczególnie na dyscyplinie potrzebnej, aby skłonić ludzi do zrzeczenia się ich przyzwyczajeni nieregularności w pracy i aby zidentyfikować ich z niezmierną regularnością wielkiego automatu. Wynalezienie i wprowadzenie w wykonanie kodeksu dyscypliny w rękodzielnictwie, kodeksu odpowiedniego potrzebom i szybkości automatycznego systemu, oto przedsięwzięcie godne Herkulesa. Oto szlachetne dzieło Arkwrighta.“

W ten więc sposób przez wprowadzenie maszyn podział pracy wzrósł wewnątrz społeczeństwa, zadanie robotnika wewnątrz warsztatu się uprościło, kapitał się skoncentrował, człowiek jeszcze bardziej zwyrodniał.

P. Proudhon, kiedy chce się stać ekonomistą i opuścić na chwilę „rozwój w seryi rozumu,“ idzie wtedy czerpać swoją erudycję z dzieła A. Smitha, dzieła współczesnego poczynającemu się wprowadzaniu warsztatu automatycznego do fabryk. W samej rzeczy, co za różnica między podziałem pracy, istniejącym za czasów Adama Smitha, a tym, jaki widzimy w automatycznym warsztacie? Aby to dobrze zrozumieć, wystarczy przytoczyć kilka ustępów z „Filozofii rękodzielnictwa“ doktora Ure.

„Kiedy A. Smith pisał swoje nieśmiertelne dzieło o podstawach ekonomii politycznej, automatyczny system przemysłu był zaledwie znany. Podział pracy wydawał mu się słuszną wielką zasadą udoskonalenia rękodzielnictwa; wykazał on, że w fabryce szpilek jeden robotnik, doskonaląc się przez praktykę w wykonywaniu jednej części, staje się wprawniejszym i tańszym. Widział on, że w każdej gałęzi rękodzielnictwa według tej zasady pewne czynności, jak np. krajenie miedzianego drutu na równe części, łatwiej się wykonują, — inne znów, jak np. robienie i przymocowywanie łebków od szpilek są stosunkowo trudniejsze; ztąd wyprowadza on, że do każdej z tych czynności można zastosować robotnika, którego płaca odpowiadaaby zręczności. To przystosowanie stanowi istotę podziału pracy. Ale co mogło służyć za przykład pożyteczny za czasów doktora Smitha, może dziś tylko w błąd wprowadzić czytelnika względem rzeczywistej zasady przemysłu rękodzielniczego. W istocie, rozdzielenie albo raczej przystosowanie prac do różnych osobistych zdolności nie wchodzi zupełnie do planu czynności automatycznego rękodzielnictwa; przeciwnie, wszędzie gdzie pewna czynność wyma-

ga więcej zręczności i pewnej ręki, zręcznego, ale podległego nieregularnym ruchom, robotnika zastępuje się oddzielnym mechanizmem, którego automatyczna czynność jest tak prawidłowa, że nawet dziecko może nad nią czuwać.

„Zasadą więc automatycznego systematu jest zastąpienie ręcznej pracy sztuką — maszyną i zamienienie podziału pracy między robotnikami przez rozłożenie procesu produkcji na jego składowe części. Według systematu ręcznej pracy, ludzka praca była zwykle czynnikiem najkosztowniejszym produktu; ale według systematu automatycznego, talenty rzemieślnika stopniowo są wypierane przez prostych nadzorców maszyn.

„Natura ludzka ma tę własność, że im zręczniejszym jest robotnik, tem staje się samowolniejszym i nieprzystępniejszym, a ztąd tem mniej jest odpowiednim dla mechanicznego systematu, którego całość może uciepnieć od jego kapryśnych napadów.

Ważną jest rzeczą dla fabrykanta, aby kombinując naukę ze swymi kapitałami, sprowadził zadania swoich robotników do wyćwiczenia ich baczności i zręczności przymiotów, — które oni bardzo udoskonalają w swej młodości, jeżeli je skierowują na jeden przedmiot.

„Według systematu stopniowania pracy, trzeba terminować kilka lat, zanim ręka i oko staną się dość wprawniemi, aby wykonywać pewne bardziej trudne czynności mechaniczne; ale według systematu, który rozkłada proces wytwarzania na składowe jego części i który poddaje wszystkie te części działaniu automatycznej maszyny, można powierzyć te pierwotne części człowiekowi ze zwykłymi zdolnościami, poddawszy go przedtem krótkiej próbie; można nawet w razie naglącej potrzeby przerzucać go od jednej maszyny do drugiej, podług woli dyrektora zakładu. Takie zmiany znajdują się w jawnej sprzeczności ze starą rutyną, która dzieli pracę i każe jednemu robotnikowi wyrabiać łebki od szpilek, a drugiemu zaostżać ich końce, praca, której nudna jednostajność denerwuje robotników. Ale według zasady zrównania, czyli automatycznego systematu, robotnik ćwiczy swe zdolności, wykonywując zawsze przyjemną pracę i t. d. Ponieważ jego zajęciem jest tylko czuwanie nad prawidłowo ustawionym mechanizmem, może się więc nauczyć go w krótkim czasie; a gdy go przerzucają od jednej maszyny do drugiej, to urozmaica swoją czynność i rozwija swe myśli rozmyślaniami nad ogólnemi kombinacyjami, które wynikają z jego własnej pracy i pracy jego towarzyszy. Tak więc to tłumienie zdolności, ta ciasnota myśli, ten stan, przeszkadzający rozwinięciu się fizycznemu, przypisywane — nie bez racji — podziałowi pracy, w zwykłych okolicznościach nie może mieć miejsca przy systemacie równego rozdzielenia prac.

Staliśmy celem, do którego zdąża każde udoskonalenie mechaniczne, jest zmniejszenie udziału pracy ludzkiej lub zniżenie płacy, zastępując pracę dorosłego robotnika pracą kobiet i dzieci, a pracę zręcznego rzemieślnika pracą prostego wyrobnika. To dążenie do wyłącznego używania w fabrykach dzieci z bystrym wzrokiem i giętkimi palcami, zamiast robotników doświadczonych, wykazuje, że scholastyczny dogmat podziału pracy według różnych stopni zrę-

czności, został nakoniec odrzucony przez naszych „oświeconych“ fabrykantów.“ (André Ure, Philosophie des manufactures ou Economie industrielle. T. I, chap. 1.)

Podział pracy wewnątrz nowoczesnego społeczeństwa charakteryzuje się tem, że wytwarza specjalności, specjalistów, a przytem fachowy idyotyzm.

„Jesteśmy zachwyceni — powiada Lemontey — widząc u starożytnych jedną i tę samą osobę zarazem filozofem, poetą, mówcą, historykiem, kapłanem, administratorem, dowódcą wojska i w każdym z tych kierunków zajmującą wybitne stanowisko. Nasz umysł cofa się z przerażeniem przed tak rozległą działalnością. Każdy zamurowywa się w ciasnem kole. Nie wiem, czy przez to rozkwitowanie pole się powiększy, ale wiem, że człowiek karłowacieje.“

Podział pracy w warsztacie automatycznym charakteryzuje się tem, że praca straciła całkowicie podział na specjalności. Ale z chwilą, kiedy rozwój specjalizacji ustaje, daje się czuć potrzeba do rozwoju ogólnego, do rozwoju całkowitego jednostki. Warsztat automatyczny usuwa specjalistów i fachowy idyotyzm.

P. Proudhon, nie zrozumiałwszy nawet tej jedynej rewolucyjnej strony automatycznego warsztatu, cofa się znów wstecz i proponuje robotnikowi wyrabiać nietylko dwunastą część szpilki, ale stopniowo wszystkie dwanaście części. Robotnik doszedłby w ten sposób do rozumienia i świadomości szpilki. Oto, co to jest praca syntetyczna p. Proudhona. Nikt też nie zaprzeczy, że zrobić jeden krok naprzód i jeden w tył jest to uczynić ruch syntetyczny.

Ostatecznie p. Proudhon nie wniósł się ponad ideał małego mieszczaństwa. Ażeby urzeczywistnić ten ideał, nie przychodzi mu nie lepszego na myśl, jak zwrócenie nas do czeladnika, a co najwyżej do majstra rzemieślnika średnich wieków. Wystarczy — powiada on w którymś miejscu swego dzieła — zrobić jedno tylko arcydzieło, poczuć się raz tylko człowiekiem. Czy nie będzie to, co do formy i treści, majstersztyk, wymagany przez średniowieczne cechy?

III. KONKURENCYJA I KAPITAŁ.

Dodatnia strona konkurencji.

„Konkurencja jest tak konieczną dla pracy, jak podział... Jest ona potrzebna do wprowadzenia równości.

Ujemna strona konkurencji.

„Zasada jest przeczeniem samej siebie. Najpewniejszym jej skutkiem jest zguba tych, którzy jej ulegają.

Myśl ogólna.

„Usterki, które są jej następstwem, i dobro, jakie ona sprowadza, jedno i drugie wypływają logicznie z zasady.

„Odnaleść zasadę godzącą, która powinna wypływać z prawa wyższego, niż sama wolność.

Waryjant:

„Nie chodzi tu zatem o zniesienie konkurencyi, co jest rzeczą tak niemożliwą, jak zniesienie wolności; chodzi o znalezienie równoważnika, powiedziałbym chętnie, o znalezienie policyi.“

Zadanie do rozwiązania.

P. Proudhon zaczyna od obrony wiecznej konieczności konkurencyi przeciw tym, którzy chcą ją zastąpić współubieganiem się.^{*)}

Nie ma „współubiegania się bez celu,“ a jak „przedmiot każdej namiętności jest nieodzownie analogiczny samej namiętności, jako to: kobieta dla kochanka, władza dla ambitnego, złoto dla skąpego, wieniec dla poety, tak przedmiotem dla współubiegania się przemysłowego musi być konieczność zysku. Współubieganie się nie jest niczem innem, jak też sama konkurencyja.“

Konkurencyja jest współubieganiem się o zysk. Współubieganie się przemysłowe, czyż jest koniecznie współubieganiem się o zysk, to jest konkurencyją?... P. Proudhon, twierdząc to, uważa już za dowiedzione. Widzieliśmy, że u niego twierdzić znaczy dowieść, tak jak przypuszczać znaczy przeczyć.

Jeżeli przedmiotem bezpośrednim dla kochanka jest kobieta, to przedmiotem bezpośrednim przemysłowego współubiegania się jest produkt a nie zysk.

Konkurencyja nie jest współubieganiem się przemysłem, jest ona współubieganiem się handlowem. W naszych czasach przemysłowe współubieganie się istnieje tylko w celu handlowym. Są nawet fazy w życiu ekonomicznym nowożytnych ludów, gdzie wszystkich ogarnia rodzaj gorączki zysku bez produkowania. Ta gorączka spekulacji, powracająca peryodycznie, odślania prawdziwy charakter konkurencyi, starający się uniknąć konieczności przemysłowego współubiegania się.

Gdyby powiedziano rzemieślnikowi czternastego wieku, że mają być zniesione przywileje i cała organizacja feudalna przemysłu i że mają być zastąpione współubieganiem się przemysłem, zwanem konkurencyją, powiedziałby nam, że przywileje różnych korporacji, cechów i syndykatów są uorganizowaną konkurencyją. P. Proudhon wcale się rozumnie nie wyraża, twierdząc, że „współubieganie się nie jest niczem innem, jak ta sama konkurencyja.“

„Każcie, aby od 1-go stycznia 1847 roku praca i płaca były dla wszystkich zapewnione, a natychmiast silne natężenie przemysłu zastąpi ogólny zastój.“ (T. I str. 189)

Zamiast przypuszczenia, twierdzenia i przeczenia mamy teraz przepis, jaki p. Proudhon daje umyślnie, aby dowieść konieczność konkurencyi, jej wieczną trwałość jako kategorii i t. d.

^{*)} Fourierzyści.

Jeśli przypuścimy, że wystarczą przepisy dla pozbycia się konkurencyi, to się jej nigdy nie pozbedziemy. I gdyby wniesiono propozycję zniesienia konkurencyi, zachowując z tem wszystkim płacę robotniczą, przyjęcie takiego wniosku byłoby nonsensem z rozkazu królewskiego. Ale ludy nie rozwijają się na rozkaz królewski. Przed wydawaniem takich przepisów powinny one z gruntu zmienić swoje warunki istnienia przemysłowego i politycznego, a zatem całą istotę swego bytu.

P. Proudhon odpowie ze swą niewzruszoną pewnością, że jest to hipoteza „przemiany naszej natury bez precedensów historycznych“ i że miałyby prawo „wykluczyć nas ze sporu,“ nie wiemy tylko na mocy jakiego przepisu.

P. Proudhon nie wie, że historia jest ciągłą przemianą natury ludzkiej.

„Trzymajmy się faktów. Rewolucya francuska była zrobiona o tyle dla wolności przemysłowej, o ile i dla wolności politycznej; a więc chociaż Francya 1789 roku wcale nie widziała wszystkich konsekwencji zasady, której urzeczywistnienia się domagała, powiedzmy to otwarcie, nie omyliła się jednak ani w swych pragnieniach, ani w swoich oczekiwaniach. Ktokolwiek próbowałby temu przeczyć, straciłby w moich oczach prawo do krytyki: nigdy nie będę dysputował z przeciwnikiem, któryby dopuścił w zasadzie do browolną omyłkę 25 milionów ludzi... Dlaczego więc, jeśli konkurencyja nie była zasadą ekonomii społecznej, wyrokiem przeznaczenia, potrzebą duszy ludzkiej, dlaczego zamiast znosić korporacje, cechy i syndykaty nie myślano raczej o naprawieniu wszystkiego?...“

Ponieważ francuzi osmnastego wieku zniesli korporacje, cechy i syndykaty, zamiast je zmienić, francuzi dziewiętnastego wieku powinni zmienić konkurencyję, zamiast ją znosić. Ponieważ konkurencyja powstała we Francyi w osmnastym wieku, jako konsekwencja historycznych potrzeb, to ta konkurencyja nie powinna być zniweczona w dziewiętnastym wieku, z powodu innych historycznych potrzeb. P. Proudhon, nie rozumiejąc tego, że ustanowienie konkurencyi wiązało się z rzeczywistym rozwojem ludzi osmnastego wieku, czyni konkurencyję potrzebą duszy ludzkiej, in partibus infidelium. Coby on zrobił z „wielkiego Colbert'a“ dla siedemnastego wieku?..

Po rewolucyi następuje stan rzeczy, jaki mamy obecnie. P. Proudhon i tutaj czerpie fakty, aby wykazać wieczność konkurencyi, dowodząc, że wszystkie gałęzie przemysłu, w których ta kategoria nie rozwinęła się jeszcze dostatecznie, na przykład rolnictwo, są na niższym stopniu, w stanie zacofania.

Mówić, że są gałęzie przemysłu, które się jeszcze nie znajdują na wysokości konkurencyi, że są inne, które nie dosięgły jeszcze poziomu burżuazyjnej produkcji, jest to czeza gadanina, która zupełnie nie dowodzi wieczności konkurencyi.

Cała logika p. Proudhona streszcza się w tem: Konkurencyja jest to stosunek społeczny, przy jakim obecnie rozwijamy nasze siły produkcyjne. Nie dba on o rozwój logiczny tej prawdy, lecz nadaje jej formy często bardzo dobrze rozwinięte, utrzymując, że konku-

rencyja jest przemysłowem współubieganiem się, swobodą na dzisiejszy sposób, odpowiedzialnością w pracy, ustanowieniem wartości, warunkiem wprowadzenia równości, zasadą ekonomii społecznej, wyrokiem przeznaczenia, potrzebą duszy ludzkiej, natchnieniem wiecznej sprawiedliwości, wolnością w podziale, podziałem w wolności, ekonomiczną kategorią.

„Konkurencyja i asocyjacja wspierają się jedna na drugiej. Dalkie od wykluczenia się, nawet się nie rozchodzą. Kto mówi konkurencyja, ten przypuszcza już wspólny cel. Konkurencyja nie jest więc egoizmem, a najopłakaniejszym błędem socyjalizmu jest to, że widzi w niej element destrukcyjny“.

Kto mówi o konkurencyi, ten mówi o wspólnym celu, a to do wodzi z jednej strony, że konkurencyja jest asocyjacją, a z drugiej, że konkurencyja nie jest egoizmem. A gdy kto mówi o egoizmie, czyż nie mówi o celu wspólnym? Każdy egoizm działa w społeczeństwie i przez społeczeństwo. Przypuszcza on zatem społeczeństwo, to jest cele społeczne wspólne, potrzeby wspólne, środki produkcji wspólne i t. d. i t. d. Byłoby to tylko przypadek, że konkurencyja i asocyjacja, o której mówią socyjaliści, nie rozchodzą się nawet?

Socyjaliści wiedzą bardzo dobrze, że społeczeństwo dzisiejsze ugruntowane jest na konkurencyi. Jakże by mogli zarzucić, że konkurencyja sprowadza przewrót dzisiejszego społeczeństwa, które chcą sami zburzyć. I jak mogliby zarzucać konkurencyi przewrót przyszłego społeczeństwa, w którym oni przeciwnie widzą zniesienie konkurencyi?

P. Proudhon mówi dalej, że konkurencyja jest przeciwstawieniem monopolu, i że skutkiem tego nie może być przeciwstawieniem asocyjacji.

Feudalizm był od początku przeciwny monarchii patryjarchalnej, zatem nie był przeciwny konkurencyi, która nie istniała jeszcze wtedy. Czy z tego wypada, że konkurencyja nie jest przeciwną feudalizmowi?

Spółczeństwo, asocyjacja są to rzeczywiście nazwy, które można nadawać wszystkim społeczeństwom, zarówno feudalnemu, jak i burżuazyjnemu, które jest asocyjacją, ugruntowaną na konkurencyi. Czyż mogą więc być socyjaliści, którzy by wierzyli, że jednym słowem „asocyjacja“ mogą znieść konkurencyję? I czyż sam p. Proudhon mógłby bronić konkurencyję przeciwko socyjalizmowi, oznaczając konkurencyję jednym słowem „asocyjacja“.

Wszystko to, cośmy powyżej powiedzieli, stanowi piękną stronę konkurencyi, tak jak ją rozumie p. Proudhon. Przejdźmy teraz do brzydkiej strony, do strony ujemnej konkurencyi, do jej usterek, do tego, co ona ma w sobie brzydkiego, przewrotnego, do jej szkodliwych właściwości!

Obraz, nakreślony nam przez p. Proudhona, ma w sobie coś ponurego.

Konkurencyja zdradza nędzę, ona rozdmuchuje wojnę domową, „zmienia strefy naturalne“, mięsza narodowości, znosi rodzinę, zdradza sumienie publiczne, „obała pojęcie równości i sprawiedliwości“, i moralności, i, co gorsza, znosi uczciwość i wolny handel i wzamian nie daje nawet wartości syntetycznej, ceny stałej i uczci-

wej. Rozczarowywa ona wszystkich, nawet ekonomistów. Dochodzi do tego, że sama siebie niszczy.

Po wszystkim złem, o jakim p. Proudhon mówił, czyż może być dla jego zasad i iluzji, dla stosunków społeczeństwa burżuazyjnego, żywioł bardziej burzący, dezorganizujący, jak konkurencyja?

Zauważmy dobrze, że konkurencyja staje się czynnikiem coraz bardziej burzącym dla stosunków burżuazyjnych, w miarę jak pობуда do gorączkowego tworzenia nowych sił produkcyjnych, t. j. warunków materialnych nowego społeczeństwa. Pod tym względem przynajmniej zła strona konkurencyi miałaby swoją dobrą stronę.

„Konkurencyja, jako teza lub faza ekonomiczna, rozpatrywana w swoim początku, jest koniecznym rezultatem... teorii zmniejszania ogólnych kosztów produkcji.“

Dla p. Proudhona krążenie krwi powinno być następstwem teorii Harvey'a.

„Monopol jest koniecznym ostatnim wyrazem konkurencyi, która go zdradza bezprześcannem przeczeniem samej sobie.“

Rodowód monopolu jest jego usprawiedliwieniem. Monopol jest naturalnym przeciwstawieniem konkurencyi; ale odkąd konkurencyja staje się konieczną, zawiera w sobie ideę monopolu, ponieważ monopol jest naturalnym siedliskiem każdej współzawodniczącej jednostki“.

Cieszymy się z p. Proudhonem, że może przynajmniej choć raz dobrze zastosować swoją formułę tezy i antytezy. Każdemu wiadomo, że monopol nowoczesny jest zrodzony przez konkurencyję.

Pod względem treści p. Proudhon snuje poetyczne obrazy. Konkurencyja tworzyła „z każdego podpodziału pracy rodzaj odrębnego państwa, w którym każdy osobnik utrzymuje swą siłę i niezależność“. „Monopol jest siedliskiem każdej współzawodniczącej jednostki“. Państwo warte przynajmniej siedliska.

P. Proudhon mówi o nowoczesnym monopolu, zrodzonym przez konkurencyję. Ale każdemu wiadomo, że monopol feudalny zrodził konkurencyję. Pierwotnie zatem konkurencyja była sprzeczna monopolowi, a nie monopol konkurencyi. A więc nowożytny monopol nie jest prostą antytezą, przeciwnie jest on prawdziwą syntezą.

Teza: Monopol feudalny, poprzedzający konkurencyję.

Antyteza: Konkurencyja.

Synteza: Nowożytny monopol, który jest przeczeniem feudalnego monopolu, o ile przypuszcza panowanie konkurencyi, i który jest przeczeniem konkurencyi, o ile jest monopolem.

Więc nowożytny monopol, monopol burżuazyjny jest monopolą syntetycznym, przeczeniem przeczenia, jednością sprzeczności. Jest to monopol w stanie czystym, normalnym, racjonalnym. P. Proudhon jest w sprzeczności ze swą własną filozofią, skoro uważa monopol burżuazyjny jako monopol w pierwotnym, prostym, sprzecznym, spazmatycznym stanie. P. Rossi, którego przytacza kilka razy p. Proudhon w kwestyi monopolu, zdaje się lepiej pojmwwać syntetyczny charakter burżuazyjnego monopolu. W swoim „Cours deconomie politique“ rozróżnia monopole sztuczne i naturalne.

Monopole feudalne, mówi on, są sztuczne, t. j. arbitralne: monopole burżuazyjne są naturalne, t. j. racjonalne.

Monopol jest dobrą rzeczą, rezonuje p. Proudhon, ponieważ jest to kategoria ekonomiczna, wyłonienie się „nieosobowego rozumu ludzkości“. Konkurencja jest również dobrą rzeczą, ponieważ i ona także jest kategorią ekonomiczną. Ale co nie jest dobre, to konkretna forma monopolu i konkurencji. A jeszcze gorszym jest to, że konkurencja i monopol nawzajem się pożerają. Co robić? Szukać syntezy tych dwóch wiecznych myśli, wyrwać ją z łona boga, gdzie ona od niepamiętnych czasów spoczywa.

W życiu praktycznym znajduje się nie tylko konkurencja, monopol i ich wzajemny antagonizm, ale także ich synteza, która nie jest formułą lecz ruchem. Monopol wytwarza konkurencję, konkurencja wytwarza monopol. Monopolisci współzawodniczą między sobą, współzawodniczący stają się monopolistami. Jeśli monopolisci ograniczają konkurencję pomiędzy sobą przez częściowe asocjacje, konkurencja wzrasta między robotnikami; i czem bardziej wzrasta masa proletariatu stosunkowo do monopolistów pewnego narodu, tem bardziej wyzdana staje się konkurencja między monopolistami różnych narodów. Syntezą tego jest więc to, że monopol może się utrzymać tylko przy ciągłej walce konkurencyjnej.

Ażebym dialektycznie wyprowadzić podatki, które następują po monopolu, p. Proudhon mówi nam o genijuszu społecznym, który, przeszedłszy nieustraszenie swoją drogę zygzakami, „idąc krokiem pewnym, bez żalu i wahania, doszedłszy do załomu monopolu, rzuca poza siebie wzrok melancholijny, a po głębokim namyśle opodatkowuje wszystkie przedmioty produkcji i stwarza całą administracyjną organizację, aby wszystkie urzędy były oddane proletariatowi i płacone przez ludzi monopolu.“

Co powiedzieć o tym genijuszu, który na czczo spaceruje? i co powiedzieć o tej przechadzce, która ma za cel zniszczyć burżuazyjne podatki, podczas kiedy podatki właśnie dostarczają burżuazji środków utrzymania się jako klasa panująca.

Aby dać niejakię pojęcie o sposobie, w jaki p. Proudhon traktuje szczegóły ekonomiczne wystarczy powiedzieć, że według niego podatek konsumpcyjny był ustanowiony w celu równości i niesienia pomocy proletariatowi.

Podatek konsumpcyjny rozwinął się na dobre dopiero od czasu zwycięstwa burżuazji. W rękach kapitału przemysłowego, to jest bogactwa uniarkowanego i oszczędzonego, które się utrzymuje, wytwarza i powiększa przez bezpośredni wyzysk pracy, podatek konsumpcyjny był środkiem wyzyskiwania lekkomyślnego, wesołego, rozrzutnego bogactwa wielkich panów, zajmujących się tylko spożywaniem. Jakób Stuart bardzo dobrze przedstawił cel pierwotny podatku konsumpcyjnego w swoich „Inquiry into the principles of political economy“, które ogłosił na dziesięć lat przed Adamem Smithem.

„W prawdziwej monarchii — powiada on — książęta zdają się być zazdrośnymi do pewnego stopnia o wzrost bogactw, wskutek tego nakładają podatki na tych, którzy się z bogacą — podatki

na produkcję. Przy rządzie konstytucyjnym spadają one zwykle na tych, którzy biednieją — podatki konsumpcyjne. Tak więc monarchowie nakładają podatki na przemysł;... naprzykład podatek główny i od majątku (taille) jest proporcjonalny do przypuszczalnego bogactwa płacących ten podatek. Każdy jest opodatkowany według zysku, jaki przypuszczalnie otrzymuje. Rządy konstytucyjne podnoszą zwykle podatki konsumpcyjne. Każdy jest opodatkowany w stosunku do swoich wydatków.“

Co do następstwa logicznego podatków — bilansu handlowego i kredytu — w rozumie p. Proudhona, to zauważymy tylko, że burżuazja angielska, doszedłszy pod Wilhelmem Orańskim do politycznej władzy, stworzyła natychmiast nowy system podatków, kredyt publiczny i system praw protekcyjnych, skoro tylko była w stanie swobodnie rozwijać swe warunki istnienia.

Ten przegląd wystarczy, aby dać czytelnikowi prawdziwe pojęcie o elukubracjach p. Proudhona o policyi albo o podatkach, o kredycie, o bilansie handlowym, o komunizmie i o ludności. Nie wiemy, aby najpobłażliwsza krytyka mogła poważnie rozpatrywać te rozdziały.

IV. WŁASNOŚĆ GRUNTOWA ALBO RENTA

W każdej epoce historycznej własność inaczej się rozwijała i w seryi zupełnie różnych stosunków społecznych. Określić więc własność burżuazyjną nie jest to nic innego jak przedstawić wszystkie stosunki społeczne burżuazyjnej produkcji.

P. Proudhon, który pozornie niby mówi o własności w ogóle, rozpatruje tylko własność gruntową, rentę gruntową.

„Pochodzenie renty tak jak i własności jest, można by powiedzieć, po za ekonomiją: ono spoczywa w pojęciach psychologicznych i moralnych, które są w stosunku bardzo dalekim do produkcji bogactw.“ (T. II, str. 265).

W ten sposób p. Proudhon uznał się za niezdolnego do zrozumienia ekonomicznego pochodzenia renty i własności. Przyznaje on, że ta nieudolność zmusza go do uciekania się do pojęć psychologicznych i moralnych, które, chociaż są w bardzo dalekim stosunku do produkcji bogactw, są jednakże w stosunku bardzo bliskim do naszych względem niego ważkich historycznych poglądów. P. Proudhon twierdzi, że pochodzenie własności ma w sobie coś mistycznego i tajemniczego. Otóż widzieć tajemniczość w pochodzeniu własności, to jest przekształcać w tajemnicę stosunek produkcji samej do podziału narzędzi produkcji, czyż nie jest to, mówiąc językiem p. Proudhona, zręczenie się wszelkiej pretensyi do nauki ekonomicznej?

P. Proudhon „ogranicza się przypomnieniem, że w siódmej epoce rozwoju ekonomicznego — w epoce kredytu — kiedy fikcja zastąpiła rzeczywistość, a działalności ludzkiej zagrażało rozplynięcie się w próżni, koniecznem się stało silniej połączyć czło-

wieka z naturą : otóż renta była ceną tego nowego kontraktu.“ (T. II, str. 265).

Człowiek z czterdziestoma dukatami przeczuł, że zjawi się p. Proudhon : „Twoja wola, panie stwórco; każdy jest panem swego świata; ale nie zmusisz mnie nigdy do tego, abym uwierzył, że ten świat, na którym się znajdujemy, jest szklany.“ W waszym świecie, gdzie kredyt był środkiem rozpięnięcia się w próżni, bardzo być może, że własność stała się potrzebną, aby przywiązać człowieka do natury. W świecie rzeczywistej produkcji, gdzie własność gruntowa poprzedza zawsze kredyt, „horror vacui“ p. Proudhona nie mógł istnieć.

Skoro przyjęto istnienie renty, jakiegokolwiek zresztą by było jej pochodzenie, to staje się ona przedmiotem umowy między dzierżawcą a posiadaczem gruntowym ze względu na sprzeczny jej stosunek do każdego z nich. Jakż jest wynik tej umowy, innemi słowy : jaka jest wysokość renty ? Oto co mówi p. Proudhon :

„Teoryja Rikardo odpowiada na to pytanie. Gdy społeczeństwo zaczynało się formować, gdy człowiek, nowiejusz na ziemi, miał przed sobą niezmiernie obszary lasów i ziemi, a przemysł zaczynał dopiero powstawać, renta wówczas jeszcze nie istniała. Ziemia, która jeszcze nie była uprawiana, była przedmiotem, mającym użyteczność, nie była ona wartością zamienną : była wspólną ale nie społeczną. Z czasem powoli mnożenie się rodzin i postęp rolnictwa nauczyły cenić ziemię. Praca nadała gruntowi wartość : ztąd powstała renta. Pole, dające więcej owoców przy jednakowej ilości pracy, było więcej cenionem; przytem dążeniem właścicieli zawsze było zagarnąć całość produktów z gruntu, potraciwszy płacę farmera t. j. kosztu produkcji. W ten sposób wślad za pracą idzie własność, aby zagarnąć z produktu to wszystko, co przenosi rzeczywiste koszty. Ponieważ właściciel wypełnia mistyczny obowiązek i jest przedstawicielem ogółu względem poddanego (colonus), to podany według planów opatrności jest tylko odpowiedzialnym robotnikiem, który powinien zdawać rachunek przed społeczeństwem ze wszystkiego, co zbierze ponad prawną płacę. W swej istocie i przez swe przeznaczenie renta jest urządzeniem sprawiedliwości, dzielącej produkty, jednym z tysięcy środków, jakie genjusz ekonomiczny używa, aby osiągnąć równość. Jest to olbrzymi kadaster, sporządzony z przeciwnych punktów widzenia przez właścicieli i farmerów, bez możebnej kolizji, w wyższym celu, i którego ostateczny rezultat ma na celu zrównanie władania ziemią przemysłowców i rolników. Potrzeba było tej magicznej siły własności, aby wydrzeć poddanemu przywileżkę produktu, której nie może nie uważać za swoją i twórcą którego czuje się wyłącznie. Renta albo lepiej powiedziawszy własność złamała egoizm rolniczy i stworzyła solidarność, jakiej żadna moc, żaden podział ziemi nie mógł by zrodzić... Obecnie, gdy własność wywarła swój wpływ moralny, pozostaje jeszcze zrobić podział renty.“

Cała ta nawałnica słów sprowadza się do następującego : Rikardo mówi, że przewyżka ceny produktów rolnych nad kosztami ich produkcji wraz z zyskiem i procentem zwykłym od kapitału jest miarą renty. P. Proudhon lepiej sobie poczyną. Każe on zjawić się właścicielowi, jako Deus ex machina, który wydziera poddanemu ca-

łą przewyżkę produktów ponad kosztu produkcji. On posługuje się interwencją właściciela, aby wyjaśnić własność, a interwencją rentyera, aby wyjaśnić rentę. Rozwiązuje on zadanie, stawiając toż samo zadanie i powiększając go jeszcze o jedną sylabę.

Zauważmy jeszcze, że, oznaczając rentę różnicą urodzajności ziemi, p. Proudhon daje nowe jej pochodzenie, ponieważ ziemia, zanim była cenioną według rozmaitych stopni wydajności, „nie była“ — według niego — „wartością zamienną, ale była wspólną.“ Cóż się stało z tą fikcją renty, która się zrodziła z potrzeby sprowadzenia człowieka do ziemi, który miał się zgubić w nieskończoności próżni ?

Pozbawny teraz doktrynę Rikardo opatrnościowych, alegorycznych i mistycznych frazesów, w które starał się ją owinać p. Proudhon.

Renta według Rikarda, jest własnością gruntową w ustroju burżuazyjnym : to jest własnością feudalną, która podlega warunkom produkcji burżuazyjnej.

Widzieliśmy, że według doktryny Rikardo cena wszystkich przedmiotów jest ostatecznie oznaczana przez kosztu produkcji właśnie z zyskiem przemysłowca, innemi słowy — przez zużyty czas roboty. W przemyśle rękodzielniczym cena produktu otrzymanego za pomocą minimum pracy reguluje cenę wszystkich innych towarów tego samego rodzaju, przypuściwszy, że można mnożyć do nieskończoności najtańsze i najprodukcyjniejsze narzędzia produkcji i że jedynie wolna konkurencja ustanawia cenę rynkową, to jest cenę wspólną wszystkim produktom tego samego rodzaju.

W przemyśle rolniczym dzieje się przeciwnie; tu cena produktu, otrzymanego przez największą ilość pracy, ustanawia cenę wszystkich produktów tego samego rodzaju. Najpierw nie można tu jak w przemyśle rękodzielniczym pomnażać dowolnie narzędzi produkcji o tym samym stopniu produktywności, to jest gruntów z jednakowym stopniem urodzajności. Następnie, w miarę wzrastania ludności, dochodzi się do uprawy ziemi gorszego gatunku lub do robienia nowych nakładów kapitału na ten że sam grunt, nakładów stosunkowo mniej produktywnych od pierwszych. W jednym i drugim wypadku spotrzebowywa się większą ilość pracy, aby otrzymać stosunkowo mniej produktu. Ponieważ potrzeby ludności zrodziły konieczność tego dodatku pracy, to produkt ziemi uprawionej z większym kosztem znajduje zbyt konieczny narówni z produktem ziemi uprawionej z mniejszym kosztem. Konkurencja wyrównuje ceny rynku, a więc produkt lepszego gruntu będzie się sprzedawał po takiej samej cenie jak i produkt gorszego gruntu. I ta zwyżka ceny produktów lepszego gruntu ponad koszty ich produkcji stanowi rentę. Gdyby można mieć zawsze do rozporządzenia grunty z jednym stopniem urodzajności, gdyby można jak w przemyśle rękodzielniczym uciekać się zawsze do maszyn mniej kosztownych i więcej produktywnych, albo gdyby następne wkłady kapitału przynosiły tyle co i pierwsze, wtedy cena produktów rolnych ustanawiała by się według tych produktów, które zostały wytworzone za pomocą najlepszych narzędzi produkcji, jakieżmy to widzieli przy ustaleniu się ceny produktów przemysłu. Ale wtedy renta by zniknęła.

Aby doktryna Rikardo była ogólnie prawdziwą, trzeba aby kapitały mogły być dowolnie zastosowywane do rozmaitych gałęzi przemysłu; aby silnie rozwinięta konkurencja między kapitalistami doprowadziła do jednakowych zysków; aby farmer był tylko kapitalistą przemysłowym, który żąda za włożenie swego kapitału w gorsze grunty zysku równego zyskowi, jaki by osiągnął, zastosowawszy swój kapitał, na przykład do przemysłu bawełnianego; aby uprawa rolna podlegała systematowi wielkiego przemysłu; наконец, aby właściciel ziemi miał na widoku jedynie dochód pieniężny.

W Irlandyi renta nie istnieje jeszcze, choć system farm doszedł tam do wysokiego stopnia rozwoju. Renta, będąc zwykłą nietylko płacy robotnika ale i zysku przemysłowca, nie mogła by istnieć w kraju takim jak Irlandya, gdzie dochód właściciela powstaje z nieopłaconej pracy robotnika.

Zatem renta, daleka od zamienienia farmera w prostego robotnika i od „wydzierania poddanemu zwyżki produktu, której on nie może nie uważać za swoją,“ stawia w obec właściciela ziemskiego zamiast niewolnika, poddanego, chłopca pańszczyźnianego, najemnika — kapitalistę przemysłowego. Własność ziemska, raz doszedłszy do fazy rentowej, może dawać jako dochód, jak i dawniej, tylko przewyżkę ponad ogólne koszty produkcji, z tą jednak różnicą, że teraz ogólne koszty produkcji stanowi nie tylko płaca robocza, ale i zysk kapitalisty. A więc to właścicielowi ziemskiemu wydarła renta część jego dochodu. To też upłynął długi przeciąg czasu, nim feudalnego farmera zastąpił przemysłowy kapitalista.

W Niemczech, na przykład, ta przemiana poczęła się dopiero w ostatnich trzydziestu latach osiemnastego wieku. Tylko w Anglii ten stosunek między kapitalistą przemysłowcem a właścicielem ziemskim doszedł do zupełnego swego rozwoju.

Dopóki była sprawa z poddanymi p. Proudhona, dopóty nie było renty. Odkąd powstaje renta, poddany przestaje być dzierżawcą, a staje się robotnikiem, poddanym dzierżawcy. Zniżenie robotnika do roli prostego wyrobnika, parobka, najemnika, pracującego dla kapitalisty przemysłowca; interwencja kapitalisty przemysłowca, eksploatującego ziemię jak każdą inną fabrykę; przemiana właściciela ziemskiego z małego władcy w prostego przekupnia: oto różne stosunki wyrażone przez rentę.

Renta, tak jak ją pojmuje Rikardo, jest to patryjarchalne rolnictwo przekształcone w przemysł handlowy, przemysłowy kapitał zastosowany do ziemi, burżuazja miast przeniesiona na wieś. Renta zamiast przywiązywać człowieka do natury połączyła eksploatację ziemi z konkurencją. Własność ziemska, raz ustanowiona jako renta, jest rezultatem konkurencji „ponieważ odtąd zależy od ceny rynkowej rolnych produktów. Jako renta własność ziemska staje się własnością ruchomą“ i przedmiotem handlu. Renta staje się możliwą dopiero od chwili, kiedy rozwój przemysłu miejskiego i powstała z niego organizacja społeczna zmuszają właściciela ziemskiego zważać tylko na zysk rynkowy, na pieniężny stosunek swych rolnych produktów i widzieć w swej własności ziemskiej tylko maszynę do wybijania pieniędzy. Renta tak doskonale odłączyła właściciela ziemskiego od gruntu, od przyrody, że nie ma nawet potrzeby znać swych majątków, jak to widzimy w Anglii. Co

się tyczy farmera, kapitalisty i robotnika wiejskiego, to nie są oni więcej przywiązani do ziemi, którą uprawiają, jak przedsiębiorca i robotnik fabryczny do bawełny lub wełny, którą przerabiają; odczuwają przywiązanie tylko do ceny swego wytworu, do pieniężnego produktu. Ztąd pochodzą jeremiady reakcyjnych partyj, które wszystkimi siłami pragną powrotu feudalizmu, dobrych patryjarchalnych czasów, prostoty obyczajów i wielkich cnót naszych przodków. Poddanie ziemi pod prawa, które rządzią innemi gałęziami przemysłu, jest i będzie zawsze przedmiotem wielkich żalów ze strony interesowanych. Można więc powiedzieć, że renta stała się tym motorem, który wplótł idylę w ruch historyczny.

Rikardo, przyjąwszy burżuazyjną produkcję jako konieczną dla ustanowienia renty, tem nie mniej zastosowuje ją do własności ziemskiej wszystkich epok i wszystkich krajów. Są to błędy wspólne wszystkim ekonomistom, którzy przedstawiają stosunki produkcji burżuazyjnej jako wieczne kategorie.

Od celu opatrnościowego renty, którym jest dla p. Proudhona, przekształcenie się poddanego w odpowiedzialnego robotnika, przechodzi on do równającego i sprawiedliwego podziału renty.

Renta taka, jakąśmy ją widzieli, powstaje w skutek jednakowej ceny produktów z gruntów nierównej urodzajności, w ten sposób, że jeden hektolitr zboża, kosztujący 10 fr., sprzedaje się za 20 fr., jeżeli kosztta produkcji podnoszą się dla gruntu niższego gatunku do 20 fr.

O ile potrzeba zmusza kupować wszystkie produkty rolne przemiesione na rynek, o tyle cena rynkowa określa się według najdroższych kosztów produkcji. To zrównanie ceny, wypływające z konkurencji, a nie z różnicy urodzajności gruntów, ustanawia dla właściciela najlepszego gruntu rentę 10 fr. od każdego hektolitra, jaki sprzedaje jego farmer.

Przypuśćmy na chwilę, że cena zboża określa się przez czas roboczy potrzebny do wyprodukowania, a natychmiast hektolitr zboża otrzymany z najlepszego gruntu sprzedawać się będzie po 10 fr., podczas gdy hektolitr zboża otrzymanego z gorszego gruntu sprzedawać się będzie po 20 fr. Przyjawszy to, będziemy mieli średnią cenę rynkową 15 fr., podczas kiedy na zasadzie prawa konkurencji ustanawia się cena 20 fr.

Gdyby średnia cena była 15 fr., nie miałby miejsca żaden podział ani równający, ani inny, ponieważ nie było by renty. Renta istnieje tylko przez to, że hektolitr zboża, który kosztuje wytworę 10 fr. sprzedaje się za 20 fr. P. Proudhon przypuszcza równość ceny rynkowej przy nierównych kosztach produkcji, aby dojść do równającego podziału produktu nierówności.

Pojmujemy dlaczego tacy ekonomiści jak Mill, Cherbulliez, Hil-ditch i inni żądali, aby renta pozostawiona była państwu w celu zniesienia podatków. Było to jawne wyrażenie nienawiści, jaką czuje kapitalista przemysłowiec do właściciela ziemskiego, który mu się wydaje niepożytecznym, zbytecznym w całości burżuazyjnej produkcji.

Ale kazać sobie płacić za hektolitr zboża po 20 fr., aby potem urządzić ogólne dzielenie 10 fr., wziętych z nadto od spożywców,

to rzeczywiście wystarcza, aby geniusz społeczny poszedł melancholijnie zygzakiem i rozbił sobie głowę o jaki załom.

Renta, pod piórem p. Proudhona, staje się „olbrzymim kadastrem sporządzanym przez właścicieli i farmerów z przeciwnych punktów widzenia... w celu wyższym, a którego ostatecznym rezultatem powinno być zrównanie władania ziemią między uprawiającymi ziemią a przemysłowcami.“

Aby jakkolwiek kadaster utworzony przez rentę, miał wartość praktyczną, trzeba do tego warunków dzisiejszego społeczeństwa.

Wykazaliśmy, że czynsz dzierżawny, który farmer płaci właścicielowi, wyraża dość ściśle rentę tylko w krajach najbardziej posuniętych w przemyśle i handlu. Przytem ten czynsz zawiera w sobie często jeszcze i procent, płacony właścicielowi od kapitału włożonego w ziemię. Położenie gruntu, sąsiedztwo miast i wiele innych okoliczności wpływają na czynsz dzierżawny i zmieniają rentę. Te powody wystarczyłyby, aby dowieść niedokładności kadastru ugruntowanego na rencie.

Z drugiej strony renta nie mogłaby być stałą wskazówką stopnia wydajności gruntu, ponieważ nowoczesne zastosowanie chemii coraz to zmienia naturę gruntu, a wiadomości geologiczne zaczynają właśnie w naszych czasach zmieniać dawne ocenianie względnej urodzajności; dopiero od mniej więcej dwudziestu lat zaczęto uprawiać rozległe grunty wschodnich hrabstw Anglii, grunty dotąd nieuprawne z powodu nieumiejętności ocenienia stosunku czarnoziemu i składu warstwy spodniej.

Tak więc historia nie tylko że nie daje nam w rencie gotowego już kadastru, lecz zmienia całkowicie i wywraca kadastry już utworzone.

Nakoniec wydajność nie jest przymiotem tak naturalnym, jakby się to zdawać mogło; ona się wiąże ściśle z danymi stosunkami społecznymi. Pewna ziemia może być bardzo wydajna dla zboża, a jednakże cena rynkowa może zmusić rolnika do przekształcenia jej w łąkę sztuczną i uczynienia jej przez to samo nie wydajną.

P. Proudhon wymyślił swój kadaster, który nie wart nawet zwykłego kadastru, jedynie aby ucieleśnić równający, opatrnościowy cel renty.

„Renta — ciągnie dalej p. Proudhon — jest procentem od kapitału, który nigdy nie ginie t. j. od ziemi. A ponieważ ten kapitał nie ulega powiększeniu co się tyczy materji, a tylko nieograniczonemu ulepszeniu się co do uprawy, zdarza się więc, że podczas kiedy procent czyli zysk z wypożyczania (mutuum) skutkiem obfitości kapitałów dąży do ciągłego zmniejszania się, renta dąży do ciągłego wzrostu skutkiem udoskonalenia przemysłu, które sprowadza ulepszenie uprawy ziemi... Taką jest renta w swojej istocie.“ (T. II, str. 265).

Tym razem widzi p. Proudhon w rencie wszystkie własności procentu, tylko że ten procent pochodzi z kapitału specjalnej natury. Ten kapitał to ziemia, kapitał wieczny „który nie podlega powiększeniu co do materji, ale tylko bezgranicznemu ulepszeniu co do uprawy.“ W rozwoju cywilizacji, procent ciągle dąży do spadania, podczas gdy renta ciągle dąży do podniesienia się. Pro-

cent spada z powodu obfitości kapitałów; renta się podnosi z nowymi ulepszeniami w przemyśle, które za następstwo mają coraz racjonalniejszą uprawę ziemi.

Takim jest w swej istocie mniemanie p. Proudhona.

Zbadajmy najpierw do jakiego stopnia jest słusznem twierdzenie, że renta jest procentem od kapitału.

Dla właściciela ziemskiego renta przedstawia procent od kapitału, jaki dał za ziemię, albo jakiby wziął przy jej sprzedaży. Ale kupując lub sprzedając ziemię sprzedając lub kupując tylko rentę. Cena, jaką naznaczył, aby nabyć rentę, określa się ogólną stopą procentu i nie ma nic do czynienia z naturą samej renty. Procent od kapitałów umieszczonych w gruntach jest w ogóle niższym niż procent od kapitałów umieszczonych w przemyśle lub handlu. Zatem dla tego, kto procentu, jaki daje ziemia właścicielowi, nie odróżnia od renty, procent od kapitału ulokowanego w ziemi zmniejsza się jeszcze więcej niż procent od innych kapitałów. Ale tu nie chodzi o cenę kupna lub sprzedaży renty, nie o wartość rynkową renty, rentę skapitalizowaną, chodzi tu o samą rentę.

Czynsz dzierżawny, jaki płaci farmer, może zawierać w sobie oprócz właściwej renty, procent od kapitału włożonego w ziemię. Wtedy właściciel otrzymuje tę część czynszu nie jako właściciel, ale jako kapitalista; nie jest to jednakże renta właściwa, o jakiej mamy mówić.

Dopóki ziemia nie jest eksploatowana jako środek produkcji, dopóty nie jest kapitałem. Ziemia-kapitał może być powiększana, jak wszystkie inne narzędzia produkcji. Nie dodaje się do niej materji — używając języka p. Proudhona — ale pomaża się ziemię, które służą jako narzędzia produkcji. Trzeba tylko w grunty już przekształcone w środek produkcji, robić nowe wkłady, a powiększy się ziemia-kapitał, choć nie dodamy materji t. j. przestrzeni ziemi. Ziemia materja p. Proudhona, jest to ziemia bez granic. Co do wiecznej trwałości, jaką on przypisuje ziemi, to chcielibyśmy, aby miała ona tę właściwość jako materja. Ale ziemia-kapitał nie jest więcej wieczną, niż każdy inny kapitał.

Złoto i srebro, które dają procent, są tyleż trwałe i wieczne co ziemia. Jeśli cena złota i srebra spada, podczas kiedy cena ziemi się podnosi, nie pochodzi to bez wątpienia z jej mniej lub więcej wiecznej natury.

Ziemia-kapitał jest kapitałem stałym, ale kapitał stały zużywa się tak dobrze jak kapitały obrotowe. Ulepszenia zastosowane do rolnictwa potrzebują reprodukcji i utrzymania; trwają tylko pewien czas i to jest wspólne wszystkim innym ulepszeniom, jakimi się posługujemy przy przemianie materji w środek produkcji. Gdyby ziemia-kapitał była wieczną, pewne grunty przedstawiałyby inny widok niż mają dzisiaj, i zobaczylibyśmy Rzymską Kampanję, Sycylię, Palestynę w całym blasku ich dawnego kwitnącego stanu.

Bywają wypadki, kiedy ziemia-kapitał mogłaby zniknąć nawet wtedy, kiedy ulepszenia gruntu pozostają.

Najpierw zdarza się to za każdym razem, kiedy właściwa renta ginie przez konkurencję nowych urodzajniejszych gruntów; nastę-

pnie ulepszenia, które mogły mieć wartość w pewnej epoce, tracą ją z chwilą, kiedy się rozpowszechniły przez rozwój agronomii.

Przedstawicielem ziemi-kapitału nie jest właściciel ziemski, ale farmer. Dochód, który ziemia daje jako kapitał, jest to procent i zysk przemysłowy a nie renta. Są ziemie, które przynoszą procent i zysk, a które nie przynoszą wcale renty.

W rezultacie ziemia, o tyle o ile daje procent, jest ziemią-kapitałem, a jako ziemia-kapitał nie daje renty, nie ustanawia własności gruntowej. Renta wynika ze stosunków społecznych przy jakich odbywa się eksploatacja ziemi. Nie może być ona rezultatem mniej lub więcej stałej, mniej lub więcej trwałej natury ziemi. Renta pochodzi ze stosunków społecznych a nie z gruntu.

Według p. Proudhona „ulepszenie uprawy ziemi” — skutek „udoskonalenia przemysłu” jest przyczyną ciągłego wzrostu renty. Przeciwnie to ulepszenie sprowadza jej peryjodyczne spadanie.

Na czym zależy w ogóle każde ulepszenie, bądź w rolnictwie, bądź w przemyśle? Jest to produkować więcej przy tej samej ilości pracy, jest to produkować tyleż samo albo nawet więcej przy mniejszej ilości pracy. Dzięki ulepszeniom farmer nie potrzebuje używać większej ilości pracy do stosunkowo mniejszej ilości produktu. Nie potrzebuje on uciekać się do gruntów niższego gatunku, a wkłady robione stopniowo w tę ziemię zostają jednakowo produkcyjne. Zatem te ulepszenia zamiast przyczyniać się do ciągłego podnoszenia się renty — jak to utrzymuje p. Proudhon — przeciwnie są czasowymi przeszkodami do jej podniesienia.

Angielscy właściciele ziemscy siedemnastego wieku tak dobrze rozumeli tę prawdę, że sprzeciwiali się postępowi rolnictwa, z obawy zmniejszenia swych dochodów. (Patrz Petty, angielski ekonomista z czasów Karola II.)

V. BEZROBOCIA I KOALICYJE ROBOTNICZE

„Wszelki wzrost płacy roboczej nie może mieć innego skutku jak wzrost ceny zboża, wina i t. d.; jest to całkowita cena każdej rzeczy. Idźmy jeszcze dalej; płaca jest to stosunek elementów, składających bogactwo i codziennie spotrzebowywanych reprodukcji — nie przez masy robotników. Otóż podwoić płacę robotnika, to znaczy dawać każdemu producentowi część większą od jego produktu, co jest sprzecznem; jeżeli podwyższenie ma miejsce tylko w małej części przemysłu, to wywoła ogólny zamęt w zamianie, jednym słowem drożyznę...”

„Utrzymuję, że jest niemożliwem, aby bezrobocia z następującem, po nich powiększeniem płacy zarobkowej, nie wywołały ogólnego podrożenia; to jest tak pewne, jak dwa razy czyni cztery.” (Proudhon T. I str. 110 i 111).

Przeczyśmy wszystkim tym zapewnieniom z wyjątkiem tego, że dwa razy dwa czyni cztery.

Najpierw nie ma ogólnego podrożenia. Jeżeli cena wszystkiego zdwaja się jednocześnie z płacą robotnika, to nie ma zmiany cen, jest tylko zmiana wyrażen.

Następnie podniesienie ogólne płacy roboczej nie może sprowadzić podrożenia mniej lub więcej ogólnego towarów. Istotnie, jeśli by wszystkie gałęzie przemysłu używały tej samej liczby robotników, w stosunku do kapitału stałego lub narzędzi, jakimi się posługują, podniesienie ogólne płacy sprowadziło by ogólny upadek zysków i cena bieżąca towarów nie uległa by żadnej zmianie.

Ale ponieważ stosunek pracy ręcznej do stałego kapitału nie jest jednakowy w rozmaitych gałęziach przemysłu, wszystkie gałęzie przemysłu, które używają stosunkowo większej masy stałego kapitału a mniej robotników, będą zmuszone wcześniej lub później zmniejszyć cenę swoich towarów. W przeciwnym wypadku kiedy cena ich towarów się zmniejsza, zysk ich podniesie się ponad przeciętną skalę zysków. Maszyny nie pobierają płacy. Podniesienie ogólne zatem płacy mniej dotknie te gałęzie przemysłu, które używają stosunkowo do innych więcej maszyn jak robotników. Ale ponieważ konkurencja dąży wciąż do zrównania zysków, zatem te zyski, które wnoszą się ponad zwykłą skalę, mogą być tylko przejściowe. Mimo więc niejakich wahań, ogólne podniesienie płacy sprowadzi zamiast ogólnego podrożenia — jak to utrzymuje p. Proudhon — częściowe niżenie, t. j. niżenie ceny bieżącej towarów, które się fabrykują głównie za pomocą maszyn.

Podnoszenie się i spadanie zysku i płacy roboczej wyraża tylko stosunek, w jakim kapitaliści i robotnicy uczestniczą w produkcie dnia roboczego, nie wpływając po większej części na cenę produktu. Ale „że bezrobocia z następującem po nich powiększaniem się płacy dążą do ogólnego podrożenia, do drożyzny nawet” są to idee, które mogą się tylko wyładować w mózgu zapożnowanego poety.

W Anglii bezrobocia były zawsze powodem wynalezienia i zastosowania kilku nowych maszyn. Maszyny, można powiedzieć, były bronią, jakiej używali kapitaliści, aby przytłumić bunt fachowej pracy. Self-acting mule, największy wynalazek nowożytnego przemysłu, usunął z pola walki zbuntowanych przedzarzy. Gdyby koalicje i bezrobocia miały tylko ten skutek, że pociągały za sobą wysiłki geniusza mechanicznego, już wywierały by one ogromny wpływ na rozwój przemysłu.

„Czytam — ciągnie dalej p. Proudhon, w artykule ogłoszonym przez p. Leona Faucher we Wrześniu 1845 — że od pewnego czasu robotnicy angielscy odwykli od koalicji, co jest bez wątpienia postępowem, którego im można powinszować; to podniesienie moralności robotników pochodzi głównie z ich ekonomicznego wykształcenia. Wszak to nie od przemysłowców — wołał na meetyngu w Boltonie jeden z przedzarzy — zależy płaca robocza. W czasach zastójni majstro- wie dzierżą bicz, w jaki ich uzbraja konieczność i chcą nie chcą muszą bić. Zasada regulująca jest stosunek podaży i popytu; a majstrowie nie mają tej władzy. Nareszcie — wykrzykuje p. Proudhon — oto są dobrze wytresowani robotnicy, robotnicy wzorowi, i t. d., i t. d. Tej nędzy brakowało jeszcze Anglii: ona nie przejdzie przez ciśnień. (T. I, str. 261 i 262).

Ze wszystkich miast Anglii w Boltonie radykalizm jest najwięcej rozwinięty. Robotnicy Boltonu są znani jako najzawziętsi rewolucyjniści. Podczas silnej agitacji, jaka miała miejsce w Anglii przeciw prawom zbożowym, fabrykanci angielscy nie czuli się dość silnymi, by sami mogli podołać walce z właścicielami ziemskimi, nie wysuwając naprzód robotników. Ale ponieważ interesy robotników i fabrykantów nie były mniej sprzeczne jak interesy fabrykantów i właścicieli ziemskich, było zatem naturalnem, że fabrykanci musieli usuwać się na drugi plan na meetyngach robotniczych. Cóż zrobili fabrykanci? Aby ocalić pozory, uorganizowali meetyngi, złożone po większej części z majstrów, małej liczby robotników, im oddanych i z właściwych przyjaćli handlu. Kiedy następnie prawdziwi robotnicy próbowali w Boltonie i w Manchesterze brać w nich udział, aby zaprotestować przeciwko tym sztucznym demonstracjom, zabroniono im wstępu, mówiąc, że to był ticket-meeting. Pod tą nazwą rozumieją się meetyngi, na które mają prawo wejścia tylko osoby opatrzone w karty wejścia. Jadałże ogłoszenia, rozlepione na murach, oznajmiały o meetyngach publicznych. Ile razy odbywały się te meetyngi dzienniki fabrykantów dawały pomocy, szczegółowe sprawozdania z wygłaszanych tam mów. Rozumie się, że były to mowy samych majstrów. Dzienniki londyńskie powtarzały je dosłownie. P. Proudhon ma nieszczęście brać majstrów za zwykłych robotników i zabrania im surowo przekroczyć cieśninę.

Jeżeli w 1844 i 1845 r. bezrobocie mniej uderzały w oczy jak przedtem, to dlatego że 1844 i 1845 rok były pierwszymi dwoma latami rozkwitu angielskiego przemysłu od 1837 roku. Tem nie mniej żaden z rzemieślniczych związków (trades-unions) nie był rozwiązany.

Posłuchajmy teraz majstrów z Boltonu. Według nich fabrykanci nie są panami płacy robotniczej, ponieważ nie są panami ceny produktu; a nie są panami ceny produktu, ponieważ nie są panami rynku wszechświata. Z tej przyczyny dali do zrozumienia, że nie trzeba robić koalicji, aby wyrzucić u fabrykantów podniesienie płacy roboczej. P. Proudhon przeciwko zakazuje im koalicji z obawy, aby po koalicji nie nastąpiło podwyższenie płacy, które by znów pociągnęło za sobą ogólną drożyznę. Nie mamy potrzeby mówić że na jednym punkcie panuje serdeczna zgoda między majstrami a p. Proudhonem, a mianowicie, że podniesieniu płacy towarzyszy podniesienie ceny produktów.

Leż czy obawa drożyzny jast prawdziwą ppzyczyną urazy p. Proudhona? Nie. On się gniewa na majstrów Boltonu, ponieważ oni oznaczają wartość przez podaż i popyt i nie troszczą się wcale o wartość ukonstytuowaną, o wartość, która była w stanie ukonstytuowania, o ukonstytuowanie wartości, która zawiera w sobie ciągłą wymianę i wszystkie inne proporcjonalności stosunków i stosunki proporcjonalności ofiarowane przez Opatrzność.

„Bezrobocie robotników jest bezprawiem, ponieważ to nie tylko kodeks karny tak powiada, ale system ekonomiczny, konieczność ustanowionego porządku... Można to tolerować, żeby każdy robotnik miał wolną wolę rozporządzania swoją osobą i rękami, ale spo-

łeczństwo nie może pozwolić, aby robotnicy za pomocą koalicji gwałcili monopol.“ (T. I, str. 235 i 237).

P. Proudhon chce nam podać artykuł kodeksu karnego jako rezultat konieczny i ogólny stosunków burżuazyjnej produkcji.

W Anglii koalicje są dozwolone przez akt parlamentu i to właśnie system ekonomiczny zmusił parlament do wydania tego pozwolenia jako prawo. W 1825 roku, kiedy za ministerstwa Huskisson parlament był zmuszony zmienić prawodawstwo, aby je lepiej pogodzić ze stanem rzeczy, wynikającym z wolnej konkurencji, trzeba było koniecznie znieść wszystkie prawa, które zabraniały robotnikom koalicji. Im więcej nowożytny przemysł i konkurencja się rozwijają, tem więcej jest żywiołów wywołujących i wspierających koalicje, a skoro tylko koalicje stają się faktem ekonomicznym, zyskującym z dnia na dzień na znaczeniu, muszą stać się faktem legalnym.

Zatem artykuł kodeksu karnego dowodzi co najwyżej, że przemysł nowożytny i konkurencja nie były należycie rozwinięte za czasów Zgromadzenia Konstytucyjnego i za czasów Cesarstwa.

Ekonomiści i socjaliści*) zgadzają się ze sobą na jednym punkcie: t. j. co do potępienia koalicji. Tylko inaczej motywują akt potępienia.

Ekonomiści mówią do robotników: Nie róbcie koalicji. Robiąc koalicje, tamujecie prawidłowy rozwój przemysłu, przeszkadzacie fabrykantom wykonywać obstarunki, stawiacie przeszkody handlowi i przyspieszacie wprowadzenie maszyn, które robią nieużyteczną część waszej pracy i zmuszają was przyjąć jeszcze niższą płacę. Zresztą daremne wasze zachody. Wasza płaca będzie zawsze oznaczona przez stosunek rąk żądanych i zaoferowanych, i smieszem i niebezpiecznem jest usiłowanie buntować się przeciw wiecznym prawom ekonomii politycznej.

Socjaliści mówią do robotników: Nie zawiązujecie koalicji, bo co ostatecznie na tem wygracie? Podniesienie płacy? Ekonomiści wam dowiodą z całą dokładnością, że te kilka groszy, które moglibyście zyskać w razie powodzenia na jakiś czas, wywołują następnie zmniejszenie na zawsze. Zręczni rachmistrze dowiodą wam, że potrzeba byłoby lat całych, aby powiększenie płacy wynagrodziło kosztą poniesione na organizację i utrzymanie koalicji. A my jako socjaliści, my wam powiemy, że pomimo tej kwestyi pieniężnej zostaniecie się tak samo robotnikami, a wasi przełożeni zawsze przełożonymi jak przedtem. Zatem precz z koalicjami, precz z polityką. bo rządzić koalicje, czyż nie jest to politykować?

*) Socjaliści ówczesni i znaczy: Fourierzyści we Francji i Oweniści w Anglii.

Ekonomiści chcą, aby robotnicy pogodzili się z takim społeczeństwem, jakie ono jest w obecnym czasie, i jakie było nakreślone i zatwierdzone w ich podręcznikach.

Socjaliści radzą pozostawić w spokoju stare społeczeństwo, aby lepiej mózgi wejść do nowego społeczeństwa, jakie oni im przygotowali z taką troskliwością.

Pomimo jednych i drugich, mimo podręczników i utopij, koalicje nie przestawały ani na chwilę rozwijać się i rosnać z rozwojem i wzrostem nowożytnego przemysłu. Obecnie stopień do jakiego doszła koalicja w danym kraju oznacza dokładnie stopień, jaki on zajmuje w hierarchii rynku wszechświata. Anglia, gdzie przemysł doszedł do najwyższego stopnia rozwoju, posiada najobszerniejsze i najlepiej zorganizowane koalicje.

W Anglii nie zatrzymano się na koalicjach częściowych, które miały na celu tylko czasowe bezrobocie i które wraz z nimi zniknęły. Utworzono koalicje stałe, trades-unions, które służą robotnikom za szanse obronne w ich walkach z przedsiębiorcami. W obecnym czasie wszystkie te trades-unions'y miejscowe złączyły się w jeden „National Association of United Trades“, którego Komitet centralny zasiada w Londynie i który liczy już 80,000 członków.

Tworzenie tych bezrobóc, koalicje trades-unions'ów postępują jednocześnie z politycznymi walkami robotników, którzy tworzą teraz wielką partję polityczną, pod nazwaniem Chartistów.

Zwykle pod formą koalicji mają miejsce pierwsze próby łączenia się robotników między sobą.

Wielki przemysł zgromadza w jednym miejscu masę obcych sobie ludzi. Konkurencja rozdziela ich ze względu na ich interesy. Ale utrzymanie płacy, ten wspólny interes, jaki mają względem swego przełożonego, łączy ich w jednej myśli oporu, w kalicje. Zatem koalicja ma zawsze podwójny cel, a mianowicie zaniechać konkurencji pomiędzy sobą, aby mózgi przeciwstawić wspólną konkurencję kapitaliście. Jeżeli pierwszym celem operu było utrzymanie płacy, to w miarę tego, jak kapitaliści w swoją kolej łączyli się w jednej myśli ucisku, koalicje z początku odosobnione, formowały się potem w grupy; w obec zawsze złączonego kapitału, utrzymanie zjednoczenia staje się dla nich potrzebniejszym niż utrzymaniem płacy. To jest tak prawdziwe, że angielscy ekonomiści są całkiem zdziwieni, widząc jak robotnicy poświęcają znaczną część swej płacy na korzyść asocjacji, które w oczach tych ekonomistów były zakładane tylko do bronięcia płacy robotniczej. W tej walce — prawdziwej wojnie domowej — łączą się i rozwijają wszystkie żywioły niezbędne do przyszłej walki. Raz doszedłszy do tego punktu asocjacja przybiera charakter polityczny.

Warunki ekonomiczne zamieniły najpierw masy ludności w robotników. Panowanie kapitału stworzyło dla tych mas wspólne warunki bytu, wspólne interesy. Zatem te masy stanowią już klasę w obec kapitału, ale nieświadomą jeszcze samej siebie. W walce której kilka faz zaznaczyliśmy powyżej, masy się łączą i tworzą klasę świadomą siebie. Interesa, jakich bronią, stają się interesami klasy. Ale walka klasy z klasą jest walką polityczną:

W burżuazji rozróżniamy dwie fazy: fazę podczas której konstituowała się ona w klasę pod panowaniem feudalizmu i monarchii absolutnej, i fazę kiedy już ukonstituowana w klasę obaliła feudalizm i monarchję, aby ze społeczeństwa dawnego utworzyć społeczeństwo burżuazyjne. Pierwsza z tych faz była dłuższa i wymagała największych wysiłków. Rozpoczęła się także częściowymi koalicjami przeciw panom feudalnym.

Robiono wiele poszukiwań, aby skreślić rozmaite fazy historyczne, przez jakie przechodziła burżuazja, od związków miejskich zaczawszy a skończywszy na ustaleniu jej jako klasy.

Ale, kiedy chodzi o zdanie sobie dokładnie sprawy z bezrobóc, koalicji i innych form, w jakich proletaryjat przejawia przed naszem oczyma organizowanie się swoje jako klasy, jednych opłonywa strach prawdziwy, drudzy lokują pogardę transcendentalną.

Klasa uciskana jest warunkiem bytu każdego społeczeństwa, opartego na antagonizmie klasowym. Wyzwolenie uciskanej klasy pociąga koniecznie za sobą nowy ustrój społeczny. Aby klasa uciskana mogła się wyzwolić trzeba, by zdobyte siły produkcyjne i istniejące stosunki społeczne nie mogły nadal egzystować obok siebie. Ze wszystkich narzędzi produkcji, największą siłą produkcyjną jest sama rewolucyjna klasa. Organizacja żywiołów rewolucyjnych jako klasy przypuszcza istnienie wszystkich sił produkcyjnych, jakie mogły się zrodzić w łonie społeczeństwa dawnego.

Czy to znaczy, że po upadku dawnego społeczeństwa nastąpi panowanie nowej klasy wyrażające się w nowej politycznej władzy? Nie.

Warunkiem wyzwolenia klasy pracującej jest zniesienie wszelkich klas, tak jak warunkiem oswobodzenia stanu trzeciego, stanu burżuazyjnego, było zniesienie wszystkich stanów*).

Klasa pracująca podstawi w ciągu swego rozwoju na miejsce dawnego społeczeństwa mieszczańskiego asocjację, która zniesie klasy i ich antagonizmy, i nie będzie więcej władzy politycznej, ponieważ władza polityczna jest właśnie wyrazem oficjalnym antagonizmu w społeczeństwie mieszczańskim.

Tymczasem antagonizm między proletaryjatem i burżuazją jest walką klas, walką, która podniesiona do najwyższego swego wyra-

[*) Wyraz stan użyty tu w historycznym znaczeniu stanu feudalnego państwa, stanu z oznaczonymi i ograniczonymi przywilejami. Rewolucja burżuazyjna zniósła stany wraz z ich przywilejami. Burżuazyjne społeczeństwo zna tylko jeszcze klasy. Zatem jest się w sprzeczności z historją, oznaczając proletaryjat jako „stan czwarty“.

(Przyp. Fr. Engelsa do niem. przekł.)

zu, stanie się całkowitą rewolucją. Czyż trzeba się zresztą dziwić, że społeczeństwo oparte na sprzeczności interesów klasowych, docho-
dzi do brutalnej sprzeczności, do fizycznej walki, jako ostatecznego
rozwiązania?

Nie mówcie, że ruch społeczny wyklucza ruch polityczny. Nie
ma ruchu politycznego, który by nie był zarazem społecznym.

Tylko przy takim stanie rzeczy, gdzie nie będzie więcej klas i
antagonizmu klasowego, ewolucje społeczne przestaną być rewolu-
cjami politycznymi. Dotąd w przeddzień każdego ogólnego prze-
tworzenia społeczeństwa, ostatniem słowem nauki społecznej będzie
zawsze :

„WALKA ALBO ŚMIERĆ; KRWAWA WALKA ALBO NICOŚĆ. TAK
NIEUBLAGANIE POSTAWIONĄ JEST KWESTYJA.“

George Sand.

MARX CONTRA MICHAJŁOWSKIJ

Autor artykułu „Karol Marx przed sądem p. Żukowskiego“ jest
jak widać, człowiekiem dowcipnym; gdyby więc był znalazł w moim
traktacie „o pierwotnem nagromadzeniu bogactw“ choć jeden
ustęp na poparcie swych wniosków, byłby go zacytował. W braku
takiego ustępu czuje się on zmuszonym zaczerpnąć z kądziad, mia-
nowicie ze zwrotu polemicznego, wymierzonego przeciw belletrystyce
rossyjskiemu, a pomieszczonego w dodatku do pierwszego niemiec-
kiego wydania „Kapitału“.

Cóż ja zarzucam rossyjskiemu pisarzowi? Oto, że odkrył komunizm
nie w Rosyi, lecz w dziele Haxthausena, pruskiego radcy stanu i że
on w gminie rossyjskiej widzi argument, mający dowieść, iż stara
zgniła Europa powinna być odrodzoną przez zwycięstwo pansla-
wizmu.

Zdanie moje o wzmiankowanym publicyście może być słusznem
lub mylnem, w każdym jednak razie nie może ono służyć za klucz
do moich poglądów na „usiłowania rossyjan w poszukiwaniu dla
swej ojczyzny drogi rozwoju, różnej od tej, jaką szła zachodnia
Europa etc“.

W N-rach 5 — 6 — 7 r. II Walki Klas pomieściliśmy poniższy, do
owego czasu nigdzie nie drukowany artykuł Marxa, przeznaczony pier-
wotnie przez autora dla miesięcznika „Otieczestwiennyja Zapiski“, a
będący odpowiedzią na artykuł Michajłowskiego pod tytułem : „Karol
Marx, sądzony przez p. Żukowskiego“, artykuł wydrukowany w wyżej
wymienionem miesięczniku (patrz „Dzieła Michajłowskiego“, T. II).
Sąd zaś p. Żukowskiego nad Marxem odbył się w „Wiestniku Je-
wropy (Wrzesień 1877 r.) pod napisem „Karol Marx i jego księga o
kapitale“.

Wreszcie zanotujemy, że publicysta, o którym mówi Marx, a które-
go chce obronić Michajłowski, jest to Herzen. Uwaga zaś Marxa, na
którą się powołuje Michajłowski, a która znajduje się w „Kapitale“,
brzmi jak następuje : Jeżeli na kontynencie europejskim wpływ produ-

W przypisku do drugiego wydania niemieckiego „Kapitału“ mówi o wielkim uczonym i krytyku rosyjskim z całym uznaniem, na które zasługuje. Uczony, o którym mowa, w szeregu wybitnych artykułów rozbił kwestyję, czy Rosyja powinna zacząć od zniesienia gminy wiejskiej (obszczyzny), jak tego chcą ekonomiści liberalni, i przejść do porządków kapitalistycznych, czy też, przeciwnie mogłaby ona, nie przechodząc przez tortury tego ustroju, przyswoić sobie jednak wszystkie jego korzyści przez rozwój swych własnych danych historycznych. Autor nasz oświadcza się za tem ostatniem rozwiązaniem.

I mój szanowny krytyk byłby o tyle uprawnionym do wnoszenia z poważania mego dla wielkiego uczonego i krytyka rosyjskiego, że podzielał jego zapatrywania na tę kwestyję, jak i do wywnioskowania z mej polemiki przeciw belletrystyce i panslawiście rosyjskiemu, że te poglądy odrzucam.

Ostatecznie, ponieważ nie lubię pozostawiać rzeczy domysłem, będę więc mówił bez ogródek.

By mógł sądzić z całą znajomością rzeczy o ekonomicznym rozwoju współczesnej Rosyi, nauczyłem się rosyjskiego języka i, następnie, studiowałem długie lata urzędowe oraz inne odnośnie do tej kwestyi publikacje. Oto rezultat do jakiego doszedłem: jeżeli Rosyja i nadal nie przestanie iść w kierunku, w którym od roku 1861 stale zmierza, to straci najpiękniejszą sposobność, jaką historyja kiedykolwiek dała jakimubądź narodowi, po to, aby ominąć wszystkie koleje kapitalistycznych porządków.

II

W rozdziale „o pierwotnem nagromadzeniu bogactw“ nie chodzi mi o nic więcej, jak tylko o wykazanie drogi, według której z ekonomicznego porządku feudalnego rozwinął się w zachodniej Europie ekonomiczny porządek kapitalistyczny. Jest tam więc wykryty ten ruch historycznych wydarzeń, który spowodował rozdział pomiędzy wytwórcą i środkami wytwarzania, przeobrażając pierwszego w najemnika (proletaryjusza, w nowoczesnem znaczeniu tego slo-

cy, podziału pracy, podporządkowania jej maszynom, niszczenia organizmów dzieci i kobiet, złego życia i t. d., będzie się nadal rozwijać, jak to miało miejsce dotychczas, wraz z konkurencją na polu narodowego liberalizmu, długów państwowych, prowadzenia wojen etc., to wszystko to może niezbędnem uczynić odrodzenie Europy za pomocą kłuta i gwałtownego zmieszania krwi europejskiej z krwią kałucką, czego tak usilnie i proroczo domaga się nawpół rosyjski a całkiem moskiewski Herzen. Zaznaczyć przytem trzeba, że belletrysta ten odkrył komunizm rosyjski nie w Rosyi, a tylko w dziele pruskiego radcy stanu Harksthausena.

Uczonym rosyjskim, któremu Marx oddaje cześć, jest znany Czer-

wa), a ostatnie w kapitał. W historyi tej każdy przewrót, który służy dźwigni rozwoju klasy kapitalistycznej, stanowi epokę. Podstawą wszakże tej ewolucyi jest wywłaszczenie rolników. Pod koniec wzmiankowanego rozdziału mówię o historycznej tendencji kapitalistycznego nagromadzania bogactw i utrzymuję, że ostatnim jego wyrazem jest przeobrażenie się własności kapitalistycznej we własność społeczną. Nie podaję ja tam żadnych dowodów na poparcie mego twierdzenia dla tej prostej przyczyny, że twierdzenie to jest tylko sumarycznem streszczeniem długich wywodów o produkcji kapitalistycznej.

Jakież tedy wnioski mógł wyciągnąć mój krytyk z tego mego szkicu historycznego w zastosowaniu do Rosyi?

Te tylko: jeżeli Rosyja dąży do przekształcenia się w kraj kapitalistyczny, na wzór narodów zachodniej Europy — a w ostatnich latach niemało zadała ona sobie trudu w tym kierunku — nie dokaże ona tego inaczej, jak tylko zamieniając znaczną część swych włóścian w proletaryjuszów; po czem, sprowadzona na łono ustroju kapitalistycznego, ulegnie ona nielitościwym jego prawom, narówni z innymi, zwykłymi narodami. Oto wszystko!

Ale to nie wystarcza memu krytykowi. Trzeba mu koniecznie przerobić mój szkic genezy kapitalizmu w zachodniej Europie, na ogólną historyczno-filozoficzną teoryję tego procesu, narzuconą fatalnie wszystkim narodom, bez względu na historyczne okoliczności, w jakich się one znajdują, a to dla dojścia na koniec do takiej formacyi ekonomicznej, która zapełnia, przy jak największej wyjątkowości wytwórczych sił pracy społecznej, najzupełniejszy rozwój sił przyrodzonych człowieka.

Lecz, z przeproszeniem mego krytyka, za wiele robi mi on honoru i wstydu zarazem. Weźmy przykład. W różnych miejscach „Kapitału“ robiłem aluzyję do losu, jaki spotkał plebejuszów starożytnego Rzymu. Ten sam ruch, który spowodował rozdział pomiędzy nimi a ich środkami produkcji i istnienia, spowodował nie tylko utworzenie się wielkich własności ziemskich, lecz także i wielkich kapitałów pieniężnych. I tak: pewnego pięknego dnia znaleźli się z jednej strony ludzie wolni, ogoloceni ze wszystkiego prócz swej siły roboczej, z drugiej wyzyskiwacze tejże siły roboczej, dzierżący nieprawie wszystkie nabyte bogactwa. Cóż ztąd wynikło? Proletaryjusze rzymscy stali się nie najemnikami, lecz „motlochom“ próżniaczyn, niżej upadłym, niż dawniej „poor whites“ (biedni-biali) południowych Stanów Zjednoczonych; obok zaś rozwinął się tam system produkcji nie kapitalistycznej, ale niewolniczej. A więc wypadki uderzająco analogiczne, lecz zaszły w dwóch różnych historycznych sferach, spowodowały rezultaty zupełnie różne. Badał je każda z tych ewolucyj z osobna i porównyując je ze sobą następnie, odszuka się łatwo klucz tych zjawisk; nie dopuści się tego jednak nigdy z *passer-pout* teoryi historyczno-filozoficznej, której największą zaletę stanowi to, że jest *supra-historyczną*.

SPIS RZECZY

	Str.
I. O WOLNYM HANDLU	3
II. PRACA NAJEMNA I KAPITAŁ	14
a) Co to jest płaca robocza i jak się ona określa?	15
b) Od czego zależy cena towaru?	19
III. PROUDHON	35
IV. NĘDZA FILOZOFII, ODPOWIEDŹ NA DZIEŁO PROUDHONA „FILOZOFIJA NĘDZY“	41
Przedmowa	41
Rozdział pierwszy. Odkrycie naukowe :	42
i. Wartość zamienna a użytkowa	42
ii. Wartość ukonstituowana czyli wartość syntetyczna	50
iii. Zastosowanie prawa proporcjonalności wartości	72
a) Pieniądze	—
b) Przewyżka pracy	78
Rozdział drugi. Metafizyka ekonomii politycznej :	87
i. Metoda	87
Pierwsza uwaga	88
Druga uwaga	90
Trzecia uwaga	91
Czwarta uwaga	—
Piąta uwaga	93
Szósta uwaga	94
Siódma i ostatnia uwaga	97
ii. Podział pracy i maszyny	101
iii. Konkurencja i monopol	111
iv. Własność ziemska albo renta	117
v. Bezrobocie i koalicje robotnicze	124
V. MARX CONTRA MICHAJŁOWSKIJ	130

SERJA DRUGA:

OŚMNASTY BRUMAIRE'A LUDWIKA BONAPARTE.

PRZEDMOWA

Mój zawcześnie zmarły przyjaciel, Józef Weydemeyer*), zamierzał wydawać w Nowym-Yorku z początkiem 1852 r. tygodnik polityczny. Zwrócił się on do mnie z propozycją, ażebym mu do owego tygodnika napisał historję bonapartystowskiego *coup d'état*. Nadsyłałem mu tedy co tygodnia aż do połowy lutego artykuły pod tytułem: „Ośmnasty Brumaire'a Ludwika Napcleona.“ Tymczasem pierwotny plan Weydemeyera spełził na niczem. Zamiast tygodnika założył on na wiosnę 1852 r. miesięcznik p. t.: *Die Revolution* i pomieścił moją pracę w drugim zeszycie tego pisma. Kilkaset egzemplarzy „Ośmnasty Brumaire'a“ dostało się wówczas do Niemiec, nie znachodziły się one jednak we właściwym handlu księgarskim. Pewien niemiecki księgarz, udający wielkiego radykała, któremu zaproponowałem rozprzedaż broszury, odpowiedział mi z prawdziwem moralnem prerażeniem na takie „przeciwnie duchowi czasu“ żądanie.

Niniejsze dziełko powstało tedy pod bezpośrednim wpływem wypadków; historyczny materyjał nie sięga poza miesiąc luty (1852). Pcnowna publikacyja podjęta została po części ze względu na popyt księgarski, częścią zaś wskutek żądań moich przyjaciół w Niemczech. Z dzieł, wydanych mniej więcej jednocześnie z moją pracą, a mających za temat ten sam przedmiot, dwa tylko godne są uwagi: *Napoléon le Petit* Wiktora Hugo i Prudhona: *Coup d'État*.

Wiktor Hugo w piśmie swem, zaprawionem goryczą i dowcipem, umie tylko lżyć odpowiedzialnego wydawcę zamachu stanu. Zdarzenie samo wydaje mu się być piorunem z jasnego nieba. Widzi on w jego przebiegu tylko akt przemocy pojedynczej jednostki. Nie spostrzega zaś wcale, że tem samem ową jednostkę wywyższa, zamiast ją poniżyć, przypisuje jej bowiem bezprzykładną w dziejach potęgę inicjatywy. Proudhon natomiast stara się przedstawić zamach stanu jako rezultat historycznego rozwoju. Ale historyczna kon-

*) Naczelnik wojenny okręgu St. Louis podczas amerykańskiej wojny domowej.

strukejja zamachu stanu zmienia się w jego przedstawieniu w historyczną obronę bohatera zamachu. W ten sposób popełnia on błąd wspólny naszym obiektywnym historykom. Co do mnie zaś, to w historii niniejszej wykazuję, jak dzięki t. zw. walce klas wytworzone zostały wśród społeczeństwa francuskiego odpowiednie okoliczności i stosunki, które pozwoliły osobistości miernej i dziwacznej odegrać rolę bohatera.

Przeróbka niniejszego dziełka pozbawiłaby je oryginalnego kolorytu. Poprzestałem więc tylko na poprawkach omyłek i wykreśleniu niezrozumiałych już dzisiaj alluzji. Zdanie, którem zakończyłem broszurę: „Lecz skoro płaszcz cesarski spadnie nareszcie na plecy Ludwika Bonaparte, wówczas spiżowy posąg Napoleona (I) runie z wysokości kolunmy Vendôme“, już się sprawdziło.

Pułkownik Charras w dziele swem o kampanii 1815 r. pierwszy rozpoczął atak na kult napoleoński. Od tego czasu — w ostatnich zwłaszcza latach — literatura francuska dobiła napoleońską legendę orężem historyi, krytyki, satyry i dowcipu. Poza granicami Francji mało zwracano uwagi na to gwałtowne zerwanie z dotychczasową wiarą narodu, na tę potężną duchową rewolucję, lecz mniej jeszcze rozumiano owe przejawy. Spodziewam się nareszcie, że moje pismo przyczyni się do usunięcia utartego dzisiaj — szczególnie w Niemczech — szkolnego frazesu o cezaryzmie. Powtarzając tę powierzchowną analogię historyczną, zapomina się o rzeczy głównej, o tem mianowicie, że w starym Rzymie walka klas toczyła się tylko w łonie uprzywilejowanej mniejszości, jako walka między wolnymi bogaczami i wolnym plebem; olbrzymia, produkcyjna masa ludności niewolniczej stanowiła tylko bierny piedestał, na którym poruszali się walczący. Przypominam tutaj pełne znaczenia słowa Sismondi'ego: „proletaryjat rzymski żył kosztem społeczeństwa, terazniejsze zaś społeczeństwo żyje kosztem proletaryjatu.“ Wobec zupełnie odmiennych materyjalnych, ekonomicznych warunków dzisiejszej walki klasowej a tej, która toczyła się niegdyś w starożytności, — polityczne wytwory rozmaitych epok historycznych mają chyba tyle tylko ze sobą wspólnego, co arcybiskup C. nterbury z arcykapłanem Samuelem.

Londyn, 23 lipca 1869.

KAROL MARX.

OSMNASTY BRUMAIRA LUDWIKA NAPOLEONA

I

Hegel w któremś z swoich dzieł powiada, że wszystkie wielkie historyczne zdarzenia i osobistości powtarzają się w dziejach dwukrotnie. Zapominał on dolać, że co pierwszym razem było tragedją, w powtórny występ na scenie zmienia się w farsę. Causidière zamiast Dantona, Louis Blanc w roli Robespierrea, Montagne 1848 — 51 roku w miejsce Montagne 1793 — 95 roku, siostreniec w roli wujaszka. Tego samego kroju karykaturę widzimy również w warunkach, wśród których zostało opublikowane drugie wydanie osmnastego Brumaire'a.

Ludzie sami robią swoją historję, lecz nie z wolnej woli i nie w wybranych przez siebie, ale w bezpośrednio przekazanych historjii okolicznościach. Tradycja zmarłych pokoleń cięży, jak zmora, na żyjących. W chwili, gdy ci ostatni zdają się być zajęci przewrotem otaczającego świata i własnego umysłu, stworzeniem czegoś niebywałego, w chwili tej właśnie — powtarzamy — w epoce rewolucyjnego kryzysu, przywołują oni trwożliwie na pomoc duchy przeszłości, zapożyczają u nich imiona, hasła bojowe, kostjomy, aby w tem starożytno - czcigodnem przebraniu, naśladować przodków, dać światu nowe historyczne widowisko. I tak: Luter włożył na siebie maskę apostoła Pawła, — rewolucja 1789 — 1814 drapała się na przemiań jako rzymska rzeczpospolita lub rzymskie cesarstwo, a rewolucja 1848 nie umiała się na nie lepszego zdobyć, jak na sparydyjowanie bądź roku 1789, bądź rewolucyjnych tradycji z lat 1793 — 95. W podobny sposób postępuje początkujący, który niedawno wyuczył się nowego języka. Tłumaczy on zawsze wyczone wyrazy na swojską mowę. Lecz właściwy duch nowego języka wówczas dopiero nie będzie mu obcym, skoro przyswoi go sobie o tyle, że, władając nim, zapomni na chwilę o mowie rodzinnej.

Przy rozpatrywaniu owego historycznego zaklinania duchów zmarłych, okazuje się natychmiast uderzająca różnica dziejowych epok. Kamil Desmoulin, Danton, Robespierre, St. Just, Napoleon — pojedynczy bohaterowie, partyje, jak również i masy ludu w okresie pierwszej francuskiej rewolucji w rzymskie przebrani kostjomy,

z rzymskimi frazesami na ustach spełnili zadanie współczesnej im 'oby, zadanie, polegające na rozkuciu z więzów i powołaniu do życia mieszczańskiego społeczeństwa. Jedni zgruchotali podwaliny feudalizmu, kosząc feudalne głowy, na starym gruncie wyrosło, drugi zaś stworzył na wewnątrz Francji warunki, które z kolei umożliwiły rozwój wolnej konkurencji, pozwoliły wyzyskać rozparcelowaną własność ziemską i użytkować produkcyjnie rozkielzaną siłę przemysłową. Zniósł on wszędzie poza granicami Francji feudalne instytucje, o ile tego wymagały interesy mieszczańskiego społeczeństwa i tym sposobem przyczynił się do wytworzenia zgodnych z tendencją owego czasu warunków na kontynencie europejskim. A skoro raz już ułożona została nowa społeczna formacja, wówczas znikły przedpotopowe kolosy, a wraz z nimi i Rzym na chwilę zmartwychwstał; znikli Brutusowie, Gracchowie, Publicole, trybuni, senatorzy i sam cesarz nareszcie. Społeczeństwo mieszczańskie, trzeźwe w swem codziennem, rzeczywistym życiu, wydało własnych prawdziwych tłumaczy swych dążeń i mówców. Przewodzili mu: Say'owie, Cousin'owie, Royer-Collard'owie, B. Constant'owie i Guizoci, — prawdziwi wodzowie wojenni siedzieli za stołami w biurach, a tłusta głowa [Speckkopf] Ludwika XVIII była polityczną głową narodu. Pograżone zupełnie w produkeji bogactw, zajęte pokojową walką konkurencji społeczeństwo zapomniało o tem, że duchy rzymskich czasów strzegły jego kolebki; dziś stały się one dla niego niezrozumiałymi. Jakkolwiek społeczeństwo mieszczańskie nie odznacza się wcale heroizmem, mimo to jednak potrzeba było heroizmu, poświęcenia, strachu, wojny domowej i bitew narodów, ażeby nowy ustrój wszedł w życie. Gładyjatorowie nowej epoki w klasycznie surowych tradycjach rzymskiej rzeczypospolitej odnaleźli ideały, którymi oszłomić się musieli, ażeby w ten sposób zasłonić przed własnym wzrokiem mieszczańskie, ciasne ideały, przyświecające w walce społecznej i utrzymywać swój zapał na wysokości wielkiej tragedji historycznej. Podobnie i Cromvell wraz z angielskim ludem opromienili cele mieszczańskiej rewolucji mową, zapałem i iluzjami, zaczerpniętymi z ksiąg starego testamentu. Skoro atoli prawdziwy cel został osiągnięty, skoro mieszczańska rewolucja w angielskim społeczeństwie stała się ciałem, zaraz też i Locke wyparł Habakuka.

Wskrzeszanie zmarłych w rewolucyjach owych nie miało tedy na celu parodię dawnych przewrotów społecznych, lecz służyło ku oświeceniu nowych walek; nie odstraszało ono wcale od rzeczywistnienia nowych dążeń, lecz opromieniało je w wyobraźni ludzkiej. Potrzeba było wyprowadzić ponownie na widownię ducha rewolucji i zrozumieć go, nie zaś marę jej okrażać zdaleka.

W r. 1848—51 wystąpiły na scenę tylko mary dawnej rewolucji. Szereg ich rozpoczął Marrast, *Républicain en gants jaunes* (republikanin w żółtych rękawiczkach) w roli widma starego Bailly, zakończył go zaś awanturnik, ukrywający swe trywialno-wstrętne rysy za żelazną, śmiertelną maską Napoleona. Społeczeństwo, któremu zdawało się, że rewolucyja użyczy mu sił nowych, przyspieszył ruch ogólny, ujrzało się nagle przeniesionem w okres martwoży.

Odwieczna rachuba czasu, dawne imiona, zaśnieżone edykty, nad którymi od dawna siedzą uczeni antykwaryjusze, i stare zbiory,

ktoży—zdawało się—że dawno gdzieś zgnili, wszystko to zmartwychwstało, nie pozwalając społeczeństwu ludzi się co do rzeczywistego stanu. Z narodem w tym razie dzieje się to samo, co z owym obłąkanym anglikiem w Bedlam, któremu się zdaje, że żyje w czasach dawnych faraonów i lamentuje codziennie, wprzagnięty do ciężkich robót, jako górnik w etiopskich kopalniach złota, gdzie zamurowany w podziemnem więzieniu, z przymocowaną do głowy, słabo świecąca lampa, widzi obok siebie dozorcę niewolników z długim biczem, słyszy dziki gwar barbarzyńskich pachołków, którzy ani robotników w kopalniach, ani siebie samych zrozumieć nie mogą, nie mają bowiem wspólnego języka.

— I to wszystko — wzdycha oszalały anglik — wszystko to spada na mnie, wolnego bryta, którego zmuszają do wydobywania złota dla faraonów...

— Do spłacenia długów familii Bonapartych... — wzdycha naród francuski.

Obłąd robienia złota prześladował anglika, dopóki nie stracił zdolności myślenia; francuzów, dopóki robili rewolucyje, nie opuszczały napoleońskie wspomnienia, jak tego dowodzi wybór z 10-go grudnia. Wśród niebezpieczeństw rewolucji ukazywały im się ponętne garunki z miesem Egiptu, a 2-gi grudnia 1851 był wyrazem ich tęsknoty. To też mają teraz już nie tylko karykaturę starego Napoleona, lecz własną jego osobę, skarykaturowaną przez nieodpowiednie otoczenie z połowy XIX stulecia.

Rewolucyja społeczna XIX wieku nie może poezji swej zapożyczać u przeszłości, lecz musi zwrócić się do przyszłości. Nie może sama wystąpić, dopóki nie odrzuci wszelkich zabobonów przeszłości. Dawniejsze rewolucyje potrzebowały historycznych wspomnień, żeby zapomnieć o własnej treści. Rewolucyja XIX stulecia powinna pozwolić żyjącym trupom, aby pogrzebali zmarłych i wówczas dopiero odstąpić swe zamiary. Tam górował frazes nad treścią, tu treść pożąta frazesami zagłuszyć się nie da.

Rewolucyja lutowa zaskoczyła nagle stare społeczeństwo, a lud ogłosił ten niespodziany zamach, jako czyn historyczny, wstęp do nowej epoki. 2-go grudnia nieuczciwy gracz eskamotuje rewolucyję lutową, niszczać liberalne zdobycze, o które walczone w ciągu całych wieków. Oczekiwało, że społeczeństwo samo wywalczy sobie nową treść, ale stało się inaczej, zamiast zmian społecznych, widzimy tylko, że państwo o przybrało najstarszą formę, powróciło do bezwstydnie prostego panowania szabl i kaptura. Oto odpowiedź *coup de tête* w grudniu 1851 r. na *coup de main* w lutym 1848 r.

Mimoto czas między jednym a drugim wybuchem nie był stracony. Społeczeństwo francuskie w latach 1848—1851 zdobyło, i to podług skróconej, bo rewolucyjnej metody, doświadczenie i naukę, które przy prawidłowem, że tak powiemy, wyszkoleniu powinny być poprzedzić rozwój rewolucji lutowej, jeżeli miała ona być czemś więcej, niż lekkim wstrząśnięciem. Zdaje się, iż społeczeństwo cofnęło się obecnie poza poprzedni rewolucyjny punkt wyjścia, w rzeczywistości jednak musi ono dopiero znaleźć takowy, a mianowicie wytworzyć sytuację, okoliczności, warunki, słowem otocze-

nie niezbędne dla nadania współczesnej rewolucji poważnego znaczenia.

Rewolucyje mieszczańskie, np. z XVIII stulecia, szybciej kroczą od jednej zdobyczy do drugiej, coraz silniejsze dramatyczne efekty wstrząsają ich akcyja, ludzie i rzeczy zdają się lśnić ognistymi brylantami, ekstaza jest chlebem codziennym, lecz za to trwają one krótko. Punkt kulminacyjny zbliża się wielkimi krokami, przechodzi, a długotrwały przesyt ogarnia pocięźliwość, które nie nauczyło się jeszcze przyswajać i zużytkowywać rezultatów okresu burzliwych wybuchów. Rewolucyje proletaryatu przeciwnie, jak dowiodły tego rewolucyje XIX wieku, krytykują nieustannie same siebie, przerywają bieg własny, powtarzają to, co napozór dokonane już zostało, wyszyskają okrutnie połowiczność, słabość i marność pierwszych prób, zdają się obalać przeciwnika w tym jedynie celu, by wysłać nowe siły z ziemi i jak olbrzym, przeciwko nim powstał, cofają się ciągle przed nieokreśloną potwornością własnych środków, dopóki sytuacja sama nie zagrozi im drogi, nie dopuszczając odwrotu, a wówczas:

— *Hic Rhodus, hic salta!*

Zresztą każdy jako tako wywieczony spostrzegacz, nawet jeżeli nie śledził rozwoju Francji, przeczuwać musiał, że grozi rewolucyi niesłychana kompromitacyja. Dość było słyszeć zadowolone z siebie zwycięzkie ujadanie, którem panowie demokraci winszowali sobie wzajemnie łaskawych skutków 2-go maja 1852. Dzień ów (2-go maja 1852) był w ich głowach jakaś *idée fixe*, dogmatem, czemś w rodzaju ewego dnia, w którym, podług wiary chiliastów, Chrystus miał się znowu ukazać i rozpocząć tysiącletnie państwo. Słabość, jak zwykle, szukała ucieczki w cudach, nieprzyjaciół zdawał się jej być pokonanym, gdy wyobraziła sobie jego ucieczkę przed marami rewolucyi. Rzeczywistość przestała być dla słabości zrozumiałą wobec bezczynnego uwielbienia przyszłości, która ją oczekuje i czynów, które ma wykonać niezawodnie, ale na które jeszcze czas nie przyszedł. Pseudo-bohaterowie, którzy niewatpliwa niezdarnością swoją starali się pokryć przez wzajemne współczucie i skupienie się w jedną grupę, przygotowali tłumoczeki, schowali przedwcześnie przygotowane laury i krzatali się właśnie na rynku wekslowym, dyskontując republiki *in partibus*, dla których po ciebie, ze zwykłą skromnością, troskliwie już byli zorganizowali personal rządowy. 2 grudnia spadł na nich, jak piorun z jasnego nieba, a ludy, które w czasach małodusznego rozstroju, pod wpływem wewnętrznego strachu, chętnie pozwalały się ogłuszać najdonioślejszym krzykaczom, przekonały się może nareszcie, że czas, kiedy głosy gęsi mogły uratować Kapitol, dawno już do przeszłości należy.

Konstytucyja, zgromadzenie narodowe, partyje dynastyczne, republikanie błękitni i czerwoni, afrykańscy bohaterowie, grzmioty trybuny, błyskawice prasy codziennej, cała literatura, imiona głosne w polityce i znakomitości umysłowe, burżuazyjne ustawy, niedogodne prawo, *liberté, égalité, fraternité* i 2 maja 1852 — wszystko zniknęło, jak senne widziadło pod zaklęciem jednego człowieka, którego nieprzyjaciela nawet nie uważają za czarownika. Ogólne prawo wyborcze żyło tylko chwilę dłużej, jakby dla tego, by przed oczyma

całego świata zrobić własnoręczny testament, i powiedzieć w imieniu samego ludu:

Alles, was besteht, ist werth, das es zu Grunde geht.

Nie wystarczy tu tłumaczenie, do którego uciekają się francuzi, że naród ich zaskoczonym został zniemacka. Narodowi i kobiecie nie przebaczą chwil nieopatrznych, w których pierwszy lepszy awanturnik mógł zgwałcić jedną lub drugą. Takie zwroty nie rozwiązują zagadki, ale tylko ją formułują w odmienny sposób. Należałoby jeszcze wyjaśnić, jakim sposobem trzej rzeźmieszkowie mogli zaskoczyć 36-milionowy naród i wziąć go bez oporu w niewolę.

Powtórmy w ogólnych zarysach fazy, które francuska rewolucyja przeżyła od 23 lutego 1848 do grudnia 1851 r.

Trzy różne peryjody występują tu wyraźnie: peryjod lutowy; od 4 maja 1848 do 29 maja 1849; peryjod konstytuowania rzezypospolitej albo konstytuującego zebrańia narodowego; od 29 maja 1849 do 2 maja 1851 r. peryjod konstytucyjnej rzezypospolitej albo prawodawczego zebrańia narodowego.

Pierwszy peryjod od 24 lutego, albo od upadku Ludwika Filipa, do 4-go maja 1848 roku, czyli do początku konstytuancy, właściwy peryjod lutowy, nazwać można prologiem rewolucyi. Charakter tego okresu oficjalnie wyraził się w tem, że rząd improwizowany sam się nazwał tymczasowym, a za przykładem rządu wszystkich, cokolwiek w tym czasie poruszano, czego probowano, wszystko, co wypowiedzianem zostało, uważało się za tymczasowe. Nic i nikt nie miał odwagi zażądać prawa, trwałej egzystencyi, porwać się do prawdziwego czynu. Wszystkie elementy, które przygotowały rewolucyję lub nadały jakiś odcień jej barwie, jako to: dynastyczna opozycyja, republikańska burżuazyja, demokratyczno-republikańskie mieszczaństwo, socyjalno-demokratyczni robotnicy, znalazły tymczasowe stanowisko w lutowym rządzie.

Nie mogło być inaczej. Pierwotnym celem dni lutowych była reforma wyborcza, która miała rozszerzyć koło polityczno-uprzywilejowanych wśród samej klasy posiadającej i znieść wyłączne panowanie finansowej arystokracji. Wszakże gdy przyszło do istotnego starcia, gdy naród rzucił się do barykad, a gwardyja narodowa zachowała się biernie, gdy armija nie stawiała poważnego oporu, a monarchizm uciekł, zdało się, jakoby republika była naturalnem następstwem takiego obrotu rzeczy. Każde stronnictwo tłumaczyło ją na swój sposób. Proletaryjat, zdobywszy republikę z bronią w ręku, wycisnął na niej swe piętno i proklamował jako socyjalną rzezypospolitą. Tak wskazanym został zarys treści współczesnej rewolucyi, treści, która w dziwnej sprzeczności stała ze wszystkiem, co mogłoby być stworzonym natychmiast z istniejącego materjału, na danym stopniu wykształcenia masy, w danych warunkach i okolicznościach. Z drugiej strony zostały uwzględnione rozszerzenia wszystkich innych elementów, które przyczyniły się do wybuchu rewolucyi lutowej. Otrzymały one mianowicie lwia część w rządzie. Dlatego też nie znajdujemy w żadnym innym okresie bardziej pstręj mieszany gromnolnych frazesów z rzeczywistym niedołęstwem i niepewnością, więcej entuzjastycznego dążenia do innowacyi i gruntowniejszego panowania starej rutyny, takiej pozornej harmonii całego społeczeństwa wobec nieharmonijnych obcych sobie wzajemnie składników. Podczas

kiedy proletaryjat paryski, mając przed oczyma szeroki widnokrąg, który się przed nim otworzył, zatopił się w poważnym rozstrząsaniu socjalnych problemów, odwieczne siły społeczeństwa ugrupowały się, namysliły i znalazły niespodziewaną podporę w masie narodu, we włościanach i drobnych mieszczanach, ciśnących się gromadnie na polityczną arenę, gdy runęła monarchia lipcewa.

Drugi okres od 4 maja 1848, do końca maja 1849 roku, jest okresem ukonstytuowania, założenia mieszczańskiej republiki. Bezpośrednio po dniach lutowych nie tylko dynastyczna opozycja zaskoczona została przez republikanów, a republikanie przez socjalistów, ale cała Francja przez Paryż. Zgromadzenie narodowe, które rozpoczęło swoje posiedzenia 4 maja 1848 r., reprezentowało naród, jako wybrane głosami narodu. Stanowiło ono żywy protest przeciwko postulatowi dni lutowych i następstwa rewolucji przykroć miało do mieszczańskiej miarki. Proletaryjat paryski, który pojął natychmiast charakter tego zgromadzenia narodowego, napróżno usiłował w kilka dni po rozpoczęciu jego posiedzeń 15 maja, gwałtownie zaprzeczyć jego istnieniu, rozwiązać takowe, rozbić na cząstki składowe organizm, z którego groźnie poglądał ku niemu reakcyjny duch narodu. Jak wiadomo, jedynym rezultatem 15 maja było usunięcie Blanqui'ego i jego towarzyszy, prawdziwych wodzów partii politycznej z publicznej areny, na cały czas trwania rozpatrywanego przez nas okresu.

Po mieszczańskiej monarchii Ludwika Filipa nastąpić mogła tylko mieszczańska republika, t. j. jeżeli w imieniu króla panowała ograniczona cząstka burżuazji, w imieniu narodu panować musiała cała burżuazja. Żądania proletaryjatu paryskiego przedstawiono jako utopijne mrzonki, z którymi skończyć należy. Na to oświadczenie konstytuującego zebrania narodowego, odpowiedział proletaryjat paryski powstaniem czerwcowym, najkolosalniejszym zdarzeniem w historii europejskich wojen domowych. Rzeczpospolita mieszczańska zwyciężyła. Po jej stronie strój arystokracji finansowa, przemysłowa burżuazja, stan średni, drobne mieszczaństwo, armia, *Lumpenproletariat*, zorganizowany jako gwardya ruchoma, potęgi umysłowe, klechy i włościanie. Po stronie paryskiego proletaryjatu nie było nikogo. Stał on odosobniony. Przeszło 3,000 powstańców zamordowano po zwycięstwie, 15,000 było deportowanych bez wyroku. Po tej porażce proletaryjat ustępuje w głąb rewolucyjnej areny. Każdym razem, gdy ruch się wzmacnia, usiłuje on wysunąć się naprzód, ale z coraz słabszym nateżeniem sił i osiągając za każdym razem mniejsze rezultaty. Jak tylko która z wyżej położonych klas społecznych buntować się poczyną, łączy się z nią i podziela w ten sposób wszelkie porażki, spotykające kolejno różne partie. Wodzowie jego, odznaczający się na zgromadzeniach i w prasie, padają po kolei ofiarą sądów, a coraz bardziej dwuznaczne osobistości stają na czele proletaryjatu. Rzuci się on po części na doktrynerskie eksperymenty, banki zamienne i asocjacje robotnicze, zrzekając się stopniowo przewrotu starego świata, przewrotu, który uskutecznić zamierzał za pomocą własnych potężnych a radykalnych środków i usiłuje oswobodzić się za plecami społeczeństwa przy-

watną drogą, nie wychodząc poza ciasne granice jakie mu warunki bytu zakreśliły, — nie więc dziwnego, że wreszcie upada w walce. Złaje się on nie odnajdując w samym sobie rewolucyjnej wielkości, ani mółz wydobyć nowej energii z nowych związków, dopóki wszystkie klasy, z którymi walczył w czerwcu, nie legną trupeż obok niego. Ale ulega on przynajmniej z honorami w wielkiej historycznej walce, nie tylko Francji, lecz całej Europie drżąc przed czerwcowym trzęsieniem ziemi, podczas kiedy następujące za tem rozgromy klas wyższych tak mało kosztowały wysiłku, że potrzeba było bezcelnej przesady ze strony zwyciężającej partii, aby mogły wogóle uchodzić za wypadki historyczne i stać się tem smrotniejszymi, im dalej partja zwyciężona stoi od proletaryjatu.

Porazka czerwcowych powstańców przygotowała, zrównała wprawdzie grunt, na którym mogła być założona i zbudowana mieszczańska republika; ale wskazała ona zarazem, że chodzi w Europie o inne kwestyje, jak o pytanie: „republika czy monarchia?“ Wyjaśniła ona, że rzeczpospolita burżuazyjna, to nieokreślony despotyzm jednej klasy nad wszystkimi innymi. Dowiodła, że w krajach ze starą cywilizacją, z wyraźną odrębnością klas, wobec współczesnych warunków produkcji i umysłowej świadomości, wytworzonej przez wiekową pracę wszystkich przekazanych idei, rzeczpospolita oznacza wogóle tylko polityczną formę przewrotu w mieszczańskim społeczeństwie, nie stała zaś formą jego istnienia, jak np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, gdzie istnieją już wprawdzie klasy, ale nieskonsolidowane jeszcze klasy, które w ciągłym ruchu wciąż zmieniają swe składowe części i odstępują je sobie wzajemnie, gdzie nowoczesne środki produkcji zamiast być przyczyną ciągłego przeludnienia, zastępują raczej względny brak głów i rąk i gdzie nareszcie gorko-młodość młodziwieczy ruch materyjalnej produkcji, który zdobywać sobie musi świat nowy, nie ma ani czasu, ani chęci do walki ze starym światem upiorów.

Wszystkie klasy i partie złączyły się podczas dni czerwcowych w jedną partję porządku przeciwko proletaryjatowi, jako partji anarchii, socjalizmu, komunizmu. „Zbawiły“ one społeczeństwo od jego wrogów. Rozdały parole starego społeczeństwa: „własność, familja, religija, porządek“, jako hasła swemu wojsku, zawoławszy do kontrrewolucyjnych krzyżowców: „Pod tym znakiem zwyciężysz!“

Od tej chwili, z licznych partji, które pod tym znakiem zgromadziły się przeciwko czerwcowym powstańcom, skoro tylko stara się opanować we własnym klasowym interesie rewolucyjny plac boju, ustąpić musi przed okrzykiem: „własność, rodzina, religija, porządek.“ A społeczeństwo tyle razy uratowanem zostaje, ile razy ścieśni się koło panujących w niem jednostek, ilekroć razy interes osobisty zwycięża dążenia ogólniejsze.

Wszelkie żądania najprostszej mieszczańskiej reformy finansowej zwykłego liberalizmu, republikanizmu, polegającego wyłącznie na formach najtrywialniejszej demokracji, bywa karane, jako „zamach na społeczeństwo“ i napiętnowane mianem „socjalizmu.“ Nakoniec sami arcykapłani „religii i porządku“ padają ofiarą losu; zrzucają

ich kopnięciem nogą z pityjskich trójnogów, wyciągają z łózek, wsadzają na więzienne wozy, zamykają do więzienia lub wypędzają z kraju, a świątynie ich zrównane z ziemią. I oto usta arcykapłanów zapieczętowane, pióro złamane, prawo rozdarte — a wszystko to w imię religii, własności, rodziny i porządku. Fanatycznych zwolenników porządku wśród burżuazji zabijają na własnych ich balkonach pijane hordy żołdaków, rodzinne ich świątynie bezczeszcza, domy bombardują dla rozrywki — w imię własności, rodziny, religii, porządku. Nareszcie wyrzutki mieszczańskiego społeczeństwa tworzą święta falangę i bohater Krapuliński wstępuje do Tuilleries jako „zbawca społeczeństwa.“

II.

Idźmy dalej za wątkiem rozwoju...

Historja konstytucyjnego zgromadzenia narodowego poczynając od dni czerwcowych jest niczem innem, jak tylko historja panowania i rozprzeżenia się republikańsko-burżuazyjnego stronnictwa, — znanego pod nazwą trójkolorowych republikańców, czystych republikańców, politycznych republikańców, formalistycznych republikańców i t. d. Tworzyło ono za mieszczańskij monarchii Ludwika Filipa oficjalną republikańską opozycję, a zatem uznawało część ówczesnego politycznego świata, miało swych zastępców w izbach i znaczna część organów ówczesnej prasy. Paryski jego dziennik *National* uchodził za równie poważny w swoim rodzaju, jak *Journal des Débats*. Stanowisku temu za konstytucyjnego królestwa, odpowiadał i charakter tego stronnictwa. Nie było ono zorganizowanem w imię wspólnych interesów i odgraniczonym od innych z powodu właściwej mu formy produkcji stronnictwem burżuazji. Była to raczej koteryja burżuazji o republikańskich przekonaniach, literatów, adwokatów, oficerów i urzędników, której wpływ polegał na osobistych antypatiach, jakie miało w kraju dla Ludwika Filipa, na wspomnieniach z czasów starej Rzeczypospolitej, na republikańskiej wierze garstki marzycieli, a przedewszystkiem na francuskim nacjonalizmie, który nieustannie nienawidził żywół do wiedeńskich traktatów i do związku z Anglią. Wieka część stronników, którą *National* posiadał za Ludwika Filipa, zwróciła się ku niemu z powodu owego skrytego imperyalizmu, który później, za Rzeczypospolitą, znalazł konkurenta w osobie Ludwika Bonaparte. *National* walczył z arystokracją finansową, jak to czyniła cała mieszczańska opozycja. Polemika przeciwko budżetowi, która we Francji ściśle złączona była z walką przeciwko finansowej arystokracji, obiecywała zbyt łatwą popularność i nadto bogaty materiał do purytańskich *leading articles*, ażeby jej nie wyzyskiwano. Przenysłowa burżuazja była mu wdzięczna za niewolniczą obronę francuskiego systemu cel ochronnych, które *National* podtrzymywał raczej, z narodowościowych, aniżeli z ekonomicznych pobudek, cała zaś burżuazja miała uznanie dla nienawistnych denuncjacji socjalizmu i komunizmu ze strony *National'a*. Zresztą, partja tego ostatniego była czysto-republikańska. To jest żądała republikańskiej formy rządów burżuazji, zamiast monarchicznej, a przedewszystkiem łwiej części owego pa-

nowania. Warunków, które towarzyszyć miały zmianie formy rządu, partja ta nie potrafiła sobie jasno przedstawić. Wszakże jasna dla niej była niepopularność jej wśród demokratycznego drobniomieszczaństwa i rewolucyjnego proletariatu, publicznie głoszona na reformatorskich uczciach z ostatnich czasów Ludwika Filipa. Przewidzieli ci republikańcy byli już gotowi zadowolić się tymczasem regencyją księżny orleańskiej, gdy wybuchła rewolucja lutowa, która wskazała miejsce w tymczasowym rządzie ich najwybitniejszym przedstawicielom. Posiadali oni naturalnie od początku zaufanie burżuazji i większości konstytucyjnego zgromadzenia narodowego. Z komisji wykonawczej, którą utworzyło zgromadzenie nar. na początku swego istnienia, zostały od razu wykluczone socjalistyczne żywioły tymczasowego rządu i partja *National'a* skorzystała z wybuchu powstania lipcowego, aby usunąć także komisję wykonawczą i w taki sposób oswobodzić się od najbliższych rywali, od małomieszczańskich albo demokratycznych republikańców, Cavaignac, generał burżuazyjno-republikańskiej partji, który dowodził żołdactwem podczas rzezi czerwcowej, zastąpił wykonawczą komisję dyktatorska niemal władza. Marrast, były redaktor *en chef National'a*, został stałym prezydentem konstytucyjnego zgromadzenia narodowego, a teki ministerjalne, narówni z innymi ważnymi posadami dostały się owym prawdziwym republikańcom.

Ideali republikańskiej burżuazyjnej frakcji, która oddawna widziała w sobie prawną spadkobierczynię lipcowej monarchii, prześcignęła rzeczywistość. Frakcja ta wszakże doszła do władzy, nie przez liberalne powstanie burżuazji przeciwko tronowi, jak o tem marzyła za Ludwika Filipa, ale stłumiwszy kartaczami bunt proletariatu przeciwko kapitałowi. To, co podług niej było najrewolucyjniejszym, w rzeczywistości okazało się najbardziej kontrrewolucyjnym. Owoc spadł jej na kolana, ale spadł on z drzewa poznania, nie z drzewa życia.

Wyłączne panowanie republikańców burżuazyjnych trwało tylko od 24 czerwca do 10 grudnia 1848. Treść tych rządów było zredagowanie republikańskiej konstytucji i ogłoszenie stanu oblężenia w Paryżu.

Nowa konstytucja była w istocie tylko zrepublikizowanem wydaniem konstytucyjnej charty z 1830 roku. Cenzus wyborczy lipcowej monarchii, wykluczający nawet wielką część burżuazji od politycznego panowania nie mógł się zgodzić z egzystencją mieszczańskij Rzeczypospolitej. Lutowa rewolucja proklamowała natychmiast zaniżanie tego cenzusu bezpośrednie, ogólne prawo wyborcze. Burżuazyjni republikańcy nie mogąc wykreślić tego faktu z historii, musieli się zadowolnić dodaniem ograniczającej uchwały sześciomiesięcznego zamieszkania na miejscu wyboru. Stara organizacja zarządu gminy, sądownictwa, wojska itp. została nienaruszoną, tam zaś, gdzie konstytucja zmieniła takową, zmiana tyczyła się formy, nie treści, nazwy, nie zaś rzeczy samej.

Nieunikniony sztab generalny swobód z roku 1848: wolność osobista, swoboda prasy, słowa, asocjacji, zebrań, nauczania, wyznania itp. otrzymały mundury konstytucyjne, a z nimi nienaruszalność. Każda bowiem z tych swobód została ogłoszona za bezwarunkowe prawo obywatela (*citoyen*) francuskiego, ale z nieodstępna uwaga

na marginesie, że jest ona bezgraniczna o tyle, o ile nie ograniczają jej „równe prawa innych i bezpieczeństwo publiczne“, albo też „prawa“, które właśnie w owej harmonii pośredniczyć mają. Np.: „obywatele mają prawo do tworzenia stowarzyszeń i urzędzania zebrań z charakterem spokojnym i bez broni, mogą podawać petycje i wyrażać swe zdanie za pośrednictwem prasy, albo w jakikolwiek inny sposób. Korzystanie z tych praw podlega jedynie ograniczeniu przez równe prawa innych i względy ogólnego bezpieczeństwa.“ [Rozd. II francuskiej konstytucji, § 8].

„Nauczanie jest swobodnem. Wolności nauczania używać można w warunkach, ustanowionych przez prawo i pod najwyższym dozorem państwa“ [§ 9]. „Mieszkanie każdego obywatela jest nienaruszalnem. wyjawszy w formach, przepisanych przez prawo“ [Rozd. I, § 3] itd. itd. Konstytucyją wskazuje przeto ciągle na przyszłe organiczne prawa, które ma wypełnić owe uwagi na marginesie i w taki sposób uregulować korzystanie z owych nieograniczonych swobód, aby nie weszły one w kolizyję jeńne z drugimi, ani z ogólnem bezpieczeństwem. Później przyjaciele porządku powołali do życia organiczne prawa, które tak uregulowały owe swobody, że w korzystaniu z nich nie przeszkadzają burżuazji prawa klas innych. Hlekró burżuazja zupełnie zabraniała korzystać innym klasom z tych swobód, albo nadawała takowe pod rozmaitymi warunkami prawnymi, z których każdy nie był wolny od kruczków i sidła policyjnych, robiła to zawsze jedynie w interesie „ogólnego bezpieczeństwa“, to jest burżuazji. jak tego żąda konstytucyją. Owe strony mają przeto później zupełne prawo powoływania się na konstytucję. Zarówno przyjaciele porządku, którzy zburzyli owe wolności, jak i demokraci, którzy je przywrócić chcieli, znaleźli dla siebie usprawiedliwienie w konstytucji. Każdy bowiem paragraf takowej zawiera własną antytezę, własną izbę lordów i izbę gmin, czyli we właściwej swej treści swobodę, na marginesie zaś zniesienie swobody. Dopóki przeto nazwa swobody była szanowana, dopóki tylko nie wprowadzano w czyn pojęcia swobody, oczywiście na prawnej drodze, istniała nienaruszona wolność w konstytucji. w rzeczywistości jednak zabito ją jeszcze podczas uchwał parlamentarnych.

Tak zręcznie opancerzona konstytucyją miała jednakoż achilesovą piętę, gdzie można ją było zranić. Co gorzej, nie była to pięta, ale głowa, a raczej dwie głowy, stojące na jej czole: zgromadzenie prawodawcze z jednej strony, prezydent z drugiej. Przeglądając konstytucję, widzimy, że jedynie tę paragrafy, w których określony jest stosunek prezydenta do zebrania prawodawczego, są pozytywne, nie zawierają w sobie sprzeczności i nie dają się przekreślić. Chodziło tu bowiem republikańskiej burżuazji o własną obronę. §§ 45—70 konstytucji tak są zredagowane, że zgromadzenie narodowe ma prawo usunąć prezydenta konstytucyjnie, prezydent natomiast wbrew konstytucji rozwiązać je może. W ten sposób konstytucyją uswieca nie tylko na wzór charty z 1830 r. podział władzy, lecz rozszerza go, stwarzając przeciwieństwo niemożliwe do zniesienia. Gra władz konstytucyjnych, jak nazywał Guizot parlamentarne utarczki prawodawczej i wykonawczej władzy, w konstytucji 1848-go roku prowadzi wciąż *va*

banque. Z jednej strony stoi 750 przedstawicieli narodu, wybranych i wybieralnych przez ogólne głosowanie, tworzących niepodlegające kontroli, nietykalne i nierozdzielne zgromadzenie nar., posiadające prawodawczą wszechpotęgę, rozstrzygające w ostatniej instancji o wojnie, pokoju i traktatach handlowych, mające wyłączne prawo amnestyi i zajmujące, dzięki nieustającym posiedzeniom pierwsze miejsce. Z drugiej strony prezydent, piastujący wszelkie atrybuty władzy królewskiej, z prawem zmiany ministrów niezależnie od zgromadzenia narodowego, dzierżący wszystkie środki władzy wykonawczej w swem ręku, z prawem rozdawania wszelkich posad, a więc pan samowładny, rozstrzygający o bycie 1½ miliona indywiduów, bo tyle zapewne wynosiły oddziały 500,000 urzędników i oficerów różnych stopni. Poza nim stoi cała uzbrojona siła. Korzysta on z przywileju ulaskawiania niektórych przestępców, rozporządza gwardjami narodowymi, złożyć może z urzędu, za porozumieniem się z radą państwa, radców generalnych, kantonalnych i gminnych, wybranych przez obywateli. Ma on również wyłączne prawo inicjatywy i zawierania wszelkich traktatów z zagranicą. Podczas gdy zgromadzenie ciągle jest na scenie, wystawione na krytykę i działanie światła dziennego, prezydent żyje w ukryciu, wśród pól elizejskich, a w dodatku artykuł 45 konstytucji świeci mu przed oczami i leży na sercu, wołając bezustannie: *f. ère, il faut mourir !..* Władza twoja skończy się w drugą niedzielę pięknego miesiąca maja w czwartym roku po wyborze! Wówczas panowanie twoje skończone, przedstawienie nie powtórzy się po raz drugi, więc jeżeli masz dług, to płac je póki czas z 600,000 franków, które ci konstytucyją wyznacza, w przeciwnym bowiem razie powędrujesz do Clichy w drugi poniedziałek pięknego miesiąca maja. Konstytucyją oddając faktyczną władzę prezydentowi, stara się zapewnić moralną siłę zgromadzeniu narodowemu. Pomijając już wzgląd, że niemożna stworzyć siły moralnej przy pomocy paragrafów prawa — konstytucyją sama się znosi, skoro każe wybierać prezydenta wszystkim francuzom przez ogólne głosowanie. Podczas gdy głosy Francyi rozdzielają się na 750 członków zgromadzenia narodowego, przy wyborze prezydenta koncentrują się na jednej jednostce. Kiedy każdy przedstawiciel narodu reprezentuje tylko tę lub inną partyję, miasto, wieś — albo nie reprezentuje nikogo, wybór swój zawdzięcza przeznaczeniu, wedle którego musi wyjść koniecznie z urny, jako 1/750 cząstka zgromadzenia, przyczem nie zwraca się bacznej uwagi ani na rzecz samą, ani na osobę, prezydent jest wybranem narodu, a akt jego wyboru jest atutem wyrzucanym z ręki co 4 lata przez samorządzący się naród. Zgromadzenie narodowe stoi w metafizycznym, wybrany zaś prezydent w konkretnym stosunku do narodu. Zgromadzenie narodowe przedstawia wprawdzie, w swoich pojedynczych przedstawicielach, różnorodne strony ducha narodowego, w prezydenta jednak wciela się duch narodowy. Prezydent posiada, w przeciwstawieniu do zgromadzenia, niejako boskie prawo, jest on z łaski narodu.

Thetis, bogini morza, przepowiedziała Achillesowi śmierć w młodym wieku. Konstytucyją miała, podobnie jak Achilles, swoją piętę, miała więc, jak Achilles, przecucie, że wcześniej skończyć będzie musiała. Wystarczyłoby republikańskiemu prawdziwym, układającym konstytucję, by rzucili wzrokiem z niebios swej idealnej rzecypo-

spolitej na trywialną ziemię, aby poznać, jak wzrastało codziennie zuchwalstwo rojalistów, monarchistów, demokratów, komunistów, a jak nikł ich własny kredyt, w miarę, jak zbliżali się do ukończenia swego wielkiego prawodawczego dzieła, a pomimo to Thetis nie wyszła z morza, by wyjawić swą tajemnicę. Starali się oni oszukać przeznaczenie wydając podstępny § 111 konstytucji, według którego każdy wniosek rewizyjny ustawy krajowej musi być uchwalony przynajmniej przez $\frac{2}{3}$ głosów w trzech następujących po sobie debatach, przedzielonych okresem miesięcznym od siebie. Niemniej, jak 500 członków zgromadzenia narodowego brać przytem udział w głosowaniu. Była to zatem tylko bezsilna próba zatrzymania władzy na wypadek, gdyby republikanie mieli być kiedyś w mniejszości parlamentarnej (przewidywali, że do rzędu takiej zejda niedługo), władzy, która im wysuwała się z rak wówczas, gdy posiadali parlamentarną większość i wszystkie środki panującej partji.

Nareszcie w melodramatycznym paragrafie zgromadzenie porucza konstytucyję czujności i patryjotyzmowi całego francuskiego narodu i każdego francuza w szczególności, poleciwszy pierw w innym paragrafie „czujnych“ i „patryjotów“ delikatnej i nadzwyczaj nieprzyjemnej uwadze specyjalnie utworzonego wysokiego sądu — *haute cour*.

Oto, czem była konstytucja 1848 roku, obalona 2 grudnia 1851 nie wskutek planu genialnej głowy, lecz dotknięciem kapelusza; nie zapominajmy wszakże, że był to trójgraniasty, napoleoński kapelusz.

Podezas kiedy republikańska burżuazja zajęta była dyskutowaniem i uchwalaniem konstytucji, utrzymywał Cavaignac stan oblężenia Paryża. Przyspieszyło to poród konstytuancy. Konstytucja została później wyprawioną na tanten świat przy pomocy bagnatów, nie trzeba wszakże zapominać, że bagnety i to skierowane do ludu, chroniły ją przy pojawieniu się na świat. Przodkowie, „poczczych republikańców“, rozpowszechnili trójkolorową wstęgę, symbol swój, w całej Europie. Ci ostatni, ze swej strony zrobili również ważne odkrycie, był nim stan oblężenia, który utorował sobie drogę przez cały kontynent, ale ze stałą sympatją zwracał się do Francji, dopóki nie zdobył sobie w znacznej części jej departamentów prawa obywatelstwa. Doskonali ten wynalazek, stosowano peryjodycznie w każdym kryzysie podczas rewolucji francuskiej. Ale czemużby koszary i obóz, tak peryjodycznie narzucane francuskiemu społeczeństwu w rodzaju ciężaru, który miał ugniatać jego głowę i prasować mózg, by zrobić zeń spokojnego człowieka, czyż szabla i karabin, które sądziły i rządziły, oceniały jego czyny i opiekowały się nim, wykonywając służbę policyjną i straż nocną, czyż hiszpanka i mundur, zachwalane ustawicznie, jako najwyższa mądrość społeczeństwa, nie miały wpaść na pomysł stałego zabezpieczenia społeczeństwa, proklamując własne panowanie, jako najwyższe i oswobodzając zupełnie mieszczańskie społeczeństwo od kłopotu rządzenia samem sobą?.. Koszary i obóz, szabla i karabin, hiszpanka i mundur tem łatwiej dojść musiały do tego przekonania, ile że wówczas spodziewać się mogły lepszej zapłaty za większe usługi, podczas gdy przy samym tylko peryjodycznym stanie oblężenia i chwilowym ratunku społeczeństwa w usługach tej lub innej frakcji burżuazyjnej, oprócz kilku trupów i rannych i kilku

przyjaznych mieszczańskich grymasów, mało zyskiwały pozytywnych rezultatów. Czyż nie wypadło z tego, by wojsko we własnym swym interesie, odegrało scenę stanu oblężenia i dobrało się jednocześnie do kalb mieszczańskich? Nie należy przytem zapominać, że w tym czasie na czele działającej w Paryżu komisji wojskowej stał pułkownik Bernard, ów prezydent wojennej komisji, który za czasów Cavaignac'a zesał bez wyroku do ciężkich robót 15,000 powstańców.

Aczkolwiek poczcziwi, prawdziwi republikanie, uchwalając stan oblężenia w Paryżu, założyli szkółki, w której wychować się mogli pretoryjanie z 2-go grudnia 1851 r., należy się im z tem wszystkim jednak pochwała, że zamiast egzaltować poczucie honoru narodowego, jak to miało miejsce za Ludwika Filipa, płaszczyli się oni przed zagranią wówczas właśnie, kiedy rządy były w ich ręku i zamiast oswobodzić Włochy, pozwolili je zdobyć austryjakom i neapolitańczykom. Wybór Ludwika Bonaparte na prezydenta 10 grudnia 1848 r. położył koniec dyktaturze Cavaignac'a i konstytuancy.

§ 44 konstytucji głosi: „Na prezydenta francuskiej rzeczypospolitej obranym być może jedynie obywatel francuski, który nigdy swych praw obywatelskich nie tracił.“ Pierwszy prezydent rzeczypospolitej, L. N. Bonaparte, stracił nie tylko swe prawa jako obywatel francuski, nie tylko był angielskim konstabłem do szczególnych poruczeń, ale był on nawet naturalizowanym szwajcarem.

Na innem miejscu przedstawiłem znaczenie wyboru z dn. 10-go grudnia. Nie wracam tedy do niego. Wystarczy tu uwaga, że wybór ów był reakcją włościan, którzy musieli zapłacić kosztu rewolucji lutowej, przeciwko reszcie klas narodu, reakcją wsi przeciwko miastu. Znalazła ta reakcja wielką sympatję wśród armii, której republikanie z *National'a* nie dali sposobności dojścia ani do sławy, ani do majątku, sprzyjała jej wielka burżuazja, witająca Bonapartego jako przejście do monarchizmu, przyklasał jej proletaryjat i drobni mieszcianie, dla których Bonaparte był postrachem na Cavaignac'a. Stosunek włościan do francuskiej rewolucji postaram się poniżej wyjaśnić.

Okres od 20 grudnia 1848 do rozwiązania konstytuancy w maju 1849 r., zawiera historję upadku burżuazyjnych republikańców. Kiedy republikanie założyli rzecząpospolitą dla burżuazji, rozpuścili proletaryjat z placu boju i uspokoiłi choć na czas jakiś drobne mieszczaństwo, usuwa ich z kolei masa burżuazji, która słusznie uważa rzecząpospolitą za swą własność. Przekonania tej masy były rojalistyczne. Cześć jej, wieley właściciele ziemscy, rządzili za czasów restauracji, byli przeto legitymistami. Druga część, arystokracja finansowa i wielki przemysł panoszyli się za lipcowej monarchji, ztąd przywiązanie do orleanistów. Dygnitarze z armii, uniwersytetu, kościoła, z sądów, z akademii i z prasy sympatję swe dzielili pomiędzy jedną a drugą dynastję, chociaż w różnym stosunku. W mieszczańskiej rzecząpospolitej, której na imię nie było Bourbon, ani Orleans, ale której właściwą nazwą był kapitał, znaleźli oni formę rządu, wśród której mogli wspólnie panować. Już powstanie lipcowe złączyło ich w „partję porządku.“ Teraz szło przedewszystkiem o usunięcie koteryi burżuazyjnych republikańców, stojących jeszcze na czele zgromadzenia narodowego. O ile brutalnie prawdziwi ci republikanie używali fizycznej siły przeciwko ludowi, o tyle tehórzowsko, po-

kornie, bez energii, złamani i niezdatni do boju, cofali się oni, gdy chodziło o utrzymanie republikańizmu i prawodawczej władzy przeciwko wykonawczej sile i rojalistom. Nie miejsce tu opowiadać haniebną historję ich rozejścia się. Było to znikanie, nie upadek. Historja ich zakończyła się na zawsze, a w następującym okresie ukazują się oni, czy to w zgromadzeniu czy poza niem już tylko jako wspomnienia, które zdają się ożywać, ilekroć podniesie się kwestja o nazwę rzeczypospolitej a rewolucyjna walka zjeździe na niższy poziom. Zauważyć tu trzeba nb., że dziennik, który dał imię tej partji, *National*, nawraca się w następującym okresie do socjalizmu.

Zanim skończymy z tym okresem, rzućmy jeszcze okiem wstecz na owe dwie siły, z których jedna niszczy drugą 2-go grudnia 1851 roku, a które od 20-go grudnia do ustąpienia konstytuanty żyły z sobą w małżeńskim stosunku. Myślimy tu o Ludwiku Bonaparte z jednej strony i o partji złączonych rojalistów, partji porządku — słowem, wielkiej burżuazji z drugiej strony. Gdy tylko Bonaparte został prezydentem, natychmiast utworzył on ministerjum partji porządku, na czele którego stanął Odillon Barrot, nb. dawny przywódca najliberalniejszej frakcji parlamentarnej burżuazji. Pan Barrot upolował nareszcie tekę ministeryjalną, której widmo prześladowało go od r. 1830; rzeczywistość prześcignęła nawet jego marzenia, wszak był prezydentem tego ministerjum; ale nie zajął on w niem miejsca jako naczelnik parlamentarnej opozycji, o czem marzył za Ludwika Filipa. Zadaniem jego na dziś było uśmierzenie parlamentu, wystąpić więc musiał jako sojusznik największych swych nieprzyjaciół, jezuitów i legitymistów. Zaślubił nareszcie narzeczoną, ale już jako prostytutkę. Zdawało się, że Bonaparte zupełnie wycofał swą osobę. Partja porządku działała za niego.

Zaraz na pierwszym posiedzeniu rady ministrów postanowiono wyprawę do Rzymu i zgodzono się wprowadzić w czyn to postanowienie bez wiedzy zgromadzenia narodowego. Koszta wyprawy pokryto w bardzo prosty sposób: wydatki odnośnie zamieszczone w budżecie pod innym tytułem. Początek działalności stanowiło przeto oszukaństwo popelnione na zgromadzeniu narodowym i tajna konspiracja z absolutnemi państwami zagranicę przeciwko rewolucyjnej rzymskiej rzeczypospolitej. W ten sam sposób i przy pomocy tych samych unawerów przygotował Bonaparte zamach z d. 2 grudnia, wymierzony przeciwko rojalistycznemu zgromadzeniu prawodawczemu i przeciw konstytucyjnej rzeczypospolitej. Nie zapominajmy, że taż sama partja, która 20-go grudnia 1848 r. stworzyła ministerjum Bonaparte, stanowiła 2-go grudnia 1851 r. większość prawodawczego zgromadzenia narodowego.

Konstytuanta uradziła, że rozejdzie się dopiero wówczas, gdy wypracuje i ogłosi cały szereg organicznych praw, mających na celu dopełnienie konstytucji. Partja porządku zaproponowała jej przez usta reprezentanta Râteau 6 stycznia 1849 r., aby dała za wygrane organicznym prawom i postanowiła raczej, w jaki sposób ma się rozwiązać. Nietylko ministerjum z panem Odillon Barrot na czele, ale i wszyscy członkowie zgromadzenia narodowego groźnie nawoływali konstytuante do rozwiązania się, jako koniecznego środka dla zdobycia kredytu, skonsolidowania porządku, zakończenia z nieokreśloną

tymczasowością, przekonywując ją, że tamuje produktywność nowego rządu i stara się utrzymać przy życiu tylko dzięki złej woli, że kraj zmęczony jest jej działalnością itd. Bonaparte bacznie śledził wszystkie te obelgi, miotane przeciwko prawodawczej władzy, nauczył się ich na pamięć i dowiódł parlamentarnym rojalistom 2 grudnia 1851 r., że nauka nie poszła w las. Wszak użył przeciwko nim ich własnych hasel.

Ministerjum Barrot i partja porządku poszły dalej. Wywołano w całej Francji ruch przejawiający się w petycjach do zgromadzenia narodowego, gdzie w uprzejmych wyrazach przedstawiano zgromadzeniu, że konstytuanta powinna zniknąć z horyzontu. W ten sposób zgromadzeniu narodowemu, jako konstytucyjnemu wyrazowi woli ludu, przyobleczonemu w formy parlamentarnej organizacyi, przeciwstawiono nieorganizowaną masę narodu. Z nauki tej skorzystał Bonaparte, apelując później do ludu francuskiego.

29-go stycznia 1849 roku nadszedł nareszcie dzień, w którym konstytucyjne zgromadzenie miało uchwalić własne swe rozwiązanie. Gmach, gdzie odbywały się posiedzenia konstytuanty, otoczony był wojskiem; Changarnier, generał partji porządku, w którego ręku leżało dowództwo nad gwardją narodową i linijowemi wojskami, odbył — jakby przed bitwą — wielką rewję w Paryżu, a skoalizowani rojaliści oświadczyli groźnie zgromadzeniu, że użyją siły, jeżeli nie ustąpi ono dobrowolnie. Konstytuanta była posłuszna, ale wytargowała sobie jeszcze krótką chwilę życia. Czyż *coup d'état* 2 grudnia 1851 r. różnił się w czem od zamachu 29-go stycznia?... Jedyna różnica polegała na tem, że dokonano go wspólnie z Bonapartem przeciwko republikańskiemu zgromadzeniu narodowemu. Panowie ci nie zauważyli, albo nie chcieli zauważyć, że Bonaparte skorzystał z 29 stycznia 1849 roku, rozkazując wojsku przedelfować przed gmachem Tuilleriów. Pierwsze to użycie siły wojskowej przeciwko władzy parlamentarnej było najlepszą wskazówką dla przyszłego Kaliguli.

Pobudką, skłaniającą przedewszystkiem partję porządku do gwałtownego skrócenia życia zebraniu konstytucyjnemu, były organiczne, dopełniające konstytucję prawa, jako to: prawo o nauczaniu, prawo wyznań i t. p. Koalicja rojalistyczna pragnęła sama być autorką owych praw. Między niemi było wszakże jedno o odpowiedzialności prezydenta rzeczypospolitej. W 1851-szym roku zebranie prawodawcze zajmowało się właśnie zredagowaniem owego prawa, gdy Bonaparte ubiegł ten zamach na swe prawo przez zamach 2 grudnia. Niezby dali skoalizowani rojaliści w parlamentarnej kampanii zimowej roku 1851, gdyby mieli byli gotowe prawo odpowiedzialności, prawo, ustanowione przez nieufne, nienawistne, republikańskie zgromadzenie!

Gdy konstytuanta w dniu 29 stycznia 1849 r. zlamala ostatni swój orzeź, rzucili się na jej dobiecie ministerjum Barrot i przyjaciele porządku; nie zaniechali oni niczego, co mogło być upokorzyć, wyszukując rozpaczliwą zaiste bezsilność tego prawodawczego zgromadzenia, zmuszali je do uchwalania praw, dyskredytujących je do reszty w oczach opinii publicznej. Bonaparte, zajęty swym napoleońskim obłędem, był dość zuchwały, ażeby publicznie wyzyskać to po-

niżenie parlamentarnej władzy. Kiedy mianowicie zgromadzenie narodowe w dniu 8 maja 1849 udzieliło ministeryjum naganę za zajęcie Civita-Vecchia przez Oudinot'a i wydało rozkaz, ażeby wyprawa rzymska nie sprzeniewierzała się rzekomemu celowi, w jakim wysłana została, opublikował Bonaparte tegoż samego wieczora w *Moniteurze* list do Oudinot'a, w którym winszuje mu bohaterskich czynów, przemawiając jako wspaniałomyślny protektor armii w przeciwstawieniu do wojujących piórem panów z parlamentu. Rojaliści list ten przyjęli śmiechem. Uważali oni po prostu Bonapartego za człowieka, którego łatwo będą mogli wystrychnąć na dudka. Nakoniec gdy Marrast, prezydent konstytuancy, w chwilowej obawie o losy zgromadzenia narodowego, odwołując się do praw konstytucyi w celach bezpieczeństwa, zawezwał jednego z pułkowników, ażeby tenże stał się ze swym pułkiem, wezwany ociągał się ze spełnieniem rozkazu, powołał się na karność wojenną i odesłał Marrast'a do Changarniera, który go odprawił z niczem, dodając szydlerczo na pożegnanie, że nie lubi *des bonnettes intelligentes*. W listopadzie 1851, kiedy złączeni rojaliści rozpoczęli chcieli stanowczą walkę z Bonapartem, starali się przeprowadzić — za pomocą osławionego swego wniosku do ustawy o kwestorach — zasadę bezpośredniej rekwizycyi wojska przez prezydenta zgromadzenia narodowego. Jeden z ich generałów, Sefló, podpisał był wniosek do prawa. Napróżno Changarnier głosował za wnioskiem, napróżno Thiers złożył hołd przezornej mądrości dawnej konstytuancy. Minister wojny, St. Arnaud, odpowiedział mu tak samo — jak poprzednio Changarnier Marrast'owi; odpowiedź ministra Montagne przyjęła oklaskami!

Oto, w jaki sposób sama partya porządku, nie będąc jeszcze zgromadzeniem narodowym, lecz ministeryjum zaledwie, piętnowała rządy parlamentarne. I po tem wszystkiemu partya ta podnosi gwałt, gdy zamach 2 grudnia 1851 roku wygnał parlamentaryzm z granic Francyi!

Życzymy mu szczęśliwej podróży.

III.

29 maja 1849 r. prawodawcze zgromadzenie narodowe rozpoczęło swe obrady. 2 grudnia 1851 zostało ono zniweczone. Na okres ten przypada żywot konstytucyjnej czyli parlamentarnej Rzeczypospolitej...

W pierwszej francuskiej rewolucyi po rządach konstytuancy następuje okres panowania Żyrondy, potem idą rządy Jakobińców. Każda z partyj miała za plecami żywioły bardziej postępowe. Skoro którakolwiek z nich doprowadziła sprawę rewolucyi do stadyum takiego, że ruchowi już nietylko przewodzić, lecz nawet zdążyć za nim nie była w stanie, wówczas przychodziła kolej na śmielszych jej sprzymierzeńców, którzy wysuwali się naprzód, wyprawiając poprzedników swych wprost na gilotynę. W ten sposób rewolucya poruszała się po linii wstępującej.

Odwrótnie rzecz się miała z rewolucyją 1848 roku. Partya proletaryjatu występuje tu jako nieliczny zastęp, sprzymierzony z partyją małomieszczańską. Drobną burżuazją zdradza i opuszcza proletaryjat

16-go kwietnia, 15 maja i w dniach czerwcowych. Demokratyczna partya opiera się również o plecy burżuazyjno-republikańskie. Burżuazja republikańska, poczuwszy grunt pod nogami, zrzucają niezwłocznie uciążliwego towarzysza i opierają się o plecy partyi porządku. Ta zaś usuwa swe plecy, burżuazja-republikańska wyrwacją koziołką, wówczas partya porządku wsiada na plecy uzbrojonej siły. Zdaje jej się z początku, że siedzi na tych silnych plecach, lecz pewnego pięknego poranku spostrzega nagle, że zmieniły się one w najeżone bagnety. Każda partya wierzga nogami stojącą poza nią postępowszą partyję, opierając się równocześnie o plecy partyi wstecz pracy.

Nie dziwnego, że pozycja taka przyprowadza każdą z nich o utratę równowagi; wszystkie też one, z dziwaczniemi minami i grymasami wywijają kozła, upadają na ziemię. Linija rewolucyi jest zstępująca. Wsteczny ów ruch datuje się od chwili, zanim jeszcze uprzątnięta została ostatnia lutowa barykada i zanim utworzono pierwszą rewolucyjną władzę.

Okres, który mamy przed sobą, zawiera w sobie pstrą mieszaninę krzyżujących sprzeczności: konstytucjonalistów, konspiracyjnych jawnie przeciwko konstytucyi, i rewolucjonistów, będących w gruncie rzeczy konstytucjonalistami; zgromadzenie narodowe, które pragnie być wszechpotężnem, a pozostałe wciąż na poziomie instytucyi parlamentarnej; montagne, której zadaniem jest cierpliwość i odpieranie porażek w teraźniejszości prorocztwami przyszłych zwycięstw; rojalistów, owych *pitres conscripti* Rzeczypospolitej, których sytuacja zmusza do utrzymywania za granicą nieprzyjaznych Francyi domów królewskich i popierania w kraju przeciw Bonapartemu zniechęconej przez nich Rzeczypospolitej; władzę wykonawczą we własnej słabości czerpiącą swe siły, w pogardzie zaś, jaką wzbudza, swe poważanie; Rzeczypospolitą, nie będącą właściwie niczem innem, jak infamiją dwóch monarchij, restauracyi i monarchii lipcowej z imperialistyczną etykietą; ugoły związkowe, których pierwszy artykuł zastrzega przedewszystkiem rozwiązanie umowy; walki bez stanowczego rozstrzygnięcia, czężą bezmyślną agitacyję w imię pokoju, uroczyście propagandę pokoju w imię rewolucyi, namietności bez prawdy, prawdę bez namietności, bohaterów bez czynów bohaterskich, historię bez wypadków historycznych; rozwój, którego jedynym impulsem zdaje się być kalendarz, nużący monotonnem powtarzaniem się tych samych nadziei i rozczarowań; przeciwieństwa, które zdają się dlatego tylko wzrastać, ażeby potem stępić swe ostrza i zniknąć bez śladu przed stanowczem rozwiązaniem kwestyi; wysiłki, domagające się pretensjonalnie pochwał i mieszczańskie strachy przed niebezpieczeństwem końca świata, a obok tego drobnostkowe intrzygi i komedye dworskie zbawców świata, które swem *laisser aller* przypominają nietyłe sąd ostateczny, jak raczej czasy Frondy*); — oficjalny ogólny geniusz Francyi zwyciężony przez sprytną głupotę jednego awanturnika; wolę narodu, która ilekroć przemawia w wy-

*) Fronda — polityczna partya we Francyi, walcząca w r. 1648 z rządem, na którego czele stał dygnitarz kardynał Mazarin. Partya ta składała się z członków parlamentu i mieszczańskich. [Przyp. tłom.]

borach publicznych, zawsze stara się oprzeć o tradycję, przekazaną przez odwiecznych wrogów interesów ludu, aż nareszcie znajduje swój wyraz w samowoli jednego *fibustiera*.

Jeżeli był kiedykolwiek okres historii, szarą farbą malowany na tle czarnem, to był nim z pewnością ten okres dziejów Francji. Ludzie i wypadki wydają się nam Schlemihlami*) na wspak, cieniami, pozbawionymi ciała, do których należały. Rewolucja paraliżuje własnych swych działaczy, zwiększając namiętną gwałtowność swych przeciwników. „Czerwone widmo“, zaklinane i wywoływane przez reakcyjonistów, zjawia się nareszcie, lecz nie z anarchistyczną czapką frygijską na głowie, ale w mundurze porządku, w pludrach czerwonych.

Ministerjum, które Bonaparte powołał 20 grudnia 1848 roku, w dzień swego wniebowstąpienia, było ministerjum partii porządku, legitymizacyjnej i orleańskiej koalicji. Ministerjum to przychyliło republikańską konstytuante, której ostatnie chwile w sposób mniej lub więcej gwałtowny skróciło i znajdowało się teraz u steru. Changarnier, generał sprzymierzonych rojalistów, ciągle jeszcze był jednocześnie głównodowodzącym pierwszej wojennej dywizji i paryskiej gwardii narodowej. Ogólne wybory zapewniły wreszcie partii porządku znaczną większość w zgromadzeniu narodowym.

Deputowani i parowie Ludwika Filipa spotkali tam święta zgraję legitymistów, dla których liczne kartki wyborcze narodu zmieniły się w bilety wstępu na arenę polityczną. Przychylni Bonapartemu przedstawiciele narodu byli niedosyć liczni, by utworzyć niezależną parlamentarną partję. Zjawili się oni tylko jako *mauvaise queue* partii porządku. Tak więc ta ostatnia posiadała siłę rządową, armiję i prawodawcze ciało, a zatem całą siłę państwa; w dodatku ogólne wybory, panowaniu jej dały pozór woli narodu, a równocześnie zwycięstwo kontrewolucji na całym europejskim kontynencie wzmacniały ją byty moralnie.

Żadna partja nie rozpoczynała swej kampanii wśród wróżb pomysłniejszych.

Liczba prawdziwych republikańców — rozbitków w prawodawczym zgromadzeniu narodowym stopniała do 50 członków — na czele ich stali afrykańscy generałowie: Cavaignac, Lamoricière, Bédou. Ale główną opozycyjną partję tworzyła *Montagne*. To parlamentarne imię nadała sobie socjalno-demokratyczna partja. Rozprowadzała ona więcej niż 200 głosami na 750 głosów zgromadzenia narodowego, była zatem przynajmniej równie silna, jak którakolwiek z trzech frakcyj partii porządku. Względna jej mniejszość w porównaniu z całą rojalistyczną koalicją, zdawała się być zrównoważona przez szczególne okoliczności. Wybory departamentalne pokazały, że zdobyła ona sobie znaczną ilość zwolenników pomiędzy ludnością wiejską. Wśród swych członków liczyła prawie wszystkich deputowanych Paryża; armija złożyła swe demokratyczne wyznaczenie wiary w wyborze trzech podoficerów, a dowódzca Montagne, Ledru-Rollin został zaszczycony parlamentarnym szlachectwem przez pięć departamentów, które go złączonymi wybrały głosami; żadnego

z reprezentantów partii porządku honor ten nie spotkał. Zdawało się tedy 29 maja 1849 r., że Montagne, zważywszy na nieuniknione wzajemne starcia wśród rojalistów i partii porządku z Bonapartem — ma przed sobą wszelkie widoki powodzenia. We dwa tygodnie później straciła ona wszystko, nie wyłączając honoru.

Zanim przystąpimy do rozbioru następnej historii parlamentarnej, uważamy za stosowne poczynić kilka uwag, ażeby uniknąć zwykłych złudzeń, dotyczących się charakteru epoki, która się zajmujemy. Z demokratycznego punktu widzenia, w całym okresie prawodawczego zgromadzenia narodowego widzimy to samo, co i w okresie konstytucyjnym, i tu i tam główną sprawą jest zwyczajna walka między republikańcami i rojalistami. Ruch zaś sam streszcza demokraci w jednym hasle: „reakcja“ — noc, w której wszystkie koty są szare i która pozwala recytować właściwe im i stróżom nocnym trywialności. I rzeczywiście, na pierwszy rzut oka widać w partii porządku zlepek różnych rojalistycznych frakcyj, z których każda pragnęła posadzić na tron swego pretendenta a wykluczyć kandydata przeciwnej partii, intryguje przeciw współzawodniczkom, a równocześnie łączy się z niemi we wspólną nienawiść i wspólnych zaczepkach przeciwko „rzeczypospolitej.“ Montagne, w przeciwieństwie do tej rojalistycznej konspiracji występuje jako przedstawicielka „rzeczypospolitej.“ Partja porządku jest nieustannie zajęta „reakcją“, która zupełnie tak samo, jak w Prusiech, skierowaną jest przeciwko prasie, stowarzyszeniom itd., a przejawia się na sposób pruski w brutalnym policyjnym nadzorze ze strony biurokracji, żandarmeryi i sądu. Montagne walczy z owemi zaczepkami i broni „wiecznych praw człowieka“, podobnie jak to czyniła każda z tak zwanych partij ludowych mniej więcej już od półtora wieku. Przypatrzmy się wszakże bliżej sytuacji; a zniknie ów pozór, przysłaniający walkę klas i szczególną fizjognomję tego czasu.

Jak powiedzieliśmy wyżej, tworzyli legitymiści i orleańscy dwie wielkie frakcje partii porządku. Czy oprócz lilii i trójkolorowej wstęgi, domu Burbonów i domu orleańskiego, nie istniały inne jeszcze powody, dzięki którym osoby pretendentów cieszyły się przywiązaniem owych frakcyj, czy różne odcienie rojalizmu wystarczyło do stałego ich rozdwojenia?..

Za rządów burbońskich panowała wielka własność ziemska ze swymi klechami i lokajami, za Orleatów wielkie finanse, wielki przemysł, wielki handel, to jest kapitał ze swą armiją adwokatów, profesorów i krasomówców. Prawowite królestwo było tylko politycznym wyrazem dziedzicznego panowania wielkich właścicieli ziemskich, jak monarchija lipcowa stanowiła wyraz uzurpatorskiego panowania mieszczańskich parweniuszów. A więc nie tak zwane zasady rozłączały owe frakcje, ale warunki ich materialnego bytu, dwa różne rodzaje własności, było to odwieczne przeciwieństwo między miastem i wsią, rywalizacja kapitału i własności ziemskiej. Któż atoli zaprzeczy, że łączyły je również z każdym z domów królewskich stare wspomnienia, osobiste nienawiści, obawy i nadzieje, przesady i złudzenia, sympatje i antypatje, przekonania, artykuły wiary i zasady? Na różnych stopniach rozwoju własności, na podstawie społecznych warunków bytu, wznosi się cała budowa różnych i we właściwy sposób wytworzonych uczuć, złudzeń, przekonań życiowych i naukowych.

*) „Dziwna historia Piotra Schlemihla“ p. Chamisso. Jest to opowiadanie o człowieku, który cień swój sprzedał. [przyp. tłum.]

Cała klasa stwarza je i urabia z materyjalnych podstaw swego bytu i z odpowiednich stosunków społecznych. Pojedyncze indywiduum, otrzymując je przez tradycję i wychowanie, wyobraża sobie może że one stanowią prawdziwą przyczynę i punkt wyjścia jego działalności. Każda z dwóch frakcji zarówno orleaniści, jak legitymiści, starali się wmówić w siebie i w innych, że rozdziela ich przywiązanie do dwóch domów królewskich, ale fakty później dowiodły, że nie wierność dla władzców, lecz sprzeczne interesy przeszkadzały połączeniu dwóch domów królewskich. Wszak rozróżniamy w życiu prywatnym to, co dana osobistość sama o sobie myśli i mówi, od tego czym ona jest w rzeczywistości i co istotnie robi? o ileż więcej w historycznych walkach odróżniać należy frazesy i wyobrażenia partij od właściwego ich organizmu i realnych interesów, wyobrażenie, jakie mają o sobie od ich rzeczywistego obrazu. Orleaniści i legitymiści znaleźli się w Rzeczypospolitej obok siebie, wystawiali jednakże roszczenia. Jeżeli każdy obóz naprzekór drugiemu starał się przeprowadzić restaurację królewskiego domu, pod którego sztandarem walczył, znaczyło to tylko, że dwie wielkie odmienne kategorie, pomiędzy które rozłamują się interesy burżuazji — własność ziemska i kapitał — dażyły każda do zapewnienia sobie zwierzchnictwa i panowania nad drugą. Mówimy o dwóch interesach burżuazji, ponieważ wielka własność ziemska, pomimo kokietowania swym feudalizmem i dumy rasowej, stała się zupełnie mieszczańską w ciągu rozwoju współczesnego społeczeństwa. Tak samo Torysi w Anglii wyobrażali sobie przez długi czas, że czezą monarchiję, kościół i piękności staro-angielskiej formy rządu, dopiero w chwili niebezpieczeństwa wyznali, że czezą tylko rentę gruntową.

Sprzymierzeni rojalisci prowadzili intrygę przeciwko sobie w prasie, w Ems, w Claremont, poza obrębem parlamentu. Za kulami wkładali stare, orleańskie i legitymistyczne liberyje, by pusić się w harce turniejowe. Ale na otwartej scenie, w głównej państwowej akcji, oddawali czołobitność swym domom królewskim i odkładali restaurację monarchii *ad infinitum*. Wykonywali oni swe właściwe czynności, jako partya porządku, t. j. pod społecznym, a nie politycznym tytułem, jako przedstawiciele burżuazyjnego porządku rzeczy, nie jako rycerze wędrownych księżniczek, jako klasa burżuazji przeciwko innemu klasom, nie zaś jako rojalisci przeciwko republikanom. Rojalisci występując jako partya porządku, rządząca w parlamencie, dawali się srożej we znaki innym klasom społecznym, niż kiedykolwiek za czasów restauracji lub za lipcowej monarchii, twarde ich rzady miały wprawdzie obłonkę parlamentarnej Rzeczypospolitej, gdyż tylko w tej formie mogły się złączyć dwa wielkie oddziały francuskiej burżuazji, postawić na porządku dziennym panowanie swej klasy, zamiast rządu uprzywilejowanej frakcji. Jeżeli pomimo to, jako partya porządku, obrzucali oni obelgami Rzeczypospolitą, przejawiając swój wstręt do niej, działo się to nie tylko z powodu wspomnień rojalistycznych. Uczył ich instynkt, że Rzeczypospolita, oddając polityczne panowanie w ich ręce, podkopuje zarazem jego społeczną podstawę, zmuszając ich do spotkania się oko w oko z uciemiężonymi klasami, do bezpośredniej walki z nimi, podczas kiedy dawniej blask korony zakrywał właściwą klasę rządzących, pozwalał narodowy interes wpleść do walk partyjnych i buntów

przeciw władzy królewskiej. Uczucie słabości cofać im się kazało przed wyraźnym zaznaczeniem swego klasowego panowania, tęskniła za mniej doskonałymi, mniej rozwiniętymi, a więc i mniej ryzykownymi formami tego panowania. Ile razy wszakże sprzymierzeni rojalisci starli się ze stojącym naprzeciwko nich pretendentem Bonaparte, w obawie, że ich parlamentarnej wszechpotężności grozi niebezpieczeństwo ze strony władzy wykonawczej, ile razy wskazać mieli na uzasadnienie polityczne swego panowania, zawsze występowali w roli republikanów, nie rojalistów, zazwyczaj od orleanisty Thiers'a, który ostrzega zgromadzenie narodowe, że przy innej formie rządu, jak republikańska, mniej solidarnie występować mogą składające je żywioły, a skończywszy na legitymiste Berryer, który 2 gr. 1851 r., opasawszy się trójkolorową wstęgą, przemawia jako trybun w imieniu Rzeczypospolitej do ludu, zebranego przed merostwem X-go okręgu. Wprawdzie echo odpowiada mu drwiąco: Henryk V-ty!.. Henryk V-ty... — ale on na to nie zważa.

Przeciwko sprzymierzonej burżuazji utworzył się związek drobnych mieszczan i robotników, tak zwana socyjalno-demokratyczna partya. Drobnym mieszczanem spostrzegł, że po dniach lipcowych 1848 r. źle zostali wynagrodzeni, że materyjalnie ich interesy są w niebezpieczeństwie a demokratyczne gwarancje, które zapewnić miały uwzględnienie owych interesów, zakwestyjonowała kontrrewolucja. Zbliżyli się przeto do robotników. Ich zaś parlamentarna przedstawicielka, partya Montagne, usunięta na stronę podczas dyktatury burżuazyjnych republikanów, zdobyła poprzednio zatraconą popularność, w drugiej połowie egzystencji konstytuancy, przez walkę z Bonapartem i rojalistycznymi ministrami. Weszła ona w związek z przywódcami socyjalistycznymi. W lutym 1849 roku wydawano pojedynczo uczty. Wspólny program został nakreślony, utworzono wspólne komitety wyborcze i postawiono wspólnych kandydatów. Socyjalnym żądaniom proletaryjatu odłamanemu rewolucyjne ostrze i nadano im demokratyczny kierunek, a demokratyczne roszczenia małowieszczaństwa czysto polityczne ubrano w socyjalistyczne szaty. Tak powstała socyjalna demokracja... Wynik tej kombinacji, nowa Montagne, zawierała, wyjawszy kilku figurantów z klasy robotczej i kilku socyjalistycznych sekciarzy, te same elementy, co i dawna, tylko w większej ilości. Ale z biegiem okoliczności zmieniła się ona wraz z klasą, którą reprezentowała. Szczególny charakter socyjalnej demokracji streszcza się w żądaniu utworzenia demokratyczno-republikańskich instytucji, jako środków, mających na celu nie zniesienie dwóch ostateczności: kapitału i płatnej pracy, ale osłabienie istniejących między nimi przeciwieństw i zmianę ich na harmoniję. Treść zostaje zawsze ta sama, jakkolwiek różniami byłyby drogi, proponowane dla osiągnięcia celu. Treścią tą jest przekształcenie społeczeństwa na demokratyczny sposób, ale przekształcenie w granicach mało-mieszczanstwa. Nie należy jednak wyobrażać sobie, że mało-mieszczanstwo chce zasadniczo przeprowadzić swój egoistyczny interes klasowy. Wierzy ono raczej, że specjalne warunki jego oswobodzenia są ogólnymi warunkami, które jedynie uratować mogą społeczne społeczeństwo i usunąć walkę klasową. Również nie trzeba wyobrażać sobie, że wszyscy demokratyczni reprezentanci są lub mają za ideał *shopkee-*

pers*). Mogą oni stać o całe niebo wyżej przez swe wykształcenie i indywidualną pozycję. Przedstawicielami drobnego mieszczaństwa czyni ich to, że w pojęciach nie podobna im przejść poza sferę, której mieszczanin w życiu nie przekracza, że więc teoretycznie dochodzą oni do tych samych postulatów, co drobnomieszczanin i znajdując na takowe to rozwiązanie, do jakiego doprowadza go praktycznie materyjalny interes i stanowisko społeczne. Takim jest wogóle stosunek politycznych i literackich przedstawicieli do klasy, którą reprezentują.

Po tem wytłomaczeniu rozumie się samo przez się, że jakkolwiek Montagne ustawicznie walczy z partją porządku o rzeczpospolitą i o tak zwane prawa człowieka, z tem wszystkiem atoli ani rzeczpospolita, ani prawa człowieka nie stanowią jej ostatecznego celu, podobnie jak wyłącznym celem wojska podczas toczącej się kampanii nie jest jedynie opór wobec przeciwników, pragnących je rozbroić.

Partya porządku zaraz po zagajeniu obrad zgromadzenia narodowego rzuciła rękawicę Montagne. Burżuazja uczuwała teraz potrzebę skończyć ostatecznie z demokratycznymi mało-mieszczanami, tak samo, jak przed rokiem uważała za konieczne uporać się z rewolucyjnym proletaryjatem. Ale obecna sytuacja była odmienną od poprzedniej. Siła proletaryjatu przejawiała się na ulicy, siła zaś drobnych mieszczań była w samym zgromadzeniu narodowym. Należało ich tedy w sposób zręczny wyprowadzić z sali obrad na ulicę i dać im samym złamać własną parlamentarną potęgę, póki czas i okoliczności nie utrwaliły jej jeszcze. Montagne rzuciła się na osłep w pułapkę.

Bombardowanie Rzymu przez francuskie wojska było taką przynętą, naruszało bowiem artykuł V konstytucji, który zabraniał francuskiej Rzeczypospolitej używać swych sił wojennych przeciwko swobodzie innego narodu. Przytem wedle artykułu IV władza wykonawcza nie mogła wypowiedzieć wojny bez zgody zgromadzenia narodowego, a zgromadzenie, jak wiadomo, uchwałą z dnia 8 maja nie uznało wyprawy rzymskiej za słuszną. Opierając się na tem, Ledru-Rollin złożył 11 czerwca 1849 akt oskarżenia przeciw Bonapartemu i jego ministrom. Podbudzony przez Thiersa, który, jak osa, klął go swymi zjadliwymi słowami, rzucił nawet w uniesieniu pogroźkę, że będzie bronił konstytucji wszelkimi środkami, choćby z bronią w ręku. Montagne powstała wówczas, jak jeden mąż i powtórzyła ten okrzyk bojowy. 12-go czerwca zgromadzenie narodowe odrzuciło akt oskarżenia i Montagne opuściła parlament. Wypadki 13 czerwca są powszechnie znane: wydany został manifest odłamu partji Montagne, w którym ogłaszało się, że Bonaparte i jego ministrowie są „wyjęci z pod praw konstytucji“, potem odbyła się procesja uliczna demokratycznych gwardzystów narodowych, którzy wystąpiwszy bez broni, rozpierzchli się przy pierwszym spotkaniu z wojskami Changanier'a itd. itd. Jedni z Montagne uciekli za granicę, drudzy zostali oddani pod sąd w Bourges, resztę zaś wedle uchwały parlamentu oddano pod bakalarski nadzór prezydenta zgromadzenia naro-

dowego. W Paryżu zaprowadzono stan oblężenia, a demokratycznej części gwardji narodowej udzielono dymisyj. W ten sposób zostały złamane wpływy Montagne w parlamencie, a siła drobnomieszczaństwa w Paryżu.

W Lyonie, gdzie 13-ty czerwca był sygnałem do krwawego powstania robotników, i w pięciu sąsiednich departamentach ogłoszono stan oblężenia i stan ten trwa po dziś dzień.

Większość Montagne opuściła swą przednią straż, nie chcąc podpisać manifestu. Prasa rzuciła się do dezercji, gdyż tylko dwa dzienniki odważyły się ogłosić owo *pronunciamento*. Mało-mieszczaństwo zdradziło swych przedstawicieli, gwardziści bowiem nie tylko nie wzięli należytego udziału w demonstracji, lecz nawet niszczyli świeżo postawione barykady. Przedstawiciele naodwrot oszukali drobne mieszczaństwo. Oglądało się ono napróżno za sprzymierzonymi oddziałami armii, o których pomocy reprezentanci zapewniali drobną burżuazję. Wreszcie demokratyczna partja, zamiast znaleźć w sile proletaryjatu oparcie, zaraziła go tylko swą słabością. To też — jak zwykle bywa w chwilach demokratycznych bohaterstw — przewodźcy drobnomieszczaństwa mogli teraz z całą satysfakcją obwiniać swój „lud“ o dezercję, lud zaś z niemniejszym zadośćuczynieniem obwiniał swych przewodźców o oszustwo.

Rzadko która działalność była z większym hałasem zapowiadana, jak owa właśnie kampanja Montagne, rzadko kiedy roztrąbiano z większą pewnością siebie, przedwcześnie, niechybnie zwycięstwo w chwili stanowczej. Demokraci oczywiście wierzą mocno w trąbę, od których przeraźliwego dźwięku runęły mury jerychońskie. To też ilekroć tylko mają przed so a mury despotyzmu, zawsze starają się sprowadzić powtórnie ów cud sławny. Skoro Montagne chciała zwyciężyć w parlamencie — nie należało jej w sali obrad podnieść wojennego okrzyku; lecz gdy już raz w parlamencie padło hasło: „Do broni!“ — wówczas nie trzeba było zachowywać się parlamentarnie na ulicy. Jeżeli rzeczywście miała to być tylko pokojowa demonstracja, to trudno było nie przewidzieć, że przyjęta ona będzie przez wodzów jako krok wojowniczy. Skoro zaś zamierzano na prawdę waleczyć — to postąpiono bądź co bądź oryginalnie, nie biorąc broni, którą miano waleczyć. Okazuje się tedy, że rewolucyjne pogroźki mało-mieszczaństwa i jego demokratycznych przedstawicieli są to po prostu próby nastraszenia przeciwnika. W chwili stanowczej jednak, kiedy kompromitacja zaszła za daleko i potrzeba przystąpić do wykonania swych pogroźek, w chwili takiej poczyną się postępować w sposób dwuznaczny, unikając środków, wiodących wprost do celu, i szukając pretekstów do przegranej. Grzmiąca, hałaśliwa uwertura, zapowiadająca walkę, zmienia się w ciche mruczenie; przed samem rozpoczęciem walki, aktorowie przestają traktować rzecz *au sérieux* i akcja niknie, maleje i kurczy się, jak napełniony powietrzem balon, którego powierzchnię przekłuto igłą.

Żadna partja nie przecenia w ten sposób swych środków, jak demokratyczna, — jak najmniej żadna nie myli się tak łatwo w rozbiorze sytuacji. Część armii głosowała za Montagne, wystarczało to partji, żeby uwierzyć, że armija pójdzie za jej przykładem. Lecz jakież podano powód powstania? Oto taki, który z punktu widzenia wojska nie mógł być inaczej tłomaczony, jak tylko, że rewolucyjno-

*) Drobny kupiec.

niści biorą stronę włoskich żołnierzy w Rzymie przeciwko armii francuskiej. Przytem wypadki czerwcowe 1848 stały jeszcze świeżo w pamięci, niechęć proletaryjatu do gwardyi narodowej była zbyt głęboka, przewódcy zaś tajnych stowarzyszeń odnosili się z niedowierzaniem do przedstawicieli demokracji. Tylko w imię ważnych, wspólnych interesów można było usunąć te różnice, naruszenie zaś abstrakcyjnego paragrafu ustawy krajowej nie mogło przedstawiać takiego interesu. Czyliż bowiem nie naruszano już kilkakrotnie ustawy, jak to zapewniali sami demokraci? Czyliż najpopularniejsze dzienniki nie napiętnowały tej ustawy, jako rozporządzenie reakcyjne? Ale demokraci, przedstawiający małomieszczaństwo, a zatem klasę przejściową, w której stępują się ostrza wrogich sobie interesów proletaryjatu i wielkiej burżuazji uważa się za wyższego nad wszelki wogóle kont. ast klasowy. Demokraci przyznają, że na przeciw nich stoi uprzywilejowana klasa, powtarzają jednak, że sami — z resztą narodu — tworzą „lud.“ Jeżeli bronią czego, to tylko praw ludu; jeżeli ich cokolwiek obchodzi, to jedynie interesy ludu. Pocóż im tedy badać interesy i położenie różnych klas w chwili groźnej, po co zbyt skrupulatnie obliczać swe własne siły? Wystarczy tylko dać znak, by lud ze wszystkimi swemi niewyczerpanymi siłami rzucił się na ciemniźcicieli. A kiedy wreszcie okazało się, że interesy ich nie są wcale interesującymi, a siła ich bezsilną, wówczas składa się winę bądź na zgubnych sołtów, którzy nierozdzielny lud dzieli na rozmaite nieprzyjazne sobie obozy, bądź na armię zbyt zezwierzeconą i zaślepioną, żeby mogła pojąć, że demokracja chciała jej własnego dobra, albo tłómaczyć się, że całość rozbiła się o jakiś szczegół w wykonaniu, albo nareszcie, że jakiś nieprzewidziany wypadek zniweczył na razie sprawę. Słowem demokraci wychodzi zawsze choćby z najhambiejszej kleski bez znamię i tak niewinnie, jak niewinnie przystępował do dzieła, z nieśmiertelnym przekonaniem, że zwyciężyć musi i nigdy mu na myśl nie przyjdzie, żeby on i jego partya zejść miały z dawnego stanowiska, przeciwnie, wierzy on mocno, że raczej okoliczności dojrzają i zastosują się do tego stanowiska.

Nie trzeba więc wystawiać sobie, że zdziśiatkowana, złamana i upokorzona przez nowy regulamin parlamentary Montagne była istotnie bardzo nieszcześliwa. 13-ty czerwca usunął wprawdzie jej przywódców, ale natomiast otworzył on pole dla podrzędnych zdolności, którym pochlebiało nowe stanowisko. Ponieważ nie podobna już było wąpielić w bezsilność demokratów w parlamencie, przeto czuli się oni zupełnie uprawnieni poprzestać na wybuchach moralnego oburzenia i hałaśliwych deklamacjach. Partya porządku udawała, że widzi w nich, jako w ostatnich oficjalnych przedstawicielach rewolucyi, uzmysłowione wszelkie okropności anarchii, to rozwiązywało im ręce — wobec takich zarzutów mogli być teraz śmiało jeszcze bardziej płaskimi i skromnymi. Po klesce 13 czerwca ludzie ci pocieszają się wykrzyknikami: Ho, ho, niechaj się tylko poważa nadweryżć ogólne prawo wyborcze, wówczas zobaczymy! Wówczas pokażemy im, kto jesteście! *Nous verrons.*

Co do członków Montagne, którzy uciekli za granicę, wystarczy tu wspomnieć, że Ledru-Rollin, któremu, jako wodzowi, udało się zgubić bezpowrotnie w przeciągu dwóch tygodni potężną party-

ję, czuł się teraz w prawie utworzyć francuski rząd *in partibus*. Postać jego na obczyźnie, usunięta z placu działalności, zdawała się rosnąć w miarę obniżania się poziomu rewolucyi i karłowacenia oficjalnych przedstawicieli oficjalnej Francyi. Ogłaszał on peryjodycznie okólniki do Wołochów i innych ludów i w okólnikach tych groził despotom kontynentu swymi i swych sprzymierzeńców czynami. Nie miało Proudhon trochę racyi, wołając do tych panów: *Vous n'êtes que des blagueurs..*

Partya porządku w dniu 13 czerwca nie tylko zniszczyła Montagne, lecz zarazem wymogła na Izbie ustawę, w myśl której konstytucja podporządkowana być miała uchwałam większości zgromadzenia narodowego. Rzeczpospolita wedle jej pojmowania miała być niczem innem, jak tylko parlamentarna forma rządów burżuazji, nieograniczoną, jak w monarchii, przez *veto* siły wykonawczej lub rozporządzenie rozwiązania parlamentu. Była to zatem parlamentarna rzeczpospolita, jak ją nazywał Thiers. Lecz czy burżuazja zapewniając sobie 13-go czerwca wszechpotęgę w parlamencie, zapomocą usunięcia z Izby najpopularniejszej części zgromadzenia, nie zdyskredytowała sama siebie, nie osłabiła nieuleczalnie parlamentaryzmowi wobec władzy wykonawczej i ludu? Oddając bez wszelkiej ceremonii licznych deputatów w ręce straży wojskowej, zniszczyła ona tem samem parlamentarną nietykalskość. Upokarzający regulamin, któremu Montagne poddać się musiała, o tyle wywyższa prezydenta rzeczpospolitej, o ile z drugiej strony poniża każdego przedstawiciela ludu. Piętnując każde powstanie w celu obrony konstytucyjnej ustawy jako anarchistyczną i mającą na celu obalenie społeczeństwa działalności, odcinając sobie samej odwrót. W razie gdyby władza wykonawcza, działając przeciwko parlamentowi, naruszyła konstytucję, rząd parlamentarny nie mógł już po tem wszystkim dać hasła do powstania. Jakby dla ironii dziejów zwrócono się do generała Oudinota, który z polecenia Bonapartego bombardował Rzym i dał w ten sposób bezpośredni powód do konstytucyjnego buntu 13-go czerwca, zwrócono się tedy do niego, błagając go napróżno, aby przyjął ofiarowane mu przez partję porządku stanowisko generała konstytucyi przeciwko Bonapartemu. Innego bohatera 13-go czerwca Vieyra, obśypywano z trybuny zgromadzenia narodowego pochwałami za brutalne napaści w izbach redakcyjnych demokratycznych dzienników, spełniane na czele płatnej przez finansistów zgrai gwardzystów narodowych. Ten sam Vieyra wtajemniczonym był później w spisek Bonapartego i w chwili, kiedy zgromadzenie narodowe w ostatniej godzinie swego istnienia najwięcej potrzebowało pomocy ze strony gwardyi, odcinął mu możność korzystania z niej.

13-ty czerwca miał jeszcze inne znaczenie. Montagne chciała pociągnąć Bonapartego do odpowiedzialności. Porażka jej była więc bezpośredniem zwycięstwem Bonapartego, osobistym jego tryumfem nad demokratycznymi nieprzyjaciółmi. Partya porządku wywalczyła zwycięstwo, do Bonapartego należało skorzystać z niego. Tak się też stało. 14-go czerwca na murach Paryża pojawiła się proklamacja, w której prezydent, z rzekomą niechęcią, niby zmuszony siłą wypadków, występuje ze swej klasztornej samotności, skarży się na niesłuszne oszczerstwa swych przeciwników i utożsamiając na pozór swoją osobę ze sprawą porządku, w istocie utożsamia sprawę porząd-

ku z własną osobą. Przytem dodać należy, że jakkolwiek zgromadzenie narodowe dopiero później wyprawę przeciw Rzymowi za słuszną uznało, z tem wszystkiem jednak Bonaparte był inicjatorem takowej: wprowadziwszy do Watykanu arcykapłana Samuela, mógł się spodziewać, że jako król Dawid wkroczy do Tuillerów. Pomoc kłechów była zapewniona.

Jak widzieliśmy, bunt z 13-go czerwca zeszedł do rzędu pokojowej procesy ulicznej. Występując przeciw niej zbrojnie, nie można było chyba myśleć o zwycięskich laurach. Nie przeszkadzało to jednak partji porządku — w tym ubogim w bohaterów i wypadki okresie — przypisać onej bitwie bez krwi przelewu doniosłości drugiego Austerlitz. Trybuna i prasa wychwalały armję jako siłę porządku w przeciwstawieniu do mas ludowych, przedstawiających bezsilność anarchii; z Changarnier'a zrobiono „warownię społeczeństwa.“ W mistyfikacji tej sam on nareszcie uwierzył. Jednocześnie wypawiono z Paryża podejrzane korpusy wojenne, przerwano do Algieru pułki, które przy wyborach okazały się najbardziej demokratycznymi, niespokojne głowy z pośród wojska skazano do pułków poprawczych, wieszcie — postępując systematycznie — przecięto wzajemne stosunki prasy z koszarami, a koszar z mieszczańskim społeczeństwem.

W tem miejscu stanęliśmy wobec rozstygającego, kulminacyjnego momentu w historii francuskiej gwardji narodowej. W 1830 roku rostrzygnęła ona upadek restauracyi. Za Ludwika Filipa żaden bunt nie udał się, ilekroć gwardya narodowa była po stronie armii. Kiedy w dniach lutowych 1848 zajęła ona stanowisko bierne wobec powstania, a dwóznacze wobec Ludwika Filipa, ten ostatni uważał się za zgubionego. Wyrobiło się zatem przekonanie, że ani rewolucya bez gwardji, ani też armija, mając tę ostatnią przeciw sobie, zwyciężyć nie mogą. Była to przesadna wiara wojska w wszechpotęgę mieszczańską. Dni czerwcowe 1848 roku, kiedy to cała gwardya narodowa wraz z armiją stłumiła powstanie, umocniły ten przesąd. Po owładnięciu rządem przez Bonapartego, obniżyło się w pewnej mierze dotychczasowe stanowisko gwardji narodowej, Changarnier bowiem otrzymał, wbrew konstytucyi, obok dowództwa nad pierwszą wojenną dywizyją i naczelną komendę gwardji.

Jak dowództwo nad gwardją narodową zeszło do rządu atrybutu głównodowodzącego generała, tak i ona sama była teraz tylko dodatkiem do armii. 13-go czerwca nareszcie została złamaną i to nie tylko wskutek częściowego rozwiązania oddziałów, które się odtąd perjuryjodnie powtarzało w całym kraju i zostawiło z niej tylko resztki. Demonstracyja 13 czerwca była przede wszystkim demonstracyją demokratycznych oddziałów gwardji narodowej. Nie zaświeciły one wprawdzie w oczy armii bronią, lecz mundurami, a właśnie uniform ów był ich talizmanem. Armija przekonała się, że uniform ten jest wehnianym galganem, nie różniącym się w niczem od innych. Rozwiązał się tedy czar talizmanu. W czerwcu 1848 burżuazja i drobne mieszczaństwo, stanowiące gwardję narodową, sprzymierzyły się z armiją przeciwko proletaryatowi, 13 czerwca 1849 kazała burżuazja armii rozproszyć małowieszczańską gwardję narodową, 2 grudnia 1851 znikła wieszcie i gwardya burżuazyi; Bonaparte, podpisując później dekret rozwiązania oddziałów, stwierdzał

tylko fakt jej upadku. Tak więc od chwili, kiedy mało-mieszczaństwo, rzuciwszy stanowisko wasala burżuazyi, z tyłów jej przeszło naprzód i zajęło front rewolucyjny, ta ostatnia złamała sama swój oręż przeciwko armii, jak wogóle zniszczyć musiała własną ręką wszystkie środki obronne przeciwko absolutyzmowi w chwili, kiedy sama stała się absolutną.

Partya porządku świeciła tymczasem powrót do władzy, którą po to chyba straciła, w 1848 r., ażeby pochwycić ją napowrót w r. 1849, świeciła reakcyję, ciskając obelgi przeciwko rzeczypospolitej i konstytucyi, przeklinając wszystkie przyszłe, teażniejsze i przeszłe rewolucyje, nie wyłączając tych nawet, które urządzali obecni przywódcy partji porządku, i wydając piawa, z pomocą których nałożono kaganiec na piase, zniszczono asocjacyje i uregulowano stan oblężenia jako istotną, niezbędną instytucyję. Wkrótce potem zgromadzenie narodowe zawiesiło swe posiedzenie od połowy sierpnia do połowy października, zamianowawszy poprzecznie komisyję, na czas swej nieczynności. W ciągu tych feryj intrygowano, gdzie się tylko dało: legitymisi intrygowali z Ems, orleaniści z Claremont, Bonaparte podczas książęcych podróży, zaś radcy departamentów w zgromadzeniach, debatujących nad rewizyją ustawy krajowej. Odtąd taktyka ta, do której widać jeszcze, powtarza się regularnie podczas feryj parlamentu. W tem miejscu zwrócić tylko uwagę, że zgromadzenie narodowe postępowało nie politycznie, znikając na dłuższy czas ze sceny i pozostawiając na czele rzeczypospolitej tylko jedną — jakkolwiek małą — osobistość Ludwika Bonaparte, podczas gdy różnorodne rojalistyczne składniki partji porządku, żrąc się wzajemnie — ku zgłoszeniu publiczności — dawały folę swym sprzecznym, restauracyjnym popędom. Ilekroć podczas feryj gwarlamentu milknął, a ciało jego rozpyływało się w narodzie, widocznem było, że jednego tylko brakuje do wykonczenia prawdziwej postaci rzeczypospolitej, oto: uwiecznienia feryj parlamentu i zamiany dewizy: *liberté, égalité, fraternité*, na wcale niedwuznaczną: *infanterie, cavalerie, artillerie*!

IV.

W połowie października 1849 r. zgromadzenie narodowe znów rozpoczęło swe obrady. 1-go listopada Bonaparte zgotował ciętu prawodawczemu niespodziankę, zawiadamiając o zdymisyjonowaniu ministeryjum Barrot-Falloux i o utworzeniu nowego. Nigdy nie wypędzono tak bez ceremonii lokajów ze służby, jak to czynił Bonaparte ze swemi ministrami. Kopnięcie nogą, przeznaczone w przyszłości dla zgromadzenia narodowego, dostało się tymczasem Barrot'owi et Comp.

Ministeryjum Barrot było — jak widzieliśmy — złożone z orleanistów i legitymistów. Bonapartemu było ono potrzebne, w celu rozwiązania republikańskiej konstytuanty, urządzenia wyprawy na Rzym i złamania partji demokratycznej. Za plecami tego ministeryjum schował się on był pozornie, odstąpił władzę partji porządku i włożył skromną maskę, którą za Ludwika Filipa nosił odpowiedzialny redaktor prasy, maskę *homme de paille*. Teraz zrzucił on tę maskę, wszak przestała ona być lekką zasłoną, pod którą mógł

skryć swą fizyonomiję, a stała się maską żelazną, przeszkadzającą mu pokazać właściwe oblicze. Ministerjum Barrot miało rozbić w imieniu partji porządku republikańskie zgromadzenie narodowe; teraz odprowadził je, żeby zmanifestować swą niezależność wobec tej partji.

Powodów do dymisji nie brakło. Ministerjum Barrot nie przestrzegało form przyzwoitości, któreby wskazywały na prezydenta Rzeczypospolitej, jako na siłę, niezależną od zgromadzenia narodowego. Podczas feryj parlamentu opublikował Bonaparte list do Edgara Ney'a, w którym zdawał się nie pochylać liberalnego wystąpienia papieża; w innym liście, na przekór konstytucji, chwalił Oudinot'a za napad na rzymską Rzeczpospolitą. Kiedy potem zgromadzenie narodowe uchwaliło budżet na pokrycie kosztów rzymskiej wyprawy, Victor Hugo, mniemanym liberalizmem powodowany, podniósł kwestyję owego listu. Partja porządku zaprzeczyła twierdzeniu, jakoby pomysły Bonaparte'go mogły mieć jakiegokolwiek polityczne znaczenie, wśród krzyków pogardliwego powątpiewania. A żaden z ministrów nie podniósł rzucanej rękawicy w obronę prezydenta! Innym znów razem wyraził Barrot z trybuny — z właściwą mu pustą patetycznością — swe oburzenie z powodu „ohydnych knowań“, praktykowanych — wedle słów jego — przez najbliższe otoczenie prezydenta. Wreszcie ministerjum odrzucało każdy wniosek w sprawie podwyższenia listy wydatków prezydenta, wymogło natomiast na zgromadzeniu narodowym nadanie pensji wdowie dla księżny orleańskiej. Ażaliż nie wiedziało ono, że w osobie Bonaparte'go złączył się cesarski pretendent tak ściśle ze zbankrutowanym awanturnikiem, że party jedną wielką ideą powołania do restauracji cesarstwa, nie zaniedbywał uzupełnić jej drugą, wedle której naród francuski powołanym był do gorliwego płacenia jego długów?!

Ministerjum Barrot-Falloux było pierwszym parlamentarnym ministerjum, powołanem do życia przez Bonaparte'go. Rozwiązanie onego tworzy zatem decydujący moment zwrotny.

W niem straciła bezpowrotnie partja porządku niezbędną postępek dla utrzymania parlamentarnego rządu, kierownictwo władzą wykonawczą. Łatwo pojąć, że w takim kraju, jak Francja, gdzie siła wykonawcza rządząca armiją urzędników, wynosząca przeszło pół miliona ludzi, utrzymuje zawsze w bezpośredniej zależności masę interesów i egzystencji; gdzie państwo ogarnia, reguluje i spełniając rolę nadzorcę, pilnuje i rozkłada opiekę swą nad mieszczańskim społeczeństwem, poczynając od jego szerokiach przejawów życia, aż do najdrobniejszych poruczeń, od najogólniejszych spraw życia, do prywatnych interesów jednostek; gdzie pasożyt ów przez nadzwyczajną centralizacyję zdobywa sobie wszechobecność, wszechwiedzę, przyspieszoną energiję ruchu, które to objawy tam jedynie spostrzedz można, gdzie rzeczywisty organizm społeczny w bezładnej nieforemności pozbawiony samorządnej siły drzemie w beznadziejnej niezaradności, — łatwo pojąć, powtarzamy, że w takim kraju zgromadzenie narodowe, nie uprosiwszy poprzednio zarządu państwa przez ograniczenie i uszczuplenie biurokratycznej armii; nie zmusiwszy społeczeństwa mieszczańskiego i opinię publiczną do stworzenia własnych, niezależnych od siły panującej, organów wraz z prawem rozporządzania tekami minister-

jalnemi, musiało stracić wszelki wpływ na losy państwa. Lecz materialny interes francuskiej burżuazji jest właśnie najściślej związany z utrzymaniem owej szerokiej i rozgałęzionej maszyny państwowej. Wszak to tutaj umieszczana bywa owa część jej szeregów, dla której nie masz miejsca w obrębie produkcyjno-handlowych spraw, wszak w ten sposób burżuazja dopełnia w postaci rządowej pensji to, czego nie może ściągnąć do swych kieszeni w formie zysków, procentów, arend i honoraryjów. Z drugiej strony, polityczny interes zmuszał ją powiększać z każdym dniem represyje, innemi słowy środki i personal rządowy, a jednocześnie prowadzić ciągłą wojnę z opinią publiczną i ranić, paraliżować przebiegle samodzielne organy ruchu społeczeństwa, paraliżować je tam, gdzie się jej nie udało wykonać zupełnej amputacyi. Tak więc burżuazja francuska była zmuszona wskutek stanowiska klasowego niszczyć z jednej strony warunki życia każdej, a więc i parlamentarnej siły, z drugiej zaś uczynić niezwykcioną, wroga sobie siłę wykonawczą.

Nowe ministerjum nazywało się ministerjum d'Hautpoul. Nie dlatego, jakoby generał d'Hautpoul otrzymał urząd prezydenta gabinetu. Po odprawie Barrot'a zniósł Bonaparte ten urząd, który bądź co bądź skazywał prezydenta Rzeczypospolitej na legalną nicość konstytucyjnego króla, ale króla bez tronu i korony, berła i miecza, bez przywileju nieodpowiedzialności, nieograniczonego posiadania najwyższego urzędu państwowego, a co najfatalniejsze, bez listy cywilnej. Ministerjum d'Hautpoul posiadało tylko jednego męża ze zdolnościami parlamentarnymi, żyda Fould, jednego z najbardziej osławionych finansistów. Jemu to przypadła teka ministra finansów w udziale. Zajrzawszy do paryskich notatek giełdowych, zobaczymy, iż od 1-go listopada 1849 francuskie papiery podnoszą się lub spadają równocześnie z podnoszeniem się lub spadaniem bonapartystycznych akcyj. Zdobywszy w ten sposób sprzymierzeńca na giełdzie, Bonaparte pospieszył opanować policyję przez zamianowanie Carlier'a prefektem policyi w Paryżu.

Ale skutki zmiany ministerjum mogły się ukazać dopiero w dalszym przebiegu rzeczy. Przedewszystkiem Bonaparte robiąc krok naprzód, musiał go zamaskować — cofnął się tedy tem widoczniej. Po ostrym wystąpieniu nastąpiło w najwyższym stopniu służalcze oświadczenie swej uniżoności wobec zgromadzenia narodowego. Ilekroć ministrowie odważyli się na nieśmiałą próbę, wnosząc jego osobiste mrzonki jako projekty praw, zawsze mieli miny niechętne, wyglądali jak ludzie, których stanowiska zmuszają do wnoszenia zmiennych poleceń, o bezskuteczności których wiedzą z góry. Ilekroć Bonaparte za plecami ministrów wypowiadał swe zamiary i igrał ze swemi *idées napoléoniennes*, dyskredytowali go własni ministrowie z trybuny zgromadzenia narodowego. Zdawało się, że uzurpacyjne jego zachcianki głośne były chyba dlatego, iżby złośliwy śmiech jego przeciwników nie milknął ani na chwilę. On tymczasem zrywał się, jak geniusz zapoznany, którego świat cały głupcem nazywa. Zaiste nigdy nie zażywał on większej pogardy ze strony wszystkich klas, jak podczas tego okresu. Nigdy burżuazja nie panowała bezwzględniej, nigdy nie wystawiała ona z większą chępliwością insygniiów swego panowania.

Nie mam zamiaru pisać tutaj historii jej prawodawczej działal-

ności, która w okresie owym streszcza się w dwóch ustawach: pierwsza z nich przywraca podatek na wino, druga ustawa o nauczaniu, wymierzona przeciwko ateizmowi. Utrudniając francuzom picie wina, obdarzano ich natomiast tem obficie wodą prawdziwego życia. Ogłaszając na pierwszej ustawie stary, znienawidzony francuski system podatkowy za nietykalny, starała się burżuazja zapomocą drugiej zapewnić sobie dawne usposobienie umysłów mas, dzięki któremu znosiłyby one potulnie rozporządzenia fiskalne. Zaiste, zdumieć się można, widząc, jak liberalni burżuaz, ci starzy apostołowie Wolteryanizmu i eklektycznej filozofii — zgodnie z orleanistami — powierzają rząd nad umysłami francuskiego ludu swym plemiennym wrogom, jezuitom. Ale orleaniści i legitymiści jakkolwiek różnili się między sobą kiedy chodziło o pretendenta do korony, niemniej jednak rozumieli dobrze, że wspólne panowanie nakazywało im połączyć środki ucisku dwóch epok, że taktyka ujarzmienia z czasów lipcowej monarchii winna być uzupełnioną i wzmocnioną przez taktykę restauracji.

Włóścanie, którym niski stan cen zbożowych z jednej strony, z drugiej zaś rosł ciężar podatkowy i długi hypoteczne, więcej niż kiedykolwiek dawały się we znaki, we wszystkich swoich nadziejach zawiedzeni, poczęli się ruszać po departamentach. Odpowiedziano im szczeraniem nauczycieli, pozostających obecnie pod władzą duchownych, szczeraniem merów, nad którymi zapanowali prefekci i systemem szpiegostwa, które nad wszystkimi górowało. W Paryżu i wielkich miastach reakcja nosi na sobie cechę swej epoki i jest bardziej wyzywająca, aniżeli niszcząca. Na wsi natomiast staje się ona płaską, nikiemenną, drobnostkową, nużącą — słowem, przybiera postać żandarna. Łatwo pojąć, jak potężnie musiały zdemoralizować niedojrzałą masę 3 lata żandarmskich rządów, pobłogosławione przez klechów.

Mimo wylewu namiętności i deklamacyj, które grzmiąca partya porządku z trybuny zgromadzenia narodowego przeciwko mniejszości, zawsze można było słyszeć jedne i te same słowa; pod tym względem partya naśladowała monosylabiczną mowę chrześcijanina, którego słowa winny brzmieć: Tak, tak, nie, nie! Monosylabiczna była mowa zarówno trybun, jak prasy, a pusta, jak zagadka, rozwiązanie której naprzód jest nam znane. Bez względu na to, czy sprawa toczyła się o prawo podawania petycji, czy też o podatki na wino, o wolność prasy albo wolny handel, o kluby czy ustawę municypalną, o ochronę osobistej swobody albo uregulowanie gospodarki państwowej — hasło zawsze było jedno i to samo, ten sam temat i wyrok ten sam, gotowy w każdej chwili a opiewający: „socjalizm“! Socjalistycznym nazwano nawet burżuazyjny liberalizm, socjalistyczna była mieszczańska oświata, socjalistyczna mieszczańska reforma finansowa. Socjalistycznym było budować kolej żelazną tam, gdzie się już znajdował kanał, jak niemniej socjalistycznym było, jeżeli ktoś zaatakowany pałasem bronił się kijem.

A nie były to tylko czcze słowa, moda, polityka. Gdzie tam! Burżuazja rozumiała dobrze, że oręż, ukuty przez nią do walki z feudalizmem, zwrócił swe ostrze przeciwko niej samej, że środki, dążące do wykształcenia ludu, przez nią stworzone, rewolucjonizują jej własną cywilizację, że wszystkie bogi, które stworzyła, jej się

wyrzekły. Pojęła ona należycie, że wszystkie tak zwane mieszczańskie swobody, wszystkie organy postępu grożą jej panowaniu klasowemu, podmulając jej fundamenty społeczne i mierząc w wierchołek politycznego gmachu, wszystkie one zatem stały się teraz „socjalistycznymi“. W tej groźbie i w tych atakach odkryła ona słusznie tajemnicę socjalizmu, którego myśl przewodnią i kierunek trafniej ocenić umiała, aniżeli sam tak zwany socjalizm. Ten ostatni bowiem napróżno silił się pojąć, dlaczego burżuazja tak zatwardziała przed nim się zamyka, słysząc, jak kwili sentymentalnie nad bólami ludzkości, albo po chrześcijańsku obwieszcza tysiącletnie państwo niebieskie i ogólną miłość braterską, jak bzdurzy humanistycznie o inteligencji, wykształceniu, swobodzie, albo też opracowuje po doktrynersku system połączenia i dobrobytu wszystkich klas. Burżuazja atoli jednego zrozumieć nie mogła, oto tej prostej konsekwencji, że parlamentarne rządy, jak wogóle całe jej polityczne panowanie musiało być również, jako socjalistyczne, skazane na potępienie. Dopóki panowanie burżuazji, jako klasy, nie było w pełni zorganizowane, póki nie miało na sobie czysto politycznego stempla, póty i sprzeczności klasowe nie mogły wystąpić w jaskrawszem świetle, tam zaś, gdzie już wystąpiły, nie były w stanie nadąć walce z władzą państwową charakteru walki klasowej z kapitałem. Teraz, kiedy każdy żywszy ruch mas społecznych uchodził za objaw, zagrażający spokojowi publicznemu, mogła burżuazja pozwalać, ażeby na szczycie społeczeństwa utrzymywał się rząd, zagrażający spokojowi; jej własny rząd parlamentarny, który, według słów jednego z jej mówców, żyje w walce i przez walkę? Parlamentarne rządy oddychają dyskusyją, jakże więc mogą zabronić dyskusyj? Wszelki interes, każda społeczna instytucja w stosunkach parlamentarnych podnoszą się do znaczenia myśli ogółu i jako takie traktowane bywają, więc czyż mogą jakikolwiek interes lub instytucja stanąć ponad myślą ogółu i imponować jako artykuł wiary? Walka, tocząca się między mówcami w izbie zagrzewa do boju warchołów gazeciarskich, debatujący klub w parlamencie znajduje z konieczności swe uzupełnienie w klubach, debatujących po salonach i szynkach; reprezentanci, odwołujący się ustawicznie do opinii narodu, upowiadają niejako tę opinię do przedstawienia swych prawdziwych żądań w petycjach. Parlamentarne rządy pozostawiają wszystko decyzji większości, cóżby w tem tedy było dziwnego — gdyby potężne większości zechciały rozstrzygać i poza obrębem parlamentu? Jeżeli stojąc na szczycie państwa przygrywacie do tańca, to czyż możecie się spodziewać, że tłum, stojący na dole, nie puści się w tany?

Wyklinając jako plód socjalizmu to, co dawniej czcila, jako liberalne, burżuazja przyznaje tem samem, że własny interes nakazuje jej pozbyć się niebezpieczeństwa samorządu, że chcąc przywrócić porządek w kraju należy przedewszystkiem znieść parlament burżuazyjny i zniszczeniem własnej siły politycznej okupić swe panowanie jako siłą społeczną, że prywatni burżuaz wówczas jedynie mogą nadal wyzyskiwać inne klasy i cieszyć się spokojnie z własności, rodziny, religii i porządku, jeżeli klasa ich skazana będzie na taką samą nicość polityczną, w jakiej pozostają inne; że

wreszcie strzegąc worka, jak oka w głowie, będzie musiała złożyć swą koronę w obce ręce, a miecz, który ją miał bronić, odtąd jako miecz Damoklesa nad głową jej zawisnie.

Zgromadzenie narodowe było tak niedołężne w załatwieniu ogólnomieszczańskich interesów, że np. pertraktacje w sprawie parysko-awignonskiej kolei żelaznej, zaczęte w zimie 1850-go roku, nie były jeszcze ostatecznie ukończone 2 grudnia 1851. Poza obrębem ucisku, reakcji, było ono dotknięte nieuleczalną bezpłodnością.

Ministerjum Bonapartego wzięło na się po części inicjatywę praw w duchu partii porządku, po części zaś prześcigało ją w surowości, kiedy chodziło o wykonanie ustaw. Bonaparte tymczasem starał się za pomocą naiwno-bzdurnych wniosków zyskać popularność, zmanifestować swą odrębność względem parlamentu i wskazać na tajemniczą zastonę, kryjącą skarby, — ukazaniu których przed oczami narodu francuskiego stały na przeszkodzie nieprzyjemne okoliczności. Do rzędu wspomnianych wyżej wniosków należały: projekt podwyższenia podoficerom dziennej płacy o 4 sous i wniosek założenia honorowej kasy pożyczkowej dla robotników. Rozdawać pieniądze jedną ręką, drugą zaś ściągać, oto była perspektywa, za pomocą której spodziewał się zjednać sobie masy. Na obdarowywaniu z jednej strony, na ściąganiu podatków z drugiej polegała cała wiedza finansowa motłochu zarówno pańskiego, jak i pospolitego. Oto były główne sprężyny, które poruszał Bonaparte. Żaden chyba z pretendentów nie spekulował w sposób bardziej płaski na głupotę tłumów.

Zgromadzenie narodowe niejednokrotnie oburzało się, patrząc na te oczywiste próby zdobycia sobie popularności kosztem parlamentu; spodziewać się można było, że awanturnik, którego popychały naprzód długi, a nie wstrzymywała żadna uzyskana sława, — odważy się na krok rozpaczelwy. Wrogi rozdział między partją porządku i prezydentem poczał przybierać nawet groźny charakter, gdy nagle niespodziany wypadek rzucił go znowu skruszonego w jej objęcia. Mamy tu na mysli uzupełniające wybory z 10 marca 1850. Wybory te miały na celu obsadzić miejsca w Izbie, opróżnione po 13-tym czerwca wskutek uwieńień i banicji. W Paryżu z urny wyborczej wyszli sami socjalno-demokratyczni kandydaci. Największa ilość głosów padła na rewolucjonistę z dni czerwcowych 1848, Deflotte. W ten sposób zeniściło sprzymierzone z proletaryjatem małomieszczaństwo porażkę swą z 13 czerwca 1849. Znikało ono napozór w chwili niebezpieczeństwa z placu boju, żeby w stosownej chwili wystąpić z większą siłą, z silniejszym okrzykiem bojowym. Jedną okoliczność zwłaszcza zdawała się zwiększać niebezpieczeństwo tego zwycięstwa, odniesionego pr. w wyborach. W Paryżu głosowała armija za Deflotte przeciwko Lahitte, ministrowi Bonapartego, w departamentach zaś po większej części za Montagnardami, którzy i tu — wprawdzie nie tak stanowczo, jak w Paryżu — wzięli górę nad swymi przeciwnikami.

Bonaparte ujrzał się nagle znowu wobec rewolucji. I powtórzyła się dawna komedya: zarówno jak dawniej 29 stycznia 1849, 13-go czerwca 1849 roku, tak i teraz ukrył się za plecami partji porządku. Kłaniał się uniżenie, przeproszał pokornie, oświadczał, że gotów jest utworzyć na rozkaz większości Izby ministerjum

z wybranych przez nią ludzi, błagał nawet przywódców partji orleanistycznej i legitymistycznej — Thiers'ów, Berryer'ów, Broglie'ch, Mole'ów, słowem wszystkich tak zwanych burgrabów, ażeby ujęli w swe dłonie ster państwa. Partja porządku nie umiała skorzystać z wypadku tego. Nietylko że nie pochwyciła śmiało proponowanej jej władzy, ale nie zmusiła nawet Bonapartego, ażeby powołał napowrót zdemisyjonowane 1-go listopada ministerjum; upakując go przebaczeniem poprzestała tylko na dodaniu ministerjum d'Hautpoul pana Baroche. Baroche występował po dwakroć zaciekle jako publiczny oskarżyciel przed sądem w Bourges, przeciwko rewolucjonistom z 15-go maja i demokratom z 13-go czerwca; w obu wypadkach przedmiotem rozpraw był zamach na zgromadzenie narodowe. Żaden z ministrów Bonapartego nie przychylił się potem bardziej do poniżenia zgromadzenia narodowego. Po 2-gim grudnia 1851 spotykamy go znowu w charakterze wiceprezydenta senatu, pobierającego znaczną pensję. Plunął on po to tylko w kaszę rewolucjonistom, ażeby później Bonaparte ją zjadł.

Partja socjalno-demokratyczna tymczasem sprawiała wrażenie zwycięzcy, który szuka pretekstu do zakwestjonowania własnej wygranej i sam zatapia ostrze swej broni. Vidal, jeden ze świeżo wybranych reprezentantów paryskich, wyszedł jednocześnie z urny wyborczej w Strasburgu. Skłoniono go do uchylenia się od wyboru paryskiego, a przyjęcia natomiast mandatu strasburskiego. Lecz zamiast nadać stanowczy charakter swemu zwycięztwu i zniewolić tem samem partję porządku, do wrogiego wystąpienia w parlamencie, zamiast zmusić do walki przeciwnika w chwili rozentuzjowania ludu i przychylnego usposobienia armii, partja demokratyczna użyła Paryż przez marzec i kwiecień nową agitacją wyborczą, pozwoliła usmierzyć się rozbudzonemu namietnościom ludu w tej powtórej grze wyborczej, nasycić się rewolucyjnej sile konstytucyjnymi wygraniami i wyczerpać się w czczych deklamacjach i fikcyjnym ruchu, nie przeszkodziła wcale burżuazji zebrać się i przygotować do walki, na koniec była przyczyną upadku znaczenia wyborów marcowych, do których późniejszy kwietniowy wybór Eugenjusza Sue był sentymentalno-bezsilnym komentarzem. Jednem słowem, co zyskano w marcu, stracono w kwietniu.

Parlamentarna większość przejrzała słabość swego przeciwnika. Siedemnastu burgrabów Izby, którym Bonaparte pozostawił prowadzenie walki i odpowiedzialność za nią, wypracowało nowe prawo wyborcze. Projekt odośnej ustawy poruczono wnieść panu Faucher, pragnął on bowiem i prosił o dostąpienie tego honoru. Jakoż 8-go maja wniósł on w Izbie ustawę, na mocy której ogólne prawo wyborcze miało być usunięte, a jako warunek postawiono dla każdego wyborcy trzyletni pobyt w miejscu wyborów, przyczem poświadczenia odnośne dla robotników należały do pracodawców.

O ile rewolucyjnym był zapal, z jakim występowali demokraci podczas konstytucyjnej walki wyborczej, o tyle konstytucyjnymi byli teraz ich kazania o porządku, majestatycznym spokoju (*calme majestueux*), prawnej postawie, która nic innego oznaczać nie mogła, jak tylko ślepe poddanie się woli kontrrewolucji, panoszącej się w postaci prawa, a frazesy te wówczas najęściej padały, kiedy należało

z bronią w rękę poprzeć powagę zwycięstw wyborczych. Podczas dyskusyj zawstydzali montagnardzi partję porządku, przybierając wobec jej rewolucyjnej namietności, beznamietną postawę mężów prawych, stojących na gruncie legalnym i unicestwiających ją strasznem oskarżeniem, że działa rewolucyjnie. Nawet nowo wybrani postawie starali się dowiedzieć swem przywoitem i roztropnem postępowaniem, że niesłusznie okrzyczano ich za anarchistów, tłumacząc ich wybór jako zwycięstwo rewolucyi.

31-go maja przeszło nowe prawo wyborcze. Montagne zadowoloniła się protestem, który przemycaną drogą dostał się do kieszeni prezydenta. Po ustawie wyborczej zawotowano nową ustawę prasową, drugoczącą do reszty rewolucyjną prasę. Spotkał ją los zastużony. *National* i *La Presse*, dwie mieszczańskie gazety, były odąd najbardziej wysuniętymi naprzód placówkami rewolucyi.

Widzieliśmy, jak demokratyczni przewodnicy w marcu i kwietniu nie zaniedbali niczego, ażeby uwikłać lud paryski w fikcyjną walkę, jak po 8-ym maja czynili usiłowania, aby tylko wstrzymać go od rzeczywistej walki. Należy przytem pamiętać, że rok 1850 był jednym z najświetniejszych lat pod względem przemysłowym i handlowym, że zatem paryski proletaryjat miał podstatkami zajęcia. Teraz prawo wyborcze z dnia 31-go maja 1850 wykluczało go od wszelkiego współudziału w politycznej władzy. Zamknęło nawet przed nim plac boju. Straciło ono robotników znowu do rządu paryjsów, przywracając *status quo* z przed rewolucyi lutowej. Proletaryjat dając się wodzić demokratom na pasku w tak ważnej chwili, zapominając wśród chwilowego dobrobytu o rewolucyjnym interesie swej klasy, zrzekł się tem samem honoru, jaki mu zapewniało znaczenie jego, jako siły zdobywającej, poddał się swemu losowi; zaświadczył swem postępowaniem, że porażka w czerwcu 1848 uczyniła go niezdolnym do boju na długie lata. że historyczny proces musi tymczasem znowu odbywać się ponad głowami ludu. Co się zaś tyczy mało-mieszczańskiej demokracji, wykrzykującej w dniu 13-go czerwca: „ho, ho, niechno spróbują naruszyć powszechne głosowanie, pokażemy im wówczas...!“ — otóż co do demokracji, to pocieszała się ona teraz tem, że kontrrewolucyjny cios, zadany jej, nie jest ciosem, prawo zaś z 31 maja nie jest właściwie prawem. 2-go maja 1849 r. każdy francuz ukazał się na placu wyborów, trzymając w jednej ręce kartkę wyborczą, w drugiej zaś miecz ostry. Proroctwem takowem partja zadowolowała siebie sama.

Armija nakoniec ukarana została przez swych wodzów zarówno za wybory ostatnie w marcu i w kwietniu 1850, jak i za poprzednie z dnia 29 maja 1849. Tym razem jednak powiedziała ona sobie stanowczo: „nie oszuka nas rewolucya po raz trzeci.“

Prawo z 31 maja 1850 było *coup d'état* burżuazji. Dotyczyła-sowe jej zwycięstwa nad rewolucyją miały tylko prowizoryczny charakter. Mogły być po prostu zakwestyonowane, po ustapieniu obecnego zgromadzenia narodowego. Zależały bowiem od rezultatu nowych, powszechnych wyborów, a jak historia tych ostatnich od 1848 roku dowodzi niezbicie, w tym samym stosunku, w jakim rozwijało się faktyczne panowanie burżuazji, nikło jej moralne panowanie nad masami ludu. Powszechne prawo wyborcze okazało się

10 marca jako bezwarunkowo wrogie panowaniu burżuazji, to też burżuazja wydała nań wyrok śmierci. Ustawa wyborcza z 31 maja była zatem jednym z niezbędnych warunków walki klasowej. Z drugiej strony wedle praw konstytucyi, wybór prezydenta rzeczywistością był wówczas prawomocnym, jeżeli na kandydata padło najmniej dwa miliony głosów. Jeżeli żaden z pretendentów nie miał za sobą owego *minimum*, do zgromadzenia narodowego należał wybór prezydenta z pośród trzech kandydatów, którzy otrzymali największą ilość głosów. Wówczas kiedy konstytuanta uchwałała to prawo, 10 milionów wyborców stawało do urny, dosyć więc było jednej piątej głosów, ażeby wybór prezydenta uczynić prawomocnym. Ustawa z dnia 31 maja wykresliła co najmniej trzy miliony głosów z list wyborczych, ograniczyła zatem liczbę głosujących do siedmiu milionów, utrzymując jednak prawne *minimum* przyzyskane dwóch milionów w dawnej sile. W ten sposób podniosło się owo *minimum* z jednej piątej, niemal do jednej trzeciej głosów, innemi słowy niczego nie zaniedbano, ażeby wybór prezydenta przemycić z rąk ludu w ręce zgromadzenia narodowego. Tak więc zlawano się: że partja porządku dekretem wyborczym z dnia 31 maja, umocniła podwójnie swe rządy, pozostawiając wybór zgromadzenia narodowego i prezydenta osiadłej, najmniej rewolucyjnej części społeczeństwa.

V.

Niebawem po zakończeniu kryzysu rewolucyjnego i zniesieniu prawa powszechnego głosowania, walka między zgromadzeniem narodowem a Bonapartem rozpoczęła się na nowo.

Konstytucja naznaczyła Bonapartemu 600,000 franków pensyi. W pół roku po objęciu urzędu udało mu się o drugie tyle podwyższyć tę sumę. Odillon Barrot bowiem wymógł na zgromadzeniu narodowem roczny dodatek w kwocie 600,000 franków na pokrycie tak zwanych wydatków reprezentacyjnych. Po 13-tym czerwca wystąpił Bonaparte znowu z podobnemi żadaniami, nie znalazł jednak tym razem posłuchu u Barrot'a. Teraz po 31 maja, korzystając ze sprzyjającej chwili, polecił swym ministrom wystąpić w Izbie z wnioskiem podwyższenia cywilnej listy do sumy trzech milionów. Awanturniczy sposób życia, spędzonego na długoletniej włóczędce, rozwinał w nim zdolność korzystania z pomyślnych chwil, ażeby tylko wycisnąć z burżuazji pieniądze. Prowadził on formalny szantaż. Zgromadzenie narodowe zhańbiło, poniżyło władzę ludu przy pomocy i za wiedzą jego. Groził więc zadunucyjonowaniem zbrodni popełnionej przez parlament przed sądem narodu w razie, jeżeli burżuazja nie otworzy worka i nie okupi milczenia trzema milionami rocznej płacy. Czyliż bowiem zgromadzenie nie odebrało trzem milionom francuzów prawa głosowania? — więc jako zadośćuczynienie żądał on za każdego wycofanego z kursu francuza po jednym, pełnym kursu mającym franku, w sumie okragłe 3 miliony franków. On, wybraniec sześciu milionów obywateli, żąda dziś zapłaty za głosy, których go pozbawiła nowa ustawa wyborcza. Komisya parlamentu z niezem odprawiła natręta. Prasa bonapartystyczna uciekła się do gróźb. Nie było innej rady, jak podać rękę do zgody; czyliż bowiem mogło zgromadzenie narodowe zrywać z prezydentem

rzeczypospolitej wówczas, kiedy zerwało zasadniczo i ostatecznie z całą masą narodu? Odrzucono roczną listę cywilną, uchwalivszy natomiast jednorazowy dodatek do pensyi, wynoszący 2,160.000 fr. Zgromadzenie narodowe zgrzeszyło, jak widzimy, słabością podwójną, dało bowiem pieniądze, a nie mogąc ukryć nieukontentowania, do wiodło zarazem, że daje niechętnie. Zobaczymy później, na co Bonapartemu były potrzebne owe pieniądze. Po tym nieprzyjemnym finale, podczas którego Bonaparte zaraz po zgnieceniu prawa powszechnego głosowania, z pokornego — jakim był w marcu i kwietniu — zmienił się w wyzywającego swą bezczelnością, którą zaświecił w oczy uzurpatorskiej Izbie, zawieszono posiedzenia parlamentu na trzy miesiące, t. j. od 11 sierpnia do 11 listopada. Na czas feryj wybrano stałą komisję, złożoną z 18 członków zgromadzenia i nie posiadającą wespół siebie ani jednego bonapartysty. W skład jej weszło natomiast kilku umiarkowanych republikanów. Stała komisja z roku 1849 składała się jedynie z delegatów partyi porządku i bonapartystów. Wówczas atoli partya porządku zajęła była wrogie stanowisko względem rewolucyi. Teraz parlamentarna rzeczpospolita oświadczyła się przeciwko prezydentowi. Po wydaniu ustawy z dnia 31 maja partya porządku z tym ostatnim rywalem rozprawić się musiała.

Kiedy zgromadzenie narodowe zebrało się znowu w listopadzie 1850 r., dotychczasowe drobne utarczki z prezydentem zmienić się musiały z nieuniknioną koniecznością w bezwzględną walkę obu tych władz, w walkę o śmierć lub życie.

Jak w roku 1849, tak i podczas tegorocznych feryj parlamentarnych każda z pojedynczych frakcyj partyi porządku zajęta była swemi własnymi myślami restauracyjnymi, które rozbudziła tem silnie śmierć Ludwika Filipa. Legitymistyczny król, Henryk V, mianował nawet formalne ministerjum, rezydujące w Paryżu. W skład tego ciała weszli między innymi członkowie stałej komisji parlamentu. Wobec tego Bonaparte ze swej strony miał zupełne prawo objężdżać francuskie departamenty i stosownie do nastroju opinii publicznej w tem lub owem mieście, które uszczęśliwiał swą obecnością, propagować tu skrycie, tam mniej lub więcej otwarcie własne swe plany restauracyjne i zjednywać głosy dla siebie. Podczas tych podróży, o których zarówno wielki oficjalny *Monitor*, jak i małe prywatne monitory Bonapartego odzywały się z czcią, jak o pochodach tryumfalnych, asystowali mu nieodstępni członkowie Towarzystwa 10-go grudnia. Towarzystwo to datuje się od 1849 roku. Pod pretekstem utworzenia Towarzystwa dobroczynności, zorganizowano motłoch paryski w tajne sekcye, prowadzone przez bonapartystycznych agentów z bonapartystycznym generałem na czele. Obok zniszczonych hulaków, których środki utrzymania, zarówno jak i pochodzenie były podejrzane, obok zbankrutowanych do szczytu, awanturujących się latrosi burżuazyi znajdowali się tam włóczędzy, zdemisjonowani żołdacy, wypuszczeni na wolność kryminaliści, zbiegli galernicy, wydrwigrosze, linoskoki, próżniacy, złodzieje kieszonekowi, szulerzy, kuglarze, gospodarze domów publicznych, tragarze, katarzynkarze, gałganiarze, szlifierzy, kotlarze, żebracy — jednym słowem, cała pstra, nieokreślona, rozluźniona, na

wsze strony rzucana masa, którą francuzi nazywają *la Bohème*; wspólnie z tym pokrewnym mu elementem tworzył Bonaparte podstawę towarzystwa 10 grudnia. Zwało się ono „Towarzystwem dobroczynności“ dlatego chyba, że wszyscy jego członkowie z Bonapartem na czele czuli potrzebę „czynić dobrze“ ale dla siebie kosztem pracującego ludu. Bonaparte, zajmujący stanowisko szefa motłochu, tego motłochu, w interesach którego szef znalazł odbicie własnych dążeń, Bonaparte, który w tym motłochu, w tych wyrzutkach, śmieciach wszystkich klas widzi jedyną klasę, na której bezwarunkowo oprzeć się może, szef-Bonaparte jest zaiste prawdziwym Bonapartem, Bonapartem *sans phrase*. Stary, przebiegły szubrawiec zapatruje się na historyczne życie narodów, na działalność państwową, jak na komedję, w najordynarniejszym słowa znaczeniu, jak na maskaradę, gdzie sielskie kostjумы, słowa i pozy maskują tylko najnikczemniejsze łajdactwo. Komedję taką urządził on podczas pochodu swego do Strasburga, gdzie wyuczony sep szwajcarski przedstawiał napoleońskiego orla. Urządzając wjazd do Boulogne, przebrał on kilku lokajów londyńskich we francuski mundur i zrobił z nich przedstawicieli armii. W swem towarzystwie 10 grud. zgromadził 10,000 halastrą, mającej przedstawiać naród. W chwili, kiedy burżuazyja sama grała najzupełniejszą komedję, ale z najpoważniejszą miną w świecie, nie naruszając żadnego z surowych przepisów francuskiej etykiety dramatycznej, kiedy na polity oszukana, pełna była rzekomej wiary w uroczyść własnej działalności państwowej, w owej chwili musiał zwyciężyć awanturnik, pojmujący komedję po prostu, trywialnie, jako komedję. Dopiero, gdy pozbyl się swych uroczystych przeciwników, kiedy sam na seryo traktować poczał swą cesarską rolę, sądząc że przedstawia w napoleońskiej masce prawdziwego Napoleona, wówczas dopiero stał się on ofiarą swego na świat poglądu, blaznem na seryo, który otąd nie uważa historyi za komedję, ale odegrywanej przez się komedyi nadaje znaczenie historyi. Czem dla socjalistycznych robotników były warsztaty narodowe, a dla burżua-republikanów *gardes mobiles*, tem dla Bonapartego było Towarzystwo 10-go grudnia, stanowiące właściwą jego siłę bojową.

Podczas podróży szarlatana oddziały motłochu z „Towarzystwa“ zapelniały wagony kolei, towarzyszyły mu wszędzie; obowiązkiem ich było na dane hasło odgrywać rolę „publiczności“, wrzeszczeć: *vive l'empereur*, lżyć i tłuc republikanów, rozumie się pod ochroną policyi. Kiedy wracał do Paryża, najemna halastra tworzyła przednią straż orszaku, zapobiegała nieprzyjaznym demonstracyjom albo je rozpędzała. Towarzystwo 10-go grudnia należało do niego, było jego dziełem, jego własną myślą. Po za tem, wszystkie dzieła, wszystkie zdobycze nie są jego dziełami, ale trafem okoliczności; sam on, co najwyżej, zdobyć się umiał na kopiowanie czynów cudzych; wówczas tylko, kiedy w publicznych oficjalnych mowach prawi o porządku, religii, familii, własności, wobec zgromadzonych obywateli, mając poza placami swemi tajne Towarzystwo łotrów i szubrawców, Towarzystwo nieporządku, prostytucyi i złodziejstwa, wówczas jedynie — powtarzamy — Bonaparte jest oryginalnym, a historia Towarzystwa 10-go grudnia jest jego historyją.

Zdarzyło się raz przypadkiem, że kilku posłów z partyi porządku dostało ciągi od decembrystów. Co więcej, Komisarz policyi-

ny Yon, czuwający nad bezpieczeństwem zgromadzenia narodowego, doniósł komisji nieustającej, na podstawie zeznań niejakiego Alais, że jedna z sekcji decembrystów postanowiła zamordować generała Changarnier'a i Dupin'a, prezydenta Izby i rozdała w tym celu role pojedynczym indywiduom. Łatwo pojąć przerażenie pana Dupin. Wszystko to groziło parlamentarnemu śledztwem, które wyswieciłoby musiało tajemnicze zakulisowe bonapartystycznej szajki. Ale przeczony wódz szajki — Bonaparte — rozwiązał na krótki czas przed rozpoczęciem obrad parlamentu Towarzystwo dobroczynności, rozumie się tylko na papierze, gdyż jeszcze w końcu 1851 roku prefekt policyi Carlier starał się napróżno w obszernym memoriale skłonić go do rzeczywistego rozpedzenia decembrystów.

Towarzystwo 10-go grudnia miało być armią prywatną Bonapartego tak długo, póki nie udało mu się zamienić armii francuskiej w Towarzystwo 10 grudnia. Pierwszą w tym kierunku próbę Bonaparte uczynił wkrótce po zawieszeniu zgromadzenia narodowego, używszy na ten cel sumy, którą parlament, wskutek manewrów politycznych Napoleona, zmuszony był zawotować. Bonaparte, jako fatalista, był przekonany o istnieniu pewnych wyższych sił, którym człowiek, a mianowicie żołnierz, oprzeć się nie jest w stanie. Do tych wyższych sił zaliczał on w pierwszej linii cygara i szampa, z pieczysem za zimno i kielbasą z czosnkiem. Częstował tedy w apartamentach pałacu elizejskiego specyjalami tymi oficerów i podoficerów. 3-go października powtórzył ten sam manewr z masą wojska podczas rewii przy St. Maur, 10-go zaś października na większą jeszcze skalę podczas przeglądu wojska przy Satory.

Wujaszkwici stały w pamięci wojny Aleksandra w Azji, siostrzeńcowi natomiast zwyciężkie pochody Bachusa w tej samej części świata, Aleksander był wprawdzie półbogiem, ale cóż znaczył wobec Bachusa, który był bogiem i to bogiem opiekuńczym Towarzystwa 10-go grudnia.

Po rewii 3-go października komisya nieustająca pociągnęła do odpowiedzialności ministra wojny d'Hautpoula. Przrzekł on jej, że podobne wykroczenia przeciwko dyscyplinie nie powtórzą się więcej. Wspomnieliśmy właśnie, jak Bonaparte dotrzymał 10-go października przyrzeczenia ministra.

Podczas obu rewii dowodził Changarnier — jako naczelnik armii paryskiej. Changarnier, członek komisji nieustającej, dowódca gwardyi narodowej, „zbawiciel“ z 29 stycznia i 13-go czerwca, „filar społeczeństwa“, kandydat partyi porządku na godność prezydenta, nowoczesny Monk *) dwóch monarchij, nigdy dotychczas nie uznawał rozporządzeń ministra wojny, wysydział wciąż otwarcie republikańską konstytucję i niepokoił Bonapartego swą dwuznaczną protekcją. Teraz bronił zajądlę dyscypliny przeciwko ministrowi wojny i konstytucji przeciw Bonapartemu. Kiedy 10-go października część

*) Generał Monk — stojący pod rozkazami Cromwella — po piśmie protektorowi posłuszny, spustoszył podczas najazdu Szkocję. Po śmierci Olivera Cromwella pseudo-republikański ten generał przyczynił się głównie do restauracyi monarchii w Anglii. [przypisek tłumacza.]

kawalerii podniosła okrzyk: *vive Napoleon. vivent les saucissons!* — piechota, defilująca pod dowództwem Neumeyer'a, dzięki staraniom Changarnier'a zachowała grobowe milczenie. Minister wojny za namową Bonapartego pozbawił za to generała Neumeyer'a stanowiska w Paryżu, pod pretekstem odkomenderowania go jako naczelnika 14-tej i 15-tej wojennej dywizji. Neumeyer miejsca nie przyjął, musiał więc podać się do dymisji. Changarnier ze swej strony w rozkazie dziennym z 2 listopada wzbronil wojsku w razie jeżeli takowe znajduje się pod bronią, wszelkich politycznych okrzyków i demonstracyi. Elizejskie pisma napadły na Changarniera, organy partyi porządku wystąpiły przeciw Bonapartemu, komisya nieustająca wznowiła tajne swe posiedzenia, na których postawiono wniosek, ażeby ogłosić, iż ojczyzna znajduje się w niebezpieczeństwie; armia zdążyła się być podzieloną na dwa wrogie obozy, z których jeden znajdował się w pałacu Elysée z Bonapartem na czele, drugi zaś w Tuileries'ach, pod wodzą Changarnier'a. Zdawało się, że potrzeba tylko rozpoczęcia posiedzeń Izby, ażeby zagrzmiąło hasło do walki.

Francuska publiczność zapatrywała się na te utarczki między Bonapartem a Changarnier'em podobnie, jak pewien angielski dziennikarz, charakteryzujący je następującymi słowami: „Polityczne dziełki Francyi sprzatają starą miotłą rozżarzoną lawę rewolucyi, łajac się nawzajem podczas tej roboty.“

Tymczasem Bonaparte pospieszył złożyć z urzędu ministra wojny d'Hautpoula, wysyłając go co prędzej do Algieru i zamianować na jego miejsce generała Szramka. 12-go listopada wystosował on do Izby orędzie po amerykańsku rozwlekłe, przeladowane szczegółami, pachnące porządkiem, tętnące chęcią zgody, traktujące o rzeczach wszystkich i niektórych innych, tylko nie o *questions brûlantes* chwili. Jakby mimochodem zwraca on uwagę Izby, że według wyraźnych postanowień konstytucyi, jedynie prezydent republiki rozporządzać może wojskiem. Orędzie kończyło się jak następuje:

„Francya żąda przede wszystkim spokoju... Związany przysięgą, będę się trzymał ciasnych, zakreślonych mi przez nią granic... Co do mnie, to jako obrany przez lud i jemu tylko zawdzięczający swą władzę, będę zawsze poddawał się jego prawnie wyrażonej woli. Skoro uchwalicie, w ciągu tej sesyi rewizyjnej konstytucyi, natenczas konstytuujące zgromadzenie ureguluje stanowisko władzy wykonawczej. W przeciwnym razie naród ogłosi uroczyste swe postanowienie w roku 1852. Jakiegokolwiek atoli rozstrzygnięcia przyniosłaby nam przyszłość, dziś winniśmy się porozumieć i starać się, ażeby nigdy namiętność, traf niespodziany albo siła nie rozstrzygały o losach wielkiego narodu... Chodzi mi przede wszystkim nie o wzgląd, kto będzie rządził Francją w 1852 r., ale o zużytkowanie w ten sposób czasu, którym rozporządzam, iżby peryjod przejściowy po upływie 4-lecia przeszedł bez agitacyi i zaburzeń. Otworzyłem, pełen szczerości, serce przed wami, spodziewam się, że na otwartość ona odpowiecie swem zaufaniem. Za dobre me zamiary zaszczyćcie mnie waszą pomocą, reszta spoczywa w ręku boga.“

Przyzwolta, obłudnie umiarkowana, enotliwie trywialna mowa burżuazyi przybiera najwłaściwszą swą formę i typowy wyraz w u-

stach naczelnika Towarzystwa 10-go grudnia i bohatera pikników w St. Maur i w Satory.

Burgrabiowie partyi porządku nie łudzili się ani na chwilę co do zaufania, jakim odplacić miano tej serdecznej otwartości. Przy sięgom oddawna nie wierzyli, mieli bowiem pośród siebie weteranów mistrzowskich, wirtuozów w krzywoprzysięstwie; — wzmianka o armii nie przeszła również mimo ich uszu. Zauważyli przytem z nieukontentowaniem, że orędzie, wyliczając szczegółowo świeżo ustanowione prawa, przemilecza ostentacyjnie o najważniejszym — prawie wyborczem, a na wypadek, gdyby rewizja konstytucyi do skutku nie przyszła, wybór prezydenta na rok 1852 pozostawia do rozstrzygnięcia ludowi. Ustawa wyborcza była ołowianą kulą u nóg partyi porządku, ciężarzem jej nawet w zwyczajnym chodzie, a cóż dopiero w ataku! Prócz tego Bonaparte własną ręką zabił na ołtarzu ojczyzny koszty ofiarne, znosząc urządzenie Towarzystwo 10-go grudnia, dymisjonując ministra wojny d'Hautpoula. W ten sposób zapobiegł on zbyt ostremu starciu. Sama zresztą partyja porządku starała się lekko obęść, osłabić, zatrzeć wszelki stanowczy konflikt z władzą wykonawczą. W obawie przed utratą swych zwycięstw nad rewolucyją, pozwalała ona swym rywalom zbierać plony tych zdobyczy. „Francyja żąda przedewszystkiem spokoju“ — oto hasło, które partyja porządku przeciwstawiła rewolucyi, wygłaszając je stale od lutego 1848 r.; hasło to powtórzył teraz w swem orędziu Bonaparte i zwrócił je do partyi porządku. „Francyja żąda przedewszystkiem porządku.“ Postępowanie Bonapartego wskazywało wprawdzie na uzurpację, lecz z drugiej strony partyja porządku, powstając hałaśliwie przeciw tej uzurpacyi i tłómacząc hypochondrycznie czyny Bonapartego, zaburzała tem samem upragniony „spokój.“ Kiełbasy z Satory zachowywały grobowe milczenie, skoro tylko o nich nie mówiono. Więc po co mówić? Wszak „Francyja żąda przedewszystkiem spokoju.“ Bonaparte żądał zatem, aby go zostawiono w spokoju...

Parlamentarną partyję paraliżował strach podwójny: z jednej strony obawiała się protestami swymi rozbudzić rewolucyjne zaburzenia, z drugiej zaś nie chciała uchodzić w oczach własnej klasy, w oczach burżuazji za sprawcę ruchów i nieporządku. Francyja żądała przedewszystkiem spokoju, jakżeby zatem partyja porządku miała odwagę wypowiedzieć Bonapartemu wojnę, skoro prawil on w swem orędziu o pokoju.

Publiczność, która się spodziewała wielkich skandalów przy otwarciu Izby, zawiodła się w swych oczekiwaniach. Posłowie z opozycyi zażądali odczytania protokółów komisji nieustającej o wypadkach październikowych, ale większość deputowanych żądaniu odmówiła. Unikano z zasady każdej dyskusyi, która mogłaby partyję roznamietniać. Obrady Izby w listopadzie i grudniu 1850 r. pozbawione były wszelkiego interesu.

Nareszcie pod koniec grudnia wszczęły się podjazdowe utarczki. W których chodziło walczyć o niektóre prerogatywy parlamentu. Tracono czas na drobnostkowych szyskanach i kłótniach o prerogatywy obydwóch władz państwa, — ruch zwolniał wśród zabagnienia od czasu, jak burżuazja usunęła na stronę walkę klas, zniósłszy ogólne prawo wyborcze.

Deputowany Mauquin za niepłacenie długów został wyrokiem sądu skazany. Na zapytanie prezydenta sądu oświadczył minister sprawiedliwości Rouher, że należy bezwarunkowo wydać rozkaz aresztowania dłużnika. Mauquin'a zamknięto zatem do więzienia dłużników. Zgromadzenie narodowe zamach ten przyjęło z oburzeniem i zadekretowało nie tylko niezwłoczne uwolnienie Mauquin'a, lecz poleciło nawet tegoż samego wieczora swemu pisarzowi wydobyć go przemocą z Clichy. Aby jednak zamanifestować swą wiarę w świętość prywatnej własności i otworzyć schronisko dla nieprzyjaznych montagnardów — o którym od dawna skrycie myślano — większość Izby uchwaliła prawo, wedle którego przedstawiciele narodu za niepłacenie długów dopiero po orzeczeniu zgromadzenia mogli być aresztowani. Zapomniano uchwalić, że i prezydent republiki może być uwięzionym za długi. Tak więc zgromadzenie narodowe zniszczyło ostatni pozór nietykalności własnych swych członków.

Wspomnieliśmy już wyżej, że komisarz policyjny Yon, na podstawie zeznań niejakiego Alais, zadunucyjował jedną z sekcji de-cembrystów, zamierzającą zamordować Dupin'a i Changarnier'a. Wskutek tego zaraz na pierwszym posiedzeniu zaproponowali kwestorzy urządzenie parlamentarnej policyi, płatnej z prywatnego budżetu Izby i zupełnie niezależnej od prefekta policyi. Minister spraw wewnętrznych, Baroche, protestował przeciwko temu wdaniu się w jego urzędową sferę. Zawarto więc nędzny kompromis, w myśl którego komisarz policyjny Izby miał pobierać żold z jej kasy. Prawo mianowania lub dymisyi należało w tym razie do kwestorów, ale dopiero po poprzednim porozumieniu się z ministrem spraw wewnętrznych. Alais'a tymczasem na rozkaz rządu postawiono przed kratki trybunału. Podczas rozprawy zeznania jego przedstawiono jako mistyfikację, a oskarżyciel publiczny nie zaniebdał okryć śmiesznością Dupin'a, Changarnier'a, Yon'a i całe zgromadzenie narodowe. Nie dosyć na tem: 29-go grudnia, minister Baroche w liście do Dupin'a zażądał złożenia z urzędu Yon'a. Wydział Izby postanowił utrzymać Yon'a na dawnym stanowisku, zgromadzenie narodowe jednakże, przerażone własną swą gwałtownością, z jaką wystąpiło w sprawie Mauquin'a, przyzwyczajone przytem otrzymywać po każdym ataku na rząd podwójne cięgi w odwecie, nie zatwierdziło tego postanowienia. Yon w nagrodę za gorliwość w służbie został złożony z urzędu.

Zgromadzenie narodowe własnoręcznie zniszczyło parlamentarny przywilej, niezbędny wówczas, gdy się ma do czynienia z człowiekiem, który nie obmyśla nocą planów, ażeby je w dzień wykonać, ale — jak złodziej — knuje zamach w dzień biały, a przeprowadza go nocną porą.

Widzieliśmy, jak zgromadzenie narodowe w listopadzie i grudniu, mimo istotnie poważnych przyczyn, unikało walki z władzą wykonawczą. Teraz sytuacja zmieniła się; warunki zmusiły Izbę do walki z powodów najbardziej błahych. W sprawie Mauquin'a uznała ona w zasadzie uwięzienie za długi przedstawiciela narodu, zastrzegając sobie jednak przywilej ostatecznej decyzji, którego odłąd w danym razie używać mogła przeciwko niemiłym większości posłom. O ten nikczemny przywilej zgromadzenie narodowe użera

się z ministrem sprawiedliwości. Zamiast skorzystać z wykrycia rzekomego planu morderstwa i zarządzić śledztwo nad Towarzystwem 10-go grudnia, ażeby w ten sposób, zdarzyszy z Bonapartego obsłony, ukazać tego szefa paryskiego motochu (*Lumpenproletaryjat*) w prawdziwej jego postaci przed oczami całej Francji i Europy, zamiast wyzyskać wypadek — powtarzamy — zgromadzenie sprowadza cały zatarg do prostej dyskusji z ministrem spraw wewnętrznych, w której obie strony sprzeczą się o prawo mianowania i składania z urzędu komisarza policyjnego.

Tak więc partya porządku w ciągu tego całego okresu była zmuszona wskutek dwuznacznego swego stanowiska sprowadzić walkę z władzą wykonawczą do drobnostkowych zatargów o kompetencję prawną, do szykany i sporów granicznych i zapelnić swą działalność najnikczemniejszą formalistyką. Brak jej odwagi do zaatakowania władzy wykonawczej w chwili, gdy chodzi o rzecz zasadniczą, gdy władza owa demaskuje się sama, w chwili zatem, w której sprawa zgromadzenia narodowego byłaby sprawą narodu. Tehórzostwo to łatwo zrozumiałe: opozycja przeciwko rządowi byłaby niejako zwróconem do narodu hasłem bojowym, a partya porządku przed niczem nie truchlała więcej, jak przed ruchem narodu. Z tych samych przyczyn odrzuca ona wnioski Montagne i przechodzi do porządku dziennego. Władza wykonawcza natomiast czeka spokojnie, aż kwestya sporna straci na wielkości swych rozmiarów, ażeby w chwili, gdy takowa zejdzie do rzędu zwykłych lokalnego znaczenia parlamentarnych interesów, wzięwszy asumpt z powodu blagiego, wytoczyć ją przed zgromadzeniem.

Wówczas dopiero powściągliwa dotychczas w swym gniewie partya porządku wybucha, odrzuca na bok kulisy, denuncjuje prezydenta, oświadcza, że rzeczpospolita znajduje się w niebezpieczeństwie, ale też wówczas patos jej jest płaskim, a motywy walki przedstawiają się jako zasłona, poza którą kryje się obluda albo schodzą do rzędu spraw niewartych zachodu. Burza parlamentarna w takich chwilach bywa burzą w szklance wody, walka zamienia się w intrygę, a konflikt parlamentarny w marny skandal. Rewolucyjne klasy społeczeństwa cieszą się widokiem upokorzenia Izby, zależy im bowiem tyleż na upokorzeniach Izby, co Izbie na swobodzie ogólnej. Burżuazyja atoli, znajdującą się poza obrebem parlamentu, nie może pojąć, w jakim celu posłowie jej tracą tyle czasu na ważne drobnostkowe i narażają spokój publiczny wskutek nędznej rywalizacji z prezydentem. Zbijają ją z tropu ta dziwna strategia, która każe wówczas zawierać pokój, gdy wszyscy sądzą, że pokój zawarty.

20-go grudnia zainterpelował Pascal Duprat ministra spraw wewnętrznych w sprawie loteryi złotej. Loteryja ta była „córką z pałacu elizejskiego“, — Bonaparte przy pomocy powierników wyprawił ją w świat, a prefekt policyi Carlier otoczył swą opieką wbrew francuskiej ustawie, która wzbrania urządzać loteryje, czyniąc wyjątek wówczas tylko, gdy chodzi o cele dobroczynne. Wypuszczono siedm milionów losów — sztuka po franku — przeznaczając rzekomo zysk z przedsiębiorstwa na wyprawę paryskich włóczęgów do Kalifornii. Złote sny miały zastąpić proletaryjatowi paryskiemu jego socjali-

styczne marzenia, zwodnicza zaś nadzieja wygrania wielkiego losu zając miejsce doktrynerskiego „prawa do pracy“. Robotnicy paryscy osłepieni blaskiem kalifornijskich sztab złota nie rozpoznawali w nich skromnych, niepokaznych franków, które im z kieszeni zrzęcznie wyciągano. Przedsiębiorstwo w gruncie rzeczy było zwycajem oszustwem. Włóczęgami, którzy nie opuszczając Paryża chcieli eksploatować skarby Kalifornii, byli: Bonaparte i szajka obłudnych pieczeniaryz jego stołu. Wyasygnowane za zgodą Izby trzy miliony przehlulano dawno, musiano tedy w inny sposób napędnąć kasę.

Napróżno otworzył Bonaparte subskrypcję narodową na urządzenie t. zw. *cités ouvrières*, napróżno figurowało imię jego na liście obok znacznej sumy wpisowej. Ztwardziało serce burżua czekały z niedowierzaniem na spłacenie jego akcyj, a ponieważ takowe oczywiście nie nastąpiło, przeto spekulacyja na socjalistyczne zamki powietrzne rozbić się musiała fatalnie o twardy grunt. Sztaby złota były lepszym wabiem.

Bonaparte & kompanija ściągawszy przewyżkę, jaka pozostała po rozlosowaniu sztab, do własnej kieszeni, nie poprzestali na tem, ale rzucili się do fabrykowania fałszywych losów, które w liczbie 10, 15, 20 wypuszczano na jeden i ten sam numer. Była to operacyja finansowa w duchu Towarzystwa 10-go grudnia!

Zgromadzenie narodowe miało teraz przed sobą nie fikcyjnego prezydenta republiki, ale prawdziwego Bonapartego z krwią i kośćmi. Skorzystawszy z okazji mogło go złapać na gorącym uczynku, w chwili, gdy staje już nie w niezgodzie z konstytucją, ale z francuskim *Code pénal*. Jeżeli zaś zgromadzenie przeszło nad interpelacyją Duprat'a do porządku dziennego, to stało się to nietylko wskutek wniosku Girardin'a, który żądając, ażeby Izba oświadczyła się jako „*satisfait*“, przypomniał partyi porządku własną jej systematyczną korupcyję. Pamiętać należy, że burżua, a zwłaszcza burżua w charakterze nadętego meża stanu uzupełnia nikczemność występującą na każdym kroku w praktyce — majestatycznością w teorii. Jako mąż stanu jest on — zarówno jak i władza państwowa — istota wyższą, z którą walczyć można tylko we właściwy sposób, wedle zupełnie odmiennych, wyższych zasad taktyki.

Bonaparte, który jako *bohémien*, jako książę-obdartus i herszt motochu miał tę przewagę nad zwyczajnym burżua, że mógł prowadzić walkę z wyrafinowaną przebiegłością, właściwą szujom i opryszkom, — zrozumiał teraz, że po szczęśliwym załatwieniu sprawy pikników wojskowych, rewij, Towarzystwa 10-go grudnia i loteryi, nadeszła stosowna chwila dla zmiany taktyki odpornej na zaczepną. Nie zbijały go z tropu drobne porażki ministrów sprawiedliwości, wojny, marynarki, finansów, będące skutkiem niezadowolenia Izby. Dymisiy ministrów i wynikającej ztąd zależności władzy wykonawczej nie zapobiegał wcale. Inny plan zaprzętał myśli jego, plan, do którego wykonania przystąpił podczas feryj parlamentarnych, mający na celu wydarcie władzy wojskowej z rąk zgromadzenia — usunięcie Changarnier'a.

Jedno z pism elyzejskich opublikowało rozkaz dzienny, wystosowany jakoby w maju do pierwszej dywizyi wojennej — dywizyi Changarnier'a — w którym na wypadek buntu poleca się oficerom: zdrajców z własnych szeregów, wzbroniwszy im wstępu do kwater,

rozstrzelać niezwłocznie, a zgromadzeniu narodowemu, skoro się zwróci do armii, odmówić wojskowej pomocy. 3-go stycznia 1851 r. zainterpelowano gabinet w tej sprawie. Ministerjum żąda w celu zbadań faktów z początku trziesięcioletniego terminu, później tygodniowego, wreszcie 24 godzin czasu do namysłu. Zgromadzenie obstaje przy swoim, domagając się niezwłocznej odpowiedzi. Changarnier podnosi się z miejsca, oświadcza, że ów rozkaz jest prostym wymysłem i dodaje, że zawsze jest gotów stawić się na zawołanie Izby i że parlament w razie starcia na pomoc jego liczyć może. Izba gromadzi oklaskami przyjmuje to oświadczenie i wyraża generałowi votum zaufania. Ucieczka pod skrzydła prywatnej opieki jednego z generałów jest abdykacją Izby z praw jej przysługujących, jest ona niejako zadekretowaniem własnej jej niemocy wobec wszechpotęgi armii.

Jakże wobec tego wygląda Changarnier, obiecujący z jednej strony wyzyskać w razie starcia z Bonapartem urząd swój na korzyść zgromadzenia — urząd, który jako lenno z rąk tegoż samego Bonapartego otrzymał, — z drugiej zaś oczekujący protekty od Izby, od tej samej Izby, która w istocie jest jego protegowaną. Ale generała nie opuszczała wiara w mistyczną władzę, którą go burżuazja 29 stycznia 1849 r. obdarzyła. Dzięki tej wierze, uważał on się za trzecią samodzielną władzę wobec obu potęg państwowych. Jest on podobny do reszty bohaterów — albo raczej świętych — tej epoki, wielkość jego bowiem polega na wielkim rozgłosie, jakim się cieszy u swej partii, ilekroć jednak wypadki powołają go do czynów wiekopomych, schodzi on wówczas zawsze do rzędu codziennych przeciętnych postaci. Niedowiarstwo jest w ogóle śmiertelnym wrogiem owych mniemanych bohaterów i rzeczywistych świętych. Ztąd też łatwo zrozumieć godności pełne, moralne ich oburzenie wobec dalekich od entuzjazmu kpiarzów i szyderców.

Tegoż samego wieczora na rozkaz prezydenta zgromadzają się ministrowie w pałacu elizejskim; Bonaparte domaga się konieczności złożenia z urzędu Changarnier'a; pięciu ministrów wzbrania się podpisać rozporządzenia dymisji generała, — nazajutrz ogłasza *Monitor* ministerjalny kryzys, dzienniki partii porządku grożą utworzeniem armii parlamentu pod komendą Changarnier'a. Partya porządku zgodnie z ustawą mogła wprowadzić tę zmianę. Potrzebowała ona tylko Changarnier'a ogłosić prezydentem Izby i wydać rozkaz ściągnięcia wojsk w celu obrony parlamentu. Plan ten tem pewniej można było przeprowadzić ze względu na to, że Changarnier stał jeszcze na czele armii i paryskiej gwardii narodowej i czekał tylko rozkazu powołania wojska. Bonapartystowska prasa nie miała odwagi zaprzeczyć zgromadzeniu prawa do bezpośredniego powołania oddziałów wojska, protest w tym względzie nie przyniósłby był wówczas pożądanego plonu. Armia prawdopodobnie poddałaby się rozkazom Izby, przemawia za tem ta okoliczność, że Bonaparte przez ósm dni czynił w Paryżu starania, w celu zjednania sobie generałów, aż wreszcie udało mu się znaleźć dwóch — Baraguay d'Hilliers i St. Jean d'Angely — którzy gotowi byli potwierdzić dekret złożenia z urzędu Changarnier'a. Czy partya porządku we własnych swych szeregach i w parlamencie znalazłaby w tej sprawie niezbędną ilość głosów

przychylnych, o tem można powątpiewać, zwłaszcza skoro się zważy, że w ósm dni później odłączyło się od niej 286 głosów i że Montagne odrzuciła zupełnie podobny wniosek w grudniu 1851 roku, a zatem w chwili stanowej rozprawy. Z tem wszystkiem jednak byłoby się może obecnie burgrafom udało zapalić masowo partyję swą heroizmem, który polegał na tem, ażeby przyjąć usługi armii dezertującej do ich obozu i czuć się pewnym i spokojnym za lasem bagietów. Tymczasem zamiast zgodzić się na ten krok, panowie burgrafowie udali się wieczorem 6 stycznia do pałacu elizejskiego, ażeby przedstawiwszy rzecz z polityczno-roztropnym namysłem, skłonić Bonapartego do cofnięcia dymisji Changarniera. Bonaparte, którego krok ten ze strony partii porządku tem więcej upewnił w dotychczasowej polityce, mianuje 12 stycznia nowe ministerjum, w którym pozostali dwaj poprzedni członkowie Fould i Baroche. St. Jean d'Angely został ministrem wojny; *Monitor* ogłosił dekret dymisji Changarnier'a, którego komenda podzielił się Baraguay d'Hilliers, jako dowódzca dywizji wojennej i Perrot, wyniesiony do godności naczelnika gwardii narodowej. Filar społeczeństwa zatem dostał odprawę i jeżeli z tego powodu nie spadła żadna cegła z dachu, to za to kursy na giełdzie podskoczyły w górę.

Odrzucając pomoc armii, która w osobie Changarnier'a oddaje się w jej ręce, i poddając się bezwarunkowo, nieodwołalnie przydentowi — partya porządku wyznała tem samem, że burżuazja niezdolna jest do rządzenia. Odtąd nie było już parlamentarnego ministerjum. Z chwilą, w której ta partya utraciła możność rozporządzania armiją i gwardją narodową, nie miała już żadnej siły, na której oparłszy się mogła zachować uzurpowaną władzę parlamentu nad ludem i przeciwstawić władzę konstytucyjną Bonapartemu. Pozostała jej więc jedynie apelacja do bezzilnych zasad, do tych zasad, które partya porządku uważała jako ogólnikowe reguły i narzucała je drugim po to tylko, ażeby samej mieć wolne ręce do działania.

Dymisją Changarnier'a i odstąpieniem Bonapartemu władzy nad wojskiem zamyka się pierwszy akt okresu walki między partją porządku a władzą wykonawczą. Wojna między obu władzami wypowiedziana otwarcie, prowadzi się również otwarcie, ale dopiero wówczas, gdy partya porządku straciła broń i żołnierzy. Zgromadzenie narodowe bez ministerjum, armii, ludu, bez opinii publicznej, przedstawszy być przytem od czasu ustawy wyborczej z 31 maja reprezentacją narodu rządzącego się samodzielną, pozbawioną oczu, uszu, zębów, pozbawioną wszystkiego — zmieniło się powoli w staro-francuski parlament, który abdykuje z działalności na korzyść rządu i zadawałać się musi zarzutami *post festum*, wypowiadanymi wśród szmeru mruczenia.

Partya porządku przyjęła nowe ministerjum ze straszliwym oburzeniem. Generał Bedeau przypominał teraz Izbie zbyt łagodne postępowanie komisji nieustającej podczas feryj i odrzucenie wniosku ogłoszenia jej protokółów. Minister spraw wewnętrznych sam domaga się ogłoszenia owych aktów, które oczywiście zeszyły obecnie do rzędu spraw jałowych, nie odkrywają bowiem ani jednego faktu i przebrzmiały bez odgłosu wśród publiczności. Zgromadzenie narodo-

we na wniosek Remusat'a cofa się teraz za kulisy, do biur parlamentarnych i ustanawia „Komitet do nadzwyczajnych rozporządzeń.“ Paryż wobec tego wszystkiego nie wykoleił się z torów codziennego porządku, zwłaszcza że handel rozwijał się wówczas, rękodzieła miały robotę, ceny zboża były niskie, okazywał się nadmiar środków konsumpcyj, a kasy oszczędności otrzymywały z każdym dniem coraz to nowe depozyty.

„Nadzwyczajne rozporządzenia“, zapowiedziane przez parlament z takim szumem, zeszyły do skromnych rozmiarów votum nieufności, udzielonego ministrom. O generale Changarnier nikt nie wspominał. Partya porządku zmuszona była wystąpić w Izbie z tą uchwałą, ażeby w ten sposób zapewnić sobie głosy republikanów, którzy ze wszystkich rozporządzeń ministeryjalnych tylko dekret dymisyi Changarniera uznawali, podczas gdy partya porządku w gruncie rzeczy nie mogła ganić innych postanowień rządu, ponieważ sama je podktykowała była.

Votum nieufności 18 stycznia uchwalono 415 głosami przeciw 286. Uchwała ta zatem przeszła jedynie wskutek połączenia się zdecydowanych legitymistów i orleanistów z czystymi republikanami i Montagne. Dowód to, że partya porządku nie tylko ministeryjum, nie tylko armię, lecz nawet — w starciu z Bonapartem — samodzielnie większość w parlamencie utraciła, dowód to, że szereg postów urządził dezercyję z jej obozu wskótek ugodowego fanatyzmu, strachu przed wojną, wycieńczenia, ze względu na rządowe pensyje krewnych, z powodu spekulowania na stanowiska ministeryjalne (Odilon Barrot), wskutek płytkiego egoizmu, dzięki któremu przeciwny burżuazja zawsze jest gotów wspólny swej klasie interes rzucić na ofiarę spraw prywatnych.

Bonapartystowskie deputowani należeli do partyi porządku jedynie w okresie walki z rewolucyją. Szef katolików Montalembert, zwatpiwszy w zdolność do życia parlamentarnej partyi zaciężył swym wpływem na szali Bonapartego. Nakoniec przewodzący partyi porządku, Thiers i Berryer, orleanista z legitymistą, byli zmuszeni zamianifestować się otwarcie jako republikanie i wyznać, że jakkolwiek serce łgnie do władzy królewskiej, mimo to glosa każe im być republikanami i że parlamentarna ich republika jedyną, możliwą formą panowania całej burżuazji. Warunki kazały im przed burżuazją piętnować restauracyjne plany, dla rzeczywistnienia których pracowali zresztą poza jej plecyma, jako niebezpieczną, pozbawioną głowy intrygę.

Votum nieufności z 18 stycznia skrupiło się na ministrach, nie dotykając prezydenta, jakkolwiek nie za ich sprawą, lecz na rozkaz Bonapartego Changarnier został złożony z urzędu. Miałą partya porządku wystąpić z oskarżeniem przeciwko samemu prezydentowi? I za co? Za jego dążenia restauracyjne? Wszak one uzupełniały tylko własne zabiegi partyi. Za konspiracyje jego podczas rewii armii i Towarzystwo 10-go grudnia? Wszak tematy te pogrzebano dawno, przeszedłszy nad nimi do porządku dziennego. Więc może za dymisyję, daną bohaterowi z 29 stycznia i 13 czerwca, mężowi, który w maju 1850 r. groził paryżanom — na wypadek buntu — podpaleniem miasta na wszystkich czterech rogach. Sprzymierzelcy

partyi porządku z obozu Montagne wraz z Cavaignac'em nie pozwalali jej powalony filar społeczeństwa podnieść napowrót, wyrażając mu oficjalnie wyrazy współczucia. Nie podobna im było zresztą zaprzeczyć prezydentowi konstytucyjnego prawa do złożenia z urzędu generała. Jeżeli zaś wściekali się przeciw niemu, to dlatego jedynie, że z konstytucyjnego swego prawa zrobił nieparlamentarny użytek. A czyż panowie z partyi porządku nie robili sami z parlamentarnych swych przywilejów użytku sprzecznego z konstytucyją, jakim było np. zniesienie ogólnego wyborczego prawa? Tak więc partya porządku była zmuszona poruszać się wyłącznie w szrankach parlamentarnych. Od roku 1848 we Francyi, zarówno jak i w całej Europie, grasowała szczególna choroba: kretynizm parlamentarny, który dotkniętych tą plagą nie wypuszczał z obrębu urojonego świata i pozbawiał ich zmysłów, pamięci i pojmowania szorstkiego świata rzeczywistości. Otóż dzięki właśnie temu parlamentarnemu kretynizmowi, partya porządku zniszczywszy własnymi rękami parlamentarną potęgę (a walcząc z innemi klasami, zniszczyć ją musiała) uważać jeszcze może parlamentarne swe zwycięstwa za rzeczywiste zdobycze i sądzić, że zadając ciosy ministrom, uderza także i prezydenta. Tymczasem przeciwnicy pomogli tylko Bonapartemu do ponownego upokorzenia Izby w oczach narodu.

20 stycznia ogłosił *Monitor* zatwierdzenie dymisyi całego ministeryjum. Zasłoniwszy się pozorem tym, że żadna partya nie ma większości w parlamencie, czego dowodem było votum z 18 stycznia, uchwalone wskutek złączenia się Montagne z rojalistami — w oczekiwaniu powstania nowej większości w Izbie — zamianował Bonaparte tak zwane przejściowe ministeryjum, w skład którego nie wszedł żaden z deputowanych. Ministeryjum składało się z ludzi bez znaczenia, zupełnie nieznanymi, słowem była to władza, złożona z komisantów i pisarków. Partya porządku mogła teraz śmiało tracić czas i siły w grze z temi maryjonetkami, władza wykonawcza uważała poważną reprezentacyję swą w Izbie za niegodną starań. Bonaparte tem widoczniej skupił całą wykonawczą władzę w swych rękach. Im mniej waresi byli ministrowie, im bardziej schodzili do rządu zwyczajnych popychadeł politycznych, tem swobodniejszemu czuł się on w swem działaniu, tem łatwiej mu było wyzyskać ich dla swych planów.

Idąc ręką w rękę z Montagne, partya porządku zemściła się, odrzucając prezydyałny dodatek w sumie 1,800,000 franków, przedłożony w Izbie przez komisantów ministeryjalnych z polecenia szefa decembrystów. Tym razem większość rozstrzygnęła przewyżką 102 głosów, od 18 stycznia zatem odpadło znowu 27 głosów, — rozpadanie się partyi porządku postępowało naprzód. Ażeby przytem świat nie łudził się ani na chwilę co do właściwego znaczenia związku jej z Montagne, odrzuciła ona bez dyskusyi wniosek tej ostatniej, mający na celu ogólną amnestyję dla politycznych przestępców. Wystarczyło tym razem oświadczenie ministra spraw wewnętrznych, niejakiego Vaissé, że spokój jest tylko pozornym, w rzeczywistości jednak prowadzi się tajna agitacyja, organizują się skrycie towarzystwa, demokratyczne organy przygotowują się do ponownego wystąpienia

na widownię, z departamentów dochodzą niepokojące wieści, emigranci kierują z Genewy sprzysiężeniem, do którego wciągają elementy z Lyonu i całej południowej Francji, kraj stoi nad przepaścią przemysłowo-handlowego przesilenia, fabrykanci z Roubaix zmniejszyli robotnikom dzień pracy, więźniowie z Belle-Isle buntują się — wystarczyło tylko, powtarzamy, ministrowi Vaissé wskazać na widmo czerwone, ażeby partya porządku przyszła bez dyskusji do porządku dziennego nad wnioskiem, który, załatwiony pomyślnie, mógł zgromadzeniu wyrobić niesłychaną popularność i oddać w ich ręce Bonapartego. Zamiast więc przerażać się perspektywą nowych rozruchów, postawioną im przed oczyma przez władzę wykonawczą, powinni byli raczej walce klas pozostawić choćby skromny zakres, ażeby w ten sposób utrzymać w zależności władzę wykonawczą. Ale partya porządku nie czuła się na siłach, ażeby móżdż swobodnie igrać z ogniem.

Tymczasem t. zw. przejściowe ministerjum wegetowało aż do połowy kwietnia. Bonaparte nużył i drażnił ustawicznie zgromadzenie narodowe coraz to nową kombinacją ministerjalną. Udawał naprzekład, że chce utworzyć republikańskie ministerjum z Lamartinem i Billault'em na czele, to znowu stawiał plan gabinetu parlamentarnego z nieodłącznym Odillon Barrot'em, którego imię figurowało zawsze tam, gdzie tylko okazała się potrzeba oszustwa; innym znowu razem podsuwał projekt utworzenia legitymistycznego gabinetu z Vatismenił'em i Benoist d'Azy, lub orleanistycznego z Malleville'm na czele. Utrzymując w ciągłym naprężeniu rozmaite frakcyjne party porządku, usposabiając je wrogo przeciw sobie i straszac wszystkich nadzieją republikańskiego ministerjum i zmartwychwstaniem ogólnego prawa wyborczego — stara się on równocześnie wyrobić w burżuazji przekonanie, że najszczerze z jego strony usiłowania, w celu stworzenia parlamentarnego gabinetu, rozbijają się o niezgodę panującą wśród frakcji rojalistycznych. Burżuazja podnosiła tymczasem tem większy gwałt, żądając „silnych rządów“, tembardziej oburzała się na myśl, że Francja pozostaje może „bez administracji“, im szybszym krokiem zbliżać się kryzys handlowy, werbując w miastach zwolenników dla socjalizmu i idąc ręką w rękę z niskimi cenami na zboże, które wywoływały niezadowolenie na wsi. Handel oddychał coraz słabiej, ilość rak niezajętych zwiekszała się widocznie, w Paryżu najmniej 10,000 robotników było bez chleba, w Rouen, Milhuzie, Lyncie, Roubaix, Tourcoing, St. Etienne, Elbeuf itd. pozamykano liczne fabryki. Wśród takich warunków mógł Bonaparte śmiało przystąpić 11 kwietnia do restauracji ministerjum z 18go stycznia. Do gabinetu weszli panowie: Rouher, Fould, Baroche, etc. wraz z panem Leonem Faucher, którego cała konstytuanta z wyjątkiem 5 głosów ministerjalnych w ostatnich dniach swego istnienia napiętnowała votum nieufności za rozpowszechnianie fałszywych depesz telegraficznych. Zgromadzenie narodowe po to tylko odniosło zwycięstwo 18 stycznia nad ministerjum, po to tylko walczyło przez 3 miesiące z Bonapartem, ażeby 11 kwietnia Fould z Baroche'm mogli purytanina Faucher wciągnąć jako tryumwira do swego ministerjalnego związku.

W listopadzie 1849 r. zadowolili się był Bonaparte ministerjum nieparlamentarnem, w styczniu 1851 zatwierdził gabinet, któ-

rego członkowie stali poprzednio poza obrębem parlamentu, wreszcie 11-go kwietnia poczuł się na siłach utworzyć gabinet antiparlamentarny, który łączył w sobie harmonijnie vota nieufności obu zgromadzeń — konstytucyjnego i prawodawczego — a zarazem obu partij: republikańskiej i rojalistycznej. To stopniowanie w wyborze ministerjum służyło za termometr, zapomocą którego parlament mógł mierzyć obniżkę ciepła własnego ciała. A obniżka owa była z końcem kwietnia tak znaczną, że Persigny przy spotkaniu się z Changarnier'em mógł mu zaproponować przejście do obozu Bonapartego.

— Bonaparte — zapewniał Persigny generała — uważa teraz potęgę zgromadzenia za zupełnie zniszczoną i ma już gotową proklamację, którą po przyjściu do skutku dawno uplanowanego, a przypadkowo tylko odłożonego na później *coup d'état*, ogłosi narodowi...

Changarnier zakomunikował tę zapowiedź śmierci przewódzcom party porządku. Ale któż spodziewał się kiedykolwiek, że ukłócie pluskwy może być śmiertelnem? To też i parlament jakkolwiek pobity, z rozterką w swem łonie, jakkolwiek gnijący już za życia — nie mógł zdobyć się na inne pojmowanie pojedynku, prowadzonego z dziwaczynym, komicznym szefem Towarzystwa 10 grudnia — i uważał całą sprawę za pojedynek z pluskwą.

Bonaparte natomiast odpowiedział party porządku, jak ongiś Agesilausz królowi Agisowi:

— Zdaje ci się być mrówką, ale kiedyś poznasz we mnie lwa...

VI.

Koalicja z Montagne i czystymi republikanami, do której party porządku uciec się musiało, pragnąc nadaremnie utrzymać w swych rękach władzę nad armiją i odzyskać napowrót najwyższe rządy nad władzą wykonawczą, koalicja ta — powtarzamy — była niezbitym dowodem, że samodzielna parlamentarna większość w istocie nie istnieje. 29 maja nie innego, jak tylko kalendarz, czy też wskazówka zegara była sygnałem zupełnego jej rozwiązania się. Dniem tym rozpoczął się ostatni rok życia zgromadzenia narodowego. Musiało ono teraz rozstrzygnąć, czy ma i nadal postępować jak dotychczas, czy też zażądać rewizji konstytucji. Rewizja zaś konstytucji nie tylko wysuwała kwestyję, czy odtąd panować będą: burżuazja czy też drobno-mieszczańska demokracja, demokracja czy anarchja proletaryjatu, parlamentarna republika czy Bonaparte — w rewizji konstytucji kryło się również pytanie: orleaniści czy burboni!

Jabłko niezgody padło między parlamentujących i oto wystąpiły na jaw wszelkie sprzeczności interesów, które dzieliły partyję porządku na wrogie sobie frakcyjne. Partyja ta była zlepkiem heterogenicznych pierwiastków społecznych. Dzięki kwestyi rewizji, wytworzyła się taka polityczna temperatura, w której dawne połączenie rozpaść się musiało na pojedyncze składniki.

Bonaparteci widzieli w rewizji konstytucji własny swój interes. Chodziło im bowiem przedewszystkiem o zniesienie art. 45, który uniemożliwiał ponowny wybór Bonapartego — i przedłużenie okresu

jego władzy. Inaczej rzecz się miała z republikanami. Ci odrzucali bezwarunkowo każdą rewizyję, widząc w niej ogólne sprzysiężenie przeciw republice. Ponieważ rozporządzali oni więcej niż czwartą częścią wszystkich głosów w parlamencie, a wedle konstytucji potrzeba było do prawnej uchwały rewizji i zwołania zgromadzenia rewizyjnego trzy czwarte głosów Izby, należało im zatem tylko głosy swe policzyć, ażeby być pewnym zwycięstwa. Zdaniem ich zwycięstwo było zapewnionem.

Wobec tego jasnego określenia rzeczy, jakie widzimy w obu wspomnianych obozach, w partji porządku panował chaos sprzeczności.

W razie odrzucenia rewizji, narażała *status quo*, pozostawiała bowiem Bonapartemu tylko jedną drogę wyjścia, drogę gwałtu i oddawała Francję w chwili stanowej, 2-go maja 1852 w ręce rewolucyjnej anarchii, Francję z prezydentem na czele, pozbawionym autorytetu, z parlamentem, który oddawna już nie miał znaczenia i z ludem, którego poparcie starała się odzyskać napowrót. Głosując za konstytucyjnie prawną rewizyją, mogła być pewną, że przegra, głosy jej bowiem nie nie poradziłyby wobec nienniej konstytucyjnie prawnego *vetu* republikanów. Oświadczywszy się zaś wbrew konstytucji, za tem, ażeby ostryżyla prosta większość głosów, mogła wówczas tylko mieć nadzieję owdładnięcia rewolucyjną, gdyby się poddała bezwarunkowo rozkazom władzy wykonawczej, wówczas atoli oddałaby musiała w ręce Bonapartego władzę nad konstytucją, rewizyją i nad sobą samą. Częściowa rewizycja, przedłużająca rząd prezydenta, utorowałaby imperyalistycznej uzurpacji drogę. Rewizycja ogólna, ukrócająca żywot republiki, spowodzić niezbędnie musiała starcie się dynastycznych rozczeń i zabiegów, warunki bowiem pomysne dla burbonów nie były w zgodzie z warunkami, w których dokonać się mogła restauracja rządu orleanistów, ale wykluczały się nawzajem.

Parlamentarna republika była nietylko neutralnym obrephem, w którym równymi ciesząc się prawami mieścić się mogły dwie frakcje francuskiej burżuazji, legitymiści i orleaniści, wielka własność ziemska i przemysł. Była ona przedewszystkiem niezbędnym warunkiem wspólnego ich panowania i jedyną formą państwową, w której pod wspólny interes klasowy podporządkować się musiały zarówno pretensje obu frakcji, jak i innych klas społeczeństwa. Jako rojalisci popadli oni w dawną sprzeczność, walcząc o supremacyję z jednej strony własności ziemskiej, z drugiej zaś pieniędzy. Najwyższym wyrazem tej sprzeczności, jej uosobieniem, byli ich królowie, dynastje. Tem tylko tłumaczyć można, dlaczego partja porządku sprzeciwiała się powrotowi Burbonów...

Deputowany Creton, orleanista, w latach 1849, 1850 i 1851 stawiał peryjodycznie wniosek odwołania dekretów banicyjnych, ciążących na rodzinach królewskich. Rojalisci również systematycznie odgrywali w Izbie komedję, zamykając uparcie przed królami swymi bramy Francji. Ryszard III zamordował Henryka VI, tłumacząc swę ofierze, że za dobrą jest dla tego świata i że najwłaściwsze jej miejsce w niebie. Rojalisci zaś uważali Francję za zbyt złą, ażeby

mogła posiadać napowrót swych królów. Warunki zrobiły z nich mimowolnych republikanów, to też zmuszeni byli sankcjonować stale uchwałę ludu, skazującą królów na banicyję.

Rewizja konstytucji — którą warunki kazały im wziąć pod uwagę — kwestjonowała nietylko istnienie republiki, ale zarazem i wspólne rządy obu burżuazyjnych frakcji, umożliwiając bowiem restauracyję monarchii, wysuwała równocześnie na pierwszy plan współzawodnictwo interesów w walce o supremacyję jednej frakcji z drugą. Dyplomatą z partji porządku zdawało się, że wymógłszy w przyszłości zlanie się obu dynastji i pogodziwszy obie rojalistyczne partje, położy koniec walce. W rzeczywistości jednak parlamentarna republika była niczem innem, jak tylko rodzajem podobnego zlania się restauracyi z monarchją lipcową, rodzajem aktu ugodowego, w którym spełzły zupełnie barwy orleanistów i legitymistów, a po jedynce odmiany burżuazji zanikły we wspólnym gatunku burżuazji wogóle. Tymczasem teraz kazano orleaniście być legitymistą, a legitymiście popierać orleanów. Królestwo, będące uosobieniem ich sprzeczności, miało być obecnie wcieleniem zgody, miało usunąć z placu wyłączne panowanie interesów jednej frakcji na korzyść wspólnego interesu klasy, słowem monarchja miała dokonać tego, czego jedynie dokonać była w stanie i dokonała republika. Problem ten był kamieniem mądrości, nad którym doktorowie partji porządku łamali sobie głowy. Bo czyż mogła kiedykolwiek legitymistyczna monarchja być monarchją przemysłowej burżuazji, albo królestwo mieszczańskie zmienić się w królestwo rodowej arystokracji ziemskiej? Czyż mogły się zbrać własność ziemską z przemysłem pod jedną koroną, pod koroną, która spaść mogła tylko na jedną głowę starszego lub młodszego brata. Czyż możliwem wogóle było zrównanie się przemysłu z własnością ziemską wprzód, zanim własność ta nie zdecyduje przekształcić się w przemysłową? Gdyby Henryk V-ty jutro umarł, to okoliczność ta już choćby dlatego nie zmieniłaby hrabiego Paryża w legitymistę, że przestałby on tem samem być królem orleanistów. Mimo to, filozofowie ugody, którzy stawali się coraz głośniejszymi w miarę, jak kwestja rewizji wysuwała się na pierwszy plan, stworzywszy z *Assemblée nationale* oficjalny swój organ, tłumaczyli sobie całą trudność problemu rywalizacyją obu dynastji. Usiłowania i próby w celu pogodzenia rodziny orleanów z Henrykiem V, rozpoczęte zaraz po śmierci Ludwika Filipa, ale jak wszelkie wogóle intrjgi dynastyczne odgrywane tylko podczas feryj parlamentu, w międzyaktach za kulisami, były raczej sentymentalnem kokietowaniem ze starym przesądem, aniżeli poważnie obmyślana sprawa. Dziś podniesiono je do wysokości głównej akcji politycznej i przedstawiano na publicznej scenie, nie zaś — jak dawniej — w teatrze amatorskim. Kuryjery pędzili z Paryża do Wenecji, z Wenecji de Claremont, z Claremont do Paryża. Hrabia Chambord ogłosił manifest, w którym „z pomocą wszystkich członków swej rodziny“ ogłasza już nie swoją, ale „narodową“ restauracyję. Orleanista Salvandy rzuca się do nóg Henrykowi V-mu. Szefowie legitymistów Berryer, Benoit D'Azy, St. Priest udają się do Claremont, ażeby porozumieć się z orleanistami, ale wszystko na próżno. Zwolennicy ugody spostrzegli zapóźno, że interesy obu burżuazyjnych frakcji, wystąpiwszy w postaci interesów obu królewskich domów, nie na swę wyłączności nie tracą, ani też na uległości nie

zyskają. W razie, gdyby Henryk V uznał hrabiego Paryża za swego następcę — jedyny rezultat, który partya ugodowa osiągnąć mogła — dom Orleanów nie zyskiwał nic, czego mu już poprzednio bezdzielność Henryka V nie zapewniała, tracił zaś wszystkie pretensje i korzyści, zdobyte wskutek rewolucyi lipcowej. Dom ten musiałby zrezygnować z własnych zdobyczy, z wszelkich tytułów, które wydarł w stuletniej prawie walce ze starszą linią Burbonów, musiałby zrzec się swej historycznej prerogatywy, przywilejów, związanym z piem rodzinnym. Ugoda była zatem niczem innem, jak tylko dobrowolną abdykacyją domu Orleanów, rezygnacyją na korzyść legitymizmu, rzuceniem państwowej, protestanckiej religii i żalosnym powrotem do kościoła katolickiego, powrotem, który w dodatku nie prowadził do tronu — miejsca urodzin — lecz do jego stopni.

Starzy orleanistyczni ministrowie: Guizot, Duchatel etc., którzy również pospieszyli do Claremont w celu przyprowadzenia do skutku ugody, odczuwali w gruncie rzeczy sami *katzenjammer*, jaki nastąpił po rewolucyi lipcowej, zwatpili oni byli w króla burżuazyjnego i rządu burżuazyjnego, pieściąc w swej duszy, niby amulet przeciw anarchii, przesadną wiarę w legitymizm. Wyobrażali oni sobie tylko, że są pośrednikami między Orleanami a domem Burbonów, w istocie zaś byli odstępcami względem dawnych swych panów i jako takich przyjął ich książę Joinville.

Żywi i wojowniczy zwolennicy Orleanów natomiast, jak: Thiers, Baze itd. mogli obecnie tem łatwiej przekonać rodzinę Ludwika Filipa, że skoro wszelka, jak na dziś, restauracyja monarchiczna przysię może do skutku jedynie pod warunkiem ugody obu dynastyi, ugoda zaś z góry przypuszczać musi abdykacyję Orleanów, to zgodnie z tradycyją przodków byłoby lepiej na razie uznać republikę i zaczekać, aż wypadki pozwolą krzesło prezydenta zamienić na tron królewski. Ogłoszono więc kandydaturę Joinville'a — prywatnie; wiadomość o niej krążyła w stolicy, rozbudzając ciekawość opinii. Kandydaturę tę postawiono publicznie w parę miesięcy później po odrzuceniu rewizyi.

Tak więc nietylko próba ugody rojalistycznej między orleanistami a legitymistami nie przysłała do skutku, ale zarazem była ona powodem rozbicia się partyi porządku na pojedyncze składniki, z których pierwotnie powstała; w miarę tego jednak, jak stosunki między Claremont a Wenecyją stawały się coraz chłodniejsze, a agitacyja Joinville'a szerzyła się coraz więcej, — pertraktacyje między Faucher'em, ministrem Bonaparte'go, a legitymistami przybierały charakter bardziej stanowczy, poważny.

Tymczasem proces rozkładowy wśród partyi porządku postępował dalej, niszcząc jedność w łonie obu frakcyj. Zdawać się mogło, jakoby wszystkie różnice i odcienia, które dawniej dawały powód koteryjom do wzajemnego zwalczania się i wypierania przeciwnika, odżyły teraz na nowo, jak odżywają wyschłe wymoczeki po zetknięciu się z wodą. Patrząc na ten ruch koteryj, można było mniemać, że przybył im nowy zapas sił żywotnych, tak obfity, iż mogą śmiało, rozbiwszy się na grupy, spierać się ze sobą i intrygować nawzajem. Legitymiści przypomnieli sobie dawne kwestyje sporne między Tuilieriami a pawilonem Marsan, między Villèle'm a Polignac'em. Dla

orleanistów złoty wiek ożył napowrót, wiek zapasów między Guizot'em, Molé'm, Broglie'm, Thiers'em, a Odillon'em Barrot.

Część członków partyi porządku, żadna rewizyi konstytucyi, ale zarazem pozbawiona jednolitego poglądu co do zakresu, w jakim rewizyja odbyćby się mogła, część ta, złożona z legitymistów pod wodzą Berryera i Falloux z jednej strony, z drugiej zaś Laroche'a Jacquelin'a i znudzonych walką orleanistów, na czele których stali: Molé, Broglie, Montalembert i Odillon Barrot, postawiła po porozumieniu się z bonapartystami następujący nieokreślony, ogólnikowy wniosek:

„Podpisani posłowie, mając na celu oddanie w ręce narodu najwyższej władzy zwierzchniej, stawiają wniosek rewizyi konstytucyi.“

Równocześnie jednak oświadczyli oni jednomyślnie przez usta swego sprawozdawcy Tocqueville'a, że zgromadzenie narodo we nie ma prawa stawiać wniosku zniesienia republiki; prawo to przysługiwać winno tylko Izbie rewizyjnej. Zresztą rewizyja odbyć się może tylko w sposób „legalny“, a zatem wówczas dopiero, kiedy mieć będzie za sobą prawnie przepisane $\frac{3}{4}$ głosów Izby. 19-go lipca po 6-dniowych burzliwych debatach odrzucono — jak się tego z góry spodziewać można było — projekt rewizyi. 446 głosów było za rewizyją, 278 przeciw. Zdecydowani orleaniści: Thiers, Changarnier itd. głosowali z republikanami i Montagne.

Większość parlamentu oświadczyła się, jak widzimy, przeciw konstytucyi, ale artykuły konstytucyi owej były za mniejszością. której głosy większość obowiązywała.

Leż czyż partya porządku nie oddała 31-go maja 1850 roku, 13-go czerwca 1849 r. konstytucyi do rozporządzenia większości? Czyż dotychczasowa jej polityka nie polegała na podporządkowaniu artykułów konstytucyi uchwałom parlamentarnej większości?.. Czyliż biblijny przesąd w literę prawa nie pozostawiono demokratom?.. Czemuż więc teraz większość musiała ulec konstytucyi?..

Rewizyja konstytucyi nie oznaczała w tej chwili nic innego, jak wzmocnienie władzy prezydenta, konstytucyja zaś była równoznaczna ze złożeniem Bonaparte'go z urzędu. Parlament oświadczył się za Napoleonem, konstytucyja przeciw parlamentowi. Bonaparte, rozdarłszy później konstytucyję, działał w myśl parlamentu, jak niemniej zgodnie z konstytucyją rozpuścił parlament.

Parlament zawotował emancypacyję konstytucyi z pod władzy większości, uchwała ta zniósł on konstytucyję, przedłużył panowanie prezydenta i ogłosił, że dopóki Izba istnieje, żywot ustawy zarówno jak zniesienie prezydyjalnej władzy mieszczą się w granicach niemożliwości. Podczas gdy parlament obradował nad rewizyją — Bonaparte odebrał generałowi Baragnay d'Hillers, jako człowiekowi niezdecydowanemu, komendę nad pierwszą dywizyją armii i zamianował na jego miejsce generała Magnan, zwycięzcę z Lyonu, bohatera dni gładniowych, kreaturę, która już za czasów Ludwika Filipa z powodu wyprawy z Boulogne skompromitowaną była za stosunki z Bonapartem.

Partya porządku uchwałą wniosku w sprawie rewizyi dowiodła, że zarówno rządzić, jak i służyć nie umie, że nie potrafi ani żyć, ani umrzeć, że nie jest zdolną podtrzymać republiki, ani też jej

obalić, że nie umie zarówno zachować, jak i odrzucić konstytucji. Na koniec partya ta dowiodła, że ani z prezydentem zerwać, ani też iść z nim ręką w rękę nie potrafi. Od kogoż tedy oczekiwała rozwiązania sprzeczności? Kalendarz, bieg wypadków były dla niej siłami decydującymi. O zawiadnięciu wypadkami przestała już myśleć. Wyzywała więc je, ażeby pokazały swą siłę, potęgę, wobec której partya ta stanąć wreszcie musiała bezsilna, pozbawiona władzy. Ażeby szef władzy wykonawczej mógł tem spokojniej i pewniej plan walki z przeciwnikami obmyśleć, środki zaczepne pomnożyć, wybrać narzędzia, pozycję wzmocnić, postanowiła partya porządku w owej stanowiącej chwili opuścić scenę, odroczyć posiedzenia Izby na 3 miesiące, od 10 sierpnia do 4 listopada.

Lecz nie tylko w Izbie partya ta rozbita była na dwie wielkie frakcje, w łonie których panowało zupełne zamieszanie. Między frakcjami parlamentarnymi a partyją porządku, stojącą na zewnątrz Izby, nie było również zgody. Mówcy i pisarze, ludzie z trybuny i prasy, słowem ideologowie burżuazyi stali się teraz obcymi dla klasy przez nich reprezentowanej.

Legitymiści z prowincyi, których entuzjazm — wbrew ograniczonym horyzontom ich myśli — był nieograniczonym, karcili swych parlamentarzystów, Berryer'a i Falloux za dezercję do obozu bonapartystów i porzucenie Henryka V. Liliowy rozsądek wyborców odstępstwo posłów mianował upadkiem grzesznych, nie zaś dyplomacyją.

Nierównie fatalniejszym i bardziej stanowczym było zerwanie handlowej burżuazyi z jej politykami. Nie zarzucała im ona — jak to czynili legitymiści — odstępstwa od zasad, lecz przeciwnie udzielała nagany za wierność zasadom, które z biegiem czasu stały się bezużytecznymi.

Wspomnieliśmy poprzednio, że z chwilą, kiedy Fould objął tekę ministeryjalną, grupa burżuazyi handlowej, której za czasów Ludwika Filipa lwia część władzy przypadła w udziale, mianowicie arystokracja finansowa przeszła do obozu Bonapartego. Fould nie tylko bronił interesów Bonapartego na giełdzie, był on zarazem rzecznikiem giełdy wobec niego.

Ówczesne stanowisko arystokracji finansowej charakteryzuje najtrafniej cytata z *Ekonomisty*, europejskiego jej organu, wychodzącego w Londynie. W numerze z 1-go lutego 1851 r. donosi korespondent z Paryża: „Przekonano się tedy wszędzie, że Francya przedewszystkiem żąda spokoju. Prezydent wyraził to w swem orędziu do ciała prawodawczego, życzenie spokoju odrzinniewa niyb echo z trybun narodowych, o spokoju zapewniają dzienniki, głoszą kazalnice, świadczy o nim czułość, jaką okazują państwowe papiery na wzmiankę najmniejszą o zaburzeniu, świad czy również stałość kursu, okazująca się zawsze, ilekroć władza wykonawcza zwycięża.“

W numerze z 29 listopada 1851 r. oświadcza *Ekonomista* we własnym imieniu: „Na wszystkich giełdach europejskich uznano prezydenta za strażnika porządku.“ Arystokracja finansowa potępiła tedy stanowczo parlamentarną walkę partyi porządku z władzą wykonawczą, jako zaburzenie porządku i

święciła każde zwycięztwo prezydenta nad rzekomymi jej reprezentantami, jako zwycięztwo porządku. Przez arystokrację finansową nie należy rozumieć tylko wielkich bankierów i spekulujących papierami państwowymi, których interesy — jak łatwo pojąć — idą ręką w rękę z interesami rządu. Cała pieniężna gospodarka nowoczesna, wszelkie spekulacyje bankowe są jak najściślej z kredytem publicznym związane. Część kapitału przedsiębiorców wkładana bywa w papiery państwowe, podlegające szybkiej konwersyi, i oprocentowana. Oddany im do rozporządzenia kapitał rozdzielamy między kupców i przemysłowców, płynie po części z dywidend rentyerów państwowych.

Przemysłowa burżuazyja, przejęta fanatyzmem porządku, patrzyła również z gniewem na klótnie i utarczki parlamentarne partyi porządku z władzą wykonawczą. Thiers'a, Auglas'a, Saint-Beuve'a itd. po debatach 18-go stycznia, mających za przedmiot złożenie Changarnier'a z urzędu, skarcili (wyborcy okręgów przemysłowych) publicznie, piętnując koalicję z Montagne, jako zdradę wobec porządku. Jeżeli jednak chępliwe drwinki i drobne intrzygi ze strony partyi porządku w walce z prezydentem nie zasługiwały na lepsze przyjęcie, to z drugiej strony partya burżuazyjna, domagająca się od swych reprezentantów, ażeby władzę nad armiją, spoczywającą w rękach parlamentu, oddali bez oporu awanturniczemu prezydentowi, to partya ta — powtarzamy — nie warta była wcale nawet tych intryg, jakie w jej interesie prowadzono w parlamencie. Burżuazyja dowiodła, że walka, mająca na celu jej własny klasowy interes, jej polityczną siłę, rozstraja ją i burzy spokój prywatnych, codziennych jej zajęć.

Burżuazyjni dygnitarze miast departamentalnych, radcy miejscy, sędziowie handlowi itd. przyjmowali — niemal bez wyjątku — Bonapartego podczas jego podróży w sposób najbardziej serwilistyczny wówczas nawet, kiedy — jak w Dijon — prezydent w przemowach swych napadał bezwzględnie na zgromadzenie narodowe, a przede-wszystkiem na partyję porządku.

Gdy handel szedł dobrze, jak to miało miejsce np. z początkiem 1851 r., burżuazyja handlowa w obawie przed stratami krzykiem oburzenia witała wszelką parlamentarną walkę. Kiedy zaś handlowe stosunki pogorszyły się — od końca lutego 1851 r. zastój zwiększał się stale — zwałała winę na walki parlamentarne, uważając je za przyczynę kryzysu i domagała się w imię interesu handlowego zaprzestania walki. Debaty nad rewizyją przypadły były właśnie właśnie w najgorszą porę zastój. Ponieważ w tym czasie chodziło o to, czy dotychczasowa forma państwa ma istnieć lub nie, uważała się burżuazyja tem bardziej uprawnioną do postawienia wyraźnego żądania, ażeby reprezentanci jej położyli wreszcie koniec niezdolnemu prowizorycznemu stanowi rzeczy, a zarazem ażeby utrzymali *status quo*. Żądania te nie stały wcale ze sobą w sprzeczności. Koniec prowizorycznego stanu rzeczy wedle jej pojmowania był równoznacznym z dalszym trwaniem tego stanu, z odsunięciem chwili stanowczej w daleką przyszłość. *Status quo* zaś mógł być utrzymany w sposób dwojaki.

Trzeba było albo przedłużyć rządu Bonapartego, albo też usunąć go w sposób legalny i zgodnie z prawami konstytucyi, obrac

prezydentem Cavaignac'a. Część burżuazji popierała ten drugi sposób wyjścia, nie umiała jednak nie lepszego zalecić swym reprezentantom, jak milczenie. Burżuazja była przekonana, że skoro posłowie, omijając drażliwe punkty, zdołają się na mileżenie, Bonaparte będzie siedział cicho. Zyczą więc sobie parlamentu strusiego, któryby, pragnąc być niespostrzeżonym, głowę swą ukrywał przed nieprzyjacielem. Inny odłam burżuazji pragnął, ażeby Bonaparte, raz zajmwszy krzesło prezydenta, pozostał na niem i nadal; w ten sposób wszystko byłoby po dawnemu. Oburzano się na parlament za to, że nie zerwał otwarcie z konstytucją i nie wydał na siebie wyroku śmierci.

Rady generalne w departamentach, te prowincjonalne reprezentacje wielkiej burżuazji, które obradowały podczas feij parlamentarnych począwszy od 25 sierpnia, oświadczyły się prawie jednogłośnie za rewizyją, a zatem przeciw parlamentowi, a za Bonapartem.

O wiele wyraźniejszym od rozbratu z posłami było zerwanie burżuazji z jej własnymi przedstawicielami w dziennikarstwie, z własną prasą, przeciwko której zwróciła się jej wściekłość. Wyroki, za pomocą których sądy burżuazyjne nakładały niesłychane kary pieniężne, skazywały bezwstydnie na więzienie własnych dziennikarzy za wszelki atak, wymierzony przeciwko uzurpacyjnym żądom Bonapartego, za wszelkie ze strony prasy usiłowania obrony politycznych praw burżuazji przeciw władzy wykonawczej, wyroki te wprawiły w zdumienie nie tylko Francję, ale i całą Europę.

Parlamentarna partycja porządku, jak wykazałem, domagając się spokoju, przeszła sama w stan spoczynku. Niszczyła ona własnoręcznie w walce z innymi klasami społeczeństwa wszystkie warunki bytu rządu parlamentarnego, dowodząc tem samem, iż polityczne rządy burżuazji nie dadzą się pogodzić z bezpieczeństwem publicznem i istnieniem takowej klasy.

Na zewnątrz parlamentu stojąca masa burżuazji natomiast występując serwilistycznie wobec prezydenta, lżąc parlament, karząc własną prasę, zachęcała tylko Bonapartego do uciskania i niszczenia własnych jej polityków i literatów, własnej trybuny i prasy, ażeby móc w ten sposób w pełni zaufania pod opieką silnego, nie skrupowanego rządu, zająć się spokojnie interesami prywatnymi. Oświadczyła ona wcale nie dwuznacznie, że zrzeka się własnego panowania, ażeby tylko być wolną od trudów i niebezpieczeństw z niem połączonych.

I burżuazja ta, która z oburzeniem powstawała przeciw parlamentnej i literackiej walce, prowadzonej w imię panowania własnej jej klasy, ta sama burżuazja, która swych wodzów zdradziła, śmie teraz oskarżać proletaryjat, zarzucać mu, że nie powstał w jej obronie i nie rzucił się do walki krwawej na śmierć lub życie! Burżuazja, która do chwili ogólny klasowy, t. zn. polityczny interes rzucała na ofiarę najgłupszym, najbrudniejszym interesom prywatnym, żądając również od swych reprezentantów podobnej ofiary, burżuazja ta narzeka teraz, że proletaryjat swym materialnym interesom rzucił na pastwę jej idealne interesy polityczne. Przedsta-

wia ona siebie jako piękną duszę, którą proletaryjat, sprowadzony przez socjalistów na błędne drogi, opuścił w chwili stanowczej. Skargi jej znajdują odgłos w całym burżuazyjnym świecie. Nie mam tu oczywiście na myśli pokątnych polityków niemieckich, sympatyzyjących z burżuazją francuską. Wskażę tylko na *Ekonomistę*, który 29 listopada 1851 r., a zatem na 4 dni przed zamachem stanem uważał jeszcze Bonapartego za „strażnika porządku“, Thiers'a zaś i Ber.yer'a za „anarchistów.“ 27 go grudnia 1851 roku, kiedy Bonaparte anarchistów owych zmusił być do porządku i spokoju, *Ekonomista* w jednym z artykułów pisze o zdradzie, jakiej dopuścić się miały „ciemne, nieokresane, tępe masy proletaryjatu względem moralnego autorytetu, wpływu duchowego, intelektualnej pomocy, dyscypliny i wiedzy średnich i wyższych warstw społeczeństwa.“ W tym razie jednak tępa, nieokresana, pospolita masa był nie kto inny, jak masa burżuazji.

We Francji w roku 1851-ym panował mały handlowy kryzys. W końcu lutego wywóz w po ównaniu z rokiem 1850 okazał znikły, w marcu handel ponosił straty, fabryki zamykały się, w kwietniu znalazły się przemysłowe departamenty w stanie tak rozpaczliwym, jak ongiś, po dniach lutowych, w maju ruch nie wracał do dawnego życia, jeszcze 28 czerwca bank francuski zarzucony był depozytami, zaliczki na weksle zmniejszały się, świadcząc o zastępczym w produkcji, dopiero w połowie października nastąpił zwrot polityczny. Burżuazja francuska przyczynę złego widziała tylko w polityce, w walce toczącej się między parlamentem a władzą wykonawczą, w niepewności, jaką budziła prowizoryczna forma rządu, w fatalnej perspektywie, jaką otwierała się przed Francją w blizkiej przyszłości 2 go maja 1852 r.

Nie przeczę, że wymienione okoliczności niepomyślnie wpłynęły na niektóre gałęzie przemysłu w Paryżu i departamentach. Z tem wszystkim jednak wpływ stosunków politycznych był tylko lokalny i nieznaczny. Najlepszym dowodem nałoważności politycznego wpływu jest wzgląd następujący: oto pomyślny zwrot w handlu nastąpił w połowie października, wówczas właśnie, kiedy polityczny horyzont zaciemnił się i lada chwila spodziewać się można było gromu z Elysium. Francuski burżna, którego „wiedza swiato-pogląd i środki intelektualne“ nie sięgały dalej nosa, mógł zresztą w ciągu trwania wystawy przemysłowej w Londynie nosem natknąć na przyczynę własnej mizery handlowej. Podczas gdy we Francji fabryki zaprzestały produkować, bankructwa handlowe były w Anglii na porządku dziennym. W kwietniu i maju, kiedy panika przemysłowa dosięgła we Francji punktu kulminacyjnego, handlowa panika w Anglii była w najwyższym rozkwicie. Przemysł wełniany, jedwabniczy zarówno we Francji, jak i w Anglii, był w zastój. Wprawdzie angielskie fabryki wyrobów bawełnianych produkowały dalej, ale zyski produkcji były niższe od dochodów z lat 1849 i 1850. Różnica dotyczyła rodzaju przesilenia; kryzys we Francji był przemysłowy, w Anglii zaś handlowy; we Francji fabryki były zamknięte, w Anglii produkowały wprawdzie, ale wśród warunków mniej pomyślnych, aniżeli w latach poprzednich; we Francji ucierpiał głównie wywóz, w Anglii wóz towarów. Wspólna przyczyna, której oczywiście nie należało się doszukiwać we francuskiej polityce, była widoczną. 1849-ty

i 1850 były latami największego materyjalnego rozkwitu, nadmiaru produkcji, który dopiero w r. 1851 dał się poczuć w skutkach.

Z początkiem roku zwłaszcza nadmiar z powodu zbliżającej się wystawy przemysłowej zwiększył się znacznie. Przyłączyły się do tego specjalne okoliczności: po nieudanych zbiorach bawełny w r. 1850 i 1851 spodziewano się z wszelką pewnością zbiorów obfitych, przechodzących oczekiwanie wszystkich, ceny bawełny, początkowo wygórowane, spadły zatem gwałtownie. Zbiór surowego jedwabiu był mniejszy, przynajmniej we Francji, od przeciętnego zbioru z lat poprzednich. Nakoniec przetwarzanie wełny przybrało po roku 1848 takie rozmiary, że produkcja surowej wełny nie mogła mu dotrzymać kroku. Wpłynęło to na stosunek cen surowej wełny a fabrykatów wełnianych. W surowych materyjalach trzech gałęzi wielkoświatowego przemysłu kryła się przyczyna zastoju handlowego. Nie biorąc pod uwagę owych specjalnych przyczyn, musimy uważać pozorne przesilenie r. 1851 za chwilowe wstrzymanie się nadmiaru produkcji i spekulacji w swym przemysłowym obiegu, poprzedzające zawsze chwilę, w której gorączkowa produkcja zbiera wszystkie swe siły, ażeby dokończyć szalonej drogi obiegu i stanąć znowu na punkcie, z którego poczyną się wędrówka, mianowicie stanąć wobec powszechnego handlowego przesilenia. W podobnych chwilach, powtarzających się w historii handlu, bankructwa handlowe w Anglii są na porządku dziennym, we Francji natomiast okazuje się zastój w przemyśle, spowodowany po części zabójczą wówczas konkurencją angielską, wypierającą obce towary z rynków. Obok konkurencji angielskiej występuje inna przyczyna: przemysł francuski poświęca znaczną część swych sił na wyroby zbłytku, których produkcja i obieg w chwili zastoju najwięcej narażane bywają na straty. Tak więc, Francja oprócz powszechnych przesileni przeżywa także własne, narodowe kryzysy będące jednakże raczej następstwem ogólnego stanu, w jakim znajduje się rynek światowy, aniżeli wynikiem francuskich, lokalnych stosunków.

Ciekawem jest porównanie przesądu francuskiej burżuazji z opinią angielskiej. Jeden z największych domów liwerpolskich podaje w handlowym sprawozdaniu za rok 1851 co następuje:

„Rzadko kiedy nadzieje i przypuszczenia, czynione z początkiem roku, zawodziły fatalniej, aniżeli obecnie; rok ten zamiast pomyslnego, zewsząd spodziewanego rozkwitu przyniósł tylko zniechęcenie, jakiego od ćwierć wieku nie pamiętamy. Mamy tu oczywiście na myśli handlowe, nie zaś przemysłowe sfery. A jednak z początkiem roku wiele przemawiało za tem, że będzie pomyslny; zapasy produktów były niewielkie, mieliśmy nadmiar kapitałów, tanie środki spożywcze i zapewnienie jesieni obfitej w płody; na kontynencie niezamącony pokój, u siebie zaś nie widzieliśmy politycznych lub finansowych zaburzeń; zaiste skrzydła handlu nigdy nie były swobodniejsze... Czemuż tedy przypisać niepomyślny rezultat? Zdaniem naszym przypisać go należy nadmiarowi w handlu zarówno wwozowym, jak i wywozowym. Jeżeli kupcy nasi nie zakreślą sami swym funkcjom węższych granic, wówczas co trzy lata czeka nas panika.“

Wyobraźmy sobie teraz wśród owej paniki francuskiego burżua, którego handlarski mózg dręczą, ogłuszają wieści o zamachu stanu

i zmartwychwstaniu powszechnego prawa wyborczego, przerażają widoki walki parlamentu z władzą wykonawczą, wojna orleanistów z legitymistami, komunistyczne konspiracje na południu Francji, wiadomości jakoby w departamentach Ni vre i Cher podniosła się zakłócenia *), reklamy rozmaitych kandydatów do krzesła prezydyjalnego, jarmarczne, krzykliwe rozwiązywanie kwestyi przez dzienniki, groźby republikańców, głoszących, że z bronią w ręku staną w obronie konstytucyi i powszechnego głosowania, ewangeliczne przepowiednie emigracyjnych bohaterów *in partibus* o końcu świata, który nastąpi 2 maja 1852 r. — przedstawmy sobie to wszystko, a zrozumimy wówczas, słyszając o ugodach, rewizji, prorogacji **), konstytucyi, konspiracji, koalicji, emigracji, uzurpacji i rewolucyi ciężko dyszy i w pomieszaniu woła:

— Raczej położyć koniec strachowi, aniżeli żyć w ustawicznej trwodze!..

Bonaparte rozumiał ten krzyk przerażenia. Jego władza pojmowania wyostrzała się w miarę wzrastającej natęczywości wieźcieli, którzy wobec zbliżającego się terminu wypłaty 2 maja 1852 w każdej minionej dobie widzieli protest kosmicznych sił, kierujących obrotem planet przeciwko ich ziemskim weksłom. Wierzytiele stali się byli prawdziwymi astrologami. Zgromadzenie narodowe odebrało Bonapartemu nadzieję prawnego przedłużenia władzy, kandydatura księcia Joinville nie pozwalała wahać się dłużej.

Zamach stanu Bonapartego na długi czas przed wykonaniem znany był powszechnie. 29-go stycznia 1849-go roku a zatem ledwie w miesiącu po wyborze na prezydenta, proponował Bonaparte Changarnier'owi udział w *coup d'état*. Własny minister jego Odillon Barrot w lecie 1849 r. starał się ukryć politykę zamachu, którą w zimie 1850 Thiers publicznie denuncyjował. Persigny usiłował w maju 1851 powtórnie zjednać w tej mierze pomoc Changarnier'a. *Messager de l'Assemblée* opublikował te pertraktacje. Dzienniki bonapartystyczne groziły, ilekroć w parlamencie zapanowało burzliwe usposobienie — zamachem stanu, głos ich brzmiał donośniej, im bliższą była chwila stanowcza. Podczas orgij, które Bonaparte święcił co noc w gronie męzkich i kobiecych *swell mob*, przed północą, gdy języki rozwiązały się po libacji obfitej, a fantazyja rozgrzała się winem, zapadały uchwały zamachu stanu. Wówczas wyciągano miecze wśród brzęku kieliszków, posłowie wylatywali oknem, płaszcz cesarski spadał na plecy Bonapartego. Dopiero ranek rozpedzał widziadła. Zdumiony Paryż dowiadywał się od gadatliwych westalek i niedyskretnych paladynów o niebezpieczeństwie, którego tym razem jeszcze udało mu się uniknąć. We wrześniu i październiku nie było końca wieściom o zamachu. W tym celu wystarczy przejrzeć dzienniki europejskie za oba miesiące. Spotykamy się tam z następującymi wiadomościami: „Wieści o zamachu stanu poruszają cały Paryż. Stolica ma być w nocy zapełniona wojskiem, nazajutrz z rana mają być wydane dekrety, które zwrócą się do ludu i ogłoszą rozwiązanie

*) Krwawe bunt chłopów we Francji w XVI, XVII w. Nazwa Jacques Bonhomme oznacza chłopą.

**) Odroczenie, przedłużenie.

Izby, stan oblężenia w departamencie Sekwany i restauracja powszechnego głosowania. Bonaparte szuka obecnie ministrów, z których pomocą wykonałyby wymienione dekrety.“ Korespondencje, wypełnione podobnemi wiadomościami, kończyły się słowami: „odłożone na później.“ Myśl zamachu stanu nie opuszczała ani na chwilę Bonapartego. Z zamiarem tym stanął on na ziemi francuskiej. Myśl wyniesienia się zapanowała nad nim w tym stopniu, że zdradzał się z nią ustawicznie. Był on na tyle bezzilnym, że zarzucał ją od czasu do czasu. Paryżanie zżyli się już byli z ukazującym się ustawicznie widmem zamachu, nie chcieli też w niego wierzyć aż do ostatniej chwili, kiedy widmo zmieniło się w istotę z ciałem i krwią.

Powodem udania się zamachu nie było wcale zachowanie w tajemnicy planu i zamknięcie się w sobie szefa Towarzystwa 10-go grudnia, nie było nim również niespodziane opanowanie Izby przez samozwańca. Jeżeli zamach udał się, to nastąpiło to mimo o niedyskrecyi ze strony Bonapartego, a za wiedzą Izby, jako nieunikniony rezultat poprzedniego rozwoju.

10 października przedłożył Bonaparte ministrom wniosek restauracji powszechnego prawa wyborów, 16-go podali się oni do dymisji, a 26-go dowiedział się Paryż o utworzeniu nowego ministerjum Thorigny. Równocześnie Maupas zajął miejsce dotychczasowego prefekta policyi Carlier'a, a nacelnik pierwszej dywizyi wojennej, Magnan, ściągnął do Paryża pułki, na które zupełnie można było liczyć. 4-go listopada otwarte zostały posiedzenia Izby. Nie zajmowała się ona teraz niczem innem, jak krótkiem, zwięzłym powtórzeniem kursu, który już raz odbyła, ażeby w ten sposób dowieść, że pogrzebano ją, zanim zeszła ze świata.

Pierwszą placówką, która Izba w walce z władzą wykonawczą straciła, było ministerjum. Zatwierdzając ministerjum Thorigny, które odgrywało rolę kurtyny dla Bonapartego, zgromadzenie przyznawało się tem samem uroczyście do straty, jaką poniosło. Kiedy pan Giraud przedstawił się jako członek ministerjum, komisya niustająca przyjęła przemowę jego śmiechem. Czyż słyszano kiedy, ażeby niedołężne ministerjum miało dokonać tak wielkiej reformy, jak restauracja powszechnego prawa wyborów! W tej chwili jednak chodzilo właśnie o to, ażeby nie w parlamencie, wszystko zaś przeprowadzić przeciw parlamentowi.

Zaraz na pierwszym posiedzeniu przedłożone zostało Izbie oświadczenie Bonapartego, w którym domaga się on wprowadzenia na powrót w życie powszechnego głosowania i zniesienia ustawy z 31 maja 1850 roku. Ministrowie wnieśli tegoż samego dnia odnośny dekret. Zgromadzenie nie uznało wniosku za naglący, 13-go zaś listopada odrzuciło projekt 355 głosami przeciw 348. W ten sposób parlament raz jeszcze stwierdził, że członkowie jego zarzucili rolę reprezentantów, przez lud wybranych, a przedzierzgnęli się w sposób uzurpacyjny w przedstawicieli jednej klasy, że przecięli mięśnie, łączące parlamentarną głowę z tułowiem narodu.

Podczas gdy władza wykonawcza wniósłszy projekt restauracji powszechnego głosowania apelowała do ludu, odniosła się władza prawodawcza zapomocą wniosku ustawy o kwestorach — do armii.

W myśl tej ustawy przysługiwało Izbie prawo bezpośredniego powołania wojska, prawo stworzenia parlamentarnej armii. Izba polecając armii rozstrzygać sprawy między nią a ludem z jednej, Bonapartem z drugiej strony, nadając militarnej potędze najwyższą władzę w państwie — nie mogła równocześnie zaprzeczyć, że pozbyła się od dawna pretensyi do rządów nad wojskiem. Zgromadzenie zamiast zwołać natychmiast pułki, debatowało nad prawem zwolania takowych i w ten sposób zdradzało powątpiewanie we własną potęgę. Nakoniec odrzuciwszy projekt ustawy o kwestorach, zgromadzenie zadekretowało publicznie swą bezzilność. Za ustawą głosowało tylko 108 posłów, — głosy Montagne zadecydowały o odrzuceniu wniosku. Partya ta przypominała ośla Buridan'a, z tą tylko różnicą, że nie wybierała między wiązkami siana, ale między ciągami, które ją oczekiwać mogły ze strony Changarnier'a lub Bonapartego. Przysłać trzeba, że sytuacja ta wcale heroiczna nie była.

18-go listopada wprowadzono do projektowanej przez partyję porządku ustawy o wyborach gminnych poprawkę, która wymagała od każdego wyborcy nie trzyletniego, ale jednorocznego pobytu w gminie. Poprawka upadła wskutek jednego głosu przeciw, okazało się atoli wkrótce, że głos ten był omyłką.

Partya porządku, od chwili rozbicia się na wrogie frakcje, utraciła swą odrębną większość w parlamencie. Porażki, jakie ponosiła, dowodziły, że w parlamencie większość wogóle nie istnieje. Zgromadzenie narodowe straciło władzę uchwalania wniosków. Części składowe parlamentu nie łączyła wzajemnie siła spójności, siła ta bowiem była od dawna martwa.

Masa burżuazji, stojąca poza obreębem parlamentu miała sposobność na kilka dni przed katastrofą stwierdzić raz jeszcze uroczyście rozbrat swój z burżuazją w parlamencie. Thiers, jako bohater parlamentarny, zarażony, więcej niż ktokolwiek inny, nieuleczalną chorobą parlamentarnego kretynizmu, ukuł po śmierci parlamentu nową parlamentarną intrygę, dotyczącą ministerjum. Był nią projekt uchwały prawo odpowiedzialności, któreby prezydentowi nie pozwalało przekraczać szranków konstytucyi. Tymczasem Bonaparte zjednywał sobie zwolenników. 15-go września przy zakładaniu nowych gmachów targowych w Paryżu oczarował niby drugi Massaniello rybaczki, *dammes des halles*, (cokolwiek bądź każda z rybaczek miała tyleż władzy, co 17-tu burgrabów), — po wniesieniu projektu o kwestorach prezydent wywołał entuzjazm wśród oficerów, zaproszonych do pałacu elyżejskiego na ucztę, — 25-go listopada porwał za sobą przemysłową burżuazję, która zgromadziła się w cyrku, ażeby z rak prezydenta otrzymać medale nagrody z wystawy londyńskiej. Charakterystyczny ustęp z jego mowy powtarzam za *Journal des Débats*: „Patrząc na to niespodziane powodzenie, mogą śmiało powtórzyć: jakże wielką byłaby francuska republika, gdyby losy pozwoliły jej iść w kierunku realnych interesów, reformować instytucje i uwolnić ją od zaburzeń, wywołanych bądź przez demagogów, bądź wskutek monarchicznych halucynacji (głośnie, burzliwe, po kilkakroć powtarzane oklaski ze wszystkich stron amfiteatru). Monarchiczne halucynacje przeszkadzają wszelkiemu postępowi, są wrogię rozkwitowi przemysłu. Zamiast postępu wyradzają one walkę. Widzimy wówczas mężów, którzy

będąc dawniej najsilniejszymi filarami królewskiego autorytetu i przywilejów, przekształcają się nagle w zwolenników konwentu, aby tylko osłabić autorytet inny, uznany przez powszechne głosowanie (głosne, po kilkakroć powtarzane oklaski). Widzimy, jak mężowie, którzy najwięcej ucierpieli od rewolucji, prowokują nowe zaburzenia, aby tylko skuć wolę narodu w kajdany... Przysięgam wam na przyszłość spokój itd. itd. (Brawa, brawa, grzmiące brawa).“

Oto jak burżuazja przemysłowa przyklaskiwała serwilistycznie zamachowi 2-go grudnia, zniszczeniu parlamentu, upadkowi własnych rządów, dyktaturze Bonapartego. Grzmotowi oklasków z 25 listopada odpowiedziały grzmoty armatnie 4-go grudnia, a dom pana Salandrrouze, tego samego, który najsilniej tłukł brawo w listopadzie, najwięcej od bomb ucierpiał.

Cromwell, rozwiązując długi parlament, zjawił się sam wpośród przeciwników, a nie chcąc, ażeby postłowie ponad oznaczony termin siedzieli w Izbie, wyjął zegarek i wypędził jednego członka po drugim, drwiąc z każdego wesoło. Napoleon, mniejszy od swego poprzednika, udał się jednakże 18-go brumaire'a do ciąta prawodawczego i przeczytał mu — jakkolwiek głosem przybitym — wyrok śmierci. Bonaparte II-gi, który rozporządzał znacznie większą siłą wykonawczą, aniżeli Cromwell lub Napoleon, nie szukał wcale pierwowzoru w rocznikach historii, w tym celu wystarczały mu kryminalne roczniki towarzystwa 10-go grudnia. Okrada on bank francuski na 25 milionów franków, milionem przekupia generała Magnan, każdego zaś z żołnierzy 15 frankami i wódka, urządza potajemnie, jak złodziej, nocną schadzkę swych współpracowników, każe wkroczyć do domów najniebezpieczniejszych przewodców parlamentarnych, wywlec z łóżek Cavaignac'a, Lamoricièr'a, Leflò, Changarnier'a, Charras'a, Thiers'a, Baze'a etc., obsadzić główne place i gmach Izby wojskiem i rozlepić wcześniej zrana jarmarczne ogłoszenia na wszystkich murach miasta, ogłoszenia, które dekretyją rozwiązanie parlamentu i Kady państwa, restaurację powszechnego głosowania i stan obłożenia departamentu Sekwany. Wkrótce potem polecił on ogłosić w Monitorze fałszywy dokument, który podaje imiona najbardziej wpływowych osobistości parlamentarnych, zajmujących pod jego przewodnictwem miejsce w radzie państwa.

Zgromadzony w gmachu merostwa 10-go okręgu parlament bez głowy, złożony przeważnie z legitymistów i orleanistów uchwala wśród okrzyków: „niech żyje republika!“ złożenie Bonapartego z urzędu i zwraca się napróżno do tłumu, gapiącego się przed gmachem. Wyslani afrykańscy strzelcy odprowadzają parlament nasamprzód do koszarów d'Orsay, potem wsadzają do wozów zakrytych i odwożą do wiezień Mazas, Ham, Vincennes.

W ten sposób zakończyła żywot partya porządku, zgromadzenie prawodawcze i rewolucja lutowa. Zanim podążymy do końca, podamy krótki szemat jej historii:

I-szy okres. Od 24 lutego do 4 maja 1848 roku okres lutowy. Prolog. Powszechny zawrót głowy wśród okrzyków braterstwa.

II-gi okres. Okres konstituowania się republiki i zgromadzenia narodowego.

1) Od 4-go maja do 25 czerwca 1848 r. Walka wszystkich

klas z proletaryjatem. Porażka proletaryjatu w dniach czerwcowych.

2) Od 25 czerwca do 10 grudnia 1848 r. Dyktatura czyścystych burżuazji-republikanów. Plan konstytucji. Ogłoszenie stanu obłożenia w Paryżu. Koniec dyktatury burżuazji — wybór Bonapartego na prezydenta.

3) Od 20 grudnia 1848 do 29 maja 1849 r. Walka konstytuancy z Bonapartem i połączona z nim partya porządku. Upadek konstytuancy i republikańskiej burżuazji.

III-ci okres. Okres konstytucyjnej republiki i zgromadzenia prawodawczego.

1) Od 29 maja 1849 do 13 czerwca 1849 r. Walka drobno-mieszczaństwa z burżuazją i Bonapartem. Porażka drobno-mieszczańskiej demokracji.

2) Od 13 czerwca 1849 do 31 maja 1850. Parlamentarna dyktatura partii porządku. Partya uwięcza swe panowanie dekretem zniesienia powszechnego prawa wyborczego, traci atoli parlamentarne ministerjum.

3) Od 31 maja 1850 do 2 grudnia 1851 r. Walka parlamentarnej burżuazji z Bonapartem.

a) od 31 maja 1850 do 12 stycznia 1851 r. Parlament traci swą władzę najwyższą nad armiją.

b) od 12 stycznia do 11 kwietnia 1851 r. Próby odzyskania władzy administracyjnej i porażka parlamentu. Partya porządku traci samodzielną parlamentarną większość. Koalicja partii porządku z republikanami i Montagne.

c) od 11 kwietnia do 9 października 1851 r. Próby rewizji, ugody i odroczenia. Kozłobicie partii porządku na pojedyncze części składowe. Zerwanie masy burżuazji z jej reprezentantami i prasa.

d) od 9 października do 2 grudnia 1851 r. Otwarte zerwanie parlamentu z władzą wykonawczą. Parlament zamiera i upada, opuszczony przez burżuazją, armię i wszystkie inne klasy społeczne. Upadek parlamentarnych rządów i panowania burżuazji. Zwycięstwo Bonapartego. Parodia imperyalistycznej restauracji.

VII.

Socjalistyczna republika była prorocstwem, ogłoszonym w poranek rewolucji. Zduszone ją, utopiono w krwi paryskiego proletaryjatu podczas dni czerwcowych 1848 r.; w następnych aktach dramatu odgrywa ona rolę widma, na które klasy rządzące wskazują palcem.

Demokratyczna republika ogłasza się publicznie. Robi ona fiasco 13 czerwca 1849 r., drobno-mieszczaństwo nie dotrzymuje placu, demokraci w ucieczce nie zapominają o reklamach.

Parlamentarna republika burżuazyjna opanowuje całą scenę, rządzi, parlamentuje, używa jak chce i może żywota, ale 2-go grudnia 1851 zostaje pogrzebana wśród okrzyku trwogi ze strony złaczonych rojalistów: „Niech żyje republika!“

Francuska burżuazja nie mogła znieść rządów pracującego pro-

letaryjatu, wyniosła natomiast do władzy szumowiny proletaryjatu (Lumpenproletaryjat), na czele którego stał szef towarzystwa 10-go grudnia. Burżuazja utrzymywała Francję w niemej trwodze, ukazując na zbliżający się terror czerwonej anarchii; Bonaparte chwilę tę przyspieszył, rozkazując rozentuzjasmowanej wódce armii porządku strzelać do znakomitych obywateli na bulwarach Montmartre i Italiens. Burżuazja apoteozowała szablę; dziś też rządzi nią szabla. Zniszczyła ona prasę rewolucyjną; dziś nie ma też za to własnej prasy. Zgromadzenia ludowe na jej rozkaz zostały oddane pod nadzór policyjny; teraz salony jej stoją pod nadzorem. Rozwiązała ona demokratyczne gwardie narodowe; za to pozbyła się dzisiaj własnej gwardyi. Ogłosiła stan oblężenia; dziś stan oblężenia wisi nad jej głową. Skasowała sądy, tworząc natomiast komisje militarne; sądy jej teraz zastapiono przez militarne komisje. Szkoły ludowe oddała w ręce popów, teraz popi kierują własną jej oświatą. Wysyłała bez wyroku skazanych, dziś spotkał ją ten sam los. Za pomocą władzy państwowej gnębiła wszelki żywszy ruch społeczny, teraz wszelki ruch w jej obozie zgubiła państwowa władza. Mając na widoku worki złota, buntowała się przeciw własnym politykom i literatom; dziś politycy i literaci usunęli wprawdzie, ale worki burżuazji będą splądrowane, gęba zakneblowana, a pióro złamane. Nawoływała ona niezmordowanie rewolucją, jak św. Arseniusz chrześcijan: „*Fuge, Tace, Quiesce!* Uciekaj, milcz, spoczywaj!“ — dziś Bonaparte woła do niej: „*Fuge, Tace, Quiesce!* Uciekaj, milcz, spoczywaj!“

Burżuazja francuska rozwiązała dawno dylemat Napoleona: *Dans cinquante ans l'Europe sera républicaine ou cosaque* *), a rozwiązała go w sensie: *république cosaque*. Arcydzieło republiki burżuazycznej nie zostało wcale wskutek złych czarów Circe wykoszlawione. Republika owa nie straciła nie oprócz pozoru szacowności. Dzisiejsza Francja zawarta już była całkowicie w parlamentarnej republice. Wystarczało tylko pechnąć pecherz bagnątem, ażeby wyszło z niego potworne plugastwo.

Nasuwa się teraz pytanie: dlaczego proletaryjat paryski nie powstał po zamachu 2-go grudnia?..

Oto dlatego, że upadek burżuazji był ledwie zadekretowany, dekretu nie wykonano jeszcze. Wszelkie poważne powstanie proletaryjatu ożywiłoby ją na nowo i pogodziło z armiją. Robotnicy mogli spodziewać się powtórzenia porażki czerwcowej.

4-go grudnia burżuazja i episierzy podburzali robotników do walki. Wieczorem tego dnia kilka legijonów gwardyi narodowej przyrzekło zjawie się zbrojniem na placu boju. Burżua i episierzy oburzali się na Bonapartego za wydanie dekretu 2 grudnia, w którym jest mowa o zniesieniu tajnego a zaprowadzeniu jawnego głosowania za pomocą podpisów. Opór, okazany 4 grudnia, zatrwożył Bonapartego. W nocy na rozkaz jego poprzylepiano na rogach ulic plakaty, ogłaszające powrót do tajnego głosowania. Zdaniem burżua i episierów cel został osiągnięty. Na drugi dzień tylko burżua i episierzy nie stawili się na placu.

*) „W przeciągu lat 50 Europa będzie republikańską albo kosacką“ — słowa Napoleona I.

Bonaparte kazał uwięzić w nocy z 1-go na 2-gi grudnia przewódów paryskiego proletaryjatu, naczelników, dowodzących budową barykad. Proletaryjat, ujrawszy się nagle bez wodzów, a nie chcąc — z powodu wspomnień z czerwca 1848, 1849 i maja 1850 roku — walczyć z Montagne pod jednym sztandarem, pozostawił swej awangardzie, tajnym stowarzyszeniom, ratowanie powstańczego honoru, który burżuazja bez oporu rzuciła żołdakom pod nogi, narażając się na szyderstwo Bonapartego, który później kazał rozbroić gwardyję narodową pod pretekstem, że broń jej posłużyć może anarchiściom przeciwko burżuazji!

C'est le triomphe complet et définitif du socialisme! *) Tymi słowami scharakteryzował Guizot 2-gi grudnia. Upadek republiki parlamentarnej zawierał w sobie zarodki tryumfalnej rewolucji proletaryjatu w przyszłości — tymczasem zaś upadek ten oznaczał nie innego, jak zwycięstwo Bonapartego nad parlamentem, zwycięstwo władzy wykonawczej nad prawodawczą, władzy bez frazesów nad władzą z szumnymi frazesami. W parlamencie powszechna wola narodu przeobrażała się w prawo. W gruncie rzeczy było to prawo klasy rządzącej, uchwalone przez nią i dla niej, tj. na jej korzyść. Wobec władzy wykonawczej naród rezygnuje z własnej woli i poddaje się rozkazom władzy obecnej — autorytetowi. Władza wykonawcza w porównaniu z prawodawczą jest wyrazem heteronomii narodu w przeciwstawieniu do jego samorządu. Francja po 2 grudnia pozbyła się wprawdzie despotycznych rządów pojedynczej klasy, atoli zapanował nad nią despotyzm, autorytet jednostki, pozbawionej autorytetu. Walka rozstrzygnęła się w ten sposób, że wszystkie klasy z równą beznadziejnością — upadły niemo na kolana przed kolbami karabinów.

Ale rewolucja jest zawsze gruntowna. Teraz odbywa ona podróż po czyszc. Systematycznie wedle określonej metody załatwia swe sprawy. Do 2-go grudnia 1851 ułatwiła się ona z jedną częścią swych prac przygotowawczych — mianowicie ze zrzuceniem władzy parlamentarnej. Teraz przyszła kolej na władzę wykonawczą. Rewolucja obnaża ją z obłotu, charakter jej, znaczenie sprowadza do właściwego wyrazu, wyodrębnia, ażeby ją tylko mieć na oku i w ten sposób jednocy przeciwko niej wszystkie siły. Aż gdy wreszcie i ta część przygotowań dokonana zostanie — Europa podniesie okrzyk radośny: „Dzielnie ryleś, stary kreć!“

Owa wykonawcza władza z olbrzymią biurokratyczną i militarną organizacją, ze sztuczną, skomplikowaną maszyneryją państwową, na usługi której stoi półmilionowa armija urzędników obok równie licznej armii wojska, ten paszyt potworny, który owinął się około społecznego organizmu Francji, zatykając szczerlnie wszystkie pory — powstał za czasów absolutnej monarchii w okresie upadku feudalizmu, którego koniec przyspieszył. Zwierzchnicze przywileje właścicieli dóbr ziemskich i miast zmieniły się z biegiem czasu w trybuty państwowej władzy, dostojnicy feodálni przedzierzgnęli się w płatnych urzędników, a cała pstra karta, na której świeciły różnobarwne średniowieczne kompetencje, władze, prawa, zmieniła się

*) Jest to zupełny i stanowczy tryumf socjalizmu!

w systematyczny plan państwowego zarządu z fabrycznym podziałem pracy i centralizacją. Pierwsza francuska rewolucja, która miała za zadanie znieść wszelkie miejscowe, terytoryjne, miejskie i prowincjonalne niezależne rządy, ażeby w ten sposób stworzyć obywatelską jedność w narodzie, rewolucja owa — powtarzamy — musiała rozwijać dalej nie tylko centralizację, zainaugurowaną przez absolutną monarchję, lecz zarazem i zakres, atrybucje i środki pomocnicze władzy rządzącej. Napoleon udoskonalił maszyneryję państwową. Legitymistyczna i lipcowa monarchja nie wprowadziły do niej nic, oprócz większego podziału pracy, wzrastającego równomiernie wraz z podziałem pracy w łonie społeczeństwa, który stwarzał nowe interesy i dostarczał nowego materiału zarządowi państwa. Wszelki wspólny interes stawał się interesem powszechnym i odtąd już wchodził w obręb władzy państwowej. Interes powszechny przeciwstawiano wspólnemu, społecznemu. Samodzielne rozporządzanie się społeczeństwa zanikało na korzyść władzy państwa. Począwszy od mostów, budynków szkolnych, majątków gminnych, a skończywszy na kolejach żelaznych, dobrach narodowych i uniwersytecie — wszystko oddane zostało w rozporządzenie państwa.

Parlamentarna republika widziała się zmuszoną w walce przeciwko rewolucji wzmocnić centralizację władzy za pomocą środków represyjnych. Wszystkie przewroty zamiast niszczyć i osłabiać, udoskonalały tylko maszynę państwową. Partyje, dobijające się naprzemiennie władzy, uważały opanowanie olbrzymiego gmachu państwowego za główny łup zwyciężcy.

Za czasów monarchii absolutnej, podczas pierwszej rewolucji, pod rządami Napoleona, biurokracja torowała tylko drogę klasowym rządcom burżuazji. Za restauracją, pod rządami Ludwika Filipa, w całym ciągu trwania parlamentarnej republiki, mimo dążeń do utrwalenia własnej władzy, biurokracja była narzędziem w rękach panującej klasy.

Dopiero za drugiego Bonapartego państwo emancypuje się zupełnie — zdobywa niebywałą dotychczas samodzielność. Państwowa maszyna wyodrębniła się i wzmocniła tak stanowczo, że dzisiaj kierować nią może szef towarzystwa 10-go grudnia, przybyły z obcych stron awanturnik, goniący za szczęściem, wyniesiony w górę dłońmi pijanych, przekupionych wódką i kielbasami żołdaków, którym odtąd musi stale rzucać te speccjały, ażeby w ten sposób zapewnić sobie ich wierność. I okoliczność ta jest powodem zwątpienia, ona to zrodziła uczucie najokropniejszego upokorzenia i poniżenia, uczucie, które dzisiaj pierś Francji ścisła i oddech tamuje. Francjajeja odczuwa dobrze, że część swą zatraciła. Z tem wszystkiem jednak władza państwowa nie zawiśła w powietrzu. Bonaparte reprezentuje jedną klasę, najliczniejszą we Francji: drobne chłopstwo.

Jak Burboni są dynastją wielkiej własności, Orleani zaś pomiędzy, tak Bonaparci są dynastją chłopów, to znaczy masy ludowej we Francji. Nie poddający się uchwałom parlamentu burżuazyjnego, ale rozpędzający ów parlament, Bonaparte jest wybrańcem chłopów. Przez 3 lata udawało się miastom właściwą myśl wyboru 10 grudnia sfalszować i okpiwać chłopów. Wybór 10 grudnia 1848 roku wystąpił w całej pełni dopiero w *coup d'état* 2-go grudnia

1851. Drobni chłopci tworzą olbrzymią masę, której członkowie w jednolitych żyją warunkach. Stosunki wzajemne mało są rozwinięte. Sposób produkcji chłopskiej zamiast ułatwiać komunikację oddziela tylko jednych od drugich. Przyczyną odosobnienia jest również niski stan francuskiej komunikacji i nędza chłopska. Parcela, na której wieśniak pracuje, nie pozwala na podział pracy, zastosowanie nauki agronomii. Wobec tego nie można myśleć o rozwoju różnorodnych elementów, różnicy w zdolnościach, o rozkwicie społecznych stosunków. Każda rodzina chłopska wystarcza niemal sama sobie, produkuje bezpośrednio przeważną część środków spożywczych, zdobywając w ten sposób środki do życia raczej za pomocą wzajemnej wymiany sił z przyrodą, aniżeli za pomocą stosunków społecznych. Parcela, chłop i rodzina; tuż obok druga parcela, drugi chłop i druga rodzina. Oto trzy elementy. — Kopa takich parcel stanowi wieś, kopa wsi — departament. Tak więc wielka masa narodu francuskiego składa się z sumy jednorodnych części, tak jednorodnych, jak kartofle w worku. Jeżeli miliony rodzin, żyjące w pewnych określonych warunkach ekonomicznych, odróżniają się sposobem życia, wykształceniem, interesami od innych klas, jeżeli stają wobec nich wrogo, wówczas tworzą one klasę społeczną. Skoro zaś między członkami istnieją tylko lokalne związki, a tożsamość interesów nie wytwarza wspólności, związku ogólniejszego, narodowego, politycznej organizacji, wówczas członkowie ci, jak np. drobni chłopci, nie tworzą wcale odrębnej klasy, nie są zdolni wystąpić we własnym imieniu w izbie lub konwencie. Sami przedstawicielami swych interesów być nie mogą, musi je zatem reprezentować ktoś inny. Przedstawiciel musi zarazem być ich panem, posiadającym autorytet, musi mieć władzę nieograniczoną, za pomocą której mógłby ochraniać ich i bronić przed innymi klasami. Polityczny wpływ drobnego chłopstwa znajduje swój pełny wyraz wówczas, gdy społeczeństwo podporządkowane zostanie władzy wykonawczej. Tradycja historyczna zrodziła w chłopach francuskich przesadną wiarę, wedle której człowiek, zwany Napoleonem, zajmie się ich losem, podniesie dobrobyt. I znalazło się indywiduum, które mianowało się Napoleonem. Łatwo mu było zwać się w ten sposób, kodeks Napoleona bowiem zastrzegł: *La recherche de la paternité est interdite.* *) Po dwudziestoletniej włóczędce, po fantastycznych awanturach, przyszła wreszcie chwila, w której legenda poczyniła się sprawdzać, człowiek, któremu na imię Napoleon, zostaje cesarzem Francuzów. *Idee fixe* siostrzeńca urzeczywistniła się dzięki istnieniu wśród najliczniejszej klasy we Francji tejże samej idei. Mogą mi jednak zarzucić: a powstania chłopskie, których widowiskiem była połowa Francji, a łowy z naganą, urządzane przeciw chłopom, a masowe areszty i transportacje chłopów?.. Od Ludwika XIV nie było we Francji podobnego prześladowania chłopów „za demagogiczne agitacje i czyny.“ Należy jednak zrozumieć, że dynastja Bonapartych nie reprezentuje wcale rewolucyjnego — lecz konserwatywnego chłopca, nie popiera interesów tej części ludu wiejskiego, która patrzy dalej, aniżeli sięgają granice parceli, ale, i owszem, popiera tych, którzy

*) Poszukiwanie ojcostwa jest wzbronione.

pragnęliby umocnić, ustalić owe parcele; nie przedstawia ona tych z ludu wiejskiego, którzy występują energicznie, ażeby złączywszy się z miastami, podążyć do obalenia starych porządków. ale, przeciwnie, opiera się na żywiołach ciemnych, zasklepionych w starym porządku, przytrzymujących się z tępym uporem parceli, słowem na tych żywiołach, które w widnie cesarstwa widzą swój ratunek. Dynastyja ta nie jest przedstawicielką oświaty, lecz zabobonów chłopskich; nie jest ona wyrazem trzeźwego sądu, lecz przesądów; nie wskazuje na przyszłość, lecz szuka oparcia w przeszłości; dynastyja ta to nie nowoczesne Sewenny, lecz zmartwychwstała Vendea. Dzięki trzyletniemu, twardym rządom parlamentarnej republiki część chłopów pozbyła się iluzji napoleońskiej i została — jakkolwiek powierzchownie tylko — zrewolucjonizowana. Ilekroć jednak chłopci poczęli iść naprzód, zawsze zostawali odparci przez burżuazję. Za czasów republiki parlamentarnej, w łonie chłopskiej klasy poczęły ścierać się nowe prądy z tradycją. Starcia te były powodem ustawicznych walk między nauczycielami a kłechami. Burżuazja zmusiła nauczycieli do milczenia. Chłopi po raz pierwszy usiłowali stanąć samodzielnie wobec władz rządowych, merowie gminni poczęli przeciwdziałać wpływowi prefektów. Burżuazja usunęła merów. Nakoniec porwali się chłopcy za czasów republiki bo buntu przeciw własnemu zwyrodniałemu płodowi, przeciwko armii. Burżuazja ukarała ich, ogłaszając w miejscowościach zbuntowanych stan obłężenia i oddając ich w ręce wojennej egzekucji. I dzisiaj ta sama burżuazja śmie głos podnosić, śmie wyrzucać głupotę, tępość masom, tym *vile multitude*, które wobec Bonapartego zdradziła. Ona to, — a nie kto inny, ugruntowała wśród chłopów imperyalizm; ona podtrzymywała stare porządki, które zasiłały tę religiję chłopską. Bez wątpienia, burżuazja bać się musi głupoty mas, póki takowe są konserwatywne równie dobrze jak i rozsądki tychże mas, skoro przejęte zostaną myślą rewolucyjną.

W powstaniach, które wybuchły po *coup d'état* część chłopów francuskich protestowała z bronią w ręku przeciw własnemu votum z dnia 10 grudnia 1848 roku. Ale buntownicy zapisali byli swą duszę piekłu, historia zapłała ich za słowo, przypomniawszy 10 grudnia. Większość ich nie mogła się ocknąć z osłupienia, do tego stopnia, że w najbardziej czerwonych departamentach chłopcy głosowali za Bonapartem. Zdaniem ich zgromadzenie narodowe przeszkadzało mu w planach zbawiennych. Dziś zerwał on tylko więzy, nałożone przez miasta woli ludu wiejskiego. Tu i owdzie miłano nawet o Konwencie, który mógłby obok Napoleona istnieć.

Wielka rewolucja zmieniła poddanych chłopów w wolnych właścicieli ziemskich. Napoleon ustalił i uregulował warunki, które pozwalały im spokojnie eksploatować nadaną im na własność ziemię i zaspakając w ten sposób żądze, jakie własność indywidualna świeżo w nich wzbudziła. Dziś atoli parcela, podział ziemi, przedstawiający się w tej formie, którą ustalił Napoleon, prowadzi chłopca do zguby. Dzięki materialnym warunkom francuski chłop feudalny zmienił się w chłopca parcelowego; też same warunki wyniosły Napoleona na tron francuski. Dosyć było dwóch generacji, ażeby nastąpiło to, co było nieuniknionem: wzrastające stale pogarszanie

się uprawy roli i obdłużenie rolnika. „Napoleońska“ forma własności, która z początkiem XIX w. była warunkiem oswobodzenia i i z bogacenia się ludności wiejskiej, w ciągu stulecia stała się przyczyną jej niewoli i biedy. Stosunki te, których całość nosiła miano *idée napoleonnienne* *), drugi Bonaparte starał się i nadal utrzymywać. Jeżeli podzielił on z chłopami iluzję, że przyczyna ruiny chłopstwa nie leży w samej własności rozparcelowanej, ale na zewnątrz takiej, to nie wątpimy, że eksperymenty jego rozwięzły się, rozbiły, niby bańki mydlane o warunki zbiorowej produkcji.

Ekonomiczny rozwój własności parcelowej zmienił do gruntu stosunek chłopów do reszty klas społeczeństwa. Za czasów Napoleona parcelacja ziemi uzupełniała tylko wolną konkurencję i rozwijający się przemysł miejski. Klasa chłopska była najwidoczniejszym symbolem protestu przeciwko zwalonej przez rewolucję arystokracji ziemskiej. Korzenie, jakie rozparcelowana własność ziemska zapuściła w grunt francuski, odbierały feudalizmowi wszelkie soki pożywne. Pale graniczne pojedynczych parceli były naturalną palisadą obroną burżuazji brzeziw wszelkim napadom dawnych jej zwierzchników. Ale w ciągu XIX stulecia miejsce feodała zajął lichwiarz miejski; zamiast powinności feudalnych wystąpiły teraz obowiązki hipoteczne, a zamiast arystokratycznej posiadłości ziemskiej — burżuazyjny kapitał. Parcela chłopska jest już tylko pretekstem który kapitaliści pozwalają ciągnąć z roli zyski, czynsze, rentę. Procenty od długu hipotecznego właścicielskiego równają się rocznym czynszom państwowego długu Wielkiej Brytanii. Własność parcelowa, na której cięży brzemień kapitału, zmieniła masę francuskiego społeczeństwa w troglodytów **). Szesnaście milionów chłopów (wliczając w to kobiety i dzieci) mieszkają w norach, z których większa część posiada jeden tylko otwór, inne zaś mają po dwa, a najwyżej trzy okna ***). Okna dla domu są tem samem, co zmysły dla głowy. Burżuazyjny porządek, który na początku stulecia polecił był państwu odgrywać rolę sztyldwacha, stojącego na granicy parcel, i laurami tryumfalnymi gnoić ziemię rozdrobnioną, dziś zmienił się w wampira, który wysysa krew i szpik chłopski i wrzuca parcelę do alchemistycznego tygla kapitału. *Code Napoléon* jest dziś niczem innem, jak tylko kodeksem egzekucji, subnastacyi i licytacyi przymusowej. Obok czterech milionów (wraz z dziećmi) oficjalnych żebraków, włóczęgów, zbrodniarzy, prostytutek, które Francja dziś liczy, widzimy pięć milionów ludzi, którzy stoją nad materialną przepaścią i albo mieszkają na wsi, albo też przenoszą się wraz ze swymi łachmanami i dziećmi ze wsi do miast i naodwrot. Interesy chłopów nie są więc zgodne, jak ongi za Napoleona, ale stają w sprzeczności z interesami burżuazji, z kapitałem. Nędzarze wiejscy widzą swych sprzymierzeńców i przewodców w proletaryjacie miejskim, którego zadaniem jest oba-

*) Idea, myśl napoleońska.

**) Mieszkańcy jaskiń.

***) Podatek od domu pobierano za czasów Napoleona wedle ilości okien. Ztąd też chłopcy starali się zaopatrywać chaty w jak najmniejszą ilość okien. (Przyp. tłum.)

lenie porządku burżuazyjnego. Ale silny i nieograniczony rząd — jestto druga z rzędu *idées napoléoniennes*, którą drugi Napoleon zamierza urzeczywistnić — powołany jest do obrony tego *materyjalnego* porządku, jak o tem świadcza proklamacyje Bonapartego, wydane przeciw zbuutowanym chłopom.

Obok hipoteki, nałożonej przez kapitał, ciąża na parceli podatki. Podatki są źródłem życia biurokracji, armii, klechów, dworu, słowem całego aparatu władzy wykonawczej. Silny rząd znaczy to samo, co wysokie podatki. Własność parcelowa z natury swojej najlepiej się nadaje do utworzenia podstawy dla wszechpotężnej, niezliczonej biurokracji. Dzięki jej na całym obszarze rozmaite stosunki i ludzie podchodzą pod jeden i ten sam strychulec. Wzgląd ten pozwala oczywiście rządowi scentralizowanemu oddziaływać jednostajnie we wszystkich kierunkach, na wszystkich punktach tej jednolitej masy i niszczy zarazem wszelkie arystokratyczne stopnie, przejścia, pośredniczące między ludem a władzą państwową. Władza ta może bezpośrednio wdawać się w sprawy ludu za pomocą swych organów podwładnych. Wreszcie stan taki wytwarza stale nadmiar pozbawionej zajęcia ludności, która, nie mogąc znaleźć pomieszczenia ani na wsi, ani w mieście, sięga po niższe urzędy państwowe i prowokuje niejako tworzenie nowych posad. Napoleon, zdobywszy bagnetami nowe rynki zbytu, spłądrowawszy kontynent, zwrócił ludności z procentem pobrane od niej podatki. Wówczas były one kołcem, raniącym przemysł chłopski, dziś obrabowują go z ostatnich środków pomoćniczych, niwecząc do reszty władzę oporu, stawianego nędzy. Liczna biurokracja, ugolonowana i dobrze karmiona — oto znowu *idées napoléoniennes*, którą drugi Bonaparte najłatwiej mógł zrealizować. Był on zmuszony obok rzeczywiście istniejących klas społecznych wytworzyć sztucznie nową kastę, dla której utrzymanie rządów jego było kwestyją życia. Jedną z pierwszych jego operacyj finansowych było podwyższenie pensyj urzędników do wysokości, jaką miały dawniej, i utworzenie nowych synekur.

Idées napoléoniennes jest również panowanie *klechów*. Przedstawia się ono jako jeden ze środków, którymi rozporządza władza wykonawcza. Jeżeli jednak dawniej chłop na świeżo proklamowanej parceli, będącej w zgodzie ze społeczeństwem, w zależności od sił przyrody, poddanej autorytetowi, ochraniającemu ją z góry, był religijnym, to dzisiaj, obdłużony, w niezgodzie ze społeczeństwem i władzą, musi być z natury rzeczy niereligijnym. Niebo było wcale pięknym dodatkiem do świeżo nabytego wąkiego szmatu ziemi, zwłaszcza że spuszczało deszcze lub słońca promienie, ale skoro stało się ono wynagrodzeniem wzmian za zlicytowaną parcelę, wówczas musiało się zmienić w przedmiot napaści i łajania. Klecha występuje wówczas wobec ludu jako poświęcony wyżeł ziemskiej, doczesnej policyi. Ideał ten należał również do rzędu *idées napoléoniennes*. Wyprawa na Rzym odbędzie się kiedyś, nie we Włoszech jednak, lecz w samej Francji, ale w znaczeniu wprost odmiennem od tego, jakie nadaje jej pan de Montalembert.

Nakoniec kulminacyjnym punktem *idées napoléoniennes* jest przewaga armii. Armia była *point d'honneur**) parcelowych chło-

*) Punktem honoru.

pów, zmieniała ich w bohaterów, broniła nowych posiadłości od zewnętrznych wrogów, uświetniała świeżo przez chłopów zdobytą narodowość, patryjotyzm, którym się przejęli, plądrowała świat, rewolucjonizując wszystko po drodze. Uniform był ich własnym kostiumem państwowym, wojna stała się poezją; zaokrąglana i powiększana w fantazyi parcela była ich ojczyzną, patryjotyzm zaś został utożsamiony z idealną formą zmysłu posiadania ziemi. Atoli dzisiaj wrogami, przeciwko którym chłop francuski bronić ma swej własności, nie są kozacy, ale huzary i egzekutorowie podatków. Parcela nie znajduje się obecnie w tak zwanej ojczyźnie, lecz w banku hipotecznym, zapisana w księgach. I armia nie jest już dzisiaj kwiatem młodzieży wiejskiej, — jest ona bagiennym wykwittem chłopskiego lumpen - proletaryjatu. Składa się z zastępów, obowiązujących się za stosowną zapłatę pełnić służbę na wzór Bonapartego, który jest również tylko *Remplaçant**) Napoleon I-go. Dokażcie ona czynów bohaterskich w polowaniach na chłopów, w spełnianiu służby żandarmskiej; lecz gdy wewnętrzne sprzeczności państwowego systemu zmuszą szefa 10-go grudnia do przekroczenia granic Francji na czele armii, wówczas za czyny rozbójnicze nie będzie zbierała laurów, ale policzy otrzymane cięgi.

Jak widzimy, wszystkie *idées napoléoniennes* są ideałami nierozwiniętymi młodziutkiej parceli. Absurdem byłoby zastosowywać je do parceli przeżyte. Są one jedynie halucynacyja w przedśmiertnej walce, są słowami, mającemi znaczenie bezmyślnych frazesów, duchami, rozwiewającymi się jak senne widziały. Ale paradyja imperyalizmu była koniecznie potrzebna do oswobodzenia mas ludu francuskiego z pod nacisku tradycyi i wykazania jasno przeciwnieństwa, jakie zachodzi między władzą państwową a społeczeństwem. Ze zwiększaniem się stale rozprzężeniem stosunków parcelowej własności, musi i oparty na niej gmach państwowy runąć. Państwowa centralizacyja, której potrzebuje nowoczesne społeczeństwo, powstać może tylko na gruzach militarno-biurokratycznego maszynu rządowej, którą zbudowano ongi przeciw feodalizmowi.

Stosunki chłopskie odkryły nam tajemnicę powszechnych wyborów 20 i 21 grudnia, które zaprowadziły drugiego Bonapartego na górę Synaj nie po to, ażeby złamał otrzymał przykazania i prawa, ale żeby je nadawał. Burżuazyi nie pozostawało teraz nic innego jak głosować za Bonapartem. Gdy purytanie na soborze w Konstancyi narzekali na występne życie papieża i wykazywali koniec noś reformy obyczajów, zwrócił się do nich kardynał Pierre d'Ailly z grzmiącą odpowiedzią:

— Chyba sam dyabeł mógłby uratować kościół katolicki, a wy zaśłotnie domagacie się pomocy anioła!..

Podobnie zawołała francuska burżuazyja po dokonaniem *coup d'état*:

— Jeden tylko szef 10-go grudnia może uratować burżuazyjne

*) *Remplaçant* = zastępca. Kto nie chciał sam służyć w wojsku, musiał dać zastępcę, któremu płać za wyręczenie w służbie. *Pr. t.*

społeczeństwo! Tylko kradzież uratuje własność, krzywoprzysięstwo — religię, bękartstwo — rodzinę, a nieporządek — porządek!..

Bonaparte, jako usamodzielniona potęga władzy wykonawczej, czuje się w obowiązku utrwalić „burżuazyjny porządek.“ Ponieważ jednak siła tego burżuazyjnego porządku spoczywa w klasie średniej, więc występuje jako reprezentant klasy średniej i ogłasza w tym duchu dekrety. Jednocześnie jednak doszedł oś do znaczenia jedynie za pomocą zgniecenia klasy średniej; uciska ją więc i nadal i wówczas uważa się za przeciwnika politycznej i literackiej potęgi tej klasy. Biorąc w opiekę ekonomiczne jej interesy budzi tem samem napowrót do życia polityczną jej potęgę. Przyczyna trwa więc i oddziaływa ustawicznie. Bonaparte usuwa tylko usilnie jej skutki. Nie można się przytem obejść bez pomieszanja przyczyny i skutku, ponieważ w oddziaływaniu wzajemnem zatracają one swoje cechy. Nowe dekrety zaczęły liniję graniczną między jedną a drugą. Bonaparte uważa się równocześnie za przedstawiciela chłopów, broniącego ludowych interesów przeciw zachciankom burżuazji, pragnącego niższe klasy uszczęśliwić. A zatem nowe dekrety! Ale przedewszystkiem Bonaparte, jako szef towarzystwa 10-go grudnia, uważa się za reprezentanta szubrawców, do których sam należy wraz ze swem *entourage*,*) rządem, armiją. Szubrawcom zaś chodzi przedewszystkiem o używanie żywota, o wyławianie ze skarbu państwa losów kalifornijskich. To też Bonaparte okazuje się, jako szef 10-go grudnia w dekretach, bez dekretów i wbrew dekretem. Kolizyje, w jakie człowiek ten popadł, tłumaczą nam sprzeczności, cechujące rządy jego, owo niejasne macanie siebie, ową taktykę chwiejną w zyskiwaniu sobie lub upokarzaniu jednej to znowu drugiej klasy, taktykę, której ostatecznym rezultatem jest oburzanie przeciwko sobie wszystkich, nakoniec ową niepewność w praktyce, tworzącej wysoce komiczny kontrast z rozkazującym, kategorycznym stylem aktów urzędowych, skopiowanym niewolniczo z dekretów wujaszka.

Przemysł i handel, innemi słowy interes klasy średniej, powinny pod silnym rządem zakwitnąć w pełni. Udziela się więc niezliczona ilość koncesyj na budowy kolei. Szubrawcy bonapartystyczni potrzebują pieniędzy. Więc dalejże do giełdowego szwindlu z koncesyjami kolejowemi! Na budowę kolei niema kapitału. Nie to, obowiązują się bank do wypłacania zaliczek. Lecz eksploatując bank, potrzeba go koniecznie faworyzować. Niewatpliwie, zwalnia się tedy bank od obowiązku składania co tygodnia publicznych sprawozdań. Nie dosyć na tem, lud musi mieć zajęcie. Zarządza się rozpoczęcie budowy państwowo. Lecz budowy te zwiększą tylko podatki, przez lud opłacane. A zatem obniżenie podatku za pomocą opodatkowania rentierów i konwersyi 5% renty na 4½ procentową. Ależ i stan średni musi również być czemś ujęty. Słusznie, a więc podwojenie podatku od wina, w ten sposób, ażeby lud, który *en détail* kupuje, płać podwójnie, a zmniejszenie opłaty o połowę dla stanu średniego, który *en gros* pije. Rozwiązanie rzeczywiście istniejących stowarzy-

*) Otoczenie.

szeń robotniczych, ale zarazem gorąca obietnica cudów asocjacji podobnych w przyszłości. Chłopom pomóc trzeba. I owszem, — zakłada się banki hipoteczne, które przyspieszają obdłużenie drobnych właścicieli i koncentrację własności. Lecz znowu względ inny domaga się swych praw, oto banki hipoteczne powinny wydobyć jak najwięcej pieniędzy ze skonfiskowanych dóbr dynastji orleańskiej. Żaden kapitalista nie chce się zgodzić na ten warunek, którego nie zamieszczono w dekreście, a bank hipoteczny jest niczem innym, jak tylko dekretem i t. d. i t. d.

Bonaparte pragnąłby, ażeby go uważano za patryjarchalnego dobrodziejcę wszystkich klas. Ale dobrodziejstwo jego polega na tem, że co dał jednemu, to drugiemu odebrać musiał. Jak za czasów Frondy mówiono o księciu de Guise, że jest najbardziej *obligéant***), z wszystkich francuzów, ponieważ na każdym z jego dóbr ciężą obligacje dzierżawców, podobnie i dziś można byłoby zastosować te słowa do Bonapartego, który chciałby mieć w swem ręku obligacje całej własności francuskiej. Pragnąłby okraść całą Francję, ażeby móc jej potem robić podarunki, albo raczej ażeby Francję za pomocą własnych jej pieniędzy przekupić, gdyż, jako szef towarzystwa 10-go grudnia, umie on tylko stronników kupować. Instytucjami kupna stały się odtąd wszystkie instytucje państwowe: senat, rada państwa, ciało prawodawcze, legija honorowa, medale żołnierskie, pralnie, budowy państwowe, koleje, *état major* gwardji narodowej (bez szeregów), skonfiskowane dobra domu Orleanów. Przedmiotem kupna staje się każde stanowisko w armii, w maszynie państwowej. Najważniejszymi atoli w tym procesie zabierania i obdarowywania są procenty, które podczas zamiany przypadają na korzyść herszta i członków towarzystwa 10-go grudnia. Dowcipne wyrażenie się hrabiny L., metresy pana de Morny, o konfiskacie dóbr orleańskich: *C'est le premier vol de l'aigle***), zastosować można do każdego lotu tego orła, który jest raczej krukiem. Bonaparte i zwolennicy jego nawołują się codziennie, jak ów trapiś, który potwarzał zawsze skapcowi, wyliczającemu swe skarby, z których lata całe będzie mógł czerpać: *Tu fais conto sopra i beni, bisogna prima far il conto sopra gli anni****). Ażeby się w latach nie przerażać, liczą na minuty. Na dworze, w ministerjach, u steru administracji i armii widzimy zgraję drabów, o których, co najlepsze, powiadzieć można, że niewiadomo, zkad się wzięli. Każdy z nich jest hałaśliwym, szumnym, skłonnym do płaćdrowania *Bohèmien*,****) który z podobnie śmieszna miną włazi w galonowany surdut, jak owi wielcy dostojnicy Soultouque'a. Wówczas dopiero będzie się miało należyte wyobrazienie o wyższych warstwach towarzystwa 10-go grud-

*) Grzeczny, uprzejmy.

**) „Jest to pierwszy lot orla“ (albo też „pierwsza kradzież orla“), *vol* bowiem znaczy lot albo kradzież.

***)) Wprzód zanim policzysz skarby, powinienes lata twe policzyć.

****)) *Bohèm, bohèmien* = cygan, włóczęga, niepoń, cynik, szubrawiec, który prowadzi życie włóczęgi, zagląda do szynków, domów publicznych, etc. (Przyp. tł.)

nia, skoro się zważy, że Véron = Crevel*) jest ich kaznodzieją moralnym, Granier de Cassagnac ich myślicielem, Guizot za czasów swego ministerjum polecił był Granierowi pisywać w pokatnym dzienniku artykuły przeciwko dynastycznej opozycji. Minister zwykł był zawsze mawiać o swym pokatnym gazetciarzu: *C'est le roi des drôles* — „Jest to król błaznów.“ niesprawiedliwem byłoby porównywać dwór i rodzinę Ludwika Bonaparte z regencyją lub dworem Ludwika XV, „Francyja bowiem niejednokrotnie była pod rządami metres, ale nigdy jeszcze nie rządili nią *hommes entretenus***).

Pchany naprzód najsprzeczniejszemi żądaniami, które były tworem własnego jego położenia, będąc przytem zmuszony, jak kuglarz zadziwiać ustawicznie publiczność nowymi zwrotami i zwracać oczy wszystkich na siebie, jako na „zastępcę“ Napoleona, innemi słowy: co dnia wykonywać *coup d'état* w miniaturze, — Bonaparte wprowadza zamieszanie do gospodarki burżuazyjnej, zmusza jednych do cierpliwego znoszenia losu, z innych zaś, mimo własnej wiedzy, robi rewolucjonistów, — stwarza, w imię pokoju, anarchiję, a ścierając z maszyny państwowej wszelkie pozory świętości, profanuje ją, ośmiesza i wstręt do niej wzbudza. Kult świętego surduta obchodzony w Trewirze, święci on w Paryżu, jako kult cesarskiego płaszcza napoleonidów. Skoro jednak płaszcz cesarski spadnie wreszcie na plecy Ludwika Bonaparte, spiżowy posąg Napoleona runie z wysokości kolumny Vendôme'skiej.

*) Balzac w *Cousine Bette* przedstawia Crevel'a, do scharakteryzowania którego posłużył mu jako wzór dr Véron, właściciel Constitutionel, najędźniejszy paryski filister.

**) Słowa pani Girardin. *Hommes entretenus* = mężczyźni, będący na utrzymaniu, a zatem metresy płci męskiej.

SERJA TRZECIA:

PRZYSZYNEK DO KRYTYKI EKONOMJI POLITYCZNEJ.





PRZEDMOWA

Ja rozpatruję system burżuazyjnej ekonomii politycznej w następującym porządku: Kapitał, własność ziemska, praca najemna; państwo, handel zewnętrzny, rynek wszechświatowy. W pierwszych trzech rubrykach badam warunki ekonomicznego poźycia trzech wielkich klas, na które mieszczańskie społeczeństwo się rozpada; wzajemna zależność trzech pozostałych rubryk sama się oczom narzuca. Pierwszy dział pierwszej księgi, traktującej o kapitale, składa się z następujących rozdziałów: 1) Towar; 2) Pieniądz czyli prosta cyrkulacja; 3) Kapitał w ogólności. Pierwsze dwa rozdziały stanowią treść niniejszego kajetu. Ogólny materiał leży przedemną w formie monografii, które pisane były w długich odstępach czasu nie dla druku, lecz dla własnego zrozumienia. Dalsze wspólne ich opracowanie podług wyżej podanego planu zależeć będzie od zewnętrznych okoliczności.

Ogólny wstęp, który naszkicowałem, opuszczam, gdyż po dłuższym namyśle każde wyprzedzenie rezultatów, mających dopiero być dowiedzionymi, wydaje mi się być szkodziwem, i czytelnik, jeżeli tylko chce za mną śledzić, musi się zrezygnować na to, by przechodzić od szczegółowego do ogólnego. Przeciwnie niektóre wskazówki co do postępu moich własnych polityko-ekonomicznych studyjów mogą się tu wydać na miejscu.

Fachowe moje studyja stanowiła jurisprudeneyja; stanowiła wszakże tylko drugorzędną dyscyplinę obok filozofii i historii. Dopiero w r. 1842—1843, będąc redaktorem *Gazety Nadreńskiej*, znalazłem się w potrzebie omawiania

t. zw. materyjalnych interesów. Rozprawy nadreńskiego landtagu o kradzieżach leśnych i parcelacyi własności ziemskiej, urzędowa polemika, którą pan von Schaper, ówczesny oberprezydent prowincyi Nadreńskiej, wszczął z *Gazetą Nadreńską* w kwestyi położenia włościan mozelskich, nareszcie debaty o wolnym handlu i cłach, stanowiły pierwsze pobudki dla mojego zajęcia się ekonomicznemi kwestyjami. Z drugiej strony odbiło się wtenczas, gdy dobre chęci „postępowania naprzód“ wymagały wszechstronnej znajomości rzeczy, słabe echo francuskiego socjalizmu i komunizmu w *Gazecie Nadreńskiej*. Oświadczyłem się przeciwko tej fuszerce, wprost wszakże się przyznałem zarazem w sporze z *Augsburską Powszechną Gazetą*, iż moje dotychczasowe studia nie pozwalały mi wydawać jakikolwiekbyś sąd o francuskich kierunkach. Skorzystałem raczej pospiesznie z iluzyi kierowników *Gazety Nadreńskiej*, którzy sądząc, iż, zajmawszy słabsze stanowisko, zdołają odchylić wyrok śmierci, zawieszony nad dziennikiem, by cofnąć się z areny publicznej do celi naukowej.

Pierwsza praca, którą przedsięwziąłem dla rozstrzygnięcia wątpliwości mnie oblegających, był krytyczny przegląd hegelowskiej filozofii prawa; wstęp do tej pracy pojawił się w *Niemiecko-Francuskich Rocznikach*. Wydawanych w roku 1844 w Paryżu. Badania moje doprowadziły mnie do wniosku, iż stosunki prawne na równi z formami państwowemi nie mogą być zrozumiane ani same przez się, ani też z t. zw. ogólnego rozwoju ludzkiego ducha, że korzeniem się one raczej w materyjalnych warunkach poźycia, których całość Hegel, podług przykładu anglików i francuzów z XVIII stulecia, ujął pod nazwą „społeczeństwa mieszczańskiego“, tak że anatomija tego społeczeństwa powinna być szukana w politycznej ekonomii. Studjowanie tej ostatniej, które w Paryżu rozpocząłem, kontynuowałem w Brukseli, dokąd się przeniósłem, dzięki rozporządzeniu pana Guizot, które mnie z Paryża wypędzalo. Ogólny rezultat, do którego doszedłem i który, raz uzyskany, służył mi nitką przewodnią do dalszych studjów, może być krótko formułowanym, jak następuje: w społecznem odtwarzaniu swego życia ludzie podlegają pewnym określonym, koniecznym, od ich woli niezależnym stosunkom, stosunkom produkcyjnym, które odpowiadają określonemu stopniowi rozwoju materyjalnych sił wytwórczych. Suma tych stosunków produkuje-

nych tworzy ekonomiczną strukturę społeczeństwa, realny fundament, na którym wznosi się prawny i polityczny gmach i której odpowiadają określone społeczne formy świadomości. Sposób odtwarzania materyjalnego życia zawarunkowuje sobą socyalny, polityczny i duchowy proces życia wogóle. To nie świadomość ludzi określa formy ich bytu, lecz przeciwnie to ich społeczny byt określa formy świadomości. Na pewnym szczeblu swego rozwoju materyjalne siły wytwórcze społeczeństwa wpadają w sprzeczność z istniejącymi stosunkami wytwórczymi, czyli, używając jurydycznego wyrażenia, ze stosunkami własnościowymi, pośród których siły te się obracają. Ze środków rozwoju tych ostatnich stosunki własnościowe stają się ich kajdanami. Następuje epoka społecznego przewrotu. Ze zmianą ekonomicznego gruntu cały olbrzymi gmach, na nim wybudowany, się zwala prędzej lub wolniej. Przy rozważaniu takich przewrotów trzeba wciążyć na uwagę różnicę, jaka zachodzi pomiędzy materyjalnym, przyrodniczo pewnym do skonstatowania przewrotem w ekonomicznych warunkach produkcji i prawnymi, politycznymi, religijnymi, artystycznymi i filozoficznymi, krótko mówiąc, idealnemi formami, za pomocą których ludzie uświadamiają sobie ten konflikt i za które walczą. Tak samo, jak nie można sądzić o człowieku, z tego, co on o sobie myśli, — nie można sądzić takiej epoki przewrotowej z jej świadomości, trzeba raczej świadomość tę wyprowadzić ze sprzeczności materyjalnego życia, z istniejącego konfliktu pomiędzy społecznymi siłami wytwarzania i stosunkami produkcyjnymi (własnościowymi). Żadna społeczna formacyja nigdy nie ginie, dopóki nie zostaną rozwinięte wszystkie siły wytwórcze, dla których ona jest dostatecznie rozległą, i nowe, wyższe stosunki produkcyjne nie wychodzą nigdy na świat, dopóki materyjalne warunki ich egzystencji w łonie starego społeczeństwa się nie wylęgną. To też ludzkość stawia sobie zawsze tylko takie zadania, które ona może rozstrzygnąć, gdyż przy bliższem rozpatrzeniu zawsze odnajdziemy, iż samo zadanie tylko tam wychodzi na jaw, gdzie istnieją już materyjalne warunki, niezbędne dla jego rozstrzygnięcia, albo gdzie one przynajmniej znajdują się w fazie powstawania. W wielkich zarysach można oznaczyć następujące progresywne epoki społecznej formacyi: azyjatycka, starożytna, średniowieczna (feodalna) i nowożytna mieszczańska. Mieszczańskie stosunki produkcyjne stanowią ostatnią

antagonistyczną formę społecznego procesu wytwarzania, antagonistyczną nie w sensie indywidualnego antagonizmu, lecz takiego, który wyrasta z warunków społecznego pożytku osobników: siły wszakże produkcyjne, rozwijające się w łonie mieszczańskiego społeczeństwa, wytwarzają zarazem materalne warunki, niezbędne dla rozstrzygnięcia tego antagonizmu. Wraz z tą społeczną formacją kończy się przedhistoryczny peryjod ludzkiego społeczeństwa.

Fryderyk Engels, z którym ja od czasu pojawienia się jego genialnego szkicu krytyki ekonomicznych kategorii (w *Niemiecko-Francuskich Rocznikach*) prowadziłem stałą listowną wymianę myśli, doszedł inną drogą do tegoż samego, co i ja rezultatu (porównaj jego dzieło o położeniu klas pracujących w Anglii) i gdy on w roku 1845 także osiadł w Brukseli, tośmy postanowili wspólnie opracować przeciwieństwo naszych poglądów względem ideologicznych teoryj niemieckiej filozofii, w celu skończenia wszelkich rachunków z naszym filozoficznym sumieniem z dawniejszych czasów. Plan ten został wykonany w formie krytyki pohegelowskiej filozofii. Manuskrypt w formie dwóch dużych okawowych tomów od dawna wyszedł do miejsca, gdzie miał być wydany, w Westfalii, gdyśmy otrzymali wiadomość, iż zmiana warunków uniemożliwia jego drukowanie. Pozostawiliśmy więc rękopis gryzącej krytyce myszy i to tem chętniej, iż dopięliśmy głównego celu — własnego zrozumienia. Z pomiędzy rozrzuconych prac, w których wówczas z jednej lub drugiej strony ogłaszałyśmy publice nasze poglądy, wspomnę tutaj tylko: „Manifest partji komunistycznej“, ułożony wspólnymi siłami przezemnie i Engelsa i opublikowany przezemnie: *Discours sur le libre échange*. Decydujące punkty naszych poglądów zostały po raz pierwszy zaznaczone naukowo, jakkolwiek tylko polemicznie, w piśmie, wydanem przezemnie w roku 1847 i skierowanem przeciwko Proudhonowi, p. t.: *Misère de la Philosophie* etc. Po niemiecku napisana rozprawka o „Pracy najemnej“, w której zebrałem odczyty, miane przezemnie w brukselskim związku robotniczym niemieckim, została przerwana podczas druku przez wybuch lutowej rewolucji i gwałtowne wydalenie mnie z Belgii, które dzięki jej nastąpiło.

Wydawnictwo *Nowej Nadreńskiej Gazety* w latach 1848—1849 i wypadki, które potem nastąpiły, przerwały moje ekonomiczne studyja, tak, że mogłem je na nowo

wszczać dopiero w Londynie w 1850 r. Olbrzymi materaljał dla historii i politycznej ekonomii, zebrany w Brytańskim muzeum, dogodność punktu, jaką Londyn przedstawia dla badania mieszczańskiego społeczeństwa i wreszcie nowe stadyum rozwoju, w które to ostatnie wydawało się wstępować wraz z wynalezieniem australijskiego i kalifornijskiego złota — wszystko to skłoniło mnie do rozpoczęcia wszystkiego od początku i do krytycznego opracowania nowego materaljału. Studyja te prowadziły same przez się do pobocznych kwestyj, pozornie odchodzących od przedmiotu, przy których musiałem mniej lub więcej zabawić. Ale głównie czas, który miałem do rozporządzenia, uciępniał na tem, iż byłem zmuszony oddać się działalności, mającej na celu utrzymanie. Ośmioletnie moje współpracownictwo w *New-York Tribune*, pierwszym angielsko-amerykańskim piśmie, spowodowało znaczne rozproszenie moich studyjów, gdyż właściwym korespondencyjom gazeciarskim tylko wyjątkowo się oddaję. Artykuły wszakże o ważniejszych ekonomicznych wypadkach w Anglii i na kontynencie stanowiły tak znaczną część moich zasiłków dla pisma, że byłem zmuszony zapoznać się bliżej z praktycznymi szczegółami, które znajdują się poza obrębem właściwej nauki politycznej ekonomii.

Ten szkic, malujący rozwój moich studyjów w zakresie politycznej ekonomii, ma tylko służyć za dowód, że moje poglądy, jakkolwiek bądź można byłoby je sądzić, i jakkolwiek nie zgadzają się z interesownymi przesadami klas panujących, stanowią rezultat sumiennych i długoletnich badań. Przy wstępie do nauki, jak i przy wejściu do piekła musi być postawione żądanie:

*Qui si convien lasciare ogni sospetto
Ogni viltà convien che qui sia morta.*

Londyn, w styczniu 1859 r.

Karol Marx





DZIAŁ PIERWSZY KAPITAŁ WOGÓLE

ROZDZIAŁ PIERWSZY TOWAR

Na pierwszy rzut oka bogactwo burżuazyjnego społeczeństwa występuje jako olbrzymie nagromadzenie towarów; towar pojedynczy jest pierwotną jego postacią. Każdy towar można rozpatrywać dwójako: jako wartość użytkową i jako wartość zamienną.

Przedewszystkiem towar jest to — podług wyrażenia angielskich ekonomistów — „wszelka rzecz niezbędna, pożyteczna lub przyjemna dla życia“, przedmiot ludzkich potrzeb, środek życia w najrozleglejszym znaczeniu tego wyrazu. To istnienie towaru, jako wartości użytkowej i jego naturalna, dotykająca egzystencja zbiegają się w jedno. Np. pszenica jest to specjalna wartość użytkowa w odróżnieniu od wartości użytkowych: bawełny, szkła, papieru itd.

Wartość użytkowa ma wartość tylko w użyciu i urzeczywistnia się tylko w procesie spożycia. Każda wartość użytkowa może być użyta w sposób rozmaity. Suma wszakże wszystkich możliwych jej zastosowań, zbierając się w jedno, wydaje rzecz o określonych właściwościach. Dalej jest ona określona nie tylko jakościowo, ale także i ilościowo. Zależnie od ich naturalnych właściwości, rozmaite wartości użytkowe posiadają rozmaite miary, np. szefel pszenicy, libra papieru, łokieć płótna i t. d.

Zupełnie niezależnie od społecznej formy bogactwa, wartości użytkowe posiadają zawsze własną swą treść, zupełnie obojętną na tę formę. Nikt nie wacha pszenicy, by się dowiedzieć, kto ją uprawiał: rosyjski chłop pańszczyźniany*), czy francuski drobny właściciel, czy też angielski kapitalista.

*) Pisane w r. 1859 (Przyp. Hom.).

Jakkolwiek wartości użytkowe stanowią przedmiot potrzeb społecznych i znajdują się zatem w związku społecznym między sobą, nie wyrażają one jednak żadnych stosunków społecznego wytwarzania. Dany towar, jako wartość użytkowa, jest np. diamentem. Z diamentu wszakże trudno poznać, czy on jest towarem. Tam, gdzie on służy, jako wartość użytkowa, estetycznie czy mechanicznie, na piersi loretki, czy w ręku szlifierza, jest on diamentem, a nie towarem. Być wartością użytkową jest niezbędnym warunkiem dla towaru, ale być towarem jest to zupełnie obojętne przeznaczenie dla wartości użytkowej. Wartość użytkowa w tej swej obojętności względem ekonomicznych form jej istnienia, t. j. wartość użytkowa, jako wartość użytkowa, znajduje się poza obrębem rozpatrywania politycznej ekonomii. Do sfery tej ostatniej należy ona o tyle tylko, co ile sama określa takie formy. Bezpośrednio jest ona materialną podstawą, na której występuje określony stosunek ekonomiczny, wartość zamienna.

Wartość zamienna występuje nasamprzód, jako stosunek ilościowy, w jakim różnorodnie wartości użytkowe zamieniają się jedna na drugą. W tym stosunku tworzą one jednakowe wielkości wymienne. Np. jeden tom Propercyusza może posiadać też sama wartość zamienną, co i osiem uncji tabaki, jakkolwiek wartości użytkowe tabaki i elegii są zupełnie różne. Jako wartość zamienna, jedna wartość użytkowa jest zupełnie tyleż warta, co i druga, jeżeli tylko znajdują się w odpowiedniej proporcji. Wartość zamienna pałacu może być wyrażoną w określonej ilości paczek szuwaksu. I naodwrot londyńscy fabrykanci posiadają wartość swoich licznych paczek, wyrażonych w pałacach.

W zupełnej więc obojętności na przyrodzoną formę swego istnienia i niezależnie od specyficznej natury, potrzeb, dla których są wartościami użytkowymi, towary pokrywają się wzajemnie w określonych ilościach, zamieszczają się wzajemnie przy wymianie, występują jako ekwiwalenty i wystawiają, pomimo powierzchownej swej pstrokacziny, wspólną jedność.

Wartości użytkowe są bezpośrednio środkami do życia. Ale naodwrot te ostatnie są znowu produktami społecznego życia, są rezultatem zatraconej pracy, są uprzedmiotowaną pracą. Jako zmateryjalizowanie pracy społecznej, wszystkie towary są to krystalizacje wspólnej jednostki. Musimy się więc zastanowić nad właściwym charakterem tej jednostki, to jest pracy, która występuje w wartości zamiennnej.

Jedna uncja złota, jedna tona żelaza, jeden kwarter pszenicy i dwadzieścia łokci jedwabiu posiadają, dajmy na to, jednakową wartość zamienną. Jako takie ekwiwalenty, w których jakościowe różnice wartości użytkowych przytłumione zostają, przedstawiają one równe objętości jednakowej pracy. Praca, która równomiernie się w nich uprzedmiotowała, musi sama także być jednokształtną, jednorodną, prostą pracą, której na tyleż jest obojętnym, czy ona występuje w złocie, w żelazie, pszenicy lub jedwabiu, jak obojętnym jest dla tlenu, czy on się zjawia w rdzy żelaza, w atmosferze, w soku winogron, czy też we krwi człowieka. Ale kopać złoto, wydobywać żelazo, uprawiać pszenicę i prać jedwab są to prace jakościowo różne między sobą. W rzeczy samej, to, co przedmiotowo zjawia się, jako

rozmaitość wartości użytkowych, występuje w procesie powstawania jako rozmaitość działalności, wytwarzającej takowe. Ale ponieważ praca, stanowiąca wartość zamienną, jest obojętną na specjalny materiał wartości użytkowych, to jest ona zarazem obojętną na specjalne rodzaje pracy, które je wytwarzają. Dalej rozmaite wartości użytkowe są produktami działalności rozmaitych osobników, są więc rezultatem indywidualnie rozmaitej pracy. Jako wartości zamienne przedstawiają one wszakże jednakową, jednorodną pracę, t. j. pracę, w której indywidualność pracującego przytłumiona zostaje. Ztąd widzimy, iż praca — stanowiąca wartość wymienną — jest abstrakcyjnie powszechną pracą.

Jeżeli jedna uncja złota, jedna tona żelaza, jeden kwarter pszenicy i 20 łokci jedwabiu są to jednakowe wartości zamienne, czyli ekwiwalenty, to jedna uncja złota, $\frac{1}{2}$ tonny żelaza, 3 buszle pszenicy i 5 łokci jedwabiu są wartościami zamiennymi rozmaitej wielkości i ta ilościowa różnica jest zarazem jedyną, na którą one, jako wartości wymienne, są wogóle zdolne. Jako wartości wymienne, różnych rozmiarów przedstawiają one mniej lub więcej, mniejsze lub większe ilości prostej, jednorodnej, abstrakcyjnie powszechnej pracy, która stanowi treść wartości wymiennej. Zachodzi pytanie, jak mierzyć te ilości?.. A raczej, zachodzi pytanie, jaki jest ilościowy byt tej pracy, gdyż różnice w rozmiarach towarów, jako wartości zamiennych są tylko różnicami w rozmiarach pracy w nich uprzedmiotowanej. Jak ilościowy byt ruchu jest czasem, tak samo ilościowy byt pracy, jest czasem roboczym. Różnice jej trwania są jedynymi różnicami, na które ona jest zdolną, przypuściwszy, że jakościowo jest ona określona. Jako czas roboczy, praca otrzymuje swój miernik w naturalnych miarach czasu: godzinie, dniu, tygodniu i t. d. Czas roboczy jest to ożywiony byt pracy, obojętny na jej formę, treść, indywidualność. Ożywionym jest on, jako ilościowy, na równi z przyrodzoną mu miarą. Czas roboczy uprzedmiotowany w wartości użytkowej towarów jest jednocześnie i substancją, czyniącą je wartościami zamiennymi, a zatem towarami i miernikiem ich wartości zamiennnej. Odnośnie *quantum* rozmaitych wartości użytkowych, w których jest uprzedmiotowana jednakowa ilość czasu roboczego są ekwiwalentami, czyli — inaczej mówiąc — wszystkie wartości użytkowe są ekwiwalentami w takich proporcjach, w których zawierają one jednakowe ilości uprzedmiotowanej pracy. Jako wartości zamienne wszystkie towary są to tylko określone ilości skrzepłego czasu roboczego.

Dla zrozumienia, w jaki sposób wartość zamienna zostaje określona przez czas roboczy, trzeba głównie zwrócić uwagę na następujące punkty: na sprowadzenie pracy do jednorodnej, bezzakościowej, że tak powiemy, pracy; na specyficzny sposób, za pomocą którego praca, stanowiąca wartość*, to jest wytwarzająca towary, staje się pracą społeczną; nareszcie na różnicę pomiędzy pracą, której rezultatem są wartości użytkowe i pracą, jako źródłem wartości zamiennnej.

* Słowo «wartość», użyte bez przymiotnika, oznaczać będzie «wartość zamienną» *Przyp. tłum.*

By można było mierzyć wartości towarów podług czasu roboczego, który w nich jest zawartym, trzeba wprawdzie zredukować rozmaite ich rodzaje pracy do pracy jednorodnej, nie przedstawiającej żadnych różnic, prostej, do pracy, która jakościowo jest tą samą, która zatem przedstawia tylko ilościowe różnice.

Redukcyja ta występuje jako abstrakcyja, jest to wszakże abstrakcyja, która w społecznym procesie wytwarzania codziennie wykonywana zostaje. Przetwarzanie się wszystkich towarów na czas roboczy nie jest bynajmniej większą abstrakcją, ani też mniej realną, niż przetwarzanie się wszystkich ciał organicznych w powietrze. Praca, która w ten sposób za pomocą czasu mierzoną zostaje, występuje w rzeczywistości nie jako praca rozmaitych osobników, lecz przeciwnie rozmaite pracujące osobniki występują raczej, jako zwykłe organy pracy. Czyli, inaczej mówiąc, praca o ile występuje w wartościach zamiennych, mogłaby być przedstawioną jako powszechna ludzka praca. Ta abstrakcyja powszechnej ludzkiej pracy egzystuje w pracy przeciętnej, którą każde przeciętne indywiduum danego społeczeństwa jest w stanie wykonywać, jest to określona produkcyjna strata ludzkich mięśni, nerwów, mózgu it.d. Jest to praca prosta, pospolita (*einfach, unskilled*), do której każde przeciętne indywiduum przyszykowanem być może i którą ono w tej lub owej formie wykonywać musi. Charakter tej przeciętnej pracy jest rozmaitym w różnych krajach i różnych epokach ludzkiej kultury, ale w każdym danym społeczeństwie występuje on, jako określony. Praca pospolita stanowi największą masę ogólnej pracy burżuazyjnego społeczeństwa, jak się można o tem przekonać z każdej statystyki. Czy A produkuje w ciągu 6 godzin płótno i w ciągu pozostałych sześciu godzin dnia żelazo, a B tak samo po 6 godzin pościągając dla płótna i żelaza, czy też A wytwarza w ciągu 12 godzin żelazo, a B w ciągu 12 godzin płótno — to już na pierwszy rzut oka występuje, jako rozmaite zastosowanie tego samego roboczego czasu. Ale jak postąpić z pracą skomplikowaną, która się wynosi ponad przeciętny poziom, jako praca wyższej żywności, większej specyficznej wagi? Tego rodzaju praca rozkłada się na pracę prostą, jest to prosta praca w wyższej potędze, tak np. jeden dzień skomplikowanej pracy jest równym trzem dniom pracy prostej, pospolitej. Prawa, kierujące tą redukcją, w tem miejscu jeszcze rozpatrywane być nie mogą. Że wszakże redukcya ta ma miejsce, jest zupełnie oczywiście: gdyż jako wartość zamienna każdy produkt najbardziej skomplikowanej pracy jest w określonym stosunku ekwiwalentem produktu prostej, przeciętnej pracy, jest więc postawionym na równi z pewną określoną ilością tej prostej pracy.

Określanie wartości wymiennej czasem roboczym pokazuje w dalszym ciągu, iż w pewnym danym towarze, np. w tonnie żelaza, znajduje się zawsze jednakoowa ilość uprzedmiotowanej pracy, niezależnie od tego, czy ona jest pracą A lub B, czyli, że rozmaite osobniki używają jednakową ilość czasu roboczego dla wytworzenia tej samej, ilościowo i jakościowo określonej, wartości użytkowej. Inaczej mówiąc, wypada, iż czas roboczy zawarty w pewnym towarze, jest czasem niezbędnym dla jego wytworzenia, t. j. czasem potrzebnym, by przy danych powszechnych warunkach produkcyjnych, wytworzyć nowy egzemplarz tegoż samego towaru.

Warunki pracy, stanowiącej wartość zamienną, o ile występują z analizy tej wartości, są społecznymi warunkami pracy, czyli warunkami społecznej pracy — ale to społecznej w sposób szczególny. Jest to specyficzny rodzaj społeczności. Nie przedstawiająca żadnej różnicy jednokształtności pracy jest naprzód równością prac rozmaitych osobników, wzajemną zależnością ich prac od siebie jako równych dzięki faktycznej redukcji wszystkich prac do równokształtnej pracy. Praca każdego osobnika, o ile ona się wyraża w wartościach wymiennych, posiada ten społeczny charakter równości i wyraża się ona tylko w wartości zamiennej o ile staje w stosunku z pracą wszystkich innych osobników, jako równą.

Dalej występuje w wartości zamiennej czas roboczy pojedynczego indywiduum, bezpośrednio jako powszechny czas roboczy i ten powszechny charakter pojedynczej pracy — jako społeczny jej charakter. Czas roboczy, przedstawiony w wartości zamiennej, jest czasem roboczym oddzielnej osoby, ale przytem osoby niczem nie różniące się od innych osób, jest czasem roboczym wszystkich oddzielnych osób, o ile one spełniają jednakową pracę, a zatem czas roboczy potrzebny dla jednego do wytworzenia pewnego towaru, jest czasem niezbędnym, czasem, który każdy inny użyłby dla wytworzenia tegoż samego towaru. Jest on czasem roboczym pojedynczej osoby, jej czasem roboczym, ale tylko jako wspólny wszystkim czas roboczy, dla którego jest zupełnie rzeczą obojętną, czym specjalnie czasem on jest. Jako powszechny czas roboczy, przedstawia się on w jednym powszechnym produkcie, w jednym powszechnym ekwiwalencie, — w pewnym określonym *quantum* uprzedmiotowanego czasu roboczego, które jest zupełnie obojętne na określoną formę wartości użytkowej, służącej do jego wystąpienia jako produktu pojedynczej osoby i które dowolnie może się przenosić w każdą inną formę wartości użytkowej, by wystąpić jako wytwór kogokolwiek innego. Społeczna wielkością jest ono tylko jako taka powszechna wielkość. Praca pojedynczej osoby, by się zamieniła w wartości zamienne, musi się zamienić w powszechny ekwiwalent, t. j. czas roboczy pojedynczej osoby, musi wystąpić jako powszechny czas roboczy lub naodwrot powszechny czas roboczy musi wystąpić, jako czas danej pojedynczej osoby. Wychodzi to na jedno, jak gdyby rozmaite osoby złożyły swój czas roboczy i jak gdyby przedstawiły różne ilości znajdującego się w ich wspólnem rozporządzeniu czasu roboczego w rozmaitych wartościach użytkowych. W taki sposób czas roboczy pojedynczej osoby jest w rzeczywistości czasem, którego społeczeństwo potrzebuje dla wytworzenia pewnej określonej wartości użytkowej, t. j. dla zaspokojenia pewnej określonej potrzeby. Chodzi tu wszakże tylko o specyficzną formę, w której praca otrzymuje społeczny charakter. Dajmy na to, że określona ilość czasu roboczego przedzarza wciela się w 100 funtach nici lnianych i że 100 łokci płótna, wytworu tkacza, przedstawiają takiż sam czas roboczy. O ile produkty te przedstawiają jednakową ilość powszechnego czasu roboczego i są zatem ekwiwalentami każdej wartości użytkowej, która zawiera tyleż czasu roboczego, o tyle są zarazem ekwiwalentami i pomiędzy sobą. Tylko dzięki temu, że czas roboczy przedzarza i czas roboczy tkacza występują, jako powszechny czas roboczy, ich zaś wytwory, jako po-

wszechnie ekwiwalenty, istnieje tu praca tkacza dla przedzarrza i praca przedzarrza dla tkacza, praca jednego dla drugiego, t. j. urzeczywistnia się społeczny byt ich prac dla obydwa.

Inaczej było dawniej, w rolniczo-patryjalechalnym przemyśle, gdzie przedzarrz i tkacz mieszkali pod wspólnym dachem, gdzie płóć żeńska przedła, a męzka tkafa dla potrzeb własnej rodziny; nieci i płótno stanowiły wytwory społeczne, przedzenie i tkanie były pracami społecznymi w granicach danej rodziny. Ich społeczny charakter nie polegał wszakże na tem, by nieci, jako powszechny ekwiwalent, wymieniały się na płótno, jako takiż sam ekwiwalent, czyli, by obydwa zamieniały się na siebie, jako obojętne i równowartościowe wyrażenia wspólnego czasu roboczego. Raczej związek rodzinny z jego naturalnie wyrosłym podziałem pracy wyciskał swój właściwy, społeczny stempel na jej wytworach. Albo też weźmy służbę i daniny naturalne ze średnich wieków. Określone prace pojedynczych osób w ich formie naturalnej, charakter prywatny pracy, a bynajmniej nie powszechny, stanowiły tu społeczny związek. Albo weźmy nareszcie wspólną (komunistyczną) pracę w jej naturalnej formie, jak ją znajdujemy na progu historii wszystkich kulturalnych narodów. Tutaj społeczny charakter pracy z zupełną oczywistością występuje nie dlatego, by praca pojedynczej osoby przyjmowała abstrakcyjną formę pracy powszechnej i nie dlatego, by jej produkt przybierał postać powszechnego ekwiwalentu. Ta sama istota wspólnej produkcji nie pozwala, by praca pojedynczej osoby była pracą prywatną lub by produkt jej był prywatnym wytworem. przeciwnie, wystawia ona raczej każdą pojedynczą pracę bezpośrednio jako funkcję jednego członka społecznego organizmu. Praca, która występuje w wartości zamienniej, odrzuca występuje jako praca prywatnej pojedynczej jednostki. Społeczna staje się ona tylko dlatego, iż przybiera ona bezpośrednio odwrotną swą formę abstrakcyjnej powszechności.

Nareszcie praca, stanowiąca wartość zamienną, charakteryzuje się jeszcze tem, iż społeczny stosunek osób przedstawia się naodwrot, jako społeczny stosunek rzeczy. Tylko o tyle, o ile jedna wartość użytkowa odnosi się do drugiej, jako wartość zamienna, to i praca rozmaitych osób przybiera charakter jednakowej, powszechnej pracy. Jeżeli więc szczerze można powiedzieć, iż wartość zamienna jest stosunkiem między osobami, to trzeba wszakże pamiętać, iż jest to stosunek przykryty zasłoną rzeczy. Jak funt żelaza i funt złota pomimo różnicy fizycznych i chemicznych własności posiadają jednak o wąż ciężkość, tak samo dwie wartości użytkowe towarów, zawierających równy czas roboczy, posiadają jednak o wąż wartość zamienną. Wartość zamienna występuje w ten sposób, jako społeczna własność natury danych wartości użytkowych, jako własność, która samej ich przyrodzie jest przynależną i dlatego zamieszcza się one w procesie wymiany w określonych stosunkach ilościowych, tworząc ekwiwalenty, tak samo, jak proste ciała chemiczne łączą się w określonych ilościowych stosunkach, tworząc chemiczne ekwiwalenty. I tylko przyzwyczajenie codziennego życia sprawia to, iż wydaje się być trywialnem, samo przez się zrozumiałem, by społeczny stosunek wytwarzania przyjmował formę rzeczy, tak by stosunek osób w ich pracy przedstawiał się raczej jak stosunek, który rzeczy

przyjmują względem siebie i względem osób. W towarze mistyfikacja ta jest jeszcze bardzo prostą. Mniej więcej każdy się domysla, iż stosunki towarów, jako wartości zamiennych, są raczej stosunkami osób, oparte na ich wzajemnych produkcyjnych działaniach. W wyższych stosunkach produkcyjnych ten pozór prostoty zanika. Wszystkie iluzje monetarnego systemu w tem właśnie posiadają swe źródło, iż ze złota trudno poznać, że ono przedstawia społeczny stosunek wytwarzania, pojmują je zwykle w formie rzeczy naturalnej o określonych własnościach. U nowszych ekonomistów, którzy schodzą na iluzyje systemu monetarnego, zdradza się taż sama iluzja, ilekroć oni poruszają jakąś wyższą kategorię ekonomiczną, np. kapitał. Iluzja ta przebija się w naiwnem zadziwieniu, gdy to, co dopiero tylko namacywali jako rzecz, występuje przed nimi, jako stosunek społeczny i gdy, nie zdoławszy ustanowić społecznego stosunku, znowu dają mu się skusić, jako rzeczy. Ponieważ wartość zamienna towarów w rzeczywistości jest niczem innym, jak rzeczowem wyrażeniem specyficznie społecznej formy pracy, jest więc tautologią twierdzenie, iż praca stanowi jedyne źródło wartości zamienniej, a zatem i bogactwa, o ile takowe składa się z wartości zamiennych. Jest to taż sama tautologia, co i twierdzenie, że materia naturalna, jako taka, nie zawiera wartości, gdyż nie zawiera pracy, i naodwrot, że wartość zamienna, jako taka, nie zawiera materji naturalnej.

Jeżeli wszakże William Pelly nazywa „pracę ojcem bogactwa, a ziemię jego matką“, lub gdy biskup Berkeley zapytuje, „czy cztery elementy z zastosowaniem do nich pracy ludzkiej nie stanowią istotnego źródła bogactwa?“, lub nareszcie gdy amerykanin Th. Cooper w sposób popularny wyjaśnia, jak następuje: „Zabierz z chleba użytą nań pracę — rolnika, młynarza, piekarza etc. — to co zeń zostanie? Parę kłosów trawnych, dziko rosnących i nieużytecznych dla żadnej ludzkiej potrzeby“, to we wszystkich tych poglądach chodzi nie o abstrakcyjną pracę, która jest źródłem wartości zamienniej, lecz o pracę konkretną, która jest źródłem materialnego bogactwa, krótko mówiąc, o pracę, która tworzy wartości użytkowe. Raz przyjmawszy wartość użytkową towaru, przyjmujemy zarazem i użyteczność pochłoniętej przezeń pracy, ale wraz z tem wyczerpanym zostaje z punktu widzenia towaru wszelki wzgląd na pracę, jako na pracę użyteczną. W chlebie, jako wartości użytkowej, interesują nas jego własności jako środka spożycia, ale bynajmniej nie prace fermiera, młynarza, piekarza itd. Gdyby dzięki jakiemuś wynalazkowi odpadło¹⁹⁾ tych prac, to chleb oddawałby też same przysługi, co i poprzednio. Gdyby nawet z nieba spadał gotowym, to i wówczas nie straciłby on ani jednego atomu swej użyteczności. Podezsa gdy praca, stanowiąca źródło wartości zamienniej, przebija się w równości wszystkich towarów, jako powszechnych ekwiwalentów, to praca, jako celowa działalność produkcyjna wciela się w nieskończoną rozmaitość ich wartości użytkowych. Podezsa gdy praca, stanowiąca źródło wartości zamienniej, jest pracą abstrakcyjnie powszechną i jednakową, to praca, stanowiąca źródło wartości użytkowej, jest pracą konkretną i szczególną, która, odpowiednio do wymogów formy i materji, się rozszczepia na nieskończenie rozmaite rodzaje pracy.

O pracy, o ile ona wytwarza wartości użytkowe, byłoby mylnem twierdzić, iż jest ona jedynym źródłem wytworzonego, a mianowicie materialnego bogactwa. Ponieważ jest ona działalnością przystosowującą materię dla tego lub owego celu, to wymaga ona materii jako niezbędnego warunku. W rozmaitych gałęziach przemysłu proporcja pomiędzy pracą i materią jest rozmaita, ale zawsze wartość użytkowa otrzymuje naturalne podścielisko. Jako celowa działalność, skierowana na przyswojenie naturalnych bogactw w tej lub innej formie, praca jest naturalnym warunkiem ludzkiej egzystencji, jest niezależnym od wszelkich form społecznych warunkiem wymiany materii pomiędzy człowiekiem, a przyrodą. Przeciwnie, praca, stanowiąca źródło wartości zamiennej, jest specyficzną społeczną formą pracy. Np. praca krawiecka w swej materialnej określoności, jako szczególna działalność produkcyjna, wytwarza surdut, ale nie jego wartość zamienną. Tę ostatnią wytwarza ona nie jako praca krawiecka, lecz jako abstrakcyjnie powszechna praca, a ta należy do społecznego ustroju, którego krawiec nie nawłóczył. Tak np. w starożytnej produkcji domowej kobiety produkowały surduty, nie produkując wszakże wartości zamiennej takowych.

Praca, jako źródło materialnego bogactwa, była znana prawodawcy Mojżeszowi, zarówno jak i urzędnikowi celnemu, Adamowi Smith.

Rozważmy obecnie bliżej kilka punktów, które występują ze spowodowania wartości zamiennej do czasu roboczego.

Jako wartość użytkowa, każdy towar wywiera swój wpływ bezpośrednio sam przez się. Pszenica np. służy za pokarm. Maszyna zamieszcza pracę w określonym stosunku. Ten wpływ towaru, dzięki któremu on jest tylko wartością użytkową, przedmiotem spożycia, można nazwać jego usługą, którą on, jako wartość użytkowa, oddaje. Jako wartość zamienną wszakże, towar bywa zawsze rozpatrywany jedynie z punktu widzenia rezultatów. Chodzi tu nie o usługę, którą on oddaje, ale o usługę, która jemu oddana zostaje podczas jego produkcji. Tak np. wartość zamienną maszyny określa się nie ilością czasu roboczego, który ona zastępuje (zaoszczędza *przyp. tłum.*), lecz przez ilość czasu roboczego, która w niej samej jest zawartą, a zatem wymagalną, by nową maszyną tegoż samego gatunku wytworzyć.

Gdyby więc ilość pracy wymagalnej dla produkcji towarów pozostawała stałą, to ich wartość zamienną byłaby niezmienną. Lecz łatwość i trudność wytwarzania zmieniają się bezustanku. Jeżeli wydajność pracy wzrasta, to wytwarza ona też samą wartość użytkową w krótszym czasie. Naodwrot wraz z upadkiem wydajności pracy wymagalną jest większa jej ilość dla wyprodukowania tej samej wartości użytkowej. A zatem ilość czasu roboczego, zawartego w pewnym towarze, jego wartość zamienną, jest zmienną: wzrasta lub spada w stosunku odwrotnym do wzrostu lub upadku wydajności pracy.

Wydajność pracy, która w przemysłu przetwarzającej występuje w naprzód określonym stopniu, zależna jest w rolnictwie i przemyśle dobywającym od warunków naturalnych, nie podlegających kontroli. Ta sama ilość pracy może się wcielić w jeden lub dwa buschle pszenicy, zależnie od pory roku, mniej lub więcej doko-

nej. Rzadkość lub częstość, jako warunki naturalne, wydają się tu określać wartość zmienną towarów, gdyż one określają produktywność szczególnej, realnej pracy, związanej z tymi warunkami.

Rozmaite wartości użytkowe zawierają w nierównych objętościach jednakowy czas roboczy, czyli jednakową wartość zamienną. Czem mniejsza jest objętość, w której pewna wartość użytkowa, w porównaniu z inną, zawiera określoną ilość czasu roboczego, tem większą jest jej specyficzna wartość zamienną. Jeżeli znajdujemy, iż w rozmaitych, znacznie od siebie oddległych epokach ludzkiej kultury, rozmaite wartości użytkowe tworzą szereg specyficznych wartości, znajdujących się między sobą w niezmiennych prawie stosunkach liczebnych, a przynajmniej zachowujących ogólne stosunki wzajemnego podporządkowania, jak np.: złoto, srebro, miedź, żelazo lub pszenica, żyto, jęczmień, owies, to z tego wypływa tylko, iż postęp rozwoju społecznych sił produkcyjnych, równomiernie lub prawie równomiernie dotknął czasu roboczego, który niezbędnym jest dla wyprodukowania wszystkich powyższych towarów.

Wartość zamienną każdego towaru przejawia się nie w jego własnej wartości użytkowej. Jako uprzedmiotowanie powszechnego społecznego czasu roboczego, wartość użytkowa jednego towaru jest wszakże postawioną w pewien stosunek do wartości użytkowych innych towarów. Wartość zamienną jednego towaru manifestuje się w ten sposób w wartościach użytkowych innych towarów. Ekwiwalentem jest w rzeczywistości wartość zamienną jednego towaru, wyrażona w wartości użytkowej innego towaru. Jeżeli mówimy np.: jeden łokieć płótna wart jest 2 funty kawy, to wyrażamy wartość zamienną płótna w wartości użytkowej kawy i przytem jeszcze w określonej jej ilości. Mając ten stosunek, możemy wartość każdej ilości płótna w kawie wyrazić. Oczywiście jest, iż wyrażenie wartości użytkowej jednego towaru, naprz. płótna, nie wyczerpuje się w proporcji, w której inna wartość użytkowa, np. kawa, stanowi jej ekwiwalent. Ilość powszechnego czasu roboczego, którą łokieć płótna sobą przedstawia, realizuje się jednocześnie w nieskończenie różnych objętościach wartości użytkowych wszystkich innych towarów. Wartość użytkowa każdego innego towaru stanowi ekwiwalent jednego łokcia płótna w takiej proporcji, w której przedstawia on ten sam czas roboczy. Wartość użytkowa tego pojedynczego towaru może przeto wyrazić się wyczerpująco tylko w nieskończenie licznych równaniach, w których wartości użytkowe wszystkich innych towarów stanowią jego ekwiwalent. Tylko za pomocą sumy tych równań czyli za pomocą zbioru rozmaitych proporcji, w jakich jeden towar zamienia się na każdy inny, zostaje on wyczerpująco wyrażony, jako powszechny ekwiwalent. Naprzykład szereg równań:

- 1 łokieć płótna = $\frac{1}{2}$ funta herbaty
- 1 łokieć płótna = 2 funtom kawy
- 1 łokieć płótna = 8 funtom chleba
- 1 łokieć płótna = 6 łokciom perkalu

może być przedstawiony jeszcze jak następuje:

- 1 łokieć płótna = $\frac{1}{3}$ funta herbaty + $\frac{1}{3}$ kawy + 2 funty chleba + $1\frac{1}{2}$ łokcia perkalu.

Gdybyśmy zatem posiadali całą sumę równań, w których wartość jednego łokcia płótna wyczerpująco wyrażoną zostaje, tobyśmy mogli wartość jego przedstawić w formie rzędu. W rzeczywistości jest rząd ten nieskończonym, gdyż łańcuch towarów nigdy zanikniemy nie zostanie, rozszerza się on coraz bardziej. Jeżeli wszakże w ten sposób jeden towar mierzy swą wartość zamienną za pomocą wartości użytkowych wszystkich innych towarów, to naodwrot i wartości użytkowe wszystkich innych towarów znajdują swój wymiar w wartości użytkowej tego jednego towaru. Jeżeli wartość zamienna jednego łokcia płótna wyraża się w $\frac{1}{2}$ f. herbaty, lub 2 f. kawy, 8 f. chleba lub 6 łokci perkalu itd., to z tego wypadła, iż herbata, kawa, perkal, chleb itd. w tych proporcjach, w których są równe trzeciemu, t. j. łokciowi płótna, są między sobą równe, t. j. że płótno służy za powszechną miarę ich wartości zamiennych. Każdy towar, jako uprzedmiotowany, powszechny czas roboczy, t. j. jako określona jego ilość, wyraża swą wartość odpowiednio do rzędu w określonych ilościach wartości użytkowych wszystkich innych towarów, wartości zaś użytkowe tych ostatnich mierzą się naodwrot zapomocą wartości użytkowej tego wyłącznego towaru. Jako wartość zamienna wszakże jest każdy towar zarazem tym wyłącznym towarem, który służy za miarę wartości dla wszystkich innych towarów, a z drugiej strony jest on tylko jednym z wielu towarów, w których wspólnym szeregu każdy inny towar bezpośrednio wyraża swą wartość zamienną.

Rozmiary wartości jednego towaru są zupełnie niezależne od tego, czy jest dużo czy mało towarów innych rodzajów. Czy wszakże rząd równań, w których jego wartość się realizuje, jest większym, czy mniejszym, to zależy od stopnia różnorodności innych towarów. Np. rząd równań, w których kawa wyraża swą wartość, przedstawia sferę jej wymienialności, granice, w których ona funkcjonuje, jako wartość zamienna. Tej wartości towaru, jako uprzedmiotowaniu powszechnego społecznego roboczego czasu, odpowiada wyrażenie jego ekwiwalentności w nieskończenie rozmaitych wartościach zamiennych.

Widzieliśmy, iż wartość zamienna towaru zmienia się wraz z ilością bezpośrednio zawartego w nim czasu roboczego. Zrealizowana jego wartość, t. j. wartość, wyrażona w wartościach użytkowych innych towarów, musi także zależeć od stosunku, w jakim się zmienia czas roboczy niezbędny dla wytwarzania wszystkich innych towarów. Gdyby na przykład czas roboczy niezbędny dla wyprodukowania jednego szeffla pszenicy pozostawał niezmiennym, podczas gdy czas niezbędny dla wyprodukowania wszystkich innych towarów by się podwoił, to wartość zamienna szeffla pszenicy, wyrażona w jego ekwiwalentach, zmniejszyłaby się o połowę. Praktyczny rezultat byłby ten sam, jak gdyby czas niezbędny dla wytworzenia szeffla pszenicy spadł o połowę, a czas niezbędny dla wytworzenia wszystkich innych towarów pozostał jednocześnie niezmiennym. Wartość towarów określa się proporcją, w jakiej można je wytwarzać w tym samym czasie. By się przekonać, jakim możliwym zmianom podlega ta proporcja, przedstawmy sobie dwa towary A i B. Wypadek pierwszy: Niechaj czas niezbędny dla wytworzenia B pozostaje bez zmiany. W tym wypadku wartość zamienna towaru A, wyrażona w towarze B, spada lub wznośi się bezpośrednio w tym samym stosunku, w jakim czas, niezbędny dla wytworzenia A, spada lub się wznośi.

Wypadek drugi: Niechaj czas niezbędny dla wytworzenia A pozostać bez zmiany. W takim razie wartość A, wyrażona w B, spada lub się wznośi w stosunku odwrotnym do tego, jak czas niezbędny dla wyprodukowania B spada lub się wznośi. Wypadek trzeci: Czas niezbędny dla wyprodukowania A i B spada lub wznośi się w jednakowym stosunku. W takim razie wyrażenie ekwiwalentności towarów A i B pozostaje niezmiennym. Gdybyśmy jakimkolwiek bądź sposobem zmniejszyli siłę produkcyjną wszystkich prac w jednakowym stopniu, tak, by wszystkie towary wymagały w równej proporcji więcej czasu roboczego dla swego wytworzenia, to wartość wszystkich towarów wzrosłaby, realne wyrażenie ich wartości zamiennej pozostałoby bez zmiany, a rzeczywiste bogactwo społeczeństwa zmniejszyłoby się, gdyż trzeba byłoby więcej czasu roboczego dla wytworzenia tej samej sumy wartości użytkowych. Wypadek czwarty: Czas niezbędny dla wytworzenia A i B może wzrastać lub spadać, ale w niejednakowym stopniu, albo też czas roboczy niezbędny dla A może wzrastać, gdy czas niezbędny dla B spada, lub naodwrot. Wszystkie te wypadki mogą być prosto sprowadzone na to, iż czas roboczy niezbędny dla wyprodukowania jednego towaru pozostaje bez zmiany, podczas gdy dla innych wzrasta lub spada. Wartość zamienna każdego towaru wyraża się w wartości użytkowej każdego innego towaru czy to w całych jednostkach, czy też w ułamkach. Jako wartość zamienna każdy towar jest tak samo podzielny, jak i czas roboczy w nim zawarty. Ekwiwalentność towarów jest o tyleż niezależną od ich fizycznej podzielności, jako wartości użytkowych, jak dodawanie wartości zamiennych towarów jest obojętne na to, jakim realnym zmianom podległyby te towary, gdyby je przetopiono w jeden nowy towar.

Dotychczas rozpatrywaliśmy towar z podwójnego punktu widzenia, jako wartość użytkową i jako wartość zamienną — w każdym wypadku jednostronnie. Jako towar wszakże jest on połączeniem tych wartości; jest on zarazem towarem tylko w stosunku do innych towarów. Faktyczne stosunki towarów między sobą stanowią ich proces wymiany. Jest to proces społeczny, w który wstępują niezależne od siebie osobniki, ale wstępują oni weń tylko jako posiadacze; byt ich jest dla nich wzajemnie tylko bytem ich towarów; w ten sposób występują oni w rzeczywistości tylko jako świadomi przedstawiciele procesu wymiany.

Towar jest wartością użytkową: pszenicą, płótnem, dyamentem, maszyną i t. d., ale jako towar jest on zarazem cembem, co nie jest wartością użytkową. Gdyby on był wartością użytkową dla swego posiadacza, t. j. bezpośrednim środkiem dla zaspokojenia jego własnych potrzeb, toby towaru nie stanowił. Dla niego jest on raczej nie wartością użytkową, jest on tylko materyjalnym przedstawicielem wartości zamiennej czyli tylko środkiem zamiany; jako aktywna przedstawicielka wartości zamiennej, wartość użytkowa staje się środkiem zamiany. Dla posiadacza towaru jest on tylko o tyle jeszcze wartością użytkową, o ile jest wartością zamienną. Wartością użytkową staje się on dopiero dla innych. Ponieważ towar nie jest wartością użytkową dla swego posiadacza, to jest on takową tylko dla posiadacza innych towarów. Jeżeli zaś on nie jest wartością użytkową i dla tego ostatniego, to praca posiadacza była pracą

bezużyteczną, a jej rezultat nie jest towarem. Z drugiej strony dla posiadacza jednego towaru wartości użytkowe istnieją tylko w cudzych towarach, w tych które stanowią dla niego środki do życia. By stać się wartością użytkową, towar musi stanąć wobec szczególnej potrzeby, dla której on służy środkiem zaspokojenia. Wartości użytkowe towarów stają się takowymi dopiero wówczas, gdy zamieniają się miejscami, gdy przechodzą z ręki, w której były wartościami zamiennymi do ręki, w której są środkami spożycia. Tylko przez takie obopólne pozbycie się towarów, praca zawarta w nich staje się pracą pożyteczną. W tym postępowym stosunku towarów między sobą, jako wartości użytkowych, nie zawiera się dla nich żadna nowa forma ekonomiczna. Ginie raczej i ta forma, która je charakteryzowała, jako towary. Chleb naprz. przy przejściu z ręki piekarza do rąk konsumenta nie zmienia swego bytu, jako chleb. Odwrotnie, dopiero konsument odnosi się doń, jako do wartości użytkowej, jako do określonego środka spożycia, podczas gdy w rękę piekarza był on przedstawicielem ekonomicznego stosunku, rzeczy zmysłowo nadmysłowej. Jedyna więc zmiana formy, której podlegają towary, stając się wartościami użytkowymi, stanowi zniesienie ich formalnego bytu, w którym były nie-użytecznościami dla swego posiadacza i użytecznościami dla swego nie-posiadacza. Stanie się towarów wartościami użytkowymi wymaga wzajemnego ich pozbywania się (przez posiadaczów), wstąpienia ich w proces zamiany, ale przyjęcie udziału w zamianie jest dla nich możliwym tylko, jako dla wartości zamiennych. A zatem, by się urzeczywistnić, jako wartości użytkowe, muszą się zarazem urzeczywistnić i jako wartości zamienne.

Jeżeli z początku towar z punktu widzenia wartości użytkowej przedstawiał się, jako rzecz samodzielna, to, jako wartość zamienna, był on od razu rozpatrywany w stosunku do wszystkich innych towarów. Stosunek ten wszakże był tylko teoretycznym, idealnym. Realnym staje się on dopiero w procesie zamiany. Z drugiej strony towar jest wartością zamienną, o ile zawiera w sobie pewną ilość czasu roboczego, o ile jest uprzedmiotowanym czasem roboczym. Ale w swym bezpośrednim bycie jest on tylko indywidualnym czasem roboczym o prywatnej treści, a nie powszechnym czasem roboczym. Towar nie jest więc bezpośrednio wartością zamienną, musi się on dopiero stać takową. Najsamprz. może być uprzedmiotowaniem powszechnego czasu roboczego, o ile on przedstawia czas roboczy w pewnym użytecznym zastosowaniu, t. j. w pewnej wartości użytkowej. To był materialny warunek, przy którym tylko można było przyjąć czas roboczy, zawarty w towarach za czas powszechny, społeczny.

Jeżeli więc towar może stać się wartością użytkową dopiero wtedy, gdy się urzeczywistnia jako wartość zamienna, to z drugiej strony może się urzeczywistnić, jako wartość zamienna, dopiero wówczas, gdy w procesie pozbycia się go (przez posiadacza) występuje, jako wartość użytkowa. Towar może być oddanym, jako wartość użytkowa tylko temu, dla kogo on jest takową, to jest przedmiotem szczególnej potrzeby. Z drugiej strony zostaje on oddanym tylko za inny towar, czyli jeżeli się postawimy na miejscu posiadacza tego innego towaru, to może on zarówno go się pozbyć, t. j. urzeczywistnić (jego

wartość użytkową, tylko wówczas, gdy go wprowadza w zetknięcie ze szczególną potrzebą dla zaspokojenia której on służy. We wszechstronnem więc pozbywaniu się towarów, jako wartości użytkowych, odnoszą się oni na zasadzie swej materialnej różnorodności, jako rozmaite rzeczy, które dzięki swym specyficznym własnościom służą do zaspokojenia szczególnych potrzeb. Ale, jako tylko wartości użytkowe, są to zupełnie obojętne względem siebie egzystencje, nie znajdujące się raczej w żadnym stosunku. Jako wartości użytkowe, towary mogą być wymieniane tylko w zależności od rozmaitych potrzeb. Wymienialne wszakże są one tylko, jako ekwiwalenty, ekwiwalentami zaś są tylko jako równe ilości uprzedmiotowanego czasu roboczego, tak, że wszelki wzgląd na ich naturalne własności, jako wartości użytkowych, a zatem i wszelki wzgląd na stosunek towarów do szczególnych potrzeb, uchylonym zostaje. Jako wartość zamienna, towar przejawia się tem raczej, iż zamieszcza w postaci ekwiwalentu dowolnie określoną ilość każdego innego towaru, w zupełnej obojętności na to, czy stanowi on dla posiadacza innego towaru wartość użytkową, czy nie. Ale dla posiadacza tego innego towaru jest on tylko towarem o tyle, o ile stanowi dla niego wartość użytkową, a dla swego własnego posiadacza jest on wartością zamienną tylko o tyle, o ile stanowi towar dla drugiego. A zatem jeden i ten sam stosunek musi być stosunkiem towarów, jako w istocie swej jednakowych, tylko ilościowo rozmaitych wielkości, musi być zrównoważeniem ich, jako materializacji powszechnego czasu roboczego i musi jednocześnie być ich stosunkiem, jako jakościowo różnych rzeczy, stosunkiem różnych wartości użytkowych dla różnych potrzeb, krótko, musi być stosunkiem, odróżniającym istotne wartości użytkowe. Ale to zrównoważenie i nieurównoważenie wykluczają się nawzajem. W taki sposób występuje nietylko błędne koło zadań, gdyż rozwiązanie jednego wymaga i rozwiązania drugiego, ale całość sprzecznych wymagań, gdyż spełnienie jednego warunku jest bezpośrednio związanem ze spełnieniem jego sprzeczności.

Proces wymiany towarów musi być zarazem rozwojem i rozstrzygnięciem tych sprzeczności, które nie mogą wszakże występować w nim w tak prostej formie. Mysmy tylko widzieli, jak towary nawzajem odnoszą się ku sobie, jako wartości użytkowe, t. j. jak towary, występują w zakresie procesu wymiany, jako wartości użytkowe. Natomiast wartość zamienna, jakęśmy ją dotychczas rozpatrywali, istniała tylko w naszej abstrakcji, czyli, jeżeli wolicie, w abstrakcji oddzielnego posiadacza towarów, u którego takowe leżą na składach, jako wartości użytkowe i — na sumieniu, jako wartości zamienne. Same wszakże towary muszą wewnątrz procesu zamiany istnieć nietylko jako wartości użytkowe, ale jako wartości zamienne względem siebie i to ich istnienie musi występować w postaci ich wzajemnego stosunku ku sobie.

Trudność, w którejsmy dopiero co ugrzęźli, polegała na tem, iż towar, by się urzeczywistnić, jako wartość zamienna, jako powszechny czas roboczy, musi być wprz. oddanym jako wartość użytkową osobie, której on jest potrzebnym, podczas gdy jednocześnie to pozbycie się go, jako wartości użytkowej, wymaga naodwrt jego istnienia, jako wartości zamiennej. Przypuśćmy wszakże, iż trudność ta już rozstrzygniętą została. Przypuśćmy, iż towar zrzucił ze siebie

szczególność wartości użytkowej i przez pozbycie się jej wypełnił materialny warunek stania się społecznie pożyteczną pracą i że przestał być szczególną pracą pojedynczej osoby. Wtedy musi on w procesie wymiany, jako wartość zmienna, jako powszechny ekwiwalent, stać się uprzedmiotowaniem powszechnego czasu roboczego dla innych towarów i w ten sposób musi on zdobyć zamiast nieograniczonego wpływu szczególnej wartości użytkowej, bezpośrednią zdolność przedstawienia się we wszystkich wartościach użytkowych, jako w swoich ekwiwalentach. Każdy towar wszakże jest tym właśnie towarem, który w ten sposób przez pozbycie się swej szczególnej wartości użytkowej musi wystąpić jako materializacja powszechnego czasu roboczego. Z drugiej strony wszakże w procesie wymiany stoją naprzeciw sobie tylko szczególne towary, czyli prace prywatnych osobników, wcielone w szczególnych wartościach użytkowych. Powszechny czas roboczy jest abstrakcją, która jako takowa, dla towarów nie istnieje.

Rozważmy sumę równań, w których wartość zmienna towaru znajduje swe względne wyrażenie, np.:

1 łokieć płótna = 2 funtom kawy
1 łokieć płótna = $\frac{1}{2}$ funta herbaty
1 łokieć płótna = 8 funtom chleba
i t. d.

Równania te orzekają tylko to, iż powszechny czas roboczy równej wielkości materializuje się w 1 łokciu płótna, 2 funtach kawy, $\frac{1}{2}$ funta herbaty itd. Ale w rzeczywistości prace indywidualne, które się przedstawiają w tych szczególnych wartościach użytkowych, stają się pracą powszechną, a w tej formie społeczną, tylko wtedy, jeżeli faktycznie zamieniają się w stosunku do zawartego w nich czasu roboczego. Społeczny czas roboczy zawiera się w tych towarach w formie — że tak powiemy — skrytej; występuje on na jaw dopiero w procesie ich wymiany. Wychodzimy z pracy indywidualów nie jako z pracy społecznej, lecz naodwrot wychodzimy ze szczególnych indywidualnych prac, które dopiero w procesie wymiany, przez zniesienie ich pierwotnego charakteru, okazują się być pracą powszechną, społeczną. Powszechna więc praca społeczna nie jest gotowem przypuszczeniem, lecz rezultatem, który ma się dopiero stać. W taki sposób otrzymujemy nową trudność, polegającą na tem, iż towary z jednej strony muszą wstąpić do procesu zamiany, jako uprzedmiotowanie powszechnego czasu roboczego, a z drugiej strony samo to uprzedmiotowanie indywidualnego czasu roboczego, jako czasu powszechnego, społecznego, może być dopiero rezultatem samego procesu wymiany.

Każdy więc towar powinien przez pozbycie się swej wartości użytkowej, t. j. swej pierwotnej egzystencji, otrzymać odpowiednią egzystencję, jako wartość wymienną. Towar musi więc w procesie wymiany zdwoić swą egzystencję. Z drugiej strony może powtórna jego egzystencja, jako wartości zamiennej, być tylko innym towarem, gdyż w procesie wymiany stoją przeciw sobie tylko towary. Zachodzi pytanie, w jaki sposób można szczególny towar bezpośrednio przedstawić, jako uprzedmiotowanie powszechnego czasu roboczego, czyli, co na jedno wychodzi, w jaki sposób może indywidualny czas roboczy, uprzedmiotowany w szczególnym towa-

rze, otrzymać bezpośrednio charakter powszechności? Realne wyrażenie wartości zamiennej towaru, t. j. każdego towaru, jako powszechnego ekwiwalenta, przedstawia się w nieskończonym rzędzie równań, jak:

1 łokieć płótna = 2 f. kawy
1 „ „ = $\frac{1}{2}$ f. herbaty
1 „ „ = 8 f. chleba
1 „ „ = 6 łokciom perkalu
i t. d. i t. d.

Przedstawienie to było teoretycznem tak długo, jak tylko w pojęciu uważaliśmy towar, jako uprzedmiotowanie pewnej określonej ilości powszechnego roboczego czasu. Istnienie wszakże szczególnego towaru, jako powszechnego ekwiwalentu, staje się z prostej abstrakcji społecznym rezultatem samego procesu wymiany przez proste odwrócenie powyższego rzędu równań. I tak np.:

2 funty kawy = 1 łok. płótna
 $\frac{1}{2}$ f. herbaty = 1 łok. płótna
8 fun. chleba = 1 łok. płótna
6 łok. perkalu = 1 łok. płótna i t. d.

Podczas gdy kawa, herbata, chleb, perkal, krótko: wszystkie towary wyrażają czas roboczy w nich zawarty w płótnie, to naodwrot wartość zmienna płótna rozwija się we wszystkich innych towarach, jako w jego ekwiwalentach, a zarazem czas roboczy, uprzedmiotowany w nim samym, staje się bezpośrednio powszechnym czasem roboczym, który równomiernie przedstawia się w różnych objętościach wszystkich innych towarów. Płótno staje się tu powszechnym ekwiwalentem dzięki wszechstronnej akcji wszystkich innych towarów na nie. Jako wartość zmienna, każdy towar stawał się miarą wartości wszystkich innych towarów. Tu naodwrot, ponieważ wszystkie towary mierzą swą wartość zmienną za pomocą jednego towaru, to jeden ten wyłączony towar staje się bytem równoznacznym wartości zamiennej, bytem jej jako powszechnych ekwiwalentów. Natomiast nieskończony szereg równości, w których wartość zmienna każdego towaru się przedstawia, ściąga się w jedno jedyne równanie z dwóch członków. 2 funty kawy = 1 łokciowi płótna jest obecnie wyczerpującem wyrażeniem wartości kawy, gdyż ona w tem wyrażeniu występuje bezpośrednio, jako ekwiwalent dla określonej ilości każdego innego towaru. Wewnątrz więc procesu zamiany towary istnieją dla siebie lub występują jako wartości zamienne w formie płótna. To, że wszystkie towary odnoszą się do siebie tylko, jako rozmaite ilości uprzedmiotowanego powszechnego czasu roboczego, przedstawia się teraz tak, jak gdyby one, jako wartości wymienne, przedstawiały tylko rozmaite ilości tegoż samego przedmiotu, płótna. Powszechny więc czas roboczy przedstawia się ze swej strony jako szczególna rzecz, jako towar istniejący obok i poza wszystkimi innymi towarami. Zarazem wszakże powinno równanie, w którym towar dla towaru się przedstawia, jako wartość zmienna naprz. 2 funty kawy = 1 łokciowi płótna dopiero się urzeczywistnić. Tylko pozbycie się go, jako wartości użytkowej, które zależy od tego, czy on się zachowa w procesie zamiany w charakterze przedmiotu potrzeby, zamienia jego istnienie jako kawy w jego istnienie jako płótna, nadaje mu formę powszech-

nego ekwiwalentu i czyni go rzeczywiście wartością zamienną dla wszystkich innych towarów. Naodwrot, dzięki temu, iż wszystkie towary przez pozbycie się ich, jako wartości użytkowych, zamieniają się w płótno, to płótno staje się zamienionym bytem wszystkich innych towarów i tylko jako rezultat przemiany wszystkich towarów na nie staje się ono bezpośrednio uprzedmiotowaniem powszechnego czasu roboczego, t. j. produktem wszechstronnego pozbywania się (wartości użytkowych), przytłumiania prac indywidualnych. Jeżeli w ten sposób towary, by wystąpić przed sobą nawzajem, jako wartości zamienne, zdawają swą egzystencję, to towar wyróżniony, jako powszechny ekwiwalent, zdawają swą wartość użytkową. Oprócz swej szczególnej wartości użytkowej jako oddzielnego towaru, otrzymuje on jeszcze powszechną wartość użytkową. Ta powszechna wartość użytkowa ma sama istnienie formalne, gdyż wypływa ze specyficznej roli, którą on odegrywa dzięki wszechstronnej akcyi innych towarów nań w procesie wymiany. Wartość użytkowa każdego towaru, jako przedmiot szczególnej potrzeby, ma rozmaitą wartość w różnych rękach, np. inną ma wartość w ręku tego kto się go pozbywa, niż w ręku tego, kto go nabywa. Towar wyróżniony, jako powszechny ekwiwalent, jest teraz przedmiotem powszechnej potrzeby, która wyrosła ze samego procesu zamiany i posiada dla wszystkich też samą wartość użytkową, a mianowicie tę, iż jest on przedstawicielem wartości zamiennej, powszechnym środkiem wymiany. W ten sposób w jednym towarze zostaje rozstrzygnięta sprzeczność, którą towar, jako takowy, w sobie zawiera i która polega na tem, by, będąc szczególną wartością użytkową, stać się zarazem powszechnym ekwiwalentem, a zatem i wartością użytkową dla wszystkich, t. j. powszechną wartością użytkową. Podczas więc, gdy wszystkie inne towary przedstawiają swą wartość zamienną jako idealne, mające dopiero uleść realizacji, zrównanie z wyłącznym towarem, to w tym ostatnim wartość jego użytkowa występuje, jakkolwiek realnie, tylko jako formalne istnienie, które dopiero powinno się zrealizować w drodze przemiany na rzeczywistą wartość użytkową. Początkowo towar przedstawiał się jako towar wogóle, jako powszechny czas roboczy, uprzedmiotowany w szczególnej wartości użytkowej. W procesie wymiany wszystkie towary odnoszą się do towaru wyłącznego, jako do towaru wogóle, jako do przejawu powszechnego czasu roboczego w szczególnej wartości użytkowej. Jako szczególne towary odnoszą się we wzajemnych stosunkach ku jednemu szczególnemu towarowi, jako do towaru powszechnego. Ta więc okoliczność, że posiadacze towarów odnoszą się wzajemnie do swych prac, jako do pracy społecznej, przedstawia się, że oni się odnoszą do swych towarów, jako do wartości zamiennych, a wzajemny stosunek towarów ku sobie, jako wartości zamiennych, przedstawia się w procesie wymiany, jako ich wszechstronny stosunek ku jednemu szczególnemu towarowi, jako równoznacznemu wyrażeniu ich wartości zamiennej, co z odwrotnej strony przedstawia się, jako specyficzny stosunek tego szczególnego towaru ku wszystkim innym towarom i przeto jako określony naturalno-społeczny charakter pewnego przedmiotu. Szczególny towar, przedstawiający w ten sposób równoznaczne istnienie wartości zamiennej wszystkich towarów, czyli wartość zamienną wszystkich towarów, jako szczególny,

wyłączny towar, jest pieniądzem. Jest to krystalizacja wartości zamiennej towarów, którą w procesie wymiany same tworzą. Gdy więc towary stają się w obrębie procesu zamiany dla siebie wartościami użytkowymi, zrzucając ze siebie wszelką określoność formy i odnosząc się ku sobie w swej bezpośrednio materalnej postaci, to muszą one, by wystąpić przeciwko sobie, jako wartości zamienne, muszą przyjąć na siebie nowe formy, muszą przystąpić do wytwarzania pieniędzy. Pieniądz jest symbolem tak mały, jak istnienie wartości użytkowej, jako towaru, jest symbolem. Ta okoliczność, że społeczny stosunek produkcyjny przedstawia się, jako przedmiot, znajdujący się poza osobnikami i to, że określone stosunki, w które osobniki te wchodzi w procesie produkcyjnym ich społecznego pożycia, przedstawiają się jako specyficzne własności przedmiotu, to odwrócenie, będące nie wniowioną, ale realną, prozaiczną mistyfikacją, charakteryzującą wszystkie społeczne formy pracy, tworzącej wartość. W pieniądzech występuje ona tylko jaskrawiej, niż w towarach.

Niezbędne fizyczne własności towaru, w którym pieniężna istność wszystkich innych towarów ma się krystalizować, o ile one wypływają bezpośrednio z natury wartości zamiennej, są następujące: dowolna podzielność, jednokształtność wszystkich części i zupełna równowłasność wszystkich egzemplarzy tego towaru. Jako podścielisko powszechnego czasu roboczego, powinien on być podścieliskiem jednostunkowym i zdolnym przedstawiać jedynie ilościowe różnice. Drugą niezbędną własnością powinna być trwałość jego wartości użytkowej, ponieważ musi on zostawać nienaruszonym wewnątrz procesu wymiany. Szlachetne metale posiadają te własności w znacznym stopniu. Ponieważ pieniądz nie jest produktem refleksyi, ani też umowy, lecz wytworzonym został instynktownie w procesie wymiany, więc rozmaite mniej lub więcej odpowiednie towary po porządku odegrywały tę funkcję. Konieczność, zjawiająca się na pewnym stopniu rozwoju procesu wymiany, rozdania pomiędzy towary na dwóch oddzielnych biegunach funkcji wartości zamiennej i wartości użytkowej, tak, by jeden towar funkcyjnował np. jako środek zamiany, podczas gdy drugi zostaje oddawanym, jako wartość użytkową, prowadzi za sobą to, iż powszechnie jeden lub nawet kilka towarów o powszechnej wartości użytkowej poniekąd przypadkowo odegrywały rolę pieniędzy. Jeżeli towary te nie są przedmiotami bezpośrednio istniejącej potrzeby, to ich byt, jako znacznej materalnie części istniejących bogactw, zapewnia im ogólniejszy charakter, niż innym wartościom użytkowym. Bezpośredni handel wymienny, naturalnie wyrosła forma procesu wymiennego przedstawia raczej początek zamiany wartości użytkowych w towary, aniżeli towarów w pieniądze. Wartość zamienna nie otrzymuje jeszcze żadnej niezależnej formy, jest ona jeszcze bezpośrednio zrośniętą z wartością użytkową. Występuje to w sposób dwojaki. Sama produkcja w całej swej budowie, skierowana tu jest na wartości użytkowe, a nie na wymienne, i tylko w nadmiarze ponad osobistą potrzebę wartości użytkowe przestają być takowymi, naznaczone zostają dla wymiany, stają się towarami. Z drugiej strony stają się one tu towarami tylko w granicach bezpośredniego spożycia, jakkolwiek rozstawione zostają na dwóch biegunach, tak, że zamieniane przez posiadaczów towary muszą dla obydwoh stanowić wartości użytkowe, każdy — dla swego nie-posiadacza. W rzeczywi-

stości występuje proces zamiany towarów początkowo nie w łonie naturalnie wyrosłych komun, lecz tam, gdzie takowe się kończą, na ich granicach, na nielicznych punktach, gdzie one się stykają z innymi gminami. Tutaj rozpoczyna się handel zamienny i odbija się ztąd na wnętrze takiej grupy społecznej, na którą działa rozsądzająco. Szczególne wartości użytkowe, które w handlu zamiennym pomiędzy rozmaitemi gminami stają się towarami, są: niewolnicy, bydło, metale: to też stanowią one zarazem pierwszy pieniądź wewnątrz samej gminy. Widzieliśmy, że wartość zamienna towaru przybiera tem wyraźniejszy charakter takowej, im dłuższym jest szereg jego ekwiwaleńców, czyli czem większa jest siera jego wymiany. To też powolne rozszerzanie się handlu wymiennego, rozmnażanie się wymian i urozmaicanie towarów, wchodzących w handel wymienny, rozwijają coraz bardziej towar, jako wartość zamienną, prowadzą do wytwarzania pieniędzy i w ten sposób wpływają rozkładowo na handel bezpośredni. Ekonomiści wyprowadzają zazwyczaj pieniądze z zewnętrznych trudności, na które napotyka się rozszerzony handel, zapominają wszakże, że trudności te pochodzą z rozwoju wartości zamiennej, a zatem i społecznej pracy, jako pracy powszechnej. Naprz. towary, jako wartości użytkowe, nie są do wolnie podzielne, którą to własność powinny posiadać, jako wartości wymienne. Albo towar posiadacza A może być wartością użytkową dla posiadacza B, podczas gdy towar tego ostatniego nie jest wartością użytkową dla pierwszego. Albo wreszcie posiadacze mogą mieć towary niepodzielne i nie znajdujące się w równych proporcjach.... Innymi słowy, pod pozorem rozpatrywania prostego handlu wymiennego, ekonomiści uwiadcniają sobie pewne tylko strony sprzeczności, którą byt towaru jako bezpośredniego zjednoczenia wartości użytkowej i zamiennej, w sobie zawiera. Z drugiej strony wierzą oni mocno, iż handel wymienny jest równoznaczną formą procesu wymiany towarów, związana tylko z pewnymi technicznymi niedogodnościami, przeciwko którym pieniądź jest chytrze wymyślonym środkiem zaradczym. Z tego nader płytkiego punktu wyjścia pewien dowcipny angielski ekonomista*) bardzo konsekwentnie twierdził, iż pieniądź jest tylko materjalnym narzędziem, jak okręt lub maszyna parowa, ale bynajmniej nie stanowi urzeczywistnienia pewnego społecznego stosunku produkcji, a zatem że nie jest ekonomiczną kategorią. Przeto niesłusznie traktuje się — zdaniem jego — o pieniądzach w ekonomii politycznej, która nie ma nic wspólnego z technologią.

W świecie towarowym jest rozwinięty podział pracy uprzednio przypuszczonym, a raczej przedstawia się on bezpośrednio w rozmaitej wartości wartości użytkowych, które stają przeciwko sobie, jako szczególne towary i w których tkwi zarazem tyleż rozmaitych rodzajów pracy. Podział pracy, jako coś wszystkich szczególnych gatunków produkcyjnych zajęć, jest wspólną postacią społecznej pracy w jej materjalnej treści, rozpatrywanej jako praca, wytwarzająca wartości użytkowe. Jako taka wszakże, egzystuje ona z punktu widzenia towarów i w obrębie procesu wymiany tylko w jej rezultacie, w różnieniu samych towarów. Zamiana towarów jest procesem, w któ-

*) Th. Hodgskin, *Popular political economy*. London, 1827. p. 178, 179.

rym odbywa się społeczna wymiana materji, t. j. w którym zamiana szczególnych produktów prywatnych osób wytwarza zarazem określone społeczne stosunki produkcji, w które wchodzi osoby podczas tego procesu wymiany materji. Rozwijająca się zależność towarów od siebie krystalizuje się jako rozmaite naznaczenia powszechnego ekwiwalentu i w ten sposób proces wymiany jest zarazem procesem wytwarzania pieniędzy. Całość tego procesu, który się przedstawia jako przebieg różnych procesów, jest cyrkulacją.

* * *

A. Z historii analizy towaru.

Rozkład towaru na pracę w formie podwójnej, a mianowicie: rozkład wartości użytkowej na pracę realną, czyli działalność celowo produkcyjną, a wartości zamiennej na czas roboczy, czyli na jednakową społeczną pracę, jest krytycznym rezultatem półtorastuletnich badań, które w Anglii z Pettym, a we Francji z Boisguillebertem się rozpoczynają i które kończą się w Anglii na Ricardo, a we Francji na Sismondim.

Petty rozkłada wartość użytkową na pracę, nie oszukując się bynajmniej co do naturalnych własności jej siły twórczej. Rzeczywiście pracę pojmuje on odrazu w jej społecznej całości, jako podział pracy. Ten pogląd na źródło materjalnego bogactwa nie pozostaje, jak u współczesnego mu Hobbesa, mniej lub więcej beznadziejnym, lecz prowadzi go do politycznej arytmetyki, tej pierwszej formy, w której polityczna ekonomia oddziela się, jako odrębna nauka. Wartość wszakże zamienną przyjmuje on tak, jak ona w procesie wymiany występuje, jako pieniądź; sam zaś pieniądź uważa za istniejący towar, złoto lub srebro. Uwikłany w pojęcia monetarnego systemu, uważa on ten szczególny rodzaj realnej pracy, który wydobywa złoto i srebro, za pracę stanowiącą wartość. W istocie myśli on, że praca mieszczańska nie wytwarza bezpośrednio wartości użytkowych, lecz towary, t. j. wartości użytkowe, które zdolne są w procesie wymiany przez pozbycie się ich (przez posiadacza) przedstawiać się, jako złoto i srebro, t. j. jako pieniądze lub jako wartość zamienną, albo też jako uprzedmiotowanie powszechnego czasu roboczego. Ten przykład uderzająco pokazuje, iż przyznanie pracy za źródło materjalnego bogactwa, w żaden sposób nie wyklucza zapoznania określonej społecznej formy, w której praca staje się źródłem wartości zamiennej.

Boisguillebert zo swej strony rozkłada wartość zamienną towaru, jakkolwiek nieświadomie, to faktycznie, na czas roboczy, gdy określa „prawdziwą wartość“ [*la juste valeur*] przez właściwą proporcję, w której czas roboczy osobników podzielonym zostaje pomiędzy osobne galezie produkcji i gdy przedstawia wolną konkurencję, jako społeczny proces, który proporcję tę ustanawia. Jednocześnie wszakże, w kontraście z Pettym, walczy on fanatycznie przeciwko pieniądżom, które przez swą interwencję mają naruszać naturalną równowagę czyli harmonię wymiany towarów i które zarazem, jako fantastyczny Moloch wymagają ofiary ze wszystkich naturalnych bogactw. Otóż jeżeli z jednej strony ta polemika przeciwko pieniądżom znajduje się w zależności od pewnych historycznych

warunków, gdyż Boisguillebert napada na ślepo-niszczącą żądzę złota dworu Ludwika XIV, jego arendarzy finansowych i szlachty, podczas gdy Petty święci w żądzę złota potężnie czynny popęd, pobudzający naród do rozwoju przemysłowego i podbicia rynku wszechświatowego, to jednak wychodzi tu zarazem na jaw, bardziej głębokie, zasadnicze przeciwstawienie, powtarzające się jako ciągły kontrast pomiędzy czysto angielską i czysto francuską ekonomią. W istocie Boisguillebert poszukuje tylko materyjalnej treści bogactw, wartości użytkowej, użycia i rozpatruje burżuazyjną formę pracy, wytwarzanie wartości użytkowych, jako towarów, i proces wymiany towarów, jako zgodną z naturą formę społeczną, w której indywidualna praca swego celu dopina. Tam więc, gdzie występuje przed nim specyficzny charakter mieszczańskiego bogactwa, jak w pieniądzu, to wierzy on we wniebianie się uzurpujących cudzych elementów i unosi się przeciw burżuazyjnej pracy w jednej formie, podczas gdy utopistycznie ją apoteozuje w innej. Boisguillebert przedstawia nam przykład, że czas roboczy może być traktowany, jako miara wartości towarów, chociaż praca uprzedmiotowana w wartości zamiennej towarów i mierzona czasem, zostaje przezeń pomieszana z bezpośrednią, naturalną działalnością osobników.

Pierwszy świadomy, prawie trywialnie jasny rozkład wartości zamiennej na czas roboczy znajdujemy u jednego męża z nowego świata, gdzie burżuazyjne stosunki produkcyjne, importowane wraz z ich przedstawicielami, szybko rozkwitły na gruncie, który brak historycznej tradycji przez zbytek bogactw naturalnych wynagrodził. Mężem tym jest Benjamin Franklin, który w pierwszej swej młodzieńczej pracy, pisanej w r. 1719 i drukowanej w 1721 sformułował prawo zasadnicze nowożytnej ekonomii politycznej. Uważa on za niezbędne szukać innej miary wartości, niż szlachetne metale. Tą jest praca.

„Pracą można mierzyc wartość srebra tak samo, jak wszystkich innych rzeczy. Przypuśćmy np., iż jeden człowiek zajęty jest produkcją zboża, podczas gdy drugi kopie i oczyszcza srebro. W końcu roku, lub innego określonego okresu, pełny wytwór zboża i srebra stanowią dla siebie nawzajem naturalne ceny i jeżeli pierwsze jest w 20 buszlach a drugie w 20 uncjach, to jedna uncja srebra warta jest tyleż, co czas użyty na wytworzenie jednego buszla zboża. Jeżeli wszakże, dzięki odkryciu bliższych, przystępniejszych i wydajniejszych kopalni, jeden człowiek może wytworzyć 40 uncj srebra z taką samą łatwością, jak dawniej 20, a praca niezbędna dla wytworzenia 20 buszli zboża pozostała niezmienną, to 2 uncje srebra nie będą więcej warte, niż ta sama praca, użyta dla wytworzenia jednego buszla zboża, w ten sposób buszel, który dawniej był wart 1 uncję, teraz wart będzie dwie, *ceteris paribus*. Dlatego bogactwo pewnego kraju powinno być oceniane według ilości pracy, którą jego mieszkańcy zdolni są zakupić“^{*)}.

Czas roboczy przedstawia się odrazu u Franklina ekonomicznie jednostronnie, jako miara wartości. Przejście realnych produktów w wartości zamienne samo przez się jest u niego zrozumiałe, idzie więc tylko o wynalezienie miary wielkości wartościowej. „Ponieważ

— mówi on — handel nie jest wogóle niczem innym, jak wymiana pracy na pracę, więc wartość wszystkich rzeczy najbardziej prawidłowo oceniana zostaje pracą“^{*)}. Jeżeli tu podstawimy realną pracę na miejsce wyrazu praca, to odrazu odkryjemy pomieszczenie pracy w jednej formie z pracą w innej. Ponieważ w procesie wymiany przyjmują udział np. praca szewcka, kopalniana, tkacka, malarska itd., to wartość butów miałaby być najprawidłowiej oceniana w pracy malarskiej? Franklin sądzi naodwrot, iż wartość butów, wytworów kopalni, tkanin, obrazów itd. określoną zostaje przez pracę abstrakcyjną, która nie posiada żadnej szczególnej jakości i która przeto podlega jedynie ilościowej mierze^{**)}. Ponieważ on wszakże nie rozróżnia pracy, zawartej w wartości zamiennej, jako abstrakcyjno-powszechnej i społecznej z procesu wzajemnego pozbywania się prac indywidualnych, to z konieczności musi on zapoznać pieniądź, jako bezpośrednią formę istnienia tej powszechnej pracy. Pieniądz i praca, stanowiąca wartość wymienną, nie znajdują się przeto u niego w żadnej wewnętrznej zależności; pieniądź jest raczej narzędziem, z zewnątrz wprowadzonym do procesu wymiany w celach technicznej wygody.

Franklinowska analiza wartości zamiennej nie wywarła bezpośredniego wpływu na ogólny rozwój nauki, gdyż on rozpatrywał tylko pojedyncze kwestyje z politycznej ekonomii przy określonych praktycznych (pobudkach). Sprzeczność pomiędzy realną, pożyteczną pracą i pracą stanowiącą źródło wartości wymiennej, poruszała Europę podczas XVIII stulecia w formie pytania, jaki szczególny rodzaj realnej pracy stanowi źródło mieszczańskiego bogactwa? W taki sposób przypuszczano już naprzód, że nie każda praca, która się urzeczywistnia w wartościach użytkowych, czyli wydająca produkty, przez to samo tworzy już bogactwo. Dla fizjokratów wszakże, zarówno jak i dla ich przeciwników, palącą kwestyją sporną jest nie to, jaka praca wytwarza wartość, lecz to, jaka wytwarza nadwartość? Traktują więc oni kwestyję w formie bardziej skomplikowanej, zanim ją rozstrzygnęli w formie elementarnej — tak to historyczny rozwój wszystkich nauk przez masę pokrzyżowywanych dróg prowadzi dopiero do istotnego ich punktu wyjścia. Nauka różni się od architektury nie tylko tem, iż stawia ona zamki w powietrzu, ale jeszcze i tem, iż buduje pojedyncze piętra mieszkalne gmachów, nie założywszy uprzednio fundamentów.

Nie zatrzymując się dłużej przy fizjokratach i opuszczając cały szereg włoskich ekonomistów, którzy mają mniej lub więcej szlachliwie pomysły względem prawidłowej analizy towaru, zwróćmy się odrazu do pierwszego anglika, który opracował całość burżuazyjnej ekonomii, do p. James Steuarta. U niego wogóle abstrakcyjne kategorie politycznej ekonomii znajdują się jeszcze w procesie odziedziczenia się od ich materyjalnej treści, a zatem są ciekłe i wahające się; tak samo dzieje się i z wartością zmienną. W jednym miejscu określa on realną wartość przez czas roboczy (to, co robotnik może wytworzyć w ciągu dnia) obok czego wszakże w sposób

*) B. Franklin, *The works of etc.*, str. 267.

**) 1. c. *Remarks and facts relative to the American paper money*, 1764.

*) B. Franklin, *The works of etc.*, str. 265, Boston 1836, vol. II.

bardzo niewyraźny figuruje płaca robocza i surowy materiał. W innym miejscu walka z materialną treścią występuje jeszcze bardziej uderzająco. Nazywa on naturalny materiał, zawarty w towarze, np. srebro w srebrnej plecionce jego wartością wewnętrzną (*intrinsic worth*), a czas roboczy, zawarty w nim, jego wartością użytkową (*useful worth*). Pierwsza — mówi on — jest sama przez się czemś realnem... Wartość użytkowa natomiast musi być oceniana podług ilości pracy, użytej na jej wytworzenie. Praca, użyta dla zmodyfikowania pewnej materii reprezentuje pewną część czasu człowieka“ etc.¹⁾

Co odróżnia Stuarta od jego poprze'ników i następców, to to, iż oddzielał on ściśle pracę specyficzną społeczną, która się w wartości zamiennej przedstawia, od pracy realnej, wytwarzającej wartości użytkowe. „Pracę — mówi on — która przez pozbycie się jej (przez posiadacza) wytwarza powszechny ekwiwalent, nazywam industriją.“ Pracę, jako industriję, odróżnia on nie tylko od pracy realnej, ale zarazem i od innych społecznych form pracy. Jest ona dlań mieszczańską formą pracy, w odróżnieniu od jej starożytnych lub średniowiecznych form. Interesuje go mianowicie przeciwieństwo burżuazyjnej i średniowiecznej pracy, która to ostatnia obserwowano w on fазie jej upadku w Szkocji i w swych rozległych podróżach po kontynencie. Stuart wiedział — rozumie się — bardzo dobrze, że produkt przyjmował formę towaru, a towar — pieniądzy i w przedburżuazyjnych epokach, ale dowodzi on szczegółowo, że towar, jako elementarna forma zasadnicza bogactwa i pozbywanie się go, jako panująca forma ich nabywania, należą tylko do burżuazyjnej epoki produkcyjnej, a więc, że charakter pracy, stanowiącej źródło wartości zamiennej, jest specyficznym burżuazyjnym.

Po tem, jak szczególne formy realnej pracy: rolnictwo, manufaktura, żegluga, handel itd. były po porządku ogłaszane za istotne źródła bogactwa, Adam Smith proklamował pracę w ogóle i to w jej społecznej całości, w postaci podziału pracy, jako jedyne źródło materialnego bogactwa, czyli wartości użytkowych. Podczas gdy on tu zupełnie spuszcza z uwagi element naturalny, to ten ostatni prześladowa go w sferze czysto społecznego bogactwa, wartości zamiennej. Adam określa wprawdzie wartość towaru czasem, zawartym w takowym, odnosi wszakże realność tego określenia do czasów przedadamiowych. Innymi słowy to, co mu się wydaje prawdziwym z punktu widzenia prostego towaru, staje się dlań niejasnym z chwilą, gdy na jego miejsce występują wyższe i bardziej skomplikowane formy kapitału, płacy roboczej, renty gruntowej itd. To wyraża on w ten sposób, jakoby wartość towarów była mierzona czasem w nich zawartym w straconym rajach mieszczaństwa, tam, gdzie ludzie jeszcze się nie podzieliли na kapitalistów, robotników najemnych, właścicieli ziemskich, farmerów, lichwiarzy i t. d., lecz gdy występowali przeciwko sobie, jako zwykli wytwórcy, wymieniający towary. Mięsza on wciąż określenie wartości towaru za pomocą czasu roboczego, w rim zawartego, z określeniem wartości jego wartością pracy, waha się wciąż w przeprowadzeniu szczegółów

1) Stuart: *An inquiry into the principles of polit. economy*, 1767, str. 361—362.

i nie spostrzega obiektywnego zrównania, jakie społeczny proces sprowadza pomiędzy nierównymi pracami, wobec subiektywnego równoprawnienia przezeń indywidualnych prac.

Przejsię od realnej pracy do pracy, stanowiącej źródło wartości zamiennej, t. j. do pracy burżuazyjnej w jej zasadniczej formie stara się on uskuteczyć za pomocą podziału pracy. Tymczasem o ile jest słusznem, że prywatna wymiana przypuszcza uprzednie istnienie podziału pracy, o tyle jest fałszywym, by podział pracy przypuszczał uprzednią wymianę prywatną. Np. u peruwiańczyków praca była znacznie podzieloną, jakkolwiek ani prywatna wymiana, ani wymiana produktów w ogóle miejsca u nich nie miała.

W odróżnieniu od Adama Smitha Dawid Ricardo wypracowuje określenie wartości towaru jedynie za pomocą czasu roboczego, dowodzi i pokazuje, iż prawo to panuje i nad wrzaskiem sprzecznymi z nim burżuazyjnymi stosunkami wytwarzania. Badania Ricardo ograniczają się wyłącznie wielkością wartości i odnośnie do tej domysla się on przynajmniej, iż urzeczywistnienie tego prawa zależy od uprzedniego istnienia określonych warunków społecznych. Mówi on mianowicie, iż określenie wielkości wartości przez czas roboczy odnosi się tylko do tych towarów, „które w przemyśle mogą być dowolnie pomnażane i których wytwarzanie znajduje się pod władzą nieograniczonej konkurencji“¹⁾. Oznacza to w rzeczywistości tylko to, iż prawo wartości dla zupełnego swego rozwoju wymaga współistnienia wielkiej produkcji i wolnej konkurencji, t. j. istnienia nowożytnego burżuazyjnego społeczeństwa. Zresztą Ricardo uważa mieszczańską formę pracy za wieczną, naturalną formę społecznej pracy. Pierwotnemu rybakowi i pierwotnemu strzelcowi każe on odrzucać zamieniać rybę i zwierzynę, jako posiadaczom towarów, podług czasu roboczego zawartego w tych wartościach zamiennych. Przy tej sposobności wpada on w następujący anachronizm: rybak ten i strzelec zwracają się przy obliczaniu swych narzędzi pracy do cedyfury giełdowej londyńskiej z r. 1817. „Paralelogramy p. Owena“ wydają się być jedynymi formami społeczeństwa, które on oprócz burżuazyjnej znał. Jakkolwiek objęty tym mieszczańskim horyzontem, Ricardo rozkłada burżuazyjną ekonomiję, która w istocie swej jest zupełnie czem innym od tego, czem się z pozoru wydaje, z taką teoretyczną bystrością, iż lord Brongham mógł o nim powiedzieć: „Pan Ricardo czyni wrażenie, jakby spadł z innej planety.“

W bezpośredniej polemice z Ricardo Sismondi zaakcentował specyficznym społeczny charakter pracy, stanowiącej źródło wartości zamiennej, a zarazem oznaczył, jako „charakter naszego ekonomicznego postępu“ to, iż się redukuje wielkość wartości do czasu roboczego niezbędnego, do „stosunku pomiędzy potrzebą całego społeczeństwa i ilością pracy, która wystarcza do zaspokojenia tej potrzeby“²⁾.

Sismondi jest już wolnym od pojęć Boisguilleberta, jakoby praca, stanowiąca źródło wartości zamiennej, była fałszowaną przez pieniądz,

1) David Ricardo, *On the principles of polit. economy and taxation*, 3 ed. London, 1821, str. 3.

2) Sismondi, *Etudes sur l'Economie politique*. Tom II, Bruksella, 1837, str. 163—166.

ale za to denuncjuje on wielki kapitał przemysłowy tak samo, jak Boisguillebert — pieniądze. Jeżeli polityczna ekonomia wyprowadza u Ricardo bezwzględnie ostatnią swoją konsekwencję i na tem się kończy, to Sismondi uzupełnia ten koniec, przedstawiając jej zwątpienie o samej sobie.

Ponieważ Ricardo, jako twórca klasycznej ekonomii politycznej najczyściej formułuje i rozwija określenie wartości zamiennej przez czas roboczy, to na nim się naturalnie skupia polemika wszczęta ze strony ekonomistów. Jeżeli zdejmieny z tej polemiki niedorzeczna po większej części formę, to można ją zebrać w następujących punktach:

Po pierwsze: praca sama posiada wartość zmienną, a rozmaite prace posiadają rozmaite wartości. Jest to błędne koło czyniące wartość zamienną miarą wartości zamiennej, gdyż wartość, stanowiąca miarę, sama wymaga nowej miary. Zarzut ten rozkłada się na zadanie: przypuściwszy czas roboczy za wewnętrzną miarę wartości zamiennej, rozwinąć na tym gruncie płacę roboczą. Nauka o pracy najemnej daje na nie odpowiedź.

Po wtóre: Jeżeli wartość zmienna produktu ma być równą czasowi robocznemu, który jest w niej zawarty, to wartość zamienna dnia roboczego równa jest jego wytworowi. Czyli że płaca robocza musi być równą wytworowi pracy. Tymczasem ma miejsce rzecz zupełnie odwrotna. A zatem, ten zarzut rozkłada się na zadanie: w jaki sposób produkcja, oparta na wytwarzaniu wartości zamiennej, określonej jedynie za pomocą czasu roboczego, doprowadza do tego rezultatu, iż wartość zamienna pracy jest mniejszą, niż wartość jej wytworu? Zadanie to rozstrzygamy przy badaniu kapitału.

Po trzecie: Cena rynkowa towaru spada niżej jego wartości zamiennej lub wznosi się ponad nią przy zmianie stosunku między popytem i podażą, określa się zatem tym stosunkiem, nie zaś przez zawarty w nim czas roboczy. W rzeczywistości godny podziwu ten wniosek wystawia tylko pytanie, jak na gruncie wartości zamiennej rozwija się różna od niej cena rynkowa, a właściwiej, jak prawo o wartości zamiennej się urzeczywistnia tylko we własnej swej sprzeczności. Zadanie to zostaje rozstrzygnięciem w nauce o konkurencji.

Po czwarte: Ostatni zarzut i pozornie najdonioślejszy, gdyby nie był zwykłe wystawianym w formie zadziwiających przykładów, jest następujący: jeżeli wartość zmienna jest nieczem innym, jak czasem roboczym, zawartym w towarach, to jak mogą towary, nie zawierające wcale pracy, posiadać wartość zmienną, czyli innemi słowy, z kąd się bierze wartość zamienna czystych sił natury? Zadanie to zostaje rozstrzygnięciem w nauce o rentie gruntowej.

ROZDZIAŁ DRUGI

PIENIĄDZ czyli PROSTA CYRKULACJA

W jednej z rozpraw parlamentarnych z powodu aktu bankowego sir Roberta Pecla, z roku 1844—45, Gladstone zauważył, iż sama nawet miłość nie zrobiła z większej ilości ludzi głupców, niż rozmyślanie nad istotą pieniędzy. Mówił on o anglikach do angli-

ków. Przeciwnie holendrzy, którzy wbrew zwątpieniu Petty'ego od dawna posiadali „niebiański dowcip“ do spekulacji pieniężnych, nigdy nie stracili swego dowcipu w spekulacjach nad pieniędzmi.

Główna trudność w analizie pieniędzy zostaje przezwyciężoną z chwilą, gdy pojęciem zostaje ich pochodzenie z towarem. Przy tym warunku chodzi jeszcze tylko o to, by jasno pochwycić ich własną określoność formy, co poniekąd jest utrudnionem, gdyż wszystkie stosunki burżuazyjne, będąc położone lub posrebrzone, występują jako stosunki pieniężne, przez co forma pieniężna wydaje się posiadać nieskończenie rozmaitą treść, która jej samej jest obca.

W następującem badaniu trzeba zapamiętać, iż chodzi tu tylko o te formy pieniędzy, które bezpośrednio wyrastają z wymiany towarów, nie zaś o formy zależne od wyższego stopnia procesu produkcyjnego, jak np. o pieniądze kredytowe. Dla prostoty przyjęliśmy wszędzie złoto za towar pieniężny.

1). Miara wartości.

Pierwszy proces cyrkulacji jest — że tak powiemy — teoretyczno-przygotowawczym procesem do istotnej cyrkulacji. Towary, egzystujące jako wartości użytkowe, tworzą sobie nasamprzód formę, w której występują przeciwko sobie idealnie, jako wartości zamienne, jako określone ilości uprzedmiotowanego czasu roboczego. Pierwszy niezbędny akt tego procesu polega — jakęśmi widzieli — na tem, że towary wyróżniają z pomiędzy siebie jeden specyficzny towar, np. złoto, jako bezpośrednią materjalizację powszechnego czasu roboczego, czyli, jako powszechny ekwiwalent. Zwróćmy przez chwilę uwagę na formę, w której towary przemieniają złoto w pieniądze:

1 tona żelaza	= 2 uncjom złota
1 kwarter pszenicy	= 1 uncji złota
1 centnar kawy	= $\frac{1}{4}$ uncji złota
1 centnar potaszu	= $\frac{1}{2}$ uncji złota
1 ton. braz. drzewa	= $1\frac{1}{2}$ uncji złota
Y towaru	= X uncjom złota.

W tym rzędzie równań występują żelazo, pszenica, kawa, potas i t. d. przeciwko sobie, jako materjalizacje jednokształtnej pracy, mianowicie pracy zmaterjalizowanej w złocie, w której przytłumione zostają wszelkie różnice realnych prac, występujących w rozmaitych wartościach użytkowych. Jako wartości, są one identyczne, a mianowicie materjalizacją jednej i tej samej pracy, czyli jedna i taż sama materjalizacja pracy — złoto. Jako jednokształtna materjalizacja jednakowej pracy, przedstawiają one tylko jedną różnicę, ilościową, czyli występująca jako rozmaite wielkości wartościowe, gdyż w ich wartościach użytkowych zawarte są nierówne ilości czasu roboczego. Pojedyncze te towary odnoszą się zarazem pomiędzy sobą jako uprzedmiotowania powszechnego czasu roboczego, ponieważ odnoszą się do powszechnego czasu roboczego, jako do wyróżnionego towaru, złota. Ten sam rozwijający się stosunek, zapomocą którego towary przedstawiają się sobie nawzajem, jako wartości zamienne, wystawia czas roboczy, zawarty w złocie, jako powszechny czas roboczy, którego dana ilość wyraża się w rozmaitych ilościach pszenicy, żelaza, kawy etc., krótko, w ilościach użytkowych wszystkich towa-

rów, czyli że bezpośrednio się rozwija w nieskończonym szeregu ekwiwalentów towarowych. Podczas gdy towary wszechstronnie wyrażają swe wartości zamiennie w złocie, to ostatnie wyraża bezpośrednio swą wartość zamienną we wszystkich towarach. Ponieważ towary nawzajem nadają sobie formę wartości zamiennych, to nadają one złotu formę powszechnego ekwiwalentu, czyli pieniędzy.

Ponieważ wszystkie towary mierzą swe wartości zamienne za pomocą złota w stosunku, w jakim określona ilość złota i określona ilość towaru zawierają jednakowy czas roboczy, to złoto staje się miarą wartości i głównie właśnie dzięki temu jego naznaczeniu, jako miary wartości, której własna wartość wyraża się bezpośrednio w zupełnym kole ekwiwalentów towarowych, staje się ono ogólnym ekwiwalentem, czyli pieniędzmi. Z drugiej strony wartość zamienna wszystkich towarów wyraża się w złocie. W wyrażeniu tem trzeba odróżnić moment jakościowy od momentu ilościowego. Wartość zamienna towaru istnieje, jako materjalizacja tegoż samego jednokształtnego czasu robczego; wielkość wartości towaru przedstawiona jest wyczerpująco, gdyż w takim stosunku, w jakim towar jest równym złotu, są one równe między sobą. Z jednej strony występuje powszechny charakter czasu robczego, zawartego w nich, z drugiej strony — ilość jego w złotym jego ekwiwalencie. Wartość zamienna towarów, wyrażona w taki sposób, jako powszechna równoznaczność, a zarazem jako stopień tej równoznaczności w specyficznym towarze, czyli wyrażona jednym zrównaniem towarów z jednym specyficznym towarem, jest ceną. Cena jest przemienioną formą, w której wartość zamienna towarów wewnątrz procesu cyrkulacji występuje.

Tym samym więc procesem, za pomocą którego towary przedstawiają swe wartości, jako ceny, wyrażone w złocie, przedstawiają one zarazem złoto, jako miarę wartości, a zatem, jako pieniądź.

Gdyby towary wszechstronnie wyrażały swe wartości w srebrze, pszenicy lub miedzi, to srebro, pszenica i miedź byłoby miarami wartości, a zatem i powszechnymi ekwiwalentami. By wystąpić na jaw w cyrkulacji, jako ceny, towary wyprzedzają cyrkulację, jako wartości zamienne. Miarą wartości złoto staje się tylko dlatego, iż wszystkie towary oceniają w niem swą wartość zamienną. Wszelstronność tego rozwijającego się stosunku, z której jedynie pochodzi charakter złota, jako miary, każe wszakże przypuszczać, że każdy pojedynczy towar mierzy się za pomocą złota w stosunku do czasu robczego, zawartego w nich obydwóch, a więc, że istotną miarą pomiędzy towarem i złotem jest sam czas roboczy, czyli że towar i złoto zrównoważone są pomiędzy sobą w bezpośrednim handlu wymiennym, jako wartości zamienne. W jaki sposób to zrównoważenie odbywa się na praktyce, nie możemy rozparować w prostej cyrkulacji. Tyle wszakże jest oczywiste, iż w krajach, które produkują złoto i srebro, określona ilość czasu robczego bezpośrednio się wciela w określoną ilość złota i srebra, podczas gdy w krajach, które nie produkują ani złota, ani srebra, ten sam rezultat dopiętym zostaje drogą boczną, przez pośrednią lub bezpośrednią wymianę towarów krajowych, t. j. określonej części przeciętowej pracy nacyonalnej na określoną ilość czasu robczego, zmaterjalizowanego w złocie i srebrze krajów, posiadających kopalnie. By mózdz służył

za miarę wartości, musi złoto o ile możności być wartością zdolną się zmieniać, gdyż ono może tylko jako materjalizacja czasu robczego stać się ekwiwalentem innych towarów, tymczasem jeden i ten sam czas roboczy wraz ze zmianą wydajności realnej pracy rzeczywistnie się w nierównych objętościach tych samych wartości użytkowych. Zarówno jak przy przedstawieniu wartości zamiennej każdego towaru w wartości użytkowej innego towaru, przypuszcza się przy ocenianiu wszystkich towarów na złoto tylko to, że ono w pewnym danym momencie przedstawia pewną określoną ilość czasu robczego. Pod względem zmiany jego wartości pozostaje w pewnej sile poprzednio rozwinięte prawo wartości zamiennych. Jeżeli wartość towarów pozostaje niezmienną, to wzrost ich cen, wyrażonych w złocie, jest możliwym tylko w tym wypadku, gdy wartość złota spada. Jeżeli wartość złota pozostaje bez zmiany, to ogólny wzrost cen, wyrażonych w złocie, jest możliwym tylko wówczas, gdy wartość wszystkich towarów wzrasta. Odwrotnie dzieje się w tym wypadku, gdy wszystkie ceny towarowe spadają. Jeżeli wartość jednej uncji złota spada lub wzrasta z powodu zmiany czasu robczego, niezbędnego dla jej wyprodukowania, to spada ona lub wzrasta równomiernie dla wszystkich innych towarów, przedstawia więc przed zmianą i po niej wobec wszystkich towarów czas roboczy o określonej wielkości. Też same wartości zamienne oceniają się w większych lub mniejszych ilościach złota, niż dawniej, ale oceniają się w stosunku do ich wielkości wartościowych, t. j. zachowują względem siebie niezmienniony stosunek wartościowy. Stosunek 2:4:8 jest ten sam, co i stosunek 1:2:4 lub stosunek 4:8:16. Zmiana w ilościach złota, za pomocą których wartości zamienne zostają oceniane zależnie od zmiany wartości samego złota, również mało mu przeszkadza w spełnianiu funkcji miary wartości, jak ta okoliczność, że srebro ma wartość 15 razy mniejszą od złota, nie prowadzi jeszcze do tego, by srebro było pozbawione tej funkcji. Ponieważ miarą pomiędzy towarami i złotem jest czas roboczy, a złoto jest tylko miarą wartości o tyle, o ile wszystkie towary mierzą się za pomocą niego, to jest to tylko pozorem procesu cyrkulacyjnego, jakoby pieniądze czyniły towary współmiernymi. To raczej współmierność towarów, jako uprzedmiotowania czasu robczego, czyni ze złota pieniądź.

Realna postać, z jaką towary wstępują do procesu wymiany, jest to ich wartość użytkowa. Istotnym powszechnym ekwiwalentem muszą się one dopiero stać przez pozbycie się jej. Określenie ich cen jest tylko idealną ich przemianą w powszechny ekwiwalent, jest to zrównanie ze złotem, które powinno się dopiero zrealizować. Ponieważ wszakże towary w swych cenach tylko idealnie zamieniają się w złoto, czyli zamieniają się w złoto, które sobie tylko przedstawiamy, a ich byt pieniężny nie jest jeszcze oddzielonym od bytu ich realnego, więc złoto tylko idealnie dopiero się zamieniło w pieniądze, jest jeszcze tylko miarą wartości i określone sumy złota funkcjonują w rzeczywistości jeszcze tylko jako imiona dla określonych ilości czasu robczego. Od określonego sposobu, za pomocą którego towary przedstawiają sobie wzajemnie swą własną wartość zamienną, zależy w każdym wypadku określoność formy, w której złoto się krystalizuje, jako pieniądź.

Teraz towary występują przeciwko sobie jako podwójne egzy-

stencje, realnie, jako wartości użytkowe, idealnie — jako wartości zamienne. Dwoistość pracy, która w nich zawarta jest, przedstawiają one sobie nawzajem teraz przez to, iż szczególna realna praca istnieje rzeczywiście jako wartość użytkowa, podczas gdy powszechny abstrakcyjny czas roboczy otrzymuje idealny byt w cenie, w której towary są równomierną i tylko jakościowo rozmaity materjalizacją jednej i tej samej substancji wartościowej.

Różnica pomiędzy wartością zamienną i ceną występuje z jednej strony, jako nominalna tylko; Adam Smith np. mówi, iż praca jest realną, a pieniądz nominalną ceną towarów. Zamiast, co by miano oceniać 1 kwarter pszenicy za pomocą 30 dni roboczych, ocenia się go jedną uncją złota, jeżeli uncja złota jest produktem 30 dni roboczych. Z drugiej strony różnica ta jest tem mniej tylko nominalną różnicą, że w niej skupiają się wszystkie burze, grożące towarowi w rzeczywistym procesie cyrkulacji. 30 dni roboczych zawierają się już w 1 kwarterze pszenicy, nie trzeba go więc dopiero w czasie tym wyrażać.

Ale złoto jest towarem różnym od pszenicy i w cyrkulacji dopiero można sprawdzić, czy kwarter pszenicy rzeczywiście staje się uncją złota, jak to w cenie jego przypuszczamy. Zależy to od tego, czy on okaże się lub nie — wartością użytkową, czy zawarta w nim ilość czasu roboczego okaże się czasem społecznie niezbędnym dla wyprodukowania kwarteru pszenicy. Towar, jako takowy, jest wartością zamienną, posiada cenę. W tej różnicy pomiędzy wartością zamienną i ceną okazuje się, iż zawarta w towarze szczególna indywidualna praca dopiero w procesie pozbycia się jej musi wystąpić, jako nieosobista, abstrakcyjnie powszechna i tylko w tej formie społeczna praca, t. j. pieniądz. Wydaje się być rzeczą przypadkową, czy ona jest zdolną lub nie na taki sposób wyrażenia się. Jakkolwiek więc wartość zamienna towaru otrzymuje w cenie swej tylko idealnie różną odeń egzystencję i dwoisty byt pracy w nim zawartej istnieje jeszcze tylko jako rozmaity sposób wyrażenia się, jakkolwiek zatem z drugiej strony materjalizacja powszechnego czasu roboczego, złoto, występuje przeciwko rzeczywistemu towarowi tylko jeszcze, jako idealna miara, to w istnieniu wartości zamiennej, jako ceny, lub złota, jako miary wartości, kryje się już konieczność pozbycia się towaru za bręczące złoto, a także możliwość jego niepozbycia się, krótko mówiąc, cała sprzeczność, która ztąd pochodzi, iż produkt jest towarem, czyli, że szczególny towar prywatnej osoby, by wywieść wpływ społeczny, musi się przedstawić jako swa antyteza, jako abstrakcyjnie powszechna praca. Utopiści, chcący towaru ale bez pieniędzy, produkcji, opartej na wymianie prywatnej bez niezbędnych warunków tej produkcji, są więc konsekwentni, gdy „niszczą“ pieniądze nie w ich dotykanej formie, lecz w ich gazowej „utkanie“ w mózgu postaci, jako miary wartości. W niewidocznej mierze wartości kryje się twardy pieniądz.

Po przyjęciu procesu, za pomocą którego złoto stało się miarą wartości, a wartość zamienna ceną, wszystkie towary w swych cenach pozostają wszakże tylko idealnymi ilościami złota różnej wielkości. Jako takie rozmaite ilości tejże samej rzeczy, złota, porównują i mierzą się one pomiędzy sobą i w ten sposób rozwijają się techniczna konieczność odnoszenia ich do określonej ilości złota, jako

do jednostki miary, która znowu przez to rozwija się następnie w skalę, iż dzieli się na części wspólne, które są swoją drogą tak samo podzielne. Ilości złota wszakże mierzą się zapomocą wagi. Skala więc znajduje się już gotową w powszechnych miarach wagi metali, które przeto w każdym metalicznym obiegu służą zarazem już z samego początku za skalę cen.

Ponieważ towary odnoszą się do siebie już nie jako wartości zamienne, które powinny być mierzone za pomocą czasu roboczego, lecz jako jednoimienne wielkości, mierzone za pomocą złota, to złoto z miary wartości przemienia się w skalę cen. Porównanie cen towarowych, jako różnych ilości złota, krystalizuje się w ten sposób we figuracjach, które wryte zostają w idealne quantum złota i które przedstawiają je jako skalę o współmiernych częściach. Złoto, jako miara wartości i jako skala cen, posiada zupełnie różne funkcje i pomieszczenie jednej z drugą prowadzi do najdalszych teorii. Miara wartości jest ono jako uprzedmiotowanie czasu roboczego, skalą cen — jako określona waga metalu. Miara wartości złoto staje się wtedy, gdy jako wartość zamienna odnosi się do towarów, jako wartości zamiennych, w skali zaś cen określona ilość złota służy za jednostkę dla innych ilości. Miara wartości jest złoto dlatego, iż wartość jego jest zdolna podlegać zmianom, skalą cen dlatego, iż jest ono ustanowione, jako niezmienna jednostka wagi. Tu, jak i przy wszelkiem wymierzaniu jednoimienności wielkości, pewność i trwałość stosunków wymiernych jest decydującą. Konieczność ustanowienia pewnego quantum złota, jako jednostki miary, a zarazem współmiernych jego części, jako podziałów tej jednostki, wywołała do życia pojęcie, jakoby określona ilość złota, która posiada naturalnie zmienną wartość, była postawioną w stały stosunek wartościowy ku wartościom zmiennym towarów, przyczem niedostrzeżono tylko tego, iż wartości zamienne towarów przemieniają się w ceny, w ilości złota, zanim jeszcze złoto się rozwija w skalę cen.

Rozmaite ilości złota przedstawiają względem siebie zawsze tenże sam stosunek wartościowy, niezależnie od zmian, którym wartość złota podlega. Niech ta wartość spadnie o 1000%, to jednak 12 uncj złota będą warte potem, jak i przedtem, 12 razy więcej od jednej uncji; w cenach rzecz cała zasadza się na stosunku rozmaitych ilości złota pomiędzy sobą. Z drugiej strony, uncja złota bynajmniej nie zmienia swojej wagi przez zniżkę lub podwyżkę wartości, a więc i waga jego części wspólmiernych pozostaje bez zmiany, ztąd wynika, że złoto, jako stała skala cen, oddaje zawsze te same usługi, bez względu na zmiany, zachodzące w jego wartości.

Proces historyczny, który w dalszym ciągu wyjaśnimy z natury cyrkulacji metalicznej, spowodował to, iż jedna i taż sama waga została zachowaną dla zmiennej ciagle i spadającej wagi szlachetnych kruszców w ich funkcji skali cen. Tak np. angielski funt oznacza mniej, niż $\frac{1}{3}$ początkowej swej wagi, szkocki funt przed uniją już tylko $\frac{1}{36}$, francuski *livre* $\frac{1}{74}$, *moravedi* hiszpański $\frac{1}{1000}$, portugalskie *re* jeszcze mniejszą proporcję. W taki sposób oddzieliły się od siebie historycznie nazwy wag metalowych od powszechnych nazw wag. Ponieważ określenie jednostki miary, jej współmiernych części i ich nazw jest z jednej strony rzeczą najzupełniej konwencyjonalną, a z drugiej strony ponieważ określenie to powinno

wewnątrz obiegu posiadać charakter powszechności i konieczności, musiało więc być prawnie ustanowionem. Czysto formalna operacja przypadła więc w udziale rządowi. Określony metal, służący za materjał dla pieniędzy, był społecznie danym.

W rozmaitych krajach jest naturalnie prawna skala cen różna. W Anglii np. uncya, jako waga metalu, jest podzieloną na *Pennyweights*, *Grains* i *Carats Troy*; uncya zaś, jako jednostka miary pieniężnej, dzieli się na 37½ suwerenów, suweren na 20 szylingów, szyl. na 12 pensów, tak, iż 100 funtów złota, po 22 karatów funt (200 uncj) = 4,672 suwerenów i 10 szylingów. Na rynku wszakże wszechświatowym, na którym granice krajowe znikają, znikają zarazem i nacyjonalne charaktery miar pieniężnych, ustępując przed powszechnymi miarami wag metalu.

Cena lub quantum złota, w które idealnie przekształca się towar, wyraża się obecnie przez nazwy pieniężne skali złota. Tak więc, zamiast powiedzieć: korzec pszenicy równa się jednej uncji złota, powiedziano by w Anglii: równa się 3 funtom sterlingom, 17 szyl. 10½ pensom. Wszystkie ceny wyrażają się tak jednoimiennie. Właściwa forma, którą towary nadają swej wartości zamiennej, przemieniła się w nazwy pieniężne, w których wzajemnie sobie powiadają, co są warte. Złoto ze swej strony staje się pieniądzem obrachunkowym.

Przemiana towaru w pieniądz obrachunkowy w głowie, na papierze, w mowie, odbywa się za każdym razem, gdy jakikolwiekbaż rodzaj bogactwa zostaje ustanowionym z punktu widzenia wartości zamiennej. W tej przemianie materjał złota nie jest potrzebny, ale tylko w pojęciu, idealnie. By ocenić wartość 1000 kul bawelny w określonej ilości uncj złota, dalej, by tę ostatnią wyrazić w nazwach obrachunkowych uncji, w funtach sterl., szylingach, pensach, nie jest potrzebnym ani jeden atom rzeczywistego złota. Tak np. w Szkocyi przed aktem bankowym św. Roberta Peela z r. 1845 nie było w obiegu ani jednej uncji złota, jakkolwiek uncya złota i to wyrażona w angielskiej skali obrachunkowej w 3 funt. sterl. 17 szyl. 10½ pens. służyła za prawną miarę cen. Tak służy srebro za miarę cen przy wymianie towarów pomiędzy Syberją a Chinami, jakkolwiek handel jest tu w istocie tylko handlem wymiennym. Dla złota więc, jako dla pieniędzy obrachunkowych, jest to rzeczą zupełnie obojętną, czy wybito zeń lub nie jego jednostkę miary i jej podziały.

W Anglii za czasów Wilhelma Zwycięzcy 1 f. sterl., który powinien był być wówczas jednym funtem czystego srebra i szyling, t. j. 1/20 część funta, istniały tylko jako pieniądze obrachunkowe, podczas gdy penny, 1/240 część funta srebra, była największą srebrną monetą. Odwrotnie dzieje się w obecnej Anglii: nie istnieją w niej ani szylingi, ani pency, chociaż stanowią prawne imiona obrachunkowe dla określonych części uncj złota. Pieniądz, jako pieniądz obrachunkowy, może wogóle istnieć tylko idealnie, podczas gdy istniejące rzeczywiscie złoto zostaje wybijanem podług zupełnie innej skali. Np. we wielu angielskich koloniach Północnej Ameryki złoto znajdujące się w obiegu jeszcze późno w XVIII wieku, składało się z hiszpańskich i portugalskich monet, podczas gdy pieniądz obrachunkowy wszędzie był ten sam, co i w Anglii.

Ponieważ złoto, jako skala cen, posiada też same nazwy, co i ceny towarów, tak że naprz. uncya złota może być również dobrze, co i cena 1 tonny żelaza, wyrażona przez 3 f. st. 17 szyl. 10½ pen., to nazwano nazwy obrachunkowe złota, jego ceną. Zdziwiała ta myśl powstała z tego, jakoby złoto było ocenianem samo przez się i jakoby w przeciwieństwie z innymi towarami, otrzymywało od państwa stałą cenę. Pomieszczano tu określenie nazw monet obrachunkowej, odnoszonych do pewnych oznaczonych wag złota, z określeniem wartości tych wag. Złoto tam, gdzie ono służy jako element określenia cen, a zatem jako pieniądz obrachunkowy, nie posiada nie tylko stałej, ale wogóle żadnej ceny. By takową posiadać, t. j. by się wyrazić w pewnym specyficznym towarze, jako powszechnym ekwiwalencie, to ten drugi towar musiałby grać takąż samą wyjątkową rolę w procesie obiegu, jak i złoto. Dwa wszakże towary, wykluczające wszystkie inne towary, wykluczają się nawzajem. Wszędzie zatem, gdzie złoto i srebro legalnie istnieją obok siebie, jako moneta, t. j. jako miara wartości, napróżno starano się postępować z nimi, jakby one stanowiły jedną i tę samą substancję. Przypuszczać, iż ta sama ilość pracy niezmiennie wciela się w ten sam stosunek złota i srebra, jest to w samej rzeczy przypuszczać, że srebro i złoto są jedną substancją i że pewne określone quantum srebra, metalu, mającego mniejszą wartość od złota, jest niezmienną częścią pewnego określonego quantum złota.

Poczynając od panowania Edwarda III do czasów Jerzego II, dzieje srebra w Anglii przedstawiają ciągły szereg zmian, pochodzących od kolizji pomiędzy stosunkiem urzędowej wartości złota i srebra, a wahaniami ich wartości rzeczywistej. To złoto, to znowu srebro oceniano zbyt wysoko. Metal, oceniony poniżej swej wartości, zostawał wycofywanym z obiegu, przetapianym i wywożonym za granicę. Stosunek wartości dwóch metali znowu zostawał urzędownie zmienianym, ale — jak dawniej — nowa wartość nominalna wchodziła wkrótce w starcie z rzeczywistym stosunkiem wartościowym.

Nawet za naszych czasów, słaba i chwilowa zniżka złota względem srebra, wynikająca z zażądania srebra przez Chiny i Indyje, wywołała we Francyi to samo zjawisko na wielką skalę — mianowicie wywóz srebra i zastąpienie go w obiegu przez złoto. W latach 1855, 1856 i 1857 wwóz złota do Francji przewyższył jego wywóz na 41,580,000 f. sterl., gdy tymczasem wywóz srebra przewyższył jego wwóz na 14,740,000 f. s. W samej rzeczy, w kraju takim, jak Francja, gdzie dwa metale są urzędowemi miarami wartości i oba posiadają przymasowy obieg, tak, że każdy może dowolnie płacić jednym lub drugim, metal, będący w podwyżce, podlega agio i wyraża cenę, jak i każdy inny towar w metalu przecenianym, który jeden tylko funkcjonuje, jako miernik wartości. Doświadczenie, dostarczone pod tym względem przez dzieje, po prostu sprowadza się do tego, że tam, gdzie dwa towary urzędowo spełniają funkcję miernika wartości, znajduje się rzeczywiscie jeden tylko towar, utrzymujący się na tem stanowisku.

B. Teoryje o jednostce miary pieniężnej.

Ta okoliczność, że towary przemieniają się w swych cenach tylko idealnie w złoto, a zatem złoto tylko idealnie zamienia się

w pieniądzu, była przyczyną pojawienia się teorii o idealnej jednostce miary pieniężnej. Ponieważ przy oznaczaniu ceny funkcjonuje tylko idealne złoto i srebro, ponieważ występują one tylko jako pieniądze obrachunkowe, twierdzono, że nazwy: funt, szyling, pens, talar, frank i t. d. nie przedstawiają pewnych wag złota, srebra, ani też w jakikolwiek sposób inny sposób uprzedmiotowanej pracy, lecz — idealne atomy wartości. Gdyby więc wartość jednej np. uncji złota wzrosła, to zawierałaby ona więcej takich atomów i musiałaby być obrachowana i wybita w większej ilości szylingów. Doktryna ta, która na nowo weszła w użycie podczas ostatniego kryzysu handlowego w Anglii i nawet parlamentarnie była bronią w dwóch specjalnych sprawozdaniach, dodanych do sprawozdania Komitetu bankowego z r. 1858, pochodzi z końca XVII wieku.

Za czasów przyjścia do władzy Wilhelma III cena monetarna jednej uncji srebra wynosiła w Anglii 5 szyl. 2 pency, czyli że $\frac{1}{62}$ uncji srebra zwała się pensem, a 12 takich pensów — szylingiem. Według tej skali waga srebra, wynosząca np. 6 uncji, była wybijana na 31 sztuk, związanych się szylingami. Cena wszakże rynkowa uncji srebra podniosła się ponad cenę monetarną, z 5 szylingów 2 pensów na 6 szyl. 3 pen., t. j. by kupić jedną uncję czystego srebra, trzeba było dać 6 szyl. 3 p.

Jak mogła cena rynkowa uncji srebra podnieść się nad cenę monetarną, jeżeli ta ostatnia jest tylko nazwą obrachunkową dla spółmiernych jej części?.. Zagadka bardzo łatwo się rozwiązuje... Z 5,600,000 funtów sterl. srebrnych pieniędzy, które wówczas były w obiegu, 4 miliony były sfalszowane i oberżnięte. Przy próbie okazało się, iż 57,200 f. sterl. w srebrze, które powinny były ważyć 220,000 uncji, ważyły tylko 141,000. Mennica wybijała zawsze podług jednakowej skali, lecz faktycznie znajdujące się w obiegu lekkie szylingi przedstawiały mniejsze współmierne części uncji, niż jak to ich imiona pokazywały. Trzeba więc było płacić większą ilość tych zmalałych szylingów na rynku za uncję czystego srebra. Gdy wskutek powstałego ztąd zamieszania postanowiono повторно przebić całą monetę, wówczas Lowndes, sekretarz skarbu, twierdził, iż wartość uncji srebra wzrosła i że powinna ona na przyszłość być wybita w 6 szyl. 3 pen. zamiast 5 szyl. 2 p. Twierdził więc on w rzeczywistości, iż ponieważ wartość uncji się podniosła, to wartość jej części współmiernych spada. Falszywa jego teoria służyła wszakże tylko za upiększenie dla słusznego praktycznego celu. Długi państwowe zaciągnięte zostały w lekkich szylingach — miały więc być zapłacone w cięższych? Zamiast powiedzieć zwróćcie 4 uncje srebra za każde nominalne 5 uncji, a faktycznie 4 uncje, któreście otrzymali, mówit on naodwrot: zwróćcie nominalnie 5 uncji, zredukujcie je wszakże co do metalicznej ich zawartości na 4 uncje i nazywajcie szylingiem to, coście dotychczas nazywali $\frac{4}{5}$ szylinga. Lowndes więc faktycznie trzymał się zawartości metalicznej, podczas gdy w teorii mówił o nazwie obrachunkowej. Jego przeciwnicy, którzy trzymali się tylko nazwy obrachunkowej, przeto ogłaszali szyling lżejszy o 25—50% za równoznaczny z posiadającym pełną wagę, twierdzili naodwrot, iż zwracają uwagę tylko na zawartość metaliczną.

John Locke, który był przedstawicielem nowszej burżuazyi we wszystkich formach: przemysłowców wobec robotników i pauprów, komersantów wobec staromodnych lichwiarzy, arystokracji finansowej wobec dłużników państwowych i który we własnym dziele wskazywał na rozum burżuazyjny, jako na normalny ludzki rozum, podniósł rękawicę i przeciw Lowndes'owi. Locke zwyciężył i pieniądze pożycone w postaci gwinei, wartujących po 10—14 szyl. sztuka, były zwrócone w gwineach o zupełnej wartości (20 szyl. sztuka).

Sir James Steuart całą tę transakcję określa ironicznie w sposób następujący: „rząd wygrał znacznie na podatkach, wierzyteli na kapitale, procentach, a naród — jedyny oszukany — nie poznał się na tem, gdyż jego stopa życiowa (miara jego własnej wartości) nie poniżyła się“ ¹⁾. Steuart sądził, iż przy dalszym handlowym rozwoju naród stanie się bardziej przebiegłym. Omylił się. W 100 lat potem powtórzyło się toż samo *quid pro quo*.

Jest to w porządku rzeczy, iż biskup Berkeley, przedstawiciel mistycznego idealizmu w angielskiej filozofii, nadał nauce o idealnej jednostce miary pieniężnej zwrot teoretyczny, co zaniedbał praktyczny „sekretarz skarbu.“ Mówi on: „czyż nazwy: *livre, funt etc. krona* itd. nie trzeba rozpatrywać jedynie, jako nazwy stosunków (mianowicie stosunków abstrakcyjnej wartości, jako takowej)? Czyż złoto, srebro i papier są czem innym, niż zwykłymi biletami lub znakami dla obliczeń, zaznaczeń i przeróbek tych stosunków wartościowych? Czyż bogactwo nie polega na władzy rozporządzania się indystryją (pracą społeczną) innych? Czy pieniądze w istocie są czem innym, niż maską, znakiem dla przeniesienia lub rejestrowania takiej władzy i czy nareszcie jest rzeczą wielkiej wagi, jakim jest materyjał tych znaków“ ²⁾?

Tutaj znajdujemy pomieszanie z jednej strony miary wartości i i skali cen, z drugiej strony złota i srebra, jako miary i jako środka obiegu. Z tego, że metale w procesie obiegu mogą być zastąpione przez znaki, Berkeley wnosi, że znaki te ze swej strony nie przedstawiają, a mianowicie, iż przedstawiają abstrakcyjne pojęcie wartości.

Teoryja o idealnej jednostce miary pieniężnej jest tak zupełnie rozwinęta u sir James'a Steuart'a, iż jego naśladowcy — nieświadomi naśladowcy, gdyż go nie znali nawet — nie mogą wynaleść ani nowego obrotu mowy, ani nawet nowego przykładu. „Pieniądz obrachunkowy — mówi on — nie jest niczem innym, jak dowolna skalą o równych częściach, wynalezioną dla mierzenia stosunkowej wartości sprzedajnych rzeczy. Pieniądz obrachunkowy jest rzeczą zupełnie odrębną od pieniądza monetarnego, który jest ceną ³⁾; mógłby on istnieć, jakkolwiek na świecie nie byłoby żadnej substancji, któraby była proporcjonalnym ekwiwalentem dla wszystkich towarów. Pieniądz obrachunkowy odegrywa takąż samą rolę dla wartości przedmiotów, jak stopnie, minuty, sekundy i t. d. dla kątów lub skale dla kart geograficznych itd. We wszystkich tych wynalaz-

1) Steuart, l. c. Tom II, str. 154.

2) Berkeley: *The Querist*.

3) C e n a oznacza tu realny ekwiwalent, jak u angielskich pisarzy ekonomistów XVII wieku.

kach przyjmujemy pewne określenie za jednostkę. Użyteczność wszystkich tego rodzaju urządzeń ogranicza się jedynie tem, iż są one wskazówkami proporcji; toż samo jednostka pieniężna. Nie może więc ona być w żadnym stałym stosunku do jakiegokolwiek bądź części wartości, t. j. nie może ona być przytwierdzoną do żadnego quantum złota, srebra lub jakiegokolwiek bądź innego towaru. Przyjawszy raz jednostkę, możemy przez mnożenie dochodzić do najwyższej wartości. Ponieważ wartość towarów zależy od powszechnego związku oddziaływających na nie okoliczności i od kaprysów ludzi, to powinna ona byłaby być rozpatrywana jako ulegająca zmianom tylko pod wpływem wzajemnych ich stosunków. Wszystko to, co przeszkadza ustaleniu proporcjonalnej zamiany na zasadzie pewnej, powszechnej, określonej i niezmienniej skali, oddziałuje szkodliwie na handel. Złoto jest tylko idealną skalą o równych częściach. Jeżeli kto zapyta, co ma być jednostką miary wartości jednej z tych części, to w odpowiedzi postawić inne zapytanie: co jest normalną wielkością stopnia, minuty, sekundy? Nie posiadają one takowej, ale jeżeli raz część przyjęta została, to odpowiednio do natury danej skali, reszta musi odpowiednio się zastosować. Za przykład tych idealnych pieniędzy mogą służyć pieniądze bankowe amsterdamskie i pieniądze angolskie afrykańskiego pobrzeża¹⁾.

Steuart trzyma się wprost formy, w jakiej pieniądź występuje w cyrkulacji, jako skala cen i jako pieniądź obrachunkowy. Jeżeli rozmaite towary notowane są na *preiskurant*'cie w 15, 20 i 36 szylingach, to nie interesuje mnie w istocie przy porównaniu ich wielkości wartościowych ani srebrna zawartość, ani też imię szylinga. Stosunki liczebne 15, 20, 36 mówią tu wszystko i liczba 1 stała się jedyną jednostką miary. Czysto oderwanem wyrażeniem proporcji jest wogóle tylko sama abstrakcyjna proporcja liczebna.

By być konsekwentnym, Steuart powinien był porzucić nie tylko złoto i srebro, ale także i ich legalne imiona chrzestne. Nie rozumiejąc przemiany miary wartości w skalę cen, wierzy on naturalnie, że określone quantum złota, służące za jednostkę miary, odnosi się, jako miara, nie do innych ilości złota, lecz do wartości, jako takowych. Ponieważ towary za pomocą przemiany swych wartości zamiennych w ceny występują na jaw, jako jednoimienne wielkości, to nie przyznaje on tej własności miary, która je czyni jednoimieniami, a ponieważ w tej przemianie rozmaitych ilości złota wielkość quantum złota, służącego za jednostkę, jest konwencyjonalna, to nie przyznaje on, by ona wogóle musiała być ustanowiona. Zamiast $\frac{1}{300}$ części koła, mógłby on nazwać $\frac{1}{150}$ stopniem; kąt prosty mierzonoby wówczas 45° zamiast 90°, odpowiednio do tego — kąty ostre i tępe. Tem niemniej wszakże miara kątów pozostałaby i nadal: *primo* jakościowo określoną matematyczną figurą, kołem i *secundo* ilościowo określoną częścią koła.

Co się dotyczy przykładów Steuart'a, to jednym z nich sam się pobija, a drugim niczego nie dowodzi. Pieniądze bankowe amsterdamskie były rzeczywiście tylko zasadą obrachunkową dla hiszpańskich dublonów, które zachowały swe pełnoważne tusze dzięki bezczynnemu spoczywaniu w piwnicach bankierskich, podczas gdy ruch-

liwa moneta kursowa schudła w twardem ścieraniu się ze światem zewnętrznym. Co się zaś tyczy afrykańskich idealistów, to musimy ich pozostawić własnemu ich losowi, dopóki krytyczni podróżopisarze coś bardziej ścisłego nam o nich nie powiedzą. Idealnymi pieniędzmi w sensie Steuart'a możnaby w przybliżeniu tylko nazwać francuskie asygnaty: „Własność narodowa. Asygnata na 100 franków.“ Wprawdzie była tu wskazana wartość użytkowa, którą asygnata miała przedstawiać, a mianowicie skonfiskowane dobra, ale ilościowe określenie jednostki miary zapomnianem zostało, przez co „frank“ pozostał wyrazem bez sensu. Ile ziemi przedstawiał frank asygnacyjny, zależało mianowicie od rezultatu licytacji urzędowych. Na praktyce wszakże frank asygnacyjny cyrkulował, jako znak wartościowy w miejscu srebra, to też podług tej srebrnej skali mierzyła się jego deprecjacja.

Epoka zawieszenia wypłat gotówka przez bank angielski była nie o wiele późniejszą w biuletynny walki, niż w teoryje pieniężne. Deprecjacja banknotów i wzrost ceny rynkowej złota ponad cenę monetarną wywołały na nowo ze strony obrońców banku doktrynę o idealnej mierze pieniężnej. Klasycznie niejasne wyrażenie niejasnej teoryi znalazł lord Castlereagh, gdy oznaczył jednostkę miary pieniężnej, jako *a sense of value in reference to currency as compared with commodities*.“ Gdy w kilka lat po zawarciu paryskiego pokoju warunki pozwoliły na nowo rozpocząć wypłaty gotówką, podniosło się w prawie niezminionej formie toż samo pytanie, które Lowndes za Wilhelma III poruszył. Olbrzymi dług państwowy i suma trwałych obligacji i długów prywatnych, nagromadzonych w okresie dłuższym nad lat 20 i t. d. Wszystko to zaciągnięte zostało w zdeprecjowanych banknotach. Czyż długi te miały być zwrócone w banknotach, z których 4,672 funtów 10 szyl. nietylko nominalnie, ale faktycznie przedstawiały 100 funtów 22 karatowego złota?

Tomasz Attwood bankier z Birminghamu, wystąpił, jako Lowndes zmartwychwstały. Nominalnie wierzytiele powinni byli otrzymać w zwrocie tyle szylingów, ile nominalnie u nich zaciągnięto, lecz jeżeli $\frac{1}{78}$ uncji złota podług dawnej stopy monetarnej nazywała się szylingiem, to teraz powinna być ochrzczona szylingiem, dajmy na to $\frac{1}{90}$ części uncji. Zwolennicy Attwood'a znani są jako birminghamska szkoła „małych szylingowców“ [*little shillingmen*].

Spór o idealną miarę pieniężną, rozpoczęty w roku 1819, trwał jeszcze wciąż w r. 1845 pomiędzy sirem Robertem Peelem i Attwoodem, którego własna mądrość, o ile ona się odnosi do funkcji pieniężnej, jako miary, wyczerpująco być przedstawioną w następującej cytacie: „Sir Robert Peel w swej polemice z birminghamską izbą handlową zapytuje: co będzie reprezentować nota funtowa?.. Czem jest funt?.. Co dalej mamy naodwrot pojmować pod obecną jednostką miar wartości?.. 3 funty sterl. 17 szyl. 10 $\frac{1}{2}$ pensów oznaczają jedną uncję złota czy też jej wartość? Jeżeli samą uncją, to czemu nie nazywać rzeczy ich własnem imieniem i zamiast funt szterling szyling, penny, nie mówić raczej: uncja, penny — *weight* i *gran*? Wówczas wracamy do systemu bezpośredniej wymiany. Czyli też oznaczają wartość? Jeżeli jedna uncja równa się 3 funtom sterl. 17 szyl. 10 $\frac{1}{2}$ pen. to czemu była ona warta w rozmaitych czasach to 5 funtom sterl. 4 szyl. to 3 funtom 17 szyl. 9 pen.? Wyrażenie

1) Steuart, l. c. Tom II, str. 154, 299

„funt“ (£) odnosi się do wartości, nie jest wszakże opartem na wartości, w niczym innej części wagi złota. Funt jest idealną jednostką.

Praca jest substancją, na którą się rozkłada koszt produkcyjny i ona nadaje złotu jego wartość względną na równi z żelazem. A zatem ta szczególna nazwa obrachunkowa, która jest używaną dla wyrażenia dziennej lub tygodniowej pracy mężczyzny, taka nazwa wyraża wartość wyprodukowanego w tym czasie towaru¹⁾.

W ostatnich słowach rozplywa się mgliste przedstawienie o idealnej mierze pieniędzy i przebija się właściwa treść pojęć o niej. Nazwy obrachunkowe złota: Funt sterling, szyling i t. d. mają być nazwami określonych ilości czasu roboczego. Ponieważ czas roboczy jest substancją i miarą wewnętrzną wartości, to nazwy te przedstawiają wrzeczko samo przez się stosunki wartościowe. Innymi słowy czas roboczy wystawiony zostaje, jako istotna jednostka miary pieniędzy.

Na tem kończymy ze szkołą birminghamską; zauważmy wszakże mimochodem, iż doktryna o idealnej mierze pieniężnej otrzymuje nowe znaczenie w kwestyi spornej o wymiennalności lub niewymiennalności banknotów. Jeżeli papier otrzymuje swe miano od złota lub srebra, to wymiennalność noty (*konvertibilität*) t. j. jej zdolność zamienienia się na złoto lub srebro pozostaje ekonomicznym prawem, niezależnie od tego, co głosi prawo jurdyczne. Pruski np. talar papierowy, jakkolwiek prawnie nie podlegający spieniężeniu, zostałby momentalnie zdeprecjowany, gdyby w zwykłym obiegu wart był mniej od srebrnego talara, t. j. gdyby praktycznie nie mógł być spieniężony. Konsekwentni więc przedstawiciele niezmiennalności pieniędzy papierowych uciekają się w Anglii do idealnej miary wartości. Jeżeli nazwy obrachunkowe: funt szterling, szyling i t. d. są nazwami określonego quantum atomów wartości, które jeden towar, zamieniając się na inne, wysła lub wyrzuci w większej lub mniejszej ilości, to angielski pięcio-funtowy banknot np. byłby tak samo niezależnym od swego stosunku do złota, jak — od swego stosunku do bawełny lub żelaza. Ponieważ jego zdolność teoretycznego równoważenia się z pewnym quantum złota lub jakiegokolwiek bądź innego towaru nie istniałaby, to żądanie jego zamienialności t. j. praktycznego zrównania z określonymi ilościami wyszczególnionego przedmiotu byłoby przez samą jego istotę wykluczeniem.

Nauka o czasie roboczym, jako bezpośredniej jednostce miary pieniężnej po raz pierwszy systematycznie rozwinięta została przez Johna Gray'a²⁾. Kaze on nacyjonalnemu centralnemu bankowi za pośrednictwem banków filjalnych określić czas roboczy, używany w produkcji rozmaitych towarów. W zamian towaru wytwórcą otrzymuje oficjalne świadectwo wartości jego, t. j. kwit świadczący o otrzymaniu takiego quantum czasu roboczego, jakie towar jego zawiera i te banknoty o jednym tygodniu, dniu, godzinie pracy i t. d.

służą znowu, jako przekazy na ekwiwalent w którymkolwiek bądź z towarów złożonych w składach bankowych. To jest jego fundamentalna zasada, którą Gray starannie rozwija w szczegółach i wszędzie zastosowuje do istniejących angielskich urządzeń. Przy tym systemie — mówi Gray — byłoby także łatwo w każdym czasie sprzedać za pieniądze, jak obecnie jest łatwo kupić. Produkcja byłaby równomierną i nigdy niewyczerpaną źródłem popytu³⁾. Szlachetne metale straciłyby swe przywileje względem innych towarów i „zajęłyby stosowne dla nich miejsce na rynku obok masła, jaj, sukna i perkalu i wartość ich nie interesowałaby nas więcej, niż wartość dyamentów“⁴⁾. „Czyż mamy więc zatrzymać naszą wyobrażoną miarę wartości, złoto i w ten sposób skłuać produkcyjne siły kraju, czy też mamy zwrócić się do naturalnej miary wartości, pracy, by wyswobodzić te siły?“⁵⁾.

Jeżeli czas roboczy jest wewnętrzną miarą wartości, to dlaczego obok niej istnieje jeszcze inna zewnętrzna miara? Dlaczego wartość zamienna rozwija się w cenę? Dlaczego wszystkie towary oceniają swą wartość w jednym wyjątkowym towarze, który w ten sposób staje się równoznacznym bytem wartości zamiennej, pieniądzem? Oto zadanie, które Gray miał do rozstrzygnięcia. Zamiast rozstrzygać, wyobraził on sobie, iż towary mogłyby się bezpośrednio nawzajem odnosić ku sobie jako produkty społecznej pracy. One mogą jednak odnosić się ku sobie tylko tak, jakimi są. Towary są wytworami jednostkowych niezależnych prywatnych prac, które muszą dopiero przez pozbycie się ich w procesie wymiany wystąpić jako praca społeczna, czyli że praca odbywająca się na gruncie produkcji towarowej tylko wówczas staje się pracą społeczną, gdy przedstawiciele prac indywidualnych wszechstronnie się ich pozbywają. Jeżeli wszakże Gray przyjmuje czas roboczy, zawarty w towarach za bezpośrednio społeczny, to przyjmuje on go za społeczny czas roboczy czyli za czas roboczy bezpośrednio stowarzyszonych osobników... Wtedy rzeczywicie jeden specyficzny towar, jak złoto lub srebro, nie mógłby wystąpić przeciw innym towarom, jako wecielenie powszechnej pracy, wartość zamienna nie stawałaby się ceną, ale zarazem wartość użytkowa nie stawałaby się wartością zamienną, wytwór nie stawałby się towarem i w ten sposób zniesiona zostałaby sama zasada burżuazyjnego społeczeństwa. Nie jest to wszakże bynajmniej myśl Gray'a. Produkta mają być — według niego — jako towary wytwarzane, ale nie jako towary wymieniane. Gray powierza bankowi nacyjonalnemu wykonanie tego *pium desiderium*. Z jednej strony społeczeństwo w postaci banku, czyni jednostki niezależnymi od warunków prywatnej wymiany, z drugiej — pozwala ono im i nadal produkować na zasadzie prywatnej wymiany. Wewnętrzna konsekwencja pobudza Gray'a do odrzucenia jednego warunku burżuazyjnej produkcji po drugim, jakkolwiek on chce tylko „zreformować“ powstały z wymianą towarów pieniądz. Tak zamienia on kapitał w kapitał narodowy⁶⁾, własność

1) *The Currency Question, the Gemini Letters*, London 1844, str. 260—272, passim.

2) John Gray. *The social system. A Treatise on the Principle of Exchange*. Endingsburgh, 1831.

3) l. c. p. 16.

4) Gray, *Lecture on money etc.*, p. 182.

5) l. c. p. 169.

6) «Przemysł każdego kraju powinien być prowadzonym za pomocą

ziemską we własność narodową¹⁾ i jeżeli uważnie patrzeć będziemy na palce jego banku, to znajdziemy, że on nietylko jedną ręką przyjmuje towary, a drugą wydaje świadczenia za otrzymaną pracę, lecz sam reguluje produkcję. W ostatnim swem piśmie, *Lectures on money*, w którym Gray skrupulatnie stara się przedstawić swoje pieniądze robocze, jako czysto burżuazyjną reformę, wpada on w jeszcze bardziej krzyżące absurdy.

Każdy towar jest bezpośrednio pieniądzem — to była teoria Gray'a, wyprowadzona z jego niezupełnej i zatem mylnej analizy towaru. „Organiczna“ konstrukcja „pieniędzy roboczych“, „nacyjonalnego banku“ i „składów towarowych“ jest tylko fantastycznym obrazem, w którym dogmat tumani nas, jako światowładne prawo. Dogmat, że towar jest bezpośrednio pieniądzem czyli że zawarta w nim praca szczególna prywatnej osoby jest bezpośrednio pracą społeczną, nie stanie się — ma się rozumieć — prawdą dlatego, że bank weń wierzy i podług niego postępuje. Bankructwo przyjęłoby raczej w takim wypadku na siebie rolę praktycznej krytyki. To, co u Gray'a było przykrytem i jemu samemu niewiadomem, a mianowicie, że pieniądz roboczy jest ekonomicznie brzęczącym frazesem dla pocziwego życzenia pozbycia się pieniędzy, wraz z nimi wartości zamiennej, z wartością zamienną towaru, a z towarem burżuazyjnej formy produkcji — to wypowiedzianem zostaje przez kilku angielskich socjalistów, którzy pisali po części przed, po części po Gray'u²⁾.

Dla p. Proudhon'a i jego szkoły zachowanym został honor prawnienia poważnych kazań o degradacji pieniędzy i o wniebowzięciu towaru, jako o jądrze socjalizmu; — w ten sposób rozpuścili oni socjalizm w elementarnem nieporozumieniu co do niezbędnego związku pomiędzy towarem i pieniądzem³⁾.

2) Narzędzie obiegu.

Potem jak towar w procesie nadawania cen otrzymał swą zdolną do obiegu formę, a złoto swój charakter pieniężny, to obieg przedstawia, a zarazem rozstrzygnie sprzeczności, które proces wymiany towarów zawierał. Rzeczywista wymiana towarów, t. j. społeczny obieg materii odbywa się za pomocą zmiany formy, w której dwójsta natura towaru, jako wartości użytkowej i jako wartości zamiennej się rozwija, w której jednak zarazem zmiana formy samego towaru jednocześnie się krystalizuje w określonych formach pieniędzy. Przedstawienie tej zmiany formy jest przedstawieniem cyrkulacji. Ponieważ widzieliśmy, że towar jest rozwiniętą wartością zamienną tylko przy tym warunku, że istnieje świat towarowy, a z nim razem faktycznie rozwinięty podział pracy, to obieg każe uprzednio przypuszczać wszechstronny proces wymiany i stałe odnawianie się jego

kapitału narodowego.» (J. Gray : *The social system* etc. str. 171).

1) „Ziemia powinna być przemienioną we własność narodową“ (l. c. str. 291).

2) Patrz np. Thompsona : *An inquiry into the distribution of wealth* London, 1827. Bray : *Labours wrongs and labours remedy*, Leeds, 1839.

3) Za podręcznik tej melodramatycznej teorii pieniędzy można uważać Alfreda Darimont'a : *De la reforme des banques*. Paris, 1856.

potoku. Drugi uprzedni warunek polega na tem, by towary wstępowały z określonymi cenami do procesu wymiany, albo by występowały wewnątrz tego procesu jako podwójne egzystencje: realnie, jako wartości użytkowe, idealnie — w cenach — jako wartości zamienne.

W najbardziej ożywionych ulicach Londynu magazyn ciśnie się koło magazynu, za pustemi oczyma wystaw błyszczą wszystkie bogactwa świata: indyjskie szale, amerykańskie rewolwery, chińska porcelana, paryskie gorsety, ruskie futra i tropikalne korzenie, ale wszystkie te ładne rzeczy noszą na czołach fatalne papierki z arabskimi cyframi o lakonicznym napisie: funt sterling, szyling, penny. Jest to obraz towarów występujących w obiegu.

a) metamorfoza towarów

Przy bliższem rozpatrzeniu procesu cyrkulacji można dostrzedz dwie rozmaite formy obiegu. Nazwijmy towar T, pieniądz P; teraz możemy dwie te formy wyrazić, jak następuje:

$$T - P - T$$

$$P - T - P$$

W niniejszym oddziale zajmuje nas tylko pierwsza forma, czyli bezpośrednia forma obiegu towarowego.

Obieg $T - P - T$ rozkłada się na ruch $T - P$, wymianę towaru na pieniądze, tj. sprzedaż; na odwrotny ruch $P - T$, wymianę pieniędzy na towar, czyli kupno; i na jedność obydwu tych ruchów $T - P - T$, wymianę towaru na pieniądze i pieniędzy na towar, czyli sprzedaż dla kupna. Jako rezultat wszakże, w którym cały proces przytłumionym zostaje, otrzymujemy $T - T$, wymianę towaru na towar, rzeczywisty obieg materii.

$T - P - T$ w obiegu każdego towaru przedstawia przemianę jego w pieniądź i odwrotną przemianę z pieniądź w towar, czyli ruch, w którym towar nasamprzód istnieje, jako szczególna wartość użytkowa, potem zrzuca tę egzystencję, przybierając nową, zupełnie wolną od wszelkiego związku z jego naturalnym bytem i występuje jako wartość zamienna, czyli powszechny ekwiwalent, następnie zrzuca na nowo i tę formę i ostatecznie występuje, jako rzeczywista wartość użytkowa dla prywatnej potrzeby. W tej ostatniej formie wypada on z obiegu do spożycia. Całość cyrkulacji $T - P - T$ jest zatem naprzód wspólnym szeregiem przemian, które przebiega każdy oddzielny towar, by stać się bezpośrednią wartością użytkową dla swego posiadacza. Pierwsza przemiana odbywa się w pierwszej połowie obiegu $T - P$, druga — w drugiej jego połowie $P - T$, a cały obieg stanowi *curriculum vitae* towaru. Ale obieg $T - P - T$ jest tylko wspólną metamorfozą pojedynczego towaru, podczas gdy on jest zarazem sumą określonych jednostronnych metamorfoz innych towarów, gdyż każda przemiana pierwszego towaru jest przemianą jego w inny towar, a zatem przemianą innego towaru weń, t. j. jest obustronną przemianą, która się odbywa w tem samym stadyum obiegu.

Mamy obecnie rozpatrzyć każdy z obydwóch procesów wymienionych, na które obieg $T - P - T$ się rozpada oddzielnie.

$T - P$ czyli sprzedaż: T, towar, wstępuje do procesu cyrkulacji nietylko jako szczególna wartość użytkowa, np. jako tonna

żelaza, ale zarazem jako wartość użytkową o określonej cenie, przypuścimy, 3 f. sterl. 17 szyl. $10\frac{1}{2}$ p. czyli jednej uncji złota. Cena ta, będąc z jednej strony wykładnikiem ilości czasu roboczego, zawartego w towarze, t. j. jego wielkości wartościowej, wyraża jednocześnie nabożne życzenie przemienienia się w złoto, t. j. nadania zawartemu w nim czasowi robocemu formy powszechnego społecznego czasu. Jeżeli ta transsubstancjacja się nie uda, to tona żelaza przestaje być nie tylko towarem, ale nawet wytworem, gdyż towarem jest ona tylko, jako nie-użyteczność dla swego posiadacza, jego zaś praca jest rzeczywistą pracą tylko o tyle, o ile jest pracą użyteczną dla kogoś innego, dla niego zaś samego jest ona pracą użyteczną o tyle tylko, o ile jest pracą abstrakcyjnie powszechną. Zadanie więc żelaza lub jego posiadacza polega na tem, by znaleźć w świecie towarowym taki punkt, w którym żelazo przyciąga złoto. Ta trudność, to *salto mortale* towaru zostaje przewyżczone, jeżeli sprzedaż rzeczywiście się odbywa, co też przypuszczamy tutaj, w analizie prostej cyrkulacji. Ten proces pozbycia się tonny żelaza, to jest przejścia jej z ręki, gdzie ona nie jest wartością użytkową, do rąk, gdzie ona staje się takową, realizuje zarazem jej cenę: tona żelaza z idealnego złota staje się złotem rzeczywistym. Na miejsce imienia 3 f. sterl. 17 szyl. $10\frac{1}{2}$ p. lub idealnej uncji złota, występuje rzeczywista uncja złota, ale tona żelaza ustąpiła z placu. Za pomocą sprzedaży T — P nie tylko towar, który w cenie swej przedstawiał idealne złoto, zamienia się w złoto rzeczywiste, ale zarazem złoto, które jako miara wartości, było tylko idealnym pieniądzem, tylko nazwą pieniężną towaru, przemienia się w rzeczywisty pieniądz. Jak ono przedtem było idealnie powszechnym ekwiwalentem, gdyż wszystkie towary mierzyły za pomocą niego swą wartość, tak teraz staje się ono, jako produkt wszechstronnego pozbycia się towarów za nie — a sprzedaż T — P jest właśnie tym procesem powszechnego pozbywania się towarem absolutnie sprzedajnym, realnym pieniądzem. Złoto staje się tylko w sprzedaży realnym pieniądzem, gdyż wartości zamienne towarów w swych cenach były już idealnym pieniądzem.

W sprzedaży T — P, zarówno jak i w kupnie P — T stoja przeciw sobie dwa towary, będące połączeniem wartości użytkowej i zamiennej, ale w towarze istnieje jego wartość zamienna tylko idealnie, jako cena, podczas gdy w złocie, chociaż ono samo jest rzeczywistą wartością użytkową, ta ostatnia istnieje tylko jako przedstawicielka wartości zamiennej, a zatem tylko jako formalna, nie odnosząca się do żadnej indywidualnej potrzeby, wartość użytkowa. Przeciwnieństwo pomiędzy wartością użytkową i wartością zamienną rozkłada się więc na dwóch krańcowych biegunach T — P, tak, że towar jest wobec złota wartością użytkową, która musi dopiero zrealizować w niem swą idealną wartość zamienną, cenę, podczas gdy złoto wobec towaru jest wartością zamienną, która dopiero materializuje swą formalną wartość użytkową w towarze. Tylko w drodze tego rozdwojenia towaru na towar i złoto i w drodze podwójnego i przeciwnego stosunku, w którym każdy kraniec jest idealnie tem, czem jego sprzeczność jest idealnie, t. j. tylko w drodze przedstawienia towarów jako dwustronnie biegunowych sprzeczności, rozwiązują się zawarte w procesie ich wymiany sprzeczności.

Dotychczas rozpatrywaliśmy T — P, jako sprzedaż, jako przemianę towaru w pieniądze. Jeżeli wszakże spojrzymy na ten proces z odwrotnej strony, to wystąpi on przed nami raczej jako kupno P — T, jako przemiana pieniędzy w towar. Sprzedaż jest niezbędną zarazem swą sprzecznością, kupnem: sprzedaż, jeżeli proces rozpatrujemy z jednej strony, kupnem — jeżeli rozpatrujemy go z drugiej strony. Czyli że w rzeczywistości proces w obydwa wypadkach odróżnia się tylko tem, iż w T — P inicjatywą wychodzi z bieguną towarową, t. j. od sprzedawcy, a w P — T z bieguną pieniężną t. j. od kupca. Przedstawiając więc pierwszą metamorfozę towaru, jej przemianę w złoto, jako rezultat przebiegu pierwszej fazy cyrkulacyjnej T — P, przypuszczamy zarazem, iż inny towar już się zamienił na pieniądz, t. j. iż znajduje się już w drugiej fazie cyrkulacyjnej P — T.

W taki sposób wpadamy w błędne koło przypuszczeń. Sama cyrkulacja jest tem błędnem kołem. Jeżeli będziemy rozpatrywać P z T — P, nie jako już odbyłą metamorfozę innego towaru, to wyrzucamy ten akt wymiany z procesu obiegu. Poza obrębem tego ostatniego wszakże znika forma T — P i stają przeciw sobie dwa rozmaite T, np. żelazo i złoto, których wymiana nie stanowi żadnego szczególnego aktu cyrkulacji, lecz prosty akt bezpośredniego handlu wymiennego. Złoto u źródła swej produkcji jest takim samym towarem, jak każdy inny. Stosunkowa wartość jego i żelaza, lub każdego innego towaru, wyraża się tu w ilościach, w których one się nawzajem wymieniają. Ale w procesie obiegu operacja ta jest już uprzednio przyjętym warunkiem; w cenach towarowych istnieje już jego (złota) własna wartość. Nie ma więc nic mylniejszego, jak przedstawienie, iż złoto i towar wstępują wewnątrz procesu cyrkulacyjnego w stosunek bezpośredniego handlu zamiennego i że dzięki temu, ich wartość stosunkowa ustanowiona zostaje przez ich wymianę, jako prostych towarów. Jeżeli tak się wydaje, jakoby w procesie obiegowym złoto wymieniało się na inne towary, jako prosty towar, to pozór ten ztąd tylko pochodzi, że w cenach określona ilość towaru jest już zrównoważoną z określoną ilością złota, t. j. odnosi się do złota już jako do pieniędzy, jako do powszechnego ekwiwalentu i przeto jest nań bezpośrednio wymiennalną. O ile cena towaru się realizuje w złocie, to towar zamienia się na nie, jako towar, jako szczególne zmaterializowanie czasu roboczego, ale o ile to sama cena się w nim realizuje, to towar zamienia się na nie, jako pieniądz, a nie jako towar, t. j. zamienia się, jako powszechne zmaterializowanie czasu roboczego. Pod obydwa wszakże względami ilość złota, na którą towar wewnątrz procesu cyrkulacji się zamienia, zostaje określona nie przez wymianę, lecz przeciwnie, to wymiana spowodowana zostaje przez cenę towaru, t. j. przez jego wartość zamienną, ocenioną w złocie.

W obrębie procesu obiegowego złoto występuje w każdym reku, jako rezultat sprzedaży T — P. Ponieważ wszakże sprzedaż T — P jest zarazem kupnem P — T, to okazuje się, iż podczas gdy T, towar, od którego proces się rozpoczyna, spełnia swą pierwszą metamorfozę, to inny towar, który jest przeciwnym kraniec P, spełnia swą drugą metamorfozę, a zatem przebiega drugą połowę cyrkulacji, podczas gdy pierwszy towar znajduje się jeszcze w pierwszej połowie jej

drogi. Rezultat pierwszego procesu cyrkulacji, sprzedaży — pieniądź — jest punktem wyjścia dla drugiego jej procesu. Na miejsce towaru w jego pierwszej formie wystąpił jego złoty ekwiwalent. Rezultat ten może naprzód stanowić punkt spoczynku, gdyż towar w tej drugiej formie posiada własną, wyczekującą egzystencji. Towar, który nie był w ręku swego posiadacza użytecznym, ma teraz formę wciąż użyteczną, gdyż wciąż wymiennalną i jest to tylko rzeczą zależną od okoliczności, kiedy i w jakim punkcie powierzchni świata towarowego on na nowo wstąpi do obiegu. Istnienie w stanie złotej lary wy jest samodzielnym okresem życia towaru, w którym on bawi dłużej lub krócej. Podczas gdy w bezpośrednim handlu zamiennym wymiana jednej szczególnej wartości użytkowej bezpośrednio jest związana z wymianą innej szczególnej wartości użytkowej, to powszechny charakter pracy, stanowiącej źródło wartości zamienniej, występuje w tem oddzieleniu się, w tem obojętnem rozpadnięciu się aktów kupna i sprzedaży (w cyrkulacji).

$P - T$, kupno, jest ruchem odwrotnym ruchowi $T - P$, a zarazem drugą, czyli ostateczną metamorfozą towaru. Istniejąc, jako złoto, w formie powszechnego ekwiwalentu, towar może się bezpośrednio przedstawić w wartościach użytkowych wszystkich innych towarów, które w swych cenach dążą także do złota, t. j. do innej formy tego bytu, wskazującą zarazem ilość, w jakiej muszą zaprzężyć, by ich ciała, wartości użytkowe, przeszły na stronę pieniądza i by ich dusza, wartość zamienna, w samo złoto mogła wskoczyć. Powszechny produkt pozbywania się towarów jest towarem absolutnie wymiennalnym. Nie ma już żadnej jakościowej granicy dla przemiany złota w towar, pozostaje tylko ilościowa granica: jego własnej wielkości wartościowej. „Wszystko można mieć za gotówkę.“ Podczas gdy towar w ruchu $T - P$, w procesie pozbywania się go, jako wartości użytkowej, realizuje swą własną cenę: wartość użytkową cudzego pieniądza, to w ruchu $P - T$ realizuje on, jako wartość zamienną, swą własną wartość użytkową, a zarazem cenę innego towaru. Gdy towar, realizując swą cenę i zarazem przemieniając złoto w rzeczywisty pieniądź, to za pomocą odwrotnej przemiany przeistacza on złoto w swą własną, tylko znikomą, pieniężną istność. Ponieważ obieg towarowy każe przypuszczać, jako uprzedni warunek, rozwinięty podział pracy, a zatem różnorodność potrzeb jednostki w przeciwieństwie do jednostronności jego wytworu, to kupno, $P - T$, raz będzie się przedstawiać, jako zrównanie z pewnym ekwiwalentem towarowym, to znowu rozbija się na szereg ekwiwalentów towarowych, zakreślonych przez okrag potrzeb kupca i przez rozmiary jego sumy pieniężnej. O ile sprzedaż jest zarazem kupnem, o tyle kupno jest zarazem sprzedażą, $P - T$ jest zarazem $T - P$, inicjatywa wszakże należy tu do złota, czyli do kupca.

Jeżeli obecnie zwrócimy się do całkowitej cyrkulacji $T - P - T$, to okaże się, iż towar przebiega cały szereg jej metamorfoz. Jednocześnie wszakże z tem, jak on rozpoczyna pierwszą połowę swego obiegu i wykonywa pierwszą swą metamorfozę, drugi towar wstępuje w drugą połowę obiegu, spełnia drugą swą metamorfozę i wypada z cyrkulacji i naodwrot, gdy pierwszy towar wstępuje w drugą połowę obiegu, spełnia drugą metamorfozę i wypada z cyrkulacji, to trzeci towar wstępuje do niej, przebiega pierwszą połowę

swjej drogi i spełnia pierwszą metamorfozę. Całkowity więc obieg $T - P - T$, jako całkowita metamorfoza jednego towaru, jest zarazem zawsze końcem całkowitej metamorfozy drugiego towaru i początkiem całkowitej metamorfozy trzeciego towaru, t. j. szeregiem bez początku i końca. Dla uwidocznienia tego, oznaczmy T na obydwu krańcach w sposób rozmaity, np. jako $T' - P - T''$. W istocie pierwsza część $T' - P$ każe przyjmować P za rezultat innego $T - P$, jest więc sama tylko ostatnią częścią $T - P - T'$, podczas gdy druga część $P - T''$ w swym rezultacie jest $T''' - P$, sama więc przedstawia się, jako pierwsza część $T''' - P - T''''$ itd. Dalej okazuje się, iż ostatnia część $P - T$, jakkolwiek P jest rezultatem tylko jednej sprzedaży, może się przedstawić jako $P - T' + P - T'' + P - T''' + \text{etc.}$, może więc rozpaść się na masę aktów kupna. t. j. masę aktów sprzedaży t. j. masę pierwszych części nowych całkowitych metamorfoz towarowych. Jeżeli więc całkowita metamorfoza pojedynczego towaru przedstawia się nie tylko jako część łańcucha metamorfoz bez początku i końca, ale wielu takich łańcuchów, to cały proces cyrkulacyjny świata towarowego przedstawia się, ponieważ każdy pojedynczy towar spełnia obieg $T - P - T$, jako nieskończone zagmatwany spłót łańcuchowy ruchów, które na nieskończenie rozmaitych punktach wciąż się kończą i wciąż na nowo rozpoczynają. Każda pojedyncza sprzedaż lub kupno stanowi wszakże zarazem obojętny i izolowany akt, którego część dopełniająca może być odeń oddzieloną w przestrzeni i czasie i nie potrzebuje przeto bezpośrednio łączyć się z nim, jako dalszy ciąg. Ponieważ każdy oddzielny proces obiegowy $T - P$ lub $P - T$, jako przemiana jednego towaru w wartość użytkową, a drugiego w pieniądź jako pierwsza i druga faza cyrkulacji, tworzą z dwu stron samodzielne punkty spoczynku, z drugiej wszakże strony wszystkie towary rozpoczynają drugą swą metamorfozę w postaci wspólnego im i powszechnego ekwiwalentu i stanowią się na punkcie wyjścia drugiej połowy cyrkulacji, to w rzeczywistym obiegu dowolne $P - T$ staje w szeregu obok dowolnego $T - P$, drugi okres przebiegu życiowego jednego towaru staje koło pierwszego okresu życia drugiego towaru.

A np. sprzedaje swoje żelazo za 2 funty sterl., wypełnia zatem $T - P$ czyli pierwszą metamorfozę towaru żelaza, odkłada wszakże kupno na czas dłuższy. Jednocześnie B, który przed 14 dniami sprzedał 2 kwatery pszenicy za 6 f. sterl., kupuje za tę sumę palto i spodnie od Mójżesza i syna, wypełnia zatem $P - T$, czyli drugą metamorfozę towaru pszenicy. Obydwa te akty $P - T$ i $T - P$ występują tu tylko jako ogniwa jednego łańcucha, gdyż w P , w pieniądzu jeden towar wygląda tak samo, jak i drugi: nie sposób w nim poznać czy on jest zmetamorfozowanym żelazem, czy też zmetamorfozowaną pszenicą... W rzeczywistym więc procesie obiegowym $T - P - T$ przedstawia się jako nieskończone i przypadkowe współistnienie i następstwo bez porządku rozrzuconych części rozmaitych, całkowitych metamorfoz. Rzeczywisty więc proces obiegowy wydaje się nie całkowitą metamorfozą towaru, nie jako jej przechodzenie przez sprzeczne fazy, lecz jako zwykły agregat wielu odbywających się koło siebie i następujących po sobie w sposób przypadkowy aktów kupna i sprzedaży. Dokładność więc formy tego procesu jest zupełnie zatartą i to tem zupełnie, iż każdy pojedynczy akt

cyrkulacji np. sprzedaż jest zarazem swą sprzecznością, kupnem i naodwrot. Z drugiej strony proces obiegu jest ruchem metamorfoz świata towarowego i dlatego musi ruch ten odzwierciedlać się w całkowitym procesie obiegu. Sposób, w jaki to się odbywa, będziemy rozpatrywać w następnym oddziale. Tutaj zauważymy jeszcze, iż w $T-P-T$ obydwa kraniec T nie znajdują się w jednakowym stosunku formalnym ku P . Pierwsze T odnosi się ku pieniądzm, jak szczególny towar do towaru powszechnego, podczas gdy pieniądz odnosi się do drugiego T , jak powszechny towar do towaru pojedynczego. W logicznej więc abstrakcji $T-P-T$ redukuje się do $Sz-P-p$, w którym Szczegółowość stanowi pierwszy kraniec, Powszechność — łączący środek, a pojedynczość — ostatni kraniec.

Posiadacze towarów wstąpili do procesu obiegu, jako zwykli stróże towarów. Wewnątrz jego występują oni przeciw sobie w przeciwstawnej formie kupca i sprzedawcy: jeden jest uosobioną głową cukru, drugi uosobionem złotem. Gdy głowa cukru staje się złotem, sprzedawca staje się kupcem. Te określone charaktery społeczne nie pochodzą więc z ludzkiej indywidualności wogóle, lecz ze stosunków wymiennych między ludźmi, którzy produkują swe wytwory w formie towarów. Stosunki, istniejące między kupcem i sprzedawcą, są tak mało indywidualne, iż oni obydwa wstępują w nie tylko o tyle, o ile indywidualny charakter ich pracy zostaje zaprzeczonym, a mianowicie, o ile ona, jako praca żadnego indywiduum staje się pieniądzem. O ile więc jest bezmyślnem pojmowanie ekonomiczno-burżuazyjnych charakterów, kupca i sprzedawcy, jako wiecznych społecznych form ludzkiego indywidualizmu, o tyleż niesłusznem jest opłakiwać te charaktery, jako przyczynę zniszczenia tego indywidualizmu. Są to konieczne formy indywidualizmu, na podstawie określonego stopnia rozwoju społecznego procesu wytwarzania. W sprzeczności pomiędzy kupcem i sprzedawcą wyraża się przytem antagonistyczna natura burżuazyjnej produkcji jeszcze tak powierzchownie i formalnie, że sprzeczność ta należy także i do przedburżuazyjnych form społecznych, gdyż wymaga ona tylko, by osobniki odnosiły się do siebie, jako posiadacze towarów.

Jeżeli obecnie rozpatrywać będziemy rezultat procesu $T-P-T$, to sprowadza się on do obiegu materii $T-T$. Towar wymienił się na towar, wartość użytkowa na wartość użytkową i przemiana towaru w pieniądz służy tylko za pośrednictwo tego obiegu materii. Pieniądz występuje w ten sposób, jako zwykłe narzędzie zamiany towarów, ale nie jako narzędzie zamiany wogóle, lecz, jako narzędzie zamiany, nacechowane przez proces cirkulacji, t. j. jako narzędzie obiegu.

Wnioskować z tego, że proces obiegu wyczerpuje się w $T-T$, że wydaje się zatem być handlem zamiennym, odbywającym się za pośrednictwem pieniędzy, czyli z tego, że wogóle $T-P-T$ nie tylko rozpada się na dwa oddzielne procesy, ale zarazem przedstawia ich ożywną jedność, z tego — powtarzamy — wnioskować, jakoby istniała tylko jedność, a nie rozdział pomiędzy kupnem i sprzedażą, jest to sposób myślenia, który bardziej podpada krytyce logiki, niż ekonomii.

Tak samo, jak oddzielenie kupna od sprzedaży w procesie wymiany rozbija miejscowo-naturalne, z pochodzenia nabożne i dobroduszo-

naiwne szranki społecznego obiegu materii, tak jest ono zarazem powszechną formą, w której się odbywa poszarpanie zrosłych ze sobą momentów tego obiegu i ich ustalenie przeciwko sobie, jednym słowem formą, w której urzeczywistnia się możliwość kryzysów handlowych tylko dlatego wszakże, iż sprzeczność między towarem i pieniądzem jest abstrakcyjną i powszechną formą wszystkich sprzeczności, zawartych w burżuazyjnej pracy. Obieg pieniężny, może więc odbywać się bez kryzysów, ale kryzysa nie mogą mieć miejsca bez obiegu pieniężnego. Oznacza to wszakże tylko to, że tam, gdzie praca, opierająca się na prywatnej wymianie, jeszcze nie doszła do wytworzenia pieniędzy, to nie może ona jeszcze wywoływać zjawisk, które z warunkowane są przez zupełny rozwój burżuazyjnego procesu produkcji. Możemy ztąd ocenić głębokość krytyki, która przez zniesienie „przywileju“ szlachetnych metali i przez tak zwany „racjonalny system pieniężny“ chce uchylić „niedogodności“ burżuazyjnej produkcji. Z drugiej strony, jako próba ekonomicznej apologetyki, wystarczać nam będzie jeden zwrot, który okrzyczano, jako nadzwyczaj trafny i głęboki.

James Mill, ojciec znanego angielskiego ekonomisty, Johna Stuarta Milla, powiada: „Nie może być nigdy braku kupców na wszystkie towary. Kto tylko przedstawia jakiś towar na sprzedaż, chce otrzymać w zamian zań inny towar, jest zatem kupcem przez sam fakt, iż jest sprzedawcą. Jeżeli więc będziemy rozpatrywać kupców i sprzedawców wszystkich towarów naraz, to muszą się oni, dzięki metafizycznej konieczności utrzymywać w równowadze. A zatem, jeżeli jest więcej sprzedawców, niż kupców jednego towaru, to musi być więcej kupców, niż sprzedawców innego towaru.“

Mill ustanawia równowagę przez to, iż przemienia on proces obiegu w bezpośredni handel zamienny, a w ten ostatni znowu pokryjomu wprowadza zapożyczone z procesem obiegowego figury kupca i sprzedawcy. Mówiąc jego zagmatwanym językiem, istnieje w takich momentach, gdy wszystkie towary nie mogą być sprzedane, jak np. podczas określonych chwil handlowego kryzysu z r. 1857—1858, w Londynie i Hamburgu, więcej kupców niż sprzedawców jednego towaru, pieniędzy i więcej sprzedawców, niż kupców wszelkich innych pieniędzy, t. j. towarów. Metafizyczna równowaga kupna i sprzedaży sprowadza się do tego, iż każde kupno jest sprzedażą, a każda sprzedaż kupnem, co dla posiadaczy towarów nie przedstawia najmniejszej pociechy, gdyż artykułu tego nikt nie kupuje, ani sprzedaje.

Rozdział pomiędzy sprzedażą i kupnem czyni wraz z właściwym handlem możliwą masę pozornych transakcji przed ostateczną wymianą pomiędzy wytwórcami i spożywcami towarów. Daje to możność masie pasażerów wcisnąć się w proces produkcyjny i wyzyskiwać powyższy rozdział. Oznacza to wszakże tylko to, iż wraz z pieniędzmi, jako powszechną formą burżuazyjnej pracy urzeczywistnia się możność rozwoju jej antagonizmów.

b) Obieg pieniędzy

Istotny obieg przedstawia się nasamprzód, jako masa przypadkowo odbywających się koło siebie aktów kupna i sprzedaży. Zarówno w kupnie, jak i w sprzedaży towar i pieniądz stoją zawsze

przeciw sobie w tym samym stosunku: sprzedawca po stronie towaru, kupiec po stronie pieniędzy. Pieniądz więc, jako narzędzie obiegu, występuje zawsze, jako narzędzie kupna, a wraz z tem różnica jego przeznaczeń w przeciwstawnych fazach metamorfozy towarów staje się nieuznawalna.

W tym samym akcie, w którym towar przechodzi do rąk kupca, pieniądz przechodzi do rąk sprzedawcy. Towar więc i pieniądz biegną w przeciwnym kierunku i ta zmiana miejsc, za pomocą której towar przechodzi na jedną, a pieniądz na drugą stronę, odbywa się jednocześnie na niezliczonej ilości punktów całej powierzchni mieszczańskiego społeczeństwa. Pierwszy wszakże krok, który towar czyni w cyrkulacji, jest zarazem jego ostatnim krokiem*). Czy on zmienia miejsce dla tego, iż złoto ($T-P$) przezeń przyciąganiem zostaje, czy też dlatego, że on przez złoto jest przyciągany ($P-T$), to w każdym razie za jednym poruszeniem, za jedną zmianą miejsca wypada on z obiegu do spożycia.

Obieg jest stałym ruchem towarów, ale towarów wciąż innych, i poruszających się tylko jeden raz. Każdy towar rozpoczyna drugą połowę swego obiegu nie jako ten sam towar, lecz jako towar inny, jako złoto. A zatem ruch zmetamorfozowanego towaru jest ruchem złota. Ta sama sztuka złota, to samo złote indywiduum, które w akcie $T-P$ raz zmieniło miejsce z jednym towarem, występuje naodwrot znowu, jako punkt wyjścia dla $P-T$ i zmienia w ten sposób miejsce po raz wtóry z innym towarem. Tak samo, jak wyszło ono z ręki kupca B do ręki sprzedawcy A, przechodzi ono znowu z ręki A, który stał się kupcem, do rąk C. A zatem ruch formalny towaru, przemiana jego w pieniądź i odwrotna przemiana z pieniądzem, czyli ruch całkowitej metamorfozy towaru przedstawia się jako powierzchniowy ruch tej samej sztuki złota, która zamienia miejsca dwakroć z dwoma towaremi. Jakkolwiek akty kupna i sprzedaży odbywają się koło siebie w sposób przypadkowy i rozproszony, to zawsze w rzeczywistej cyrkulacji wobec kupca staje sprzedawca a pieniądz, który się porusza na miejsce sprzedanego towaru, musiał, zanim przyszedł do rąk kupca, już raz zamienić się miejscem z jakimś innym towarem. Z drugiej strony przechodzi on wcześniej lub później z ręki sprzedawcy, który stał się kupcem, do rąk innego sprzedawcy i w tem częstem powtarzaniu zmiany miejsca, wyraża on skojarzenia metamorfoz towarowych. Te same więc sztuki pieniężne posuwają się w odwrotnym kierunku do ruchu towarów, jedne części, drugie wolniej, z jednego miejsca obiegu na drugie, opisując zatem dłuższy lub krótszy łuk obiegowy. Te rozmaite ruchy tej samej sztuki pieniężnej mogą następować po sobie tylko w czasie, gdy odwrotnie, rozmaitość i rozproszenie aktów kupna i sprzedaży występują jednocześnie w odbywających się koło siebie w przestrzeni jednorazowych zmianach miejsca pomiędzy towarem i pieniądzem.

Obieg towarowy $T-P-T$ w prostej swej formie odbywa się w drodze przejścia pieniędzy z rąk kupca do rąk sprzedawcy i

*) Ten sam towar może być kilkakrotnie kupowanym i sprzedawanym. Ale wówczas cyркуluje on nie jako prosty towar, lecz z takim charakterem, który z punktu widzenia zwykłego obiegu, zwykłej sprzeczności między towarem i pieniądzem, nie istnieje.

z rąk tego ostatniego, będącego już w roli kupca, do rąk jakiegoś innego znowu sprzedawcy. Na tem kończy się metamorfoza towaru, a zarazem ruch pieniędzy, o ile on jest jej wyrażeniem. Ponieważ wszakże wytwarzane są coraz nowe wartości użytkowe, które muszą być wciąż wrzucane do obiegu, więc proces $T-P-T$ odnawianym i powtarzanym zostaje przez tych samych posiadaczy towarów. Pieniądze, które oni w roli kupców wydają, powracają do nich z chwilą, gdy występują w roli sprzedawców towarów. Bezustanne odnawianie się procesu cyrkulacyjnego odzwierciedla się w tem, że pieniądze nie tylko krążą z ręki do ręki po przez całą powierzchnię burżuazyjnego społeczeństwa, ale zarazem opisują masę rozmaitych drobnych obiegów, wychodząc z nieskończenie różnych punktów i powracając do nich, by na nowo ten sam ruch powtórzyć.

Ponieważ zmiana formy towarów występuje, jako zwykła zmiana miejsca pieniędzy i ciągłość ruchu obiegowego przypada po stronie tych ostatnich, gdyż towar spełnia zawsze tylko jeden krok w kierunku odwrotnym, niż pieniądze, te ostatnie zaś robią zawsze drugi krok w miejscu towaru i powiadają B tam, gdzie towar tylko A wymówił, więc wydaje się, jakoby cały ruch wychodził z pieniędzy, jakkolwiek towar wywleka pieniądze z ich miejsca przy sprzedaży, a więc tak samo wprawia je w ruch, jak one wprawiają go w ruch przy kupnie. Ponieważ dalej pieniądz występuje zawsze wobec towaru w tym samym stosunku, jako narzędzie kupna, a w tej roli porusza towary, tylko realizując ich ceny, więc cały ruch obiegu występuje tak, że pieniądz zmienia miejsce z towarem, realizując ich ceny, czy to równocześnie w odbywających się obok siebie szczególnych aktach obiegowych, czy też w następstwie czasu. W ten sposób, iż ta sama sztuka złota realizuje po porządku rozmaite ceny towarowe. Jeżeli będziemy rozpatrywać na przykład $T-P-T-P-T-P-T-P-T$ itd. bez względu na jakościowe momenty, które w rzeczywistym procesie obiegowym stają się nieuznawalne, to okazuje się tylko taż sama monotonna operacja: P, zrealizowawszy cenę T, realizuje po porządku ceny $T-T$ i t. d. i towary $T-T-T$ zajmują wciąż miejsce, opuszczane przez pieniądze. Wydaje się więc, że pieniądz wprawia w ruch towary, realizując ich ceny. W tej funkcji realizowania cen, sam on wciąż obiega, czy to zmieniając miejsce, czy opisując jakiś łuk cyrkulacyjny, czy też opisując małe koło, na którym punkt wyjścia i punkt powrotu znajdują się w jednym miejscu. Jako narzędzie obiegu, pieniądz posiada swą własną cyrkulację. Ruch więc formalny postępujących towarów wydaje się być jego własnym ruchem, pośredniczącym w wymianie samych przez się nieruchomych towarów; a zatem ruch procesu obiegowego towarów przedstawia się w ruchu złota, jako narzędzia obiegu — w obiegu pieniężnym.

Jak poprzednio posiadacze towarów przedstawiali wytwory swych prywatnych prac, jako produkty społecznej pracy, zamieniając pewien przedmiot, złoto, w bezpośredni byt powszechnego czasu roboczego, a zatem w pieniądze, tak samo obecnie własny ich wszechstronny ruch, zapomocą którego oni skutecznieją zamianę materialną swych prac, występuje przed nimi jako właściwy ruch pewnego przedmiotu, jako obieg złota. Sam ruch społeczny jest dla posiadaczy towarów z jednej strony zewnętrzną koniecznością, z drugiej zaś strony tylko

formalnym, pośredniczącym procesem, dającym możność każdej osobie, która wrzuciła do obiegu pewną wartość użytkową, wyciągnąć wzamian inną wartość użytkową, o tych samych rozmiarach wartościowych. Wartość użytkowa towaru rzeczywistnia się dopiero wraz z wypadnięciem jego z obiegu, podczas gdy wartością użytkową złota, jako narzędzia obiegu, jest samo jego krążenie. Ruch towaru w cyrkulacji jest tylko znikomym momentem, podczas gdy dla złota bezustanne krążenie w niej jest jego stałą funkcją. Ta właściwa jego funkcja wewnątrz procesu obiegowego nadaje złotu, jako narzędziu cyrkulacji, nową formę istnienia, którą powinniśmy obecnie bliżej rozwinąć.

Nasamprzód jest rzeczą oczywistą, iż obieg pieniędzy jest ruchem nieskończenie rozproszonym, gdyż w nim się odzwierciedla nieskończone rozproszenie aktów kupna i sprzedaży procesu obiegowego, a zarazem obojętne rozpadnięcie się uzupełniających się nawzajem faz metamorfozy towarów. W małych obiegach pieniędzy, gdzie punkty wyjścia i powrotu znajdują się w jednym miejscu, znajdujemy wprawdzie ruch powrotny, rzeczywisty ruch kołowy, ale ponieważ istnieje tyleż punktów wyjścia, co i towarów, a zarazem dzięki nieokreślonej ich mnogości obiegi te kołowe wynykają się z pod wszelkiej kontroli, miary i obrachowania.

Również mało jest określonym czas pomiędzy oddaleniem towaru z punktu wyjścia i powrotem doń. Jest także rzeczą obojętną, czy taki ruch kołowy w danym razie miał miejsce, czy nie. Żaden fakt ekonomiczny nie jest lepiej znanym, niż ten, że można wydawać pieniądze jedną ręką, podczas gdy druga nie ma żadnych dopływów. Pieniądz wychodzi z nieskończenie różnych punktów i powraca do nieskończenia różnych punktów, ale schodzenie się punktów wyjścia i powrotu jest rzeczą przypadkową, gdyż w ruchu $T-P-T$ odwrotna przemiana kupca w sprzedawcę nie jest koniecznym warunkiem. Tem mniej jeszcze obieg pieniężny przedstawia sobą ruch, któryby wychodził promieniami z centrum do peryferii i któryby ze wszystkich punktów tej ostatniej do centrum powracał.

Tak zwany bieg kołowy pieniędzy, jak go nam powierzchowny jego obraz przedstawia, ogranicza się tem, iż na wszystkich punktach widzianem jest ich zjawianie się i znikanie i bezustanne zmiany miejsca, których one dokonywają. Na wyższej, pośredniej formie obiegu pieniężnego, np. na obiegu banknotów, zobaczymy, iż warunki wydawania pieniędzy zawierają w sobie warunki ich powrotu. Ale dla prostej cyrkulacji pieniężnej jest to rzeczą przypadkową, że ten sam kupiec staje się znowu sprzedawcą. Tam, gdzie dają się w niej spostrzedz istotne ruchy kołowe, to są one tylko odbiciem głębszych procesów produkcyjnych. Np. fabrykant bierze pieniądze od swego bankiera w piątek, wypłaca je swym robotnikom w sobotę, ci oddają wnet większą ich część sklepikarzom, a ci ostatni odnoszą je na powrót w poniedziałek do bankiera.

Widzieliśmy, iż pieniądze realizują jednocześnie pewną masę cen w aktach kupna i sprzedaży, układających się w sposób pstrokaty koło siebie i że zamieniają one miejsce z towarem tylko jeden raz. Z drugiej wszakże strony o ile w ruchu pieniędzy się odbija ruch całkowitych metamorfoz towarów i skojarzenie tych metamorfoz, to ta sama sztuka pieniężna realizuje ceny rozmaitych towarów

i wypełnia w ten sposób większą lub mniejszą ilość obiegów. Weźmy więc proces cyrkulacyjny pewnego kraju za dany okres czasu np. za jeden dzień — w takim razie masa złota, niezbędna dla realizacji cen, a zatem i dla obiegu towarów określać się będzie przez dwa momenty: z jednej strony przez sumę ogólną tych cen, a z drugiej przez przeciętną ilość obrotów tej samej sztuki pieniężnej. Ta ilość obrotów, czyli szybkość obrotu pieniężnego ze swej znowu strony wyraża się i zostaje określoną przez szybkość przeciętną, z jaką towary przebiegają rozmaite fazy swych metamorfoz, przez szybkość, z jaką metamorfozy następują po sobie, tworząc jeden łańcuch i nareszcie przez szybkość, z jaką towary, które już wypełniły swe metamorfozy, zastąpione zostają przez nowe towary. Podczas więc, gdy w procesie nadawania cen wartość zamienna wszystkich towarów przemienia się idealnie w quantum złota jednakowej wielkości wartościowej i gdy w obydwu izolowanych aktach obiegu $P-T$ i $T-P$ ta sama suma wartościowa występowała zdwojona, po jednej stronie w towarze, po drugiej — w złocie, to istnienie złota, jako narzędzia obiegu, określa się nie przez izolowany jego stosunek do pojedynczych, znajdujących się w spoczynku towarów, lecz przez ożywiony jego byt w postępującym świecie towarowym, przez tę jego funkcję, która przedstawia za pomocą jego zmiany miejsca, zmianę formy towarów, a zatem i przez szybkość jego zmiany miejsca, szybkość ich zmian formy. Jego więc istotna obecność w procesie obiegowym, t. j. rzeczywista masa złota, która cyrkuluje, zostaje określoną przez funkcjonujący jego byt w całym procesie.

Upřednim warunkiem pieniężnego obiegu jest obieg towarowy i rzeczywiście pieniądze wprawiają w ruch towary, mające ceny, t. j. takie towary, które idealnie zrównoważone już zostały z określonymi ilościami złota. Przy tym warunku ilość złota, niezbędna dla obiegu, określa się nasamprzód przez ogólną sumę cen towarowych, które mają być zrealizowane. Sama wszakże ta suma określa się: 1) przez stopę cen, t. j. stosunkową wysokość lub niskosć wartości zamiennych towarów, ocenianych w złocie; 2) przez masę znajdujących się w obiegu towarów o określonych cenach, t. j. przez masę aktów kupna i sprzedaży przy danych cenach. Jeżeli kwarter pszenicy kosztuje 60 szyl., to dla wprawienia go w obieg czyli dla zrealizowania jego ceny potrzeba dwa razy więcej złota, niż w razie, gdyby kosztował tylko 30 szyl. Dla obiegu 500 kw. pszenicy po 60 szyl. potrzeba 2 razy więcej złota, niż dla obiegu 250 kw. po tej samej cenie. Nareszcie obieg 10 kwarterów po 100 szyl. wymaga tylko połowy tego złota, które jest niezbędne dla obiegu 40 kw. po 50 szyl. Ztąd wypada, iż ilość złota, niezbędna dla cyrkulacji towarów, może spaść pomimo wzrostu cen, a mianowicie wówczas, gdy masa znajdujących się w obiegu towarów zmniejsza się w większym stosunku od tego, w jakim ogólna suma cen wzrasta i naodwrot, ilość środków cyrkulacji może wzrosnąć, pomimo że masa towarów, znajdujących się w obiegu, spada, ale gdy jednocześnie ogólna suma cen wzrasta w większym stosunku.

Doskonałe i szczegółowe badania angielskie dowiodły np., iż w Anglii w pierwszych stadyjach drożyzny zboża masa cyrkulujących pieniędzy wzrasta, ponieważ suma cen zmniejszonej masy zboża

jest większą, niż suma cen większej masy zboża, przyczem obieg innych towarów pozostaje bez zmiany przy dawnych cenach. W dalszym wszakże stałym drożyzny zbożowej masa cyrkulujących pieniędzy spada dlatego, że albo obok zboża pozostaje mniej innych towarów o dawnych cenach, albo że te ostatnie same spadają.

Ilość cyrkulującego złota jest wszaże — jakśmy to widzieli — zależną nie tylko od sumy ogólnej cen towarowych, które mają być zrealizowane, ale zarazem i od szybkości obiegu pieniędzy, t. j. od szybkości, z jaką one te realizacje spełniają. Jeżeli jeden sovereign w ciągu jednego dnia spełnia 10 aktów kupna, za każdym razem towaru o cenie 1 sovereigna, przechodząc przez 10 rak; to spełnia on ściśle toż samo zadanie, co i 10 sovereignów, z których każdy w ciągu dnia tylko 1 raz obiega. Szybkość więc obiegu złota może zastępować jego ilość, czyli że istnienie jego w procesie cyrkulacyjnym określone zostaje nie tylko przez funkcję ekwiwalentu, jaką on wobec towaru odegrywa, ale zarazem przez byt jego wewnątrz ruchu metamorfozy towarów. Szybkość obiegu zastępuje wszakże ilość złota tylko do pewnego stopnia, gdyż w każdym danym momencie czasu odbywają się obok siebie, w przestrzeni, nieskończenie rozproszone akty kupna i sprzedaży.

Jeżeli ogólna cena znajdujących się w obiegu towarów wzrasta, ale w mniejszym stosunku, niż szybkość obiegu pieniędzy, to suma środków cyrkulacji spada. Jeżeli naodwrotń szybkość obiegu pieniędzy spada w większym stosunku, niż ogólna cena towarów, znajdujących się w obiegu, to suma środków cyrkulacji wzrasta. Wzrost ilości tych środków przy ogólnym spadku cen, zmniejszenie się tej ilości (środków obiegu) przy ogólnym wzroście cen są to fenomeny bardzo często konstatowane w historii cen towarowych. Przyczyny wszakże, powodujące wzrost stopy cen i jednocześnie, jeszcze znaczniejszy wzrost w stopniu szybkości obiegu pieniędzy, zarówno, jak i odwrotny ruch nie należą do dziedziny prostej cyrkulacji. W rodzaju przykładu możemy przytoczyć, że między innemi w epokach, gdy kredyt kwitnie, szybkość obiegu pieniężnego wzrasta szybciej, niż ceny towarów, — podczas gdy wraz z upadkiem kredytu ceny towarów spadają wolniej, niż szybkość obiegu. Powierzchniowy i formalny charakter prostej cyrkulacji w tem właśnie się przejawia iż wszystkie momenty, określające ilość środków obiegu, jak masa cyrkulujących towarów, ceny, wzrost i spadek ich, ilość jednoczesnych aktów kupna i sprzedaży, szybkość obiegu pieniędzy, zależą od procesu metamorfozy świata towarowego, a proces ten zależy znowu od ogólnego charakteru produkcji, od zaludnienia, stosunków między wsią i miastem, od rozwoju środków transportu i komunikacji, od większego lub mniejszego podziału pracy, od kredytu i t. d. krótko mówiąc, od warunków, które znajdują się wszystkie na zewnątrz prostego obiegu pieniędzy i które w nim się tylko odzwierciedlają.

Przyjąwszy daną szybkość obiegu, znajdziemy, iż suma narzędzi cyrkulacji określa się wprost cenami towarów. A zatem ceny nie są wysokie lub niskie dlatego, iż w obiegu znajduje się większa lub mniejsza ilość pieniędzy, ale naodwrotń, obieg zawiera dlatego więcej lub mniej pieniędzy, iż ceny są wyższe lub niższe. Jest to jedno z najważniejszych praw ekonomicznych; szczegółowe jego

prześledzenie i wykazanie na historii cen towarowych, stanowi być może jedyną zasługę po-ricardowskiej ekonomii angielskiej. Jeżeli zaś doświadczenie pokazuje, iż poziom metalicznej cyrkulacji czyli masa znajdującego się w obiegu złota i srebra w danym kraju, pomimo chwilowych, a nieraz i bardzo silnych przyływów i odpływów dla dłuższych okresów czasu pozostaje stałą i że odchylenia od przeciętnego poziomu stanowią słabe tylko oscylacje, to zjawisko to objaśnia się wprost sprzeczną naturą warunków, które określają masę znajdujących się w obiegu pieniędzy. Jednoczesna ich modyfikacja paraliżuje ich wpływ i pozostawia wszystko po staremu.

To prawo, iż przy danej szybkości obiegu pieniędzy i przy danej sumie cen towarowych, ilość środków obiegu jest określoną, może być wyrażone jeszcze w sposób następujący: przy danej wartości towarów i przy danej przeciętnej szybkości ich metamorfoz, ilość cyrkulującego złota zależy od jego własnej wartości. Gdyby więc wartość złota, t. j. czas roboczy niezbędny dla jego wytworzenia wzrósł lub spadł, to ceny towarowe wzrosłyby lub spadły w odwrotnym stosunku i temu ogólnemu wzrostowi lub spadkowi cen odpowiadałyby przy niezmienniej szybkości obiegu większa lub mniejsza ilość złota, które byłoby niezbędnem dla cyrkulacji tego samego towaru. Taką samą zmianą miałyby miejsce, gdyby dawna miara wartości została wciśnięta z obiegu przez droższy lub tańszy metal. Holandya np. potrzebowała 14 do 15 razy więcej srebra niż złota dla cyrkulacji tej samej ilości towarów, gdy z delikatnej troskliwości o wierzyteli państwowych i z bojaźni przed skutkami kalifornijskich i australijskich odkryć zastąpiła złoty pieniądz przez srebrny. Z tego, że ilość znajdującego się w obiegu złota jest zależną od zmiennej sumy cen towarowych i od zmiennej szybkości obiegu pieniędzy wypada, iż masa metalicznych środków cyrkulacji zdolna jest rozszerzać się i skracać, t. j. że odpowiednio do potrzeb procesu obiegowego złoto raz wlewa się jako środek cyrkulacji do tego procesu, drugi raz znowu wychodzi zeń.

Jak sam proces obiegowy urzeczywistnia te warunki, zobaczymy później.

c). *Moneta. Znak wartościowy.*

Złoto w swej funkcji narzędzia cyrkulacji otrzymuje swą własną formę, staje się monetą. By jego obieg nie był postrzegany przez techniczne trudności, wybija się je zwykle odpowiednio do skali pieniędzy obrachunkowych. Złote sztuki, których wyisk i figura pokazują, iż zawierają wagę złota, przedstawiona w nazwach obrachunkowych pieniędzy: funt sterling, szyling i t. d., są monetami. Tak określanie nazw monetarnych, jak i techniczna strona wybijania monet, przypada państwu w udziale. Zarówno jak i pieniądz obrachunkowy, pieniądz, jako moneta, posiada lokalny i polityczny charakter, mówi językiem każdego kraju i nosi rozmaite nacyjne uniformy. To też sfera, w której pieniądz obiega w charakterze monety, odróżnia się, jako sfera wewnętrznej cyrkulacji, określona granicami pewnego państwa, od sfery powszechnej cyrkulacji świata towarowego.

Złoto w sztabach od złota, jako monety, odróżnia tylko jego

nazwa monetarna i nazwa wagi. Jest to tylko różnica nazwy i postaci. Złota moneta może być wrzucana, do tygla i zamienić się w ten sposób na nowo w złoto *sans phrase* i naodwrot doś jest posłać sztukę złota na mennicę, by otrzymała formę monety. Przemiana i odwrotna przemiana z jednej postaci w drugą wydaje się być tylko techniczną operacją.

Za 100 funtów czyli 1200 uncji troy 22 karatowego złota otrzymuje się w angielskiej mennicy 4672 $\frac{1}{2}$ f. s. czyli złotych sovereignów, jeżeli te sovereigny położymy na jednej szali wag, a 100 funtów złota w sztabach na drugiej, to otrzymamy równowagę; w ten sposób otrzymujemy dowód, iż sovereign nie jest niczem innym, jak odpowiednia część wagi złota ochrzczone tem imieniem w angielskiej mennicy i posiadająca własną figurę i własny stempl. 4672 $\frac{1}{2}$ sovereignów wrzucone zostają w rozmaitych punktach do cyrkulacji i porwane przez nią, spełniają określoną ilość obiegów w dzień: jedne mniej, drugie więcej.

Gdyby przeciętna ilość codziennych obiegów jednej uncji równała się 10, to 1200 uncji złota zrealizowałyby ogólną sumę cen towarowych, wynoszącą 12,000 uncji, czyli 46,725 sovereignów. Można uncję złota kreć i wiercić na wszystkie sposoby — nigdy nie będzie ona ważyć tyle, co 10 uncji złota. Tutaj wszakże, w procesie cyrkulacyjnym, jedna uncja waży istotnie tyleż, co 10 uncji. Byt monety wewnątrz cyrkulacji równa się zawartemu w niej quantum złota, pomnożonemu przez ilość jej obiegów. Oprócz więc rzeczywistego istnienia, jako pojedynczej sztuki złota o określonej wadze, moneta otrzymuje jeszcze, wynikające z jej funkcji, idealne istnienie. Sovereign może jednak obiegać raz lub 10 razy, ale w każdym oddzielnym kupnie lub sprzedaży wpływa on tylko, jako pojedynczy sovereign. Dzieje się tu tak samo, jak z jednym generałem, który, zjawiając się podczas bitwy na 10-ciu rozmaitych miejscach w swoim czasie zastępuje dziesięciu generałów, ale na każdym miejscu jest on ten sam, identyczny generał.

Idealizacja, narzędzie obiegu, która w pieniężnej cyrkulacji pochodzi z zastąpienia ilości przez szybkość, obejmuje tylko funkcjonalny byt monety wewnątrz procesu obiegowego, nie dotyka wszakże istnienia pojedynczej sztuki złota.

Obieg pieniężny jest wszakże ruchem zewnętrznym i sovereign, jakkolwiek *non olet*, pędzi swój żywot w bardzo mieszanem towarzystwie. Ocierając się o najrozmaitsze ręce, worki, kieszenie, sakiewki, sakwy, szkatułki i paki, moneta się wyciera: tu pozostawia jeden atom złota, tam — drugi i w ten sposób traci, szlifując się w biegu po świecie coraz więcej na wewnętrznej swej wartości. W użyciu zużywa się.

Zastanówmy się na chwilę przy sovereign'ie, gdy czysty i naturalny jego charakter jeszcze mało jest dotknięty: „Piekarz, który dzisiaj otrzymuje nowiutkiego, jak z igły, sovereigna z banku i jutro oddaje go młynarzowi, oddaje już nie tę samą, prawdziwą (*veritable*) sztukę; jest ona lepsza, niż w chwili, gdy piekarz ją otrzymał¹⁾. „Jasne jest, iż moneta z natury rzeczy wciąż jedna za drugą musi wpadać w deprecjacje, wskutek zwykłego i nieuniknionego wpływu

wycierania się. Jest to fizyczna niemożliwość w jakimkolwiek bądź czasie wyczołać z obiegu chociażby na jeden dzień lekkie monety²⁾).

Jakob ocenia, iż z 380 mil. fun. sterl., które w r. 1809 istniały w Europie, w 20 lat później, t. j. w 1829 r. 19 mil. f. sterl. zupełnie znikło, dzięki wytarcu. Jeżeli więc towar, po pierwszym kroku, który on stawia w cyrkulacji, natychmiast z niej wypada, to moneta po kilku krokach, zrobionych w cyrkulacji, przedstawia sobą więcej metalu, niż ile w rzeczywistości posiada. Czem dłużej moneta obiega z tą samą szybkością, lub czem żywszym jest jej obieg w jednym i tym samym okresie czasu, tem silniej oddziela się jej byt monetarny od jej złotego lub srebrnego istnienia. Co jeszcze pozostaje, jest tylko *magni nominis umbra*. Ciało monety jest już tylko cieniem. Jeżeli ona początkowo stawała się w procesie cięższa, to obecnie staje się lżejsza przezeń, przedstawia wszakże i nadal w każdym oddzielnym kupnie i sprzedaży dawne quantum złota. Pozorny sovereign, pozorne złoto odegrywa i nadal funkcję prawowitej sztuki złota. Podczas gdy inne istoty, ocierając się o świat zewnętrzny, tracą swój idealizm, moneta się idealizuje w praktyce, przemienia się w pozorny tylko byt swego srebrnego lub złotego ciała. Ta druga, przez sam proces obiegowy wywołana idealizacja pieniądza metalicznego, czyli oddzielenie się nominalnej jego treści od realnej, staje się przedmiotem wyzysku prywatnych awanturników, albo też rządów we fałszerstwach najrozmaitszych rodzajów. Cała historia monetaryzmu od początku wieków średnich aż do końca XVIII stulecia jest historią tych dwustronnych i antagonicznych fałszerstw. Custodi'ego wielotomowy zbiór włoskich ekonomistów po największej części obraca się koło tego punktu.

Pozorne istnienie złota wewnątrz jego funkcji wstępuje w zatarę z rzeczywistym jego istnieniem. Jedna złota moneta traci więcej, druga — mniej ze swej metalicznej zawartości w obiegu i dlatego jeden sovereign jest faktycznie więcej wart od drugiego. Ponieważ wszakże one w swem funkcjonalnem istnieniu jako monety mają jednakową wartość i sovereign, który stanowi $\frac{1}{4}$ uncji, nie jest niczem więcej, niż sovereign, który tylko wydaje się być $\frac{1}{4}$ uncji, to pełnoważne sovereign'y podlegają często w ręku niesummiennych posiadaczy operacyjom chirurgicznym i w ten sposób sztucznie uskutecznia się na nich to, co obieg sam, naturalnie, zrobił względem ich lepszych braci. Fałszują je i obrzynają, a zbyteczny ich złoty tuszcz wędruje do tygla. Jeżeli 4672 $\frac{1}{2}$ złotych sovereignów waży na szali przeciętnie już tylko 80 uncji, zamiast 1200, to na rynku można za nie kupić już tylko 80 uncji złota, a w takim razie cena rynkowa złota podniosłaby się ponad jego cenę monetarną.

Każda sztuka pieniężna, chociażby pełnoważna, wartowałaby w swej formie monetarnej mniej, niż w formie naturalnej. To też pełnoważne sovereigny byłyby przetopione w sztaby złota, w której to formie więcej złota ma większą wartość, niż mniejsza jego ilość. Z chwila, gdy to spadanie niżej zawartości metalicznej obejmuje dostateczną ilość sovereignów, by wywołać stałą zwyżkę ceny rynkowej złota ponad cenę jego monetarną, to nazwy obrachunkowe mo-

1) Dodd; *Curiosities of industry* etc. London. 1854.

2) *The currency question reviewed* etc. by a benser. Edimburg, 1845 str. 69 etc.

nety pozostałyby też same, ale oznaczałyby na przyszłość mniejsze quantum złota. Innemi słowy skala pieniężna zmieniałaby się i złoto byłoby nadal wybijanem podług nowej tej skali. Przez swą idealizację, jako narzędzie obiegu, złoto zmieniałoby ze swej strony prawnie ustanowione stosunki, w których ono było skalą cen. Tenże sam przewrót powtórzyłby się po pewnym przeciągu czasu i w ten sposób złoto zarówno w roli skali cen, jak i w roli narzędzia obiegu podlegałoby stałym zmianom, tak, że zmiana w jednej formie wywoływałaby zmianę w drugiej i odwrotnie. Wyjaśnia to nam poprzednio przytoczone zjawisko, polegające na tem, iż w historii wszystkich nowożytnych narodów taż sama nazwa pieniężna pozostawała dla zmniejszającej się wciąż zawartości złota. Sprzeczność pomiędzy złotem, jako monetą, i złotem, jako skalą cen, staje się zarazem sprzecznością między złotem jako monetą i złotem, jako powszechnym ekwiwalentem, które w tej roli cyrkuluje nie tylko wewnątrz granic krajowych, ale i na rynku wszechświatowym. Jako miara wartości złoto było wciąż pełnoważnem, gdyż służyło ono tylko za złoto idealne. Jako ekwiwalent w odosobnionym akcie T—P wypada ono odrazu z ożywionego bytu do stanu spoczynku, ale, jako moneta, jego naturalna substancja wstępuje w ciągły zatarg z jego funkcją. Ominąć zupełnie przemiany złotego sovereigna w pieniądź pozorny nie sposób, ale prawodawstwo stara się przeszkodzić jego stałemu utwierdzeniu się w roli monety w ten sposób, iż na pewnym stopniu zniszczenia pozbawia go wartości. Podług angielskiego np. prawa, sovereign, który utracił więcej, niż 0,747 granów wagi, przestaje być legalnym sovereign'em. Bank angielski, który w okresie pomiędzy 1844—48 zważył 48 mil. złotych sovereign'ów, posiada w wadze złota p. Cotton maszynę, która nie tylko że wskazuje różnicę o $\frac{1}{100}$ grana pomiędzy dwoma sovereign'ami, ale jeszcze, jak ożywiona istota, wyrzuca nieważne okazy na deskę, z której wpadają pod inną maszynę, rznąc ją ze wschodnim barbarzyństwem na części.

Przy tych warunkach złota moneta nie mogłaby wogóle cyrkulować, gdyby jej obieg nie był ograniczony do określonych sfer, w których ona nie tak szybko się zużywa. Jeżeli moneta uchodzi w obiegu za $\frac{1}{4}$ uncyi złota, podczas gdy w rzeczywistości waży już tylko $\frac{1}{5}$ uncyi, to staje się ona tylko prostym znakiem czyli symbolem dla $\frac{1}{50}$ uncyi — w ten sposób wszystkie złote monety przemieniają się w procesie cyrkulacyjnym mniej więcej w proste symbole swej substancji. Ale żadna rzecz nie może być swym własnym symbolem. Malowane winogrona nie są symbolami rzeczywistych, lecz tylko pozornymi winogronami. Tem mniej jeszcze może lepszy sovereign być symbolem pełnoważnego, tak samo jak wychudzony koń nie może być symbolem konia tustego. Ponieważ więc złoto staje się symbolem siebie samego, ale nie może służyć za takowy, więc w tych sferach obiegu, gdzie ono najszybciej się zużywa, t. j. w tych sferach, gdzie akty kupna i sprzedaży wciąż się odnawiają w drobnych proporcjach, otrzymuje ono symboliczny, srebrny lub miedziany byt, oddzielny od jego złotego istnienia. W sferach tych krążyłaby wciąż w tej samej proporcji pewna określona suma złotych pieniędzy, jako moneta. W proporcji tej złoto zamieszczone zostaje przez srebrne lub miedziane znaki. Podczas więc gdy w ka-

żdym kraju tylko jeden specyficzny towar może funkcjonować, jako miara wartości, a zatem jako pieniądź, to obok niego mogą występować rozmaite inne towary, jako monety. Te podstawne narzędzia obiegu, np. srebrne lub miedziane znaki, reprezentują wewnątrz cyrkulacji określone frakcje monety złotej. Ich więc srebrna lub miedziana zawartość nie jest określona przez stosunek wartościowy pomiędzy srebrem, miedzią i złotem, lecz zostaje dowolnie przez prawo ustanowiona. Powinny one być wypuszczone tylko w tych ilościach, w jakich reprezentowane przez nie drobne frakcje złotej monety obiegająby wciąż, bądź to dla wymiany wyższych monet złotych, bądź też dla realizacji odpowiednich drobnych cen towarowych. Wewnątrz obiegu detalicznego srebrne i miedziane znaki znowu będą należeć do osobnych sfer. Z samej natury rzeczy szybkość ich obrotów będzie się znajdować w odwrotnym stosunku do ceny, którą one w każdym oddzielnym akcie kupna lub sprzedaży realizują, czyli do wielkości frakcji monety złotej, którą one reprezentują. Jeżeli rozważyć olbrzymie rozmiary codziennych wymian w takim kraju, jak Anglija, to nieznaczna stosunkowo proporcja ogólnej sumy podstawnych monet znajdujących się w obiegu, pokazuje najlepiej szybkość i ciągłość ich cyrkulacji. Z jednego np. parlamentarnego sprawozdania widzimy, iż mennica angielska w r. 1857 wybiła złota na sumę 4,859,000 f. sterl., srebra na wartość nominalną 733,000 fun. sterl., których wartość metaliczna wynosiła 363,000 f. s. Ogólna suma wybitego w ciągu dziesięciu lat aż do 31 grudnia 1857 złota wynosiła 55,239,000 f. s., a srebra 2,434,000 f. s. Moneta miedziana dochodziła w r. 1857 do nominalnej wartości 6,720 f. s. z wartością metaliczną 3492 f. s., z których 3,136 f. s. przypadła na pense, 2,404 na halpensi i 1120 na farthingi. Ogólna wartość nominalna wybitej w ciągu dziesięciu lat monety miedzianej wynosiła 141,477 fun. s., a wartość realna 73,503 f. s. Jak złota moneta nie może się utwierdzić we funkcji monetarnej dzięki prawnemu określeniu utraty metalu, która ją demonetyzuje, tak samo naodwrot srebrne i miedziane znaki nie mogą przeniknąć ze swych sfer obiegowych do sfer obiegowych monety złotej i tam się jako pieniądze utwierdzić, dzięki prawnemu określeniu rozmiarów ceny, którą one mogą realizować. Tak np. miedź w Anglii może być przyjmowana w wypłatach tylko do wielkości 6 pensów, srebro — tylko do 40 szylingów. Gdyby srebrne i miedziane znaki były wydawane w większych sumach, niż jak tego wymagają potrzeby ich sfer obiegowych, to ceny towarowe przez toby nie wzrosły, lecz odbyłoby się nagromadzenie tych znaków u kupców detalicznych, którzy zmuszeni byliby sprzedawać je, jako metal. Np. w r. 1798 nagromadziły się znaki miedziane angielskie w sumie 20,350 f. s. u kramarzy, którzy napróżno się starali znowu rzucić je do obiegu i przeto ostatecznie zmuszeni byli sprzedać na rynku, jako miedź *).

Srebrne i miedziane znaki, reprezentujące złote monety w określonych sferach wewnętrznej cyrkulacji, posiadają prawnie ustanowioną zawartość srebra i miedzi, ale w procesie obiegowym wycierają się, jak złota moneta i idealizują się daleko prędzej jeszcze na

*) David Buchanan: *Observations on the subjects treated of in Doctor Smith's Inquiry on the wealth of nations*. Edinburgh, 1814, p. 3.

zwykle cienie odpowiednio do szybkości i ciągłości swego obiegu. By przeprowadzić nową linię graniczną demetalizacji, na której srebrne i miedziane marki traciłyby swój monetarny charakter, to trzeba byłoby zastąpić je wewnątrz określonych kół ich własnej sfery cyrkulacyjnej przez inny pieniądz symboliczny, np. żelazo lub ołów i to przedstawianie jednych symbolicznych pieniędzy przez drugie byłoby procesem bez końca. To też we wszystkich krajach o rozwiniętej cyrkulacji sama konieczność obiegu pieniężnego zmusza do tego, by charakter monetarny srebrnych i miedzianych marek był niezależnym od stopnia utraty przez nie metalu. W ten sposób odbywa się to, co leżało w naturze rzeczy, a mianowicie, iż marki te są symbolami złotej monety nie dlatego, iż są zrobione ze srebra lub miedzi, nie o tyle, o ile posiadają wartość, ale o tyle, o ile takowej nie posiadają.

Bezwartościowe więc stosunkowo rzeczy, np. papier, mogą funkcjonować, jako symbole złotych pieniędzy. Istnienie pomocniczych monet w formie marek metalicznych, srebrnych, miedzianych i t. d. ztąd zwykle pochodzi, iż w największej ilości krajów mniej wartościowe kruszce obiegają jako pieniądz, np. srebro w Anglii, miedź w starożytnej republice Rzymu, w Szwecyi, Szkocyi itd., zanim proces obiegowy zdegradował je na monety zdawkowe i zanim postawił na ich miejsce szlachetniejsze metale. Zresztą z natury już rzeczy wypływa, że wyrosły bezpośrednio z metalicznego obiegu złoty symbol jest i sam początkowo także metalem. Jak cząstka złota, która wciąż musiała obiegać w charakterze monety zdawkowej, zostaje zastąpiona przez znaki metaliczne, tak samo ta znowu cząstka złota, która wciąż wiać absorbowana zostaje przez sferę wewnętrznej cyrkulacji, jako moneta, t. j. która musi wciąż obiegać, może być zastąpiona przez bezwartościowe marki. Poziom, niżej którego masa znajdujących się w obiegu monet nigdy spaść nie może, dla każdego kraju jest z doświadczenia znany. Niepozorna więc początkowo różnica pomiędzy nominalną i metaliczną zawartością monety może dojść aż do zupełnego oddzielenia się. Monetarna nazwa pieniędzy odłącza się od ich substancyi i istnieje niezależnie od niej w bezwartościowych papierkach. Jak wartość zamienna towarów się krystalizuje w wymianie w pieniądze złote, tak samo te ostatnie w procesie obiegowym przetwarzają się we własny swój symbol, naprzód w kształcie obciętej złotej monety, potem we formie pomocniczej monety metalicznej, nareszcie we formie bezwartościowych marek, papieru, samego tylko znaku wartości.

Złota moneta wytwarzała wszakże swych początkowo metalicznych, potem papierowych zastępców tylko dlatego, iż pomimo swej straty metalu i nadal funkcjonowała, jako moneta. Cyrkułowała nie dlatego, iż się wytarła, ale naodwrot wytarła się dlatego, iż funkcjonowała. Tylko o tyle, o ile wewnątrz procesu obiegu pieniądza złośliwie staje się zwykłym znakiem swej własnej wartości, tylko o tyle mogą je zastępować proste znaki wartości. O ile ruch $T—P—T$ jest postępową jednością dwu bezpośrednio przechodzących w siebie nawzajem momentów $T—P$ i $P—T$, czyli o ile towar przebiega proces całkowitej swej metamorfozy, rozwija on swą wartość zamienną w cenie i pieniądzu, by i tę formę natychmiast zrzucić ze

siebie, by stać się na nowo towarem, a raczej wartością użytkową. Dąży więc on wciąż tylko do pozornego usamodzielnienia swej wartości zamiennej. Z drugiej strony widzieliśmy, iż złoto, o ile funkcjonuje tylko jako moneta, czyli o ile się wciąż znajduje w obiegu, w rzeczywistości przedstawia tylko sczepienie metamorfoz towarów i znikomy tylko byt pieniężny tych ostatnich, iż realizuje ono cenę jednego towaru tylko po to, by wnet potem zrealizować cenę innego, nigdzie zaś nie występuje, jako znajdujący się w spoczynku byt wartości zamiennej, ani nawet, jako znajdujący się w spoczynku towar. Realne istnienie, które wartość zamienną towarów w tym procesie otrzymuje i które złoto w swym obiegu przedstawia, jest tylko istnieniem iskry elektrycznej. Jakkolwiek ono jest rzeczywistym złotem, to funkcjonuje tylko jako złoto pozorne, może przeto w funkcji tej być zastąpionem przez własne swe symbole.

Znak wartościowy, naprz. papier, funkcjonujący jako moneta, jest znakiem ilości złota, wyrażonej w jego nazwie monetarnej, jest znakiem złota. O ile określona ilość złota sama przez się nie wyraża żadnego stosunku wartościowego, o tyle nie wyraża go i znak, który je zastępuje.

O ile określona ilość złota, jako uprzedmiotowany czas roboczy, posiada określoną wielkość wartości, o tyle znak złota przedstawia sobą wartość. Reprezentowana wszakże przezeń wielkość wartościowa za każdym razem zależy od wartości przedstawionego przezeń quantum złota. Wobec towarów znak wartościowy przedstawia realność ich cen, jest ich *signum pretii* i znakiem ich wartości tylko dlatego, iż wartość ta wyrażoną jest w ich własnych cenach. W procesie $T—P—T$, o ile on się przedstawia jako tylko postępową jedność, czyli bezpośrednio i wzajemne przechodzenie w siebie obydwóch metamorfoz, a tak właśnie on się też przedstawia w sferze obiegowej, w której znak wartościowy funkcjonuje, wartość zamienna towarów otrzymuje w cenie tylko idealne, a w pieniądzach tylko abstrakcyjne, symboliczne istnienie. Wartość zamienna występuje więc tak tylko jako pomyślana lub rzeczowo przedstawiona, realne zaś istnienie posiada tylko w samych towarach, o ile w nich uprzedmiotowaną jest określona ilość czasu roboczego. Wyda się więc, jakoby znak wartościowy bezpośrednio reprezentował wartość towarów, występując nie jako znak złota, lecz jako znak wartości, zawartej w samych towarach, a wyrażonej tylko w ich cenach. Pozór ten jest wszelako mylnym. Znak wartościowy jest bezpośrednio tylko znakiem ceny, t. j. znakiem złota, a pośrednio tylko znakiem wartości towaru.

Złoto nie sprzedawało, jak Piotr Schlemihl swego cienia, lecz przeciwnie kupuje ono swym cieniem. Znak wartościowy wywiera zatem wpływ tylko o tyle, o ile on wewnątrz procesu obiegu przedstawia cenę jednego towaru wobec drugiego, czyli o ile przedstawia sobą dla każdego posiadacza towarów złoto. Określona, stosunkowo bezwartościowa rzecz, kawałek skóry lub papieru i t. p. staje się przez zwyczaj początkowo znakiem materiału pieniężnego, ale utwierdza się jako takowy tylko wówczas, gdy jej istność symboliczna zostaje zagwarantowana przez powszechną wolę, t. j. gdy ona otrzymuje konwencyjonalny byt, a zatem i kurs przymusowy. Państwowy pie-

niądz papierowy z kursem przymusowym jest wykończoną formą znaku wartości i zarazem jedyną formą pieniędzy papierowych, która bezpośrednio wyrasta z cyrkulacji metalicznej czyli z prostego obiegu towarów. Pieniądz kredytowy należy do wyższej sfery społecznego procesu wytwarzania i reguluje się podług zupełnie odrębnych praw. Symboliczny pieniądz papierowy w istocie wcale się nie różni od pomocniczej monety metalicznej — działa on tylko w rozleglejszej sferze obiegowej. Gdy czysto techniczny rozwój skali cen czyli ceny monetarnej, a następnie zewnętrzna przemiana surowego złota w złotą monetę wywołały już włączenie się państwa, a zarazem gdy wewnętrzny obieg oczywiście się oddzielił od ogólnej cyrkulacji towarowej, to rozdział ten zostaje uzupełnionym przez rozwój monety w znak wartościowy. Jako czyste narzędzie obiegu, złoto może się wogóle usamodzielniać tylko wewnątrz sfery wewnętrzного obiegu.

Nasz wykład pokazał, iż był monetarny pieniądz, jako znak wartościowy oderwany od złotej substancji, wyrasta z samego procesu cyrkulacji, nie pochodzi zaś z żadnej ugody ani też z interwencji państwowej. Rosyja przedstawia uderzający przykład naturalnego pochodzenia znaków wartościowych. Za czasów gdy skóry i futra służyły w niej za pieniądze ta sprzeczność pomiędzy niepodatnością tego materyjału i jego funkcją, jako narzędzia obiegu, wytworzyła zwyczaj zastępowania go przez drobne kawałki zaopatrzonej w stempel skóry, które w ten sposób stawały się przekazami płatnymi w skórach lub futrach. Później te skóry stały się prostymi znakami dla cząstek srebrnego rubla pod nazwą kopiejek i zachowały się w niektórych miejscach w tej funkcji aż do roku 1700, gdy Piotr Wielki rozkazał wymieniać je na drobne, wypuszczone przez państwo, monety miedziane ¹⁾.

Starożytni pisarze, którzy obserwowali zjawiska metalicznej cyrkulacji, już pojmowali monetę pieniężną, jako symbol czyli znak wartościowy. Tak np. Plato i Arystoteles. W krajach, w których kredyt wcale rozwinięty nie jest, jak Chiny, znajdujemy pieniądz papierowy z kursem przymusowym już bardzo wcześniej. U starszych badaczy pieniędzy papierowych także dobitnie wskazana jest wyrastająca ze samego obiegu przemiana monety metalicznej w znak wartościowy. Naprz. u Benjamina Franklina ²⁾ lub u biskupa Berkeley'a ³⁾.

Ile rzyp papieru pociętych na papierki może cyrkulować, jako pieniądze? Pytanie tak postawione byłoby niedorzeczne.

Marki bezwartościowe są znakami wartości tylko o tyle, o ile zastępują złoto wewnątrz procesu obiegowego i zastępują je tylko o tyle, o ile ono samo wchodziłoby do obiegu, jako moneta — ilość ta określa się jego własną wartością, przypuściwszy, iż wartość zamienna towarów i szybkość ich obiegu są dane. Papierki o denominacji 5 f. sterl. mogłyby obiegać tylko w 5 razy mniejszej ilości,

niż papierki jednofuntowe, a gdyby wszystkie wypłaty odbywały się w papierkach szylingowych, to w obiegu musiałoby się znajdować 20 razy więcej papierków szylingowych, niż funtowych. Gdyby moneta złota była reprezentowaną przez papierki różnej denominacji, np. przez papierki pięcio-, jedno-funtowe i dziesięcio-szylingowe, to ilość tych rozmaitych rodzajów znaków wartościowych byłaby określona nie tylko przez quantum złota, niezbędnego dla ogólnej cyrkulacji, ale także i przez ilość złota, niezbędną dla sfery obiegowej każdego z tych rodzajów. Gdyby 14 milionów funtów sterlingów przedstawiały poziom, niżej którego cyrkulacja pewnego kraju nigdy nie spada, to mogłyby obiegać 14 milionów znaków wartościowych po jednym funcie każdy. Ze spadkiem lub wzrostem wartości złota, spowodowanej przez spadek lub wzrost ilości czasu roboczego, niezbędnego dla jego produkcji, to przy niezmienniej wartości zamiennej tej samej masy towarów, ilość funtowych papierków, znajdujących się w obiegu wzrosłaby lub spadła w stosunku odwrotnym do zmiany wartości złota. Gdyby złoto, jako miara wartości, zastąpionem zostało przez srebro, to przy stosunku wartości srebra do złota 1 do 15, przypuściwszy, iż na przyszość każdy papierek przedstawiałby taką samą ilość srebra, jak dawniej złota, w obiegu znajdowałoby się, w miejscu 14 milionów, 210 mil. jednofuntowych papierków. Ilość papierków jest więc określona przez ilość złotych pieniędzy, którą one w cyrkulacji zastępują, a ponieważ są one znakami wartościowymi tylko o tyle, o ile takowe zastępują, więc wartość ich (papierków) określa się ich własną ilością.

Podczas więc, gdy ilość złota, znajdującego się w obiegu zależy od cen towarowych, to naodwrotę wartość papierków, znajdujących się w cyrkulacji, zależy wyłącznie od ich ilości.

Intervencja państwa, które wypuszcza pieniądze papierowe z kursem przymusowym — a my dotychczas mówimy tylko o tego rodzaju pieniądzach papierowych — wydaje się naruszać to prawo ekonomiczne. Państwo, które w cenie monetarnej nadawało określonej wadze tylko imię chrzestne i które przy wybijaniu tylko wytłaczało na złocie swą pieczęć, teraz wydaje się tworzyć za pomocą magii swej pieczęci z papieru złoto. Ponieważ pieniądze papierowe posiadają kurs przymusowy, więc nikt nie może mu przeskodzić wejść do obiegu dowolnie wielką ilość takowych, nadając im dowolne nazwy monetarne: 1 f. st., 5 f. s., 20 f. s. Papierki, raz do obiegu popadłe, nie sposób zeń wyrzucić, ponieważ słupy graniczne kraju powstrzymują ich bieg, więc n a z e w n ą t r z obiegu są one pozbawione wszelkiej wartości zamiennej i użytkowej. Oderwane od swego funkcjonalnego bytu, zamieniają się one w nic nie warte strzępki papieru. W rzeczywistości wszakże ta potęga państwa jest tylko pozorem. Może ono wrzucić do obiegu dowolnie wielką ilość papierków o dowolnych nazwach, ale wraz z tym aktem mechanicznym kończy się jego kontrola. Porwany cyrkulacją znak wartościowy czyli pieniądz z papieru pada ofiarą wewnętrznych swych praw.

Gdyby 14 milionów funtów sterlingów były sumą niezbędną dla cyrkulacji towarowej i gdyby państwo wypuściło 210 milionów papierków do obiegu, każdy o nazwie 1 funt. sterl., to te 210 milj. f. sterl. przemieniłyby się w reprezentantów złota w sumie 14 mil. f. sterl. Wyszyłoby to na jedno, jak gdyby państwo 1-funtowe pa-

1) Henry Storeh, *Cours d'écon. politique*. Paris, 1823, tom IV, pag. 179.

2) Ben. Franklin, *Remarks and facts relative to the Amer. paper money*, 1764, pag. 348.

3) Berkeley, l. c.

pierki czyniło przedstawicielami 15 razy tańszego metalu lub 15 razy mniejszej wagi złota, niż przedtem. Niechy się nie zmieniło oprócz nazw skali cen, które (nazwy) oczywiście są zupełnie konwencyjonalne, zależnie od tego, że nazw jest więcej, odpowiednio do niższej skali, spowodowanej czy to przez bezpośrednie obniżenie stopy monetarnej, albo też pośrednio, przez pomnożenie pieniędzy papierowych. Ponieważ nazwa fun. sterl. oznaczałaby teraz 15 razy mniejszą ilość złota, to wszystkie ceny podniosłyby się o 15 razy i w ten sposób 210 mil. 1-funtowych papierków byłoby zupełnie tak samo niezbędne, jak dawniej 14 milionów. W tym samym stosunku, w jakimby się zwiększyła ogólna suma znaków wartościowych, zmniejszyłaby się ilość złota, reprezentowana przez każdy z nich. Wzrost cen byłby tylko reakcją procesu obiegowego, który w sposób gwałtowny zrównywa znak wartościowy z tą ilością złota, na którego miejscu on cyrkuluje.

W historii angielskich i francuskich fałszerstw pieniężnych, dokonywanych przez rządy, często bardzo znajdujemy, iż ceny nie wzrastają w tym samym stosunku, w jakim moneta srebrna była fałszowana. Miało to miejsce po prostu dlatego, iż stosunek, w którym moneta została pomnożona, nie odpowiadał stosunkowi, w którym ona była sfalszowana, t. j. iż nie została wypuszczoną odpowiednio wielka masa monet o niższej kompozycji metalicznej; dlatego wartości zamienne towarów musiały na przyszłość być oceniane metalem tej niższej kompozycji, jako miarą i musiały być realizowane przez odpowiednie monety tej niższej jednostki miar. To rozstrzyga nierozstrzygniętą w pojedynku pomiędzy Locke'm i Lowndesem trudność. Stosunek w jakim znak wartościowy, papier czy też fałszowane złoto lub srebro, zastępuje wagi złota lub srebra, obliczone podług stopy monetarnej, zależy nie od własnego materiału tego znaku, ale od znajdującej się w obiegu jego ilości.

Trudność pojęcia tego stosunku pochodzi ztąd, iż pieniądź w obydwóch funkcjach: miary wartości i narzędzia obiegu podlega nie tylko odwrotnym prawom, ale zarazem prawom, które wydają się być w sprzeczności z antagonizmem obydwóch funkcji. W mierze wartości, gdzie pieniądź służy tylko jako pieniądź obrachunkowy, a złoto — tylko jako złoto idealne, wszystko sprowadza się tylko do naturalnego materiału. Oceniane w srebrze wartości zamienne przedstawiają się zupełnie inaczej, niż oceniane w złocie.

Odwrotnie się dzieje z funkcją narzędzia obiegu: tu pieniądź nie jest tylko wyobraźalny, ale musi istnieć jako rzeczywisty przedmiot obok innych towarów i tu materiał jego jest zupełnie obojętnym, podczas gdy wszystko zależy tylko od jego ilości.

Dla jednostki miar jest to rzeczą decydującą, czy ona jest funtem złota, srebra lub miedzi; podczas gdy sama tylko ilość czyni monetę odpowiedniemi rzeczywistniemi każdej z tych jednostek miary, niezależnie od jej własnego materiału. Sprzeciwia się to wszakże zdrowemu ludzkiemu rozsądkowi, by przy tylko wyobraźalnych pieniądzach wszystko zależało od ich materialnej substancji, gdy tymczasem w monecie myślowo istniejącej wszystko zależy od idealnego stosunku liczebnego.

Wzrost lub upadek cen towarowych, odpowiadających zwiększeniu lub zmniejszeniu się masy pieniędzy papierowych — w razie,

gdy te ostatnie stanowią jedyne narzędzie obiegu — jest tylko gwałtownem rzeczywistniemi przez proces obiegowy z zewnątrz i sztucznie naruszonego prawa, które opiewa, iż ilość cyrkulującego złota określoną zostaje przez ceny towarów, a ilość obiegających znaków wartościowych — przez ilość znaków monetarnych, która one w cyrkulacji zastępują. Z drugiej przeto strony każda dowolna masa papierków może być pochłonięta i równomiernie przetrawiona przez proces obiegowy, gdyż znak wartościowy, niezależnie od tego, z jakim złotym tytułem wstępuje do cyrkulacji, zostaje wewnątrz takowej skrzyni do znaku tej ilości złota, któraby na miejscu tego znaku krążyła.

W obiegu znaków wartościowych wszystkie prawa rzeczywistej cyrkulacji pieniężnej wydają się być odwróconemi, postawionemi na głowach. Jeżeli złoto cyrkuluje dlatego, iż posiada wartość, to papier posiada wartość dlatego, iż cyrkuluje. Podczas gdy przy danej wartości zamiennej towarów ilość cyrkulującego złota zależy od jego własnej wartości, to wartość papieru zależy od jego ilości znajdującej się w obiegu. Podczas gdy ilość cyrkulującego złota podnosi się lub spada ze wzrostem lub spadkiem cen towarowych, to ceny towarowe wydają się wzrastać lub spadać wraz ze zmianą ilości papieru, znajdującego się w obiegu. Podczas gdy obieg towarowy może pochłoniąć tylko określoną ilość złotych monet, przez co kolejne zwięźlenie i rozszerzenie ilości cyrkulujących pieniędzy się przedstawia, jako prawo konieczne, to pieniądź papierowy wydaje się wchodzić do obiegu w każdej proporcji. Podczas gdy państwo fałszuje złoto i srebrną monetę i zakłóca jej funkcję narzędzia obiegu, jeżeli wypuszcza monetę chociażby tylko o $\frac{1}{100}$ grana niżej jej nominalnej zawartości, to prowadzi ono zupełnie prawidłową operację, wypuszczając bezwartościowe papierki, które wspólnie z metalem posiadają tylko — imię monetarne. Podczas gdy złota moneta oczywiście przedstawia wartość towaru tylko o tyle, o ile ona sama została w złocie oceniona i jako cena przedstawiona, to znak wartościowy wydaje się bezpośrednio przedstawiać wartość towarów. Z tego jasnym się staje, czemu spostrzegacze, którzy jednostronnie studiowali fenomeny obiegu pieniężnego na obiegu pieniędzy papierowych z kursem przymusowym, musieli zapoznawać wszystkie wewnętrzne prawa pieniężnej cyrkulacji. W rzeczywistości prawa te występują w obiegu znaków wartościowych nie tylko jako odwrócone, ale jako nieistniejące, gdyż pieniądź papierowy, będąc wypuszczonym w odpowiedniej ilości, wykonywa ruchy, które mu nie są właściwe, jako znakowi wartościowemu, podczas gdy jego własny ruch w miejscu czoły miał bezpośrednio wyrastać z metamorfozy towarów, pochodzi z nadwężenia jego własnej proporcji do złota.

3). Pieniądź.

Pieniądź, będący w odróżnieniu od monety rezultatem procesu obiegowego $T-P-T$ stanowi punkt wyjścia dla procesu obiegowego $P-T-P$, t. j. procesu, w którym pieniądź wymienia się na towar, by ten ostatni znowu na pieniądź wymienić. Początkowym i końcowym punktem ruchu jest w pierwszej formie towar, a w drugiej — pieniądź. W pierwszej formie pieniądź pośredniczy

w wymianie towarów, w drugiej — towar pośredniczy przy przejściu pieniądza w pieniądź. Pieniądz, który w pierwszej formie jest zwykłym środkiem, występuje w drugiej, jako ostateczny cel cyrkulacji, podczas gdy towar, będący w pierwszej formie ostatecznym celem, w drugiej odegrywa rolę zwykłego środka. Ponieważ pieniądź jest już sam rezultatem obiegu $T-P-T$, więc w procesie $P-T-P$ rezultat obiegu występuje zaraz jako jego punkt wyjścia. Podczas gdy w $T-P-T$ treścią procesu jest wymiana materii, to pochodzący z tego pierwszego procesu byt formalny towaru, stanowi istotną treść drugiego procesu $P-T-P$.

We formie $T-P-T$ obydwie krańce stanowią towary o jednakowej ilościowo wartości zamiennej, ale zarazem o różnej jakościowo wartości użytkowej. Ich wymiana $T-T$ jest rzeczywistą wymianą materii. W formie zaś $P-T-P$ obydwie krańce są złotem i zarazem złotem o jednakowej ilościowo wartości.

Wymieniać złoto na towar, by towar znowu na złoto wymienić, czyli, jeżeli będziemy rozpatrywać tylko rezultat $P-P$, wymieniać złoto na złoto, wydaje się być rzeczą bezmyślną. Jeżeli wszakże przełożymy $P-T-P$ na formułę: kupi dla sprzedania, co nie oznacza nic innego, jak zamianę złota na złoto za pomocą ruchu pośredniczącego, to poznajemy od razu panującą formę burżuazyjnej produkcji. W praktyce wszakże kupno nie odbywa się dla sprzedaży wogóle, lecz kupuje się tanio, by sprzedać drogo. Pieniądz wymienionym zostaje na towar, by ten ostatni naodwrot wymienić na większą sumę pieniędzy tak, że krańce $P-P$ są różne, jeżeli nie jakościowo, to ilościowo. Takie ilościowa różnica każe przypuszczać wymianę nie-równoważników, podczas gdy towar i pieniądz, jako takowe, są tylko przeciwstawne formy samego towaru, t. j. rozmaite formy istnienia tej samej wielkości wartościowej. Obieg $P-T-P$ kryje zatem pod formami pieniądza i towaru bardziej rozwinięte stosunki produkcyjne i jest wewnątrz prostej cyrkulacji tylko odbiciem wyższego ruchu. Musimy więc rozwinąć pieniądź w odróżnieniu od narzędzia obiegu z bezpośredniej formy cyrkulacji towarowej $T-P-T$. Złoto t. j. specyficzny towar, służący za miarę wartości i za narzędzie obiegu, staje się bez dalszego udziału społeczeństwa pieniądzem. W Anglii, gdzie srebro nie jest ani miarą wartości, ani środkiem obiegu, nie staje się ono pieniądzem, zupełnie tak samo, jak złoto w Holandii, z chwilą, gdy zdetronizowano je jako miarę wartości, przestało być pieniądzem. A zatem towar staje się pieniądzem, jako zjednoczenie miary wartości i narzędzia obiegu, czyli że zjednoczenie miary wartości i narzędzia wymiany jest pieniądzem. Jako takie zjednoczenie posiada wszakże złoto znowu samodzielne i od jego bytu w obydwu funkcjach oddzielne istnienie. Jako miara wartości, jest ono tylko idealnym pieniądzem i idealnym złotem; jako narzędzie obiegu, jest ono symbolicznym pieniądzem i symbolicznym złotem, ale w swej zwykłej metalicznej cielesności złoto jest pieniądzem czyli że pieniądz jest rzeczywistym złotem.

Rozpatrzmy obecnie przez chwilę znajdujący się w spoczynku towar złoto, który jest pieniądzem w jego stosunku do innych towarów. Wszystkie towary przedstawiają w swych cenach określoną sumę złota, są zatem tylko wyobraźnym złotem i wyobraźnym pieniądzem, są reprezentantami złota, jak naodwrot, w znaku wartości-

wym pieniądz występuje jako prosty reprezentant cen towarowych. Ponieważ wszystkie towary są w ten sposób tylko wyobraźnym pieniądzem, więc pieniądz jest jedynym rzeczywistym towarem. W przeciwieństwie do towarów, które przedstawiają tylko samodzielny byt wartości zamiennej, powszechnej pracy społecznej, bogactwa abstrakcyjnego, złoto jest materialnym bytem abstrakcyjnego bogactwa. Ze względu na wartość użytkową każdy towar wyraża tylko jeden moment materialnego bogactwa przez swój stosunek do szczególnej potrzeby, jest jedną pojedynczą stroną bogactwa. Pieniądz zaś zaspakaja każdą potrzebę, o ile on jest wymiennym na przedmiot każdej potrzeby. Jego własna wartość użytkowa realizuje się w nieskończonym szeregu wartości użytkowych, które stanowią jego ekwiwalent. W swojej metalicznej cielesności zawiera on wszystkie materialne bogactwa, rozciągające się w świecie towarów. Jeżeli więc towary w swych cenach reprezentują abstrakcyjne bogactwo, złoto, to złoto reprezentuje za pomocą swej wartości użytkowej wartość użytkową wszystkich towarów. Jest ono *précis de tout-s les choses* (Boisguillebert), podreżnikiem społecznego bogactwa. Jest ono zarazem formalnie bezpośrednim wcieleniem pracy powszechnej, a materialnie treścią [*Inbegriff*] wszelkiej realnej pracy. Jest ono powszechnem bogactwem, jako indywiduum. W formie pośrednika obiegu cierpiało ono rozmaite klęski, było obrzynane, a nawet redukowane wprost do stanu zwykłego strzępka papieru. Jako pieniądźowi powróconą mu zostaje jego złota wspaniałość. Z niewolnika staje się ono panem. Ze zwykłego posługacza (*Handlanger*) staje się ono bogiem towarów.

a) Tworzenie skarbów.

Złoto wyodrębniło się jako pieniądz od narzędzia obiegu naprzód przez to, iż towar przerywał proces swej metamorfozy i wyczekiwał w postaci złotej poczwarki. Następuje to za każdym razem, gdy sprzedaż nie przechodzi w kupno. A zatem usamodzielnienie złota, jako pieniędzy, jest przedewszystkiem zmysłowym wyrażeniem rozpadnięcia się procesu obiegowego, czyli metamorfozy towaru na dwa odrębne, oddzielnie istniejące koło siebie akty. Sama nawet moneta staje się pieniądzem, jeżeli jej bieg przerywany zostaje. W rękę sprzedawcy, który ją otrzymuje w zamian swego towaru, jest ona pieniądzem, a nie monetą; z chwilą, gdy ona opuszcza jego rękę, staje się ona napowrót monetą. Każdy jest sprzedawcą jednostronnego towaru, który on wytwarza, a kupcem wszystkich innych towarów, które mu są niezbędne dla społecznego istnienia. Podczas gdy jego wystąpienie w roli sprzedawcy jest zależnem od czasu roboczego, którego wymaga wytworzenie jego towaru, to wystąpienie w roli kupca zawarunkowane jest przez stałe odnawianie się potrzeb życiowych. By mógł kupować, nie sprzedając, musiał on sprzedać, nie kupując. W istocie, obieg $T-P-T$ jest tylko rozwijającym się zjednoczeniem sprzedaży i kupna, będącem zarazem stałym procesem ich oddzielania się. By pieniądz mógł stale płynąć, jako moneta, musi moneta stale ulegać skrzepnięciu, jako pieniądz. Stały obieg monety zawarunkowanym jest przez ciągłe jej stagnację w większej lub mniejszej proporcji, w postaci monetarnych funduszy rezerwowych, które o tyleż wszechstronnie wyrastają z cyrkulacji, o ile ją sobą

zawarunkowują, i których tworzenie się, podział, rozkład i odtwarzanie ulegają stałym zmianom, których istnienie stale znika, a znikanie stale istnieje.

Adam Smith wyraził tę stałą przemianę monety w pieniądź i pieniądza w monetę w taki sposób, że każdy posiadacz towarów obok szczególnego towaru, który sprzedaje, powinien wciąż posiadać w zapasie pewną ilość powszechnego towaru, za pomocą którego kupuje. Widzieliśmy, iż w obiegu $T-P-T$ drugi członek $P-T$ się rozpada na szereg aktów kupna, które się odbywają nie jednocześnie, lecz w następstwie czasu, tak, że jedna część P obiega, jako moneta, podczas gdy druga, jako pieniądź, odpoczywa. Pieniądź jest tu w rzeczywistości tylko monetą w zawieszeniu i pojedyncze części składowe znajdujące się w obiegu masy monetarnej występują wciąż odmiennie, to w jednej, to w drugiej formie. Ta pierwsza przemiana narzędzia obiegu w pieniądź przedstawia zatem tylko techniczny moment samego obiegu pieniężnego.

Pierwsza naturalna forma bogactwa jest to obfitość lub nadmiar, ta część produktów, która nie jest bezpośrednio niezbędna jako wartość użytkowa, albo też posiadanie takich produktów, których użyteczność znajduje się poza obrebem zwykłych potrzeb. Przy rozważaniu przejścia towaru w pieniądź, widzieliśmy, iż ten nadmiar i obfitość wytworów na nierozwiniętej stopie produkcyjnej stanowią właściwą sferę wymiany towarów. Zbyteczne wytwory stają się wymiennymi czyli towarami. Równoznaczna forma istnienia tego nadmiaru jest złoto i srebro, pierwsza forma, w której bogactwo ustanowione zostaje, jako abstrakcyjnie społeczne bogactwo. Towary nie tylko mogą być przechowane w formie złota i srebra, t. j. w materjalnie pieniężnym, lecz złoto i srebro są bogactwem przechowanym. Każda wartość użytkowa oddaje usługi w ten sposób, iż zostaje spożyta, t. j. zniszczona. Wartość wszelkie użytkowa złota, jako pieniądza, jest ta, iż jest ono przedstawicielem wartości zamiennej, bezformnym podciśnięciem powszechnego czasu roboczego. Jako bezkształtny metal, wartość zmienną posiada nieznikomą formę. Złoto i srebro unieruchomione w ten sposób, jako pieniądź, są skarbem. U ludów, posiadających cyrkulację czysto metaliczną, jak u starożytnych, gromadzenie skarbów jest procesem powszechnym jednostek i państwa, które także strzeże swego skarbu państwowego. W starszych czasach, w Azji i Egipcie, skarby te występują pod strażą królów i kapłanów bardziej jako świadectwa ich mocy. W Grecji i Rzymie stało się polityką gromadzenie skarbów państwowych, jako najbezpieczniejsza i najobrotniejsza forma nadmiaru. Szybkie przenoszenie takich skarbów z kraju do kraju przez zdobywców i częściowe przelewanie ich do cyrkulacji, stanowią właściwość starożytniej ekonomii. Jako uprzedmiotowany czas roboczy, złoto jest gwarancją własnej swej wartości, a ponieważ jest ono materjalizacją powszechnego czasu roboczego, więc proces obiegowy gwarantuje mu jego stały wpływ, jako wartości zamiennej. Dzięki temu zwykłemu faktowi, iż posiadacz towaru może zachowywać towar w jego postaci, jako wartość zmienną lub też samą wartość zmienną jako towar, wymiana towarów, w celu ponownego ich otrzymania w zmienionej formie złota, staje się pobudką własną obiegu. Metamorfoza towaru $T-P$ odbywa się dzięki samej metamorfozie, by go

zamienić ze szczególnego, naturalnego bogactwa w bogactwo powszechne i społeczne. Zamiast wymiany materji zmiana formy staje się celem dla samej siebie. Ze zwykłej formy ruchu wartość zmienna przechodzi w jego treść. Jako bogactwo, jako towar, towar przechodzi się wewnątrz sfery obiegowej tylko tak dalece i przechowuje się tylko w tym płynnym stanie, o ile on kosztuje jako złoto i srebro. Istnieje on w prądzie, jako kryształ procesu obiegowego. Jednocześnie zaś złoto i srebro utwierdzają się jako pieniądze o tyle, o ile nie są narzędziami obiegu. Jako nie-narzędzia cyrkulacji, stają się pieniędzmi. Usuwanie się towaru z obiegu w formie złota jest więc jedynym środkiem stałego istnienia towaru wewnątrz cyrkulacji.

Posiadacz towarów może od obiegu otrzymać tylko w formie złota to, co mu dał, jako towar. Stała sprzedaż, nieustanne rzucanie do obiegu towarów, jest zatem pierwszym warunkiem tworzenia skarbów z punktu widzenia cyrkulacji towarowej. Z drugiej strony pieniądź znika wciąż, jako narzędzie obiegu w samym procesie cyrkulacyjnym w ten sposób, iż on ciągle się urzeczywistnia w wartościach użytkowych i rozpusza się w mimolotnym użyciu. Musi więc być wyrwanym z niszczącej rzeki obiegu, albo też towar musi być zatrzymanym na pierwszej swej metamorfozie, w ten sposób, iż nie jest mu pozwolone spełnić funkcji narzędzia kupna. Posiadacz towarów, który teraz się stał twórcą skarbu, musi jak najwięcej sprzedawać i jak najmniej kupować, jak to już stary Cato uczył: *patrem familias vendacem, non emacem esse*. Jak pracowitość jest dodatnim warunkiem tworzenia skarbów, tak oszczędność jest ujemnym jego warunkiem. Im mniej ekwiwalent towarowy zostaje odciagnięty cyrkulacji w postaci specjalnych towarów czyli wartości użytkowych, tem bardziej zostaje on jej odciagniętym w postaci pieniędzy, czyli wartości zamiennej. Przywłaszczenie więc bogactwa w jego formie powszechnej wymaga wyrzeczenia się go w materjalnej jego rzeczywistości. Żywotnym więc popędem do tworzenia skarbów jest skąpstwo, dla którego nie towar, jako wartość użytkowa, lecz wartość zmienna, jako towar stanowi potrzebę. By zawiązać nadmiarem w jego formie powszechnej, muszą wszystkie szczególne potrzeby być traktowane jako zbytek i nadmiar. Tak np. kortezowie przedstawili Filipowi II w r. 1593 raport, w którym między innemi jest co następuje: „Kortezowie z Balladolid prosili Waszą kr. Mość w r. 1586, by został zakazany wóz do królestwa św. królów, towarów szklanych, biżuterii, noży i tym podobnych rzeczy, które przychodzą z zagranicy w celu wymiany tych niepożytecznych dla ludzkiego użytku przedmiotów na złoto, jak gdyby hiszpanie byli indyjanami.“

Twórca skarbu pogardza wszystkimi świeciami, czasowami i przechodniami rozkoszami, goniąc za skarbem, którego nie żrą ani móle, ani rdza, który jest zarazem zupełnie niebieskim i zupełnie ziemskim.

„Ogólna i oddalona przyczyna braku złota, jaki odczuwamy — mówi Miszelden — zawiera się w zbytkownym spożyciu towarów cudzoziemskich, które zamiast co by miały być dogodnością dla nas, okazują się kłeską, gdyż odcinają nas od odpowiedniej ilości pieniędzy („skarbu“), które w miejscu tych błahostek byłyby wwożone. Konsumujemy mianowicie zbyt wiele wina z Hiszpanii, Francji, Renu, Lewantu, duże rodzynki z Hiszpanii i małe z Lewantu, cien-

kie płótna i grube z Hainault, wyroby jedwabne z Włoch, cukier i tytoń z Indyj zachodnich, korzenie z Indyj wschodnich — wszystko to nie stanowi niezbędnej potrzeby dla nas, a jednak kupujemy to za gotówkę¹⁾.

Jako złoto i srebro, bogactwo jest nieznikome raz dlatego, iż wartość zamienna istnieje w niezniszczalnym metalu, a powtórę dlatego, iż złoto i srebro traci możność stania się w roli narzędzia obiegu znikomą formą pieniężną towaru. Znikoma treść staje się ofiarą nieznikomej formy.

„Jeżeli pieniądze zostają odebrane w kształcie podatku jednemu, który je przejada i przepija i oddane drugiemu, który je używa na ulepszenie rolnictwa, rybołówstwa, górnictwa, rzemiosł, a nawet na ubranie, to jest to zawsze korzystnem dla społeczności, gdyż nawet ubiory nie są tak znikome, jak pokarmy i napoje. Większą jest korzyść, jeżeli pieniądze te użyte zostają na meble, a jeszcze większą, jeżeli na budowie i domy i t. d., największą zaś korzyść odnosi kraj wówczas, jeżeli złoto i srebro zostają doń wwożone, gdyż te jedynie przedmioty nie są znikome, lecz wszędzie i zawsze uważane są za bogactwo; wszystko zaś inne jest bogactwem tylko *pro hic et nunc*“²⁾. Odrzucanie pieniędzy z potoku cyrkulacji i uchronianie ich od społecznej wymiany materji oczywiście występuje także w zakopywaniu, tak, że bogactwo społeczne, jako podziemny, nieznikomy skarb postawione zostaje w skryty stosunek prywatny do posiadacza towarów. Doktor Bernier, który przez pewien czas przebywał na dworze Aurenzba w Delhi opowiada, jak kupcy tajemniczo i głęboko zakopują swe pieniądze, szczególnie zaś czynią to niemahometanścy poganie, którzy trzymają w swem ręku prawie cały handel i wszystkie pieniądze, „wierzą bowiem, iż złoto i srebro, które za życia zakopują, będzie im służyć na tamtych świecie“³⁾. Zbieracz skarbu jest zresztą, o ile jego ascetyzm jest związanym z silną pracowitością, z religij właściwie protestantem, a jeszcze więcej purytaninem.

„Nie można zaprzeczyć, iż kupno i sprzedaż są rzeczami niezbędnymi, bez których obejść się nie można — szczególnie co do przedmiotów, służących dla potrzeby i honoru, gdyż wszak i patryjarchowie także kupowali i sprzedawali bydło, wełnę, zboże, masło, mleko i inne użyteczności. Są to dary boga, który je z ziemi dostarcza i rozdaje pomiędzy ludzi. Ale zagraniczny handel, który przywozi towary z Kalkuty i Indyj, jak: jedwab, wyroby złote i korzenie, służące jedynie dla zbytku, a nie dla pożytku i wysysające z kraju i ludzi pieniądze, taki handel nie powinien być dozwolonym, chociażbyśmy mieli cały regiment książąt. Ale o tem nie chcę teraz pisać, gdyż spodziewam się, iż z czasem, gdy nie będziemy mieli więcej pieniędzy, ustanie on sam przez się, tak samo, jak zbytek i żarcie i żadne pisanie ani nauczanie tu nie pomoże, dopóki nas bieda i nędza nie przyduszą“⁴⁾.

1) *Free Trade or the means to make Trade flourish etc.* p. 11—13.

2) *Petty. Polit. Arithm.* str. 196

3) François Bernier, *Voyage conte ant la description des états du Grand Mogol*. Paris, 1830, tom I, conf. p. 312—314.

4) Doktor Martin Luther: *Bücher vom Kaufhandel und Wucher*. 1524.

Podczas zaburzeń w społecznej wymianie materji zakopywanie pieniędzy, jako skarbów, ma miejsce nawet w rozwiniętem burżuazyjnym społeczeństwie. Społeczny związek w kompaktnej formie — a dla posiadaczy towarów związek ten polega na towarze, a równoznacznym byt towaru jest pieniądz — zostaje uchronionym przed społecznym ruchem. Społeczny *nervus rerum* zostaje pochowany obok ciała, którego nerwem on jest. Skarb byłby tylko bezużytecznym metalem, pieniężna jego dusza uciekałaby zeń, stałby się on przepalonym popiołem obiegu, jego *caput mortuum*, gdyby się nie znajdował w stanie ciągłego dążenia doń. Pieniądz, czyli usamodzielniona wartość zamienna jest ze swej istoty bytem abstrakcyjnego bogactwa, z drugiej wszakże strony każda dana suma pieniężna jest ilościowo określonym quantum wartości. Ilościowa granica wartości zamiennej jest sprzeczna z jakościową jej powszechnością i zbieracz skarbu odczuwa tę granicę, jako szranki, stojące się w istocie zarazem i jakościowemu, albo też czyniące skarb tylko ograniczonym przedstawielem materjalnego bogactwa. Pieniądz, jako powszechny równoznacznik, bezpośrednio się przedstawia, jakeśmy to widzieli, w równaniu, w którym sam tworzy jeden członek, a nieskończony szereg towarów — drugi. Od wielkości wartości zamiennej jest zależnem to, o ile pieniądz w przybliżeniu się realizuje, jako taki nieskończony szereg, t. j. o ile odpowiada swemu pojęciu wartości zamiennej. Ruch wartości zamiennej, jako wartości, jako automatu, może wogóle na tem tylko polegać, by wyjść poza swą ilościową granicę. Ale wraz z tem, jak ilościowa granica skarbu zostaje przekroczoną, tworzą się nowe szranki, które znowu zniesione być muszą. To nie jakaś określona granica skarbu staje się szrankami, lecz każda wogóle granica. Gromadzenie skarbów nie posiada żadnej wewnętrznej granicy, żadnej miary, lecz jest procesem nieskończonym, który w każdym swym jednorazowym rezultacie zawiera pobudkę dla nowego początku. Jeżeli skarb tylko przez konserwowanie się mnoży, to i naodwrot — tylko przez mnożenie się konserwuje.

Pieniądz jest nie tylko przedmiotem namiętności wzbogacenia się, ale jest zarazem jedynym jej przedmiotem. Ona jest ulotną *auri sacra fames*. Namiętność do wzbogacenia się, w odróżnieniu od namiętności ku specyjalnemu bogactwu, ku oddzielnym naturalnym użytecznościom, jak: odzieży, klejnotom i t. d. staje się możliwa dopiero wtedy, gdy bogactwo powszechne, jako takowe, się indywidualizuje w jednym szczególnym przedmiocie i gdy zatem może być utrzymane jako oddzielny towar. Pieniądz jest więc o tyleż przedmiotem, co i źródłem namiętności do wzbogacenia się. W gruncie mamy tu do czynienia z tem, iż wartość zamienna, jako takowa, a zarazem jej rozmnażanie staje się celem. Skapstwo mocno trzyma skarb, nie pozwalając mu stać się narzędziem obiegu, lecz żąda złota otrzymuje duszę pieniężną skarbu, jego stałe natężenie ku cyrkulacji.

Czynność, zapomocą której skarb zostaje tworzoną, polega z jednej strony na wycofywaniu pieniędzy z obiegu w drodze stałe powtarzanych aktów sprzedaży, a z drugiej — na prostym gromadzeniu, akumulacji. Istotnie, akumulacja bogactwa tylko w sferze zwykłego obiegu i przytem w formie tworzenia skarbów ma miejsce, jak takowa, podczas gdy, jak to później zobaczymy,

inne t. zw. formy akumulacji tylko w drodze nadużycia, tylko przez wspomnienie prostej akumulacji pieniężnej uchodzą za akumulację. Wszystkie inne towary zostają nagromadzone albo jako wartości użytkowe i wówczas sposób gromadzenia jest zależnym od cech, właściwych danej użyteczności: gromadzenie owiec czyni mnie pastuchem, zbieranie niewolników i ziemi czyni niezbędnymi stosunki panowania, poddaństwa i t. d. Tworzenie zapasu szczególnego bogactwa wymaga szczególnych procesów, różnych od prostego aktu zwykłego gromadzenia i rozwija specyjalnie strony indywidualności. Albo też bogactwo, w formie towarów zostaje zbieranem, jako wartość zamienna i wówczas gromadzenie występuje, jako kupiecka czyli specyficznie ekonomiczna działalność. Jej przedstawiciel staje się kupcem zbożowym, kupcem bydła itd. Złoto i srebro są pieniędzmi nie dzięki jakiegokolwiek bądź działalności jednostki, która je zbiera, lecz jako kryształ procesu obiegowego, który postępuje naprzód bez wszelkiego udziału z jej strony. Nie ma ona tu nic do roboty, oprócz odkładania ich na stronę i zbierania jednej wagi złota koło drugiej — jest to działalność zupełnie beztreściwa. Zastosowana do każdego innego towaru pozbawiłaby go wszelkiej wartości.

Nasz zbieracz skarbu występuje, jako mężczyzna wartości zamiennej, światobliwy asceta na szczycie kolumny metalicznej. Idzie mu tylko o bogactwo w społecznej jego formie i dlatego zakupuje on je przed społeczeństwem. Żąda on towaru w jego wciąż zdolnej do cyrkulacji formie i dlatego odsuwa go od obiegu. Marzy on o wartości wymiennej i dlatego nie nie wymienia. Ciekła forma bogactwa i jego skamieniałość, eliksir życia i kamień mądrości. Wmówiwszy w siebie nieograniczoną żądzę używania, odmawia on sobie wszelkiego użycia. Chcąc zadośćuczynić wszystkim społecznym potrzebom, zaspakaja on zaledwie naturalne konieczne potrzeby. Zatrzymując bogactwo w jego metalicznej cielesności, przytłumia on je na zwykłą tkaninę mózgową. W rzeczywistości wszakże gromadzenie pieniędzy dla pieniędzy jest barbarzyńską formą produkcji dla produkcji, t. j. rozwojem sił wytwórczych pracy społecznej poza szranki zwyczajnych potrzeb. Czem mniej rozwinięta jest produkcja towarowa, tem znacznieszem jest to pierwsze usamodzielnienie wartości zamiennej, jako pieniędzy, gromadzenia skarbów, które dlatego też odegrywa znaczną rolę u starożytnych narodów, a w Azji aż do chwili bieżącej, toż samo u starożytnych chłopskich narodów, gdzie wartość zamienna nie objęła jeszcze wszystkich stosunków produkcyjnych. Specyficznie gospodarze funkcja zbierania skarbów wewnątrz metalicznego obiegu będziemy zaraz rozbiierać, ale przedtem wspomnijmy jeszcze o jednej formie gromadzenia skarbów.

Złote i srebrne towary zupełnie niezależnie od ich właściwości estetycznych mogą być zamieniane w pieniądź, o ile materyjały, z których one się składają, są materyjałem pieniężnym, tak samo, jak naodwrot złote pieniądze lub sztaby mogą być zamienione w odpowiednie towary. Ponieważ złoto i srebro stanowią materyjał oderwanego bogactwa, więc największa wystawa bogactwa polega na użyciu ich, jako konkretnych wartości użytkowych, jeżeli posiadacz towarów na pewnym stopniu rozwoju produkcji swoje skarby zakupuje, to jednak nie opuszcza go chęć wystąpienia przed innemi posiadaczami towarów, jako *rico hombre* wszędzie, gdzie tylko z bez-

pieczeństwem to uczynić można. Ożlaca on siebie i dom swój. W Azji, a mianowicie w Indjach, gdzie zbieranie skarbów występuje, nie jak w gospodarce burżuazyjnej, t. j. nie jako podrzędna funkcja mechanizmu ogólnej produkcji, lecz gdzie bogactwo w tej formie jest ostatecznym celem, tam złote i srebrne towary są właściwie tylko estetyczną formą skarbów. W średniowiecznej Anglii złote i srebrne towary były prawnie rozpatrywane tylko jako zwykłe formy skarbu, gdyż wartość ich tylko nieznacznie się zwiększała przez dodawanie surowej pracy. Cel ich polegał na tem, by znowu być wrzuconemi do obiegu, a więc stopień ich dobroci był tak samo przepisany, jak dla monety. Wzrastające użycie złota i srebra, jako przedmiotów zbytku, wraz ze wzrostem bogactwa, jest rzeczą tak zwykłą, iż dla starożytnych była ona zupełnie zrozumiałą, podczas gdy nowocześni ekonomiści ustanowili fałszywe twierdzenie, jakoby użycie złotych i srebrnych towarów się nie zwiększało w stosunku do wzrostu bogactwa, lecz tylko w stosunku do upadku wartości szlachetnych metali. Ścisłe zazwyczaj ich wykazy co do użycia kalifornijskiego i australijskiego złota przedstawiają zatem wciąż niedobór, gdyż wzrost konsumpcji złota, jako surowego materyjału, nie jest usprawiedliwionym podług ich wyobrażeń przez odpowiedni spadek jego wartości.

Od roku 1810 do 1830, dzięki walece amerykańskich kolonii z Hiszpaniją i dzięki przerwie w pracy kopalnianej, wywołanej przez rewolucyjną, roczną produkcją przeciętną szlachetnych metali zmniejszyła się więcej, niż o połowę. Ubytek monety cyrkulacyjnej w Europie wynosił około $\frac{1}{6}$, jeżeli porównać rok 1829 z 1809. Chociaż więc rozmiary wytwarzania się zmniejszyły i koszt produkcji wzrosły, jeżeli wogóle się zmieniły, to tem niemniej konsumpcja szlachetnych metali jako przedmiotów zbytku, wzrosła znacznie w Anglii już podczas wojny, a na kontynencie od czasów pokoju paryskiego. Podniosła się ona wraz ze wzrostem bogactwa powszechnego (Jacob). Można przyjąć za prawo stałe, że przemiana złotych i srebrnych pieniędzy w przedmioty zbytku ma miejsce głównie podczas pokoju i odwrotna ich przemiana w sztaby, lub monetę — podczas okresów burzliwych. O ile stosunek złotego i srebrnego skarbu, istniejącego w kształcie towaru zbytkowego do szlachetnych metali, służących za pieniądze, jest znacznym, możemy wnioskować z tego, iż w roku 1829 stosunek ten podług Jakoba równał się 2 do 1 dla Anglii, a w całej Europie i Ameryce miało istnieć 4 razy więcej szlachetnych metali w przedmiotach zbytku, niż w pieniądzach.

Widzieliśmy, iż obieg pieniędzy jest tylko przejawem metamorfozy towarów, czyli zmienności formy, w której się odbywa społeczna zamiana materyi. Wraz ze zmianą sumy cen towarów, znajdujących się w obiegu czyli z rozmiarami ich jednoczesnych metamorfoz z jednej strony, z każdorazową zaś szybkością ich zmian formy z drugiej musiała się ogólna suma cyrkulującego złota wciąż rozszerzać lub kurczyć, co jest możliwe tylko pod warunkiem, że ogólna ilość pieniędzy istniejących w pewnym kraju znajduje się ciągle w zmiennym stosunku do sumy pieniędzy cyrkulujących. Ten warunek urzeczywistnionym zostaje przez gromadzenie skarbów. Jeżeli ceny spadają, lub szybkość obiegu wzrasta, to rezerwoary skarbowe pochłaniają wyrzuconą z cyrkulacji część pieniędzy; jeżeli, naodwrot,

ceny się podnoszą, lub szybkość obiegu się zmniejsza, to skarby się otwierają i stosowna ilość pieniędzy wraca do cyrkulacji. Skostnienie obiegających pieniędzy w skarby i wylewy skarbów do cyrkulacji jest to stale zmienny, oscylujący ruch, w którym przewaga jednego lub drugiego kierunku zależna jest jedynie od wahań w cyrkulacji towarowej. Skarby występują więc, jako kanały dopływu i odpływu obiegających pieniędzy, tak, że zawsze cyrkuluje tylko taka suma, która jest niezbędną dla zaspokojenia bezpośrednich potrzeb obiegu. Jeżeli rozmiary cyrkulacji ogólnej naraz się rozszerzają i ruchoma jedność kupna i sprzedaży przeważa, tak wszakże, że ogólna suma cen, mających być zrealizowanemi, wzrasta prędzej, niż szybkość obiegu pieniędzy, to skarby widocznie się opróżniają, jeżeli zaś ruch ogólny niezwykle się zwalnia, lub rozdział pomiędzy kupnem i sprzedażą się utwierdza, wówczas narzędzie obiegu w znacznym stopniu kosztuje w pieniądź i rezerwoary skarbowe napełniają się znaczenie ponad zwykły swój poziom przeciętny. W krajach o czysto metalicznym obiegu, lub znajdujących się na stopniu nierozwiniętej produkcji, skarby są nadzwyczaj rozdrobnione i rozsiane po całej powierzchni kraju, podczas gdy w rozwiniętych społeczeństwach burżuazyjnych koncentrują się one w rezerwoarach bankowych. Skarbu nie trzeba mieszać z rezerwą monetarną, która sama stanowi część składową ogólnej sumy pieniędzy znajdujących się wciąż w obiegu, podczas gdy stosunek aktywny skarbu i narzędzia obiegu przypuszcza upadek lub wzrost tamtej sumy ogólnej. Złote i srebrne towary stanowią — jakśmy widzieli — także zarówno kanał odpływu szlachetnych metali, jak i skryte źródło ich dopływu. W zwykłych czasach tylko pierwsza ich funkcja jest ważną dla ekonomii metalicznego obiegu.

b). Narzędzie wypłaty.

Obiedwie formy, w których pieniądź dotychczas się różnił od narzędzia obiegu, były: znajdująca się w zawieszeniu moneta i skarb. Pierwsza forma odbijała w przejściowej przemianie monety w pieniądź, to, że drugi członek $T-P-T$, czyli kupno $P-T$, musi się rozbić wewnątrz określonej sfery obiegowej na szereg następujących po sobie aktów kupna. Tworzenie zaś skarbów spoczywało wprost na odosobnieniu aktu $T-P$, który nie rozwijał się w $P-T$, czyli był tylko samodzielnym rozwojem pierwszej metamorfozy towaru; pieniądź rozwinał się tu w pożyty byt wszystkich towarów w przeciwstawności do narzędzia obiegu, jako do bytu towaru w jego wciąż podlegającej pożywaniu formie. Zapas monetarny i skarb były tylko pieniędźmi, jako nie-narzędzia obiegu, takimi zaś były tylko dlatego, iż nie obiegały. W naznaczeniu zaś, przy którym my obecnie rozpatrujemy pieniądze, one obiegały albo wstępują do obiegu, ale nie we funkcji narzędzia obiegu. Jako narzędzie obiegu pieniądź był wciąż narzędziem kupna, teraz zaś działa on jako nie-narzędzie kupna. Wraz z tem, gdy pieniądź w drodze zbierania skarbu się rozwinał, jako byt abstrakcyjnego społecznego bogactwa i jako materialny reprezentant rzeczywistego bogactwa, to on otrzymuje zarazem w tej swej określoności, jako pieniądź, właściwe funkcje wewnątrz procesu obiegowego. Jeżeli pieniądź obiega, jako zwykłe narzędzie cyrkulacji, zatem, jako narzędzie

kupna, to się przypuszcza, iż towar i pieniądź stoją naprzeciwko siebie jednocześnie, a zatem, że ta sama ilość wartościowa istnieje podwójnie, na jednym biegunie, jako towar w rękę sprzedawcy, a na drugim biegunie, jako pieniądź — w rękę kupca. Ta jednoczesna egzystencja obydwóch równoznaczników na przeciwnych biegunach i ich jednoczesna zmiana miejsc czyli ich wzajemne pozbycie się, każe ze swej strony przypuszczać, iż sprzedawca i kupiec odnoszą się ku sobie tylko, jako posiadacze istniejących równoznaczników. Zarazem proces metamorfozy towarów, który wytwarza rozmaite określoności form pieniędzy, metamorfozuje zarazem posiadaczy towarowych, czyli zmienia społeczne charaktery, w których oni naprzeciw sobie występują. W procesie metamorfozy towaru strzegący go posiadacz zmienia swą skórę tyleż razy, ile razy towar wędruje lub złoto w nowe formy się ścina. Tak początkowo posiadacze towarów stali naprzeciw sobie tylko jako posiadacze towarów, następnie stali się jeden kupcem, drugi sprzedawcą, dalej każdy z nich po kolei to kupcem, to sprzedawcą, dalej zbieraczami skarbów i nareszcie bogatymi ludźmi. W taki sposób posiadacze towarów nie występują z procesu obiegowego takimi, jakimi doń wstąpili. W rzeczywistości rozmaite określone formy, jakie pieniądź w procesie obiegowym otrzymuje, są tylko skryształizowaną zmianą form samych towarów, która ze swej strony jest tylko okolicznościowym wyrażeniem zmiennych stosunków społecznych, w którym posiadacze towarów spełniają swą wymianę materii. W procesie obiegowym występują nowe stosunki handlowe i jako przedstawiciele tych zmiennych stosunków posiadacze towarów otrzymują nowe ekonomiczne charaktery.

Jak w cyrkulacji wewnętrznej pieniądź się idealizuje i zwykły papier, jako przedstawiciel złota spełnia funkcję pieniędzy, tak samo tenże proces nadaje kupcowi lub sprzedawcy, który jako prosty reprezentant złota lub towaru doń wstępuje, to jest, który przedstawia sobą tylko przyszły towar lub pieniądź, wpływ rzeczywistego kupca lub sprzedawcy. Określone formy, w których złoto się w pieniądź rozwija, są tylko rozwinięciem określeń zawartych w metamorfozie towarów, które jednak w zwykłym obiegu pieniężnym, w wystąpieniu pieniędzy jako monety lub w ruchu $T-P-T$, jako w postępującej jedności, nie zostały wyodrębnione w formie samodzielnej, albo też które w odlamaniu się metamorfozy towarowej występowały, jako zwykłe możliwości.

Widzieliśmy, że w procesie $T-P$ towar odnosił się do pieniędzy, jako rzeczywista wartość użytkowa i idealna wartość zamienna, do idealnej wartości użytkowej i rzeczywistej wartości zamiennej. Sprzedawca, pozbawiając się towaru, jako wartości użytkowej, realizuje wartość wymienną towaru i wartość użytkową pieniędzy. Odwrotnie, kupiec, pozbawiając się pieniędzy, jako wartości zamiennej, realizuje wartość użytkową pieniędzy i cenę towaru. Odpowiednio do tego odbyła się zmiana miejsc towaru i pieniędzy. Żywy proces tej dwustronnej biegunowej sprzeczności zostaje na nowo w swem urzeczywistnieniu rozszczepionym. Sprzedawca pozbawia się rzeczywiste towaru i realizuje jego cenę znowu już tylko idealnie. Sprzedawca go on podług jego ceny, która wszakże tylko w czasie późniejszym zrealizowaną zostanie. Kupiec nabywa tylko jako repre-

zentant przyszłych pieniędzy, podczas gdy sprzedawca, jako posiadacz obecnego towaru, sprzedaje. Po stronie sprzedającego, towar, jako wartość użytkowa, zostaje rzeczywiście pozbyty, bez tego wszakże, by on, jako cena, został rzeczywiście zrealizowany. Po stronie kupca pieniądze zostają rzeczywiście zrealizowane w wartości użytkowej towaru, bez tego wszakże, by one, jako wartość zamienna rzeczywiście pozbyte zostały. Zamiast znaku wartościowego, kupiec sam symbolicznie zastępuje sobą pieniądze. Ale tak samo, jak przedtem, ogólna symbolika znaku wartościowego wywoływała gwarancję i kurs przymusowy ze strony państwa, tak samo obecnie osobista symbolika kupca wywołuje prawnie ujęte kontrakty prywatne pomiędzy posiadaczami towarów.

Odwrotnie, w procesie P—T pieniądz może być pozbyty jako rzeczywiste narzędzie kupna i cena towaru może być zrealizowana zanim jeszcze wartość użytkowa pieniędzy zostaje zrealizowana lub zanim sam towar pozbyty zostanie. To odbywa się w codziennej np. formie prenumeraty. Albo też w formie, w jakiej angielski rząd kupuje opium ryotów w Indjach, a w Rosyi — osiadli tam cudzoziemscy kupcy nabywają w tej formie po większej części wytwory rolnicze. W taki sposób wszakże pieniądz działa tylko w znanej formie narzędzia kupna i nie utrzymuje przeto żadnej nowookreślonej formy*).

Nie zatrzymujemy się więc nad ostatnim przypadkiem, zauważymy wszakże ze względu na przemijającą formę, w jakiej obydwa procesy P—T i T—P tu występują, że tylko pomyślana różnica pomiędzy kupnem i sprzedażą, jak ona bezpośrednio w obiegu występuje, staje się teraz rzeczywistą różnicą, ponieważ w jednej formie istnieje tylko towar, w drugiej tylko pieniądz, w obydwa zaś inicjatywa wychodzi od ostatniego. Oprócz tego, obiedwie formy mają jeszcze to wspólne, iż w obydwóch tylko jeden ekwiwalent we wspólnej woli kupca i sprzedawcy istnieje, w woli, która otrzymuje określone formy prawne.

Sprzedawca i kupiec stają się wierzycielem i dłużnikiem. Jeżeli posiadacz towaru, jako stróż skarbu, przedtem grał rolę komiczną, to obecnie staje się on straszny, gdyż już nie siebie samego, ale swych bliźnich pojmuje, jako określone sumy pieniężne i nie siebie samego, lecz ich robi męczennikami wartości zamiennej. Z wierzącego staje się on wierzycielem, z religii, wpada on do prawniczości:

"I stay here on my bond."

W zmienionej więc formie T—P, w której towar istnieje, a pieniądz jest tylko reprezentowany, pieniądz funkcjonuje naprzód, jako miara wartości.

Wartość zamienna towaru zostaje oceniona w pieniądzach, jako w swej mierze, lecz cena, jako wartość zamienna, wymierzona w drodze kontraktu, istnieje nie tylko w głowie sprzedawcy, lecz istnieje zarazem jako miara zobowiązania kupca. Powtórę pieniądz funkcyj-

*) Kapitał wprawdzie zostaje także awansowanym w formie pieniędzy i wypożyczony pieniądz może być wypożyczonym kapitałem, ten wszakże punkt widzenia nie należy do sfery zwykłego obiegu.

nuje tu jako narzędzie kupna, jakkolwiek rzuca on dopiero przed sobą cień przyszłego swego bytu. On przyciąga mianowicie towar z jego miejsca, z ręki sprzedawcy do ręki kupca. Jeżeli termin dla wypełnienia kontraktu się kończy, to pieniądz wstępuje do obiegu, gdyż zmienia miejsce i przechodzi z ręki byłego kupca do ręki byłego sprzedawcy. Ale nie wstępuje on jako środek obiegu lub kupna. Jako takowy, funkcjonował, zanim był obecnym i zjawia się dopiero wówczas, gdy przestał funkcjonować, jako takowy. Wstępuje on raczej do obiegu, jako jedyny, równoznaczny ekwiwalent towaru, jako absolutny byt wartości zamiennej, jako ostatni wyraz procesu wymiennego, krótko: jako pieniądz i przytem jako pieniądz w określonej funkcji powszechnego narzędzia wypłat. W tej funkcji narzędzia wypłat pieniądz występuje, jako towar absolutny, ale wewnątrz samej cyrkulacji, nie zaś zewnątrz takowej, jak to się ze skarbem dzieje. Różnica pomiędzy narzędziem kupna i narzędziem wypłat daje się poznać w sposób bardzo nieprzyjemny w epokach kryzysów handlowych.

Początkowo przemiana towaru w pieniądz występuje w obiegu tylko jako indywidualna konieczność dla posiadacza towarów, o ile jego produkt jest wartością użytkową nie dla niego, ale stanie się dopiero takową w drodze pozbycia się go. By wszakże mógł płacić na termin kontraktowy, powinien on być wprawdzie sprzedawcą towaru. Zupełnie więc niezależnie od jego indywidualnych potrzeb, sprzedaż stała się dlań, dzięki ruchowi procesu obiegowego, społeczną koniecznością. Jako były kupiec jednego towaru, staje się on musowo sprzedawcą innego towaru, by otrzymać złoto nie jako narzędzie kupna, lecz jako narzędzie wypłat, jako absolutną formę wartości zamiennej. Przemiana towaru w pieniądz, jako akt zakończający, czyli pierwsza metamorfoza towaru, jako cel sam w sobie, który w procesie zbierania skarbów wydawał się zależeć od widzimisię posiadacza towarów, stała się obecnie funkcją ekonomiczną. Pobudka i treść sprzedaży dla płacenia przemienia się z formy procesu obiegowego w niezależnie wyrosłą treść jego.

W tej formie sprzedaży towar spełnia swą zmianę miejsca obiega, odkładając swą pierwszą metamorfozę, swą przemianę w pieniądz. Po stronie zaś kupca spełnia się druga metamorfoza, t. j. pieniądz odwrotnie przemienia się w towar, zanim pierwsza metamorfoza spełniona zostaje, t. j. zanim towar przemienił się w pieniądz. Pierwsza metamorfoza występuje więc tu w czasie po drugiej. I zarazem pieniądz, czyli forma towaru w jego pierwszej metamorfozie otrzymuje nowe określenie formy. Pieniądz, czyli samodzielny rozwój wartości zamiennej, nie jest więc formą pośredniczącą obiegu towarowego, lecz jego krańcowym rezultatem. Ze tego rodzaju sprzedaży na czas, w których obydwa bieguny aktu istnieją oddzielone od siebie w czasie, wyrastają w sposób naturalny z prostego obiegu towarów, to nie wymaga szczegółowych dowodzeń. Naprzód sam rozwój cyrkulacji prowadzi to za sobą, iż wzajemne występowanie względem siebie tych samych posiadaczy towarów, jako kupców i sprzedawców, się powtarza.

Powtarzające się zjawisko nie pozostaje tylko przypadkowym, lecz towar zostaje np. obstalowanym na przyszły termin, w którym on ma być dostarczony i zapłacony. W tym wypadku sprzedaż jest

idealną, t. j. jurydycznie dokonaną, ale bez tego, by towar i pieniądź wystąpiły cieleśnie. Obie dwie formy pieniędzy, jako narzędzia obiegu i narzędzia wypłat zlewają się tu jeszcze ze sobą, gdyż raz towar i pieniądź jednocześnie przemieniają swe miejsca, a powtórę pieniądź nie kupuje towaru, lecz realizuje cenę przedtem sprzedanego towaru. Dalej już sama natura całego szeregu wartości użytkowych przynosi to ze sobą, iż one zostają pozbyte nie wraz z faktycznym oddaniem towaru, lecz w drodze pozostawienia takowego na czas określony. Np. jeżeli użycie domu wynajęte zostaje na miesiąc, to wartość użytkowa domu dostarczona zostaje dopiero po upływie miesiąca, chociaż ona już z początku takowego przechodzi z rąk do rąk. Ponieważ faktyczne pozostawienie wartości użytkowej i jej rzeczywiste pozbycie się oddzielają się tu od siebie w czasie, więc realizacja jego ceny odbywa się także później niż zmiana miejsca (przechodzenie z rąk do rąk). Nareszcie różnice w trwaniu i epoce produkowania rozmaitych towarów powodują to, iż jeden występuje jako sprzedawca, podczas gdy drugi jeszcze nie może wystąpić, jako kupiec, a przy częstym powtarzaniu aktów kupna i sprzedaży pomiędzy tymiż samymi posiadaczami towarów, obydwa momenty sprzedaży w ten sposób się rozpadają, odpowiednio do warunków produkcji ich towarów. W ten sposób powstaje pomiędzy posiadaczami towarów stosunek wierzyciela i dłużnika, który wprawdzie stanowi naturalną podstawę systemu kredytowego, ale może być zupełnie rozwinięty, zanim ten ostatni egzystuje. Jasnym jest, że z wytworzeniem systemu kredytowego, a zarazem kapitalistycznej produkcji wogóle, funkcja pieniędzy, jako narzędzia wypłat, wciąż się rozszerza na koszt funkcji ich, jako narzędzia kupna i jeszcze więcej — jako elementu tworzenia skarbów.

W Anglii np. pieniądź jako moneta został wypędzony prawie wyłącznie do sfery handlu detalicznego i drobnego między wytwórcami i spożywcami, podczas gdy on panuje jako narzędzie wypłat w sferze wielkich transakcji handlowych.

Jako powszechne narzędzie wypłat pieniądź staje się powszechnym towarem w kontraktach, początkowo tylko wewnątrz sfery cyrkulacji towarów. Z jego wszakże rozwojem w tej funkcji, wszystkie inne formy wypłat rozpuszczają się powoli w wypłacie pieniężnej. Stopień, do jakiego pieniądź jest rozwiniętym jako wyjątkowe narzędzie wypłat, wskazuje na stopień, w którym wartość zmienna opanowała produkcję włąb i wszędy. Masa pieniędzy, obiegających jako narzędzie wypłat, określa się naprzód przez rozmiar wypłat, t. j. przez sumę cen pozbytych towarów, nie zaś towarów do pozbycia, jak to było w prostym obiegu pieniężnym. W ten sposób określona suma zostaje jednak podwójnie zmodyfikowaną, naprzód przez szybkość, z jaką jedna i ta sama sztuka pieniężna powtarza tę samą funkcję czyli przez szybkość, z jaką masa wypłat przedstawia się jako postępujący łańcuch wypłat. A płaci B, poczem B płaci C i tak dalej. Szybkość, z jaką ta sama sztuka pieniężna powtarza swą funkcję narzędzia wypłat, zależna jest z jednej strony od zespolenia stosunków wierzyciela i dłużnika pomiędzy posiadaczami towarów, tak że jeden i ten sam posiadacz towarów jest wierzycielem względem jednego, dłużnikiem względem drugiego i t. d., z drugiej zaś strony od przerwy, która oddziela rozmaite terminy wypłat. Ten łań-

cuch wypłat czyli dodatkowych pierwszych metamorfoz towarów jest jakościowo różnym od łańcucha metamorfoz, który w obiegu pieniężnym się przedstawia jako narzędzie obiegu. To ostatnie zjawia się nie tylko w czasowym następstwie, lecz staje się dopiero takowem. Towar staje się pieniądzem, potem znowu towarem i daje w ten sposób możność innemu towarowi stania się towarem i t. d., czyli sprzedawca staje się kupcem, przez co inny posiadacz towarów sprzedawcą się staje. Ta współzależność powstaje przypadkowo w samym procesie wymiany towarów. W tem wszakże, że pieniądze, które A zapłacił B, zostają w dalszym ciągu płacone C przez B, D przez C i t. d. i to w szybko po sobie następujących okresach czasu — w tej zewnętrznej zależności występuje tylko już gotowa społeczna zależność na światło dzienne. Ten sam pieniądź przebiega różne ręce nie dlatego, że występuje jako narzędzie wypłaty, lecz, przeciwnie, obiega on jako narzędzie wypłaty dlatego, iż rozmaite ręce już uderzyły o siebie. Szybkość, z jaką pieniądź obiega, jako narzędzie wypłat, wskazuje więc na daleko większe wciągnięcie osobników w proces cykulacji, niż szybkość, z jaką pieniądź obiega w charakterze monety lub narzędzia kupna.

Suma cen jednoczesnych, a przeto w przestrzeni około siebie przypadających aktów kupna i sprzedaży stanowi granicę przy zamieszczeniu sumy monetarnej przez szybkość obiegową. Granica ta ginie dla złota, funkcjonującego jako narzędzie wypłat. Jeżeli wypłaty, mające się odbyć jednocześnie, koncentrują się w jednym miejscu, co w sposób naturalny ma miejsce tylko w wielkich punktach zbornych cyrkulacji towarowej, to wypłaty wyrównują się nawzajem jako dodatnie i ujemne wielkości, gdyż A, mający płacić B, ma zarazem otrzymać od C wypłatę i t. d. Suma więc pieniędzy, niezbędnych jako narzędzie wypłat, zostaje określona nie przez sumę cen, jednocześnie mających się odbyć wypłat, lecz przez większą lub mniejszą ich koncentrację i przez wielkość bilansu, który, po wzajemnem wyrównaniu się tych wypłat, jako dodatnich i ujemnych wielkości, jeszcze pozostaje. Odpowiednie urządzenia dla tych wyrównań powstają bez wszelkiego rozwoju systemu kredytowego, jak np. w starożytnym Rzymie. Rozbiór takowych należy wszakże tutaj także mało, jak i rozbiór powszechnych terminów wypłat, które wszędzie, w określonych sferach społecznych się ustanawiają. Dodajmy tu wszakże jeszcze, iż specyficzny wpływ, jaki te terminy wywierają na peryjodyczne wahania w ilości obiegających pieniędzy, zbadany został w sposób naukowy dopiero w najnowszych czasach.

O ile wypłaty się wyrównują jako dodatnie i ujemne wielkości, o tyle wystąpienie rzeczywistych pieniędzy na scenę nie ma wcale miejsca. Rozwijają się one tu tylko w swej formie miary wartości, z jednej strony w cenie towarów, a z drugiej — w wielkości obustronnych zobowiązań. Oprócz więc swego idealnego bytu, wartość zmienna nie otrzymuje tu żadnego samodzielnego bytu, nie otrzymuje nawet bytu znaku wartościowego, czyli że pieniądź staje się tylko idealnym pieniądzem obrachunkowym. Funkcja więc pieniędzy jako narzędzia wypłat zawiera w sobie tę sprzeczność, że, z jednej strony, o ile wypłaty się wyrównują, pieniądze działają tylko idealnie, jako miara wielkości, a z drugiej, — o ile wy-

platy mają się rzeczywiście odbyć, pieniądze występują nie jako znikome narzędzia obiegowe, lecz jako znajdujący się w spoczynku byt powszechnego równoznacznika, jako absolutny towar, jednym słowem wstępują do obiegu, jako pieniądze.

Tam, gdzie łańcuch wypłat i sztuczny system ich wyrównania został rozwinięty, to przy wstrząśnieniach, które gwałtownie przerywają potok wypłat i powstrzymują mechanizm wyrównawczy, pieniądź odrazu przemienia się w gazowej, w mózgu utkanie swej formy miary wartości, w twardy pieniądź, czyli w narzędzie wypłat. W stanie więc rozwiniętej burżuazyjnej produkcji, gdzie posiadacz towarów oddawna stał się kapitalistą, zna swego Adama Smitha i wytwornie ośmiela przesady, jakoby złoto i srebro były jedynymi pieniędzmi, czyli jakoby pieniądź wogóle, w odróżnieniu od wszelkich innych towarów, był towarem absolutnym, — tam rażąco pieniądź występuje znowu nie jako pośrednik w obiegu, lecz jako jedyna równoznaczna forma wartości ziemnej, jako jedyne bogactwo, zupełnie tak samo, jak to pojmują zbieracze skarbów. Jako taki wyłączny byt bogactwa, przejawiają się pieniądze, nie w idealnej — jak to się dzieje w systemie monetarnym — lecz w rzeczywistej utracie wszelkiego materialnego bogactwa. Jest to szczególny moment kryzysów rynku wszechświatowego, który zowie się kryzysem pieniężnym. *Summum bonum*, którego wówczas wszyscy błągają, jako jedyne bogactwa, jest pieniądź — gotówka, obok której wszystkie inne towary, właśnie dlatego, iż są wartościami użytkowymi, występują jako bezużyteczne, jako błyskotki, zabawki, czyli, jak nasz doktor Luther powiada, jako zwykły strój i fatalaszki.

To gwałtowne przejście z systemu kredytowego do monetarnego dodaje teoretyczny strach do praktycznej paniki i agencji obiegu drżą przed niezbadaną tajemnicą własnych swych stosunków. Wypłaty czynią ze swej strony niezbędnym fundusz rezerwowy, akumulacją pieniędzy, jako narzędzia wypłat. Tworzenie tego funduszu nie wydaje się już, jak to było przy zbieraniu skarbu, czynnością zewnętrzną względem samego obiegu, ani też, jak przy rezerwie monetarnej, technicznym zatrzymaniem się monety, lecz pieniądź musi powoli być nagromadzoną, by być gotową dla przyszłych określonych terminów wypłaty. Podczas więc, gdy zbieranie skarbów w abstrakcyjnej formie, w której ono uchodzi za zubożenie, zmniejsza się wraz z rozwojem burżuazyjnej produkcji, to zbieranie skarbów, wymaganych bezpośrednio przez proces wymienny, wzrasta, czyli raczej część skarbów, tworzących się wogóle w sferze obiegu towarowego, zostaje zaabsorbowaną jako fundusz rezerwowy narzędzi wypłaty. Czem bardziej rozwinięta jest burżuazyjna produkcja, tem bardziej zostają te fundusze rezerwowe ograniczone do niezbędnego minimum. Locke podaje w piśmie swem o znizeniu stopy procentowej ciekawe wiadomości o rozmiarach tych funduszy rezerwowych z jego czasów. Przekonywamy się żeń, jak znaczną część znajdujących się wogóle w obiegu pieniędzy absorbowały rezerwoary narzędzi wypłaty w Anglii w epoce, gdy system bankowy dopiero zaczynał się rozwijać.

Prawo o ilości znajdujących się w obiegu pieniędzy, o ile się ono wyłania z rozbioru prostego obiegu pieniężnego, zostaje zupełnie

zmodyfikowanym przez obieg narzędzi wypłaty. Przy danej szybkości obiegu pieniędzy, czy to jako narzędzi obiegu, czy też wypłaty, ogólna suma pieniędzy cyrkulujących w danym przeciągu czasu określona zostaje przez sumę ogólną mających być zrealizowanymi cen towarowych + suma wypłat przypadających w tej epoce — wypłaty wzajemnie się znoszące w drodze wzajemnego wyrównania. Ogólne prawo, iż masa znajdujących się w obiegu pieniędzy zależy od cen towarowych, nie zostaje dzięki temu bynajmniej naruszone, gdyż sam rozmiar wypłat określa się za pomocą cen kontraktownie ustanowionych. Wykazuje się jednak w sposób uderzający, iż nawet przypuszczenia szybkości obiegu i ekonomii wypłat, jako niezmiennie, to suma cen towarowych, znajdujących się w obiegu podczas określonego peryjodu, naprz. dnia i masa pieniędzy, cyrkulujących w tym samym dniu, bynajmniej wzajemnie się nie pokrywają, gdyż cyrkuluje masa towarów, których cena dopiero w przyszłych pieniądzach zrealizowaną zostanie, a z drugiej strony obiega masa pieniędzy, odpowiadająca towarom, oddawna z obiegu wypadłym. Ta ostatnia masa sama znowu będzie zależną od tego, jak wielką jest suma wartościowa wypłat, przypadających na ten sam dzień, jakkolwiek one są kontraktowane w rozmaitych okresach. Widzieliśmy, iż zmiana w wartości złota i srebra bynajmniej nie dotyka ich funkcyi, jako miary wartości lub pieniędzy obrachunkowych.

Zmiana ta jest wszakże stanowczo ważną dla pieniędzy, jako skarbu, gdyż wraz ze wzrostem lub upadkiem wartości złota lub srebra, wzrasta lub spada wielkość wartościowa złotego lub srebrnego skarbu. Jeszcze ważniejszą jest ta zmiana dla pieniędzy, jako narzędzia wypłat. Wypłata następuje później, niż sprzedaż towaru, czyli że złoto działa w dwóch różnych okresach czasu w rozmaitych funkcyjach, z początku jako miara wartości, potem jako narzędzie wypłaty, odpowiadające temu wymiarowi. Jeżeli w okresie pośrednim wartość szlachetnych metali albo też czas niezbędny dla ich produkcji, się zmienia, to ta sama ilość złota lub srebra, jeżeli występuje jako narzędzie wypłaty, będzie miała wartość mniejszą lub większą niż w chwili, gdy one służyły za miarę wartości, t. j. gdy kontrakt był zawartym. Funkcja szczególnego towaru, np. złota lub srebra, jako pieniędzy czyli usamodzielnionej wartości ziemnej, wpada tu w kolizję z jego naturą szczególnego towaru, którego wielkość wartościowa jest zależną od zmiany w kosztach jego produkcji. Wielka społeczna rewolucja, która wywołała upadek wartości szlachetnych metali w Europie, jest faktem o tyleż znanym, co i odwrotna rewolucja, która się odbyła we wczesnej epoce starożytnej republiki rzymskiej, przez wzrost wartości miedzi, w której długi plebejuszów zawarte zostały. Nie badając wpływu szlachetnych metali na system burżuazyjnej ekonomii, możemy tu odrazu wnosić, iż upadek ich wartości jest korzystnym dla dłużników kosztem wierzycieli i odwrotnie, wzrost ich wartości korzystnym jest dla wierzycieli kosztem dłużników.

c) Pieniądź wszechświatowy.

Złoto staje się pieniądzem w odróżnieniu od monety, jeżeli na-pród wychodzi z obiegu w postaci skarbu, potem wstępuje doń jako

nie-narzędzie cyrkulacji, nareszcie jednak przełamuje ono szranki wewnętrznego obiegu, by funkcjonować w świecie towarów jako powszechny równoznacznik. W ten sposób staje się ono pieniądzem wszechświatowym.

Jak powszechne miary wag szlachetnych metali służyły za pierwotne miary wartościowe, tak samo wewnątrz rynku wszechświatowego nazwy obrachunkowe pieniędzy znowu się przemieniają w odpowiednie nazwy wag. Jak bezforemny surowy metal (*aes rude*) był początkową formą narzędzia obiegowego, a sama forma monetarna — tylko oficjalnym znakiem wagi, zawartej w sztukach metalu, tak samo szlachetny metal, jako moneta wszechświatowa zrzuca ze siebie znowu kształt i wycisk i wpada napowrót w obojętną formę sztabek, czyli jeżeli monety nacyjonalne, jak: imperyały rosyjskie, talary meksykańskie i angielskie sovereigny obiegają za granicą, to ich tytuł staje się zupełnie obojętnym i tylko ich treść posiada wartość. Nareszcie, jako pieniądz międzynarodowy szlachetne metale wykonywują napowrót swą pierwotną funkcję narzędzia wymiany, która, zarówno jak i sama wymiana, powstała nie wewnątrz naturalnie wyrosłych wspólnot, lecz na ich punktach zetknięcia. A więc, jako pieniądz wszechświatowy, pieniądz otrzymuje napowrót pierwotną, naturalną swą formę. Opuszczając cyrkulację wewnętrzną, zrzuca on znowu szczególne formy, które wyrosły z rozwoju procesu wymiennego wewnątrz tych szczególnych sfer, t. j. swe formy lokalne, jako skali cen, monety, monety zdawkowej i znaku wartościowego.

Widzieliśmy, iż w wewnętrznej cyrkulacji pewnego kraju tylko jeden towar służy za miarę wartości. Ponieważ wszakże w jednym kraju spełnia tę funkcję złoto, w drugim — srebro, więc na rynku wszechświatowym istnieje podwójna miara wartości i pieniądz zdawia t. j. swe istnienie we wszystkich innych funkcjach. Przełożenie wartości towarowych z cen wyrażonych w złocie na ceny w srebrze wyrażone i naodwrot, zostaje za każdym razem określone przez stosunkową wartość obydwu metali, która wciąż się zmienia i wydaje się być wciąż w procesie ustanowienia się. Posiadacze towarów każdej wewnętrznej sfery obiegowej zmuszeni są używać naprzemiennie złota i srebra dla zewnętrznego obiegu i w ten sposób muszą wymieniać ten metal, który wewnątrz kraju jest pieniądzem, na inny, którego im trzeba jako pieniądza, dla zagranicy. Każdy więc naród używa obydwu metali, złota i srebra, jako pieniądza wszechświatowego.

W obiegu międzynarodowym towarów złoto i srebro występują nie jako narzędzia cyrkulacji, lecz jako powszechne narzędzia zamiany. Powszechne wszakże narzędzie zamiany funkcjonuje tylko w obydwóch rozwiniętych formach, narzędzia kupna i narzędzia wypłaty, których stosunek na rynku wszechświatowym staje się jednak odwrotnym. W sferze cyrkulacji wewnętrznej złoto wpływało o ile było monetą — o ile przedstawiało sobą pośrednika postępującej jednostki $T - P - T$, czyli tylko znikomą formę wartości zamiennej w nieustannej zmianie miejsc towarów, wyłącznie jako narzędzie kupna. Odwrotnie się dzieje na rynku wszechświatowym. Złoto i srebro występują tu, jako narzędzia zamiany, gdy wymiana materii jest tylko jednostronna, a zatem, gdy kupno i sprzedaż się rozpada. Handel np. graniczny w Kiachcie

jest faktycznie tylko w drodze ugody handlem zamiennym, w którym srebro jest tylko miarą wartości. Wojna z roku 1857 - 58 przynusiła chińczyków do sprzedawania, nie kupując. Srebro odrazu okazało się narzędziem kupna. Ze względu na formę słowną ugody rosyjanie przerabiali francuskie pięciofrankówki na surowy towar srebrny, który służył jako narzędzie wymiany. Srebro funkcjonuje wciąż jako narzędzie kupna między Europą i Ameryką z jednej strony i Azją z drugiej, gdzie ono osiada w formie skarbu. Dalej, szlachetne kruszce funkcjonują jako międzynarodowe narzędzie kupna, gdy zwykła równowaga wymiany materii między dwoma narodami naraz zostaje przerwana, np. w razie nieurodzaju, gdy jeden z nich jest zmuszonym do kupna nadzwyczajnego. Nareszcie, szlachetne metale są międzynarodowym narzędziem kupna w rękach krajów, produkujących złoto i srebro, gdzie one są bezpośrednim produktem i towarem, nie zaś przemienioną formą towaru. Czem bardziej wymiana towarów się rozwija między różnymi nacyjonalnymi sferami cyrkulacji, rozwija się i funkcja pieniądza wszechświatowego, jako narzędzia wypłat dla wyrównania bilansu międzynarodowego.

Międzynarodowa cyrkulacja na równi z obiegiem wewnętrznym wymaga wciąż zmiennej ilości złota i srebra. Przeto też pewna część nagromadzonych skarbów służy u każdego narodu za fundusz rezerwowy pieniądza wszechświatowego, który się raz wypróżnia, to znowu się wypycha, odpowiednio do oscylacji zamiany towarowej. Oprócz szczególnych ruchów, w których ono biegnie tam i napowrót w międzynarodowych sferach cyrkulacyjnych pieniądz wszechświatowy posiada jeszcze powszechny ruch, którego punkt wyjścia się znajduje u źródeł produkcyjnych — złatd rozlewają się złote i srebrne strumienie w rozmaitych kierunkach. Złoto i srebro wstępują tu do obiegu światowego i zostają wymienione, jako równoznaczniki w stosunku do zawartego w nich czasu roboczego na ekwiwalenty towarowe, zanim wpadają do wewnętrznych sfer obiegowych. W tych ostatnich zjawiają się zatem z daną wielkością wartości. Każdy więc wzrost lub upadek w zmianie ich kosztów wytwórczych dotyka równomiernie ich wartość stosunkową na rynku wszechświatowym, która zatem jest zupełnie niezależną od stopnia, w jakim różne nacyjonalne sfery obiegowe pochłaniają złoto lub srebro. Ta część strumienia metalicznego, która zostaje pochwyconą przez każdą szczególną sferę świata towarowego, wchodzi więc częściowo bezpośrednio do wewnętrznego obiegu pieniędzy, dla zamieszczenia zużytych monet, osadza się częściowo w rozmaitych rezerwoarach skarbowych monet, narzędzia wypłat lub pieniądza wszechświatowego, częściowo przemieniona zostaje w artykuły zbytku, podczas gdy reszta ostatecznie staje się po prostu skarbem. Na rozwiniętym stopniu burżuazyjnej produkcji tworzenie skarbów ograniczonym zostaje do tego minimum, którego wymagają rozmaite procesy cyrkulacji dla swobodnego rozwoju ich mechanizmu. Skarb, jako takowy, staje się tu leżącym odłogiem bogactwem — jeżeli nie jest chwilową formą nadmiaru w bilansie wypłat, rezultatem przerwanej wymiany materii, a zatem skostnieniem towaru w pierwszej jego metamorfozie.

Ponieważ złoto i srebro z istoty swej są towarami powszechnymi, więc w pieniądzu wszechświatowym otrzymują odpowiednią swą formę

istnienia. W tym stosunku, w jakim wszystkie towary na nie zostają wymieniane, są one przemienioną formą wszystkich towarów, a zatem i wszechstronnie pozbywalnym towarem. Jako podścielisko powszechnego czasu roboczego, zostają one urzeczywistnione w miarę tego, jak materyjalna wymiana realnej pracy się rozpościera po świecie. Stają się powszechnym równoznacznikiem w tym stopniu, w którym się rozwija szereg oddzielnych ekwiwalentów, stanowiących ich sferę wymienną. Ponieważ towary wszechstronnie rozwijają swą własną wartość wymienną w obiegu wszechświatowym towarów, więc ich postać zamieniona w złoto i srebro występuje, jako pieniądz wszechświatowy.

Podczas więc, gdy nacyje, składające się z posiadaczy towarów w drodze wszechstronnego przemysłu i powszechnej wymiany, przetwarzają złoto w równoznaczny pieniądz, to przemysł i wymiana wydają się im tylko środkami, by pieniąż w postaci złota i srebra odciągnąć od rynku wszechświatowego. Złoto i srebro, jako pieniąż wszechświatowy, są zatem zarówno produktem powszechnej cyrkulacji towarowej, jak i środkiem rozszerzenia jej granic. Tak samo, jak za plecami alchemistów, którzy chcieli robić złoto, wzrastała chemija, wyrosło za plecami posiadaczy towarów, którzy chcieli gonić za towarem w jego zaczarowanej formie, źródło przemysłu i handlu wszechświatowego. Złoto i srebro pomagają do utworzenia rynku wszechświatowego, ponieważ w swem pojęciu pieniężnem antycypują jego byt. Ze ta ich działalność czarodziejska nie jest bynajmniej og aniczoną latami dziecinnymi burżuazyjnego społeczeństwa, lecz że wyrasta ona koniecznie z odwrotnego stosunku, w jakim przedstawicielom świata towarowego ich własna praca społeczna się przedstawia, dowodzi nadzwyczajny wpływ, jaki wywarło odkrycie nowych złotodajnych krajów w środku XIX stulecia.

Na równi z tem, jak pieniąż się rozwija w pieniąż wszechświatowy, posiadacz towarów rozwija się w kosmopolitę. Kosmopolityczny stosunek ludzi pomiędzy sobą jest początkowo tylko ich stosunkiem, jako posiadaczy towarów. Towar sam przez się wynosi się ponad wszelkie religijne, polityczne, nacyjonalne i językowe szranki. Powszechny jego język jest to cena, a jego byt ogólny jest pieniążem. Lecz wraz z rozwojem pieniąża wszechświatowego w przeciwieństwie do monety krajowej, rozwija się kosmopolityzm posiadaczy towarów, jako wiara w rozsadek praktyczny, w przeciwieństwie do przyrodzonych, religijnych, nacyjonalnych i innych przesądów, które powstrzymują wymianę materyi wśród ludzkości. Gdy to samo złoto, które w formie amerykańskiego *eagle's'a* wędruje po Anglii, stając się *sovereign'em* i które w 3 dni potem w Paryżu, jako napoleon obiega i po kilku tygodniach występuje w Wenecyi, jako dukat, zachowując wszakże wciąż tę samą wartość, wówczas posiadaczowi towarów jasnem się staje, iż narodowość *is but the guinea's stamp*. Wzniosła idea, w którą się dlań świat cały przetwarza, jest idea rynku — rynku wszechświatowego.

4. Szlachetne metale.

Proces burżuazyjnej produkcji owłada naprzód metalicznym obiegiem, jako gotowym, już istniejącym organem, który wprawdzie

zostaje powoli przekształconym, który wszakże zachowuje swą zasadniczą budowę. Pytanie, czemu w miejscu innych towarów złoto i srebro służą za materyjał pieniężny, przypada poza granicę burżuazyjnego systemu. Dlatego też zbieramy tylko sumarycznie główne punkty widzenia.

Ponieważ powszechny czas roboczy dopuszcza tylko ilościowe różnice, to przedmiot, służący za jego specyficzne wcielenie musi być podatny do przedstawienia czysto ilościowych różnic przy tej jednakowej i jednokształtnej jakości. Jest to pierwszy warunek dla funkcjonowania towaru, jako miary wartości. Jeżeli np. oceniam wszystkie towary zapomocą wołów, skór, zboża i t. d., to muszę je w rzeczywistości oceniać za pomoca przecięciowych wołów, skór, zboża, gdyż wół od wołu, skóra od skóry, zboże od zboża jakościowo się różnią. Złoto zaś i srebro są, jako ciała proste, wciąż też same i jednakowe ich ilości zawsze przedstawiają wciąż jednakową wartość. Drugi warunek niezbędny dla towarów, mających służyć za powszechny równoznacznik, warunek wypływający z funkcji przedstawiania czysto ilościowych różnic, polega na tem, by towar taki był podzielnym na dowolne części i by takowe mogły napowrót dowolnie być złożone, tak by pieniąż obrachunkowy i zmysłowo mógł być przedstawiony. Złoto i srebro posiadają te właściwości w nadzwyczajnym stopniu.

Jako narzędzia obiegu, złoto i srebro posiadają tę wyższość ponad innemi towarami, iż przy wielkiej wadze specyficznej (gdyż zawierają wielki stosunkowo ciężar w małej objętości) posiadają i znaczną ekonomicznie wagę stosunkową, t. j. iż zawierają wiele czasu roboczego czyli wartości zamiennej w małej objętości. W ten sposób zostaje urzeczywistnioną łatwość transportu, oddania z ręki do ręki, z kraju do kraju, zdolność szybkiego zjawienia się i zniknięcia, jednym słowem, materyjalna ruchliwość, to *sine qua non* towaru, mającego służyć za *perpetuum mobile* procesu obiegowego.

Znaczna wartość stosunkowa szlachetnych metali, ich trwałość, stosunkowa niezniszczalność, niepodległość wpływom powietrza, nierozpuszczalność złota, szczególnie w kwasach, oprócz wody królewskiej, wszystkie te właściwości przyrodzone czynią ze szlachetnych metali naturalny materyjał dla tworzenia skarbów. Piotr męczennik, który, o ile się wydaje, był wielkim amatorem czekolady, czyni z tego powodu następującą uwagę o workach kakao, które stanowiły jeden z rodzaju meksykańskich pieniędzy:

O, felicem monetam, que suavem utilemque praebebat humano generi potum, et a tartarea peste avaritiae suos immunes servat possasorem, quod suffodi aut diu servari nequeat. (De orbe novo.)

Wielkie znaczenie metali wogóle wewnątrz bezpośredniego procesu wytwarzania, jest zależnem od ich funkcji, jako narzędzi wytwarzania. Niezależnie od ich rzadkości, wielka miękkość złota i srebra w porównaniu z żelazem, albo nawet z miedzią czyni je nieodpowiedniami do tego użytku i pozbawia je zatem w znacznym stopniu tej właściwości, w której spoczywa wartość użytkowa metali wogóle. O ile są bezużytecznymi wewnątrz procesu bezpośredniej produkcji, o tyle niekoniecznymi są one, jako środki życia, jako przedmioty spożycia. Każda dowolna ich ilość może zatem wejść do procesu społecznej cyrkulacji, nie nadwierzając wcale procesów

bezpośredniego wytwarzania, lub spożycia. Indywidualna ich wartość użytkowa nie staje w sprzeczności z ich ekonomiczną funkcją. Z drugiej strony złoto i srebro są nie tylko negatywnie zbyteczne, t. j. niekonieczne przedmioty, lecz estetyczne ich właściwości czynią z nich naturalny materiał wszelkiego rodzaju upiększeń, świątecznych potrzeb, krótko mówiąc, pozytywną formę zbytku i bogactwa. Występują one do pewnego stopnia, jako samorodne światło, które zostaje wygrzebanem ze świata podziemnego, gdyż srebro odbija wszystkie promienie świetlne w pierwotnym ich zmieszaniu, złoto zaś — najwyższą potencją koloru: czerwony. Zmysł kolorów jest wszakże najbardziej popularną formą estetycznego smaku w ogóle. Etymologiczna zależność imion szlachetnych metali od stosunków kolorów w rozmaitych indo-germańskich językach została wykazana przez Jakóba Grimma (patrz jego „Historję języka niemieckiego“). Nareszcie zdolność złota i srebra do przechodzenia z formy monetarnej w formę sztab, z tych ostatnich w przedmioty zbytku i odwrotnie, a zatem ich przewaga ponad innymi towarami, polegająca na tem, iż nie są związane z daną określoną formą użytkową, czyni je naturalnym materiałem dla pieniędzy, które wciąż muszą przechodzić z jednej formy w drugą. Natura o tyleż nie wytwarza pieniędzy, co i bankierów, lub kursu wekslowego. Ponieważ wszakże burżuazyjna produkcja musi krystalizować bogactwo jako fetysz w formie jednego, jednego przedmiotu, więc złoto i srebro są odpowiedniemi jego wcieleniem. Złoto i srebro nie są z natury pieniędzmi, ale pieniądzą są z natury złotem i srebrem. Z jednej strony srebrny lub złoty kryształ pieniężny jest nie tylko wytworem procesu obiegowego, ale faktycznie jedynym jego spoczywającym wytworem. Z drugiej strony złoto i srebro są to gotowe produkty naturalne, a jednym i drugim są bezpośrednio nie oddzielone żadną różnicą form. Ogólny wytwór procesu społecznego, czyli proces społeczny sam jako wytwór jest oddzielnym produktem naturalnym, jest metalem, tkwiącym we wnętrznościach ziemi i wydobywalnym.

Widzieliśmy, że złoto i srebro nie są w stanie zadośćuczynić wymaganiom, stawianemu pieniądзом, by pozostawały wartościami niezmiennymi. Posiadają one wszakże — jak już Arystoteles zauważył — stałą wielkość wartościową, niż przeciętna innych towarów. Pozostawiając na stronie powszechny wpływ aprecjacji lub deprecjacji szlachetnych metali, to wahania stosunku wartościowego złota i srebra są szczególnej wagi, gdyż obydwa obok siebie występują na rynku wszechświatowym, jako materiały pieniężne. Czysto ekonomiczne podstawy tej zmiany wartościowej — podbój i inne polityczne przewroty, które w świecie starożytnym wywierały olbrzymi wpływ na wartość metali, działają lokalnie tylko i chwilowo — muszą być sprowadzone na zmiany w ilości czasu roboczego, niezbędnego dla wytworzenia tych metali. Czas zaś sam zależeć będzie od stosunkowej ich naturalnej rzadkości, zarówno jak i od większej lub mniejszej trudności, jaką przedstawia ich wydobycie w czysto metalicznym stanie.

Złoto jest w rzeczywistości pierwszym metalem, który człowiek wynajduje. Z jednej strony sama natura przedstawia je w czysto krystalicznej formie, zindywidualizowane, nie związane chemicznie z innymi ciałami, czyli — jak alchemicy mówili — w stanie dzie-

wieczym, z drugiej strony sama natura bierze na siebie stronę technologiczną w wielkich przemysłach złota, w rzekach. Ze strony człowieka jest więc wymagana w ten sposób najzwyklejsza tylko praca, czy to dla добыcia złota z rzeki, czy też z nabrzmiałej ziemi, podczas gdy otrzymywanie srebra każe przypuszczać pracę kopalnianą i w ogóle stosunkowo wysoki rozwój techniki. Pomimo więc mniejszej swej absolutnej rzadkości początkowa wartość srebra jest stosunkowo większa, niż wartość złota. Zapewnienia Strabona, iż u pewnego plemienia Arabów dawano 10 funtów złota za 1 funt żelaza i 2 funty złota za 1 funt srebra, nie wydaje się bynajmniej nieprawdopodobnem. W miarę wszakże tego, jak siły wydajne pracy społecznej się rozwijają i jak zatem produkt pracy prostej drożeje w porównaniu z produktem pracy złożonej, w miarę tego, jak kora ziemiska wszechstronniej zostaje rozłamywana i jak początkowe, powierzchniowe źródła przyływu złota wysychają, — wartość srebra spada w stosunku do wartości złota. Na danym stopniu rozwoju technologii i środków komunikacji, odkrycie nowych złoto- i srebrodajnych krajów spada decydująco na szalę. W starożytniej Azji stosunek złota do srebra był jak 6 do 1 lub jak 8 do 1; ten ostatni miał miejsce jeszcze w początkach XIX-go stulecia w Chinach i Japonii. Za czasów Xenofonta stosunek ten był 10 do 1 i on może być rozpatrywany jako stosunek przeciętny dla całej starożytności. Eksploatacja hiszpańskich kopalni srebra przez Kartaginę, a później przez Rzym, wpływało w starożytności mniej więcej w ten sam sposób, jak odkrycie amerykańskich kopalni na nowożytną Europę.

Za czasów rzymskich cesarzy 15 lub 16 do 1 może być przyjęte za przeciętny stosunek, chociaż często spotykamy w Rzymie głębokie deprecjacje srebra. Ten sam ruch rozpoczynając ze stosunkowej deprecjacji złota i kończąc z upadkiem wartości srebra, powtarza się w następnej epoce, która się rozciąga od wieków średnich aż do czasów nowych.

Jak za czasów Ksenofonta stosunek przeciętny w wiekach średnich wynosi 10 do 1, a skutkiem odkrycia kopalni amerykańskich zmienia się znowu na 16 lub 15 do 1. Odkrycie australijskich, kalifornijskich i kolumbijskich źródeł złota czyni ponowny spadek wartości złota prawdopodobnym.

C). Teoryje narzędzi obiegu i pieniędzy.

Jak powszechna żądza złota gnała ludy i książęta w XVI-tem i XVI-tem stuleciu, w okresie dzieciństwa współczesnej mieszczańskiej społeczności, na krucjaty zamorskie, po złote runo, tak samo pierwsi tłumacze nowego świata, twórcy systemu monetarnego, którego wariantem tylko jest system merkantylny, ogłosili złoto i srebro, t. j. pieniądź za jedyne bogactwo. Zupełnie słusznie upatrywali oni zadanie burżuazyjnego społeczeństwa w robieniu pieniędzy, t. j. — z punktu widzenia zwykłego obiegu — w tworzeniu skarbu, którego nie żrą ani mól, ani rdza. Odpowiedź na system monetarny znajdujemy nie w tem, iż tona żelaza o cenie 3 funtów szterlingów posiada takąż wielkość wartościową, co i 3 funty złota. Chodzi tu nie o wielkości wartości zamiennej, lecz o równoznaczną jej formę. Jeżeli system monetarny i merkantylny wyróżniają handel wszechświatowy

i bezpośrednio doń wpadające gałęzie pracy narodowej, jako jedyne, rzeczywiste źródło bogactwa czyli pieniędzy, to trzeba przyjąć pod uwagę, iż w epoce ówczesnej większa część produkcji nacyjonalnej obracała się jeszcze we formach feudalnych i służyła za bezpośrednie źródło spożycia samych wytwórców. Produkty nie przemieniały się po największej części w towary, ani w pieniądź, nie wchodziły wogóle w powszechny społeczny obieg materii, nie zjawiały się zatem uprzedmiotowaniem powszechnej pracy abstrakcyjnej i nie tworzyły w rzeczywistości bogactwa burżuazyjnego. Pieniądz, jako cel obiegu, jest wartością zamienną czyli abstrakcyjnym bogactwem, nie zaś jakimś materialnym jego elementem, który stanowi cel i pobudkę produkcji. Zupełnie zgodnie ze stanem początkowym produkcji burżuazyjnej zapoznani ci prorocy trzymali się czystej, dotykanej i świecącej się formy wartości zamiennej, formy towaru. Właściwie burżuazyjną sferą ekonomiczną ówczesną była sfera obiegu towarowego. Z punktu widzenia tej sfery elementarnej sądzili oni zatem o całym, nadzwyczaj złożonym procesie produkcji burżuazyjnej i mieszała pieniądź z kapitałem. Niewyczerpana walka nowoczesnych ekonomistów przeciw systemowi monetarnemu i merkantylnemu w znacznym stopniu pochodzi ztąd, iż system ten wypaplał w sposób brutalno-naiwny tajemnicę burżuazyjnej produkcji, jej opanowanie przez wartość zamienną. Ricardo, wprawdzie we fałszywym zastosowaniu, czyni gdzieś uwagę, iż nawet w czasach głodu chleb wprowadzonym zostaje nie dlatego, iż naród się głodzi, lecz dlatego, iż kupiec zbożowy robi pieniądź. W swojej więc krytyce systemu monetarnego i merkantylnego polityczna ekonomia chybia pod tym względem, iż uważa ten system za proste złudzenie i jako na takową, fałszywą teorię napada, a nie uznaje w niej barbarzyńskiej formy swego własnego niegdyś istnienia. Oprócz tego system ten otrzymuje nietylko prawo historyczne, ale zarazem w niektórych sferach nowoczesnej ekonomii zupełne prawo obywatelstwa. Na wszystkich stopniach burżuazyjnego procesu produkcji, na których bogactwo przybiera elementarną formę towaru — wartość zamienną przybiera formę elementarną pieniędzy i we wszystkich fazach procesu wytwórczego bogactwo zawsze napowrót wpada na chwilę w ogólną elementarną formę bogactwa. Nawet w najbardziej rozwiniętej ekonomii burżuazyjnej specyficzne funkcje złota i srebra, jako pieniędzy, w odróżnieniu od ich funkcji jako narzędzi obiegu i w przeciwstawieniu do wszystkich innych towarów, zostają niezgłndzone, lecz tylko ograniczone — a więc systemy monetarny i merkantylny zachowują swe prawo. Fakt katolicki, iż złoto i srebro, jako bezpośrednio wcielenie pracy społecznej, a więc jako byt abstrakcyjnego bogactwa, występują naprzeciw innych profanicznych towarów, obraza — rozumie się — protestancki *point d'honneur* burżuazyjnej ekonomii i ze strachu przed pieniędzmi systemu monetarnego utraciła ona na długi czas sąd o zjawiskach obiegu pieniężnego, jak to pokazuje następujący wykład.

Nie dziwne, iż w przeciwieństwie względem systemów monetarnego i merkantylnego, które znają pieniądź tylko w formie krystalicznego wytworu cyrkulacji, klasyczna ekonomia pojęła go w jego postaci płynnej, jako formę wartości zamiennej, wytwarzającą się wewnątrz samej metamorfozy towarowej i znikomą. Gdy więc

obieg towarowy pojmowany jest wyłącznie we formie T—P—T, ta zaś ostatnia wyłącznie jako postępująca jedność kupna i sprzedaży, to pieniądź utwierdza się w swej określonej formie narzędzia obiegu wobec swej formy pieniądza. Jeżeli samo narzędzie obiegu wyodrębnia się w swej funkcji jako moneta, to przemienia się ono, jakęśmy widzieli, w znak wartościowy. Ponieważ wszakże dla ekonomii klasycznej obieg metaliczny był panującą formą obiegu wogóle, więc pojmuje ona metaliczny pieniądź, jako monetę, a monetę metaliczną jako prosty znak wartościowy. Odpowiednio do prawa cyrkulacji znaków wartościowych, zostaje w ten sposób ustanowione prawo, iż ceny towarów zależą od masy obiegających pieniędzy, nie zaś odwrotnie: iż masa obiegających pieniędzy zależy od cen towarowych. Znajdujemy ten pogląd u włoskich ekonomistów XVII stulecia mniej lub więcej zaznaczonym, Locke raz go przyjmuje, to znowu odrzuca, dalej znajdujemy go zupełnie rozwiniętym w *Spektatorze* (Nr z 19 List. 1711) i nareszcie u Montesquieu i Hume'a. Ponieważ Hume wogóle może być rozpatrywany, jako najznacześniejszy przedstawiciel tej teorii z XVIII stulecia, więc od niego rozpoczynamy nasz przegląd.

Przy pewnych założeniach wydaje się, jakoby pomnożenie lub zmniejszenie czy to znajdujących się w obiegu pieniędzy metalicznych, czy też znaków wartościowych, wpływało równomiernie na ceny towarowe. Jeżeli wartość złota lub srebra spada lub się wznosi, to ponieważ wartości zamienne towarów za pomocą nich określane zostają, jako ceny, te ostatnie wzrastają lub spadają, gdyż ich miara wartościowa się zmieniła i większa lub mniejsza ilość srebra i złota obiega w postaci monety, gdyż ceny wzrosły lub spadły. Oczywiście wszakże zjawiskiem jest zmiana cen, przy niezmienniej wartości towarów, wraz ze wzrostem lub zmniejszeniem się ilości narzędzi obiegu. Jeżeli z drugiej strony ilość obiegających znaków wartościowych wznosi się nad lub spada niżej niezbędnego poziomu, to zostaje ona gwałtownie doń sprowadzona przez spadek lub wzrost cen towarowych. W obydwu wypadkach wydaje się, jakoby ten sam skutek wywołany został przez tę samą przyczynę i tego pozorów Hume trzyma się mocno.

Wszelkie naukowe badanie stosunku pomiędzy ilością narzędzi obiegu i ruchem cen towarowych musi przyjąć wartość materiału pieniężnego za daną. Hume przeciwnie rozpatruje wyłącznie epoki rewolucyj w wartości samych szlachetnych metalów, a zatem rewolucyj zachodzących w mierze wartości. Wzrost cen towarowych jednocześnie z przybyciem pieniędzy metalicznych od czasów odkrycia kopalni amerykańskich stanowi historyczne podścielisko jego teorii, zarówno jak polemika przeciw systemom monetarnemu i merkantylistycznemu pokazała jej praktyczną pobudkę. Przyływ szlachetnych metali może naturalnie się zwiększać przy niezmiennych kosztach ich produkcji. Z drugiej strony zmniejszenie ich wartości, t. j. czasu roboczego, niezbędnego dla ich wytworzenia, okaże się dopiero w drodze zwiększonego ich przywozu. Zatem — mówili późniejsi uczniowie Hume'a — zmniejszenie wartości szlachetnych metali występuje na jaw w drodze zwiększenia masy narzędzi cyrkulacji, a wzrost tej ostatniej — we wzroście cen towarowych. Faktycznie wszakże wzrasta cena tylko wywożonych towarów, które wymieniają się na złoto i srebro

jako na towar nie zaś jako na narzędzie cyrkulacji. Tak wzrasta cena tych towarów, które oceniano złotem i srebrem w spadłej wartości, wobec innych towarów, których wartość zamienna i nadal ocenianą zostaje złotem i srebrem o skali ich dawnych kosztów produkcyjnych. To podwójne ocenianie wartości towarów może naturalnie w tym samym kraju być tylko czasowe i ceny, wyrażone w złocie lub srebrze muszą się wyrównać w proporcjach^{*)} oznaczonych przez same wartości zamienne, tak, by ostateczne wartości wszystkich towarów były oceniane odpowiednio do nowej wartości materiału pieniężnego.

Rozwój tego procesu o tyleż tu nie należy, jak rodzaj i sposób, za pomocą którego wartość zamienna towarów się przebiega przez wahania cen rynkowych. Ze wszakże to wyrównanie w mniej rozwiniętych epokach produkcji burżuazyjnej odbywa się bardzo powoli i w ciągu długich okresów, a w każdym razie, że ono nie odbywa się równocześnie ze wzrostem obiegającej gotówki — tego dowiodły w sposób uderzający nowe krytyczne badania ruchu cen towarowych w XVI stuleciu. Zupełnie niesłuszne są ulubione przez uczniów Hume'a zsyłania się na wzrost cen w Rzymie starożytnym wskutek podboju Macedonii, Egiptu i Małej Azji. Właściwie świata starożytnemu nagle i gwałtownie przenoszenie nagromadzonych skarbów pieniężnych z jednego kraju do drugiego, chwilowa redukcja kosztów wytwórczych szlachetnych metali dla pewnego kraju za pomocą zwykłego procesu grabieży, o tyleż nie dotyczy wewnętrznych praw obiegu pieniężnego, co i np. daremny podział egipskiego i sytylijskiego chleba w Rzymie nie dotyczył ogólnego prawa, które reguluje cenę zboża. Szczegółowy rozbiór obiegu pieniężnego wymagał materiału: raz porządnej historii cen towarowych, powtórze oficjalnej i stałej statystyki rozszerzenia i zwężenia cyrkulującego medium, przypływu i odpływu szlachetnych metali itp. materiału, który wogóle dopiero wraz z zupełnie rozwiniętym ustrojem bankowym się pojawia — rozumie się, że brakło takowego Hume'owi, jak i wszystkim innym pisarzom XVII stulecia.

Teoryja obiegu Hume'a zawarta jest w następujących zdaniach:

1) Ceny towarów w pewnym kraju określają się przez masę znajdujących się w takowym pieniądzu (realnych lub symbolicznych).
2) Pieniądze, obiegające w pewnym kraju, reprezentują wszystkie jego bogactwa. W stosunku, w jakim ilość reprezentantów, tj. pieniądzu wzrasta, na każdego z nich przypada więcej lub mniej reprezentowanych rzeczy.

3) Jeżeli towary się mnożą, to cena ich spada, czyli wartość pieniądzu wzrasta. Jeżeli zaś ilość pieniądzu się zwiększa, to naodwrot cen towarów wzrastają, a wartość pieniądzu spada.

„Drożyna wszystkich rzeczy — powiada Hume — wskutek nadmiaru pieniądzu jest szkodliwą dla każdego istniejącego handlu, gdyż pozwala uboższym krajom przekupić bogatsze na wszystkich cudzoziemskich rynkach^{*)}. Jeżeli rozpatrujemy jeden naród sam przez się, to nie wywiera żadnego, ani dobrego, ani złego wpływu ta okoliczność, czy jest dużo lub mało pieniądzu dla liczenia lub reprezentowania towarów, tak samo zupełnie, jak bilans pe-

wnego kupca nie zmieniłyby się, gdyby w swej buchalterii używał zamiast arabskiego systemu liczenia, wymagającego mało cyfr, rzymski, który daleko większej ilości takowych wymaga. Możemy nawet powiedzieć, iż większa ilość pieniędzy, tak samo, jak i rzymski system liczenia jest niedogodnym i wymaga więcej mozołu, zarówno przy przechowaniu, jak i przy transporcie takowych¹⁾. By wogóle czegokolwiekbaż dowieść, Hume musiałby pokazać, iż przy danym systemie znaków liczebnych, masa użytych cyfr jest niezależną od wartości liczebnej, lecz że ta ostatnia, naodwrot, zależy od masy użytych znaków. Jest to zupełnie słusznym, iż nie przedstawia to żadnej korzyści, czy się ocenia lub „liczy“ wartości towarów w złocie lub srebrze o zmniejszonej wartości i dlatego też wraz ze wzrostem sumy wartościowej obiegających towarów uważano wciąż za rzecz wygodniejszą liczyć w srebrze, niż w miedzi i w złocie, niż w srebrze. W miarę tego, jak się zbogacały narody, zamieniały metale mniej wartościowe na monetę pomierniczą, a bardziej wartościowe na pieniądze.

Z drugiej strony Hume zapomina, że dla obliczenia wartości w złocie lub srebrze, ani złoto ani srebro nie powinny być „obecne.“ Pieniądz obrachunkowy i narzędzie obiegu zlewają się dlań i obydwa są monetą (*coin*). Z tej okoliczności, że zmiana w mierze wartości lub szlachetnych metali, służących za pieniądze obrachunkowe, podnosi lub niża ceny towarowe, a zatem i sumę cyrkulujących pieniędzy, przy niezmienniej ich szybkości obiegowej, Hume wnioskuje, iż wzrost lub spadek cen towarowych zależy jest od ilości obiegających pieniędzy. Ze w XVI i XVII stuleciu nietylko zwiększyła się ilość złota i srebra, ale zarazem spadły koszty ich produkcyjne, to mógł Hume zauważyć z zamknięcia kopalń europejskich. W XVI i XVII stuleciach ceny towarowe wzrosły w Europie wraz z masą importowanego z Ameryki złota i srebra; a zatem ceny towarowe w każdym kraju określone zostają przez masę znajdującego się w nich złota i srebra. To było dla Hume'a pierwsza „konieczna konsekwencja“²⁾. W XVI i XVII stuleciach ceny wzrosły nierównomiernie z przypływem szlachetnych metali; więcej niż pół wieku upłynęło, zanim jakkolwiek zmiana cen towarowych dostrzedz się dała, a nawet i potem długo jeszcze trwało, zanim wartości zamienne towarów powszechnie były oceniane odpowiednio do niższej wartości złota i srebra, t. j. zanim rewolucja objęła ceny w sposób powszechny. A zatem — wnioskuje Hume, który w przeciwieństwie z zasadami swej filozofii jednostronnie spostrzeżone fakty bezkrytycznie w ogólne twierdzenia zamienia — cena towarów lub wartość pieniądzu określa się nie przez absolutną masę znajdujących się w pewnym kraju pieniędzy, lecz raczej przez ilość złota i srebra, która rzeczywiście wchodzi do obiegu, ale ostatecznie musi całe, znajdujące się w pewnym kraju złoto i srebro, zostać, jako moneta, zabsorbowane przez cyrkulację. Oczywiście jest rzeczą, że jeżeli złoto i srebro posiadają własną wartość niezależnie od wszystkich innych praw obiegu, to tylko pewna, określona ilość złota i srebra może obiegać jako ekwiwalent dla danej sumy wartości towarowych. Jeżeli więc każda,

^{*)} David Hume. *Essays and treatises on several subjects*. London, 1777, p. 300.

1) David Hume l. c. p. 303.

2) D. Hume, l. c. p. 303.

przypadkowo w pewnym kraju znajdująca się ilość złota i srebra bez względu na sumę wartości towarowych, musi wchodzić do zamiany towarowej, jako narzędzie zamiany, to złoto i srebro nie posiadają żadnej wewnętrznej wartości i nie są zatem rzeczywistymi towarami. To jest trzecia „niezbędna konsekwencja“ Hume'a.

Wpuszcza on do procesu obiegowe towary bez ceny, a złoto i srebro bez wartości. Nie mówi on też zatem nigdy ani o wartości towarów, ani o wartości złota, lecz jedynie o ich zobopólnej ilości. Już Locke powiedział, jakoby złoto i srebro miało tylko konwencjonalną i wyobraźną wartość; jest to pierwsza brutalna forma przeciwności twierdzeniom monetarnego systemu, iż tylko złoto i srebro posiadają wartość prawdziwą.

To, że byt pieniężny złota i srebra pochodzi jedynie z ich funkcji w procesie społecznej wymiany, zostaje w ten sposób wytłumaczone, jakoby one własną swą wartość, a zatem i wielkość tej wartości społecznej funkcji zawdzięczają. Złoto i srebro są zatem bezwartościowe rzeczy, ale wewnątrz procesu obiegowego otrzymują one fikcyjną wielkość wartościową, jako przedstawiciele towarów. Dzięki temu procesowi, zostają one przemienione nie w pieniądź, lecz w wartość. Ta ostatnia określona zostaje przez proporcję między ich własną masą a masą towarów, gdyż obiedwie powinny się pokrywać. Podczas więc, gdy Hume wpuszcza złoto i srebro, jako nie-towary do świata towarowego, to odwrótnie, zamienia on je, jak tylko w określonej monetarnej formie występują, w zwykłe towary, które przez prosty handel wymienny z innymi towarami się zamieniają. Gdyby więc świat towarowy się składał z jednego, jednego towaru np. z 1 miliona kwarterów zboża, to moglibyśmy bardzo łatwo sobie przedstawić, iż jeden kwarter zamienia się na 2 uncje złota, jeżeli istnieją 2 miliony uncji złota, a na 20 uncji, jeżeli 20 milionów uncji złota istnieje, a zatem, że cena towarów i wartość pieniędzy wzrastają lub spadają w stosunku odwrotnym do istniejącej ilości pieniędzy. Ale świat towarowy składa się z nieskończenie rozmaitych wartości użytkowych, których wartość stosunkowa bynajmniej się nie określa przez ich stosunkową ilość. Jakże więc przedstawia sobie Hume tę zamianę pomiędzy masą towarów i masą złota? Zadawalnia się on niegraniczenie głupim wyobrażeniem, jakoby każdy towar, jako odpowiednia część ogólnej masy towarowej, się wymieniał na odpowiednią część ogólnej masy złota. Ruch więc postępowy towarów, pochodzący z zawartej w nich sprzeczności pomiędzy wartością zamienną, a użytkową, występujący w obiegu pieniężnym i krystalizujący się w rozmaitych określonych formach tego ostatniego, jest wygaszonym i na miejsce jego występuje wyobraźalne, mechaniczne zrównanie pomiędzy wagą znajdujących się w pewnym kraju szlachetn. metali i masą jednocześnie obecnych towarów.

Sir James Steuart rozpoczyna swe badania nad monetą i pieniądzem ze szczegółowej krytyki Hume'a i Montesquieu¹⁾. Jest on rzeczywiście pierwszym, który stawia pytanie: Czy ilość znajdujących się w obiegu pieniędzy się określa przez ceny towarowe, czy też ceny towarowe określają się odwrótnie przez ilość obiegających pieniędzy?

1) Steuart, l. c. t. i. p. 394 seq.

Jakkolwiek wyobrażenia jego przyćmione zostają przez fantastyyczny pogląd na miarę wartości, przez chwiejne pojęcie o wartości wogóle i przez merkantylistyczne reminiscencje, to odkrywa on wszakże najważniejsze dobitne formy pieniędzy i ogólne prawa obiegu pieniężnego, gdyż nie stawia on mechanicznie towarów po jednej stronie, a złota po drugiej, lecz rozwija faktycznie z rozmaitych momentów samej wymiany towarowej rozmaite funkcje. „Użytek pieniędzy dla wewnętrznej cyrkulacji może być ujętym w dwóch punktach zasadniczych: płacenie tego, co kto winien, kupno tego, co kto potrzebuje; obydwa razem wzięte stanowią popyt na gotówkę [*ready money demands*]... Stan handlu, rękodzielnictwa, sposób życia i zwykłe wydatki mieszkańców, razem wzięte, określają i regulują rozmiary popytu na gotówkę, t. j. masę alienacji. By urzeczywistnić tę różnorodność wydat, niezbędna jest pewna proporcja pieniędzy. Proporcja ta może ze swej strony się zwiększyć lub zmniejszyć, zależnie od warunków, jakkolwiek liczba aktów alienacji pozostaje niezmienną... W każdym razie cyrkulacja pewnego kraju może pochłoniąć tylko określoną ilość pieniędzy“¹⁾.

Cena rynkowa towaru określona zostaje przez złożoną operację popytu i konkurencji [*demand and competition*], które są wcale niezależne od masy złota i srebra, znajdującej się w pewnym kraju. Co się staje ze złotem i srebrem niepotrzebnym jako moneta? Zostają zbierane, jako skarby, albo też przerobione na artykuły zbytku. Jeżeli masa złota i srebra spada niżej poziomu, niezbędnego dla cyrkulacji, to zamienia się je pieniędzmi symbolicznymi lub w inny sposób. Jeżeli dogodny kurs wekslowy przynosi do kraju nadmiar pieniędzy i przecina zarazem zagraniczny popyt na nie, to wpada ono zazwyczaj do kufra, gdzie ono jest o tyleż bezużyteczne, jak gdyby w kopalniach leżało“²⁾.

Drugie, przez Steuarta odkryte, prawo polega na powrocie cyrkulacji, opartej na kredycie, do jej punktu wyjścia. Nareszcie rozwija on działanie, jakie rozmaite stopy procentowej w rozmaitych krajach wywiera na międzynarodowy odpływ i dopływ szlachetnych metali. Dwie ostatnie kwestyje zaznaczamy tu tylko ze względu na dokładność, gdyż są one odległe od naszego tematu, prostej cyrkulacji. Symboliczne pieniądze, czyli pieniądze kredytowe — Steuart jeszcze nie odróżnia tych dwóch rodzajów pieniędzy — mogą zamienić szlachetne metale, jako narzędzie kupna lub wypłaty, w cyrkulacji wewnętrznej, nie zaś na rynku wszechświatowym. Noty papierowe są zatem pieniędzmi społeczeństwa (*money of the society*), podczas gdy złoto i srebro są pieniędzmi świata (*money of the world*)³⁾. Jest to właściwość narodów o „historycznym“ rozwoju w sensie historycznej szkoły prawnej, iż wciąż zapominają swą własną historję. Jakkolwiek więc kwestyja sporna o stosunku cen towarowych do ilości narzędzi cyrkulacyjnych w ciągu tej (pierwszej) połowy stulecia wciąż porusza parlament i jakkolwiek wywołała w Anglii tysiące

1) James Steuart, l. c. t. 2, p. 377—379 passim.

2) l. c. p. 379—380 passim.

3) Steuart, l. c. t. 2, p. 370. Louis Blanc zamienia *money of the society*, co oznacza nic innego, jak pieniądź wewnętrzny, nacyjny, w pieniądź socjalistyczny, co wogóle nic nie oznacza i robi złą z Jean'a Law'a socjalistę. [Patrz I tom jego «Historji rewolucyi francuskiej»].

większych i mniejszych pamfletów, to Steuart pozostał „martwym psem“ jeszcze w większym stopniu, niż Spinoza dla Mojżesza Mendelsohna za czasów Lessinga. Nawet najnowszy historyk kwestyi obiegowej (*currency*), Maclaren, zamienia Adama Smitha w wynalazcę teorii steuartowskiej, a Ricardo — w wynalazcę teorii Hume'a. Podczas gdy Ricardo udoskonalili teorię Hume'a, Adam Smith rejestrował rezultaty badań Steuart'a, jako martwe fakty. Adam Smith zastosował swe szkockie przysłowie mądrości, że „jeżeliście sobie mało zdobyli, to łatwo i wiele zdobyć, cała wszakże trudność polega na zdobyciu mało“ i do bogactwa duchowego i dlatego też ukrywa w drobniactwach troskliwością źródła, którym zawdzięcza to niewiele, z którego w rzeczywistości robi bardzo dużo. Nieraz woli on przytępić szpic pytania wówczas, gdy ostre sformułowanie przyniosłoby go do liczenia się z poprzednikami. Tak się dzieje w teorii pieniędzy. Przyjmuje on milcząc teorię Steuart'a, gdy przyznaje, iż znajdujące się w pewnym kraju złoto i srebro po części, jako moneta, zużyte zostają, po części nagromadzone zostają, jako fundusz rezerwowy dla kupców w krajach niemających banków i jako rezerwa bankowa w krajach posiadających obieg kredytowy, że po części służą one za skarb, służący do wyrównania wypłat międzynarodowych i nareszcie że część przerobiona zostaje w artykuły zbytku. Pytanie o ilości cyrkulującej monety obchodzi on milcząc, gdy traktuje pieniądź zupełnie fałszywie, jako prosty towar. Jego wulgaryzator, czczy J. B. Say, którego francuzi zamianowali *prince de la science*, zarówno jak Johann Gottsched zamianował swego Schönaicha'a Homerem, a Pietro Aretino samego siebie *terror principum* i *lux mundi*, J. B. Say — mówimy — ujeździł szybko tę naiwną omyłkę A. Smitha w dogmat. Polemiczne nateżenie przeciw iluzjom merkantylizmu nie pozwoliło wogóle Adamowi Smith obiektywnie pojąć zjawiska metalicznego obiegu, podczas gdy poglądy jego na pieniądź kredytowy są głębokie i oryginalne. Jak w teoriach skamienienia XVIII stulecia wciąż przebiega strumień dolny, pochodzący z krytycznych i apologetycznych względów na biblijne tradycje potopu, tak samo poza wszystkimi teoriami pieniędzy z XVIII kryje się tajemnicza walka ze systemem monetarnym, z tym duchem, który strzegł kołyski ekonomii burżuazyjnej i który wciąż jeszcze rzucał swój cień na prawodawstwo.

Badania nad istotą pieniędzy były w XIX stuleciu bezpośrednio poruszone nie przez zjawiska metalicznej, ale raczej — banknotowej cyrkulacji. Zwrócono się do pierwszej tylko w celu wykrycia praw drugiej. Zawieszenie wypłat gotówką przez bank angielski począwszy od r. 1797, wzrost cen wielu towarów, który potem nastąpił, spadek ceny monetarnej złota niżej jego ceny rynkowej, deprecjacja banknotów, szczególnie poczynając od r. 1809, podały bezpośrednio praktyczne pobudki do walki partyjnej w parlamencie i do teoretycznego turnieju poza parlamentem — obydwa prowadzone były w sposób zarówno namiętny. Za historyczny grunt debatów służyły historia pieniędzy papierowych XVIII stulecia, fiasco banku Law'a i postępująca ręka ze wzrostem ilości znaków wartościowych deprecjacja banknotów prowincjonalnych kolonij angielskich w Ameryce północnej od początku aż do środka XVIII stulecia; dalej prawie przez rząd centralny amerykański narzucone

pieniądze papierowe z kursem przymusowym (*continental bills*), nareszcie na większą jeszcze skalę przeprowadzone eksperymenty asygnat francuskich. Większość pisarzy angielskich ówczesnych pomieszała cyrkulację banknotową, która reguluje się według praw zupełnie odrębnych z obiegiem znaków wartościowych lub papierów państwowych z kursem przymusowym i podczas gdy przypuszczają, iż dają wyjaśnienie zjawisk tego obiegu przymusowego z praw metalicznej cyrkulacji, to w rzeczywistości abstrahują oni prawa pierwszego ze zjawisk tej ostatniej. Pomijamy całą tę masę pisarzy z okresu 1800—1809 i zwracamy się wprost do Ricardo o tyleż dlatego, iż on obejmuje swych poprzedników i ich poglądy ostrzej formuluje, jak i dlatego, iż postać, jaką on nadał teorii pieniędzy, aż do chwili obecnej panuje w prawodawstwie bankowym angielskiem.

Ricardo, jak i jego poprzednicy zwała w jedno cyrkulację banknotów, czyli pieniędzy kredytowych z obiegiem zwykłych znaków wartościowych. Najważniejszym dla niego faktem jest deprecjacja pieniędzy papierowych i jednocześnie wzrost cen towarowych. Czem kopalnie amerykańskie były dla Hume'a, tem prasy banknotelli z ulicy Thread-needle street są dla Ricardo i on sam wyraźnie identyfikuje w jednym miejscu obydwa te czynniki. Pierwsze jego pisma, zajmujące się kwestyją pieniężną, przypadają na czas silnej polemiki pomiędzy bankiem angielskim, po którego stronie znajdowali się ministrowie i partya wojny, a ich wrogami, koło których zgrupowała się opozycja parlamentarna, whigowie i partya pokoju. Zjawiały się one jako poprzedniki słynnego sprawozdania Bullionkomitetu z r. 1810, w którym poglądy Ricardo są przyjęte¹⁾. To szczególne zjawisko, iż Ricardo i jego zwolennicy, uważający pieniądź za zwykły znak wartościowy, nazywają się bullionistami (ludźmi złotych sztab), pochodzi nie tylko z nazwy tego komitetu, ale i z samej treści jego nauki. W dziele swem o politycznej ekonomii Ricardo powtórzył i dalej rozwijał też same poglądy, nigdzie wszakże nie badał istoty pieniędzy samych przez się, jak to czynił z wartością zamienną, zyskiem, rentą itd.

Ricardo określa wartość złota i srebra tak samo, jak i wartość wszystkich innych towarów, ilością czasu roboczego, uprzedmiotowanego w nich. Za pomocą nich, jako towarów o określonej wartości, mierzoną zostaje wartość innych towarów. Ilość więc narzędzia obiegu określona zostaje przez wartość jednostki miary pieniężnej z jednej strony i przez sumę wartości zamiennych towarów — z drugiej. Ilość ta zmodyfikowaną zostaje przez ekonomiję w sposobach wypłaty. Ponieważ w ten sposób ilość, w której pieniądze o określonej wartości mogą obiegać, jest określona i ponieważ wartość ich wewnątrz cyrkulacji występuje tylko w ich ilości, więc proste znaki wartościowe ich, jeżeli wypuszczone zostaną w proporcji określonej przez wartość pieniędzy, mogą je zastąpić w obiegu i rzeczywiscie: „obiegające pieniądze znajdują się w stanie najdoskonalszym, składając się wyłącznie z papieru, który posiada też samą wartość, co i

1) Ricard : *The high price of Bullion, a proof of the depreciation of Banknotes*. London, 1811, 4 edit.

złoto, które one mają przedstawiać¹⁾. Dotychczas więc Ricardo określa ilość narzędzi obiegu, przypuszczając wartość pieniędzy za daną, przez ceny towarów, i pieniądz, jako znak wartościowy, jest dlań znakiem określonej ilości złota, nie zaś, jak to ma miejsce u Hume'a, bezwartościowym przedstawicielem towarów.

Tam, gdzie Ricardo schodzi z prostej drogi swego przedstawienia i przerzuca się w pogląd odwrotny, to zwraca się on do międzynarodowej cyrkulacji szlachetnych metali i w ten sposób wprowadza zamieszanie w problemat przez wniesienie obcych punktów widzenia. Śledząc za jego wewnętrznym rozwojem myśli, odrzucamy na bok wszelkie sztuczne punkty okolicznościowe i przenosimy zatem kopalnie złote i srebrne wewnątrz tych krajów, w których szlachetne metale obiegają. Jedyne twierdzenie, wypadające z dotychczasowego przedstawienia rzeczy jest to, że przy danej wartości złota ilość obiegających pieniędzy zostaje określona przez ceny towarowe. W danym więc momencie czasu masa obiegającego w pewnym kraju złota określa się wprost przez wartość zamienną cyrkulujących towarów. Przyjmijmy teraz, iż suma tych wartości zamiennych spada, czy to dlatego, że mniej towarów się produkuje przy starej wartości, czy też że wskutek zwiększonej wydajności pracy taż sama masa towarów zawiera zmniejszoną wartość zamienną. Albo też przypuśćmy odwrotnie, iż suma wartości zamiennych się zwiększa dlatego, że przy niezmiennych kosztach produkcyjnych masa towarów się zwiększa, albo też dlatego, że wskutek zmniejszenia wydajności ilość pracy wzrasta. Co się stanie w takim razie z daną ilością obiegającego metalu?.. Gdy złoto jest tylko pieniądzem dlatego, iż obiega jako narzędzie cyrkulacji, gdy ono zmuszone jest pozostawać w obiegu, jak wypuszczone przez państwo pieniądze papierowe z kursem przymusowym (i to właśnie leży w myśli Ricardo), wtedy ilość obiegających pieniędzy w pierwszym z powyższych wypadków będzie przeważać w stosunku do wartości zamiennego metalu; w drugim wypadku ilość ta stałaby się niższą niż normalnego swego poziomu. Jakkolwiek więc złoto jest obdarzone własną wartością, to w pierwszym wypadku stałoby się ono znakiem metalu o niższej wartości, niż jego własna, w drugim — metalu o wyższej wartości. W pierwszym wypadku będzie ono, jako znak wartościowy, stało się niższe, w drugim — wyżej swej własnej wartości (znowu abstrakcja z pieniędzy papierowych z kursem przymusowym). W pierwszym wypadku miałyby miejsce toż samo, jak gdyby towary oceniano w metalu o niższej, w drugim — o wyższej wartości. W pierwszym zatem wypadku ceny towarowe wzrosłyby, w drugim — spadłyby. W obydwu wypadkach ruch cen towarowych, ich wznośnienie się lub spadek, byłby skutkiem rozszerzenia lub zwężenia masy obiegającego złota powyżej lub poniżej poziomu odpowiadającego jego własnej wartości, t. j. normalnej ilości, która określona zostaje przez stosunek między jego własną wartością i wartością znajdujących się w obiegu towarów.

Ten sam proces miałyby miejsce, gdyby suma cen towarów, znajdujących się w obiegu pozostawała niezmienną, ale masa cyrkulującego złota spadała zarazem pod lub wzniosła się nad prawidłowy

poziom: pierwsze w razie, gdy zużyte przez obieg monety nie zostają zamieszczone przez odpowiednią produkcję kopalni, drugie, gdy nowy przywóz z kopalni przeraża potrzeby cyrkulacji. W obydwu wypadkach przypuszcza się, iż kosztu produkcyjne złota czyli jego wartość pozostaje niezmienna.

Reasumujemy. Pieniądze, znajdujące się w obiegu, stoją na normalnym poziomie wówczas, gdy ich ilość, przy danej wartości zamiennych towarów, określa się przez własną ich wartość metaliczną. Wznoszą się one ponad ten poziom, przyczem złoto spada niżej własnej jego wartości metalicznej, a ceny towarów wzrastają, gdy suma wartości zamiennych masy towarowej się zmniejsza lub gdy dopływ złota z kopalni się zwiększa. Pieniądze spadają pod normalny swój poziom, przyczem złoto wznosi się ponad własną wartość metaliczną, a ceny towarowe spadają, gdy suma wartości towarów się powiększa lub gdy dopływ złota z kopalni nie zamieszcza zużytego złota. W obydwu wypadkach złoto, znajdujące się w obiegu, jest znakiem większej lub mniejszej wartości od tej, jaką rzeczywiście zawiera. Może się ono stać przecenionym lub niedocenionym znakiem siebie samego. Z chwilą, gdy towary powszechnie byłyby oceniane za pomocą tej nowej wartości pieniędzy i gdy powszechne ceny towarów odpowiednio by wzrosły lub spadły, to ilość znajdującego się w obiegu złota znowu by odpowiadała potrzebom cyrkulacji (jest to skutek, który Ricardo ze szczególną przyjemnością podnosi), ale ilość ta znajdowałaby się w sprzeczności z kosztami produkcji szlachetnych metali, a zatem z ich stosunkiem, jako towaru, do innych towarów.

Odpowiednio do teorii Ricardo o wartościach zamiennych wogóle, wzrost złota ponad jego wartość zamienną, t. j. ponad wartość, określoną przez zawarty w nim czas roboczy, wywołałby zwiększenie jego produkcji aż do czasu, gdy pomnożony dopływ sprowadziłby je do normalnej wielkości wartościowej.

Odwrotnie, spadek złota pod jego wartość wywołałby zmniejszenie produkcji, która trwałaby tak długo, aż wartość jego sprowadzonąby została do normalnego poziomu. Przez te przeciwległe ruchy wyrównywałyby się sprzeczność pomiędzy wartością metaliczną złota i jego wartością, jako narzędzia obiegu, zjawiałyby się nowy normalny poziom cyrkulującej masy złota i wysokość cen znowu by odpowiadała mierze wartości.

Te fluktuacje wartości znajdującego się w obiegu złota dotykałyby zarazem w tymże stopniu i złota w sztabach, gdyż według przyjętego przypuszczenia, wszystko złoto, oprócz zużytego na przedmioty zbytku, cyrkuluje. Ponieważ złoto, czy to jako moneta, czy też jako sztaba, może być znakiem wartościowym wartości większej lub mniejszej od tej, jaką samo zawiera, to rozumie się, iż obiegające banknoty wymienne dzielają tenże los. Jakkolwiek banknoty są wymienne, a zatem wartość ich realna nominalnej odpowiada, to suma ogólna znajdujących się w obiegu pieniędzy, złota i banknotów może być przecenioną lub niedocenioną odpowiednio do tego, czy ogólna ich ilość, na zasadach poprzednio wyłożonych, wznosi się nad lub spada niżej poziomu określonego przez wartość wymienną obiegających towarów i przez wartość metaliczną złota. Niewymienne pieniądze papierowe mają z tego punktu widzenia tę tylko wyższość nad wymiennymi, iż mogą być podwójnie niedoceniane

1) Ricardo: *Principles of polit. economy*, p. 432, 433.

(deprecjowane). Mogą one upaść niżej wartości metalu, który mają reprezentować dlatego, iż wydane są w zbyt wielkiej ilości, albo też mogą upaść dlatego, iż reprezentowany przez nie metal spadł niżej własnej swej wartości. Ta deprecjacja, nie papieru względem złota, ale jednocześnie i papieru i złota, czyli ogólnej masy narzędzi obiegów pewnego kraju, jest jednym z największych odkryć Ricardo, którem lord Overstone & Co się posługiwali i z którego zrobili zasadę fundamentalną prawodawstwa bankowego sir R. Peel'a z roku 1844—1845.

Miało być dowiedzione to, że cena towarów czyli wartość złota zależy od masy znajdującego się w obiegu złota. Dowód polega w przypuszczeniu tego, co ma być dowiedzionem, a mianowicie, że każda ilość szlachetnego metalu, który służy za pieniądź, w jakimkolwiek stosunku się znajdował do swej wartości wewnętrznej, musi się stać narzędziem obiegów, monetą i w ten sposób znakiem wartościowym dla znajdujących się w obiegu towarów, który zawsze musi być sumą ogólną ich wartości.

Inaczej mówiąc, dowód polega na abstrakcji od wszelkich innych przeznaczeń formalnych, oprócz formy narzędzia obiegów, które pieniądź posiada. Przyciśnięty do ściany, jak np. w polemice z Bosanquet'em, Ricardo ucieka się, znajdując się w zupełności pod wpływem fenomenu zdeprecjowania znaku wartościowego dzięki jego ilości, do dogmatycznego zapewnienia.

Gdyby Ricardo postawił tę teorię zupełnie abstrakcyjnie, jakęśmy to zrobili, bez wciągania konkretnych stosunków i punktów przypadkowych, odprowadzających od samej kwestyi, to chociażby tej teorii wystąpiłaby w sposób uderzający. Zakreśla on wszakże cały rozwój w sposób internacjonalny. Bardzo łatwo można wszakże dowieść, iż pozorna wielkość skali bynajmniej nie zmienia drobności idei zasadniczej. Pierwsze więc twierdzenie było następujące: ilość cyrkulujących pieniędzy metalicznych jest normalną, gdy jest określona przez sumę wartościową obiegających towarów, ocenianych za pomocą wartości metalicznej tych pieniędzy. Przy warunkach międzynarodowych twierdzenie to brzmi: w stanie normalnym cyrkulacji każdy kraj posiada masę pieniędzy, odpowiednią jego bogactwu i przemysłowi. Pieniądź obiega ze swą rzeczywistą wartością, albo z wartością, odpowiadającą kosztom jego produkcji, t. j. posiada on we wszystkich krajach tę samą wartość. Nie byłby on więc nigdy wwożonym do żadnego kraju, ani też wywożonym. Istniałaby więc równowaga pomiędzy ogólnymi masami obiegających pieniędzy (*currencies*) rozmaitych krajów¹⁾.

Poziom więc narodowego *currency* wyraża się jako międzynarodowa równowaga *currencies*, a w rzeczywistości nie mówi się nic innego, jak to, że narodowość nie zmienia w powszechnym prawie ekonomicznym. Dobiegliśmy znowu do tegoż fatalnego punktu, co i przedtem. W jaki sposób zostaje naruszony prawidłowy poziom, co znaczy, w jaki sposób naruszona zostaje równowaga międzynarodowa ogólnej masy obiegających pieniędzy (*currencies*), czyli w jaki sposób pieniądź przestaje mieć tę samą wartość we wszystkich kra-

jach, czyli na koniec, w jaki sposób przestaje on mieć w każdym kraju swą własną wartość? Jak przedtem poziom normalny był naruszony dzięki temu, że masa cyrkulującego złota zwiększała się lub zmniejszała, przy niezmienniej sumie wartości towarów, lub dzięki temu, że ilość obiegających pieniędzy pozostawała niezmienną, podczas gdy wartości zamienne towarów się zwiększały lub zmniejszały, tak samo teraz poziom międzynarodowy, określony przez samą wartość metalu, naruszony zostaje dzięki temu, iż masa złota znajdującego się w pewnym kraju wzrasta wskutek odkrycia w nim nowych kopalni, albo dzięki temu, że suma wartości towarów znajdujących się w obiegu w pewnym oddzielnym kraju zwiększyła się lub zmniejszyła. Jak przedtem produkcja szlachetnych metali się zmniejszała lub zwiększała odpowiednio do tego, że trzeba było ścieśnić lub rozszerzyć *currency* i ceny towarowe stosownie zniżyć lub podwyższyć, tak samo obecnie działają wwóz lub wywóz z jednego kraju do drugiego.

W kraju, w którym cenyby się podniosły i wartość złota wskutek wezbranej cyrkulacji spadłaby niżej jego wartości metalicznej, złoto zdeprecjowałoby się odnośnie do innych krajów i ceny towarów, w porównaniu z innymi krajami, wzrosłyby zatem. Złoto byłoby wywożone, towary — wwożone. W przeciwnym razie miałyby miejsce odwrotne zjawiska. Jak przedtem produkcja złota, tak samo teraz wwóz i wywóz złota i odpowiedni wzrost lub spadek cen, trwałyby nadal, aż do chwili, gdy odnowioneby były prawidłowy stosunek pomiędzy metalem i towarem i równowaga pomiędzy międzynarodowymi *currency'ami*.

Jak w pierwszym wypadku produkcja złota się zwiększała lub zmniejszała dlatego, że złoto stało niżej lub wyżej swej wartości, tak samo międzynarodowa wędrówka złota miałaby miejsce z tego samego powodu. Jak w pierwszym wypadku każda zmiana w jego produkcji dotykałaby ilości obiegającego metalu, a wraz z tem ceny, tak samo teraz wpływ ten wywierałby międzynarodowy wwóz i wywóz.

Gdyby stosunkowa wartość pomiędzy złotem i towarem, czyli normalna ilość narzędzia obiegów była znowu ustanowiona, to w pierwszym wypadku nie miałyby miejsca dalsza produkcja, w drugim zatrzymałby się dalszy wywóz i wwóz, za wyjątkiem tej ilości złota, która niezbędna jest dla zamieszczenia zużytej monety i dla przemysłu zbytkowego. Wskutek tego wypada, że „próba wywożenia złota, jako równoznacznika towarów lub w razie niedogodnego bilansu handlowego, nigdy nie może mieć miejsca, oprócz wypadków nadmiernej ilości narzędzi obiegowych“¹⁾. Miałoby miejsce wciąż tylko niedocenianie lub przecenianie metalu wskutek rozszerzenia lub ścieśnienia masy narzędzi obiegowych ponad lub pod poziom prawidłowy, przez co wywołane byłoby jego wwóz lub wywóz²⁾. Wypadałoby dalej: ponieważ w pierwszym wypadku produkcja złota tylko się zwiększa lub zmniejsza, a w drugim złoto tylko wwożonem lub wywożonem zostaje, ponieważ ilość jego stoi wyżej

1) Wyrazu *currency* używać będziemy w znaczeniu ogólnej masy pieniędzy, znajdujących się w obiegu. (Przyp. tłum.)

1. Ricardo: *An unfavorable balance of trade never arises but from a redu dant currency*, l. c. p. 11, 12.

2) l. c. p. 14, Ricardo.

lub niżej prawidłowego poziomu, ponieważ zostało przecenionem lub niedocenionem wyżej lub niżej jego wartości metalicznej, a zatem ceny są zbyt wysokie lub zbyt niskie, to każdy tego rodzaju ruch działa, jako środek poprawczy¹⁾ w ten sposób, iż przez rozszerzenie lub ścieśnienie obiegających pieniędzy sprowadza ceny do rzeczywistego ich poziomu: w pierwszym wypadku do poziomu pomiędzy wartością złota i towarów, w drugim — do międzynarodowego poziomu *currency*ów. Inaczej mówiąc: pieniądź obiega w różnych krajach tylko o tyle, o ile obiega w każdym kraju, jako moneta. Pieniądź jest tylko monetą i ilość złota, znajdującego się w pewnym kraju, musi zatem wejść do obiegu, a więc może, jak znak wartościowy siebie samego, podnieść się wyżej lub spaść niżej własnej wartości. W ten sposób dobiegliśmy przez kręte ścieżki tej międzynarodowej płataniny do prostego dogmatu, który stanowi punkt wyjścia.

W jaki sposób Ricardo przedstawia i sprawdza rzeczywiste zjawiska w świetle swej teorii, pokaże nam kilka przykładów.

Twierdzi on np., iż w czasach nieurodzajów, jak w Anglii stale w okresie 1800—1820 lat, złoto wywożono nie dlatego, iż zboże jest potrzebne, a złoto jest pieniądzem, a zatem czynnym narzędziem kupna i sprzedaży na rynku wszechświatowym, ale dlatego, iż złoto zdeprecywowane zostaje w swej wartości w porównaniu z innymi towarami, a zatem *currency* kraju, w którym ma miejsce nieurodzaj, zdeprecywowana zostaje w stosunku do innych narodowych *currency*ów.

Ponieważ mianowicie nieurodzaj zmniejszył masę obiegających towarów, więc dana ilość cyrkulujących pieniędzy wystąpiła ponad normalny swój poziom i wzrosły zatem ceny towarowe²⁾. W przeciwnieństwie z tem paradoksalnym wyjaśnieniem dowiedzionem zostało statystycznie, iż od 1793 roku aż do ostatnich czasów, w wypadkach nieurodzaju w Anglii, ilość obecnych narzędzi obiegu nie była nadmierną, lecz przeciwnie, była niedostateczną, a zatem więcej pieniędzy, niż poprzednio, obiegają i musiało obiegać.

W równy sposób twierdził Ricardo z czasów napoleońskiej blokady kontynentalnej i angielskich dekrétów względem niej, że Anglicy wywożą na kontynent złoto w miejsce towarów, gdyż ich pieniądze miały być zdeprecywowane w porównaniu ze złotem krajów kontynentalnych, że zatem ich towary miały stać stosunkowo wyżej, a więc dogodniejszą miało być spekulacją wywozić złoto, niż towary. Jego zdaniem Anglija była rynkiem, na którym towary były drogie, a pieniądze tanie, podczas gdy na kontynencie towary były tanie, a pieniądze drogie.

„Faktem było — mówi jeden pisarz angielski — iż ceny naszych fabrykatów i produktów kolonialnych były rujnująco niskie pod wpływem systemu kontynentalnego w ciągu ostatnich sześciu lat wojny. Np. ceny cukru i kawy w złocie były na kontynencie 4 lub 5 razy wyższe, niż te same ceny w Anglii, obliczone w banknotach. Był to czas, gdy Francuscy chemicy wynaleźli cukier buraczany, zamienili kawę przez cykoryję, podczas gdy jednocześnie

Angielscy ferwerzy robili doświadczenia nad tuczeniem wołów syropem i molasą, gdy Anglija objęła w posiadanie Helgoland, by urządzić tu skład towarowy dla łatwiejszego szwarcowania na północ Europy i zład lżejsze gatunki brytańskich fabrykatów szukały drogi przez Turcję do Niemiec. Prawie wszystkie towary świata zbierały się w naszych składach i leżały tu nieruchome za wyjątkiem, gdy mała ilość ich była uwalnianą przez licencję francuską, za co hamburscy i amsterdamscy kupcy Napoleon zapłacili sumę 40 do 50 tysięcy funtów sterlingów. Musieli to być komiczni kupcy, jeżeli płacili takie sumy za wolność przeniesienia ładunku towarów z droższego rynku na tani. Jaką była jasna alternatywa dla kupca? Albo kupić kawę po 6 pensów w banknotach i posłać je w miejsce, gdzie mógł bezpośrednio sprzedawać po 3—4 sz. w złocie, albo też kupować złoto za banknoty po 5 funtów sterl. 17 szyl. uncya i posłać je w miejsce, gdzie stało w cenie 3 funty sterl. 17 szyl. 10½ d. Jest to więc niedorzeczne powiedzenie, iż oddawano złoto za kawę, jako zyskowną operację kupiecką. Nie było na świecie całym kraju, gdzieby można było wówczas otrzymać tak wielką ilość pożądaných towarów, jak Anglija. Bonaparte ściśle wciąż badał angielskie cenniki. Tak długo, jak znajdował, iż w Anglii złoto jest drogie, a kawa tania, był on załadowolony z działania swego systemu kontynentalnego¹⁾.

Właśnie w tym samym czasie, gdy Ricardo wystawił swą teorię pieniężną i gdy „Bullionkomite“ takową wcielił w swe sprawozdanie parlamentarne, w r. 1810 odbył się rujnujący spadek cen wszystkich towarów w porównaniu do r. 1808—1809, podczas gdy pieniądze stosunkowo wznosiły się w wartości. Wytwory rolnicze stanowiły wyjątek, gdyż wówz ich z zewnątrz napotkał przeszkodę, a masa ich, znajdująca się w kraju, przez nieurodzaje dziesiętkowaną została²⁾. Ricardo zapoznawał do tego stopnia rolę szlachetnych metalów, jako międzynarodowego narzędzia wyplat, iż mógł on w swej mowie przed komitetem Izby lordów (1819) wygłosić co następuje: „*That drains for exportation would cease altogether so soon as cash payments should be resumed, and the currency be restored to its metallic level.*“ Umarł on przed samym wybuchem kryzysu z roku 1825, który wykazał myłność jego przepowiedni. Okres, na który przypada działalność pisarska Ricardo, był wogóle mało odpowiednim do tego, by badać funkcję szlachetnych metali, jako pieniądza wszechświatowego. Przed wprowadzeniem systemu kontynentalnego bilans handlowy układał się wciąż na korzyść Anglii, a podczas takowego transakcje z ładem europejskim były zbyt nieznaczające, by miały dotknąć angielskiego kursu wekslowego. Posyłki pieniężne były przeważnie charakteru politycznego i zdaje się, iż Ricardo w zupełności zapoznawał rolę, jaką pieniądze subsydyjalnie odegrywały w angielskim eksporcie pieniężnym.

Wśród współczesników Ricardo, którzy stanowili szkołę dla jego zasad ekonomii politycznej, jest najznaczniejszy James Mill. Spróbował on przedstawić teorię pieniężną Ricardo na podstawie

1) James Deacon Hume: *Letters on the Cornlaws*. London, 1834, p. 29—31.

2) Tooke *History of prices etc.* London, 1848, p. 110.

1) l. c. p. 17.

2) Ricardo l. c. p. 74, 75.

prostego obiegu metalicznego, bez nienależących tu zamieszkań między-narodowych, poza któremi Ricardo chowa niedostateczność swych poglądów i bez wszelkich względów polemicznych na operacje Banku angielskiego. Główne jego twierdzenia są następujące ¹⁾:

„Wartość pieniędzy równa się proporcji, w jakiej one wymieniane zostają na inne artykuły, czyli ilości pieniędzy, jaką się daje w zamian za określoną ilość innych rzeczy. Stosunek ten określa się przez ilość całkowitą znajdujących się w pewnym kraju pieniędzy. Jeżeli weźmiemy z jednej strony wszystkie towary pewnego kraju, a z drugiej wszystkie jego pieniądze, to oczywista, iż przy wymianie wartości pieniędzy, t. j. ilość towarów, która na nie wymienioną zostanie, zależną będzie w zupełności od ich (pieniędzy) własnej ilości. Zupełnie toż samo odbywa się w rzeczywistym przebiegu rzeczy. Masa całkowita towarów pewnego kraju nie wymienia się naraz na masę całkowitą pieniędzy, lecz towary wymieniają się częściami, i często bardzo małemi, w rozmaitych okresach roku. Taż sama sztuka pieniężna, która służy dzisiaj do jednej zamiany, jutro może wystąpić przy innej. Jedna część pieniędzy użyta zostaje do olbrzymiej ilości aktów wymiennych, inna do bardzo małej, trzecia nareszcie zostaje nagromadzoną i nie służy wcale do wymiany. Wśród tych wariacji istnieje przeciętna, oparta na ilości aktów wymiennych, do których każda sztuka pieniężna byłaby użyta, gdyby każda odbyła też samą ilość aktów. Ustanówmy tę przeciętną liczbę dowolnie, np. 10. Jeżeli każda sztuka pieniężna, znajdująca się w pewnym kraju służyła do 10 zakupów, to jest to samo, jak gdyby ogólna masa sztuk pieniężnych zwiększyła się 10 razy i każda z nich służyła tylko do jednego kupna. W tym wypadku wartość wszystkich towarów jest równa dziesięciokrotnej wartości pieniędzy itd. Jeżeli odwrotnie, zamiast coiby jedna sztuka pieniężna w ciągu roku miała służyć do 10 aktów kupna, ogólna masa pieniędzy byłaby 10-kroć większą i gdyby każda sztuka odbyła tylko jeden obrót, to jest jasnem, iż każde zwiększenie tej masy spowodowałoby odpowiednie zmniejszenie wartości każdej sztuki złota samej przez się. Ponieważ przypuszczamy, iż masa wszystkich towarów, na które złoto się wymienia, pozostaje też sama, to wartość ogólnej masy pieniędzy nie zwiększyła się po zwiększeniu jej ilości. Jeżeli przypuścimy zwiększenie o jedną dziesiątą, to wartość każdej współmiernej części masy ogólnej, np. uncji, musi się o jedną dziesiątą zmniejszyć. Jakimby więc nie był stopień zmniejszenia lub zwiększenia całkowitej masy pieniędzy, to, jeżeli ilość innych rzeczy pozostaje też sama, ogólna masa i każda jej część doświadczają wzajemnie stosunkowego zmniejszenia lub zwiększenia. Jasnem jest, iż twierdzenie to jest prawdą bezwzględna. Ile razy wartość pieniędzy podlega wzrostowi lub spadkowi i ile razy ilość towarów, na które można je było wymienić i ruch obiegu pozostają też same, to zmiana ta musiała mieć za przyczynę stosunkowe zwiększenie lub zmniejszenie pieniędzy — żadnej innej przyczynie nie może ona być przypisaną. Jeżeli masa towarów się zmniejsza, podczas gdy ilość pieniędzy pozostaje też sama, to znaczy toż samo, jak gdyby suma ogólna pieniędzy się zmniejszyła i odwrotnie. Podobnież zmiany są

skutkiem każdej zmiany w ruchu obiegowym. Każde zwiększenie się ilości obiegów wywołuje ten sam skutek, jak ogólne zwiększenie się sumy pieniężnej, zmniejszenie się tej ilości wywołuje bezpośrednio odwrotny skutek. Jeżeli część dorocznego wytworu wcale wymienioną nie została, jak to, co wytwórcy sami spożywają, to część ta nie wchodzi w rachunek. Ponieważ nie wymienią się ona na złoto, to zachowuje się względem niego tak, jakby wcale nie istniało.

Tak długo, jak zwiększenie lub zmniejszenie pieniędzy może się swobodnie odbywać, to ogólna ilość ich, znajdująca się w pewnym kraju, regulowaną zostaje przez wartość szlachetnych metali. Złoto i srebro są wszakże towarami, których wartość, zarówno jak wartość wszelkich innych towarów, określoną zostaje przez kosztą ich wytwórcze, przez ilość pracy, w nich zawartą ¹⁾.

Cały dowcip Milla zużyty zostaje na szereg przypuszczeń o tyleż dowolnych, co i niedorzecznych. Chce on pokazać, iż cena towarów czyli wartość pieniędzy określa się „przez ogólną ilość istniejących w pewnym kraju pieniędzy.“ Jeżeli przypuścimy, że masa i wartość obiegających towarów pozostają też same, zarówno jak i szybkość obiegu i określona przez kosztą wytwórcze wartość szlachetnych metali i jeżeli przypuścimy zarazem, że pomimo to ilość obiegających pieniędzy metalicznych się zwiększa lub zmniejsza w stosunku do masy istniejących w pewnym kraju pieniędzy, to rzeczywiście stanie się „oczywistem“, iż przypuściliśmy to, cośmy chcieli dowieść. Mill wpada zresztą w ten sam błąd, co i Hume, a mianowicie, iż każde obiegac wartościom użytkowym, a nie towarom o określonej wartości zamiennej i dlatego twierdzenie jego staje się fałszywem, nawet gdybyśmy wszystkie jego „przypuszczenia“, przyjęli.

Szybkość obiegu może pozostawać też sama, toż samo wartość szlachetnych metali, toż samo ilość obiegających towarów, a jednak wraz ze zmianą ich wartości zamiennej może być potrzebna dla ich cyrkulacji większa lub mniejsza masa pieniędzy. Mill widzi fakt, iż jedna część istniejących w pewnym kraju pieniędzy obiega, podczas gdy druga odpoczywa. Przy pomocy wysoce komicznego rachunku przeciętnego, przypuszcza on, że jakkolwiek w rzeczywistości wydaje się być inaczej, to prawdziwie obiegać wszystkie znajdujące się w kraju pieniądze. Jeżeli przypuścimy, iż 10 milionów talarów srebrnych obiega w pewnym kraju po 2 razy do roku, to mogłoby obiegać 20 mil. talarów gdyby każdy talar wykonywał tylko jeden obieg. A jeżeli suma ogólna istniejącego w tym kraju we wszelkich formach srebra wynosi 100 milionów talarów, to można przypuścić, iż wszystkie 100 mil. mogłyby obiegać, gdyby każda sztuka wykonywała akt kupna raz na 5 lat. Możliwoby także przypuścić, iż wszystkie pieniądze z całego świata obiegały w Hampsteadzie, ale każda współmierna ich część, zamiast coiby miała obiegać 3 razy do roku, obiega raz 3,000,000 lat. Jedno przypuszczenie ma zupełnie też samą wagę, co i drugie dla określenia stosunku pomiędzy sumą cen towarowych i ilością narzędzi obiegu. Mill czuje, iż decydująco ważną rzeczą jest dlań zestawieć bezpośrednio towary,

1) James Mill, *Elements of polit. economy.*

1) l. c. p. 128—136 *passim.*

nie z ilością znajdujących się w obiegu pieniędzy, lecz z ogólnym zapasem każdorazowo istniejących w pewnym kraju pieniędzy... Przyjmuje on, iż masa całkowita towarów pewnego kraju wymienia się „nie zaraz“ na masę całkowitą pieniędzy, lecz że rozmaite części tej masy towarów w różnych epokach roku zamieniają się na różne części ogólnej masy pieniędzy. By uchylić ten nienaturalny stosunek, przypuszcza on, iż takowy nie istnieje. Zresztą całe to pojęcie o bezpośrednim występowaniu przeciw sobie towarów i pieniędzy i o bezpośredniej ich wymianie jest oderwane z ruchu prostego kupna i sprzedaży czyli z funkcji pieniędzy, jako narzędzia kupna. Już w ruchu pieniędzy, jako narzędzia wyplat zanika to równoczesne jawienie się towaru i pieniędzy.

Kryzysy handlowe XIX stulecia, a mianowicie wielki kryzys z r. 1825, a potem z r. 1836 nie wywołały dalszego rozwoju teorii pieniędzy Ricardo, lecz tylko nowe jej zastosowanie. Nie były to już pojedyncze zjawiska ekonomiczne, jak za czasów Hume'a deprecjacja metali szlachetnych w XVI i XVII wieku, lub jak za Ricardo, deprecjacja pieniędzy papierowych podczas XVIII i początku XIX wieku, lecz olbrzymie nawałnice rynku wszechświatowego, w których odbywa się walka wszystkich elementów wytwarzania burżuazyjnego; początku tych nawałnic i lekarstwa na nie szukano wśród najbardziej powierzchownej i oderwanej sfery tego procesu, wśród sfery obiegu pieniężnego. Właściwe teoretyczne przypuszczenie, z którego wychodzi szkoła tych ekonomicznych zaklinaczy burzy, polega w rzeczywistości na niczym innym, jak na dogmacie, że Ricardo odkrył prawa czysto metalicznego obiegu. Co im pozostawało, to to, by doprowadzić cyrkulację banknotów i obieg kredytowy pod te prawa.

Najpowszechniejsze, najbardziej w czy wpadające zjawisko kryzysów handlowych, jest gwałtowny i powszechny spadek cen, następujący po dłuższym i powszechnym ich wzroście.

Powszechny spadek cen towarowych może być wyrażony, jako stosunkowy wzrost wartości pieniędzy w porównaniu do innych towarów, a powszechny wzrost cen odwrotnie — jako spadek wartości stosunkowej pieniędzy.

W obydwu tych sposobach wyrażenia zjawisko jest wypowiedziane, ale nie wyjaśnione. Czy postawić zadanie jak następuje: wyjaśnić powszechny peryjodyczny wzrost cen na przemiany z powszechnym spadkiem takowych, — czy też sformułuj toż samo zadanie tak: wyjaśnić peryjodyczny spadek i wzrost stosunkowej wartości pieniędzy w porównaniu z towaremi, to rozmaita frazeologia pozostawi zadanie o tyleż nie rozstrzygniętem, o ileby jępopozostawił przekład z niemieckiego języka na angielski. Teoryja więc pieniężna Ricardo jest nadzwyczaj przydatna, gdyż nadawała tautologiję pozor stosunku przyczynowego. Zkąd pochodzi peryjodyczny i powszechny spadek cen towarowych? Od peryjodycznego wzrostu wartości stosunkowej pieniędzy. Zkąd naodwrot pochodzi powszechny i peryjodyczny wzrost cen towarowych? Od peryjodycznego spadku wartości stosunkowej pieniędzy. Można o tyleż słusznie twierdzić, iż peryjodyczny wzrost lub spadek cen pochodzi od ich peryjodycznego wzrostu lub spadku. Samo zadanie postawione zostało w przypuszczeniu, iż wartość wewnętrzna pieniędzy, t. j. wartość ich, okre-

ślona przez kosztą wytwórcze szlachetnych metali pozostaje niezmienną. Jeżeli tautologija ma pozostać czemś więcej, niż tautologiją, to spoczywa ona na zapoznawaniu najbardziej elementarnych pojęć. Jeżeli wartość A, mierzona za pomocą B, spada, to wiemy, że może to pochodzić albo od spadku wartości A, albo też od wzrostu wartości B. Również odwrotnie, jeżeli wartość A, mierzona za pomocą B, wzrasta. Jeżeli raz przyjmujemy zamiast tautologii w związek przyczynowy, to wszystko inne objaśnia się z łatwością. Wzrost cen towarowych pochodzi ze spadku wartości pieniędzy, spadek zaś wartości pieniędzy pochodzi — jak z Ricardo wiadomo — z przepełnienia cyrkulacji, t. j. z tego, iż masa obiegających pieniędzy wzrasta ponad poziom, zakresłony przez własną, wewnętrzną ich wartość i ponad wewnętrzne wartości towarów. W taki sam sposób, naodwrot, objaśnia się powszechny spadek cen towarowych ze wzrostu wartości pieniędzy ponad ich wewnętrzną wartość, wskutek niedostatecznej cyrkulacji. Ceny więc wzrastają i spadają peryjodycznie dlatego, iż w obiegu peryjodycznie znajduje się zbyt wiele lub zbyt mało pieniędzy.

Jeżeli więc pokaże się gdzieś, iż wzrost cen odbywał się jednocześnie ze zwiększeniem cyrkulacji pieniężnej, a spadek cen z jej rozszerzeniem, to można pomimo to twierdzić, że wskutek pewnego, chociażby statystycznie niedowodzonego, zmniejszenia lub zwiększenia masy znajdujących się w obiegu towarów, ilość obiegających pieniędzy zwiększyła się lub zmniejszyła, jeżeli nie bezwzględnie, to stosunkowo.

Otóż widzieliśmy, że podług Ricardo ogólne te wahania cen muszą się odbywać i przy czysto metalicznej cyrkulacji, że się wszakże w drodze przemiany wyrównują, tak np. niedostateczna cyrkulacja wywołuje spadek cen towarowych, spadek cen wywołuje wywóz towarów za granicę, ten wszakże wywóz — wwóz pieniędzy do kraju, a ten ostatni musi wywołać ponowny wzrost cen towarowych. Odwrotnie się dzieje przy przepełnionej cyrkulacji, gdy towary wwożone zostają, a pieniądze wywożone. Ponieważ wszakże, pomimo tych z samej natury ricardowskiej cyrkulacji pieniężnej wyrastających wahań cen, ich nagła i potężna forma, ich forma kryzysowa, należy do okresów rozwiniętego kredytu, to staje się zupełnie oczywiste, iż wypuszczanie banknotów nie reguluje się ściśle podług praw metalicznej cyrkulacji. Cyrkulacja metaliczna posiada swe lekarstwo w imporcie i eksporcie szlachetnych metali, które natychmiastowo wchodzi w obieg, jako moneta i w ten sposób swym przyływem lub odpływem wznoszą lub zniżają ceny towarowe. Ten sam wpływ na ceny towarowe musi więc sztucznie, w drodze naśladownictwa praw cyrkulacji metalicznej być wywierany przez banki.

Jeżeli złoto przyływa z zagranicy, to jest to dowód, że cyrkulacja jest niedostateczna, że wartości pieniędzy jest zbyt wysoka, a ceny towarowe zbyt niskie, a zatem muszą banknoty zostać wrzucone do obiegu w stosunku do nowoimportowanego złota. Oni muszą, odwrotnie, być wycofane z obiegu w stosunku, w jakim złoto z kraju uchodzi. Innemi słowy wypuszczanie banknotów musi być regulowane podług importu i eksportu szlachetnych metali czyli podług kursu wekslowego. Fałszywe przypuszczenie Ricardo, że pieniądź

jest tylko moneta, a zatem, że wszelkie wwożone złoto pomnaża obiegające pieniądze i podwyższa przeto ceny, wszelkie natomiast wywożone złoto zmniejsza ilość monety, a zatem obniża ceny, te przypuszczenia teoretyczne stają się tu praktycznym doświadczeniem utrzymywania w obiegu takiej ilości monety, ile za każdym razem istnieje złota. Lord Overstone (bankier Jones Lóyd), Torrens, Norman, Clay, Arbutnot i niezliczona moc innych pisarzy, znanych w Anglii pod imieniem szkoły *currency principle* nie tylko głosili tę doktrynę, ale za pośrednictwem aktów bankowych sir Roberta Peela z lat 1844 i 1845 zrobili z niej podstawę istniejącego prawodawstwa bankowego, angielskiego i szkockiego. Okropne jej fiasco teoretyczne i praktyczne, po doświadczeniach dokonanych na największą skalę narodową, może być przedstawione dopiero w nauce o kredycie.

Już wszakże teraz jest widoczne, że teoria Ricardo, która wyodrębnia pieniądź w jego formie płynnej, jako narzędzie obiegu, kończy na tem, iż przypisuje dopływowi i odpływowi szlachetnych metali wpływ absolutny na ekonomię burżuazyjną — jak o tem nigdy nawet przesady systemu monetarnego nie marzyli. W ten sposób Ricardo, który ogłosił pieniądź papierowy za najdoskonalszą formę pieniędzy, prorokiem „bullionistów.”

Potem jak teoria Hume'a czyli abstrakcyjne przeciwieństwo względem systemu monetarnego zostało w ten sposób rozwinięte aż do ostatniej konsekwencji, to konkretne pojęcie pieniędzy Steuarta ostatecznie znówu wprowadzone zostało w swe prawa przez Tomasa Tooke'a¹⁾.

Tooke wyprowadza swe zasady nie z jakiejś teorii, lecz z sumiennej analizy historyi cen towarowych od r. 1793 do 1856 roku. W pierwszym wydaniu swej „Historyi cen”, która zjawiała się w r. 1823, Tooke jest jeszcze zupełnie opanowany przez teorię ricardowską i napróżno stara się pogodzić fakty z tą teorią. Pamflet jego *On the currency*, który się pojawił po kryzysie z roku 1825, można nawet rozpatrywać, jako pierwszy konsekwentny wykład poglądów, którym Overstone później nadał znaczenie. Dalsze badania nad historią cen towarowych doprowadziły wszakże Tooke'a do poglądu, że ów bezpośredni związek pomiędzy cenami a ilością narzędzi obiegu, jak go teoria przyjmuje, jest tylko zwykłą tkaniną mózgową, że rozszerzenie i zwężenie narzędzi obiegu, przy niezmienniej wartości szlachetnych metali, jest wciąż skutkiem, a nie przyczyną wahań cen. że obieg pieniężny wogóle jest tylko ruchem sekundarnym i że pieniądź w rzeczywistym procesie produkcyjnym ma jeszcze zupełnie inne określone przeznaczenia formalne, oprócz narzędzia obiegu. Jego szczegółowe badania należą do sfery innej, niż prosty obieg metaliczny i dlatego nie mogą jeszcze tu być wyłożone, zarówno jak i badania Wilsona i Fullartona²⁾, należące do

tegoż kierunku. Wszyscy ci pisarze pojmują pieniądze niejednostronnie, lecz we wszystkich ich momentach, ale tylko materyjalnie, bez żadnego żywego związku czy to tych elementów pomiędzy sobą, czy też z ogólnym systemem kategorii ekonomicznych. Przeto też mieszają oni fałszywie pieniądź, w odróżnieniu od narzędzia obiegu, z kapitałem albo nawet z towarem, jakkolwiek z drugiej strony są zmuszeni okolicznościowo zaznaczyć różnicę tę¹⁾. Jeżeli np. złoto zostaje wysłane za granicę, to w rzeczywistości wysyła się kapitał, ale toż samo ma miejsce gdy się wywozi żelazo, bawełnę, zboże, — krótko, każdy towar. Obydwa są kapitałem i różnią się przeto nie jako kapitał, lecz jako pieniądź i towar. Rola więc złota, jako międzynarodowego narzędzia wymiany pochodzi nie z jego formalnego przeznaczenia, jako kapitału, lecz z jego funkcji specyficznej, jako pieniądza.

Również, jeżeli złoto lub na jego miejscu banknoty funkcjonują w handlu wewnętrznym, jako narzędzie wypłat, to są one zarazem kapitałem. Ale kapitał w formie towarów, jak tego naprz. kryzysy dotykałnie dowodzą, nie mógłby na ich miejscu wstąpić. A więc znówu, różnica złota, jako pieniędzy od towaru, nie zaś jego byt, jako kapitału, czyni je narzędziem wypłat. Nawet tam, gdzie kapitał zostaje bezpośrednio, jako kapitał, wywożony, np. by wypożyczyć za granicą określoną sumę wartościową na procenta, to zależy od konjunktur, czy zostaje ono wywożone w formie towaru, czy też złota i jeżeli ono zostaje wywożone w tej ostatniej formie, to dzieje się to dzięki specyficznemu przeznaczeniu formalnemu metali szlachetnych służyć jako pieniądź wobec towaru.

Powyżsi pisarze rozpatrują wogóle pieniądź nie w jego oderwanej formie, jak on się rozwija wewnątrz prostej cyrkulacji towarowej i jak on wyrasta ze stosunku postępujących towarów. Przeto też wahają się oni wciąż pomiędzy oderwanymi przeznaczeniami formalnymi, jakie pieniądź w przeciwieństwie do towaru otrzymuje i pomiędzy temi przeznaczeniami, w których się kryją bardziej konkretne stosunki, jak kapitał, dochód (*revenue*) i t. p.²⁾.

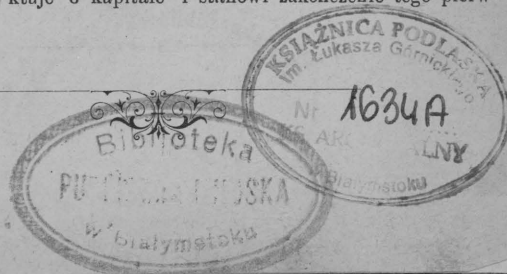
don, 1844. Wilsona praca nosi tytuł: *Capital, currency and banking*. Wspomnijmy wreszcie John Fullartona: *On the regulation of Currencies*. 2 edit. London, 1845.

1) «Trzeba odróżniać złoto, jako towar, t. j. kapitał i pieniądź, jako narzędzie obiegu» — Tooke *An Inquiry*, p. 10.

2) Przemianę pieniędzy w kapitał będziemy rozpatrywać w 3-cim rozdziale, który traktuje o kapitale i stanowi zakończenie tego pierwszego działu.

1) Tooke nie był wcale obeznany z pismem Steuarta, jak to widac z jego *history of price from 1839—1847* (London, 1848), w której zbiera historyję teoryj pieniężnych.

2) Najważniejszą pracą Tooke'a jest oprócz «Historyi cen», która jego współpracownik Newman wydał w 6 tomach, *An Inquiry into the currency principle, the connexion of currency with prices etc.* 2 edit. Lon-





SPIS RZECZY

Przedmowa	stronica	3
Dział pierwszy. Kapitał wogóle.		
Rozdział pierwszy. Towar	stronica	9
A. Z historii analizy towaru	"	27
Rozdział drugi. Pieniądz czyli prosta cyrkulacja	"	32
1). Miara wartości	"	33
B. Teoryje o jednostce miary pieniężnej	"	39
2). Narzędzie obiegu	"	46
a). Metamorfoza towarów	"	47
b). Obieg pieniędzy	"	53
c). Moneta. Znak wartościowy	"	59
3). Pieniądz	"	69
a) Tworzenie skarbów	"	71
b) Narzędzie wypłaty	"	78
c) Pieniądz wszechświatowy	"	85
4). Szlachetne metale	"	88
C. Teoryje narzędzi obiegu i pieniędzy	"	91



4631